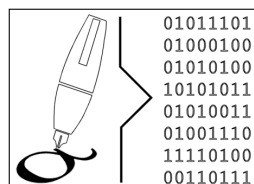


**KIRYŁ J. YESKOV**

**Ostatni Władca  
Pierścienia**

Przekład: Ewa i Eugeniusz Dębscy



Tytuł oryginału:

*Poslednij Kolcenosiec*

Data wydania polskiego: 2000 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1999 r.

*Jesteśmy dzisiaj słabi, lecz na nasz znak czekają  
Hordy różnorakie, co za Murem mieszkają.  
Kiedyś my, niewolnicy, w twardą pięść się zbierzemy,  
Choć dzisiejszym swym losem się nie przejmujemy.  
Niewola nas nie smuci,  
Może trwać nawet wiek, nie będziemy się dąsać,  
Lecz gdy zacznie dusić nas wstyd,  
My będziemy na waszych mogiłach płąsać.*

R. Kipling

*Nigdy jeszcze na polach walki nie zdarzyło się tak,  
by tak wielu, zawdzięczało tak wiele, tak niewielu.*

W. Churchill

# CZEŚĆ PIERWSZA

## Biada zwyciężonym

*Złoto — dla gospodyni, srebro zaś dla sługi,  
Miedziakami się pokryje wszelkie drobne długi.  
„Tak jest — powiedział baron — do wojny się szykuje,  
A Żelazo nad wszystkim panuje!”*  
R. Kipling

# 1

## **Mordor, piaski Hutel-Har 6 kwietnia 3019 roku Trzeciej Ery**

Czyż istnieje na świecie piękniejszy widok niż zachód słońca na pustyni, gdy, jakby wstydząc się swej jaskrawej południowej mocy, zaczyna pieścić człowieka garściami barw o niewyobrażalnej czystości i delikatności! Szczególnie piękne są niezliczone odcienie fioletołów, w mgnieniu oka zmieniających szeregi diun w czarowane morze — uważajcie, byście nie przegapili tych kilku mgnień, bo nigdy już się one nie powtórzą. . . A ta chwila tuż przed świtem, gdy pierwszy błysk światła przerywa w pół taktu powściągliwy menuet księżycowych cieni na woskowanym parkiecie wyschniętych jezior — albowiem owe bale na wieki ukryte są przed niewtajemniczonymi, którzy przedkładają dzień nad nocę. . . A nieodłączna tragedia tego momentu, kiedy potęga mroku zaczyna chylić się ku upadkowi i puszyste skupiska wieczornych gwiazdozbiorów niespodziewanie stają się ostrymi lodowymi okruciami — tymi samymi, które przed świtem osiadają w postaci szronu na oksydowanym żwirze zbczy wzgórz. . .

Właśnie w takiej bliskiej północy godzinie, po wewnętrznej krawędzi półokrągłego zwirowanego parowu między niewysokimi diunami przemykały dwa szare cienie, a dzieląca ich odległość była właśnie taka, jaką przewidywał w podobnej sytuacji Regulamin Polowy. Co prawda, większą część bagażu — niezgodnie z regulaminem — niósł nie zamykający, wyraźnie będący „głównymi siłami”, a prowadzący — „straż przednia”, jednakże były ku temu ważne powody. Zamykający wyraźnie kulał i zupełnie stracił siły; oblicze jego — szczupłe, z odznaczającym się orlim nosem, wyraźnie świadczące o dużej domieszce krwi umbarskiej — pokrywała warstwa lepkiego potu. Prowadzący zaś na oko był typowym orokuenem, przysadzisty, z szeroko rozstawionymi oczami — jednym słowem, tym właśnie „orkiem”, którym na Zachodzie matki straszą nieposłuszne dzieci. Poruszał się błyskawicznymi zygzakami, a wszystkie jego ruchy były bezgłośnie, precyzyjne i oszczędne, jak u wyczuwającego zdobycz drapieżnika. Swoją pelerynę z futra bachtriana, niezmiennie utrzymującego tę samą temperaturę — czy to w południowy skwar, czy to w ziąb przedświt — oddał towarzyszowi, sam pozostając

w zdobyczym, niezastąpionym w lesie, ale zupełnie nieprzydatnym tu, na pustyni, elfickim płaszczu.

Zresztą, nie chłód martwił teraz orokuena: niczym zwierzę wsłuchujące się w nocną ciszę krzywił się jak od bólu zęba za każdym razem, gdy dochodził go zgrzyt żwiru pod chwiejnie stąpającym towarzyszem. Oczywiście, natknąć się na elficki patrol na środku pustyni, to rzecz niemal nieprawdopodobna, a poza tym dla elfów światło gwiazd w ogóle nie liczy się jako światło — muszą widzieć przynajmniej księżyc. Jednakże kapral Cerleg, dowódca plutonu zwiadu w pułku jegrów Kirith Ungol, w takich sprawach nigdy nie zdawał się na „jakoś to będzie” i nieustannie powtarzał: „Pamiętajcie, chłopcy: Regulamin Polowy, to taka książka, gdzie każdy przecinek jest przesiąknięty krwią tych przemądrzałków, którzy chcieli postępować po swojemu”. Dlatego zapewne, przez trzy lata wojny stracił tylko dwóch żołnierzy i z liczby tej był bardziej w duchu dumny niż z Medalu Oka, otrzymanego ubiegłej wiosny z rąk dowodzącego Armią Południe. Również teraz — u siebie w domu, w Mordorze — zachowywał się tak, jakby nadal odbywał głęboki rajd po równinach Rohanu. Zresztą, jaki to teraz dom. . .

Z tyłu doszedł go nowy dźwięk — ni to jęk, ni to westchnienie. Cerleg odwrócił się, obliczył dystans i, błyskawicznie zrzuciwszy z ramion wór z manelami (ani jedna sprzączka przy tym nie brzęknęła), zdążył dobiec do swego towarzysza. Ten, przegrywając walkę z omdleniem, wolno osuwał się na ziemię. Stracił przytomność, gdy tylko kapral podchwycił go pod pachy. Klnąc w duchu na czym świat stoi, zwiadowca wrócił do swego bagażu po manierkę. To ci partner, żeby to dunder. . . Ani z niego się śmiać, ani go żałować. . .

— Proszę się napić, panie. Znowu gorzej?

Wystarczyło, by leżący wypił kilka łyków, a całe jego ciało odpowiedziało koszmarnym atakiem torsji.

— Proszę wybaczyć, kapralu — wymamrotał. — Szkoda tego płynu.

— Proszę tak nie myśleć: do podziemnego zbiornika wody zostało niewiele. Jak pan, konsyliarzu polowy, nazwał ongi tę wodę? Takie śmieszne słowo. . .

— Adyabatyczna.

— Człowiek uczy się przez całe życie. No dobrze, z wodą nie stoimy tak źle. Znowu nie czuje pan nogi?

— Obawiam się, że tak. Wiecie co, kapralu. . . Niech mnie pan tu zostawi i sam pójdzie do swego koczowiska — chyba mówiliście, że to niedaleko, jakieś piętnaście mil. Potem wróćcie po mnie. Przecież jeśli natkniemy się na elfów to obaj zginiemy za funt kłaków. Ze mnie teraz taki wojak, jak. . . sami rozumiecie. . .

Cerleg jakiś czas zastanawiał się, odruchowo kreśląc palcem na powierzchni piasku znaczki Oka. Potem zdecydowanym ruchem wyrównał piasek i podniósł się.

— Rozłożymy tu biwak. Pod tą wydumą. Tam, jak mi się wydaje, grunt jest bardziej zwarty. Dojdzie pan sam, czy pomóc?

— Proszę posłuchać, kapralu. . .

— Doktorze, proszę o ciszę! Pan jest — proszę mi wybaczyć — jak małe dziecko: jestem spokojniejszy, gdy mam pana na oku. Trafi pan w łapy elfów i po kwadransie wyciągną z pana wszystko: skład grupy, kierunek marszu i całą resztę. A ja za bardzo kocham własną skórę. . . No to jak? Przejdzie pan te sto pięćdziesiąt kroków?

Wlókł się we wskazanym kierunku, czując, jak noga przy każdym kroku wypełnia się roztopionym ołowiem. Pod samą już wydumą znowu stracił przytomność i nie widział już jak zwiadowca, starannie zatańczy ślady torsji i odciski stóp, szybko niczym kret ryje w piaszczystym zboczu kryjówkę na dzień. Potem przejaśniło mu się przed oczami. Zorientował się, że kapral ostrożnie prowadzi go do nory wyłożonej tkaniną. „Czy może, łaskawco, wygrzebie się pan z niemocy za kilka dni?”

Nad pustynią tymczasem wzeszedł ohydnej barwy księżyc — jakby opił się ropy pół na pół z krwią. Teraz, by obejrzeć nogę światła było aż za dużo. Rana sama w sobie była bzdurna, ale nijak nie chciała się zasklepić i co rusz zaczynała krwawić: elficka strzała, jak zwykle, okazała się zatruta. Tego straszliwego dnia lekarz zużył cały zapas odtrutki dla swych ciężko rannych, mając nadzieję, że może się uda. Nie udało się. W gęstwinie leśnej, o kilka mil na północny wschód od przeprawy pod Cytadelą Gwiazd, Cerleg wykopał dla niego jamę pod powalonym dębem, i przez pięć dni i pięć nocy ranny leżał tam, czepiając się skostniałymi palcami życia jak krawędzi oblodzonego karnisza. Szóstego dnia wynurzył się z purpurowego wiru nieznośnego bólu i, łykając gorzką, śmierdzącą jakimś odczynnikami wodę z Imlad Morgul — do innej nie można było dotrzeć — słuchał relacji kaprała. Resztki Armii Południe, zablokowane w wąwozie Morgul, skapitulowały, i elfy z Gondorczykami popędziły ich gdzieś za Anduinę. Jego połowy lazaret zaś wraz ze wszystkimi rannymi rozdeptał na kaszę rozjuszony mumak z rozbitego haradzkiego korpusu. Wyglądało, że nie ma już na co czekać — trzeba przedzierać się do domu, do Mordoru.

Ruszyli dziewiątej nocy, gdy tylko zdołał się poruszyć. Zwiadowca wybrał drogę przez przełęcz Kirith Ungol, ponieważ przewidywał, że po trakcie wiodącym przez Ithilien nawet mysz w obecnej chwili się nie przemknie. Najgorsze było to, że nie udało mu się określić, co właściwie go zatrzyma, i to kto — specjalista od trucizn! Sadząc po symptomach, musiało to być coś nowego, coś z ostatnich elfickich badań. Zresztą, apteczka i tak była prawie pusta. Czwartego dnia niemoc wróciła i to w najmniej odpowiednim momencie: gdy przemykali obok świeżo odbudowanego obozu Zachodnich sojuszników u podnóża Minas Morgul. Trzy doby przyszło im ukrywać się w tamtejszych złowrogich ruinach, a trzeciego wieczora zdziwiony kapral wyszeptał mu na ucho: „Ależ waść siwiejesz!”. Zresztą, winne temu były nie pilnujące ruin upiory, a całkiem realna szubienica postawiona przez zwycięzców na poboczu traktu, jakieś dwadzieścia jardów od ich kryjów-

ki. Sześć trupów w postrzępionych mordorskich mundurach zebrało na ucztę całe krucze stado, a duży szyld za pośrednictwem wykaligrafowanych elfickich runów powiadamiał, że są to „wojenni przestępcy”.

Obecny atak był trzecim z kolei. Czując wszechogarniające dreszcze, wpełzł do wysłanej tkaniną nory i znowu pomyślał: jak się teraz czuje Cerleg w samej elfickiej szmatce?

Ten po chwili bezgłośnie pojawił się w schronie. Cichutko zabulgotała woda w jednej z przyniesionych manierek, potem osypał się z „sufitu” piasek, co oznaczało że orokuen maskował z zewnątrz otwór wejściowy. Wystarczyło, by jak dziecko przytulił się do jego wielkich pleców, a zimno, ból i strach zaczęły niespodziewanie wyływać z niego i nie wiadomo skąd pojawiła się pewność, że kryzys minął. „Teraz muszę się tylko wyspać, i wtedy przestanę być dla Cerlega ciężarem... tylko muszę się wyspać...”

— Haladdinie! Hej, Haladdinie!

„Kto mnie woła? Jak się znalazłem w Barad-Dur? Nie rozumiem... Dobrze, niech będzie Barad-Dur”.



## 2

Pół setki mil na wschód od wulkanu Orodruina, tam, gdzie lekkomyślne gadaliwe strumienie rodzące się pod lodowcami Gór Popielnych stają się rozsądnymi i statecznymi rzekami, cicho gasnącymi następnie w pulsujących oparach morderkiej równiny na płaskowyżu Gorgoroth znajduje się Oaza. Bawełna i ryż, figi i winorośl rodziły tu od wieków, dwa razy do roku, a prace miejscowych tkaczy i płatnerzy słynęły w całym Śródziemiu. Prawdą jest jednak, że każdy orokuen — koczownik spoglądał na współplemieńców, którzy wybrali los rolników czy rzemieślników, z niewyobrażalną wręcz pogardą, bo któż nie wie, że jedynym zajęciem godnym mężczyzny jest hodowla bydła — no, jeśli nie liczyć grabieży na szlakach karawan... Wcale to zresztą im nie przeszkadzało w regularnym odwiedzaniu ze swymi Stadami gorgoratskich targowisk, gdzie byli zręcznie oskubywani jak lipki przez słodkoustych umbarskich kupców, którzy sprawnie i szybko podporządkowali sobie cały tamtejszy handel. Ci spryciarze, zawsze gotowi do zaryzykowania głową za garść srebra, prowadzili swoje karawany po całym Wschodzie, nie gardząc przy tym ani handlem niewolnikami, ani przemycem, ani — przy okazji — zwyczajnym rozbojem. Głównym źródłem ich dochodów był zawsze eksport rzadkich metali, które wydobywały w obfitości w Górach Popielnych przysadziste trolle — niezrównani górnicy i metalurdzy. Ci ostatni zaś po jakimś czasie zmonopolizowali dodatkowo w Oazie murarkę. Wspólne długie życie przyzwyczało synów trzech narodów do zerkania na sąsiedzkie ślicznotki z większym zainteresowaniem niż na dziewczyny swego plemienia, ale i do wykpiwania siebie wzajemnie w dowcipach rozpoczynających się od słów: „Przychodzi do łaźni orokuen, Umbarczyk i troll...” Jednak kiedy zachodziła taka potrzeba stawiali do walki ramię w ramię przeciwko barbarzyńcom Zachodu, broniąc przełęczy Gór Cienia i przejścia przez Morannon.

Na takim zacznynie powstał sześć wieków temu Barad-Dur, zadziwiające miasto alchemików i poetów, mechaników i astrologów, filozofów i lekarzy, serce jedynej w całym Śródziemiu cywilizacji, która postawiła na racjonalną wiedzę i nie bała się przeciwstawić starej magii swą, dopiero co ukształtowaną technologię. Błyszcząca iglica baraddurskiej cytadeli wzniosła się nad równiną Mordoru niemal na wysokość Orodruiny, jak monument postawiony Człowiekowi — wol-

nemu Człowiekowi, który uprzejmie, ale stanowczo odrzucił rodzicielską opiekę Mieszkańców Niebios i zaczął żyć własnym rozumem. Było to wyzwanie rzucone tępemu, agresywnemu Zachodowi, iskającemu wszy w swych drewnianych „pałacach” przy akompaniamencie smętnych recytatywów skaldów, głoszących niezrównane wartości nigdy nie istniejącego Numenoru. Było to wyzwanie uginającemu się pod ciężarem własnej mądrości Wschodowi, gdzie Jin i Jang dawno już pożarły się wzajemnie, zrodziwszy tylko wyszukaną statykę Ogrodu Trzynastu Kamieni. Było to wyzwanie rzucone jeszcze komuś, albowiem ironiczni intelektualiści z Akademii Mordorskiej — sami tego nie wiedząc — doszli do rubieży, za którą wzrost ich potęgi mógł być nieodwracalny i niemożliwy do sterowania.

\* \* \*

A Haladdin kroczył po znanych sobie od dziecka ulicach — od trzech wytartych stopni rodzinnego domu w zaułku za Starym Obserwatorium obok platanów Królewskiego Bulwaru, który styka się przeciwległym końcem z zigguratem Wiszących Ogrodów — kierując się do przysadzistego budynku Uniwersytetu. Właśnie tutaj praca obdarzyła go kilka razy chwilami najwyższego szczęścia, dostępnego człowiekowi: kiedy trzyma on, niby pisklę na dłoni, Prawdę objawioną w tej chwili na razie tylko jemu. A to znaczy, że jest on bogatszy i hojniejszy od wszystkich władców świata. . . A potem w wielogłosym gwarze krążyła butelka nurneńskiego, której piana, w towarzystwie wesołych „ochów” wypełzała z różnych kubków i szklanic, a przed nimi była jeszcze cała kwietniowa noc ze swymi nie kończącymi się dysputami o nauce, poezji, budowie świata, i znowu o nauce — dysputami rodzącymi w uczestnikach niezachwiane, spokojne przekonanie, że ich życie to jedyny i właściwy wariant. . . A Sonia patrzyła na niego ogromnymi oczami — tylko trollijskie dziewczyny mają czasem taki nie zdefiniowany odcień oczu (ciemnoszary? przejrzystobrazowy?) — i z całej siły starała się uśmiechnąć: „Haliku, kochany, nie chcę być ci ciężarem”, a jemu chciało się płakać z powodu przepelniającej serce czułości.

Ale skrzydła snu już niosły go z powrotem na nocną pustynię, oszałamiającą każdego nowicjusza nieprawdopodobną różnorodnością życia, które wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca dosłownie zapada się pod ziemię. Od Cerlega dowiedział się, że ta pustynia, jak i każda inna, od wieków dzieli się na fragmenty: każda kępa saksaułu, łączka kłującej trawy czy plama jadального porostu — *manny* — ma właściciela. Orokuen z łatwością określał klany władające tymi uroczyskami, po których przebiegała ich droga, bezbłędnie określał granice włości, wyraźnie orientując się przy tym nie za pomocą ułożonych

z kamieni piramidek *abo*, a posiłkując się jakimiś tylko jemu znanymi punktami orientacyjnymi. Wspólne tu były tylko studnie dla bydła — rozległe doły w piasku, wypełnione gorzko-słoną, choć nadającą się do picia wodą. Haladdina przede wszystkim zadziwił system *tsandojów* — zbiorników adiabaticznej wilgoci, o których wcześniej wiedział tylko z książek. Chylił czoła przed nieznanym geniuszem, który odkrył niegdyś, że jedno z przekleństw pustyni — nocny mróz — może pokonać drugi: suszę — szybko stygnące kamienie działają jak lodówki, „wyciskając” wodę z pozornie absolutnie suchego powietrza.

Kapral słowa „adiabaticzna”, rzecz jasna, nie znał. W ogóle Cerleg mało czytał, nie widząc w tym zajęciu specjalnego sensu ani przyjemności, ale niektóre ze zbiorników, obok których prowadziła ich droga, były zbudowane jego rękami. Pierwszy *tsandoi* Cerleg wykonał mając pięć lat i był strasznie zrozpaczony, gdy rano nie znalazł w nim ani kropli wody. Potrafił jednakże samodzielnie wykryć błąd — stosik kamieni był zbyt mały — i właśnie w tym momencie poczuł po raz pierwszy w życiu dumę Mistrza. Dziwne, ale nie odczuwał najmniejszego pociągu do zajmowania się bydłem — wykonywał tę pracę tylko z konieczności — ale za to z byle warsztatu rymarskiego nie można go było za uszy wyciągnąć. Krewni kręcili nosami, patrząc na niego — „zupełnie miejskie dziecko”, a ojciec, napatrzywszy się na jego zabawy z żelastwem, zmusił do opanowania alfabetu. Tak się zaczęło jego życie *mangatsa* — wędrownego rzemieślnika odwiedzającego koczowiska jedno po drugim, przez co po kilku latach potrafił już robić wszystko. A gdy trafił na front (koczownicy zazwyczaj byli przydzielani albo do lekkiej kawalerii albo do jegrów), zaczął wojować tak samo rzetelnie, jak wcześniej układał *tsandoje* i naprawiał uprzęż bachtrianów.

Wojna ta, szczerze mówiąc, sprzykrzyła mu się dawno i całkowicie. Wiadomo — tron, ojczyzna i wszystko inne... Jednakże panowie generałowie za każdym razem wszczynali operacje, głupota których widoczna była nawet z wysokości jego kapralowego spojrzenia. Żeby widzieć to, nie trzeba było kończyć żadnych wojskowych akademii — wystarczyło, jak sądził, tylko trochę zdrowego rozsądku rzemieślnika. Po pogromie na Polach Pelelnoru na przykład, pluton zwiadu Cerlega, jak i inne zdolne do walki oddziały, rzucono by osłaniały odwrót (lepiej powiedzieć — ucieczkę) sił głównych. Zwiadowcom wyznaczono wówczas pozycję na środku gołego pola, nie uzbroiwszy ich nawet w długie włócznie, przez co elitarna formacja, której żołnierze mieli na swoim koncie co najmniej po dwa tuziny rajdów na tyły wroga, zupełnie bezsensownie rozdeptana została kopytami rohańskich jeźdźców, którzy nawet nie zauważyli z kim dokładnie mają do czynienia.

„Garbatego wyprostuje mogiła” — postanowił wtedy Cerleg. — Niech ich licho z taką wojną... Koniec, chłopaki, nawojowałem się po uszy. "Bagnet w piach, a ja do baby pod pierzynę!" Z tego przeklętego lasu, gdzie w pochmurną pogodę za cholere nie da się określić kierunku, a każde zadrapanie natychmiast zaczyna

ropieć, chwała Jedyemu, udało się wyjść, a już w domu, na pustyni, jakoś sobie poradzimy”. W swych snach kapral już przeniósł się do znajomego koczowiska Teshgol, do którego została jedna dobra noc marszu. Oczyma duszy wyraźnie widział, jak to się odbędzie — bez pośpiechu zdecyduje, co należy w domu naprawić w pierwszej kolejności, w tym czasie zostanie nakryty stół, a gospodyni, gdy wypiją już po drugim, zacznie powoli naprowadzać rozmowę na temat, jak to w domu bez chłopca... A umorusane dzieciaki — czwórka ich tam (a może piątka? nie pamięta...) — będą się kręcić przy nich, chcąc dotknąć broni... Zasnijając, pomyślał jeszcze: „Dobrze by się dowiedzieć, komu była potrzebna ta wojna, i spotkać go jakoś na wąskiej ścieżce...”

No bo rzeczywiście — komu?

## 3

### **Śródziemie, strefa sucha** **Informacje przyrodniczo — historyczne**

W historii każdego Świata, również Śródziemia, występują regularne zmiany epok klimatycznych — wilgotnych i suchych: powstawanie i topnienie czap lodowych na biegunach oraz pasm pustyń podporządkowane jest jednemu rytmowi, tworzącemu jakby puls globu. Te naturalne cykle kryją się przed wzrokiem historyków i skaldów pod zadziwiającym kalejdoskopem narodów i kultur, mimo iż właśnie one w znacznym stopniu rodzą ów kalejdoskop. Zmiana cyklu klimatycznego może odegrać w historii kraju, czy nawet całej cywilizacji rolę znacznie większą, niż działania wielkich reformatorów czy wyniszczające obce najazdy.

Tak więc, w Śródziemiu wraz ze swą Trzecią historyczną Erą, chyliła się ku upadkowi jeszcze jedna epoka — pluwialna. Trasy przenoszących wilgoć cyklonów coraz bardziej odchylały się ku biegunom planety i w pierścieniach pasatów, obejmujących trzydzieste szerokości obu półkul, wyraźnie widoczne stało się rozrastanie pustyń. Niedawno jeszcze równinę Mordoru pokrywała sawanna, a na zboczach Orodruiny rosły prawdziwe drzewa cyprysowe i cisy. Natomiast teraz pustynia nieubłagana, akra za akrem pochłaniała resztki suchych stepów lgnących do podnóży górskich grzbietów. Linia śniegu w Górach Popielnych nieuchronnie przesuwała się ku górze, i strumienie, syjące Oazę w Gorgoroth, coraz bardziej przypominały gasnące z powodu nieznaney choroby dziecko. Gdyby tamtejsza cywilizacja była nieco bardziej prymitywna, a kraj biedniejszy, to wszystko tak by właśnie się działo. Proces ów rozciągnąłby się na wieki, a na takim odcinku czasu zawsze coś się może stać. Ale Mordor miał moc niezmierną, tak więc postanowiono nie czekać na „łaskę przyrody” i utworzyć obszerny i wydajny system nawadnianego rolnictwa z wykorzystaniem wody z dopływów jeziora Nurn.

Należy w tym miejscu wyjaśnić jedną rzecz. Nawadniane rolnictwo w strefie pustynnej jest bardzo wydajne, ale wymaga szczególnej troski. Chodzi o dużą zawartość rozpuszczonej w tutejszych wodach gruntowych soli. Najważniejszy problem polega na tym, by — nie daj Boże! — nie wyprowadzić jej na powierzchnię,

gdyż to wiedzie do zasolenia produktywnej warstwy gruntu. Właśnie tak się stanie, jeśli w trakcie nawadniania wylane zostanie na pole zbyt dużo wody i gruntowe kapilary zostaną wypełnione na taką głębokość, że wody gruntowe uzyskają połączenie z powierzchnią. Siły kapilarne plus przygruntowe parowanie powodują przepompowywanie wody z głębin na powierzchnię, podobnie jak idzie do góry paliwo po płonącym knocie lampki, a procesu tego nie da się zatrzymać. Rolnik nie zdąży mrugnąć, jak okaże się, że zamiast pola ma pozbawione życia solnisko. Najgorsze zaś jest to, że w żaden sposób nie da się ponownie ukryć owej soli w głębinach ziemi.

Istnieją dwa sposoby na uniknięcie tego kłopotu. Po pierwsze, można bardzo ostrożnie podlewać uprawy — tak, by kapilarna wilgoć powierzchniowa nie zetknęła się z lustrem wód gruntowych. Po drugie, można stosować tak zwany system przemywania: należy okresowo doprowadzać na polach do nadmiaru wody przepływającej, która po prostu będzie zmywała stale przesączającą się z głębin sól i przenosiła ją na przykład do morza, czy innego końcowego zbiornika. Ale jest tu pewna subtelność: system przemywania można wykorzystywać tylko w dolinach dużych rzek, mających wyraziste wiosenne przybory wód, gdyż to one usuwają zgromadzoną przez cały rok sól. Przykładowo takie właśnie są naturalne warunki upraw w Khandzie skąd skopiowany został system nawadniania przez niedoświadczonych mordorskich inżynierów, szczerze uważających, że jakość nawadniania zależy od liczby sześciennych sążni wykopanego gruntu.

Natomiast w zamkniętej niecce Mordoru system przemywania nie może być stosowany z definicji, ponieważ nie ma tu przepływających przez kraj rzek, a końcowym zbiornikiem wodnym jest Nurn, którego dopływy zostały wykorzystane do nawadniania oddalonych od jeziora upraw. Mała różnica wysokości nie pozwala na stworzenie w tych kanałach nawet namiastki wiosennych przyborów, tak więc zmywanie soli okazało się niemożliwe, ponieważ po pierwsze, nie było czym, po drugie — nie było dokąd. Po kilku latach niewyobraźalnego urodzaju stało się to, co było nieuniknione: zaczęło się zasalarie ogromnych połaci kraju, a próby zastosowania drenażu nie udały się z powodu wysokiego stanu wód gruntowych. Wynik: olbrzymie ilości pieniędzy zostały zmarnowane, a ekonomii kraju i jego przyrodzie wyrządzono straszliwą szkodę. Mordorowi w zupełności wystarczyłby umbarski system melioracji z minimalnym nawadnianiem, zresztą znacznie tańszym w stosowaniu, ale i ten wariant obecnie został nieuchronnie utracony. Inicjatorzy irygacyjnego projektu i jego główni wykonawcy zostali skazani na dwadzieścia pięć lat pracy w kopalniach ołowiu, ale, jak łatwo się domyślić, nie pomogło to sprawie.

To, co się wydarzyło, było rzecz jasna olbrzymią szkodą, ale w końcu nie katastrofą. Mordor w tym czasie zupełnie zasłużenie nazywano Warsztatem Świata i mógł on, w zamian za swoje wyroby przemysłowe, otrzymywać dowolne ilości żywności z Khandu i Umbaru. Dniami i nocami przez Ithilien podążały sobie na

spotkanie karawany handlowe, i w Barad-Dur coraz głośniejszy odzywały się głosy, że niby zamiast grzebać się w ziemi — co i tak nie daje żadnego pożytku, a jedynie straty — lepiej by się zająć rozwijaniem tego, co mamy najlepsze na świecie, czyli metalurgii i chemii. . . Rzeczywiście kraj przeżywał rewolucję przemysłową: parowe maszyny wybornie spisywały się w kopalniach i manufakturach, a sukcesy awiacji oraz doświadczenia z elektrycznością stały się ulubionym tematem dysput przy stołach w domach wykształconych warstw społeczeństwa. Dopiero niedawno zostało przyjęte prawo o powszechnym nauczaniu, i Jego Wysokość Sauron VIII z właściwym sobie ciężkim dowcipem oświadczył na posiedzeniu parlamentu, że zamierza przyrównać absencję w szkole do zdrady państwowej. Wspaniała praca doświadczonego korpusu dyplomatycznego i silnej służby wywiadowczej pozwoliły doprowadzić liczebność armii kadrowej do minimum, tak więc nie obciążała ona zasobów kraju.

Jednakże właśnie w tym czasie rozległy się te słowa, którym sądzone było zmienić całą historię Śródziemia. W przedziwny sposób były niemal dokładnym powtórzeniem wypowiedzi, która miała miejsce w innym Świecie i dotyczyła zupełnie innego kraju, a brzmiała ona tak: „Kraj, który nie może siebie wykarmić i zależny jest od importu żywności, nie może być uważany za poważnego wojennego przeciwnika”.

## 4

### **Arnor, wieża Amon Sul Listopad 3010 roku Trzeciej Ery**

Słowa te wypowiedział wysoki siwobrody starzec w srebrzystoszarym płaszczu z odrzuconym na plecy kapturem. Stał on, opierając się o brzeg owalnego czarnego stołu, wokół którego w wysokich fotelach ulokowały się cztery, na poły ukryte w cieniu postaci. Mogło się wydawać, że przemówienie jego odniosło skutek: Rada jest po jego stronie, i teraz ciemnobłękitne przenikliwie patrzące oczy stojącego, będące w wyraźnym kontraście z barwą pergaminowej twarzy, nie odrywały się od jednej z czterech postaci — od tej, z którą przyjdzie mu zaraz się zetrzeć. Siedziała ona nieco z boku, jakby już z góry oddzielała się od członków Rady, była szczelnie owinięta w oślepiająco biały płaszcz, przez co wydawało się, że jego posiadacz dygoce z zimna. Ale oto mężczyzna, zacisnąwszy palce na podłokietnikach fotela, wyprostował się i pod ciemnym sklepieniem rozległ się jego głęboki, miękki głos:

— Powiedz, nie żal ci ich?

— Jakich „ich”?

— Ludzi, ludzi, Gandalfie! Rozumiem, że z powodów wyższego dobra skazałeś na śmierć cywilizację Mordoru. Ale cywilizacja to przede wszystkim jej nosiciele. Znaczy to, że ich również należy zniszczyć — i to tak, żeby nie mogli się odrodzić. Czyż nie?

— Litość jest złym doradcą, Sarumanie. Przecież razem z nami patrzyłeś w Zwierciadło. — Mówiąc te słowa, Gandalf wskazał na stojący na środku stołu przedmiot, bardziej przypominający ogromną, wypełnioną rtęcią patelnię. — Do Przyszłości prowadzi wiele dróg, ale jakkolwiek z nich pójdzie Mordor, to najpóźniej za trzy wieki dotknie takich sił przyrody, których ujarzmić nie potrafi nikt. Czy chcesz może jeszcze raz zerknąć na to, jak w mgnieniu oka zmienia się w popiół całe Śródziemie wraz z Nieśmiertelnymi Krajami?

— Masz rację, Gandalfie, i byłoby nieuczciwością odrzucać taką możliwość. Ale w takim razie musisz pozbyć się również krasnoludów: raz już obudzili Koszmar Głębin, i wtedy całej naszej magii ledwo starczyło, by utrzymać go pod po-



wierzchnią. A przecież te brodate kutwy, jak ci wiadomo, wyróżniają się oślim uporem i zupełnie nie potrafią uczyć się na własnych błędach. . .

— Dobrze, zostawmy to, co jest tylko możliwe, i porozmawiajmy o tym, co nieuchronne. Jeśli nie chcesz spojrzeć w Zwierciadło, to popatrz zamiast tego na słupy dymu z ich pieców węglowych i wytapialni miedzi. Przejdź się po solnisku, w jakie zmienili ziemię na zachód od Nurnenu, i spróbuj odnaleźć na tym pół tysiącu mil kwadratowych choćby jedną bylinkę. Tylko uważaj, żebyś nie trafił tam w wietrzny dzień, kiedy przesolony pył mknie po równinie Mordoru przypominając ścianę i dusi po drodze wszystko, co żywe. . . Wszystko to — zauważ! — powstało zaraz po ich wyjściu z kołyski. Jak sądzisz, co będą wyprawiali potem?

— Przecież dziecko w domu to zawsze szkody: najpierw brudne pieluchy, potem połamane zabawki, następnie zepsuty ojcowski zegarek, a co się dzieje, gdy dziecina podrośnie! O wiele lepszy jest dom bez dzieci — panuje w nim czystość i porządek, aż się patrzy. Tylko jakoś gospodarzy nie bardzo to cieszy, a im bliżej starości — tym mniej.

— Zawsze mnie zadziwiało, Sarumanie, jak zręcznie potrafisz odwracać kota ogonem i za pomocą chytrej kazuistyki obalać naturalne prawdy. Ale tym razem, klnę się na komnaty Valinoru, ten numer nie przejdzie! Śródziemnie to wiele narodów, żyjących obecnie w zgodzie z przyrodą i przykazaniami przodków. Tym narodom, całemu układowi ich życia, zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, i widzę swój obowiązek w tym, by to niebezpieczeństwo za wszelką cenę odsunąć. Wilk, który podkrada owce z mojego stada, ma wszelkie powody, by tak właśnie postępować, ale ja nie wczuwam się w jego sytuację i współczuję mu.

— Nawiasem mówiąc, jestem nie mniej zatroskany losem Gondorczyków i Rohirrimów. Po prostu zaglądam w przyszłość nieco dalej niż ty. Czy nie powinieneś ty, Gandalfie, członek Białej Rady, wiedzieć, że całość wiedzy magicznej w zasadzie nie może wzrastać względem tego, co było niegdyś otrzymane z rąk Aule i Orome. Możesz tracić tę wiedzę wolniej lub szybciej, ale odwrócić tego procesu nie może nikt. Każde następne pokolenie magów będzie słabsze od poprzedniego i wcześniej czy później ludzie zostaną sam na sam z Przyrodą. Wtedy właśnie potrzebna im będzie Nauka i Technologia — jeśli, rzecz jasna, do tego czasu nie wyplenisz ich razem z korzeniami.

— Oni wcale nie potrzebują twojej nauki, ponieważ burzy ona harmonię świata i spopiela dusze ludzi!

— Muszę zauważyć, że w ustach człowieka, który zamierza wszcząć wojnę, rozmowy o Duszy i Harmonii brzmią nieco dwuznacznie. Co zaś się tyczy nauki, to ona wcale nie jest niebezpieczna dla nich, a dla ciebie, dokładniej mówiąc — dla twego olbrzymiego samouwielbienia. Wszak my, magowie, jesteśmy w zasadzie tylko użytkownikami tego, co zostało stworzone przez poprzedników, a oni są twórcami nowej wiedzy. My jesteśmy odwrócenii do przeszłości, ludzie do przyszłości. Ty wybrałeś kiedyś magię i dlatego nigdy nie przekroczysz gra-

nicy wykreślonej przez Valarów, podczas gdy u nich, w nauce, wzrost wiedzy — a w następstwie tego i mocy — jest zaiste nieograniczony. Pożera cię najgorszy rodzaj zawiści — zawiść rzemieślnika do artysty. . . Cóż, jest to naprawdę ważki powód do zabójstwa. Nie ty pierwszy i nie ostatni.

— Przecież sam w to nie wierzysz — spokojnie wzruszył ramionami Gandalf.

— Zgoda, chyba rzeczywiście nie wierzę. . . — Saruman smutno pokiwał głową. — Wiesz co? Jeśli ktoś kieruje chciwość, żądza władzy i miłość własna to jeszcze pół biedy. Ich przynajmniej czasem gryzie sumienie. Ale nie ma nic gorszego od jasnookiego idealisty, który postanowił uszczęśliwić ludzkość, gdyż zaśleje on cały świat krwią po kolana i nawet się nie skrzywi. A tacy chłopcy najbardziej kochają twierdzenie: „Są rzeczy ważniejsze od pokoju i gorsze od wojny”. Znasz to, co?

— Całą odpowiedzialność biorę na siebie, Sarumanie. Historia mnie osądzi.

— Och, w to akurat nie wątpię — wszak historię tę pisać będą ci, którzy zwyciężą pod twoimi sztandarami. Istnieją wypróbowane przepisy: Mordor trzeba będzie przekształcić w Imperium Zła, które zamierza zniewolić całe Śródziemie, a tamtejsze narody — w jeżdżące wierzchem na wilkołakach i odżywiające się ludzkim mięsem plugastwo. . . Ale nie mówmy teraz o historii, a o tobie. Pozwól, że powtórzę swoje nietaktowne pytanie o losy ludzi — kronikarzy wiedzy cywilizacji mordorskiej. To, że trzeba będzie ich wybić, to nie figura retoryczna, a stwierdzenie jak najbardziej naturalne i nie wywołujące wątpliwości: „chwasty należy niszczyć do końca”, inaczej ten pomysł w ogóle nie ma sensu. Tak więc, interesuje mnie, czy wystarczy ci odwagi, by osobiście uczestniczyć w tym „pielieniu” — tak, tak, właśnie tak. Czy własnoręcznie będziesz odcinać im głowy? Milczysz. . . No, tak zawsze jest z wami, miłośnikami Ludzkości! Co innego tworzyć projekty „Definitywnego rozwiązania kwestii mordorskiej” — to zawsze, proszę bardzo! Ale kiedy dochodzi do realizacji, od razu w krzaki: niech się tym zajmą wykonawcy, żeby było potem na kogo wskazywać palcem, kiwać i krzywić pysk. To wszystko, że tak powiem, „ichniejsze ekscesy”.

— Kończ z tą demagogią, Sarumanie — rzucił z rozdrażnieniem jeden z siedzących mężczyzn, ten w niebieskim płaszczu — i popatrz lepiej w Zwierciadło. Niebezpieczeństwo widzi nawet ślepy. Jeśli nie powstrzymamy teraz Mordoru, to nie będziemy mogli uczynić tego już nigdy: za pół wieku dokona się ta ich „rewolucja przemysłowa”. Dojdą do tego, że mieszanki saletry będzie można wykorzystać nie tylko do fajerwerków, a wtedy. . . po zabawie. Ich armie staną się niezwyciężone, a inne kraje na wyścigi rzucą się do stosowania mordorskich „osiągnięć” ze wszystkimi wypływającymi z tego konsekwencjami. . . Jeśli masz coś do powiedzenia na ten temat, to mów.

— Podczas gdy ja noszę biały płaszcz Przewodniczącego Białej Rady, przyjdzie wam wysłuchiwać wszystkiego, co uznam za stosowne — odciął się nagabnięty. — Zresztą, nie będę mówił o tym, że chcąc kierować losami Świata, wy

— cała czwórka — uzurpujecie sobie prawo, które nigdy do magów nie należało. Widzę, że to nie ma sensu. Rozmawiajmy na dostępnym dla was poziomie. . .

Jego oponenti usiedli i przybrali takie miny, że razem tworzyli wyrazistą, grupową pantomimę pod tytułem „Oburzenie”, ale Saruman w tej chwili miał już w nosie całą dyplomację.

— Z czysto technicznego punktu widzenia plan Gandalfa dotyczący stłamszenia Mordoru za pośrednictwem długotrwałej wojny i żywnościowej blokady jest niezły, ale ma jeden słaby punkt. Aby zwyciężyć w takiej wojnie, a będzie ona wyczerpująca, antimordorska koalicja musi pozyskać potężnego sojusznika. W tym celu proponowane jest obudzenie sił drzemiących od poprzedniej epoki — tej przed pojawieniem się ludzi — mieszkańców Złotego Lasu. To już samo w sobie jest szaleństwem, ponieważ oni nigdy nie służyli nikomu tylko zawsze sobie. Wam jednakże, i tego mało. Żeby zwycięstwo było pewne postanowiliście na czas wojny przekazać im Zwierciadło. Przecież prawo do prognozowania za jego pomocą operacji wojskowych mają tylko ci, którzy sami w nich uczestniczą. To jest szaleństwo do kwadratu, ale jestem gotów rozpatrzyć i ten wariant, o ile kolega Gandalf wyraźnie odpowie na jedno jedyne pytanie: Jak zamierza potem odzyskać Zwierciadło?

— Uważam — Gandalf niedbale machnął ręką — że problemy można rozwiązywać w miarę ich powstawania. Dlaczego mamy zakładać, że nie będą chcieli nam go zwrócić? Po co im Zwierciadło?

Nastała cisza. Takiej bezgranicznej głupoty Saruman naprawdę nie oczekiwał. A oni wszyscy, jak widać uważają, że tak trzeba. . . Wydało mu się, że tonie w lodowej kaszy marcowej przereźbli; jeszcze chwila i prąd wciągnie go pod krawędź lodu.

— Radagaście! Może przynajmniej ty coś powiesz?

Brązowa postać drgnęła, jak uczeń schwytywany przez nauczyciela podczas odpisywania zadania domowego, i niezręcznie usiłowała nakryć rękawem płaszcza coś na stole przed sobą. Rozległ się oburzony skrzek i po ręce Radagasta błyskawicznie przebiegła mała wiewiórka, z którą mag, jak się okazało, bawił się podczas całej rady. Wiewiórka usiadła na ramieniu maga — leśnika, jednak ten, zawstydzony ogromnie, wyszeptał coś, chmurząc siwe krzaczaste brwi, i zwierzak natychmiast zniknął gdzieś w fałdach ubrania.

— Sarumanie, gołąbeczku. . . Wybacz mi, staremu, ja tego. . . nie bardzo, szczerze mówiąc, słuchałem. . . Tylko się nie kłóćcie dobrze? Przecież jeśli i my zaczniemy się obszczekiwać, to co będzie się działo w świecie? No właśnie. . . A co do tych ze Złotego Lasu, to ty, nie złość się, ale trochę. . . tego. . . Pamiętam, w młodości, widywałem ich, wiadomo — z daleka. . . Więc według mnie, to oni są całkiem nawet. . . tego. . . Oczywiście, mają swój rozum, ale kto go nie ma? No, a z ptakami i zwierzątkami, to oni zawsze byli dusza w duszę. . . nie to, co ci twoi, z Mordoru. . . Ja tak więc sobie myślę, że może by to. . . tego. . .

„No i już — podsumował Saruman i wolno przetarł twarz dłonią, jakby zdejmował pajęczynę niezmiernego zmęczenia. — Jedyne, na którego poparcie mogłem liczyć. Już nie mam sił walczyć. Wszystko skończone, znalazłem się pod lodem”.

— Jesteś nawet nie w mniejszości, a w pełnej samotności, Sarumanie. Oczywiście, twoje uwagi są dla nas bezcenne. — Teraz głos Gandalfa przepełniony był fałszywym szacunkiem, aż nim opływał. — Od razu rozsądźmy, jak postąpimy ze Zwierciadłem ponieważ to naprawdę niełatwy problem. . .

— Teraz to już twoje problemy, Gandalfie — cicho, ale twardo odezwał się Saruman, odpinając mithrilową zapinkę przy kołnierzu. — Od dawna już łakniesz Białego Płaszczka, więc weź go sobie. Róbcie wszystko, co uważacie za słuszne. Ja odchodzę z Rady.

— Wtedy twa laska straci moc, słyszysz! — krzyknął za nim Gandalf. Widać było, że jest naprawdę zaskoczony i przestał rozumieć swego odwiecznego rywala.

Saruman, odwróciwszy się, przyjrzał się mrocznej sali Białej Rady. Brzeg śnieżnobiałego płaszczka spływał z fotela na podłogę jak posrebrzona księżycem woda w fontannie; mithril zapinki posłał mu pożegnalny błysk i zgasł. Podążający za nim Radagast z bezradnie rozłożonymi rękami zamarł w połowie drogi. Mag wyglądał teraz na małego i biednego, niczym dziecko wciągnięte w kłótnię rodziców. Oto kiedy z jego ust uleciały słowa, które znowu cudownym sposobem zgadzały się z tymi wypowiedzianymi w innym Świecie:

— To, co zamierzacie zrobić, to gorzej niż przestępstwo. To błąd.

A po kilku tygodniach służby wywiadowcze Mordoru zameldowały, że na skraju Północnych Lasów nie wiadomo skąd pojawiły się „elfy” — szczupłe złotowłose istoty o melodyjnym głosie i mrozącym krew w żyłach spojrzeniu.

## 5

### Śródziemie, Wojna o Pierścień Informacja historyczna

Jeśli czytelnik, w najmniejszym nawet stopniu przyzwyczajony do analizy dużych wojskowych kampanii, popatrzy na mapę Śródziemia, to bez trudu przekona się, że wszystkie działania obu powstałych koalicji — Mordorsko-Isengardzkiej i Gondorsko-Rohańskiej — były w rzeczywistości podporządkowane nieubłaganej strategicznej logice, u podstaw której leżała obawa Mordorczyków przed odcięciem od źródeł zaopatrzenia w żywność. Dzięki wysiłkom Gandalfa w centrum Śródziemia powstała niesłychanie chwiejna geopolityczna „kanapka”, w której rolę „pieczywa” pełnił Mordor i Isengard, a „wędliny” — Gondor z Rohanem. Ironia losu zaś polegała na tym, że koalicja Mordoru, nie marząca o niczym innym, jak o zachowaniu *status quo*, miała idealną pozycję do prowadzenia wojny agresywnej, w której można zmusić przeciwnika do jednoczesnej walki na dwóch frontach. Pozycja ta jednak była straszliwie niewygodna do prowadzenia wojny obronnej, kiedy zjednoczone siły wroga mogą doprowadzić do blitzkriegu, krusząc po kolei partnerów.

Jednakże Saruman też nie marnował czasu. Osobiście odwiedził Theodena i Denethora — królów Rohanu i Gondoru — i dzięki swemu urokowi oraz krasomówstwie potrafił przekonać ich, że Isengard i Barad-Dur nie pragną niczego innego jak pokoju. Prócz tego, częściowo wyjawiał Denethorowi i Sauronowi tajemnicę dwóch palantirów, które przechowywane były od niepamiętnych czasów w obu stolicach, i nauczył ich korzystać z tych starożytnych magicznych kryształów w charakterze systemu bezpośredniej łączności; ten prościutki ruch istotnie zmniejszył nieufność między władcami sąsiadujących krain. W Edoras, na dworze Theodena, został uruchomiony isengardzki konsul, na czele którego stanął Grima — wspaniały dyplomata doświadczony zwiadowca i mistrz dworskiej intrygi. Dość długo między Sarumanem i Gandalfem trwała ostrożna pozycyjna walka, ograniczona sferą stosunków dynastycznych.

Stało się tak, że syn Theodena, Theodred, znany ze swego zdrowego rozsądku i umiarkowania, w niejasnych okolicznościach zginął na Północy, jakoby pod-

czas napadu orokuenów. W wyniku tego zdarzenia następcą tronu został Eomer, królewski siostrzeniec — doskonały dowódca, idol młodych oficerów i, co było całkowicie naturalne, jeden z liderów „partii wojny”. Na nieszczęście Gandalfa, młodzian ów zaczął w rozmowach ze swymi przyjaciółmi zbyt otwarcie przymierzać rohańską koronę. Grimie, dysponującemu znakomitą agenturą, nie sprawiło kłopotu zebranie tego pijackiego bełkotu w jedną teczkę i — poprzez osoby trzecie — dostarczenie na biurko Theodena. Ostatecznie Eomer został wykluczony z aktywnej polityki, a Grima przestał w ogóle zaprzętać sobie nim głowę. Co — jak się później okazało — było olbrzymim błędem. W Gondorze udało się całkowicie zachwiać pozycją księcia Boromira, również znanego miłośnika wymachiwania mieczem, i usunąć go z dworu. Ten, rozżalony wyruszył na poszukiwanie przygód na ziemi Północy (co znacznie później zaowocowało nieprzyjemnymi konsekwencjami). W sumie rundę tę wygrał Saruman.

Tym niemniej, mimo że wszyscy trzej królowie wyraźnie rozumieli, iż lepszy „zły pokój”, niż „dobra kłótnia”, sytuacja stała się krańcowo chwiejna. Zaopatrzenie Gondoru w żywność wolno, ale nieubłagane pogarszało się. Bezpieczeństwo wiodących przez Ithilien handlowych szlaków na Południe, stało się tym, co określa się mianem „obsesji narodowej”. Każda prowokacja mogła wywołać lawinowy proces, a tego tu nie brakło — gdy na Rozstajach w Ithilien kilka karawan pod rząd zostało wybite przez nie wiadomo skąd przybyłych ludzi ubranych w zielone gondorskie płaszcze (mimo, że mówili oni z wyraźnym północnym akcentem), nastąpiła odpowiedź „w pełni adekwatna”.

Saruman, który natychmiast połączył się z Sauronem poprzez swój palantir, zaklinał, błagał, nawet groził, jednak wszystko na próżno. Dowody logiczne przestały być skuteczne, i król (którego władza w Mordorze była właściwie nominalna) nic nie mógł poradzić z oszalałymi ze strachu kramarzami z tamtejszego parlamentu. I oto o świcie czternastego kwietnia 3016 roku Trzeciej Ery, mordorskie wojsko w sile dwustu lekkich kawalerzystów wkroczyło do zdemilitaryzowanego zgodnie z niedawnym traktatem z Gondorem Ithilien, aby „zabezpieczyć szlaki handlowe przed rozbojami”. Gondor w odpowiedzi ogłosił mobilizację i przejął kontrolę nad przeprawą w Osgiliath. Pułapka na myszy zadziałała.

Wtedy Mordor popełnił swój drugi błąd. . . Zresztą, jak zwykle w takich przypadkach, błędy strategiczne podobnych sytuacji można ustanowić *post factum*. Gdyby ten ruch doprowadził do sukcesu (a było to możliwe), to na pewno zostałby zapisane w annałach jako „genialny”. Krótko mówiąc, przeprowadzono próbę skłócenia koalicji przeciwnika, wyłączając z gry Rohan, którego tak naprawdę sytuacja w Ithilien wprost nie dotyczyła. W tym celu za Anduinę został przetrzucony korpus ekspedycyjny składający się z czterech najlepszych pułków mordorskiej armii. Korpus miał za zadanie skrycie przejść po skraju rohańskich równin, gdzie według danych wywiadu nie było regularnych sił przeciwnika, i połączyć się z armią Isengardu. Ryzyko było wielkie, ale tą drogą nieraz już przemykały małe

pododdziały. A gdyby na tyłach Rohirrimów rzeczywiście zaczęła działać grupa uderzeniowa, zdolna w pięć dziennych etapów dojść do Edoras, to na pewno przestaliby nawet myśleć o Południu i zajęli się pilnowaniem wyjścia z Helmowego Jaru. Natomiast z pozostawionym w samotności Gondorem, można by zacząć szukać jakiegoś kompromisowego rozwiązania problemu Ithilien.

Tu odezwało się Zwierciadło. Wyobraźcie sobie, że w toku zwyczajnej wojny pozycyjnej jedna ze stron dysponuje danymi wywiadu kosmicznego, a druga — nie. Znajdujący się w areszcie domowym Eomer otrzymał przez Gandalfa wyczerpującą informację o ruchach Mordorczyków i zdecydował, że taką szansę los podsuwa tylko raz w życiu. Wykorzystawszy chorobę Theodena i swoją ogromną popularność w armii, poderwał wyborowe rohańskie oddziały i poprowadził je na północ; nie miał już w tym momencie nic do stracenia — w przypadku niepowodzenia, niewątpliwie czekała go egzekucja za zdradę państwa.

Zwierciadło jednakże nie zawiodło. Pięć dni później, zaskoczony w marszu, nie przeformowany nawet z kolumn marszowych Mordorski korpus ekspedycyjny został błyskawicznie zaatakowany przez ukrytą w Wielkim Zielonym Lesie pancerną jazdę Rohirrimów. Uderzenie było niespodziewane i miażdżące, tym niemniej znaczna część ciężkiej piechoty, składająca się w przeważającej części z trolli, zdążyła ustawić swoje słynne „granitowe karo” i odbijała ataki przez kilka godzin, powodując duże straty wśród napastników. Wraz z zapadnięciem zmierzchu piechota usiłowała przebić się w głąb lasu Fangorn, mając nadzieję na oderwanie się od konnych napastników, jednakże wszyscy co do jednego padli pod zatrutymi strzałami elfickich łuczników, metodycznie ostrzeliwujących ich ze swych zasiadek w koronach drzew.

Zwycięstwo kosztowało Rohirrimów drogo, jednak elita mordorskiej armii zebrana w korpusie ekspedycyjnym przestała istnieć. Z pogromu uszła tylko lekka kawaleria. Eomer powrócił do Edoras w aureoli triumfatora, a Theoden musiał udąć, że wszystko odbyło się według wcześniej uzgodnionego planu. Jednocześnie król publicznie otrzymał dowody na to, że isengardzki konsul prowadzi w stolicy Rohanu działalność wywiadowczą. Wiadomo, że zajmują się tym niemal wszyscy dyplomaci i to chyba od stworzenia świata. Jednakże Theodenowi, zmuszonemu do płynięcia w kilwaterze „partii wojny”, nie pozostało nic innego, jak ogłosić Grimę *persona non grata*.

A tymczasem rohańska armia, której jeszcze nie wywietrzyła z głowy oszołomienie po Fangornskim triumfie, wypełniła plac przed pałacem i, waląc mieczami o tarcze, żądała od swego pupila, Eomera, by prowadził ich — nieważne dokąd. A gdy ten uniósł nad głowę klingę, jakby wbijając ją w chylące się ku zachodowi słońce — „Na Isengard!!!” — stojący w pewnym oddaleniu w cieniu ściennej przypory Gandalf zrozumiał, że zasłużył w końcu na odrobinę wytchnienia: dzieło się dokonało.

## 6

Na południu tymczasem prowadzono „dziwną wojnę”. Mimo, że przeprawa w Osgiliath trzykrotnie w ciągu dwóch lat przechodziła z rąk do rąk, żadna ze stron nie usiłowała zdyskontować sukcesu i przenieść działań bojowych na drugi brzeg Anduiny. Zresztą, same te akcje sprowadzały się do szeregu „szlachetnych” pojedynków. Miał tam miejsce ni to turniej rycerski, ni to bitwa gladiatorów, a najlepsi wojownicy byli z imienia znani po obu stronach frontu. Obstawiano ich wygraną niezależnie od uczuć patriotycznych zakładających się osób. Oficerowie rywalizowali w szlachetności i przed przekłuciem przeciwnika gratulowali mu imienia identycznego z imieniem władcy, czy też z jakiegoś innego powodu. W tej podniosłej symfonii kurtuazyjnego ludobójstwa dysonansami jawiły się tylko działania oddziałów dunedaińskich tropicieli, którzy zlecieli się tu jak osy do konfitur. Zajmowały się one przede wszystkim „dywersją na komunikacyjnych szlakach przeciwnika”, czyli mówiąc wprost: grabieżą karawan. Mordorczycy uważali tę zgraję nie za wrogich wojowników, a za zwyczajnych rozbójników, z którymi rozmowa w czasie wojny powinna być krótka, w związku z czym wielu ze zbójów zawisło na rozłożystych dębach wzdłuż szlaku Ithilien. Mieszkańcy Północy odpłacali przy każdej okazji Mordorczykom tą samą monetą. Łatwo domyślić się, że w oczach takich prostych i uczciwych ludzi jak Cerleg, cała ta „wojna” wyglądała na krzątanie pensjonariuszy domu wariatów.

Bitwa pod lasem Fangorn gwałtownie zmieniła tę sytuację. Armie Mordoru oraz Isengardu i tak były trzykrotnie mniejsze od zjednoczonych sił Gondoru i Rohanu. Po wybiciu korpusu ekspedycyjnego strategia obronna Mordoru nie mogła już być dłużej realizowana: nie dało się utrzymać Ithilien za pomocą istniejących sił. Oczywiście, wystarczyłoby ich aż z nadmiarem do obrony twierdz zamykających przejścia w Górach Popielnych i Górach Cienia, ale jaki to miałyby sens? Gondorczycy i Rohirrimowie nie musieliby ich wcale szturmować — wystarczyło podtrzymać blokadę i czekać, póki Mordor nie skapituluje albo umrze z głodu. Trzeźwo obliczywszy wszystkie za i przeciw, w Barad-Dur zrozumiano, że istnieje tylko jedna jedyna szansa rozerwania tego duszącego chwytu.

Do chwili, kiedy na tyłach Rohirrimów pozostaje niezdojty Isengard, na pewno nie zdecydują się na przetrzucenie wojska na południowy wschód, za Ano-



rien. Mimo, że załoga Isengardu nie jest liczna, to niełatwo jest go zdobyć, ponieważ opóźniony Rohan nie dysponuje zaawansowaną techniką oblężniczą. W związku z tym Mordor ma do dyspozycji pewien zapas czasu — co najmniej pół roku. W tym czasie należy pod osłoną ospale toczącej się wojny w Ithilien zebrać w mocną garść wszystkie swe siły, jakimi dysponuje państwo: przeprowadzić ogólną mobilizację, kupić najemników, przyjąć wojska sojuszników — Wastaków i w szczególności Haradrimów. Następnie należy niespodziewanie uderzyć całą siłą na czasowo pozbawiony rohańskiej pomocy Gondor i skruszyć jego armię w *blitzkriegu* — po czym zakończyć wojnę na zasadzie „pokój za ziemię” (zachowawszy Rozstaje w Ithilien). Ryzyko jest ogromne, ale nie było z czego wybierać!

Zwierciadło oszacowało ten plan jako mający spore szansę na sukces. Gandalf gryźł paznokcie ze złości — wojna na północnym zachodzie toczyła się nie tak dobrze, jak tego oczekiwał. Prawdą jest, że Eomerowi, który dokonał błyskawicznego przerzutu sił na Zachód, udało się zawładnąć strategicznie ważnym Helmowym Jarem, wygrywając krwawą bitwę pod Rogatym Grodem i przedostając się w dolinę Iseny. W rzeczywistości jednakże, zwycięstwo to było dla Rohirrimów zwycięstwem pyrrusowym: straty atakujących okazały się tak duże, że o szturmie na sam Isengard nie było co marzyć. Pozostawało tylko oblężenie, czyli właśnie to, do czego dążył w tej chwili Mordor.

Wyjście z sytuacji znalazły elfy. Zbliżywszy się do Isengardu, Rohirrimowie ze zdumieniem zobaczyli na miejscu twierdzy połyskujące w promieniach zachodzącego słońca zwierciadło wody, z którego dość głupio — jak karcz z błota — sterczała isengardzka cytadela Orthank. Elfy rozwiązały problem radykalnie — zburzyły w nocy tamy na Isenie i zatopiły śpiące miasto wraz ze wszystkimi jego obrońcami. Wstrząśnięty Gandalf i wrzący z wściekłości Eomer — na dnie sztucznego zbiornika znalazły się wszystkie bogactwa Isengardu, będące w istocie celem wyprawy Rohirrimów — pojechali do elfów, by przedyskutować zapadłe już decyzje i następne działania.

\* \* \*

Wrócili o zmroku, w najwyższym stopniu nierozmowni i unikający patrzenia na siebie. Eomer, w odpowiedzi na pytania swych oficerów — „Mamy świętować zwycięstwo?” — rzucił tylko: „Jak chcecie” i oddalił się do swego namiotu, gdzie w samotności nażłopał się aż do nieprzytomności, co wcześniej mu się nie zdarzało. Gandalf nie wiadomo dlaczego pospieszył do Orthanku i usiłował porozmawiać z mieszkającym tam samotnie Sarumanem. Doczekał się jednak tyl-

ko lodowatej odmowy i teraz, zgarbiony jak bezsilny Starzec, siedział nad wodą i wpatrywał się w falowanie księżycowej ścieżki. . . Zapewne elfy mają rację. Najważniejsze w tej chwili to rozwiązać sobie ręce na północy i poprowadzić Rohirrimów na południe. . . Tylko to Zwierciadło. . . Czyżby ten pięknoduch Saruman miał wtedy rację? Nie, lepiej o tym nie myśleć. Jakkolwiek się to wszystko potoczy — odwrotu już nie ma A ten tropiciel-Dunadan, jak mu tam. . . Aragorn? Aragorn? Ciekawe do czego potrzebny jest elfom?

A tymczasem wojna na południu ogarniała płomieniem coraz więcej ziem i narodów. Oczywiście, przemieszczeń na taką skalę jakie wszczął Mordor, nie da się ukryć przed wywiadem przeciwnika. I to nawet gdyby ten nie dysponował Zwierciadłem. Gondor również zaczął ściągać do Minas Tirith wojska swych sojuszników z Anfalas, Ethir, Dol Amroth, jednakże Mordor rozwinął swe siły wcześniej. Z powodzeniem wykonawszy uderzenie na północy — ogólnie kierując się na Lorien i dalej na Esgaroth — i związawszy tam podstawowe siły elfów, mordorska armia uderzyła całą mocą na Gondor.

Osgiliath zostało wzięte z marszu. Sześć dni później zwycięska Armia Południe, odrzuciwszy i rozproszywszy przeważające ją liczebnie oddziały gondorskie, stanęła z całą swą mocą obleźniczą pod murami Minas Tirith, miasta, które ostatecznie nie zdążyło przygotować się do obrony. Pelennorskie szańce zostały wcześniej wzięte po kilkugodzinnym szturmie. I gdy w komnatach Denethora nagle odżył palantir, a Sauron zaproponował zawarcie natychmiastowego pokoju w zamian za uznanie przez Mordor prawa do ograniczonego wojskowego kontyngentu w Ithilien, król Gondoru od razu się zgodził, słusznie uważając, że udało mu się wymienić kurczaka na cielaka. Ale potem zaczęło się dziać coś całkowicie niezrozumiałego.

Następnego dnia w Sauronowym palantirze pojawił się człowiek w białym płaszczu, który przedstawił się jako Mithrandir wojskowy komendant Minas Tirith. Podpisanie pokoju, niestety, przyjdzie im odłożyć na kilka godzin, ponieważ król Gondoru niespodziewanie zaniemógł. Dlaczego pertraktacji nie prowadzi Faramir? Och, książę dosłownie walczy o życie — rany poniesione w boju od zatrutej strzały. . . Co to znaczy? Jak to? Czyją?! Mordorska armia w ogóle nie używa zatrutych strzał? Hm. . . Szczerze mówiąc, to nie jestem wprowadzony w całość zagadnienia. . . A książę Boromir niestety od kilku miesięcy uważany jest za zabitego gdzieś na północy. Jednym słowem, trzeba poczekać jakiś tydzień, póki król nie zwalczy choroby. . . tak, tak, to zwyczajna formalność. . .

I Mordorczycy zaczęli czekać. Wojna wygrana, wkrótce pójdziemy do domów; wiadomo, dyscyplina — rzecz święta, ale z okazji zwycięstwa, dlaczego nie? Co? W końcu, gdyby Isengard padł, a Rohirrimowie zawrócili na południe, Saruman natychmiast ich o tym powiadomi, tak więc — w najgorszym przypadku — czasu na przygotowanie do bitwy będzie aż nadto dużo. . . Gdybyż wiedzieli, że palantir Sarumana milczy tylko dlatego, że Grima, który dawno już temu

przeszedł na stronę zwycięzców, zabrał go ze sobą jako wiano, a armia Rohanu znajduje się zaledwie o trzy dni marszu.

## 7

### **Gondor, Pola Pelennoru 15 marca 3019 roku**

Mordorczycy pojęli, że zostali oszukani dopiero wtedy, gdy na północnym skraju śnieżnobiałego mglistego pledu pokrywającego Pola Pelennorskie zaczął się rozlewać bury kleks rohańskiego wojska, a z otwartej bramy Minas Tirith wypłynął strumień gondorskich wojowników, którzy natychmiast nieruchomieli ustawieni w bojowy szyk. Wściekłość potroiła siły oszukanych „zwycięzców”. Runęli na Gondorczyków z taką zaciekłością, że tamci zmuszeni byli uciekać, jeszcze zanim zbliżyli się Rohirrimowie, i niemal wpuścili przy tym Mordorczyków do miasta. Zmęczona długim marszem pancerna jazda Rohanu nie popisała się, jak na to liczone: okazało się, że jest dość mało mobilna, i lekka jazda orokuenów spokojnie zasypała ją tysiącami strzał, z łatwością uchylając się od bezpośredniego starcia. I mimo, że mordorska Armia Południe niemal dwukrotnie ustępowała przeciwnikowi pod względem liczebności, i na dodatek została zaskoczona, to szala zwycięstwa zaczęła wyraźnie przechylać się na jej stronę.

W tym momencie na tyłach Mordorczyków, na południowo-wschodnim skraju Pól Pelennoru, pojawiły się nowe formacje wroga, dopiero co wysiadłe na brzeg z okrętów, które przyplęły Anduiną. Desant ów nie był liczny, i mordorski dowódca nie przywiązywał wagi do pierwszych panicznych raportów oznajmiających, że „ich nie można zabić!” Bój wrzał w najlepsze i nasilał się. Na północnym skraju pola łucznicy z Umbaru i znakomicie manewrująca jazda orokuenów skutecznie wstrzymali działania rohańskich pancernych. Na zachodnim polu bojowe mumakile Haradrimów ponownie przewaliły się przez gondorską piechotę i rozproszyły ją, a oddziały inżynieryjne w ciągu dziesięciu minut rozbiły najprawdopodobniej mithrilową bramę i zaczęły prowadzić z katapult bombardowanie wewnętrznych umocnień. I tylko na południowym wschodzie działo się coś niedobrego: oddziały, które wysiadły z okrętów, parły do przodu niczym rozgrzany nóż przez masło. Kiedy dowodzący Armią Południe osobiście pojawił się na tym odcinku, oczom jego ukazał się taki oto obraz:

Po polu w całkowitym milczeniu wolno przemieszczała się falanga składająca

się z sześciu szeregów, mniej więcej po stu ludzi w każdym. Wojownicy, odziani w szare płaszcze z opuszczonymi na twarze kapturami, byli uzbrojeni tylko w długie, wąskie elfickie miecze. Żaden nie miał na sobie zbroi ani hełmu, nie mieli nawet tarcz. W obliczach wojowników pierwszego szeregu było coś dziwnego i dowódca potrzebował kilku sekund zanim zrozumiał, co go niepokoi: żołnierze owi byli dosłownie naszpikowani umbarskimi trzystopowymi strzałami, ale i tak maszerowali jak gdyby nigdy nic... Maszerującymi szarymi, trzymając się za ich plecami, dowodził jeździec w hełmie ze szczelnie opuszczoną przyłbicą, odziany w znoszony maskujący płaszcz dunedaińskiego tropiciela. Słońce stało już niemal w zenicie, ale jeździec rzucał długi, smoliścieczarny cień, a jego falanga nie rzucała cienia w ogóle.

Dowódcy Armii Południe zameldowano tymczasem, że szyk tych wojowników nie daje się złamać ani uderzeniem jazdy, ani bojowych mumakili; zwierzęta na ich widok wpadają w taki popłoch, że nie dają się zupełnie prowadzić. Niepokonana falanga natomiast kontynuowała przemarsz na północny zachód — na szczęście dość wolno i dokładnie po linii prostej. Pancerne piechocie trolli udało się nieznacznie spowolnić jej ruch, a w tym czasie farmacja inżynieryjna zdołała przeciągnąć na miejsce dwie baterie polowych karapult. Plan głównodowodzącego był precyzyjny: w dokładnie wyliczonej przez niego chwili falanga znalazła się w obszernym zapadlisku, i wtedy ustawione na jej grzbiecie katapulty otworzyły huraganowy ogień z uprzednio wyliczonych dystansów i pod odpowiednimi kątami. Pojemne na trzy wiadra naczynia z naftą w mgnieniu oka zmieniły zapadlisko w rzygający ogniem wulkan. Zwycięski okrzyk Mordorczyków uleciał pod kopułę zimnego marcowego nieba.

Uleciał i natychmiast opadł, ponieważ z pękających czarno-pomarańczowych pęcherzy naftowego płomienia ponownie pojawiły się maszerujące szeregi szarych wojowników. Płaszcze ich tliły się i dymiły, a na niektórych nawet płonęły jaskrawym płomieniem. Tak samo płonęły drzewca tkwiących w nich strzał. Oto jedna z tych żywych pochodni — czwarty od prawej w pierwszym szeregu — nagle znieruchomiał i zaczął rozpadać się na kawałki, wzbijając w powietrze wielki snop iskier. Sąsiedzi jego natychmiast zwarli szereg. Widać było, że bombardowanie nie pozostawiło falangi bez strat: w centralnej części zapadliska, na którą skierowane było podstawowe uderzenie, widniało co najmniej pięćdziesiąt takich dymiących stosików węgla; niektórzy jednak, mimo że płonęli, usiłovali wstać i maszerować dalej.

Głównodowodzący gwałtownie uderzył pięścią w łęk siodła — zaraz ból spowoduje, że wróci do realnego świata i w budzącym się mózgu w ciągu kilku minut stopnieją blednące plamy tego nocnego koszmaru... Gówno! Jak i poprzednio stoi na skraju wypalonego zapadliska na Polach Pelennoru, a jego wojownicy, gotowi iść za nim w ogień i wodę, zaraz rzucają się do bezładnej ucieczki, ponieważ to, co się dzieje, zupełnie nie podlega ich technicznemu rozumowaniu. Wtedy,

nie zastanawiając się dłużej, uniósł nad głową jatagan i z grzmiącym okrzykiem: „Mordor i Oko!!!” pchnął swego argamaka w cwał, omijając szary szyk wojowników z jego prawej strony, ponieważ właśnie tu przeniósł się z jakiegoś powodu Dunadan w hełmie z opuszczoną przyłbicą.

Gdy głównodowodzący Armią Południe zbliżył się do falangi, koń jego nagle zarżał i, wspiąwszy się na tylne nogi, omal nie wyrzucił go z siodła. Dopiero teraz udało mu się dokładnie przyjrzeć wrogim wojownikom i zrozumiał, że liczni dzisiejsi „panikarze” nie łgali. Rzeczywiście miał przed sobą ożywionych zmarłych: szlachetne pergaminowe mumie ze starannie zaszytymi oczami i ustami; straszliwie wzdęci, oblepieni zielonkawym, sączącym się z otworów śluzem topielcy; szkielety w strzępach poczerńiałej skóry, przyczyny śmierci których nie odkryłby żaden anatomopatolog. Martwi odwrócili się do niego i ciszę zakłócił niezbyt głośny, mrozący duszę dźwięk: tak charczy owczarek, zanim rzuci się na wroga i wczepi się w gardło. Głównodowodzący jednakże po prostu nie miał czasu na strach, gdyż od prawego tylnego skraju falangi już oderwało się z dziesięciu szarych wojowników, wyraźnie zamierzających odciąć mu drogę do znieruchomiałego Dunadana. Nie namyślając się długo, uderzył ostrogami swego konia.

Szeregi martwiaków przebył z zadziwiającą łatwością: okazało się, że są mało zwrotni i w walce jeden na jednego nie są groźni dla wojownika z jego umiejętnościami. Wisielec ze sterczącym na zewnątrz językiem i wytrzeszczonymi, na poły wypływającymi gałkami ocznymi, ledwo zdążył unieść miecz, gdy głównodowodzący błyskawicznym skrzętem kiści w płaszczyźnie poziomej przeciął nadgarstek trzymającej broń ręki, po czym starannie rozciął go niemal na dwie połowy — po skosie od prawego ramienia w dół. Pozostali nie wiadomo dlaczego rozsunęli się na boki, nie usiłując go nawet zatrzymać. Dunadan zaś wyraźnie szacował — walczyć czy uciekać, ale w końcu podjął decyzję i, obnażywszy elficki miecz, zaczął się przygotowywać do starcia. Ach, to ty tak... Cóż, nie chcesz konno — niech ci będzie. Wykrzyknąwszy tradycyjne: „Broń się, szlachetny panie!”, dowódca Armii Południe zeskoczył z konia. Przez głowę przemknęła mu myśl, że przeciwnik jego raczej nie zasługuje na określenie „pan”. Falanga tymczasem odeszła już na jakieś sto jardów i wciąż oddalała się; siedmioro martwiaków znieruchomiało w pewnej odległości, nie spuszczać swych niewidzących oczu z pojedynekowiczów. Nastąpiła martwa cisza.

W tej samej chwili głównodowodzący z niespodziewaną, zaskakującą nawet jego samego wyrazistością, uświadomił sobie, że ten pojedynek zadecyduje o losach nie tylko dzisiejszej bitwy, ale o wielu, wielu latach całego Śródziemia. I oprócz tego wewnętrzny głos z jakąś dziwnie błagalną intonacją wypowiedział: „Póki nie jest za późno — przemyśl położenie! Proszę cię, przemyśl!” Miał wrażenie, że głos ten starał się go ostrzec i nie wiedział jak. Ale przecież wszystko jest przemyślane! Obaj mają lekkie zbroje, a w takim układzie wygięty jatagan zawsze jest o sto punktów przed prostym zachodnim mieczem; przeciwnik mań-

kutem chyba nie jest, nie przewiduje więc żadnych niespodzianek. Oczywiście, konno byłoby lepiej, ale nie bądźmy małostkowi. . . Co tu jeszcze jest do myślenia? Jak to się mówi: „Nalewaj do dna!”

Dunadan czekał, stojąc nieruchomo, i z niewiadomego powodu nie usiłował manewrować; kolana miał nieco ugięte, pionowo uniesiony miecz trzymał obiema rękami, rękojeść na wysokości pasa. Cała niedawna pewność siebie głównodowodzącego wyparowała. Szybko skrócił dystans do siedmiu kroków, zbliżył się niemal na styk do promienia pełnego wypadu przeciwnika z Północy, i zaczął wykonywać zwody: w prawo, w lewo. Potem wykonał swój ulubiony mylący manewr — błyskawicznie przerzucił jatagan w powietrzu z prawej ręki do lewej — i z powrotem. . .

Straszliwie mocne uderzenie w plecy cisnęło nim o ziemię. Mimo wszystko udało mu się przekrócić na bok. „Kręgosłup cały. . .” Podniósł głowę i z obojętnością obserwatora, a nie uczestnika, skonstatował: „Tak, nie doceniałem ich. . . okazuje się, że martwiaki mogą poruszać się bardzo szybko, a co najważniejsze — bezszelestnie. . . Gady z Północy”. Dziwne, ale udało mu się przykleknąć na jedno kolano i oprzeć na jataganie jak na lasce. Otaczający go już ze wszystkich stron ożywieni wojownicy, zatrzymali się z uniesionymi mieczami w oczekiwaniu na komendę tropiciela. Ten jednakże, nie spieszył się: przesunął hełm na tył głowy i, żując słomkę, z zainteresowaniem przyglądał się pokonanemu wrogowi. Potem w ciszy rozległ się jego głosny, spokojny głos:

— Witam, dowódco Armii Południe! Wiedziałem, że przybędziesz walczyć jeden na jednego, jak to u was, szlachetnych, przyjęte. — Jego wargi wykrzywił pogardliwy uśmiech. — Obawiałem się tylko jednego: że nie zejdziesz z konia, moim śladem. Gdybyś został w siodle wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. . . Cieszę się, że mnie nie zawiodłeś, „szlachetny panie”.

— Zwyciężyłeś, uciekając się do oszustwa.

— Głupcze! Przyszedłem tu, by wygrać wojnę i gondorską koronę, a nie jakiś durny pojedynek. Tulkas mi świadkiem — wiele razy bawiłem się ze śmiercią w chowanego, ale zawsze chodziło mi o wynik, a nie o samą zabawę.

— Zwyciężyłeś podstępem — powtórzył głównodowodzący, tłumiąc kaszel; krew z przebitych płuc wolno wypełniała jego usta. — Nawet rycerze Zachodu nie podadzą ci więcej ręki.

— Oczywiście, że nie podadzą — roześmiał się Dunadan. — Ponieważ będą klęczeli przed nowym królem Gondoru. Zwyciężyłem w uczciwej walce, jeden na jednego — tak w każdym razie będzie zapisane we wszystkich kronikach. A po tobie nie zostanie nawet imię. Zatrąszczę się o to. Albo, wiesz co? — Znieruchomiał w pół słowa, szukając strzemienia. — Możemy zrobić to jeszcze ciekawiej: zapiszemy, że zabił cię karzełek, o-oo, takie małe coś. . . z owłosionymi łapkami. Albo baba. . . Tak, tak właśnie zrobimy.

Kończąc przemowę, wskoczył w siodło i, wykonawszy krótki ruch do swoich

wojowników, ruszył za oddaloną już dość znacznie falangą. Tylko raz się odwrócił z niezadowoleniem — doganiają go już, czy nie? Ci jednak, ciągle jeszcze stali w tym samym miejscu, zgrupowani w kręgu, a ich miecze wznosiły i opadały, niczym chłopskie cepy.



## 8

A bitwa tymczasem toczyła się swoim torem. Mordorskie oddziały rzeczywiście drgnęły i rozstępowały się przed szykiem martwiaków bez walki, jednakże w południowo-wschodniej części pola nie znalazły się inne oddziały koalicji Zachodniej, które mogłyby wdrzeć się w wykonany przez Aragorna wyłom. Na dodatek potyczka przy zapadlisku wykazała, że nie można szarych uważać za „niepokonanych”: niezwykle trudno jest je zabić, ale jednak można. A tymczasem falanga bez przywódcy maszerowała przed siebie póki przez czysty przypadek nie zaszła w strefę dalekosiężnych stacjonarnych katapult przeznaczonych do ostrzału cytadeli Minas Tirith. Mordorscy inżynierowie nie stracili głowy i natychmiast otworzyli ogień zapalającymi naftowymi pociskami — ale nie naczyniami o pojemności trzech wiader, a beczkami na czterdzieści wiader. Pożerana przez straszliwe słupy ognia, nie widząc przeciwnika, który walił z osłoniętych pozycji, falanga tępo parła do przodu, z każdym krokiem wkraczając coraz dalej w strefę skutecznego rażenia, tak że gdy dopadł ich na spienionym koniu Aragorn i nakazał natychmiastowy odwrót, formacja musiała tę śmiertelną drogę przebyć raz jeszcze.

Tym razem straty były tak duże, że Dunadan postanowił, póki jeszcze nie jest za późno, przebijać się do sił głównych, na zachód, co zresztą, nie okazało się sprawą prostą. Orokuieńska jazda otaczała nieźle przetrzepaną falangę niczym piranie, po mistrzowsku wyszarpywała martwiaki z szeregów — szczególnie z tylnych — odciągała na bok i tam metodycznie rąbała na drobne kawałki. Usiłując odbić schwytanych towarzyszy, szarzy wojownicy łamali swój szyk, co dodatkowo pogarszało ich i tak kiepskie położenie. W tym momencie należy uznać zasługi Aragorna. Potrafił on odtworzyć zwarty szyk i, odgryzając się krótkimi kontratakami, doprowadził mimo wszystko swoich wojowników do gondorskich pozycji, po drodze osobiście ściągwszy dwóch mordorskich oficerów. Okazało się jednak, że ostatnie sto pięćdziesiąt jardów musieli ponownie pokonywać pod ogniem polowych katapult. Ostatecznie do Gondorczyków przebiło się — niemal spowodowany ucieczką własnych sojuszników — tylko kilkudziesięciu ożywionych wojowników.

Tak więc, szara falanga Aragorna praktycznie została wybita, jednakże swoje

zadanie spełniła. Przykuwając uwagę, odciągnęła znaczne siły Mordoru, a przede wszystkim ich katapulty, bez których nie udałoby się zdobyć wewnętrznych umocnień Minas Tirith. Ważniejsze jednak było co innego: po śmierci dowódcy Armia Południe dała się wciągnąć w walkę „łeb w łeb”, na wzajemnie wyniszczenie — wariant, który przy liczebnej przewadze przeciwnika z góry skazany był na przegraną. Tym niemniej. Mordorczyści walczyli umiejętnie i rozpaczliwie. Marcowy dzień chylił się ku końcowi, a koalicja nie mogła wykorzystać swej niemal dwukrotnej przewagi. Najważniejsze wydarzenia rozgrywały się na terenach w kierunku północnym, gdzie pancerni trolle i umbarscy łucznicy, pomimo olbrzymich strat, nie pozwolili Rohirrimom wdrzeć się na swoje pozycje obronne.

\* \* \*

Eomer wolno jechał wzdłuż szyku rohańskiej i dolamrodzkiej jazdy, dopiero co wycofanej po kolejnej, już czwartej tego dnia nieudanej próbie ataku. Zresztą, określenie „szyk” niezbyt wiernie oddawało rzeczywisty widok — ponure zbiorowisko koni i jeźdźców, z których część była ranna, a wszyscy śmiertelnie zmęczeni. Eomer usiłował wyprostować przyłbicę swojego hełmu, wgiętą po uderzeniu haradrimskiej maczugi, gdy zameldowano mu, że w ostatniej potyczce między innymi padł również Theoden. Po zwycięskim isengardzkim pochodzie starzec ubzdurał sobie, że Eomer na pewno wykorzysta przyszłą sławę zwycięzcy Mordoru i pozbawi korony swego króla, a żeby do tego nie dopuścić należy trzymać młodzieńca pod stałą kontrolą. Z tego powodu król sam dowodził podczas rohańskiej wyprawy na południowy wschód, a przed samą bitwą w ogóle odsunął popularnego dowódcę od kierowania oddziałami. Król postanowił, że sam zwycięży w tej bitwie, bez, jak to określił, „smarkaterii” i, nie słuchając niczyich rad w dziedzinie taktyki, wykończył w bezsensownych atakach czołowy kwiat rohańskiego wojska, a teraz zginął również sam.

Eomer przejął dowodzenie. Przyglądał się ponurym szeregom Rohirrimów, marznących w przenikliwym marcowym wietrze. Czuł się jak lekarz, któremu łaskawie pozwolono zacząć leczyć, gdy chory wpadł już w śpiączkę. Najbardziej denerwowało go to, że armia Mordoru znajdowała się w takim samym, albo i gorszym stanie; doświadczenie i bezbłędne wyczucie stratega podpowiadały mu, że w tej chwili jedno błyskawiczne uderzenie może zdecydować o wyniku bitwy. Wyraźnie widział słabe punkty w obronnych pozycjach przeciwnika, dokładnie wyobrażał sobie, gdzie należy uderzyć i jak je rozwinąć, by osiągnąć powodzenie ciosu. Ale wiedział też coś innego: nie ośmielił się w tej chwili wydać swoim ludziom rozkazu „Naprzód!” Jest takie żelazne prawo: rozkaz można wydać tylko

wtedy, jeśli jest się pewnym, że będzie wykonany, ponieważ inaczej runą podstawy, na których opiera się armia. A tych żołnierzy — czuł to z niezachwianą pewnością — nie da się już dzisiaj poderwać do ataku, rozkazy nie miały zatem sensu.

I wtedy zatrzymał konia. Kazał wszystkim zsiąść z wierzchowców — żeby samemu być lepiej widocznym — i zaczął taką oto, dość dziwną, jak na wojownika mowę:

— Wszyscy jesteśmy śmiertelni, chłopcy. Jedni umierają trochę wcześniej, inni trochę później — co to, cholewa, za różnica? Według mnie, ciekawsze nawet od życia jest to, co się z nami stanie potem. Pewnie już zdecydowaliście — dowódca nasz zupełnie ześwirował, znalazł sobie czas, żeby pogadać o życiu pozagrobowym. Ja jednak uważam, że akurat jest najlepszy czas. Kiedy jeszcze? Wszak jesteśmy ludźmi prostymi: „Jak w lesie żyję, to miód piję!” Skoro żyję, skoro udało się — to i nie będę o tym myślał aż do następnego razu... A opinie, chłopcy, są różne, ale co do jednego jakby zgadzają się wszyscy: tam każdy powstanie według swojej wiary. Jednym słowem, jeśli ktoś myśli, że oto zgniło jego ciało i nic już na Świecie nie zostało, prócz garstki pyłu, to właśnie tak z nim będzie. W innych wiarach są i gorsze rzeczy: będziesz na przykład do utraty tętna w postaci cienia szwendać się po podziemnym królestwie! Ale jeśli ja mam tak żyć, to już rzeczywiście, w cholewę, lepiej zgnieć wraz z cielesną powłoką. Niektórzy zamierzają do końca czasu leżeć na zielonej trawce i w cudownym sadzie pić boski nektar i grać na lutni. Nieźle to, ale — jak na mnie — nudne trochę. Ale jest, chłopcy, we Wschodnich krajach wspaniała wiara, o której opowiedział mi kilka dni temu pewien wędrowny kaznodzieja. To znaczy — wiara sama w sobie jest fajna, serio mówię, ale tamtejszy raj... To jest właśnie coś dla mnie!

Rozejrzał się — niby słuchają — i ciągnął:

— Niebiańskie komnaty, w nich uczta — nie zrówna się z nią żaden królewski ślub! Wina jak ze skarbcza, ale gwóźdź programu chłopcy, to hurysy! Dziewczyny, które zawsze mają osiemnaście lat, a uroda ich jest nie do opisania... O tym może się każdy przekonać dokładnie, ponieważ jedynym ich odzieniem jest złota bransoletka. No, a co do sztuki kochania, to na ziemi takich doskonałych kochanek nigdy nie było! Lecz jest jeden problem: droga do tych komnat rozkoszy stoi otworem tylko przed ludźmi, którzy przeżyli sprawiedliwe i bezgrzeszne życie. Mnie z wami — rozłożył ręce — nawet blisko nie puszcza... .

Przez szeregi przemknęło słabe, ale wyraźne drżenie, zrodził się i zmarł szmer niezadowolenia, ktoś splunął głośno — tu też kant!

Ale Eomer podniósł rękę i ponownie nastała cisza, zakłócana tylko cichym szelestem ubiegłorocznej trawy.

— Dokładnie rzecz ujmując, nie puściliby, ale jest pewna furtka dla takich jak my, popaprańców. W tej wspaniałej religii każdemu, kto z honorem zginął w bitwie o słuszną sprawę — a kto ośmielił się stwierdzić, że nasza sprawa nie jest

słuszna? — wszystkie grzechy zostają odpuszczone i automatycznie zostaje on przypisany do grona ludzi cnotliwych. Tak więc, jeśli ktoś postanowił wejść do tego rajy drogą przyszłego bezgrzesznego życia — sztandar wam w ręce i wio, chłopy! Ja osobiście na takie coś nie mam nadziei, dlatego więc zamierzam dokonać znajomości z hurysami tu i teraz, jako ten, który zginął honorowo. Kiedy jeszcze pojawi się taka szansa? Tak więc zapraszam ze sobą każdego, kto może i chce, a pozostali — zostańcie na zdrowie!

Uniósł się w strzemiach i głosem grzmiącym jak grom zawołał gdzieś w górę, przyłożywszy do ust nabijaną metalem rękawicę:

— Hej, dziewczyny!!! Otwierajcie wasz niebiański burdel, choć jest już po godzinach! Przygotujcie się na przyjęcie trzech najlepszych pułków rohańskiej kawalerii. Stawiam swą głowę przeciwko złamanej strzale, że tych klientów nie zapomnicie do starości. Czas nam do ataku, tak więc będziemy tam u was na niebiesiach za jakieś dziesięć minut. Akurat macie czas się podmyć!

I stał się cud. Ludzie zaczęli otrząsać się z nieruchawości! W szeregach dał się słyszeć śmiech i wyszukane przekleństwa; z prawej flanki ktoś zapytał czy można od hurysy złapać trypra, a jeśli tak, to czy długo go leczą w tym rajy? Tymczasem do Eomera zbliżył się dolamrodski książę Imrahil — urodziwy młodzian z czarnym wąsem, znany ze swych miłosnych wyczynów — i rzucił do młodziutkiego, purpurowego ze wstydu kawalerzysty, zamykającego lewą flankę:

— Nie wstydz się, kornecie! Znający się na sprawie ludzie twierdzą, że w tej instytucji można znaleźć piękność dla każdego. Ciebie tam pewnie wypatruje tabun romantycznych pańienek, które czekają tylko na wiersze przy księżycu!

Młodzian, słysząc salwę śmiechu, poczerwieniał jeszcze bardziej i błysnął oczami spod długich, dziewczęcych rzęs. Eomer tymczasem zawrócił wierzchowca tak energicznie, że spod kopyt trysnęły grudy ziemi i machnął ręką.

— Na koń, chłopy! Tamtejsza burdelmama już pewnie posłała po najlepsze wino dla nowych klientów. Klnę się na rehot Tulkasa — każdy dziś otrzyma tyle nurneńskiego, że będzie mógł się w nim utopić, jedni w niebiesiach, a inni na ziemi! Zabitych ugoszczą Valarowie, żywych — król Rohanu. Za mną-a-ą...!!!

Z tymi słowy cisnął za plecy pogięty hełm i, nie oglądając się już więcej, skierował wierzchowca w kierunku, jaki wypatrzył jego bystry wzrok — tam, gdzie w niepokonanej palisadzie pancernej piechoty trolli widać było malutką plamkę innego koloru — ciemne okrągłe tarcze wastackich włóczników. Wiatr świstał w uszach i tarmosił jego sklezione od potu włosy koloru słomy; obok niego, niemal strzemię w strzemię pędził Imrahil.

— Diabli by to wzięli, książę, nałóż hełm. Z prawej mamy łuczników!

— Dopiero po was, szlachetny panie! — wyszczerzył zęby tamten i zakręciwszy mieczem młynka nad głową, wykrzyczał zachrypniętym od wydawania rozkazu głosem: — Dol Amroth i Łabędź!

— Rohan i Biały Koń! — odpowiedział Eomer, a za ich plecami już rozrósł

się we wspaniałe *stacatto* jednolity grzmot tysięcy kopyt: rohańscy i dolamrodscy jeźdźcy ruszyli do ostatniego ataku — po zwycięstwo lub śmierć.

## 9

Wiadomo powszechnie, że piechota Wastaków to nie trolle — po uderzeniu Eomera Wastakowie rozlecieli się niczym kręgle i połyskujący klin jazdy Zachodu z chrzęstem przełamał pancerze mordorskiego obronnego szyku. Nieco później w tyły Mordorczyków uderzył inny klin — ostrze resztek szarej falangi Aragorna zamknięte w oprawę z gondorskich pancernych. Około szóstej wieczorem kły te zamknęły się na ciele Armii Południe, blisko jej obozu. Na tym bitwa jako taka zakończyła się, a zaczął się pogrom: olbrzymie ognisko powstałe w miejscu parku techniki oblężniczej, wychwytywało z gęstniejącego zmierzchu a to ugrzęzły w błocie orokueński wózek z rannymi, a to naszpikowanego strzałami mumaka, miotającego się po polu i gniotącego swoich oraz cudzych.

Eomer, który w tym zwycięskim bałaganie natknął się na Aragorna, i przy akompaniamencie radosnych okrzyków ceremonialnie obejmował swego współtowarzysza-dowódcę, zauważył pędzącego ku niemu jeźdźca — owego nieśmiałego korneta. Chłopak, uczciwie mówiąc, był zuchem — śmiało można go było podać do nagrody. Gdy Rohirrimowie spotkali w pobliżu mordorskiego obozu resztki jazdy Południowców, zetknął się z porucznikiem Haradrimów i, ku ogólnemu zdziwieniu, zwał z siodła czarnoskórego giganta i zerwał z niego purpurową pelerynę ze Smokiem — tę właśnie, którą teraz triumfalnie machał nad głową. Kornet stanął o dziesięć kroków od po ojcowsku przyglądających mu się wodzów, zerwał hełm, potrząsnął głową jak narowisty konik, i po ramionach jego niespodzianie rozsypały się włosy — wyzłocona przez wieczorne słońce ostonica rohańskich stepów.

— Eowina! — jęknął Eomer. — Co za diabelstwo...

Młoda wojowniczką pokazała mu w odpowiedzi język i niedbale cisnąwszy haradrimską pelerynę bratu — ten, oszołomiony znieruchomiał, przyciskając trofeum siostry do piersi — zatrzymała się przed Aragornem.

— Witaj, Ari — powiedziała spokojnie, ale tylko Nienna potrafiłaby określić cenę tego spokoju. — Gratuluję zwycięstwa. Teraz wszystkie te uniki o „wojskowej służbie”, jak rozumiem, straciły moc. I jeśli więcej nie jestem ci potrzebna, powiedz to po prostu teraz: klnę się na gwiazdy Vardy, że natychmiast przestanę zatruwać ci życie.

„Jak mogłaś tak pomyśleć, moja piękna amazonko!” — i oto siedzi już w siodle przed nim, wpatruje się w niego lśnącymi ze szczęścia oczami, paple coś, a potem spokojnie całuje przy całym wojsku — ale też rohańskie dziewczyny w ogóle nie szanują południowych zwyczajów, a bohaterka Bitwy na Polach Pelennoru ma je w ogóle gdzieś... A Eomer patrzy na tę idyllę, chmurzy mu się oblicze, i myśli: „Kretynko, przetrzyj oczy, przecież on ma na pysku wypisane, kim dla niego jesteś i kim on jest dla ciebie! Dlaczego, och, dlaczego te idiotki zawsze trafiają na takich łajdaków — żeby przynajmniej był urodziwy...” — zresztą, nie on pierwszy i nie on ostatni w tym Świecie, a i w innych światach też...

Głośno, rzecz jasna, nic nie powiedział, zapytał tylko:

— Pokaż, co ci się stało w rękę.

Kiedy zaś zaczęła się popisywać, że po pierwsze, jest pełnoletnia i sama sprawdzi, a po drugie, to nawet nie jest draśnięcie, i takie tam... — wtedy ryknął na nią z całej duszy tak, że aż przysłoniła uszy, a potem w słowach energicznych i dosadnych opisał bohaterce Pelennoru, co się z nią stanie, jeśli na słowo „trzy!” nie znajdzie się w punkcie opatrunkowym. Eowina, roześmiewszy się, odparowała: „Tak jest mój kapitanie!”, i tylko widząc jej nienormalną ostrożność, z jaką zsuwała się z siodła, zrozumiał: „Och, nie draśnięcie to jest...” Dziewczyna tymczasem już przylgnęła do ramienia brata. „No, Eomeczku, no, nie dąsaj się, proszę cię. Jeśli chcesz możesz mnie zlać, tylko nie skarż cioteczce”. Potarła następnie nosem o jego policzek, jak w dzieciństwie... Aragorn z uśmiechem przyglądał się tej scenie, i Eomer aż drgnął przechwyciwszy na mgnienie oka wzrok tropiciela: właśnie tak patrzy łucznik na chwilę przed wypuszczeniem z palców cięgiwy.

Znaczenie tego spojrzenia zrozumiał dopiero następnego dnia, kiedy, szczerze mówiąc, było już za późno. Tego dnia w namiocie Aragorna zebrała się rada wojenna z udziałem Imrahila, Gandalfa-Mithrandira i kilku elfickich wodzów — ich armia nadeszła w nocy, akurat gdy można było spokojnie już cieszyć się ze zwycięstwa. Podczas tej rady Dunadan bez owijania w bawełnę wyjaśnił następcy rohańskiego tronu — a teraz już niemal królowi — że od dziś jest on nie sojusznikiem, a podwładnym, i życie Eowiny, znajdującej się pod specjalną ochroną w szpitalu Minas Tirith, całkowicie zależy od rozsądku brata.

— O, najdroższy Eomer, bez wątpienia może, nie ruszając się z miejsca, przebić mnie mieczem, a potem nacieszyć oko, widząc w tym palantirze, co się stanie z jego siostrą. Widowisko będzie nie dla nerwowych. Nie, ona sama rzecz jasna nic nie podejrzewa, proszę się samemu przekonać, jak rozczulający jest ten widok, gdy pomaga opiekować się rannym księciem Faramirem. Co? Gwarancje? Gwarancją jest zdrowy rozsądek: od chwili, gdy zajmę tron Odrodzonego Królestwa Gondoru i Arnoru nikt mi po prostu nie będzie zagrażał...

W jaki sposób? A w bardzo prosty. Król Gondoru, jak wiadomo, zginął. Tak, tak, straszna tragedia — zmaćcił mu się rozum i sam siebie spalił na pogrzebo-

wym stosie, wyobraźcie sobie... Książę Faramir został raniony zatrutą strzałą i wydobrzeje nieprędko, jeśli w ogóle wyzdrowieje. To zależy... hm... od wielu czynników. Książę Boromir? Niestety, nie ma na to nadziei — padł w boju z orkuenami nad Anduiną za wodospadami Rauros, a ja własnoręcznie ułożyłem jego ciało na pogrzebowej łodzi. A ponieważ trwa wojna, ja, jako następca Isildura, nie mam prawa zostawiać kraju bez władcy. Tak więc przyjmuję dowodzenie nad armią Gondoru i w ogóle wszystkimi siłami zbrojnymi koalicji Zachodniej... Coś chciałeś powiedzieć, Eomerze? Nie?

Tak więc, natychmiast zaczynamy wyprawę na Mordor. Koronę Gondoru mogę przyjąć dopiero wróciwszy ze zwycięskiej wyprawy. Co do Faramira, to jestem skłonny oddać mu we władanie jedną z gondorskich ziem — na przykład Ithilien. Wszak, szczerze mówiąc, zawsze bardziej go interesowały poezja i filozofia, niż sprawy zarządzania państwem. Ale nie trzeba sięgać domysłami aż tak daleko: w tej chwili stan zdrowia księcia jest krytyczny, i może on po prostu nie dożyć naszego powrotu. Módl się więc bez przerwy o jego zdrowie przez cały ten czas, który spędzimy na wyprawie, najdroższy Imrahilu. Powiadają, że modły najbliższego przyjaciela mają w oczach Valarów szczególną wartość...

Kiedy wyruszamy? Natychmiast, jak tylko zdławimy pod Osgiliath resztki Armii Południe. Są pytania? Pytań nie ma.

A gdy namiot opustoszał, stojący obok Aragorna człowiek w szarym płaszczu rzekł z przepelnionym szacunkiem wyrzutem:

— Niepotrzebnie tak ryzykowałeś, Wasza Wysokość. Przecież ten Eomer był, tak uważam, w szale — całkiem zwyczajnie mógł kichać na wszystko i uderzyć...

Tropiciel nieco odwrócił głowę i wycedził przez zęby:

— Jak na pracownika tajnych służb jesteś przesadnie gadatliwy, a po drugie, niespecjalnie spostrzegawczy.

— Moja wina, Wasza Wysokość... Kolczuga z mithrilu pod ubraniem?

Ironiczne spojrzenie Aragorna przemknęło po szczupłym obliczu mówiącego, zatrzymało się na szeregu dziurek okalających jego wargi. Jakies pół minuty trwała cisza.

— Już myślałem, że dorobiłeś się odleżyn na mózgu w tym swoim grobowcu i jeszcze zaczniesz się dopytywać, skąd ją mam... A przy okazji. Zawsze zapominam zapytać, po co zaszywają wam usta?

— Nie tylko usta, Wasza Wysokość. Uważa się, że wszystkie otwory w ciele mumii powinny być szczelnie zamknięte, bo inaczej dusza, która odleciała w chwili śmierci, po czterdziestu dniach wróci do ciała, a ono zacznie się mścić na żywych.

— Dość naiwny sposób... kontracepcji...

— Tak jest, Wasza Wysokość — szary pozwolił sobie na uśmiech. — Na szczęście, jestem tego żywym przykładem.

— Hm, żywym... A jak się ma sprawa „zemsty na żywych”?



- My tylko wykonujemy rozkazy. Nasz cień to wasz cień.
- To znaczy, że jest ci bez różnicy, co ci rozkażę: zabić dziecko, czy zastąpić mu ojca?
- Całkowicie. I jedno, i drugie wykonam tak dobrze, jak tylko potrafię.
- Cóż, mnie to pasuje... Zajmij się na razie taką sprawą... Niedawno jeden z moich towarzyszy ze służby na północy, niejaki Anakit, w pijanym widzie przechwalał się koleśiom, że wkrótce będzie bogaty, jak Tingol. Dysponuje on rzekomo wiadomościami o pewnym legendarnym mieczu, za który pewne osoby nie pożałują pieniędzy. Te opowieści muszą się skończyć natychmiast.
- Tak jest, Wasza Wysokość. Słuchaczy tych przechwałek mamy zlik... .
- Po co?
- Wasza Wysokość sądzi, że nie należy?
- Zakonotuj sobie, kochany. Zabijam bez wahania, ale przynigdy — powtarzam sylabami: prze-nig-dy! — nie zabijam bez prawdziwej potrzeby. Jasne?
- To naprawdę mądre, Wasza Wysokość.
- Za dużo sobie pozwalasz, poruczniku — powiedział tropiciel tonem, którego brzmienie innego rozmówcę pokryłoby lodową skorupą.
- Nasz cień to wasz cień — spokojnie powtórzył tamten. — Tworzymy więc, w pewnym sensie, jedną całość. Odmeldowuję się w celu wykonania rozkazu.

\* \* \*

Niewiele należy dodać. Armia koalicji Zachodniej, wzbogacona teraz również o Wastaków, którzy szybko przenieśli się do obozu zwycięzców i otrzymali od nich wybaczenie, wyruszyła na wyprawę. Jej najbardziej godnym wspomnienia wydarzeniem był bunt z dwudziestego trzeciego marca westfoldzkich Rohirrimów i ochotników z Lossarnach, zupełnie nie rozumiejących, dlaczego mają na obczyźnie tracić swe życia za koronę Aragorna? Bezlitośnie stłumiwszy niepokój w wojsku, Dunadan doprowadził armię na Pola Kormallen, w ujściu Morannon, gdzie napotkał opór tych, których udało się zebrać Mordorowi. Wszak całkowicie wykorzystał już swe rezerwy i wpakował wszystko co miał w uderzenie Armii Południe. Koalicja zwyciężyła, właściwie należałoby powiedzieć, że Gondorcycy, Rohirrimowie i Wastakowie po prostu przesłonili morannońskie umocnienia swoimi trupami. Elfy, jak zwykle, przystąpiły do walki, gdy sprawa miała się ku końcowi. Straty zwycięzców w tej bitwie okazały się tak duże, że trzeba było pośpiesznie tworzyć legendę o jakoby przeciwstawionej im ogromnej armii Wschodu. Polegli tam wszyscy Mordorcycy, łącznie z królem Sauronem, który walczył w konnym szyku swojej głównej gwardii w zwyczajnym kapitańskim mundurze,

tak że nawet jego ciało nie zostało znalezione. O dalszych działaniach koalicji kronikarze krajów Zachodu opowiadają bardziej niż lakonicznie, ponieważ rzeź dokonana przez zwycięzców w Mordorze była czymś straszliwym, nawet według ówczesnych, niezbyt humanitarnych kryteriów.

Jakkolwiek było, plan Gandalfa zakończył się sukcesem, nie licząc, rzecz jasna, tego drobiazgu, że elfom do głowy nie przyszło zwrócić Zwierniada. Mordorska cywilizacja przestała istnieć. Jednakże magowie Białej Rady przeoczyli jedną rzecz, a mianowicie: w Świecie istnieje ktoś, kto strasznie nie lubi definitywnych zwycięstw i wszelkiego rodzaju „ostatecznych rozwiązań”, i potrafi okazać tę swoją niechęć na różne, najbardziej niezwykle sposoby. Oto i teraz, obojętnie przyglądając się zwyciężonemu — cały ten śmietnik, wyrzucony na brzeg przez wygasającą burzę — ów ktoś nagle zatrzymał swe spojrzenie na dwóch, zagubionych wśród wydm mordorskiej pustyni, żołnierzach nie istniejącej już Armii Południe.

# 10

## **Mordor, uroczysko Teshgol 9 kwietnia 3019 roku**

— A dlaczego nie mielibyśmy doczekać nocy? — wyszeptał Haladdin.

— Dlatego że jeśli naprawdę czeka tam zasadzka i jeśli ci chłopcy nie są zupełnymi matołami, to będą czekać na gości właśnie w ciemnościach. A Regulamin Polowy czego nas uczy, panie konsyliarzu? — uniósł palec Cerleg. — „Czyń odwrotnie, niż się tego spodziewa przeciwnik”. Krótko mówiąc, przed moim sygnałem nie wolno się ruszyć nawet na pół kroku z tego miejsca, a jeśli, nie daj Jedyny, wpadnę, to tym bardziej. Jasne?

Obrzucił jeszcze raz obozowisko spojrzeniem i wymamrotał:

— Och, nie podoba mi się to wszystko. . .

Uroczysko Teshgol to po prostu utrzymujące się w jednym miejscu piaski z dość gęstymi zagajnikami białego saksaułu na łagodnych zboczach między niewysokimi wydrami, porośniętych poza tym piaskową turzycą i kandymem. Koczowisko to — zaledwie trzy, ustawione w trójkąt wejściami do środka obozu jurty — ulokowało się w ukrytej od wiatru owalnej kotlince mniej więcej sto pięćdziesiąt jardów od ich kryjówki tak, że widać było wszystko, jak na dłoni. Przez godzinę obserwacji Cerleg nie zauważył najmniejszego podejrzanego ruchu, zresztą nie podejrzanego również. Koczowisko wydawało się martwe. Wszystko to było dość dziwne, jednak trzeba było na coś się zdecydować.

Kilka minut później wstrzymujący oddech Haladdin widział jak zwiadowca w swojej burej pelerynie dosłownie zaczął s p ł y w a ć wzdłuż niemal niewidocznych fałd powierzchni gruntu. W zasadzie miał rację — jedyne w czym mógł pomóc lekarz to nie pętać się teraz pod nogami zawodowca. . . Tak to może i jest, ale z kolei siedzieć w ukryciu, podczas gdy o dwa kroki towarzysz ryzykuje głową. . ., nie jest to zbyt miłe. Jeszcze raz przyjrzał się linii horyzontu i ze zdziwieniem stwierdził że w tym czasie kapral zniknął. Mistyka jakaś. Rzeczywiście można uwierzyć, że zmienił się w jaszczurkę krągłogłową i zapadł się pod piach, jak to ona potrafi, a może — i to jest pewniejsze — pomknął do przodu niczym śmiercionośna żmijka piaszczysta efa. Ponad pół godziny lekarz kierował szeroko

otwarte oczy na otaczające koczowisko wzgórze, póki nagle nie zobaczył Cerlega stojącego po prostu między jurtami.

Co oznaczało, że wszystko w porządku... Uczucie minionego już niebezpieczeństwa zrodziło niemal fizyczną rozkosz: każda będąca dotąd w napięciu żyłka, teraz spokojnie rozluźniała się, a odbarwiony przez napływ adrenaliny świat, ponownie nabierał kolorów. Wsunąwszy się z dołu pod pochylonym ku ziemi saksaułem, Haladdin zarzucił na ramię toból z rzeczami i pomaszerował, patrząc pod nogi — stok był zryty norami żmij. W połowie zbocza popatrzył przed siebie i dopiero teraz zrozumiał, że coś jest jednak nie tak, i to mocno nie tak. Orokuen zachowywał się zbyt dziwnie: stał jakiś czas na progu jurty z lewej strony i, nie wchodząc do środka, powlókł się do następnej. Właśnie — powlókł. Krok kaprała stracił swą dynamikę. Nienaturalną ciszę zalewającą kotlinę zakłócał tylko jakiś ledwo słyszalny pulsujący hałas — jakby drobne fale drżały na oleistej powierzchni bagiennej wody... I wtedy nagle wszystko zrozumiał, ponieważ poznał w tym dźwięku buczenie miriad mięsnych much.

\* \* \*

Nawet w piaszczystym gruncie nie da się wykopać przez minutę mogiły dla dziesięciu osób — czwórki dorosłych i szóstki dzieci. Musieli się spieszyć, a łopatę znaleźli tylko jedną, tak więc pracowali na zmianę. Haladdin, zagłębiwszy się w piasek mniej więcej do pasa, podniósł wzrok na zbliżające się Cerlega.

— Ty... tego... kop dalej, a ja, dla pewności, jeszcze raz się przejdę dokoła. Chcę coś sprawdzić.

— Myślisz, że ktoś mógł się uratować i ukryć w piaskach?

— Raczej nie. Oni wszyscy, jak sądzę, są tu. Po prostu tam na piasku są ślady krwi.

— Ale przecież pozabijali ich w jurtach...

— Właśnie o tym mówię. Dlatego pracuj, ale zerkaj na boki. Sygnał — gwizd, długi i dwa krótkie.

„Długi i dwa krótkie” usłyszał dosłownie po pięciu minutach. Kaprał przywołał go ruchem ręki ze szczytu małej wydmy, obok której zaczynała się prowadząca w bok od szlaku ścieżka, i skrył się za jej grzbietem. Podążwszy za nim, Haladdin znalazł zwiadowcę przykucniętego przed jakimś okrągłym ciemnym przedmiotem. Dopiero, gdy podszedł bliżej rozpoznał, że to głowa zakopanego po szyję człowieka, który chyba jeszcze żył. Kilka cali od jego ust — tak, by nie mógł sięgnąć — stała gliniana miseczka z resztką wody.

— Oto kto walczył. Jak, konsyliarzu, nie spóźniliśmy się?

— Nie, wszystko w porządku. Zobacz, nawet się jeszcze poci, a to znaczy, że drugie stadium odwadniania dopiero się zaczęło. Chwała Jedynemu — nie ma słonecznych oparzelin.

— Tak, specjalnie zakopali go w cieniu wydmy, żeby nie umarł tak szybko. Widać bardzo ich rozzłościł. . . Można go napoić?

— W drugim stadium tylko drobnymi porcjami. Słuchaj, a jak się domyśliłeś?

— Szczerze mówiąc, szukałem trupa.

Z tymi słowami Cerleg podniósł do szerniałych i popękanych warg zakopanego swoją skórzaną manierkę. Ten szarpnął się i zaczął łapczywie łykać, jednakże jego półprzymknięte oczy pozostały mętne i bez życia.

— Stop, stop, chłopie, nie spiesz się! Słyszysz, co pan konsyliarz powiedział: nie za dużo na raz. Dobra, teraz wyciągnijmy go na powierzchnię. Tu ziemia jest wzruszona, więc obejdziemy się bez łopaty. . . Gotowy?

Trochę rozgrzebawszy piach, chwycili człowieka pod pachy i na „Trzy-cztery!” wyszarpnęli go jak marchew z grządki.

— Ż-żeby cię szlag! — z uczuciem rzucił orokuen, ściskając rękojeść jataganu. Z ubrania uratowanego mężczyzny spłynęły piaszczyste strumienie, odsłaniając ich zdumionym oczom zieloną kamizelę gondorskiego oficera.

Zresztą, odkrycie to nie wpłynęło na intensywność działań reanimacyjnych, i po dziesięciu minutach jeniec był, według słów Cerlega, „gotów do użycia”. Stopniała mgła zasnuwająca wcześniej jego spojrzenie, i teraz oczy patrzyły twar- do, nieco ironicznie. Przemknawszy wzrokiem po mundurach „ratowników”, je- niec w pełni oszacował swe położenie i przedstawił się, ku ich zdziwieniu, w pra- widłowym orokueńskim, z lekkim jednakże akcentem:

— Baron Tangorn, porucznik Pułku Ithilien. Z kim mam honor? Jak na czło- wieka, który cudem uniknął męczarni i natychmiast odkrył, że pisane mu umiera- nie po raz wtóry, Gondorczyk trzymał się po prostu wspaniale. Zwiadowca przy- rzał mu się z szacunkiem i odszedł nieco na bok, dając znak towarzysowi, żeby to on zaczął.

— Konsyliarz drugiego stopnia Haladdin i kapral Cerleg, kirithungolski Pułk Jegrów. Zresztą, to już teraz nieistotne.

— Dlaczego? — uniósł brew porucznik. — Bardzo zasłużony pułk. Jeśli nie zawodzi mnie pamięć, potykaliśmy się z wami ubiegłej jesieni pod Osgiliath. Ithi- lieńczycy bronili wtedy południowej flanki. Klnę się na pięść Tulkasa, że była to wspaniała batalia!

— Obawiam się, że to nie najlepszy czas na oddawanie się wspomnieniom o tych rycerskich czasach. Interesują nas wydarzenia znacznie mniej w czasie oddalone. Co to za oddział wyróżną koczowisko? Imię dowódcy, liczebność, za- dania, kierunek dalszego marszu. . . I radzę nie ściemniać: jak pan się domyśla, nie jesteśmy skłonni do sentymentalnych dywagacji.

— Wszystko jasne — wzruszył ramionami baron. — Nawet więcej. . . Oddział

składa się z wastackich najemników, jego dowódcą jest Eloar, elf. Jeśli dobrze zrozumiałem, jest spowinowacony z jakimś lorieńskim władcą. Liczebność oddziału: dziewięciu żołnierzy. Zadanie: patrolowanie przylegającej do traktu strefy i oczyszczanie terytorium w celu walki z powstańcami. Zadowoleni?

Haladdin odruchowo zmrużył oczy, a przed jego oczami powstał zabawkowy bachtrianek z wełnianych nici wdeptany w zakrzepłą krwawą kałużę. Oto, jak to się u nich nazywa — „oczyszczanie terytorium”. Cóż, dobrze wiedzieć. . .

— A jak pan, baronie, znalazł się w tym godnym pożałowania położeniu, w jakim pana zastaliśmy?

— Obawiam się, że historia owa jest tak nieprawdopodobna, że i tak w nią nie uwierzycie.

— No, to ja panu powiem. Usiłował pan przeszkodzić w tym „oczyszczaniu” i nawet zranił przy tym któregoś z najemników. Czy może nawet zabił?

Gondorczyk patrzył na nich wyraźnie zmieszany.

— Skąd, do licha, wam to wiadomo?

— Nieważne. Dziwnie jednakże zachowuje się gondorski porucznik. . .

— Zachowuje się jak przystało na żołnierza i arystokratę — oschłym tonem odparował jeniec. — Mam nadzieję, że nie rozpatrujecie mojego niezamierzonego przyznania jako próby uratowania życia?

— Och, proszę się nie niepokoić, baronie. Sądzę, że ja i kapral powinniśmy zwrócić panu dług, przynajmniej częściowo: teraz wygląda, nasza kolej popełnić głupstwo. . .

Z tymi słowami obejrzał się na orokuena; ten zawahał się, ale machnął ręką. „Rób jak chcesz”.

— Proszę mi wybaczyć, że zadam pytanie, na które pańska odpowiedź dość mnie interesuje: co pan robi, jeśli odzyska wolność?

— Naprawdę, nie potrafię odpowiedzieć. . . Tu, w Mordorze, jeśli wpadnę w ręce elfów, to zakończą oni to, co zaczęli ludzie Eloara, chociaż możliwe jest, że nie w tak egzotyczny sposób. Do Gondoru mam drogę zamkniętą — mój władca został zabity, a służyć jego zabójcy i uzurpatorowi nie zamierzam. . .

— Co pan ma na myśli, baronie? Od czasu bitwy na Polach Pelennoru nie mamy żadnych wieści. . .

— Denethor zmarł straszliwą śmiercią — jakoby sam siebie spalił na pogrzebowym stosie — a następnego dnia, jak na zamówienie pojawił się pretendent do tronu. Chodzi o to, że według starej legendy, której nikt nigdy nie traktował poważnie, rządząca Gondorem dynastia Anariońska tylko utrzymuje tron dla potomków mitycznego Isildura. Otóż taki „potomek” nagle się odnalazł — niejaki Aragorn, pochodzący z północnych tropicieli. Jako dowód na swoje dynastyczne prawa pokazał jakiś miecz — jest to jakoby legendarny Anduril. A kto i kiedy widział ów miecz? Prócz tego dokonał kilku pokazowych uzdrowień za pomocą przyłożenia rąk. Co prawda, wszyscy uzdrowieni byli z tych, którzy przyszli

z nim z Północy, ale... Następca tronu, książę Faramir, udał się do Ithilien, gdzie „panuje” pod nadzorem kapitana Beregonda — tego samego, który poświadczył „samospalenie” Denethora.

— I co, nikt na Zachodzie nawet ust nie otworzył?

— Tajna Straż Aragorna. Gadają ludzie, że składa się z ożywionych elfickimi czarami wojowników — szybko oduczyła Gondorczyków zadawania głupich pytań. Eomerem kręci jak chce, co nie dziwi: jego siostra wraz z Faramirem znajduje się teraz pod strażą w Ithilien. Zresztą, sądząc ze wszystkiego, Aragorn sam jest tylko marionetką w rękach elfów, a naprawdę rządzi Gondorem jego żona, przysłana mu z Lorien Arwena.

— A co się dzieje u nas, w Mordorze?

— Barad-Dur zrównano z ziemią. Teraz elfy tworzą z różnych odpadów coś, co ma przypominać miejscową administrację. Jak mi się wydaje, zajęci są niszczeniem wszelkich przejawów kultury i świadomie polują na wykształconych ludzi. Według mnie, postanowili poważnie zawrócić was do wieku kamiennego.

— A was?

— Sądzę, że nami zajmą się nieco później. My na razie jesteśmy im potrzebni.

— Dobra — przerwał zapadła ciszę Cerleg. — Najpierw musimy pochować ludzi z koczowiska. A potem, nie wiem jak pan, ale ja zamierzam osobiście rozliczyć się z tym... jak mu — Eloarem? Gospodyni niebieskiej jurty była mi ciotką, tak więc ma na rękach moją krew.

— A gdybym dołączył do was, kapralu? — zapytał nagle Tangorn i, odpowiadając na zdziwione spojrzenie orokuena, wyjaśnił: — Zabrali mój rodzinny miecz, Usypiacz. Chciałbym go odzyskać. A tym zuchom chcę przekazać pozdrowienie z tamtego świata.

Przez jakiś czas zwiadowca wpatrywał się w Gondorczyka, a potem kiwnął głową:

— Tangorn... Pamiętam ciebie z ubiegłorocznego Osgiliath. To ty wówczas zważyłeś „króla włóczników” — Decewega.

— Zgadza się. To zdarzenie miało miejsce.

— Tylko, że nie mamy dla ciebie miecza. Machałeś kiedy jataganem?

— Jakoś sobie poradzę.

— No to i dobrze.

# 11

## **Mordor, nieopodal starego Traktu Nurneńskiego Noc z 11 na 12 kwietnia 3019 roku**

— A gdzie pan poznał ten język, baronie?

— Tak, w ogóle, to ponad sześć lat spędziłem w Umbarze i w Khandzie, jeśli o to panu chodzi. Ale zaczynałem jeszcze w domu: księżę Faramir, z którym przyjaźnię się od dzieciństwa, ma wspaniałą bibliotekę. Wszystko, rzecz jasna, w językach Wschodu, żeby, jak to się mówi, nie marnowało się. . . Ja, właściwie właśnie po to udałem się do Mordoru, by pomyszkować w popielisku. Zebrałem całą torbę ksiąg. Nawiasem mówiąc, wraz z Usypiaczem zabrali ją ci moi druhowie. — Tangorn kiwnął głową w stronę dwugarbnej diuny, gdzie zatrzymał się na popas wytropiony przez Cerlega oddział Eloara. — Znalazłem między innymi stronicę wspaniałych wierszy, zupełnie mi wcześniej nie znanych:

*Klnę się prawdą i nieprawdą,  
Klnę się mieczem, słuszną bitwą,  
Klnę się gwiazdą, tą poranną,  
Klnę się wieczorną modlitwą. . .*

Nie wiecie przypadkiem, co to za autor?

— To Sacheddin. Nie jest tak naprawdę poetą, ale magiem i alchemikiem. Od czasu do czasu publikuje wiersze, twierdząc przy tym, że jest tylko tłumaczem tekstów powstałych w innych Światach. A poezja ta jest doskonała. Ma pan rację.

— Niech to лихо, zabawny pomysł! Przecież opisywać Świat można na wiele sposobów, ale prawdziwie poetycki tekst, gdzie nie da się zamienić ani jednej litery — to na pewno jeden z dokładniejszych i oszczędniejszych z nich, i już chociażby dlatego winien być uznany za najbardziej uniwersalny! Jeśli coś łączy różne Światy, to tylko poezja. No, może jeszcze muzyka. . . Takie teksty powinny istnieć obok nas, od zarania wpisywane w obraz Realnego i Wymyślonego — szumem morskiej muszli zapachem wiosennej stęchlizny. Trzeba tylko nauczyć się je rozpoznawać. . . Poeci czynią to intuicyjnie, ale być może ten wasz Sacheddin rzeczywiście odkrył sformalizowaną metodę. Dlaczego nie?



— No tak, coś jak współczesna nauka wykrywania żył rud zamiast niepewnych olśnień znawców... Czy to znaczy, iż pan również uważa, że Świat to Tekst?

— Ten świat, w którym ja żyję — niewątpliwie. Zresztą, to jest sprawa gustu...

„No tak, Świat jest Tekstem — pomyślał Haladdin. — Interesujące by było przeczytać kiedyś na trzeźwo ten jego akapit, w którym zapisane jest, że pewnego pięknego dnia w towarzystwie dwóch sympatycznych zawodowych zabójców (bo kim, w końcu, są?) wezmę udział w polowaniu na dziewięciu nie ludzi (po co? czym różnią się od innych?), a w ostatniej chwili przed walką, by choć na chwilę zapomnieć o miedzianym posmaku w ustach i ohydny ssącym głodzie w brzuchu, będę oddawał się głębokim rozważaniom o poezji... Zaiste, autor takiego tekstu daleko sięga. Wyobraźni, w każdym razie, mu nie brakuje”.

Tu jego rozmyślania zostały przerwane, ponieważ jasna podwójna gwiazda nad grzbietem kryjącego ich barchanu mignęła, jakby zakryta przez chwilę sylwetką nocnego ptaka. Znaczący, że już... Ech, żeby tak było co tyknąć... Przykucnąwszy, zaczął upychać w naramienny futerał przygotowaną broń: króciutki, niezwykłej dlań budowy orokueński łuk i kołczan z sześcioma różnymi strzałami, takimi jakie się dało zebrać. Tangorn natomiast, który niewiele wiedział o możliwościach Cerlega, w niemym zdumieniu szeroko otworzył oczy na widok zwiadowcy, bezszelestnie wynurzającego się z mroku o kilka kroków od nich.

— Wasze szeptki, piękni panowie, słyhać o trzydzieści kroków. Gdyby więc na miejscu tych baranów byli moi chłopcy, już liczylibyście gwiazdy na szacie Jedynego. Dobra, zabieramy się. Sądzę, że udało mi się chwycić swego dłużnika krwi za koniuszek ogona. Jak rozumiem, ich oddział zmierza do tego punktu zbiorczego na trakcie, o którym mówił baron. Według moich szacunków mamy do niego jakieś pięć może sześć mil, a tam już ich nie dosięgniemy. Tak więc, dyspozycje są takie...

Piaski barchanów stykały się z zachodnim brzegiem rozległej hammady, przypominając morze, bezgłośnie wylewające sztormowe wały na ponurą kamienistą plażę. Największa fala, jak należało, piętrzyła się przy samym brzegu — ogromna diuna, ciągnąca się na pół mili w obie strony od płonącego u jej podnóża ogniska. Miejsca na obóz elf wybrał sensowne: plecy kryje stok diuny wysoki na czterdzieści stóp, a przed oczami równa jak stół powierzchnia hammady; dwaj wartownicy, wysunięci wzdłuż podnóża diuny — o dwadzieścia jardów na południe i północ od ogniska, całkowicie odcinają trasy możliwego ataku. Co prawda, z paliwem tu kiepsko, ale saksauł pali się długo i daje dużo ciepła, niemal jak węgiel. Każdy przywłókł na grzbiecie po dziesięćce polan grubości ręki — praca niezbyt ciężka, a grzać można się całą noc...

„Ale czy to nie pułapka? — Nagła myśl jakby oparzyła umysł Haladdina. — Nie wystarczy, że Carleg wszystko dokoła obniuchał... Coś za bardzo beztroscy są ci... Ognisko! Pal diabli, widać je tylko od strony hammady, a tam nikogo

nie powinno być. Ale to, że wartownik podchodzi sobie do ognia podrzucić dREW i ogrzać się trochę, to już zupełnie wariactwo. Przecież ślepnie potem na dobre dwie, trzy minuty. Co najmniej trzy minuty. . .”

Właśnie w czasie takiej nieobecności „południowego” wartownika dotarli do jego posterunku na dwadzieścia kroków. Tu zwiadowca zostawił lekarza z baronem i rozplynął się w mroku: miał, ominąwszy obóz z prawej strony, po hamma-dzie dopełznąć do „północnego” wartownika.

„Nie — zaprzeczył sam sobie Haladdin — nie należy dygotać na widok własnego cienia. Po prostu nasi wrogowie tak przywykli do braku oporu, że uważają ochronę biwaku za formalność. Tym bardziej, że to ostatnia noc ich rajdu, jutro — zmiana: łaźnia, gorzałeczka i tak dalej. . . Do tego premie za odcięte orokueńskie uszy. . . Ciekawe, dziecinne mają taką samą cenę, czy są tańsze? Przestań! Przestań natychmiast! — Z całej siły przygryzł wargę, czując, że znowu ogarniają go dreszcze, jak wtedy, w koczowisku, gdy zobaczył okaleczone trupy. — Musisz być absolutnie spokojny. Zaraz będziesz strzelał. . . Wyluzuj się i pomedytuj sobie. . . O tak. . . O tak. . .”

Leżał wbity w zmarznięty piach i uważnie wpatrywał się w postać wartownika; ten nie miał na głowie hełmu (co racja to racja — gównu w hełmie sły-chać), tak więc strzelać należy w głowę. Ale zabawne: stoi sobie człowiek, patrzy w gwiazdy rozmyśla o wszelkich przyjemnych w swym rodzaju rzeczach i nie podejrzewa nawet, że w rzeczywistości jest już nieboszczykiem. „Nieboszczyk” tymczasem z zawiścią popatrywał na siedem postaci przy ognisku (trzy w kierunku na południe trzy na północ i jedna na zachód, między ogniem i zboczem), a następnie kryjąc się, odwrócił plecami do ogniska, wyjął zza pazuchy manierkę, łyknął, głośno chrząknął i otarł usta. Zna-a-akomicie. . . Co za burdel. . . Ciekawe, jak się to spodoba temu „północnemu” towarzyszkowi? I w tym momencie serce Haladdina przeskoczyło kilka skurczy i ze świstem runęło gdzieś w pustkę ponieważ zrozumiał, że się zaczęło! I to już dawno się zaczęło, to tylko on — głupiec i gapa! — wszystko przegapił; a i baron nie lepszy, dwa buty — para. . . Dlatego, że „północny” wartownik już bezsilnie opadał na ziemię, opierając się plecami o mocno trzymającego go Cerlega; jeszcze chwila i, troskliwie i bezszel-estnie ułożywszy ciało Wastaka na piasku, zwiadowca „wniknął” w wypełniony śpiącymi ciałami krąg światła, jak lis do króliczej klatki.

W zwolnionym tempie, niczym we śnie, Haladdin przykucnął na jednym kolanie i naciągnął łuk; kątem oka zobaczył już gotowego do skoku barona. Wartownik, jak wydaje się, wychwycił jakiś ruch w mroku, ale zamiast ryknąć: „Alarm!!!”, zaczął (zdarzają się takie zamroczenia umysłów!) niezdarnie chować za pazuchę manierkę z gorzałą. Ten ułamek sekundy wystarczył Haladdinowi by, dociągnąwszy piętę strzały do podbródka opuścić grot na dwa cale poniżej celu — głowy wyraźnie oświetlonego od tyłu wartownika. Dystans dwadzieścia kro-ków, cel nieruchomy. Niemowlę nie spudłuje. Wartownik nawet nie poczuł bólu,

gdy wypuszczona cięciwa chlasnęła go w lewe przedramię, ponieważ w tej samej chwili dotarł doń odgłos trafiającej w cel strzały — suchy i dźwięczny, jakby trafił w pal. Wastak podrzucił ręce — w prawej wciąż zaciśnięta nieszczęsna manierka — odwrócił się na piętach i wolno zwałił na plecy. Baron rzucił się do przodu i już mijał zabitego, gdy od ogniska dotarł do nich zduszony jęk — jatagan kaprała uderzył w pierwszego z trzech, którzy leżeli od północnej strony ogniska, i cisza natychmiast rozpadła się na tysiące dźwięcznych, wyjących fragmentów.

Haladdin tymczasem, zgodnie z dyspozycjami, omijał obóz po okręgu, trzymając się poza granicą światła i wrzeszcząc różnymi głosami: „Otoczajcie, chłopcy, i żeby mi żadna suka nie uciekła!” — i tak dalej, w tym stylu. Ogłupiali, wydarci z objęć snu najemnicy, zamiast rozbiec się we wszystkie strony, instynktownie garnęli się do ognia. Na południowej flance Tangorn zderzył się z trzema; jeden natychmiast zwinął się jak obwarzanek, czule trzymając się za brzuch, a baron już podniósł upuszczony miecz, szeroki i — chwała Tulkasowi! — prosty, odrzuciwszy na bok jatagan, z którym przyszło mu zaczynać bój. Światło ogniska padło przy tym na jego twarz, i dwaj pozostali przy życiu rzucili na piach broń i runęli do ucieczki wrzeszcząc: „Gcheu, gcheu!!!” (wilkołak, w jakiego zmieniają się nie pogrzebani umarli). Nie oczekujący takiego obrotu sprawy Haladdin zaczął strzelać do nich z opóźnieniem i chyba nie trafił — w każdym razie obaj zginęli w mroku. Cerleg w zamieszaniu zdołał zranić jeszcze jednego z „północnych” Wastaków i teraz, odsunąwszy się nieco w bok, wołał:

— Hej, Eloarze, gdzieś ty, tchórze?! Przyszedłem wziąć cenę krwi za Teshgol!

— Tu jestem, nasienie Morgotha — zawołał kpiący głos. — Chodź do mnie, podrapię cię za uszkiem! — I do swoich: — Bez paniki, ścierwojady! Ich jest tylko troje, i zaraz wykończymy ich jak dzieci! Sprzedajcie kosę zezowatemu — on tu najstarszy, i nie podstawiajcie się ichniemu łucznikowi!

Elf pojawił się nieco z prawej strony od ogniska — wysoki, złotowłosy, w lekkiej skórzanej zbroi — i każdy jego ruch, każdy rys twarzy rodził omamiające poczucie gibkiej, śmiertelnie niebezpiecznej mocy. Był on w jakiś przedziwny sposób podobny do swego miecza — cienkiego połyskującego promienia z błękitnego gwiazdnego lodu, na widok którego robiło się zimno w piersi. Cerleg z ochryplym krzykiem machnął jataganem — zwodniczy wypad ku głowie i od razu po łuku z prawej strony na oporowe kolano. Eloar niedbale parował uderzenie i dla wszystkich, nawet dla konsyliarza polowego drugiego stopnia, stało się jasne, że kapral capnął kęs nie na swoje zęby. Mistrz skradania się i „przenikania” wpadł na mistrza szermierza, i cały problem polega tylko na tym, w którym wypadzie ten go zabije — w drugim, czy trzecim. A najlepiej pojął to Tangorn, który w jednej chwili przemknął piętnaście jardów dzielące go od miejsca potyczki i uderzył na elfa z lewej strony, rzuciwszy beładnie wycofującemu się zwiadowcy:

— Pleców mi pilnuj, głupolu!

Działanie prawdziwego zawodowca — nieważne w jakiej dziedzinie — za-

wsze jest widokiem zapierającym dech w piersiach, a tu spotkali się mistrzowie klasy najwyższej. Szkoda, że widzów było niewielu, a i ci, którzy byli, zamiast przyglądać się perypetiom scenicznej akcji, zajmowali się swoimi sprawami — usiłowali pozabijać się wzajemnie, a jest to zajęcie, jak się łatwo domyślić, wymagające pewnego skoncentrowania na jednym przedmiocie. Mimo jednak braku widowni obaj partnerzy wkładali w swe działania całą duszę, i ich wyrafinowane pas z matematyczną dokładnością wkomponowywały się w perforacje śmiertelnych koronek splatanych połyskującą stalą. Nawiasem mówiąc, Tangorna słowa o „pilnowaniu pleców” również miały swój głęboki sens: kapral natychmiast musiał podjąć walkę z dwoma aktywnie uczestniczącymi w boju Wastakami — jeden z nich na szczęście, mocno kulał. Haladdin, uzbrojony tylko w łuk, otrzymał stanowczy zakaz wdawania się w walkę wręcz, a nawet pojawiania się w kręgu światła; nie mógł on również strzelać w ten kalejdoskop swoich i obcych, gdyż byłoby to czystym szaleństwem. Przemieszczał się więc tylko w pewnej odległości, wypatrując sposobności i celu do oddania strzału.

Po jakimś czasie okazało się, że Tangorn wygrywa. Mimo, że jego wastacki miecz był o dobre pięć cali krótszy, już dwukrotnie sięgnął nim przeciwnika — w prawe przedramię i w nogę, tuż nad kolanem. Elfy, jak wiadomo, źle znoszą krwawienie, tak więc wypadły Eloara z każdą chwilą traciły na swej szybkości i dokładności. Baron napierał, spokojnie wyczekując chwili właściwego cięcia, gdy stało się coś niepojętego: elfickie ostrze nagle drgnęło i odchyliło się, całkowicie odsłaniając korpus Eloara, i miecz Gondorczyka błyskawicznie uderzył go w dolną część piersi. Haladdin odruchowo przełknął ślinę, pewien, że z pleców elfa zaraz wysunie się parujące od krwi ostrze — takiego ciosu nie wytrzymałaby żadna kolczuga, a co dopiero skórzana zbroja. . . Ale od tej zbroi klinga Tangorna odbiła się jak od zaczarowanego pancerza, elf zaś, wyraźnie świadomy, że tak się stanie, chwycił miecz oburącz i natychmiast zadał przeciwnikowi straszliwy cios — z góry do dołu. Ani odchylić się, ani sparować tego uderzenia baron już nie mógł. Zdążył tylko przykucnąć na jedno kolano i przyjąć ostrze Eloara na swoje — „klinga przeciw klindze”. Krucho wastacka stal prysnęła, i elfickie ostrze niemal na jedną trzecią wbiło się w udo barona. Tangorn odturlał się jeszcze na bok, unikając kolejnego, przygważdżającego go już do ziemi ciosu, ale elf dogonił go jednym skokiem, i . . .

I wtedy Haladdin, przypomniawszy sobie, że czekać nie ma na co, wypuścił strzałę.

Potem uświadomił sobie, że taki strzał był po prostu niemożliwy. Konsyliarz w ogóle wybitnym strzelcem nie był, a już z podrzutu strzelać nie potrafił zupełnie; tym bardziej do ruchomego celu, a na dodatek Eloara niemal całkowicie przesłaniaли walczący z Cerlegiem Wastakowie. Jednakże fakt pozostaje faktem: wystrzelił, nie mierząc, i wypuszczona przez niego strzała trafiła elfa w samo oko, tak że ten, jak się zwykło mówić, „umarł zanim jego ciało dotknęło ziemi”.

## 12

Do tego czasu ognisko niemal całkowicie zgasło, ale walka trwała również w gęstniejącym mroku. Obaj Wastakowie wściekle atakowali Cerlega; dwukrotnie Haladdin strzelał do nich, gdy tylko odsuwali się na chwilę od kaprała, jednak za każdym razem pudłował w haniebny sposób. W końcu kulejący Wastak nie sparował kolejnego cięcia i w chwilę potem, opuściwszy miecz opadł na ziemię i zaczął czołgać się, wlokąc za sobą zranioną nogę. Haladdin dał sobie z nim spokój — niech go licho, są inne sprawy — ale na czas zauważył, że ten dowlókl się do pakunków i, siedząc na ziemi, już wyciągnął z jednego łuk i strzały. Wsunąwszy zaś swoją rękę do kołczanu, konsyliarz oblał się zimnym potem. Wymacał w nim jedną już tylko strzałę. Łucznicy jednocześnie wzięli siebie na cel, ale nerwy lekarza nie wytrzymały: puścił cięciwę — i natychmiast odskoczył w prawo, wychwyciwszy w tej samej chwili śmiertelny powiew, mniej więcej stopę w lewo od własnego brzucha. Wastak miał mniej szczęścia: wystrzeliwszy, nie mógł się uchylić, i leżał teraz na wznak ze strzałą Haladdina pod obojczykiem. Cerleg tymczasem, fintą zmusił swego przeciwnika do odsłonięcia się i zadał cios w szyję; cała twarz orokuena pokryła się od razu lepкими bryzgami, a już o ręce nawet wspominać nie warto — z palców niemal spływał strumień krwi. . .

No to jak? Koniec? Wiktoria, żeby ją. . .

Haladdin, nie tracąc ani chwili, dorzucił dREW do przygasającego ogniska i, ustawiwszy się tak, by nie zasłaniać sobie światła, jednym wypracowanym ruchem rozciął klejącą się do palców nogawkę Tangorna. Krew lała się obficie, choć, sądząc z tak głębokiej rany, można było uważać, że nie aż tak mocno — w każdym razie tętnica udowa nie została przecięta. Chwała Jedynemu, że elfickie ostrza są niemal trzykrotnie węższe od wastackich. Dobra. . . Opaska. . . teraz tampon. . . Kaprał obszedł obóz, z obojętnością dobił dwóch Wastaków zdradzających jeszcze oznaki życia, i przykucnął obok konsyliarza.

— Co powiesz, lekarzu?

— Cóż, bywało i gorzej. Kość cała, ścięgna, jeśli mogę dobrze ocenić, praktycznie nie naruszone, najważniejsze arterie — też. Podaj mi tę szmatkę.

— Trzymaj. Będzie mógł iść?

— Żarty się ciebie trzymają?!

— No to, panowie — zwiadowca z wysiłkiem wstał i odruchowo oczyścił kolana z piasku — gaśmy światło i spuśćmy wodę. Dwaj z nich uciekli i pościg za nimi w tych ciemnościach nie ma żadnego sensu. Jeszcze przed świtem dotrą do tego swojego stanowiska na trakcie. Nigdzie nie zabłądzą, po prostu walą na północ skrajem hammady. Gdy tylko wstanie świt zaczną przeczesywać pustynię. Dociera to do was?

Tangorn niespodziewanie uniósł się na łokciu, i Haladdin zrozumiał, że ranny był przytomny przez cały czas, podczas całego tego gmerania w ranie. Ognisko wyraźnie oświetliło twarz barona, pomarańczowo połyskującą od potu. Głos jego jednakże nie stracił nic ze swej mocy, stał się tylko jakby nieco niższy.

— Nie przejmujcie się mną. W końcu miałem być nieboszczykiem już przedwczoraj. Gdybym miał rozegrać to jeszcze raz, to tak samo wykorzystałbym tę zwłokę... — Z tymi słowami gwałtownie szarpnął w dół kołnierz, odsłaniając tętnicę szyjną. — Czyń powinność, kapralu. — Małe rach-ciach, i po sprawie... Bo wcale nie chce znaleźć się znowu po szyję w piachu. Wiejcie stąd i niech się wam wiedzie. Szkoda, że nasza znajomość tak krótko trwała, ale na to już nic nie poradzimy.

— Ja, panie baronie, jestem człowiekiem prostym — spokojnie odpowiedział Cerleg — i przywykłem działać według regulaminu. A punkt czterdziesty drugi, gdyby pan nie wiedział, powiada wyraźnie: „cios łaski” jest dozwolony wyłącznie w przypadku bezpośredniego niebezpieczeństwa, że wróg przechwyci rannego. Gdy pojawi się bezpośrednie niebezpieczeństwo — jutro, na przykład — wtedy pogadamy.

— Proszę nie strugać durnia, kapralu! Po licho mamy wszyscy troje zdychać — mnie i tak nie uratujecie...

— Co to za rozmówki w szeregu?! Razem przyszliśmy, razem odejdziemy, a co do reszty — wola Jedynego. Panie konsyliarzu, przejrzał pan sakwy elfa. Czy nie ma tam aby apteczki?

Haladdin w duchu nazwał siebie osłem: mógł sam wpaść na pomysł odnalezienia apteczki elfa. „Tak więc, co my tu mamy? Wspaniały łuk i kołczan na trzydzieści strzał, każdy grot zamknięty w skórzanej pochewce — aha, zatrute, znaczy się. Wspaniały oręż, na pewno się nim zaopiekuję. Wiązka elfickiej liny — pół funta wagi, pint objętości, sto stóp długości wytrzymałość trzech mumakili. Przyda się w gospodarstwie. Elfickie suchary i manierka z ichnim winem, które wcale nie jest tak naprawdę winem. Wspaniale, zaraz dam łyka baronowi. Sakiewka ze złotymi i srebrnymi monetami — zapewne na wypłaty dla Wastaków, same elfy podobno pieniędzmi się nie posługują. No cóż, niech będzie, znajdzie się w kieszeni miejsce. Przybory do pisania i jakieś notatki... runy... Niech to licho, ciemno, nie dam rady przeczytać. Dobra, poczytam, jeśli nie zginę... A, oto i ona, chwała Jedynemu!” Otworzywszy apteczkę, niemal zemdlął z radości: czego tu tylko nie było, a wszystko w najlepszym gatunku. Antyseptyki —

pajęczyna z szaro-zielonymi plamkami leczniczej pleśni; środki przeciwbólowe — kulki zagęszczonego mlecznego soku liliowych khandyjskich maków; środki tamujące krew — sproszkowany korzeń mandragory z sięgających nieba Gór Mglistych; stymulatory — orzechy cola z błotnistych dżungli Haradu; regeneratory tkanki — bure smoliste mumio, dzięki któremu kość zrasta się w przeciągu pięciu dni i goi też wrzody przewodu pokarmowego. Było tam jeszcze wiele innych rzeczy, ale na razie nie było czasu i potrzeby zajmować się nimi. Ech, żeby tylko Cerleg wymyślił, jak zmylić pogoń, a już on postawi barona na nogi, może nawet w ciągu tygodnia. . .

Orokuen tymczasem przetrząsał wastackie juki, poszukując manierek i zapasów pożywienia — w ich sytuacji dziesięć, nawet piętnaście minut nie odgrywa już roli: potrzebny im jest pomysł, a jak nie będzie pomysłu. . . do piachu. Zastanówmy się. Można ująć w hammadę — znał nieopodal kilka ostańców z niezłymi szczelinami, ale pościg złoży tam wizytę w pierwszej kolejności. O tym, żeby się zagrzebać w wydmie, nie ma co nawet marzyć: przy tej bezwietrznej pogodzie nie da się zatrzeć do końca tropów, a wtedy znajdą ich bez problemu. Jedyne, co przychodzi mu do głowy, to z najwyższą możliwą prędkością ruszyć na zachód, w stronę gór, i spróbować dotrzeć do leśnego płaskowyżu Houtijn-Hotgor z jego wydmuchanymi przez wiatr pieczarami, ale to niemal trzydzieści mil w linii prostej, a z rannym po prostu nie da się tego zrobić. . . W tym miejscu jego rozmyślenia przerwał okrzyk, wyraźnie żwawszego po kilku dobrych łykach barona:

— Kapralu, mogę was prosić na chwilę? Proszę obejrzyć elfa. . .

— A co tam jest do oglądania? — Nie rozumiejąc sensu takiego działania, uniósł głowę zwiadowca. — Sprawdziłem. Martwy jak kamienny smok.

— Mnie nie o to chodzi. Ciągle się zastanawiam, co to za napierśnik, że miecz się go nie ima. Proszę sprawdzić, czy nie ma pod nim czegoś takiego. . .

Cerleg prychnął, ale przerwał swoje rozmyślenia i kołyszącym krokiem podszedł do zabitego. Wyjawszy jatagan, wsunął ostrze pod dolny brzeg skórzanego pancerza elfa i jednym ruchem przeciął go od pachwiny do gardła — jakby patroszył olbrzymią rybę.

— Patrzcie, patrzcie! Rzeczywiście — kolczuga! Ale jakaś dziwna, nie widziałem takich w życiu. . .

— Jakby się świeciła, prawda?

— Dokładnie. Słuchaj, wiedziałeś, czy dopiero teraz się domyśliłeś?

— Gdybym wiedział, to nie zmyliłby mnie tą swoją sztuczką z odsłoniętym tułowiem! — warknął Tangorn. — Przecież to mithril. Nie miałem szans przebić tej kolczugi, zresztą nikt w Śródziemiu nie miał i nie ma.

Cerleg posłał baronowi przenikliwe, badawcze spojrzenie — zawodowiec docenił zawodowca. Haladdin pomógł kapralowi zdjąć z zabitego drogocenną łuskowatą skórę i teraz uważnie ją oglądał. Metal naprawdę lekko fosforyzował, przypominając promyk księżycowego światła, i był ciepły w dotyku. Kolczuga

ważyła nieco powyżej funta, a była tak cienka, że całą ją można było zwinąć w kłębek wielkości pomarańczy; gdy zaś przypadkowo wymknęła się lekarzowi z dłoni i jak srebrna kałuża rozlała się obok stóp, pomyślał, że księżycową nocą raczej by jej nie odnalazł między leżącymi na ziemi plackami światła.

— A ja myślałem, że mithril to legenda. . .

— Jak widzicie — nie. . . Sądzę, że za samą taką kolczugę możnaby kupić połowę Minas Tirith i całe Edoras na dodatek: zostało ich ze dwadzieścia sztuk w całym Śródziemiu i więcej już nie będzie, gdyż tajemnica produkcji została utracona.

— A dlaczego ukrywał ją pod tą skórzaną dekoracją?

— Dlatego — odpowiedział za Tangorna zwiadowca — że tylko głupiec wymachuje przy ludziach swoimi atutami. Zasada Uruka Wielkiego: „Jeśliś słaby, to pokaż wrogowi, żeś mocny; jeśli mocny — pokaż słabość”.

— Właśnie tak — skinął głową baron. — A poza tym — Wastakowie. Gdyby te ścierwojady wiedziały o kolczudze, pierwszej nocy poderżnęliby mu gardło, i sypnęli gdzieś na południe — na przykład do Umbaru — gdzie staliby się za możnymi ludźmi. Jeśli nie porżnęliby się przy podziale. . .

Kapral gwizdnął ponuro.

— Jak nie kijem go to pałką! Wygląda na to, że ów Eloar był u nich naprawdę wielką szychą. . . Tak więc, należy się spodziewać, że elfy w pogoni za naszą bandą, odwrócą w poszukiwaniu śladów każdy kamyczek na tej hammadzie i przesieją każdy barchan. Ani ludzi nie pożałują, ani czasu. . .

Z łatwością i w szczegółach wyobraził sobie, jak to się będzie odbywać, w końcu sam nieraz brał udział w operacjach przeczesywania — i jako zwierzyzna, i jako myśliwy. Należy sądzić, że ściągną tu co najmniej półtorej setki pieszych i konnych. Wszystkich, których w ogóle uzbiera się na tym odcinku szlaku; konni na początek odetną im drogę do Houtijn-Hotgoru i zamkną półokrąg na wschodnim brzegu hammady, a piesi ruszą obławą od wymordowanego obozu, zaglądając po drodze do każdej norki. W takiej sytuacji można się obejść i bez doświadczonych tropicieli — tu, jak i wszędzie, można przeciwnika zdusić liczebnością. Bazować ta horda będzie na najbliższym punkcie oporowym — tylko tam jest wystarczająco wydajna studnia, tam też rozmieszczą sztab dowodzący operacją. . .

Cerleg dobrze znał to miejsce — karawanseraj porzucony wraz ze starym Traktem Nurneńskim od chwili, gdy Zachodnie Przyrunie w wyniku prac irygacyjnych stało się martwym solniskiem. Była to obszerna kwadratowa budowla z glinianej cegły z różnego rodzaju przybudówkami gospodarczymi; na tyłach znajdowała się ruina poprzedniego, zrzuconego przez trzęsienie ziemi karawanseraju, gęsto zarośnięta bachtrianowymi cierniami i piołunem. . . Zaraz, zaraz, zaraz! Ale przecież, nawiasem mówiąc te ruiny będą ostatnim miejscem, które przyjdzie im do głowy przeszukać! Właśnie — ostatnim. Wcześniej czy później



dotrą i tam, metodą wykluczenia kolejnych elementów. Szkoda — na pierwszy rzut oka pomysł wygląda nieźle. . . A gdyby tak wykonać fałszywy trop — zajęczą pętlę z odbiciem? No, a co dalej?

A tymczasem nocy ubywało niczym wody z przekłutego bukłaka, i z wyrazu twarzy i postawy zwiadowcy Haladdin nagle wyczytał coś, co uświadomił sobie z nieubłaganą wyrazistością: on też nie widzi szans na ratunek. Miękkie, lodowate łapsko wlało lekarzowi w trzewia i zaczęło niespiesznie grzebać w nich, jak w stercie trzepocących na dnie łodzi ryb. Nie był to lęk żołnierza przed walką, przez to już dzisiaj przeszedł, a coś zupełnie innego — podobne do ciemnego irracjonalnego strachu dziecka, które się zgubiło. Dopiero teraz zrozumiał, że Cerleg nie tylko zwyczajnie pełzał po wodę dla niego przez tłoczny od elfów las pod Osgiliath i włókł go na sobie pod nosami minasmorgulskich wartowników. Zwiadowca przez cały ten czas okrywał lekarza swą potężną i przytulną aurą — „twarz-blacha, spokój na pokładzie” — i oto w tej chwili aura ta rozpadła się na strzępy. Haladdin wszak, jeśli mówić szczerze, przyłączył się do tego głupiego pomysłu z „akcją odwetową” tylko dlatego, że uważał za pewnik, iż lepiej znaleźć się w samym jądrze wydarzeń z Cerlegiem, niż poza walką samemu. I tym razem przecwanił. Koło się zamknęło — Eloar zapłacił za Teshgol, oni za kilka godzin zapłacą za tę diunę. . . I wtedy, tracąc opanowanie ze strachu i rozpacz, wyrzeszczał w twarz orokuenowi:

— No i jak, zadowolony?! Zemściłeś się jak należy i ciągle nie możesz się nacieszyć swoją robotą?! Zapłaciłeś nami wszystkimi za jednego elfickiego bydlaka! Żeby szczeł!

— Jak powiedziałeś? — odezwał się zwiadowca z dziwnym wyrazem twarzy. — Żeby elf szczeł, tak?

## 13

Haladdin zamilkł w pół słowa. Zobaczył przed sobą poprzedniego, zwyczajnego Cerlega, który wie, co i jak.

— Wybacz — powiedział przybity, nie wiedząc, gdzie uciec spojrzeniem ze wstydu.

— Dobra, zdarza się. Mamy to już za sobą. A teraz przypomnij sobie dokładnie, i pan, baronie, też. Czy ta para Wastaków zwiłała, gdy ja już się wziętem do walki z Eloarem czy wcześniej? Przed czy potem?

— Według mnie, przed.

— Dokładnie tak, kapralu, daję głowę.

— Dobrze. To znaczy, że nic nie wiedzą nie tylko o śmierci elfa, ale nawet tego, czy w ogóle wziął udział w walce... Teraz tak... Konsyliarzu, czy baron przejdzie przynajmniej dwie, trzy mile? Może o kulach?

— Gdyby były kule, to może tak. Napompuję go środkami przeciwbólowymi... Co prawda potem za to zapłaci... .

— Proszę działać, konsyliarzu — inaczej w ogóle nie będzie żadnego „potem”! Niech pan zabierze apteczkę, trochę wody i sucharów — nic więcej, może jakąś broń, dla zmyłki... .

Po kilku minutach kapral podał Tangornowi parę podobnych do krzywych krzyży kul wykonanych z wastackich włóczni, i zaczął instruować:

— Rozstaniemy się teraz. Wy dojdziecie do skraju hammady i ruszycie wzdłuż niego prosto na północ... .

— Jak to — na północ?! Przecież tam jest posterunek!

— Właśnie.

— Aaa, rozumiem... „Rób to, czego nie spodziewa się wróg”.

— Jak na lekarza nieźle pan łapie! Kontynuuję. Z hammady na piasek proszę nie wchodzić. Jeśli — właściwie gdy — baron zacznie tracić przytomność, przyjdzie ci wziąć go na plecy, ale kul proszę nie porzucać, jasne? Przez cały czas pilnuj, żeby nie otworzyła się rana, gdyż krew spod opatrunku naznaczy ścieżkę. Najważniejsza dla was sprawa to nie zostawiać za sobą śladów. Na hammadzie to nie jest problem — będziecie szli po drobnych kamieniach... . A ja was dogonię za jakieś dwie godziny, może dwie i pół.

— Co wymyśliłeś?

— Potem opowiem — teraz każda minuta się liczy. Naprzód, sokoły, w tempie marsza! Hej, zaczekaj! Rzuć kilka orzeszków coli. Mnie też nie zaszkodzą.

I, odprowadziwszy wzrokiem oddalających się towarzyszy, zwiadowca zabrał się do realizacji planu. Czekąca go masa pracy, część z nich to drobiazgi, o których nietrudno zapomnieć w krzątaniu. Na przykład, zebrać wszystkie te rzeczy, które przydadzą się potem, jeśli wyjdą żywi z tej opresji — od elfickiej broni do ksiąg Tangorna — i starannie zakopać to wszystko, zapamiętawszy punkty orientacyjne. Przygotować wór dla siebie — woda, żywność, ciepłe płaszcze, broń i odnieść do hammady. No, a teraz najważniejsze.

Pomysł Cerlega, na który nieoczekiwanie naprowadził go Haladdin, był taki. Jeśli wyobrazimy sobie, że Eloar nie zginął podczas nocnego ataku, a jedynie uciekł w pustynię i zabłądził, co jest całkowicie możliwe — elf w pustyni, to jak orokuen w lesie — to jego ludzie będą przede wszystkim szukać swego księcia, czy kim on tam jest. Dopiero potem zaborą się za partyzantów, którzy załatwili szóstkę wastackich najemników. Żadna strata dla nich.

Teraz właśnie Cerleg miał ten wariacki zamysł wprowadzić w życie.

Podszedł do elfa, zdjął mu z nóg mokasyny i podniósł walający się obok rozcięty skórzany napierśnik; odnotował przy tym, że na lewej dłoni zabitego znajduje się srebrny pierścień i na wszelki wypadek wsunął go do kieszeni. Potem, wykopawszy dół na jakieś kilka stóp zagrzebał w nim trupa i starannie wyrównał piasek; ten ruch sam w sobie byłby dość naiwny, gdyby nie stworzono przy tym pozorów, że powierzchnia piasku w tym miejscu jest w oczywisty sposób nie naruszona. Do tego potrzebujemy ciała któregoś z Wastaków, najlepiej z minimalnymi ranami. Może być ten wartownik, którego ustrzelił Haladdin — nada się. Cerleg przeniósł ciało na miejsce, gdzie został zakopany elf, po czym podciął Wastakowi gardło od ucha do ucha i „spuścił juchę”, jak to czynią myśliwi ze swą zdobyczą. Następnie ułożył ciało, nadając naturalność jego pozycji.

Teraz każdemu wyda się zupełnie oczywiste, że najemnik zginął właśnie tu; raczej nie ma powodu by szukać ciała pod ciałem w przesączonym krwią piasku. No, chyba że ktoś dokładnie wie o miejscu spoczynku elfa — normalnemu człowiekowi coś takiego do głowy przyjść nie powinno.

Dobra, połowa roboty wykonana — prawdziwy elf zniknął; teraz musi się objawić jego bliźniak — żywy i dość nawet żwawy. Orokuen przebrał się w elfickie mokasyny, pomrukując do siebie: „Do licha, jak można nosić takie buty, bez normalnej twardej podeszwy?!”, i pobiegł na południe wzdłuż podnóża diuny, starając się pozostawić dobry ślad na odcinkach z twardszym gruntem; rozcięty od dołu do góry napierśnik nałożył na siebie jak bezrękawnik, a w rękę niósł swoje buty, bez których trudno sobie wyobrazić marsz po pustyni. Oddaliwszy się od obozu na jakieś półtorej mili, kapral zatrzymał się. Nigdy nie był wybitnym biegaczem, i serce kołatało mu już gdzieś w gardle, usiłując wyskoczyć na zewnątrz.

Zresztą odległość była odpowiednia i „elf” musiał tylko jeszcze skrócić w hamadę, gdzie śladów praktycznie znaleźć się nie da. Jakies piętnaście kroków od miejsca, gdzie ślad się urywał, zwiadowca cisnął na kamienie skórzany napierśnik Eloara. W ten sposób potwierdzał i osobę uciekiniera, i, pośrednio, kierunek jego dalszej ucieczki — nadal na południe.

„Stop — powiedział sobie. — Zatrzymaj się i jeszcze raz wszystko przemyśl. Może nie warto zostawiać napierśnika. To raczej przesadnie wyraźne. . . Postaw się na jego miejscu. Jesteś uciekinierem, niezbyt dokładnie wyobrażasz sobie kierunek dalszej ucieczki. Pogoń prawdopodobnie została z tyłu, ale przyjdzie nie wiadomo ile wędrować po tej strasznej pustyni, która jest dla ciebie gorsza od każdego wroga w ludzkim ciele. Najwyższy czas zrzucić wszystko, co tylko można, żeby mieć mniej do niesienia. A ten napierśnik i tak ci w niczym nie pomoże. Jeśli przeżyjesz, kupisz sobie taki sam w pierwszym lepszym kramie. Wiarygodne? Całkowicie. A dlaczego teraz go zdjąłeś, a nie wcześniej? Po prostu nie było okazji, nie wiedziałem: ścigają jeszcze, czy już nie, a tu zatrzymałem się i rozjeźrzałem. . . Wiarygodne? Bez wątpienia. A dlaczego jest rozcięty? Dlatego, że nie mam czasu na zdejmowanie — ci, którzy mnie ścigają zaraz mogą tu być. . . A właśnie, idą pewnie po moich śladach, więc najwyższy czas zejść z piasku na kamienie. . . Wiarygodnie? Chyba tak. W końcu, nie należy traktować wroga jak durnia, ale też nie można samego siebie straszyć jego nadmiernym sprytem”.

Już miał rzucić się z powrotem — zzuł mokasyny i włożył buty, a następnie zmiażdżył między zębami lekko-gorzki orzech cola — gdy rzuciwszy okiem na napierśnik leżący na hamadzie, niczym pęknięta od uderzenia o kamienie skorupka jaja, poczuł, jak oblewa go zimny pot świadomości popełnienia błędu. Skorupa. . . „Stój, a jak się elf z niej wykuł? Rozciął na sobie, czy co? Oto na jakich głupich szczegółach można popłynąć! Tak zrobimy. . . popuszczamy boczne sznurowanie. . . Nie, nie popuszczamy, a przecinamy: przecież się spieszę, a ten pancerz i tak już mi się nie przyda. No, teraz będzie dobrze”.

Z powrotem biegł przez hamadę, kierując się na ledwo już widoczny blask ognia, gdzie czekał nań wór z ekwipunkiem. Cola wypełniła ciało oszukańczą lekkością i musiał teraz hamować swój bieg gdyż w przeciwnym wypadku po prostu można wykończyć serce. Podniósł toból, kazał sobie odpocząć kilka minut i ponownie rzucił się przed siebie. Teraz zmuszony był wypatrywać przed sobą Haladdina z Tangornem, a to spowalniało poruszanie. Okazało się, że ci dwaj przeszli już ponad dwie mile. Świetne tempo, nawet na takie nie liczył.

Najpierw zwiadowca zauważył Haladdina, który, siedząc na ziemi, odpoczywał z podniesioną ku gwiazdom bladą, nie wyrażającą niczego twarzą. Baron, którego konsyliarz przez ostatnie pół mili włókł na sobie, znowu oparł się na kulach i uparcie starał się zyskać za ich pomocą jeszcze jakieś dziesięć jardów.

— Elfickie wino wyssaliście do cna?

— Zostawiliśmy ci.

Cerleg przyjrząwszy się towarzyszącej i oszacowawszy pozostały do pokonania dystans, kazał im zjeść po dwa orzeszki cola. Wiedział, że jutro, jeśli będzie jakieś jutro, organizmy zapłacą i za tę miksturę, i za smólkę makową koszmarną cenę, ale nie było wyboru — bez tego nie udałoby się im dojść. Znacznie później Haladdin stwierdził, że ten fragment drogi został do czysta wykasowany z jego pamięci, przy czym świetnie pamiętał, że cola nie tylko natchnęła mocą jego mięśnie, ale niezwykle wyostrzyła zmysły, pozwalając jakby wchłonąć cały widnokrąg — od rysunku gwiazdozbiorów rozkwitłych nagle mnóstwem nieznanych mu wcześniej drobnych gwiazd, do zapachu dymu z kiziaku z jakiegoś niewyobrażalnie odległego ogniska. Ale ani jednego szczegółu własnej drogi nie udało mu się przypomnieć.

Ta wyrwa w pamięci skończyła się równie niespodzianie, jak się zaczęła. Świat nagle stał się realny, a wraz z nim i ból i niesamowite zmęczenie, tak duże, że wypchnęło gdzieś na peryferie uczuć nawet świadomość niebezpieczeństwa. Okazało się, że leżą już wbici w ziemię za małym grzbietem o jakieś trzydzieści jardów od wymarzonych ruin, za którymi w rodzącym się świetle widać było zarysy masywnego bloku karawanseraju.

— Może skoczmy? — zapytał bezgłośnie.

— Ja c-ci skoczę! — wściekle syknął zwiadowca. — Nie widzisz wartownika na dachu?

— A on nas widzi?

— Na razie nie: jest na tle szarego nieba, a my na tle ciemnego gruntu. Ale jak nie przestaniesz się miotać to zauważy na pewno.

— Ale już świta...

— Zamknij się, co? I tak jest ciężko bez twojego gadania... A kamienista gleba pod Haladdinem zaczęła nagle wydawać z siebie nowy złowieszczy dźwięk — to było coś podobnego do suchych i szybkich klawesynowych pasaży; po chwili dźwięk przekształcił się w werbel, jakby w kamienną lawinę. Szlakiem zbliżał się kłusem duży konny oddział, i ponownie zrodzony strach już wrzeszczał do ucha: „Zauważyli! Okrażają! Uciekać!!!” W tym momencie przywrócił mu przytomność spokojny szept kaprała:

— ... tuj się! Na moją komendę — nie wcześniej! — skaczemy z całych sił. Tobół, kule i broń — twoje, baron — mój. To nasza szansa. Pierwsza i ostatnia.

Oddział tymczasem dotarł do placówki, gdzie od razu zrodziło się zwyczajne w takich przypadkach zamieszanie: jeźdźcy, klnąc, przedzierali się przez szeregi krzątającej się piechoty, przygadywali sobie miejscowi i przybyli dowódcy, gardłowe okrzyki Wastaków mieszały się z niespokojnym szczebiotem elfów; na dachu zamiast jednej sylwetki pojawiły się trzy, i nagle Haladdin, nie wierząc własnym uszom, usłyszał ciche: „Naprzód!”

Nigdy jeszcze w życiu nie biegł tak szybko — skąd wziął na to siły? Błyskawicznie dopadł „martwą strefę” pod zburzoną do połowy ścianą, cisnął o zie-

mię bagaże i zdążył jeszcze wrócić do znajdującego się w połowie drogi Carlega, wlokącego na grzbiecie barona. Ten jednak tylko kiwnął głową — liczy się każda sekunda, dłużej potrwa przekładanie rannego. Szybciej, szybciej, do diaska! O Jedyny, ileż jeszcze te barany na dachu będą się gapili na nowo przybyłych. Sekundę? Dwie? Trzy? Dziesięć?

Dopadli ruin, w każdej chwili spodziewając się wrzasku „Alarm!!!”, i runęli na ziemię. Tangorn wyglądał na zupełnie wyczerpanego — nawet nie jęknął. Zdzierając skórę na twarzach i rękach, wdarli się przez gęstwinę bachtrianowych cierni w szeroką szczelinę w murze i nagle znaleźli się we wnętrzu niemal nie naruszonego pomieszczenia. Wszystkie ściany były całe i tylko w suficie ziała duża dziura, przez którą widać było jak z każdą chwilą jaśniejnie niebo. Drzwi wejściowe były zawałone stertą potłuczonych cegieł. Dopiero tutaj Haladdin zrozumiał, że przebili się! Mają teraz schronienie najpewniejsze z możliwych, jak kaczką wysiadująca pisklęta tuż pod gniazdem białozora.

Na krótką chwilę przymknął powieki, przypadł plecami do ściany, a czułe fale natychmiast podchwyciły go i poniosły gdzieś daleko, przypochebnie szepcząc: „Wszystko już za tobą... odpocznij... tylko kilka minut... zasłużyłeś na nie...” W górę, i w dół... w górę w dół... „Co to za huśtanie? Cerleg? Dlaczego tak mnie szarpie za ramię? Och, diabli! Dzięki ci, druhu — przecież muszę natychmiast zająć się Tangornem! Nie ma żadnych "kilku minut", gdyż zaraz działanie coli się skończy i wtedy w ogóle rozpadnę się na kawałki... Gdzie jest ta diabelska apteczka?”

# 14

## **Mordor, płaskowyż Houtijn-Hotgor 21 kwietnia 3019 roku**

Zmierzchało. Płynne złoto słońca wciąż jeszcze kipiało w tyglu utworzonym przez dwa szczyty Gór Cienia, wylewając się na zewnątrz ostrymi, palącymi strumieniami, lecz przezroczysta fioletowa mgiełka już wypełzała na malowane gwałtem zmierzchu przedgórze. Nieco chłodniejszy turkus nieboskłonu, gęstniejący na jego wschodniej części do lazuru, harmonicznie cieniował żółto-różowe, jak miękisz khandyjskiej dyni, leśne plamy Houtijn-Hotgor poprzecinane głębokimi, muszkatołowo-czarnymi wąwozami. Zbliżającemu się podróżnikowi zwiastowały płaskowyż z bocza płaskich glinianych wzgórz; najczęściej zaciągnięte były krepą z piołunu i solanek, gdzieniegdzie przebarwionych czerwonymi maźnięciami — łączkami dzikich tulipanów.

Kwiaty te wywoływały u Haladdina dwojakie uczucia. O ile każdy pojedynczy tulipan był piękny, o tyle nienaturalnie i złowieszczo wyglądały tworzone przez nie półakrowe dywany. Pewnie kolor ich zbyt dokładnie odtwarzał kolor krwi: jasnej, tętnicznej — gdy były oświetlone słońcem, lub purpurowej, żyłnej — gdy padał na nie, jak w tej chwili wieczorny cień. Piołun i tulipany — popiół i krew. Zresztą, w innym czasie i okolicznościach, pewnie miałyby inne skojarzenia.

— Zostało jakieś półtorej mili. — Idący na czele Cerleg odwrócił się do towarzyszy i skinął w stronę plamy jaskrawej zieleni, wylewającej się na żółtą glinę przedgórza z ujścia szerokiej rozpadliny — Jak tam, baronie, usiądziemy na chwilę czy zaciśniemy zęby i przejdziemy jeszcze trochę, a wtedy już się rozłożymy na biwak, jak ludzie?

— Przestańcie się ze mną cackać — nieco rozdrażniony odpowiadał Gondorczyk. Stąpał już dość pewnie na ranną nogę, chociaż korzystał jeszcze z kul, i nawet nalegał, żeby pozwolono mu nieść część bagażu. — W ten sposób nigdy nie odzyskam formy.

— Pretensje kieruj do konsyliarza. Ja się na tym nie znam. Co nam medycyna zaleci?

— Trochę coli, rzecz jasna — prychnął Haladdin.

— A żeby cię!

Żart rzeczywiście miał wątpliwą wartość: na samo wspomnienie finału ich marszu, czy też lepiej powiedziawszy — galopu do ruin przy placówce robiło się niedobrze. Cola w rzeczywistości nie dodaje organizmowi żadnych nowych sił — po prostu mobilizuje istniejące w nim rezerwy. Podobnego typu mobilizacje zdarzają się samoistnie, na przykład gdy człowiek, ratując swe życie, robi skoki niemal na tuzin jardów, albo gołymi rękami wyciąga z ziemi kilkusetfuntowy kamień. Cola natomiast pozwala na dokonywanie takich wyczynów „na zamówienie”, po czym należy za to zapłacić: człowiek, który wyczerpał w potrzebnym momencie do cna swoje rezerwy, na półtorej doby staje się czymś w rodzaju galarety — i fizycznie i duchowo.

Właśnie to stało się z nimi tego ranka, gdy tylko Haladdin zdołał pospiesznie zacerować udo Tangorna. Baron wkrótce dostał dreszczy, gdyż na gorączkę spowodowaną zranieniem nałożyła się reakcja na opium. Potrzebował natychmiastowej pomocy, ale konsyliarz ze zwiadowcą w tym czasie wyglądali jak wyrzucone na brzeg meduzy; nie mogli nie tylko poruszyć ręką, ale nawet okiem. Cerleg zdołał podnieść się po jakichś dziesięciu godzinach, jednak mógł tylko napić rannego resztkami elfickiego wina i okryć go wszystkimi posiadanymi płaszczami. Haladdin zaś odżył za późno, by zdusić chorobę barona w zarodku. Mimo, że udało się uniknąć posocznicy, to wokół rany rozwinęło się miejscowe zapalenie. Tangorn miał gorączkę, stracił przytomność i, co było najgorsze, zaczął majaczyć. Dokoła w tym czasie bez ustanku szwendali się żołnierze — tyły ruin służyły im za wychodek — tak więc kapral zupełnie już poważnie rozważał, czy nie będą musieli wykończyć barona, by ten nie wykończył ich swym mamrotaniem. . .

Tej ostateczności, chwała Jedynemu, udało się uniknąć — drugiego dnia leczenia elfickie medykamenty zadziałały i rana zaczęła się zablizniać. Na tym jednak nie skończyły się ich przygody. Okazało się, że w jednej z przylegających izb najemnicy z posterunku w tajemnicy przed kadrą zainstalowali ogromny kocioł z araką, miejscową gorzałą pędzoną z manny, i po zapadnięciu zmroku spełzali się tu, by łyknąć po szklaneczce. Do żołnierzy ukrywająca się trójca niemal się przyzwyczaiła — wystarczyło siedzieć w takich chwilach cicho, jak mysz pod miotłą. Ich schronienie zresztą znakomicie było odizolowane od pozostałych części ruin. Haladdin jednakże, malowniczo wyobrażał sobie, jak jakiś gorliwy dyżurny oficer robi kipisz na okoliczność źródła żywej wody i nagle wsunie nochal do ich norki: „Ta-a-ak. . . A wy trzej, to z jakiego plutonu? Bacz-ność!!! Pijanice przekłete. . . Gdzie macie mundury, wisielce?!” Kiepsko to się może skończyć. . .

Ale, mimo że siedzenie w ruinach nie było specjalnie bezpieczne, to opuszczenie ich byłoby pełnym szaleństwem: konne i piesze oddziały Wastaków oraz elfów wciąż przeczesywały pustynię, nie pomijając nawet świeżych śladów wielkouchego lisa. A tymczasem zważyło się na nich nowe zagrożenie: trudna sytuacja z wodą. Zbyt wiele zużyli na rannego, a odnowienie zapasu okazało się zupełnie



niewykonalne, ponieważ przy garnizonowym wodopoju w dzień i w nocy przebywały tłumy. Po pięciu dniach sytuacja stała się krytyczna — pół pinta na trzech. Baron przypomniał sobie swoją teshgolską przygodę i ponuro zauważył, że wygląda na to, iż zamienił szydło na mydło. Co za podłość losu, myślał Haladdin, po raz pierwszy od trzech tygodni wędrówek po pustyni naprawdę doskwiera im brak wody i to wtedy, gdy znajdują się o sto jardów od studni.

Ratunek przyszedł nieoczekiwanie: szóstego dnia powiał samum — pierwszy w tym roku. Z południa nadciągnęła sięgająca nieba żółta kurtyna, przez co wydało im się, że pustynny horyzont zaczął zawijać się do wewnątrz, jak obszarpany skraj potwornej wielkości zwoju; niebo przybrało barwę popiołu, a na wygotowane do białości południowe słońce można było patrzeć jak na księżyc, bez mrużenia oczu. Następnie granica między niebem i ziemią zatarła się całkowicie, i dwie dyszące skwarem patelnie zetknęły się, wzbiwszy w powietrze miriady ziarenek piasku, a ich szalony tan trwał ponad trzy dni. Cerleg, lepiej od innych wyobrażający sobie, co to znaczy samum i z całego serca modlił się do Jedynego za dusze wszystkich tych, których burza dopadła poza domem — nawet wrogowi nie należy życzyć tak straszliwego losu. Zresztą, co do wrogów, Jedyne wyraźnie wysłuchał wstawienictwa orokuena zaledwie jednym uchem, gdyż dowiedzieli się później z rozmów żołnierzy, że kilka oddziałów — w sumie ze dwudziestu ludzi — nie zdążyło wrócić do bazy i na pewno zginęło. Nie miały już sensu dalsze poszukiwania Eloara — nawet trup został pogrzebany... Pod wieczór Cerleg owinął się elfickim płaszczem z kapturem i, pod przykryciem duszącej piaszczystej chmury, przedostał się do studni na dziedzińcu. I gdy kilka minut później Tangorn, unosząc mokrą jeszcze manierkę, wygłosił toast: „Za demony pustyni”, zwiadowca pokręcił niepewnie głową, ale nie oponował.

Porzucili swe ukrycie ostatniej nocy samumu, gdy ten już wyczerpał swe siły i baraszkował tylko po pustyni w postaci nadziemnych, znakomicie zacierających ślady wiaterków. Zwiadowca poprowadził ich na wschód, do Houtijn-Hotgor; liczył na spotkanie w przedgórzu koczowników-orokuenów, którzy zazwyczaj spędzali tam bydło na wiosenne pastwiska. Zamierzał tam trochę odpocząć i odkarmić się u kogoś ze swych niezliczonych krewniaków. Po drodze skręcili na miejsce postoju Eloara i wydobyli zakopane wcześniej przez Cerlega trofea. Zwiadowca na wszelki wypadek sprawdził ciało elfa pod warstwą piasku — już się niemal zmumifikowało. Zdziwił się przy tym: ciało elfów nigdy nie ruszają ani padlinożercy, ani nawet mogilne czerwie. Zatrute, czy jak?

Marsz w stronę gór rozpoczęli o świcie: poruszanie się w dzień związane było z ogromnym ryzykiem, ale musieli wykorzystać ten krótki czas, kiedy można było iść, nie przejmując się zacieraniem po sobie śladów. Pod koniec drugiego dnia wędrówki ich mały oddział dotarł do płaskowyżu, ale jak na razie żadnych koczowisk Cerleg nie widział, i zaczynało go to poważnie niepokoić.

\* \* \*

Rozpadlina, w której stanęli na popas, była zielona. Zamieszkiwał ją strumyk, mały, ale gościnny. Jak się wydawało, stęsknił się za towarzystwem w samotności i teraz pospiesznie opowiadał swym gościom wszystkie nowiny tego mikroskopijnego światka — o tym, że wiosna tego roku się spóźnia, a błękitne irysy przy trzecim zakręcie koryta ciągle jeszcze nie mogą zakwitnąć, ale za to wczoraj odwiedziły go znajome dzereny, stary kozioł z parą kózek... — i tej cichej melodyjnej paplaniny można było słuchać w nieskończoność. Tylko ten, kto spędzał na pustyni tydzień po tygodniu, nie widząc niczego prócz gorzko-słonej mazi na dnie owczych wodopojów i skąpych kropel pozbawionego smaku destylatu z *tsandojów*, może pojąć, co znaczy zanurzyć twarz w żywej, bieżącej wodzie. To jest porównywalne tylko do tego uczucia, z jakim przytulasz się do ukochanej po długiej rozłące. Nie darmo ośrodkiem Raju mieszkańców pustyni jest nie jakaś pompatyczna, pozbawiona smaku budowla jak kryształowa Komnata Rozkoszy, a małe jezioro pod wodospadem.

Potem popijali mocną, niemal czarną herbatę, ceremonialnie przekazując sobie jedyną wyszczerbioną piałę, nie wiadomo jakim cudem zachowaną przez kaprala podczas wszystkich tych perturbacji. „Prawdziwa khandyjska, żeby to było dla wszystkich jasne” — mówił. Teraz Cerleg bez pośpiechu tłumaczył baronowi, że zielona herbata ma niewiarygodne zalety, natomiast stawianie problemu: lepsza jest zielona, czy czarna podobne jest do głupiego pytania „Kogo bardziej kochasz, tatusia czy mamusię?” Każda jest dobra w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu. Na przykład, w południowy upał... A Haladdin słuchał tego jednym uchem, jak nocnego mamrotania strumyka za wielkimi głazami, przeżywając zadziwiające chwile cichego szczęścia, jakiegoś... rodzinnego?

Ognisko, w którym szybko spalały się suche korzenie z solanek — a tymi korzeniami było niemal całkowicie pokryte przeciwległe zbocze — jasno oświetlało jego druhów; rzeźbiony profil Gondorczyka był zwrócony ku okrągłemu obliczu orokuena, podobnego do flegmatycznego wschodniego bożka. I nagle Haladdin z przeraźliwą wyrazistością zrozumiał, że ich dziwny sojusz niedługo się skończy: jutro, może pojutrze ich drogi rozejdą się, zapewne na zawsze. Baron, gdy tylko do końca zagoi się jego rana, ruszy w kierunku przełęczy Kirith Ungol — postanowił przedostać się do Ithilien, do księcia Faramira, a oni z kapralem muszą zdecydować, co będą robić dalej.

Dziwne, ale po tej dość długiej, najeżonej śmiertelnymi niebezpieczeństwami drodze, nadal nic nie wiedzieli o baronie, o jego poprzednim życiu. „Czy pan jest żonaty, baronie?” „To złożony problem, nie da się odpowiedzieć jednym słowem...” „A gdzie mieści się pana dom rodzinny, baronie?” „Sądzę, że to już nie

jest istotne, ponieważ na pewno został skonfiskowany na rzecz skarbu. . .” Tym niemniej z każdym dniem Haladdin coraz bardziej szanował, żeby nie powiedzieć — kochał, tego ironicznego, nierozmownego człowieka. Obserwując barona, chyba po raz pierwszy w życiu zrozumiał sens wyrażenia „wrodzone szlachectwo”. Poza tym, dawała się wyczuć w Tangornie taka dość dziwna jak na arystokratę cecha, jak niezawodność — niezawodność innego typu niż ta, na przykład, właściwa Cerlegowi, ale całkowicie przy tym nie podlegająca wątpliwości.

Haladdin, sam będąc wychodzącą z trzeciej warstwy, do arystokracji miał stosunek wybitnie chłodny. Nigdy nie potrafił zrozumieć, jak można się chwalić nie konkretnymi działaniami swoich przodków — w pracy czy na wojnie — a tylko długością szeregu genealogicznego. Szczególnie, że niemal wszyscy ci „szlachetni rycerze” byli, jeśli nazywać rzeczy po imieniu, zwyczajnie szczęśliwymi i bezlitosnymi rozbójnikami z gościńców, a ich rzemiosłem było zabijanie, powołaniem zaś — zdrada. Prócz tego, doktor od dziecka gardził próżniakami. Ale podświadomie wyczuwał, że jeśli wyekstrahuje się z tego świata rozwiązłą i bezużyteczną arystokrację, to świat nieodwracalnie utraci część swych barw; najpewniej stanie się sprawiedliwszy, może czystszy, jednak na pewno nudniejszy, a już tylko to jedno coś niecoś jest warte! W końcu sam należy do bractwa znacznie bardziej zamkniętego, niż każda hierarchia krwi: jego ramienia niegdyś dotknął mieczem — to wiedział Haladdin na pewno! — ktoś potężniejszy od monarchy Odrodzonego Królestwa, czy khandyjskiego kalifa. Dziwne, ale mało kto uświadamia sobie, do jakiego stopnia antydemokratyczne są w swej istocie nauka i sztuka. . .

Rozmyślenia jego przerwał kapral, który zaproponował grę w „marynarza”, by rozstrzygnąć, kto pierwszy stanie na warcie. Piętnaście stóp nad ich głowami, jak ogromny puszek przepłynęła sowa-śpioszka, przypominając swymi smutnymi skargami „Śpimy! Śpimy! Śpimy!” — że grzeczne dzieci dawno już powinny zaliczyć nocniczek i kłaść się do łóżka.

— Kładźcie się, chłopcy — zaproponował Haladdin — a ja i tak przy ognisku chciałem posiedzieć.

Tak naprawdę, to cały dzisiejszy ich dzień — ognisko (niech nawet dobrze zamaskowane) i czasowy brak wartownika — był całkowitym lekceważeniem podstaw bezpieczeństwa. Cerleg jednak uważał, że ryzyko jest, w gruncie rzeczy niewielkie — poszukiwania Eloara zostały zakończone, a w zwykłych warunkach elfickie patrole od szlaków nie odbijają. No i w końcu, on i jego towarzysze muszą co jakiś czas się wyluzować: stałe napięcie może ostatecznie „wyjść bokiem”.

Ognisko tymczasem ściemniało i dopaliło się do cna — korzenie nie dają węgla, lecz od razu stają się popiołem — i Haladdin, wsunąwszy Cerlegową, prawdziwą khandyjską piałę do kociołka z resztką esencji, zszedł do strumyka, żeby opłukać naczynia. Już odstawił na nabrzeżnym żwirze czysty kociołek i ogrzewał oddechem zdrętwiałe od lodowatej wody palce, gdy po otaczających go głazach przemknęły szybkie błyski — ognisko za jego plecami rozpałało się ponownie.

„Kto tam nie może zasnąć? — zdziwił się. — Jakoś nic pod światło nie widać...” Czarna na tle ognia sylwetka znieruchomiała, wyciągnawszy ręce ku szybko wydłużającym się jęzorom ognia. Świetlny krąg nagle poszerzył swe włości, wyłoniły się z mroku worki z bagażami, oparte o kamienie kule Tangorna i sylwetki obu śpiących, którzy... „Jak to — o b u ?! To kto jest przy ognisku?!” W tej samej chwili do konsyliarza dotarło jeszcze coś, a mianowicie to, że ruszając w swój dwudziestojardowy kurs do strumyka, nie wziął ze sobą broni. Żadnej. A przez to, tak należy sądzić, zabił swych śpiących towarzyszy.

Tymczasem siedzący przy ognisku niespiesznie odwrócił się w stronę pechowego wartownika i wykonał władczy, zapraszający gest. Jasne jak słońce — gdyby tylko chciał cała trójka już dawno byłaby w gronie nieboszczyków. W jakimś odrętwieniu Haladdin wrócił do ogniska i usiadł naprzeciwko przybysza w ciemnym płaszczu i nagle zachłysnął się powietrzem, jak po wymierzonym ciosie w splot słoneczny: cień nisko nasuniętego kaptura krył pustkę, z której patrzyła na niego uważnie para matowych, purpurowych węgielków. Siedział przed nim Nazgul.

## 15

Nazgule. Starożytna magiczna kapituła, działalność której od dawna otoczona była ponurymi opowieściami. Czarne widma, wchodzące jakoby do wyższych sfer władzy Mordoru. Przypisywano im takie cuda, że nie uwierzyłby żaden poważny człowiek. Więc Haladdin nie wierzył, a teraz Nazgul przybył po jego duszę... Wymówiwszy te słowa w myślach — „przybył po jego duszę” — omal nie przygryzł sobie języka. Będąc sceptykiem i racjonalistą, zawsze wiedział, że istnieją rzeczy, których nie należy dotykać, jeśli chce się zachować wszystkie palce... I nagle usłyszał głos — cichy i głuchy, z trudno uchwytnym akcentem, przy czym dźwięk, jak się wydawało, nie dobiegał z mroku pod kapturem, a skądś z boku... a może z góry?

— Boisz się mnie, Haladdinie?

— Jakby to powiedzieć...

— Powiedz wprost: „Boję się”. Widzi pan, mogłem przybrać jakąś... eee... bardziej neutralną postać, ale zostało mi zbyt mało mocy. Tak więc będzie pan musiał pocierpieć. To nie potrwa długo. Chociaż, dla kogoś niezwykajnego, może to być trochę straszne...

— Dziękuję — ze złością odpowiedział Haladdin, czując, że jego strach nagle wyparował bez reszty. — Nawiasem mówiąc, nie zaszkodziłoby, gdyby pan się przedstawił, bo pan mnie zna, a ja pana nie.

— Pan mnie, jak sądzę, też zna, choć zaocznie. Jestem Sharha-Rana, do usług. — Skraj kaptura nieco pochylił się w lekkim ukłonie. — Dokładniej mówiąc: byłem Sharhą-Raną wcześniej, w poprzednim życiu.

— Można zwariować. — Teraz Haladdin zupełnie już nie wątpił że śni i starał się zachowywać odpowiednio do marzeń sennych. — Osobista rozmowa z samym Sharhą-Raną... Bez namysłu oddałbym za to pięć lat życia. Ale, ale, ma pan dość specyficzne słownictwo, jak na Wendotenijczyka, żyjącego ponad sto lat temu...

— To jest pana słownictwo nie moje. — Mógłby przysiąc, że ciemność pod kapturem na chwilę zgrupowała się w uśmiech. — Po prostu mówię pańskimi słowami. Mnie to nie sprawia trudności. Zresztą, jeśli jest to dla pana...

— Nie, nie, dlaczego... — Majaki, wierutne majaki! — A proszę mi powiedzieć, szlachetny Sharha-Rano, powiadają, że wszystkie Nazgule to królowie,

którzy wcześniej...

— Są wśród nas również królowie. Tak samo jak księżęta, szewcy, krawcy... no i cała reszta. A zdarzają się, jak pan widzi, matematycy.

— A czy to prawda, że pan po opublikowaniu *Naturalnych podstaw niebieskiej mechaniki* całkowicie poświęcił się kaznodziejstwu?

— To też miało miejsce, ale również i to zostało w poprzednim życiu.

— A odchodząc od tego poprzedniego życia, po prostu rozstał się pan ze swym struchlałym ciałem, posiadając w zamian nieograniczone możliwości i nieśmiertelność...

— Nie. Jesteśmy długowieczni, ale śmiertelni: jest nas rzeczywiście dziewięcioro — taka jest tradycja — ale Kapitula ciągle się odnawia. Co zaś do „nieograniczonych” możliwości... To przecież niewyobrażalnej wagi brzemień. Jesteśmy magiczną tarczą, wiek po wieku przykrywającą tę oazę Rozumu, w którym tak przytulnie rozsiadła się wasza lekkomyślna cywilizacja. A jest ona przecież całkowicie obca temu Światu, w którym i ja, i pan się urodziliśmy. Śródziemnie walczy z tym obcym ciałem, uderzając weń z całą mocą swej magii. Gdy udaje się nam przyjąć uderzenie na siebie — tracimy ciało, i to po prostu boli. Ale jeśli popełniamy błąd i uderzenie dosięga waszego światka... Na to, co wtedy odczuwamy, nie ma nawet w ludzkim języku nazwy. Cały ból Świata, cały strach Świata, cała rozpacz Świata — oto zapłata za naszą pracę. Gdyby tylko pan wiedział, jak może boleć pustka... — Węgle pod kapturem jakby przyprószył popiół. — Jednym słowem: wąpnię, czy warto zazdrościć nam naszych możliwości.

— Proszę wybaczyć — wymamrotał Haladdin. — Nikt z ludzi nawet nie podejrzewa... opowiada się jakieś niestworzone... Ja sam też myślałem, że jesteście fantomami, którym nic do naszego realnego świata.

— Wręcz przeciwnie. Ja na przykład dobrze znam pańskie prace...

— Nie, poważnie?!

— Oczywiście. Moje gratulacje: to, co pan zrobił dwa lata temu w dziedzinie badania włókien nerwowych, otworzy nową epokę w fizjologii. Nie jestem pewien, czy trafi pan do szkolnych podręczników, ale do uniwersyteckich — gwarantuję... Jeśli tylko, w świetle ostatnich wydarzeń w tym Świecie, w ogóle będą istniały szkolne podręczniki i uniwersytety.

— Ta-ak? — przeciągnął nieco zdziwiony Haladdin. Co tam gadać — taka ocena w ustach Sharha-Rany, jeśli to naprawdę jest Sharha-Rana, była przyjemna. Może „przyjemna” to niezbyt właściwe słowo, ale wielki matematyk chyba kiepsko się wyznaje w obcej dla siebie dziedzinie. — Sądzę, że się pan myli. Rzeczywiście, osiągnąłem co nieco w dziedzinie mechanizmów działania trucizn i odtrutek, ale ta praca o włóknach nerwowych — to była po prostu przejściowa pasja... Kilka ciekawych eksperymentów, hipoteza, którą należy jeszcze weryfikować i weryfikować...

— Nigdy niczego nie myślę — zimno odciął Nazgul. — Ta niewielka publi-

kacja to najlepsza pańska rzecz, największe życiowe osiągnięcie, w każdym razie ona uczyni pańskie nazwisko nieśmiertelnym. Mówię tak nie dlatego, że tak myślę, a dlatego, że to wiem. Posiadamy określone możliwości co do przewidywania przyszłości i rzadko z nich korzystamy.

— No tak, przecież pana powinna interesować przyszłość nauki. . .

— W tym konkretnie przypadku interesowała mnie nie przyszłość nauki, a pan.

— Ja?

— Tak, pan. Ale niektóre aspekty i tak pozostały niejasne, dlatego więc przybyłem tu, żeby zadać panu kilka pytań. Niemal wszystkie będą. . . dość osobiste, proszę więc o jedno: niech pan odpowiada tak szczerze, jak pan może, ale proszę nie zmyślać. . . tym bardziej, że to nie ma sensu. I przy okazji — proszę nie kręcić głową we wszystkie strony! Dokoła waszego biwaku nie ma ani jednego człowieka w promieniu. . . — Nazgul chwilę się zastanawiał — . . . w promieniu dwudziestu trzech mil, a pana druhowie będą spali, póki my nie skończymy. . . No to jak? Zgadza się pan na rozmowę w takich warunkach?

— Jeśli dobrze zrozumiałem — krzywo uśmiechnął się zapytany — może pan otrzymać odpowiedzi i bez mojego udziału.

— Mogę — zgodził się gość. — Ale nie będę się do tego uciekał, w każdym razie nie w rozmowie z panem. Chodzi o to, że zamierzam złożyć panu pewną propozycję, więc musimy jakoś, minimalnie przynajmniej, ufać sobie. . . Proszę posłuchać, pan zapewne sądzi, że przybyłem tu kupić pańską nieśmiertelną duszę? — Haladdin burknął coś w odpowiedzi. — Proszę o tym zapomnieć, to zupełna bzdura!

— Co jest bzdurą?

— Kupowanie dusz, ot co. Duszę, żeby pan wiedział, można otrzymać w prezencie, jako ofiarę, można nieodwołalnie stracić — to prawda, ale kupno i sprzedaż, to rzeczy zupełnie absurdalne. To jak w miłości, nie ma w niej miejsca na żadne „ty mnie, a ja tobie”, ponieważ w przeciwnym przypadku żadna to miłość. . . A i nie tak znowuż interesująca ta pańska dusza, jeśli mam być szczerzy.

— Proszę mi powiedzieć. . . — Śmieszne, ale poczuł się nieco dotknięty. — Co w takim razie pana interesuje?

— Po pierwsze, interesuje mnie dlaczego świetny uczony porzucił pracę, będącą dla niego nie środkiem zarobkowania, a sensem życia, i stał się lekarzem polowym w czynnej służbie.

— Może, na przykład, ciekaw był jak wygląda w praktyce mechanizm działania pewnych interesujących trucizn. Taki, wie pan, ogrom materiału ginie bez pożytku. . .

— To znaczy, że trafieni elfickimi strzałami żołnierze Armii Południe byli dla pana tylko doświadczalnymi królikami? Kłamstwo! Znam pana jak zły szeląg —

poczynając od tych kretyńskich eksperymentów na sobie i kończąc na... Dlaczego chce pan wyglądać na większego cynika, niż to jest w rzeczywistości?

— Przecież medycyna w ogóle predestynuje do cynizmu, a już praktyczna medycyna wojskowa w szczególności. Powinien pan wiedzieć, że każdy nowicjusz przechodzi taki test... Oto przywieziono trzech rannych: perforowana rana w brzuch, ciężka rana uda — otwarte złamanie, utrata krwi, szok i cała reszta, i lekka rana ramienia. Operować można tylko po kolei. Od kogo zaczniesz? Wszyscy nowicjusze odpowiadają: „Wiadomo — od rany brzucha”. „A nieprawda” — odpowiada egzaminator. Póki będziesz się z nim bawił — a ten i tak umrze z dziewięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem — u drugiego, tego z udem, zaczną się komplikacje, i w najlepszym przypadku straci on nogę, a najpewniej też kopnie w kalendarz. Tak więc należy zaczynać od najcięższego przypadku, ale od tego, który można jeszcze wyciągnąć — to znaczy od rannego w udo. A ranny w brzuch... Cóż, dać mu lek przeciwbólowy, a potem niech się wypowie Jedyny. Normalnemu człowiekowi może się to wydać szczytem cynizmu i nieczułości, ale na wojnie, gdy musisz wybrać między „źle” i „bardzo źle”, tylko tak można postępować. To, wie pan, w Barad-Dur przy herbatce z konfiturami można było sobie tak gadać o bezcennym ludzkim życiu.

— Coś nie pasują do siebie poszczególne kawałki pana opowieści. Jeśli działa pan w trybie klinicznej celowości, to po jakie licho taszczył pan na sobie barona, ryzykując cały oddział, zamiast wykonać „cios łaski”?

— Nie widzę tu żadnej sprzeczności. Nawet ślepy to widzi. Towarzyszy należy ratować aż do końca, choćby się miało zaszkodzić samemu sobie: dziś ty jego, jutro — on ciebie. A co do „ciosu łaski” — proszę się nie niepokoić: w razie potrzeby wykonalibyśmy go w zawodowy sposób... Kiedyś wszystko było lepsze, inne. O rozpoczęciu wojny powiadamiano wcześniej, wieśniaków w ogóle te rzeczy nie dotyczyły, a ranni mogli po prostu poddać się i pójść do niewoli. Nie przyszło nam jednak żyć w tych idyllicznych czasach — cóż na to poradzimy? Ale niech któraś z tych oranżeryjnych postaci ciśnie w nas kamieniem...

— Ładnie pan się wyraża, panie konsyliarzu wojskowy, ale pewnie wykonanie „ciosu łaski” pozostawiłby pan kapralowi. Czy nie? No dobrze, jeszcze jedno pytanie — wciąż co do tej celowości. Nie przyszło panu do głowy, że jeden z czołowych fizjologów, siedząc w Barad-Dur i profesjonalnie badając odtrutki, uratuje znacznie więcej ludzi, niż pułkowy konsyliarz zaklasyfikowany jako felczer?

— Oczywiście, że przychodziło. Ale po prostu zdarzają się takie sytuacje, kiedy człowiek, żeby nie stracić szacunku dla samego siebie, musi popełnić wyraźne głupstwo.

— Nawet jeśli ów szacunek dla siebie kupuje się za cenę obcego życia?

— N-nie wiem... W końcu Jedyny może mieć swoje zdanie na ten temat...

— To znaczy, że decyzję podejmuje pan, a odpowiada za nią Jedyny? Sprytne wymyślane! A przecież pan to samo mówił Kumajowi, niemal tymi samymi



słowami, co i ja. Pamięta pan? Wtedy oczywiście, wszystkie nasze argumenty przepadły: jeśli troll coś sobie wbije do głowy — żegnaj, rozumie. „Nie mamy prawa stać z boku, kiedy ważą się losy ojczyzny” — i oto wspaniały mechanik staje się inżynierem drugiego stopnia. Zaiste bezcenny nabytek dla Armii Południe! A panu zaczyna się wydawać, że Sonia patrzy na pana jakoś nie tak: jakże to, brat walczy na froncie, a narzeczony tymczasem patroszy króliki na Uniwersytecie. A wtedy pan nie wymyślił nic mądrzejszego, jak pójść w ślady Kumaja. Głupota, jak powiadają, jest zaraźliwa. Tak więc dziewczyna zostanie i bez brata, i bez narzeczonego. Mam rację?

Haladdin jakiś czas nie odrywał wzroku od języków płomienia, płasających nad popiołem — dziwne, ognisko płonie i płonie, a przecież Nazgul nic do niego nie dorzucał. Miał poczucie, jakby Sharha-Rana naprawdę przyłapał go na czymś niegodnym. Co jest, do diabła?!

— Jednym słowem, panie doktorze, w głowie ma pan, przepraszam za wyrażenie, gęstą kaszę. Decyzje podejmować pan potrafi, ale żadnej logicznej konstrukcji nie doprowadza do końca — zjeżdża pan na emocje. Zresztą, w naszym przypadku to nawet, w pewnym sensie, dobrze. . .

— Co, mianowicie, dobrze?

— Widzi pan, decydując się przyjąć moją propozycję, podejmie pan walkę z przeciwnikiem, który jest nieskończenie silniejszy od pana. Jednakże pańskie działania są jakże często całkowicie irracjonalne, tak więc przewidzieć je będzie mu strasznie trudno. Oto w czym, być może, zasadza się nasza jedyna nadzieja.

## 16

— Ciekawe — rzucił Haladdin po krótkim namyśle. — Proszę mówić. Co to za propozycja, jestem zaintrygowany.

— Proszę poczekać, nie tak od razu. Najpierw muszę pana powiadomić, że pańska Sonia jest cała i zdrowa. Nawet względnie bezpieczna. . . Jednym słowem — może pan wyjechać z nią do Umbaru lub do Khandu. I tam kontynuować swoje badania. A w końcu właśnie nagromadzenie i zachowanie wiedzy. . .

— Może już dość, co?! — skrzywił się Haladdin. — Nigdzie się stąd nie wybieram. . . przecież to pan chciał usłyszeć, prawda?

— Prawda — skinął głową Sharha-Rana. — Ale człowiek powinien mieć wybór, a dla ludzi pańskiego pokroju to po trzykroć ważne.

— Właśnie, właśnie! Żeby pan mógł potem rozłożyć ręce i oświadczyć: „Przecież sam wlałeś w to bagno, chłopie. Nikt cię tam drzewcem halabardy nie popychał!” A jeśli ja w tej chwili powiem, żebyście mnie pocałowali z wszystkimi waszymi sprawami, i skoczę sobie do Umbaru, to co wtedy?

— Nie skoczy pan! Proszę nie myśleć, Haladdinie, że podpuszczam pana: tu będzie ogromnie dużo pracy, ciężkiej i śmiertelnie niebezpiecznej, tak więc będziemy potrzebowali każdego: żołnierza, mechanika, poety. . .

— A oni niby po co?

— „Oni” będą potrzebni kto wie, czy nie bardziej od innych. Musimy przecież ratować wszystko, co jeszcze można uratować na tej ziemi, ale przede wszystkim pamięć o tym, kim jesteśmy i kim byliśmy. Powinniśmy zachować ją, jak węgle pod popiołem — w katakumbach, w diasporze. . . A tu bez poetów nie można się obyć.

— Więc mam uczestniczyć w waszych „operacjach ratunkowych”?

— Pan — nie. Muszę panu zdradzić smutną tajemnicę: cała nasza dzisiejsza działalność w Mordorze w gruncie rzeczy niczego już nie może zmienić. Przegraliśmy najważniejszą bitwę w historii Ardy — magia Białej Rady i elfów pokonała magię Nazguli i teraz kielki rozumu i postępu, pozbawione naszej opieki, będą bezlitośnie wydarte z żyznego gruntu Śródziemia. Magiczne moce przebudują ten Świat według swego gustu i nie będzie w nim już miejsca na technologiczne cywilizacje, podobne do mordorskiej. Trójwymiarowa spirala Historii straci pionową

składową i opadnie w zamknięty cykl: miną wieki i tysiąclecia, ale zmieniać się będą tylko imiona królów i nazwy wygranych przez nich bitew. A ludzie... ludzie na zawsze zostaną żalnymi, skażonymi istotami, którym nie wolno unieść spojrzenia na Władców Świata, elfów: przecież tylko w zmieniającym się świecie śmiertelny może zmienić swe przekleństwo w błogosławieństwo i, doskonaląc się w łańcuchu pokoleń, wzbić się ponad nieśmiertelnych... Miną dwa, może trzy dziesięciolecia, i elfy zmienią Śródziemie w wystrzyżony i wypielęgnowany trawnik, a ludzi w zabawne domowe zwierzątka. Odbiorą im zupełny drobiazg — prawo do Aktu Tworzenia, a w zamian dadzą ogrom prostych i niewybrednych uciech. Zresztą, zapewniam pana, Haladdinie — wielu pójdzie na tę wymianę bez żadnego poczucia krzywdy.

— Ta większość mnie nie rusza — niech się sama martwi o siebie. Ale wynika z tego, że naszym największym wrogiem nie są Gondorczycy, a elfy?

— Gondorczycy są dokładnie takimi samymi ofiarami jak wy, i nie ma co o nich w ogóle mówić. Na dobrą sprawę, to i elfy nie są wrogami w zwyczajnym tego słowa znaczeniu. Czy można nazwać człowieka wrogiem jelenia? Zgoda, poluje na niego — też mi wielka rzecz, przecież w końcu również chroni. Z drugiej strony — człowiek opiewa moc starego samca, omdlewa na widok aksamitnych oczu sarenki, karmi z dłoni osieroczonego jelonka. Tak więc dzisiejsze okrucieństwo elfów — rzecz tymczasowa, w pewnym sensie, ale konieczna. Gdy Świat dojdzie do stanu niezmiennego, na pewno nie będą działały tak ostro. Ostatecznie zdolność do Aktu Tworzenia to bezapelacyjne odchylenie od normy, i takich ludzi można będzie leczyć, a nie zabijać, jak to się dzieje dziś. Zapewne też nie będą się tym nieśmiertelni zajmowali sami — znajdą się swoi, miejscowi... Już się wielu znalazło... Trzeba dodać, że ten elficki świat będzie całkiem niegłupi: stojący staw, jasna sprawa — w sensie estetycznym przegrywa ze strumieniem, ale kwitnące na jego powierzchni grzybienie są naprawdę przepiękne...

— Jasne. A jak można przeszkodzić w utworzeniu z całego naszego Śródziemia tego... bagna z zachwycającymi grzybieniami?

— Zaraz wszystko wyjaśnię, tylko zacząć muszę od początku, jakby dokoła. Szkoda, że nie jest pan matematykiem — byłoby łatwiej... Gdyby pan czegoś nie rozumiał proszę od razu pytać, dobrze? Tak więc, każdy z mieszkańców zasiedlonych Światów łączy w sobie dwie składowe. W rzeczywistości mowa jest o dwóch różnych światach — mają one własne prawa, ale współistnieją w jednej powłoce. Przyjęto mówić o nich: światy „fizyczny” i „magiczny”, chociaż nazwy te są umowne: magiczny świat jest zupełnie obiektywny, i w tym sensie fizyczny, a fizyczny ma szereg właściwości niespotykanych w fizyce, przez co można je uważać za magiczne. W przypadku Ardy są to odpowiednio: Śródziemie i Błogosławione Królestwo z zasiedlającymi je rozumnymi rasami — ludźmi i elfami. Światy te są względem siebie równoległe, a granica między nimi jest postrzegana przez ich mieszkańców nie jako rubież przestrzenna, a czasowa: każ-

dy świetnie wie, że nie ma teraz czarodziejów, a smoki i gobliny już nie istnieją. Jednak pradziadowie jego, niewątpliwie całe to bractwo znali. I tak z pokolenia na pokolenie. To nie jest jakiś wymysł, jak sądzi wielu, a zupełnie obiektywna konsekwencja dwuskładnikowej struktury zasiedlonych Światów. Mogę panu zademonstrować odpowiednie modele matematyczne, ale i tak pan tego nie pojmie. Na razie rozumie mnie pan?

— Całkowicie.

— Idźmy dalej. Z nieznanego powodu — może pan to uważać za dziwny kaprys Jedynego — w naszej Ardzie — i tylko w niej! — powstała bezpośrednia łączność między światami fizycznym i magicznym, która pozwala im mieszkańcom oddziaływać na siebie w realnej czasoprzestrzeni. Inaczej mówiąc, strzelać do siebie z łuków. Ten międzyprzestrzenny „korytarz” istnieje dzięki oddziaływaniu tak zwanego Zwierciadła. Powstało ono niegdyś w świecie magicznym (właśnie „powstało”, a nie „zostało wykonane”!) wraz z siódmką Kamieni Jasnowidzenia — palantirów i nie może istnieć samodzielnie bez nich. Chodzi o to, że i Zwierciadło i palantiry są produktami rozdzielenia jednej substancji — Odwiecznego Ognia.

— Zaraz, palantir, to chyba system nadprzestrzennej łączności, czy nie tak?

— Można go wykorzystać również w ten sposób. Ale można też, na przykład, wbijać nim gwoździe... Chociaż nie — śliski jest i okrągły. Ale jako obciążnik na pewno by się nadał! Proszę zrozumieć — każdy z tych magicznych przedmiotów dysponuje wieloma właściwościami i zastosowaniami, ale dla przeważającej większości z nich w naszym świecie nie ma nawet nazw i określeń. Dlatego są wykorzystywane do, diabli wiedzą, czego: palantiry dla łączności na wielkie odległości, a Zwierciadło do prymitywnego przepowiadania przyszłości... .

— Też mi „prymitywnego”!

— Zapewniam pana, że to naprawdę drobiazg z porównaniu z innymi jego możliwościami... . Poza tym, Zwierciadło przecież nie rysuje obiektywnego obrazu przyszłości Ardy, a jej warianty — właśnie warianty! — indywidualnych losów tej osoby, która do niego zagląda. Czy panu, uczonemu — eksperymentatorowi, muszę mówić, że pomiarowy przyrząd wpływa bezpośrednio na wynik pomiaru — a tu przecież przyrządem jest nie byle co, a człowiek, istota obdarzona wolną wolą... .

— No nie, cokolwiek pan powie... . Przepowiadanie przyszłości... . To robi wrażenie.

— Niechże pan da spokój z tym „przepowiadaniem przyszłości” — rzucił jakby skrzywiony z irytacji Sharha-Rana. — A zakłócenie zasady przyczynowości, nie robi na panu wrażenia?

— Cz-czego?

— Właśnie tego... . Do zasady przyczynowości przejdziemy później. Na razie musi pan zapamiętać, że palantiry — ogólnie rzecz biorąc — kontrolują prze-

strzeń, a Zwierciadło — czas. Teraz idźmy dalej. Chodzi o to, że dwa światy Ardy są asymetryczne względem dowolnego parametru, tak więc „kanał” między nimi działa bardzo wybiórczo. Na przykład, mnóstwo magicznych istot czuje się tu jak w domu, a odwiedzić Błogosławione Królestwo — a i to na krótko — udało się niewielkiej liczbie ludzi. Właśnie oni są nazywani w Śródziemiu magami.

— A Nazgule to też magowie?

— Oczywiście. Tak więc tę asymetrię równoważyła pewna okoliczność. Jakkolwiek niewielkie są możliwości magów w tamtym, sąsiednim świecie, to stało się tak, że właśnie im udało się zagarnąć Zwierciadło z palantirami i przenieśli te rzeczy właśnie tu, do Śródziemia. W sumie: elfy mogą zasiedlić Śródziemie, podczas gdy ludzie nie mogą zasiedlić Błogosławionych Królestw, ale przy tym kontrola nad międzyświatowym „kanałem” pozostaje w rękach magów — przedstawicieli tutejszego świata. Kontakty są możliwe, ale jakkolwiek ekspansja — nie. Jak pan widzi, Jedyny stworzył wyjątkowo dobrze przemyślany system. . .

— Tak, na zasadzie „podwójnego klucza”.

— Ma pan całkowitą rację. Nie przewidział tylko jednego: część magów tak się zachwyciła Błogosławionym Królestwem, że postanowiła za wszelką cenę przykroić Śródziemie na jego obraz i podobieństwo. Zjednoczyli się w Białej Radzie. Inni — którzy sformowali potem Kapitułę Nazguli — byli kategorycznie przeciwko. Czyż można, będąc przy zdrowych zmysłach i sprawnej pamięci, burzyć własny świat, by zbudować na jego ruinach gorszą kopię obcego? Każda ze stron miała swoje racje, obie szczerze chciały uczynić ludzi Śródziemia bardziej szczęśliwymi. . .

— Wszystko jasne. . .

— No właśnie. Gdy między Białą Radą i Nazgulami zaczęła się walka o przyszłość Śródziemia, i jedni, i drudzy zaczęli szybko szukać naturalnych sojuszników. My zaczęliśmy pomagać dynamicznym cywilizacjom centralnego Śródziemia — przede wszystkim Mordorowi, w pewnym też stopniu Umbarowi i Khandowi, natomiast ostoją Białej Rady stały się tradycyjne społeczności Północy i Zachodu, no i — to jasne — Zaczarowane Lasy. Najpierw Biali byli przekonani o swoim zwycięstwie. Stało się jednak tak, że na początku wojny i Zwierciadło, i niemal wszystkie palantiry znajdowały się w ich rękach. Oni rzeczywiście otworzyli Śródziemie dla elfickiej ekspansji, by zmobilizować przeciwko Mordorowi wszystkie magiczne siły, zarówno miejscowe, jak i obce. Biali magowie nie przewidzieli jednego: nasza droga, droga Wolności i Wiedzy, okazała się tak atrakcyjna, że wielu ludzi — najlepszych ludzi Śródziemia — przybyło, by stać się magiczną tarczą dla cywilizacji mordorskiej. Jeden po drugim byli miażdżeni uderzeniami magii Zachodu, ale na ich miejsce przychodzili inni. Jednym słowem, za wasz spokój zapłacono wysoką cenę, Haladdinie. Najwyższą. . .

— Dlaczego my sami nic o tym nie wiemy?

— Bo to was nie powinno dotyczyć. Opowiadam to teraz tylko w jednym

celu: przystępując do walki, proszę pamiętać, że walczy pan także i za nich... Ale to poetycka aluzja... Krótko mówiąc, układ był bardzo dla nas niedobry, ale potrafiliśmy za cenę wielu ofiar obronić cywilizację mordorską, a ta wyszła z niemowlęctwa. Jeszcze jakieś pięćdziesiąt, siedemdziesiąt lat i skończyłaby się u was rewolucja techniczna, a wtedy nie balibyście się już nawet diabła. Od tej chwili elfy, nikomu już nie wadząc, siedziałyby w swych Zaczarowanych Lasach, a reszta Śródziemia poszłaby waszą drogą. Wtedy, zrozumiawszy, że przegrywają rywalizację, magowie Białej Rady zdecydowali się na naprawdę straszliwy krok: wszczęli przeciwko Mordorowi wojnę na śmierć i życie, wciągnęli w nią bezpośrednio elfów, a jako zapłatę za sojusz przekazali im Zwierciadło.

— Przekazali Zwierciadło elfom?!

— Tak. To było najprawdziwsze szaleństwo. Przywódca Białej Rady, Saruman, który jest wystarczająco przewidującym człowiekiem, walczył z tym planem do ostatniej chwili, a gdy mimo to został on przyjęty, porzucił szeregi białych magów. Radzie zaczął przewodniczyć Gandalf — inicjator „Ostatecznego rozwiązania kwestii mordorskiej”.

— Zaraz, jaki Saruman? Czy to nie król Isengardu?

— On właśnie. Wszedł w czasowy sojusz z nami, ponieważ od razu zrozumiał, czym się skończy dla Śródziemia zabawa z mieszkańcami Zaczarowanych Lasów. Już dawno temu ostrzegał Białą Radę: „Wykorzystanie elfów w naszej walce z Mordorem to to samo, co podpalić dom, chcąc się pozbyć karaluchów...” Tak się, niestety, stało. Mordor leży w gruzach, a Zwierciadło znajduje się w Lorien, w rękach elfickiej Władczyni Galadrieli. Jeszcze trochę i elfy zmiotą Białą Radę, jak okruchy z obrusa, i będą rządzić całym Śródziemiem według swego „widzimisię”. Pamiętaj pan, jak mówiłem o zasadzie przyczynowości? Tak więc, najważniejsze, co odróżnia magiczny świat od naszego to to, że tam ta zasada nie obowiązuje, a dokładniej mówiąc — jej działanie jest bardzo ograniczone. Gdy tylko elfy poznają właściwości swego Zwierciadła, co nie jest takie proste nawet dla nich, bo przecież wcześniej nie mieli z nim do czynienia, i rozumieją, że daje im ono władzę również nad zasadą przyczynowości, natychmiast i na zawsze przekształca nasz Świat w zaplute pobocze Błogosławionego Królestwa.

— Więc wygląda, że żadnego wyjścia nie ma? — cicho zapytał Haladdin.

— Jest jedno. Na razie jeszcze jest. Śródziemie można uratować tylko całkowicie odizolowując je od świata magicznego. W tym celu należy zniszczyć Zwierciadło Galadrieli.

— Czy my możemy to zrobić? — Pełen zwątpienia lekarz pokręcił głową.

— My — jeśli mówimy o Nazgulach — nie. Już nie. Ale wy — konsyliarzu połowy drugiego stopnia Haladdinie — możecie. Właśnie pan, i nikt inny — od wskazującej go ręki Sharha-Rany powiało nagle jakimś nieziemskim chłodem — zdolny jest podrzeć osnowę magicznej siły elfów i zachować ten Świat takim, jaki jest.

## 17

Nastąpiła cisza. Oszołomiony Haladdin wpatrywał się w Nazgula, oczekując wyjaśnień.

— Tak jest, nie przesłyszał się pan, doktorze. Niech pan zrozumie, aktualnie w Mordorze wielu wspaniałych ludzi, również pańska Sonia, działają w naszej wspólnej sprawie. Walczą w partyzantce, ukrywają w bezpiecznych miejscach dzieci, tworzą tajne przechowalnie wiedzy... W każdej sekundzie nadstawiają karku w ruinach Barad-Dur, nurzają się w rzygowinach okupacyjnej administracji, umierają podczas tortur. Robią wszystko, co w ludzkiej mocy, nie myśląc o sobie i nie oczekując niczyjej wdzięczności. Ale od pana — rozumie pan, Haladdinie — od pana jednego zależy, czym ostatecznie będą te ofiary: zapłatą za przysługę zwycięstwo, czy po prostu przedłużeniem agonii. Rad bym uwolnić pana od tego straszliwego ciężaru, ale nie mogę. To pana przeznaczenie. Tak wypadło...

— Ależ nie, to po prostu jakaś pomyłka! — Haladdin pokręcił głową. — Coś tam nakręciliście... Przecież mówi pan: „złamać magię elfów”, a ja nie mam zielonego pojęcia o magii, zupełnie żadnego! Nie miałem nigdy żadnych magicznych zdolności... Nie potrafiłem nawet wykonać takiego drobiazgu jak znalezienie ukrytego przedmiotu za pomocą różdżki.

— Nawet pan nie podejrzewa jak bliski jest sedna sprawy! Taki całkowity brak magicznych zdolności, jak w pańskim przypadku to rzecz niezmiernie rzadka, niemal niemożliwa. Proszę zrozumieć: przyroda pozbawiła was strzał i miecza, ale wyposażyła w zamian we wspaniałą tarczę: człowiek całkowicie pozbawiony magicznych zdolności, sam jest absolutnie odporny na obce magiczne oddziaływania. Elfy teraz stały się tak mocne, że bez żadnych problemów zetrą na pył każdego czarodzieja, ale z panem będą musiały grać według reguł świata racjonalnego — a tu atuty rozkładają się już bardziej równomiernie. No i do tego ta pańska skłonność do nieprzewidywalnych emocjonalnych decyzji. To też, między nami mówiąc, pewna trudność... Szczerze mówiąc, szansę na zwycięstwo są i tak niewielkie, ale w innych wariantach w ogóle ich nie ma.

— Ale proszę zrozumieć, że nie mogę podjąć się zadania, o którym nie mam żadnego pojęcia. — Haladdin był w rozpacz. — Sam zginę — pal lichu, ale przecież pogrzebię wysiłek tylu ludzi... Nie, nie mogę. Poza tym, co z Sonią? Prze-

cież powiedział pan, że jest bezpieczna i możemy wyjechać do Umbaru. A teraz dowiaduję się, że pracuje dla was. No to jak jest?

— Co do Soni, to proszę się nie martwić — to zuch dziewczyna. Widziałem ją w Barad-Dur. Miasto płonęło przez kilka dni z rzędu, ci z zachodu też nie mogli do niego wejść. W piwnicach było pełno ludzi — dzieci, ranni... A ona zajmowała się właśnie wyszukiwaniem ludzi w ruinach i dokonywała czasem rzeczy zupełnie niewiarygodnych. Pan też musi znać ten jej dar — całkowity brak lęku o własne życie. Kobiety w ogóle częściej niż mężczyźni posiadają tę właściwość, nie sądzi pan? Proszę zrozumieć, człowiekowi, który niczego się nie boi, nic nie może się stać — zasłużenie w tym oddziale sanitarnym uważano ją za talizman. To jest prawdziwa stara magia, a nie jakieś tanie zaklęcia, proszę uwierzyć słowu zawodowca. Teraz Sonia jest w jednej z naszych kryjówek w Górach Popielnych — trzydzieści sześć dzieciaków z Barad-Dur i „mama Sonia”. Tam jest naprawdę bezpiecznie... .

— Dzięki.

— Nie ma za co, po prostu jest we właściwym miejscu... Niech pan posłucha, Haladdinie, ja, jak mi się wydaje, całkowicie zastraszyłem pana tym patetycznym przemówieniem. Proszę nie mieć takiej pogrzebowej miny! Niech pan przywoła na pomoc swój zdrowy cynizm i popatrz na tę historię jak na czysto naukowy, teoretyczny problem. Takie, wie pan, ćwiczenie umysłowe ułożenie łamigłówki.

— Panu, jak mi się wydaje — odparł Haladdin z pochmurną miną — powinno być wiadome, że uczony i palcem nie kiwnie, jeśli nie ma pewności, że w jego ręku są wszystkie kawałki łamigłówki, a jej ułożenie jest w ogóle możliwe. Nauka nie zajmuje się szukaniem czarnego kota w ciemnym pokoju, w którym nigdy kota nie było. To domena filozofów... .

— Co do tego mogę pana uspokoić: w tym ciemnym pokoju czarny kot jest, to gwarantuję. Problem tylko w tym, żeby go schwytać. Tak więc — zadanie. Dane: wielki gabarytowo magiczny kryształ, umownie nazywany Zwierciadłem, znajdujący się w samym sercu Złotego Lasu, w Lorien, w posiadaniu elfickiej Władczynie Galadrieli. Należy zniszczyć wspomniany kryształ. Spróbujemy?

— Parametry kryształu? — Bez szczególnej ochoty, ale włączył się jednak do zabawy Haladdin.

— Proszę pytać!

— N-no... Na początek kształt, może wymiary, waga... .

— Kształt — ziarno soczewicy. Wymiary — półtora jarda średnicy, stopa grubości. Waga — około dziesięciu cetnarów, jeden człowiek nie uniesie. Prócz tego pewnie będzie w jakiejś metalowej oprawie.

— Tak... No dobrze, a wytrzymałość?

— Absolutna. Taka sama jak palantirów.

— Jak mam to rozumieć — „absolutna”?

— Wprost — nie da się rozwalić.



— No to... No to jak, przepraszam, mam je...?

— Tą wiedzę — głos Nazgula nagle nabrał twardości, rozległ się w nim metal oficerskiego tonu — pan już dysponuje. Proszę tylko wyteżyc pamięć.

„Diabli nadali. Zwalił mi się na głowę... Może pogonić go stąd, co? Zaraz, zaraz... Co on mi powiedział o Zwierciadle i palantirach?”

— Zwierciadło i palantiry... powstały w wyniku podziału Odwiecznego Ognia... Żarem, pewnie on może je zniszczyć, czy tak?

— Brawo, Haladdinie! Właśnie tak i w żaden inny sposób.

— Zaraz, spokojnie, a skąd go wziąć, ten Odwieczny Ogień?

— Ma pan do dyspozycji całą Orodruinę.

— Żarty się pana trzymają? Gdzie Orodruina, a gdzie Lorien?

— Na tym właśnie — rozłożył ręce Sharha-Rana — polega pańskie zadanie.

— Hm... — pokręcił głową Haladdin. — Takie buty... Znaczy tak: przedostać się do elfickiej stolicy to raz — zagiął palec.

— Wykiwać tamtejszą królową to dwa, buchnąć jej medalionik o wadze dziesięciu cetnarów to trzy. Dowlec go do Orodruiny to już cztery... No, na to, że trzeba go jeszcze wepchnąć do Orodruiny, nie będziemy ustalali oddzielnego punktu... A na to wszystko mam czasu... eee?

— Trzy miesiące — suchym tonem rzucił Nazgul. — Dokładniej mówiąc — sto dni. Jeśli nie wyrobi się pan do pierwszego sierpnia, można zwijać siły: nic już nikomu nie będzie potrzebne.

Dla spokoju sumienia przez dłuższą chwilę naprawdę rozkładał w głowie ten szalony pasjans. Ale nie, gdzie tam — po czym, z widoczną ulgą, powiedział:

— Dobrze, Sharha-Rana, poddaję się. Niech pan poda rozwiązanie.

— Nie znam go — spokojnie odpowiedział Nozgul. I zwróciwszy ku gwiazdom to, co kiedyś było jego obliczem, wymamrotał z dziwnym smutkiem: — Jak ten czas leci. Już niecała godzina...

— J-jak to, nie zna pan? — w końcu wykrztusił Haladdin. — Przecież pan powiedział, że rozwiązanie istnieje!

— Prawda. Rozwiązanie rzeczywiście istnieje, ale ja osobiście go nie znam. A nawet gdybym znał, to nie miałbym prawa go podać, gdyż to pogrzebałoby od razu cały ten pomysł. Według reguł gry powinien pan przejść tę drogę samodzielnie. To nie znaczy, że musi pan iść samotnie — w tym już pana głowa. Może pan otrzymywać techniczną pomoc innych ludzi, ale wszystkie decyzje muszą być własne. Ja ze swej strony, gotów jestem przekazać dowolne informacje, które mogą się przydać w misji — ale żadnych konkretnych podpowiedzi. Proszę wyobrazić sobie, że to nie ja stoję przed panem, a jakaś tam Encyklopedia Ardy. Ale jedno trzeba mieć na uwadze: ma pan do dyspozycji niecałą godzinę.

— Dowolne informacje? — Ciekawość wzięła górę na wszelkimi innymi odczuciami.

— Dowolne, byle nie magiczne informacje — sprecyzował Nazgul. — Wszystko, co tylko dusza zapagnie: o technologii produkcji mithrilu, o elfickich dynastiach, o Pierścieniu Wszechwładzy, o zakonspirowanej mordorskiej agenturze w Minas Tirith czy Umbarze. . . Proszę pytać, Haladdinie.

— Proszę poczekać! Pan powiedział — „byle nie magiczną”, a sam wspomniał o Pierścieniu Władzy. Jakże to?

— Pamięta pan — nieco rozdrażnionym tonem odezwał się Sharha-Rana — że zostało — znowu podniósł głowę do góry — jakieś pięćdziesiąt minut? Daje panu słowo honoru, że ta głupia historia, a nie było w niej nawet śladu magii, nie ma żadnego związku z pańską misją!

— A takie stwierdzenie, nawiasem mówiąc, jest już bezpośrednią odpowiedzią!

— Trafiony! Dobrze, niech pan słucha, skoro nie żał panu czasu. Pan decyduje, co jest ważne, a co nie.

Haladdin sam już pożałował, że zadał pytanie, ponieważ zrozumiał — wspomnienia te nie są specjalnie przyjemnie dla Sharha-Rany. Ten jednakże, już zaczął opowieść, i Haladdinowi znowu wydało się, że w mroku pod kapturem błądzi bezcielesny, sarkastyczny uśmiezek.

— Była to jedna z wielu naszych prób skłócenia Zachodnich sojuszników, z której, niestety, nic nie wyszło. Wykonaliśmy wspaniały pierścień, nad którym ślęczeli nasi najlepsi metalurdzy, rozpuściliśmy wieści, o tym, że daje on jakoby władzę nad całym Śródziemem, i przerzuciliśmy go przez Anduinę. Mieliśmy nadzieję, że Rohirrimowie i Gondorczyce wezmą się za gardła z jego powodu. . . Tak się stało, rzeczywiście połknęli przynętę razem z żyłką i spławikiem. Ale Gandalf. . . ! Gandalf od razu wyczuł, skąd wiatr wieje. Chcąc więc uratować koalicję od rozpadu, owinał sobie wszystkich wokół palca: pierwszy dotarł do Pierścienia, przejął go, ale nie chciał przechowywać czy ukrywać — spowodował tylko, że zaginął.

Schował go uczciwie. Nasz wywiad dwa lata męczył się, żeby wymacać trop. Okazało się, że Pierścień jest w Shire — to taka dziura na skraju północnego zachodu: rzeźbione okładziny okien, malwy przed domami i świnia w kałuży na środku głównej ulicy. . . No to, co mieliśmy zrobić? Ani Gondorczyce, ani Rohirrimowie do tego Shire’u nie zaglądali nigdy w życiu. Gdybyśmy wykradli Pierścień i ponownie dokonali przerzutu przez Anduinę — nasze uszy sterczałyby z tej historii na dobry sążęń, wszyscy wiedzieliby, kto się wtrącił. Wtedy zrodził się pomysł. Będziemy udawać, że też polujemy na ten Pierścień i wystraszymy jego właściciela. I postanowiliśmy, jak ostatni głupcy, że my sami, Nazgule, to zrobimy. A co to za problem — jedna noga tu, druga tam. . . No i, po durnemu wzięliśmy się do dzieła, a to była, delikatnie mówiąc, nie nasza kompetencja. Dyletant zostanie dyletantem, choćby miał sześć rozumów. Para prawdziwych zwiadowców sto razy lepiej by się z tym uwinęła niż my, niż cała nasza Kapituła. . .

W sumie Nazgul może przybierać dowolną postać, ale wtedy wyglądaliśmy jak ja teraz. Pan, człowiek wykształcony, też zbladł onegdaj, a co mieli tamci powiedzieć? Przecież to buraki. . . Krótko mówiąc, ubraliśmy się możliwie przerażająco, przejechaliśmy się po tamtej okolicy w pełnym rynsztunku, niemal wrzeszcząc na każdym rogu: „A gdzie tu mieszka taki to a taki, władca Pierścienia Władzy?”

„Dawać go tu!” Dobrze, że oni tam nie mają nie tylko kontrwywiadu, ale i policji! Fachowcy od razu by skapowali: „Hej, nie tak, chłopcy, coś nie tak. Gdy ktoś naprawdę szuka człowieka, to nie tak to robi!” Ale te wiejskie gamonie — posiadacz Pierścienia i jego kolesie — nie mieli rzecz jasna wątpliwości w nasze intencje. Tak więc, goniliśmy ich spokojnie na Wschód, lekko strasząc, żeby nie przesiadywali w oberżach.

A tymczasem nasi ludzie naprowadzili na nich gondorskiego księcia Boromira. Bo to dla niego, prawdę mówiąc, cała ta zabawa była wszczęta: on za Pierścień Władzy był gotów z kości własnego ojca klajster ugotować. I gdy księżę dołączył do drużyny — a już i inni się dołączyli — pomyśleliśmy sobie, że już jest cacy, że nie musimy za nimi się szwendać i denerwować biedaków. Myśleliśmy: — „Teraz nasz pierścionek do Minas Tirith dotrze w całości i w znakomitej kompanii”. Przekazaliśmy popędzanie drużyny oddziałowi orokuenów i zapomnieliśmy o sprawie. I zapłaciliśmy za to straszną cenę. Wyszli nasi na brzeg Anduiny, patrzą — pogrzebowa łódź. Boromir. Cześć i czołem. . . Widać coś tam w drużynie nie tak poszło, i byli w niej chłopcy mocniejsze niż on. No i ślad po Pierścieniu zaginął. A tak szczerze mówiąc, to nikt go nie szukał. Inne sprawy zaprzętnęły nasze głowy.

W sumie wygłupiliśmy się tragicznie, nie ma co. Do dziś wstyd przypomnieć sobie. . . No to jak, doktorze, rozbawiła pana ta pouczająca nowelka? Ale widzę, że nie słucał pan wcale. . .

— Proszę mi wybaczyć, Sharha-Rano! — Haladdin oderwał w końcu wzrok od przezroczystopomarańczowych węgli i nagle uśmiechnął się. — Ta opowieść natchnęła mnie w dziwny sposób pewnym pomysłem. I — tak mi się wydaje — znalazłem rozwiązanie naszej łamigłówki. . . W każdym razie, pewne podejście do rozwiązania. Czy według warunków tej gry mogę je przekazać panu? Czy to będzie uważane za podpowiedź?

## 18

— Nie — po chwili namysłu odpowiedział Sharha-Rana. — Mam na myśli, że nie będzie. Niech pan opowie, co wymyślił.

— Ale najpierw pan mi opowie o palantirach, dobrze?

— Ile tylko dusza zapagnie. To są również magiczne kryształy. Pana, z właściwym mu ograniczeniem magicznej dyspozycji, mogą zainteresować wyłącznie jako środki łączności. Wszystko, co otacza jeden kryształ, może zostać przekazane drugiemu — obrazy, dźwięki, zapachy. Podkreślam, że przekazywana jest nie informacja o tym otoczeniu, a ono samo. Wytłumaczenie tego, jak się to odbywa jest zadaniem dość trudnym, a panu ta wiedza na nic się nie przyda. Myśli i uczucia wcale nie są przekazywane, to wszystko bzdury i opowiadki. Palantir może odbierać informację i może ją nadawać. Może też pracować w trybie jednoczesnym. Teoretycznie możliwy jest równoczesny kontakt kilku kryształów, ale to jest bardzo skomplikowana sprawa.

— A jak wygląda taki palantir?

— Kula z mlecznego kryształu o wymiarach głowy dziecka.

— Aha, przynajmniej da się przenosić, to już plus... No to tak: siedem palantirów i Zwierciadło tworzą system i pojedynczo nie istnieją, prawda? Dlatego można zamiast tego Zwierciadła wrzucić do Orodruiiny palantiry i uzyskamy ten sam wynik! A pan mi zaraz powie, gdzie ich szukać. Może tak być?

— Hm... Sprytne! Ale, niestety, technicznie niewykonalne. W każdym razie, ja tak oceniam. Przecież potrzebuje pan całej siódemki, bez wyjątku, ponieważ inaczej nic z tego nie wyjdzie, a niektóre palantiry są praktycznie nieosiągalne. U nas w Mordorze jest jeden, z nim nie ma problemu. Palantir Denethora, jak sądzimy, przejął Aragorn. Sarumana dostał się Gandalfowi... Do tych, przynajmniej teoretycznie, można by było dotrzeć. To już trzy. Ale jest jeszcze palantir elfów zachodnich. Tamtejszy Władca, Kirdan, przechowuje go w wieży na Emyn Beraid — a czy to lepsze od Lorien? Tyle że droga dalsza... No i na koniec — palantir Osgiliath, wrzucony niegdyś do wód Anduiny. Gdzie go teraz szukać? Do tego dwa arnorskie, z Annuminas i wieży Amon Sul — te są na zatopionym statku, na dnie Zatoki Lodowej. Jeśli pan chce, mogę panu podać dokładne namiary, ale nie widzę, jak miałyby to panu pomóc...

Haladdin poczuł, że palą go koniuszki uszu. Bezcelny z niego szczeniak! W ciągu trzech minut chciał rozwiązać zagadkę, którą największy matematyk wszechczasów rozgryza pewnie nie pierwszy już rok... Niesłuchanie się więc zdziwił, gdy usłyszał słowa Sharha-Rany:

— Zuch z pana, Haladdinie... Jeśli mam być zupełnie szczery, to dopiero teraz się uspokoiłem: wygląda, że pan naprawdę wziął się za układanie tej łami-główki, i już nic pana nie zatrzyma.

— Zgoda, zręcznie mnie pan wpuścił w tę sprawę — mruknął konsyliarz — nie ma co. A tak przy okazji, gdzie jest ukryty nasz, mordorski palantir? Pytam tak, na wszelki wypadek...

— Proszę się domyślić. Cerleg nauczył pana czegoś przez ten miesiąc, czyż nie?

— Ale zadania pan wymyśla! Niech przynajmniej wiem, kiedy go ukryto?

— Od razu po bitwie na Polach Kormallen, kiedy stało się jasne, że Mordor upadnie.

— Aha... — Pograżył się na kilka minut w rozmyślaniach.

— No to rozważmy najpierw, gdzie na pewno być nie może: we wszystkich naszych schronieniach, bazach partyzanckich, i tak dalej, i tak dalej. Chyba nie muszę wyjaśniać?

— Mnie nie. Proszę dalej.

— W samym Barad-Dur, mimo jego wspaniałych kryjówek, na pewno nie był ukrywany — miasto czekał szturm i pożary...

— Logiczne.

— Przeprowadzić za granicę — trudno i niebezpiecznie. Po pierwsze, właśnie w tym czasie w okolicach Kormallen, można było tysiąc razy zginać na drodze, po drugie, kto tam wie, jak będą się zachowywali agenci po porażce... Chociaż kuszące jest, nie powiem, ukrycie gdzieś, na przykład, w Minas Tirith!

— N-n-n-no? Dobrze, przyjęte.

— Pieczary, porzucone sztolnie, stare studnie — odrzucamy: dokoła takich miejsc zbiera się zazwyczaj więcej ludzi, niż by ktoś myślał. Z tego samego powodu nie można go utopić, przywiązawszy do jakiejś boi, w jakimś sympatycznym zalewie Nurn: rybacy są ciekawscy.

— Znowu racja.

— Krótko mówiąc, zakopałbym go gdzieś w bezludnym i nic nieznaczącym miejscu, w górach lub pustyni, dobrze zapamiętując punkty orientacyjne. Jest tu rzecz jasna pewne ryzyko: przyjdiesz tam po pięciu latach, a głaz, pod którym był ukryty, wraz z całym zboczem zmiotło do wody... Albo nie, zaraz! Mam jeszcze jeden znakomity wariant! Porzucone ruiny z prawdziwymi sekretnymi kryjówkami, daleko od najbliższych zamieszkałych punktów, ruiny, do których nikt normalny nie będzie się pchał — coś, jak Minas Morgul albo Dol Guldur.

— Ta-a-ak... — przeciągnął Nazgul. — Widzę, że ryzykownie jest z panem zadzierać... Wszystko się zgadza — Dol Guldur. Sam go tam odwiozłem. W tamtą stronę na szybowcu, z powrotem pieszo. Sam byłem, katapulty startowej nie miał kto uruchomić... Palantir znajduje się w trybie „odbiór” i jest niewidoczny dla pozostałych kryształów. Leży w kryjówce za sześciokątnym kamieniem w tylnej ścianie kominka w Wielkiej Sali. Zaszyty jest w rogożę ze srebrnym splotem, przez co śmiało można go brać w ręce. Rygle w skrytce ukazują się przy jednoczesnym naciśnięciu na sąsiedni romboidalny kamień i na lewy dolny w kominkowej ścianie, sięgnąć go można tylko nogą. Proszę zapamiętać, powtarzać nie będę.

— A czy mogę wykorzystać ten palantir?

— A dlaczego nie?

— No, to jest magiczny kryształ, a pan powiedział, że z żadną magią nie powinienem mieć nic wspólnego.

— Kryształ jest magiczny — cierpliwie wyjaśniał Sharha-Rana — ale łączność nie. Jeśli będzie pan używał palantiru jako obciążenia do sieci, to schwytane ryby wcale nie staną się tymi, które spełniają życzenia.

— No to, proszę przy okazji powiedzieć, jak można z niego korzystać.

— A z kim zamierza pan za jego pośrednictwem się komunikować? Z Gandalfem? Zresztą, to pańska sprawa... W zasadzie nie ma w tym nic skomplikowanego. Ma pan jakieś pojęcie o optyce?

— Na poziomie jednego roku uniwersyteckiego.

— Jasne. No to lepiej metodą „palcową”. Wewnątrz palantira są dwie stale płonące pomarańczowe iskierki. Łącząca je linia odpowiada głównej optycznej osi kryształu...

Haladdin w milczeniu słuchał instruktażu Nazgula, dziwiąc się jak precyzyjnie tamten rozmieszcza tę skomplikowaną i bardzo obszerną informację na półeczkach jego pamięci. Potem zaczęły się rzeczy w ogóle niepojęte — tempo objaśnień Sharha-Rany wzrastało, a może to czas spowalniał bieg — nie zdziwiłby się Haladdin już niczemu — i chociaż umysł konsyliarza przyjmował w jednej określonej chwili tylko jeden zwrot — hieroglif nie mający związku z kontekstem — to był całkowicie przekonany, że w potrzebnym momencie wszystkie te wiadomości o partyzanckich oddziałach w Górach Popielnych i pałacowych intrygach w Minas Tirith, o topografii Lorien i hasłach do kontaktowania się z mordorskimi rezydentami we wszystkich stolicach Śródziemia natychmiast pojawią się w jego pamięci. I kiedy opowieść niespodziewanie się skończyła, a obozowisko zalała grząska, jakby zgęstniała z zimna przedświtowa cisza, pierwszą jego myślą było: natychmiast trzeba znaleźć w apteczce Eloara truciznę i odtąd nigdy się już z nią nie rozstawać. W życiu wszystko może się zdarzyć, a on teraz wie o takich rzeczach, że przenigdy, w żadnych okolicznościach nie powinien dostać się w łapy wroga.

— Haladdinie! — rzekł Sharha-Rana, głos był niezwykajnie cichy i rwący się, jakby Nazgul tracił oddech z powodu długiej wspinaczki. — Podejdź do

mnie...

„Chyba naprawdę źle się czuje — dotarło do Haladdina. — Jak mogłem tego nie zauważyć, głąb nieszczęsny... Co mu jest? Chyba serce...” Ta myśl — „serce widma” — dlaczego nie wydawała mu się głupia w tamtej chwili, ani potem, kiedy przestał mieć wątpliwości? Koniec! Na co, jak na co, ale na zgony napatrzył się przez te lata do syta. Głowa siedzącego kiwnęła się bezwładnie, a Nazgul dotknął dłonią ramienia klęczącego przed sobą człowieka.

— Wszystko zrozumiałeś? Wszystko, co ci powiedziałem? Haladdin tylko skinął głową — w gardle ugrzęzło mu coś chropowatego.

— Nic więcej nie mogę ci dać. Wybacz... Tylko jeszcze ten pierścień...

— Czy to przeze mnie? Przez to, że pan... dla mnie?

— Nic nie jest za darmo, Haladdinie. Poczekaj... Pozwól, że się o ciebie oprę... O tak. Czas już się skończył, ale zdążyłem. Mimo wszystko zdążyłem. Nic więcej nie jest ważne. Dalej pójdziesz sam...

Sharha-Rana jakiś czas milczał, gromadząc siły, potem zaczął mówić, a jego mowa niemal odzyskała poprzednią płynność:

— Teraz zdejmę zaklęcia ze swego pierścienia, i... Jednym słowem — nie będzie mnie już... A ty weźmiesz go i otrzymasz prawo, w razie potrzeby, działania w imieniu Kapituły. Pierścień Nazgula jest odlany z inoceranium: to bardzo rzadki metal szlachetny, o jedną trzecią cięższy od złota. Nie da się go z niczym pomylić. Ludzie boją się tych pierścieni i słusznie. Twój, natomiast, będzie czysty — żadnej magii, ale wiedzieć o tym będziesz tylko ty. Nie będziesz się bał?

— Nie. Dobrze zapamiętałem twoje słowa: „Człowiekowi, który niczego się nie boi, nic nie może się stać”. Czy to naprawdę starożytna magia?

— Najstarsza, starszej już nie ma.

Nagle zrozumiał, że Sharha-Rana usiłuje się uśmiechnąć i nie może: ciemność pod jego kapturem, niedawno jeszcze zmienna i żywa jak nocny strumień, stała się podobna do brykietu z pyłu węglowego.

— Żegnaj, Haladdinie. Pamiętaj: masz w ręku wszystko, czego potrzebujesz do zwycięstwa. Powtarzaj to sobie jak zaklęcie i niczego się nie bój. A teraz trzymaj i... Odwróć się.

— Żegnaj Sharha-Rana. Wszystko będzie dobrze, niech się pan nie obawia.

Ostrożnie przyjął od Nazgula matowo połyskujący ciężki pierścień, posłusznie odszedł na bok i nie widział już, jak jego gość odrzuca kaptur. Dopiero gdy usłyszał za plecami jęk, przepełniony taką męką, że serce jego niemal się zatrzymało — oto co znaczy: „Cały ból Świata, cały strach Świata, cała rozpacz Świata”! — odwrócił się, ale w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą siedział Sharha-Rana, nie było już nic, prócz topniejących w oczach łachmanów czarnego płaszcza.

— Czy to ty krzyczałeś?

Haladdin obejrzał się. Błyskawicznie podrywający się na nogi przyjaciele —

baron jeszcze odruchowo wodził dokoła siebie złowieszczo połyskującym Usypiaczem — ponuro wpatrywali się w niego, oczekując wyjaśnień.



## 19

Zapewne specjalista od tajnych operacji działałby inaczej, ale on takowym nie był i dlatego po prostu opowiedział im wszystko, nie obciążając, to jasne, umysłu orokuenta wszelkimi „światami równoległymi”. Tak więc, odwiedził go Nazgul — oto na dowód pierścień — i powiedział, że niby on, Haladdin, jest jedynym człowiekiem, który może przeszkodzić elfom planującym zamianę całego Śródziemia w swoją posiadłość, a ludzi w niewolników. W tym celu musi zniszczyć Zwierciadło Galadrieli. Termin — sto dni. Postanowił podjąć się tej misji — skoro tak się złożyło, że poza nim nie ma kto tego uczynić. Jak zacząć misję, nie ma pojęcia, ale może coś się wymyśli.

Cerleg obejrzał dokładnie pierścień, ale do ręki — czy ja głupi?! — nie wziął. Strzeżonego Jedyny strzeże. Niewątpliwie lekarz wzniosł się teraz w jego oczach na niebotyczną wysokość. A Nazgule odwrotnie — spadły: posłać człowieka na pewną śmierć, to nic dziwnego, to naturalne, to wojna, ale postawić przed podwładnym z góry niewykonalne zadanie. . . Krótko mówiąc, prawdziwy frontowy oficer tak by nie postąpił. To szereg niewykonalnych zadań. Raz — przedostać się do Lorien, do którego nigdy jeszcze nie przeniknął żaden człowiek. Dwa — znaleźć w ostoi wroga, nie wiadomo gdzie, ukryty i zapewne dobrze chroniony obiekt, którego nie da się zniszczyć na miejscu. Trzy — wykraść obiekt, o wadze i wymiarach wykluczających kradzież, i cztery — taszczyć go na sobie, diabli wiedzą gdzie. . . W każdym razie, póki on, dowódca plutonu zwiadu kirithungolskiego pułku, Cerleg, nie otrzyma wyraźnego zadania, do tego czasu nawet palcem nie kiwnie. W te głupie zabawy: „Idź nie wiadomo dokąd, przynieś — nie wiadomo co” bawić się nie zamierza. . . To są pańskie problemy, panie konsyliarzu połowy drugiego stopnia — to pan, nawiasem mówiąc, jest starszy rangą.

Tangorn rzucił krótko:

— Jestem dwukrotnym pańskim dłużnikiem, Haladdinie. Tak więc jeśli „trzeci miecz Gondoru” może w czymś pomóc w tej misji, to jest on do pańskiej dyspozycji. Ale kapral ma rację: pchać się do Lorien to zwyczajne samobójstwo. Odbierze nam to wszystkie szanse, co do jednej. Trzeba wymyślić jakiś manewr maskująco-mylący, a to, jak zrozumiałem, pańska domena.

Wyszło więc tak, że położył się spać pod koniec nocy, jako dowódca trzyosobowego oddziału, przy czym obaj jego podwładni byli znakomitymi zawodowcami, nie to, co on, i oczekiwali od niego wyraźnie postawionego zadania, jakiego — niestety! — nie potrafił przed nimi postawić.

Cały następny dzień Haladdin przesiedział w obozie przy strumyku; zauważył, że towarzysze nie nachalnie, ale skutecznie odsuwają go od wszelkich prac gospodarczych („Twoje zadanie to myślenie”), i bardzo niezadowolony odnotował, że nie potrafi „myśleć na zamówienie” — żeby pękł. Kapral co nieco opowiedział mu o Lorien — miał przyjemność brania udziału w rajdzie po obrzeżu Złotego Lasu — o ścieżkach starannie obsadzonych słupkami, na których suszyły się czerepy nieproszonych gości; o śmiercionośnych pułapkach i lotnych oddziałach łuczników, zasypujących deszczem zatrutych strzał i natychmiast znikających bez śladu w nieprzebytych gęstwinach; o ruczajach, których wody wywołują u człowieka nieodpartą senność, i o złocisto-zielonych ptakach, które zbierają się stadami nad każdą żywą istotą i bezbłędnie demaskują ją swym cudownym śpiewem. Zestawiwszy to wszystko z tym, co opowiedział mu o upodobaniach i obyczajach leśnych elfów Sharha-Rana, zrozumiał, że społeczność elfów jest szczelnie zamknięta dla obcych, a próba przeniknięcia do Złotego Lasu bez miejscowego przewodnika skończy się na pierwszej mili.

Przez jakiś czas obracał w myślach inny wariant, z wykorzystaniem szybowca, który, jak pamiętał, Sharha-Rana zostawił w Dol Guldur skąd właśnie Mordorczycy dokonywali wcześniej rzadkich patrolowych lotów nad Lorien. No dobrze, doleci, niech nawet nie on sam, a ktoś, kto ma pojęcie o pilotowaniu do elfickiej stolicy i zdoła wylądować tam na jakiejś polanie. Niech nawet ukradnie, czy po walce porwie Zwierciadło... Przepuścimy przez chwilę, że to się uda. Ale co dalej? Jak je stamtąd wyciągnąć? Szybowcowej katapulty tam nie ma, bo i skąd by się miała wziąć, poza tym, kto by ją uruchomił? Na dodatek nie ma na świecie takiego szybowca, który uniósłby ciężar dziesięciu cetnarów. Tak, od tej strony też nic nie wychodzi... Może wziąć do niewoli jakiegoś elfickiego notabla i zmusić go, by przeprowadził ich przez wszystkie pułapki Złotego Lasu? A ten zapewne wprowadzi ich natychmiast w zasadzkę. Spośród tego, czego dowiedział się o mieszkańcach Lorien, pewnikiem było, że elf przedłoży śmierć nad zdradę...

Nie pominął również zapisków znalezionych wśród bagaży Eloara. Przeważały w nich zwyczajne notatki z podróży, jedynym treściwym tekstem był nie wysłany list, zaczynający się od słów „Kochana Mateńko!” i zaadresowany do „Lady Eornis, klofoeli Władczyni”. Niemal połowę stanowił znakomity co do swej artystycznej wyrazistości opis doliny rzeki Nimrodel — z tym miejscem wiązały się jego i matki, jak się wydawało, szczególnie miłe wspomnienia. W ogóle wydawało się, że wspomnienia lasów mallornowych, gdzie olbrzymy te sięgają nieba, a w szmaragdowej trawie kryją się złote dywany elanorów, służyły elfowi duchowym oparciem wśród nienawistnych mordorskich piasków. Eloar niepokoił

się także, czy prawdą są pogłoski o zerwaniu jego kuzynki Linoel z narzeczo-  
nym, wyrażał złość na swego starszego brata Elandara, zapytując, po co budzi  
nieziszczalne nadzieje w duszach swych podopiecznych z Gondoru i Umbaru,  
dzielił swą radość z matką — wszak właśnie jej w tym roku przypadł w udzia-  
le niezwykle przywilej organizowania letniego Święta Tańczących Świetlików...  
I wiele innych drobiazgów w podobnym stylu. To, że rodzina Eloara znajduje się  
w najprawdziwszej elfickiej elicie (dla elfickiego określenia „klofoela”, jak wie-  
dział z wyjaśnień Sharha-Rany, trudno znaleźć dokładny odpowiednik — ni to  
dama dworu, ni królewski doradca) domyślali się wcześniej. To, że elfy realizują  
sekretny plan przenikania do różnych państw Śródziemia, a zarządza tą działal-  
nością między innymi niejaki Elandar, na pewno zainteresuje tamtejsze władze  
i służby wywiadowcze, ale dla ich misji nie ma to specjalnego znaczenia... Jed-  
nym słowem: tu też kiepsko.

Haladdin męczył się tak cały dzień, pół nocy spędził przy ognisku przy naj-  
mocniejszej z możliwych herbacie i, nic nie wymyśliwszy, obudził Cerlega, by  
ułożyć się do snu — ranoek mądrzejszy bywa od wieczora. Trzeba powiedzieć, że  
patrząc na spokojnie i metodycznie przygotowujących się do wyprawy towarzy-  
szy, postanowił twardo: będzie ziemię darł pazurami, ale wymyśli przynajmniej  
jakieś pośrednie rozwiązanie. Nawet on rozumiał, że wojsko stojące dzień po dniu  
bez celu, bez wyraźnego rozkazu, mięknie na kisiel.

Spał tej nocy fatalnie, kilka razy budził się i dopiero o świcie zasnął głębo-  
kim snem. Zobaczył we śnie wspaniały cyrk i siebie, drugoklasistę, który uciekł  
z lekcji — odstające uszy i palce lepkie od cukrowej waty. Oto z zamierającym  
sercem wpatruje się w niewiarygodnie piękną dziewczynę w śnieżnobiałej narzu-  
cie, która odważnie stąpa nad ciemną przepaścią po cienkim złotym promieniu.  
Nigdy wcześniej nie widział, żeby linoskoczek żonglował przy tym trzema duży-  
mi kulami. Jak to możliwe? „Ale — co to?! Przecież to Sonia! Nieee!!! Zatrzy-  
majcie ją, to nie dla niej zajęcie, ona tego nie potrafi! Tak, tak, rozumiem — już  
nie można jej zawrócić: do tyłu iść jest jeszcze trudniej... Tak, to prawda: jeśli  
się nie wystraszy, nic się jej nie stanie — to stara magia. Oczywiście, że magia:  
przecież kule, którymi żongluje, to nic innego jak palantiry! Wszystkie trzy Ka-  
mienię Jasnowidzenia, do których można dotrzeć w tej części Śródziemia — to  
my je odnaleźliśmy i oddaliśmy jej... Ciekawe, jeśli Sonia i ja będziemy mieli po  
palantirze, to czy można przez nie przekazać dotknięcie?”

Z tą myślą się obudził; okazało się, że już dawno temu wstał świt. Nad ogni-  
skiem apetycznie perkoce kociołek — Cerleg złowił w sidła kilka keklików —  
a Tangorn z uczuciem pieści swój ukochany Usypiacz. Właśnie odbicie słoneczne-  
go promienia z klingi miecza obudziło Haladdina, sami towarzysze najwyraźniej  
nie mieli zamiaru go budzić; pozwalali mu wyspać się do woli. Odprowadziwszy  
spojrzeniem „słonecznego zajaczka”, który przemknął łukiem po kamieniach na  
ocienionej stronie wąwozu, pomyślał smutno: oto, kto bez problemu dotarłby do

pałacu Władczyni Galadrieli — „słoneczny zajaczek”!

Oślepiająca eksplozja oświetliła wszystkie zakamarki jego umysłu, gdy te dwie myśli — ostatnia myśl snu i pierwsza po obudzeniu — rozmijając się na wieki, cudownym przypadkiem zetknęły się koniuszkami skrzydeł. Oto i rozwiązanie — posłać za pomocą palantira „słonecznego zajaczka”. Tego typu olśnienia zdarzały mu się wcześniej, na przykład, kiedy odkrył i udowodnił, że sygnał płynący po włóknie nerwowym ma nie chemiczną, a fizyczną naturę. Mimo to, za każdym razem odczuwał w takim przypadku jakiś cudowny smak nowości, jak przy spotkaniu z ukochaną. Każdy akt twórczy ma dwie składowe: chwilę olśnienia, a potem żmudną techniczną pracę, czasem trwającą latami. A końcowym celem obu jest udostępnienie tego olśnienia innym. Natura olśnienia jest taka sama w poezji i w rozpracowywaniu przestępstw. Skąd się bierze, nie wie nikt, ale ta chwila, kiedy — niech to nawet będzie nieuchwytnie krótka chwila! — stajesz się równy Jedynemu, jest tą rzeczą, dla której tak naprawdę warto żyć. . .

— Panowie! — oznajmił, podchodząc do ogniska. — Wygląda, że udało mi się jednak ułożyć tę naszą łamigłówkę. Może nie całą, ale istotną jej część. Pomysł jest prosty: zamiast nieść Zwierciadło do Orodrui, przeniesiemy Orodruię do Zwierciadła.

Cerleg, znieruchomiawszy z niesioną do ust łyżką rosołu, rzucił zaniepokojone spojrzenie na barona. „Dowódca nasz, chyba, tego. . . zwichrował z powodu nadmiernego wysiłku umysłowego. . .” Tangorn natomiast, uprzejmie unosząc brew, zaproponował lekarzowi, by najpierw nałożył sobie keklika, póki nie ostygły, a potem zaznajomił towarzystwo ze swą ekstrawagancką hipotezą.

— Jakie, do licha, kekliki! Posłuchajcie tylko! Prócz Zwierciadła, istnieją jeszcze inne magiczne kryształki — palantiry. Jeden mamy — w każdym razie możemy go mieć w każdej chwili. . .

Opowiadał im wszystko, co sam wiedział o właściwościach Kamieni Jasnowidzenia, dziwiąc się, z jaką precyzją jego nieobarczeni specjalną nauką i magiczną wiedzą towarzysze wyciągają z tej sterty informacji istotne — z ich punktu widzenia — detale. Wszyscy spoważnieli — zaczęła się praca.

— Tak więc, mamy dwa palantiry. Jeden pracuje w trybie „odbiór”, drugi — „nadawanie”. Jeśli zrzucimy „nadajnik” do Orodrui, to, wiadomo, ulegnie zniszczeniu, ale przedtem, na mgnienie oka przed destrukcją, zdąży przekazać część Odwiecznego Ognia w okolicę „odbiornika”. Nasze zatem zadanie to umieszczenie takiego „odbiornika” w pobliżu Zwierciadła.

— Cóż, szlachetny panie — rzekł baron — cokolwiek o tym planie by nie powiedzieć, to na pewno owego sławetnego „szlachetnego szaleństwa” w pańskim pomysśle jest aż za dużo. . .

— Niech pan lepiej powie — podrapał się po czubku głowy Cerleg — jak dostarczymy palantir do Lorien i znajdziemy w samym jego środku Zwierciadło?

— Na razie nie wiem. Mogę powtórzyć to, co mówiłem już wczoraj: coś się

wymyśli.

— Ma pan rację, Haladdinie — powiedział Tangorn. — W każdym razie na początek mamy konkretne zadanie: musimy odszukać brakujący palantir. Sądzę, że powinniśmy zacząć od Ithilien. Faramir na pewno coś wie o losach kryształu należącego do jego ojca. Nawiasem mówiąc, jestem pewien, że spotkanie z księciem dostarczy wam z niczym nieporównywalnej przyjemności. . .

# CZEŚĆ DRUGA

## Król i władca

*Przecież jest to tylko ładnie brzmiący zwrot:*

*„Cała ziemia zalana wojskiem”.*

*Jeden żołnierz zaleje sobą dokładnie  
tyle ziemi, ile mieści się pod jego butami.*

R.L. Stevenson

## 20

### **Ithilien, Eryn Arnien 3 maja 3019 roku**

— Która godzina? — zapytała sennie Eowina. — Śpij jeszcze, zielonooka. — Faramir uniósł się lekko na łokciu i czule pocałował ją w czubek głowy. Chyba to on sam, gwałtownie odwróciwszy się we śnie, niechcący obudził dziewczynę. Zraniona ręka szybko drętwiała, ale ukrywał ten fakt przed nią, wiedząc, jak lubi spać przylgnąwszy do niego całym ciałem, z głową ułożoną na jego ramieniu. Jak zwykle zasnęli dopiero przed świtem, tak więc słoneczne promienie od dawna już zalewały drewniane budynki fortu Eryn Arnien, przenikając również przez wąskie okienko ich „księżęcej sypialni”. Kiedyś książę wstawał o świcie, gdyż według życiowego rytmu był „skowronkiem” i lepiej pracowało mu się w godzinach porannych. Teraz jednak, z czystym sumieniem chrapał niemal do południa: po pierwsze, co by o tym nie mówić — miesiąc miodowy, a po drugie, więzień nie ma się do czego spieszyć.

Dziewczyna jednak, zdążyła już wymknąć się spod jego ręki i teraz roześmiane oczy spoglądały na księcia ze sztucznym wyrzutem.

— Posłuchaj, naruszamy społeczną moralność ithilienńskiej kolonii.

— Akurat jest co naruszać — mruknął książę.

Eowina tymczasem przefrunęła niczym „słoneczny zajaczek” na dalszy koniec łóża, gdzie nago, tak jak spała, usiadła skrzyżowała nogi i zaczęła doprowadzać do ładu swoją pszenicznego koloru grzywę włosów, rzucając od czasu do czasu na Faramira czujne spojrzenie spod opuszczonych rzęs. Podczas jednej z pierwszych nocy półżartem powiedział jej, że jedną z najwyrazistszych i najbardziej wyrafinowanych rozkoszy mężczyzny jest obserwowanie jak ukochana rano rozczesuje włosy, i od tej chwili Eowina stale szlifowała ten ich rytuał, z radością obserwując jego reakcję. „Podoba ci się nadal, kochany?” Uśmiechnął się w duchu, przypomniawszy sobie księcia Imrahila: ten twierdził, że kobiety z Północy, mając niezaprzeczalnie wiele zalet zewnętrznych, w łóżku są czymś pośrednim między śniętą rybą, a brzozowym polanem. „Ciekawe, czy to mnie się tak głupio udało, czy może on, biedaczysko, nigdy nie miał szczęścia?”

— Zrobić ci kawy?

— No, to już jest na pewno naruszenie społecznej moralności! — roześmiał się Faramir. — Księżna Ithilien w kuchni, nocny koszmar stróża arystokratycznej powściągliwości. . .

— Obawiam się, że będą musieli przywyknąć do dzikości i braku wychowania. Dziś zamierzam pojechać na polowanie. Chcę przygotować na kolację prawdziwą zapieczoną dziczyznę, i niech tam sobie pękają z oburzenia. Ponieważ to, co proponuje tutejszy kucharz nie chce mi przejść przez gardło. Chłop — tak mi się wydaje — zna tylko dwie przyprawy: arszenik i strychninę.

„Niech jedzie — pomyślał. — W takim razie może dzisiaj również zaczniemy *Grę?*” Ostatnimi czasy jemu i Eowinie pozwalano opuszczać fort — pojedynczo; cóż, dobre i to, system zakładników ma też swoje plusy.

— A poczytasz mi dziś?

— Obowiązkowo. Znowu chcesz posłuchać o księżnej Elendeil?

— N-no. . . Właściwie tak!

Wieczorne czytanie również stało się ich codziennym rytuałem, przy czym Eowina miała kilka ulubionych opowieści, których jak dziecko mogła słuchać od nowa i od nowa. Sama dziewczyna — jak zresztą niemal cała rohańska arystokracja — ani czytać, ani pisać nie potrafiła, tak więc zaczarowany świat, otwarty przed nią przez Faramira, wyraźnie poruszył jej wyobraźnię. Od tego się wszystko zaczęło. . . A może wcześniej?

\* \* \*

W dniu bitwy na Polach Pelennoru książę dowodził prawą flanką obrony; walczył w pierwszych szeregach, tak więc absolutnie nie dało się wytłumaczyć, w jaki sposób ciężka przeciwpancerna strzała mogła trafić go w plecy — w mięsień trapezowy, nieco w lewo od podstawy szyi. Płaszczyzny jej trójgraniastego grotu miały podłużne bruzdy na truciznę, tak więc kiedy rycerz Mithrandir dowiózł księcia do Minas Tirith, było z nim już bardzo niedobrze. Nie wiadomo dlaczego przeniesiono go do oddzielnej izby szpitala, a potem w zadziwiający sposób o nim zapomniano. Leżał na kamiennej podłodze całkowicie bezradny — trucizna wywołała paraliż i ślepotę, nie mógł więc zawołać nikogo na pomoc, czuł tylko jak grobowy ziąb, opanowawszy lewą rękę i szyję, niepowstrzymanie rozlewa się po całym ciele. Jego umysł pracował przy tym zupełnie wyraźnie i książę zrozumiał, że uznano go za martwego.

Minęła wieczność wypełniona samotnością i rozpaczą, póki nagle nie poczuł na wargach korzennego smaku jakiejś oleistej cieczy. Jej smak wydał mu się zna-



jomy i księżę wywołał nawet z pamięci na poły zapomnianą nazwę: *acelas*. Zimno odstąpiło odrobinę, niechętnie, a wtedy z mroku wyłonił się władczy głos:

— Księżę, jeśli jest pan przytomny proszę poruszyć palcami prawej ręki.

Jak to zrobić, skoro ich nie czuje? Pewnie trzeba przypomnieć sobie szczegóły jakiegoś ruchu. . . no, na przykład, jak wyciąga miecz z pochwy, czując pod palcami twardą skórę, którą obszyta była rękojeść. . .

— Tak, bardzo dobrze.

Czyżby się udało? Widocznie tak.

— Teraz utrudnimy zadanie. Jeden ruch będzie znaczyć „tak”, dwa ruchy — „nie”. Proszę spróbować powiedzieć „nie”.

Starał się wyobrazić sobie jak dwa razy pod rząd zaciska pięść. . . Po co? Aha! Oto bierze ze stołu pióro, podpisuje coś i odkłada pióro. Teraz wystarczy wziąć ponownie pióro, żeby dokonać poprawek. . .

— Znakomicie. Tak więc, proszę pozwolić mi się przedstawić: Aragorn, syn Arathorna. Jestem w linii prostej potomkiem Isildura i chcę przekazać panu swoją monarszą wolę: dynastia gondorskich władców, których ostatnim przedstawicielem jest pan, pilnowała mojego tronu jak należy. Jednakże wieloletnia służba skończyła się. Przyszedłem, by zdjąć jej brzemię z ramion pana dynastii. Od dziś i na wieki pana imię będzie stało na pierwszym miejscu wśród najświetniejszych rodów Odrodzonego Królestwa. Rozumie pan, o czym mówię, Faramirze?

Rozumiał wszystko znakomicie, ale palcami poruszył dwukrotnie — „nie”: inaczej wyszłoby, że w jakiś sposób zgadza się z tym majaczeniem. Potomek Isildura, też mi! Dlaczego nie od razu Iluvatara?

— Przecież był pan zawsze między nimi jak biały kruk, księżę. — Głos Aragorna rozbrzmiewał cicho i współczująco, jak serdeczny przyjaciel, i tylko tak. — To, że wszystkich ich szalenie drażniły pańskie uczone badania — zrozumiałe: zaiste, nie królewskie to zajęcie. . . Ale zarzucano panu również utworzenie Pułku Ithilien i organizację wywiadowczej siatki za Anduiną. Czy nie tak?

Odpowiedzieć „tak” nie pozwalała duma, „nie” — uczciwość. Wszystko było najczystsą prawdą — ten Aragorn nieźle znał się w gondorskich układach. . . Gdy zaczęła się wojna, Faramir, sam będąc wspaniałym myśliwym, sformował z wolnych strzelców i częściowo z po prostu odważnych ludzi specjalny pułk do operacji leśnych — Pułk Ithilien, i po jakimś czasie słynni kirithungolscy jęgrzy poczuli, że ich monopol na błyskawiczne rajdy po operacyjnych tyłach przeciwnika się skończył. Księżę osobiście dowodził Ithilienczykami w wielu walkach, na przykład wtedy, gdy wpadła w zasadzkę i została zniszczona cała karawana bojowych mumakili. Zdołał nawet napisać coś na kształt traktatu o tej dziedzinie sztuki wojskowej, która kilka wieków później otrzyma nazwę „wojny komandosów”. W wyniku tego, wśród stołecznych arystokratów zaczął krążyć dowcip, że niby zamierza on wprowadzić do swego rycerskiego herbu nowe atrybuty — kiścień i czarną maskę. A krótko przed wojną, Faramir, głęboko i szczerze kocha-

jący Wschód i jego kulturę, z pomocą ochotników podzielających jego poglądy zorganizował w tamtejszych krajach siatkę ludzi, zajmujących się stałym zbieraniem i analizą wojennych oraz politycznych danych — w rzeczywistości pierwszą w Zachodnich krajach służbę wywiadowczą. Właśnie w oparciu o jej raporty książę bronił w Radzie Królewskiej polityki współpracy z krajami za Anduiną — co doprowadziło rzecz jasna do tego, że przyklejono mu metkę ugodowca i niemal zausznika wroga.

— Ojciec zawsze uważał pana za „ciepłe kluchy” i, gdy Boromir zginął, zaczął szukać sposobu anulowania waszego prawa do tronu. . . Pan zresztą nigdy się tym nie przejmował i nawet, jak pamiętam, zażartował kiedyś: „Jeśli z powodu pióra mam odcisk na zgięciu środkowego palca, to berło zetrze mi dłonie do kości”. Naprawdę wspaniale powiedziane, książę, nic dodać, nic ująć! Tak więc — głos Aragorna rozbrzmiał nagle sucho i twardo — zacznijmy uważać, że po prostu wróciliśmy do sytuacji wyjściowej: tron gondorski do pana nie należy, tyle, że zasiądzie na nim nie pański niedorzeczny brat — niech mu ziemia lekką będzie — a ja. Słucha mnie pan?

„Tak”.

— Mamy więc taką sytuację. Denethor zmarł. . . to ciężki cios, ale sądzę, że jakoś to pan przeżyje. Wojna trwa, kraj jest bez władcy, i ja — Aragorn, potomek Isildura, który rozbił dziś na Polach Pelennoru wojska Wschodu — przyjmuję na prośbę armii koronę Odrodzonego Królestwa. Jest to fakt nieodwołalny, mogą jedynie wystąpić warianty pańskiego losu, książę. Tak więc wariant pierwszy: pan dobrowolnie zrzeka się tronu — a proszę nie zapominać, że wasza dynastia nie jest dynastią królów, a władców! — i wyjeżdża z Minas Tirith, by władać jakimś księstwem w gondorskiej ziemi. Sądzę, że Ithilien nada się w sam raz. Wariant drugi: pan odmawia, ale wtedy ja nawet nie zaczynam pana leczyć — bo niby dlaczego? — i przejmę koronę po pańskiej szybkiej śmierci. Nawiasem mówiąc, tego, że pan jeszcze żyje, nie domyśla się nikt, prócz mnie. Pogrzebowa ceremonia wyznaczona jest na dzisiejszy ranek, a ja po prostu mogę w niej nie przeszkadzać. Po kilku godzinach usłyszysz pan, jak nad głową stuknie płyta zamykająca otwór grobowca. . . Resztę niech domaluje panu wyobraźnia. Zrozumiał mnie pan, Faramirze?

Palce księcia milczały. Zawsze był mężny odwagą filozofa, jednak perspektywa pogrzebana za życia może zalać strachem każdą duszę.

— O nie, tak się nie godzi. Jeśli za pół minuty nie da pan jasnej odpowiedzi odejdę, a za kilka godzin, gdy działanie *acelas* się skończy przyjdą po pana grabarze. Proszę mi uwierzyć, bardziej mi odpowiada pierwszy wariant, ale jeśli woli pan grobowiec. . .

„Nie”.

— „Nie” w znaczeniu „tak”? Zgadza się pan zostać księciem Ithilien?

„Tak”.

— To znaczy, że doszliśmy do porozumienia. Pana słowo mi wystarczy — na razie. Po jakimś czasie, kiedy wróci panu zdolność mówienia, odwiedzimy pana z księciem Imrahilem — po śmierci Denethora tymczasowo zarządza on miastem i krajem. Imrahil zaświadczy przed panem moje prawa dynastyczne, ponieważ do tego czasu zapozna się z nimi. Pan z kolei potwierdzi, że zrzeka się obowiązków gondorskiego władcy i zamierza się udać do Ithilien. Szlachetność księcia i jego przyjaźń z nami znane są w całym Gondorze, tak więc, kiedy zwróci się do narodu, zostanie to odebrane właściwie. Zgadza się pan? Proszę o odpowiedź — tak czy nie?

„Tak”.

— Przy okazji odpowiem na nie wypowiedziane pytanie — dlaczego nie miałbym pana sprzątnąć według drugiego wariantu, co wydaje się prostsze i pewniejsze. Ponieważ działa zwyczajna pragmatyka: żywy Faramir, który zwrócił tron i osiadł w Ithilien, jest bezpieczny, a jego prochy, przechowywane pod podłogą miejsca spoczynku gondorskich władców, na pewno zrodzą całe tabuny samozwańców — „Łżefaramirów”, że się tak wyrażę... To, i jeszcze jedno. Jestem pewien, że nie zamierza pan złamać danego słowa, ale na wszelki wypadek proszę mieć na uwadze: nie wyleczy pana żaden lekarz w Śródziemiu prócz mnie, a leczenie potrwa jeszcze długo, i mogą się stać różne rzeczy... Rozumie mnie pan?

„Tak”.

„Czego tu nie rozumieć: dobrze, jeśli po prostu otrują, a jak zmieniają w roślinę — będę puszczał bańki ze śliny i załatwiał się pod siebie...”

— No to znakomicie. A na koniec powiem panu jeszcze coś. Sądzę, że to ma dla pana pewne znaczenie... — W głosie Aragorna, ku niemałemu zdziwieniu księcia, rozbrzmiało szczere podniecenie. — Obiecuję rządzić Gondorem tak, by pan, Faramirze, nie miał nigdy okazji powiedzieć: „Zrobiłbym to lepiej niż on”. Obiecuję, że pod moimi rządami Odrodzone Królestwo osiągnie rozkwit i wielkość nieznane w innych czasach. Obiecuję też, że historia króla i władcy wejdzie do wszystkich kronik tak, że rozśławi nas na wieczne czasy. A teraz proszę to wypić i zasnąć.

Ocknął się, jak i poprzednio — niemowa w objęciach mroku, jednakże straszliwy chłód usunął się do lewej części ciała, w okolice rany, i — o szczęście! — już odczuwał tam ból, a nawet mógł się trochę poruszyć. Obok rozlegały się jakieś głosy, ale potem umilkły... A wtedy pojawiła się dziewczyna.

## 21

Najpierw była tylko ręka — mała, ale nie po kobiecemu mocna. „Ta ręka wie, co to jazda konna i szermierka” — pomyślał od razu. Dziewczyna nie miała odruchów prawdziwej siostry miłosierdzia, ale wyraźnie nie po raz pierwszy zajmowała się rannym. Dlaczego jednakże robi wszystko jedną ręką — może też jest ranna? Próbował ocenić jej wzrost, na podstawie tego, jak siada na jego łóżku, i wyszło mu jakieś pięć i pół stopy. A pewnego razu udało mu się szczególnie: pochyliła się nad nim i jej jedwabiste włosy musnęły jego twarz. W ten sposób dowiedział się, że jej włosy nie są ufryzowane, co znaczyło, że niemal na pewno pochodzi z północy, z Rohanu. Najważniejsze zaś to to, że od tej chwili nie pomyli już z niczym na świecie tego zapachu, w którym, jak w przedwiecznym stepowym wietrze, suchy aromat przegrzanej w ciągu dnia ziemi miesza się z cierpkim, odświeżającym aromatem piołunu.

Lekarstwo Aragorna podziałało i już następnego dnia wypowiedział pierwsze słowa, jakimi oczywiście stały się:

— Jak się nazywasz?

— Eowina.

Eowina. . . Jak dźwięk dzwoneczka — tylko nie tutejszego, z mosiądzu, a takiego porcelanowego, które czasem przywożą ludzie z Dalekiego Wschodu.

Tak, głos odpowiadał samej jego posiadaczce — takiej, jaką narysował sobie w wyobraźni.

— Co się stało z twoją ręką, Eowino?

— Już może pan patrzeć?

— Niestety nie. To tylko moja dedukcja.

— Proszę wyjaśnić. . .

Wtedy opisał jej wygląd zewnętrzny, tak jak sobie go poskładał z kawałeczków mozaiki, którymi dysponował.

— Jestem wstrząśnięta! — zakrzyknęła dziewczyna. — A teraz proszę powiedzieć, jakie mam oczy?

— Pewnie duże i szeroko rozstawione.

— Nie, chodzi mi o kolor?

— Kolor. . . hm. . . Zielone!

— A ja już panu uwierzyłam — w głosie dziewczyny rozbrzmiało szczere rozczarowanie — a pan, jak się okazało, gdzieś mnie już po prostu widział. . .

— Klnę się na co tylko pani zechce, Eowino, że po prostu wypowiedziałem swój ulubiony kolor, to wszystko. Jak rozumiem — zgadłem? Ale nie otrzymałem odpowiedzi, co jest z pani ręką. Jest pani ranna?

— Och, najzwyczajniejsze zadrapanie, proszę mi wierzyć, zwłaszcza na tle pańskiej rany. Po prostu mężczyźni mają zwyczaj odsuwać nas na bok, gdy tylko dochodzi do dzielenia się owocami zwycięstwa.

Eowina precyzyjnie, jak zawodowy wojskowy opisała poszczególne fragmenty Bitwy na Polach Pelelloru, nie zapominając przy tym ani o podaniu lekarstwa, ani o poprawieniu opatrunku. Faramirowi przez cały czas wydawało się, że dziewczyna promieniuje jakimś szczególnym ciepłem i to ono, a nie lekarstwa, przepędziło ten grobowy ziąb, który dręczył jego ciało. Jednakże, gdy przepelniony wdzięcznością nakrył dłoń Eowiny swoją, ta delikatnie, ale stanowczo odsunęła swoją rękę i, ze słowami: „To już naprawdę przesada, książę”, porzuciła swego podopiecznego, przykazawszy zawołać ją w razie prawdziwej potrzeby. Zasmucony tym niespodziewanym afrontem zasnął, a był to już zwyczajny sen, odświeżający i leczniczy. Obudziwszy się, usłyszał zakończenie pewnej rozmowy, przy czym jednym z rozmówców była Eowina, a w drugim — ku swojemu wielkiemu zdziwieniu — rozpoznał Aragorna.

— Tak więc, będziesz musiała pojechać z nim do Ithilien.

— Ale dlaczego, Ari? Nie mogę bez ciebie, przecież wiesz. . .

— Tak trzeba, kochanie. Nie na długo. Na trzy tygodnie, może miesiąc.

— To bardzo długo, ale uczynię wszystko, co zechcesz, nie martw się. . . Chcesz, bym była przy nim?

— Tak. Pomożesz go wyleczyć, świetnie ci to idzie. Poza tym przyjrzyj się, jak on tam się urządza, na tym nowym miejscu.

— Wiesz, że jest całkiem miły?

— Oczywiście! Będziesz miała wspaniałego rozmówcę. Sądzę, że nie będziesz się z nim nudzić.

— „Nie będę się nudzić”? Jaki ty jesteś wielkoduszny!

— Wybacz, nie to chciałem powiedzieć. . .

Głosy oddaliły się, potem trzasnęły drzwi, i Faramir pomyślał, że choć to nie jest jego sprawa, to. . . Nagle krzyknął z wielkiego bólu: w jego źrenice uderzyło światło i jakby sparzyło przywykłe do ciemności dno gałek ocznych. A ona już siedziała obok, trzymając go za rękę:

— Co się stało?

— Nic, Eowino, chyba wzrok mi wraca.

— Naprawdę?

Wszystko dokoła rozmywało się i kołysało w tęczowych aureolach, ale ból szybko ucichł. Kiedy książę w końcu otarł łzy i popatrzył po raz pierwszy na

Eowinę, serce jego najpierw zamarło, a potem szarpnęło się i zalało go wrzącą falą: przed nim stała ta właśnie dziewczyna, którą wymalowała jego wyobraźnia. Nie podobna, a dokładnie ta — poczynając od koloru oczu, skończywszy na geście, jakim poprawiła włosy. „To ja sam ją stworzyłem — pomyślał z udręką — i teraz już się jej nie pozbędę”.

\* \* \*

Fort Emyn Arnen, mający od dziś służyć za rezydencję Jego Wysokości księcia Ithilien, żadnym fortem, prawdę mówiąc, nie był. Był to olbrzymi drewniany dwupiętrowy dom o niewiarygodnie zaplątanej topografii, z wieloma architektonicznymi zbytkami, takimi jak: wszelakie wieżyczki, świetlice i zewnętrzne galerie. Wyglądało to jednak nad podziw harmonijnie: czuło się, że do jego powstania przyłożyli rękę Angmarchycy — właśnie tam, na dalekiej leśnej północy, kwitnie podobnego typu drewniana architektura..

Fort rozmieszczony był z punktu widzenia uroków krajobrazu bez zarzutu, a z punktu widzenia wojskowego — fatalnie, najgorzej jak można było. Nie broił niczego przed niczym. Na dodatek otaczający go częstokół, nieznani esteci od fortyfikacji budowali z wyraźnym obrzydzeniem do swego dzieła, tak że mógłby służyć co najwyżej jako poglądowy materiał w Inżynieryjno-Wojskowej Akademii — „Jak nie należy budować zewnętrznych umocnień: znajdź osiem błędów”. Pewnie z tej przyczyny Emyn Arnen został przez Mordorczyków porzucony bez walki — jako z góry niemożliwa do obrony pozycja — i przeszedł w ręce swych dzisiejszych właścicieli w całości i w nienaruszonym stanie.

Zresztą, kogo można nazywać „właścicielem” nie do końca było wiadomo. W każdym razie nie księcia Ithilien, chyba że ktoś chciał sobie z niego pokpić: nie miał nawet prawa do samodzielnego wychodzenia poza wrota fortu. Jego gość, siostra króla Rohańskiej Marchii, Eowina, była mocno zdziwiona, widząc, że jej status niczym się właściwie nie różni od statusu księcia. Kiedyś, nie mając nic szczególnego na myśli, poprosiła o zwrot swojego miecza, żartując przy tym, że bez broni czuje się niezupelnie odziana i w odpowiedzi usłyszała: „Pięknej dziewczynie dezabil zawsze pasuje”. Przez czoło Eowiny przemknęła chmurka niezadowolonia; komplement porucznika Białego Oddziału, czterdziestu ludzi przydzielonych im przez Aragorna w charakterze osobistej ochrony, był, nawet jak na jej swobodny dość gust, na granicy nietaktu. Postanowiła na przyszłość trzymać się z tymi osobnikami na większy dystans i wyraziła życzenie widzenia się z kometantem oddziału, Beregondem.

W końcu, każdy żart ma swoje granice; nie są w Minas Tirith i spacerzy bez

broni po lesie, gdzie wciąż mogą się jeszcze kręcić niedobite gobliny, są naprawdę niebezpieczne. „O, Jej Wysokość nie ma się czym przejmować: gobliny, to problem ochroniarzy”. Czy nie chce on przypadkiem powiedzieć, że wszędzie jej będzie towarzyszyła ta czwórka ponurych zbirów? „Niewątpliwie tak, i na to jest osobisty rozkaz Jego Wysokości. Zresztą, jeśli Jej Wysokości nie podoba się ta czwórka, można ją wymienić na inną”. Nawiasem mówiąc, Aragorn nie jest jej władcą ani opiekunem, i skoro tak się sprawy mają, to ona natychmiast wraca do Minas Tirith. . . a nawet nie do Minas Tirith, a do Edoras! „Niestety, póki nie nadejdzie pisemny rozkaz Jego Wysokości to także jest niemożliwe”. To znaczy. . . to znaczy, prosto rzecz ujmując, że jest więźniem? „Ależ skąd, Wasza Wysokość! Więźniowie wszak siedzą w zamknięciu, a Wasza Wysokość może sobie cwałować choćby i do samego Minas Morgul, ale z ochroną i bez broni. . .”

Dziwna rzecz, ale Eowina dopiero teraz uświadomiła sobie, że brak miecza przy pasie Faramira tłumaczy nie poetycka natura księcia i jego dziwactwa, a zupełnie przyziemna przyczyna.

Wynikało z tego wszystkiego — przy użyciu metody wykluczania — że prawdziwym gospodarzem w Ithilien jest Beregond — ale to by było zwyczajną bzdurą: wystarczyło raz zobaczyć, jak przemyka się on bokiem po korytarzach fortu, starając się nie spotkać spojrzeniem ze swym jeńcem. Kapitan był skończony, ponieważ wiedział, że to właśnie on ochraniał pokoje Denethora w dniu tragedii i że to on publicznie oznajmił o samobójstwie króla. Wiedział, ale niczego z tych rzeczy nie pamiętał. W jego pamięci na miejscu tego koszmarne dnia ziała jakaś zwęglona dziura, w której czasem majaczyła biała postać Mithrandira, przez co można było sądzić, że miał on jakiś związek z tą sprawą, ale jaki — tego Beregond nie potrafił zrozumieć. Trudno powiedzieć, co powstrzymało kapitana od samobójstwa; może uświadomił sobie, że tym samym, ku radości prawdziwych zabójców, weźmie na siebie całą winę za cudze przestępstwo. W Minas Tirith od tej pory otaczała go głucha ściana pogardy — w opowieść o samospaleniu mało kto uwierzył — tak więc trudno by było Aragornowi znaleźć dla Białego Oddziału lepszego dowódcę. Wiadomo, że powinien piastować tę funkcję człowiek, który w żadnych okolicznościach nie dogada się z Faramirem. I oto Aragorn, z całą swą znajomością natury ludzkiej, popełnił błąd: nie mógł przewidzieć, że książę, który w dzieciństwie często siadywał na kolanach Beregonda, okaże się, nie wiadomo czy nie jedynym w całym Gondorze człowiekiem, który wierzy w niewinność kapitana.

Natomiast członkowie Białego Oddziału, którzy nie tylko stanowili ochronę fortu, ale też wykonywali obowiązki gospodarcze — od majordomusa do kucharza — praktycznie nie stykali się z księciem. „Tak jest, Wasza Wysokość”, „Nie, Wasza Wysokość”, „Nie wiem, Wasza Wysokość” — przy czym „Nie wiem, Wasza Wysokość” przeważało. Kazano ochraniać — ochraniali, każą wykończyć — wykończą, ale kto właściwie może kazać wykończyć, Faramir nie potrafił powie-

dzieć. Nie wierzył za grosz, że tymi zabijakami tak naprawdę dowodzi Beregond. Również od Aragorna nie było żadnych depech, chyba że mają nawiązaną jakąś zakonspirowaną łączność z Minas Tirith ponad kapitanem — ale po co takie komplikacje?

Zaiste, dziwne towarzystwo rozlokowało się tej wiosny pod dachem Eryn Arnen; najzabawniejsze zaś było to, że wszyscy uczestnicy spektaklu „Księżę Ithilien i jego Dwór”, czule zjednoczeni w działaniach, starali się, by te dziwactwa nie przedostały się do wiadomości ochoczych do plotek języków za wrotami fortu — tam, gdzie toczyło się zwyczajne ludzkie życie.

W tym życiu mało kiedy zdarzało się tak, by księżę Faramir nie błogosławił swoich nowych poddanych — kolejnej grupy przesiedleńców z Gondoru. Wielu z nich jednakże nie spieszyło się stanąć przed jasnymi oczami władcy, a przeciwnie — zamieszkiwali najodleglejsze leśne ostępy. Poborcy podatkowi wyraźnie wydawali się im istotami znacznie gorszymi i bardziej niebezpiecznymi niż „gobliny”, od których jakoby kipiały tutejsze uroczyska. Przez lata wojny ludzie ci nauczyli się po mistrzowsku władać bronią, a całkowicie odzwyczaili się zginać kark przed landlordami, tak więc księżę Ithilien nie mógłby kontrolować tych leśnych fortów, gdyby nawet miał takie życzenie — a nie miał. Starał się tylko, by nowo przybyli zrozumieli, że tu nikt nie zamierza oskubywać ich do gołej skóry, i chyba robił to dobrze, skoro w osiedlu zaczęli się pojawiać uzbrojeni ponurzy mężczyźni z odległych osad, żywotnie zainteresowani cenami miodów i wędzonej sarniny. W całym Ithilien słychać było stukot toporów: osiedlający się tu ludzie stawiali chaty, karczowali lasy na pola, budowali młyny i smolarnie. Urządzali się w zaanduińskich lasach poważnie i na długo.



## 22

Od czasu zakończenia mordorskiej wyprawy minął miesiąc, i przez ten czas Eowina nie otrzymała od Aragorna ani jednej wiadomości. Cóż, okoliczności nie zawsze muszą sprzyjać korespondencji. . . Jeśli natomiast miała jakieś swoje domysły, to zachowywała je dla siebie, na zewnątrz nie zmieniając się ani na jotę. Jedynym znakiem zmiany było zaniechanie codziennego wypytywania Beregonda, jak w pierwszych dniach pobytu, czy nie ma jakichś wieści z Minas Tirith. Poza tym Faramirowi wydawało się, że jej zadziwiające, szaro-zielone oczy zmieniły odcień na zimniejszy — błękitnawy. Zresztą, ta zmiana była taka trochę metafizyczna. Do księcia dziewczyna odnosiła się z prawdziwą przyjaźnią i sympatią, jednakże powstałe między nimi duchowe zbliżenie od razu ustaliła na poziomie przyjaźni i tylko przyjaźni, a książe się z tym pogodził.

Pewnego dnia siedzieli przy obiadowym stole w mało przytulnej z powodu swej wielkości Sali Rycerskiej fortu, gdy w drzwiach stanął gondorski porucznik w zakurzonym płaszczu, w towarzystwie kilku żołnierzy. Faramir na początek zaproponował gońcowi wina z sarniną, ale ten odmówił ruchem głowy. Sprawa jest na tyle pilna, że chce tylko zmienić konia i pogalopuje z powrotem. Ma osobiste polecenie: zabrać znajdującą się w Emyrn Arnen Eowinę (dziewczyna, nie mogąc zapanować nad sobą, cała wychyliła się do przodu i jej jaśniejąca radością twarz rozproszyła półmrok sali) i eskortować ją do Edoras, na dwór króla Eomera.

Dalej przekazano jakieś plotki z Minas Tirith, z których świadomość Faramira wychwyciła tylko nie znane mu imię — Arwena. Arwena. . . Brzmi jak głuchy dźwięk gongu. „Ciekawe — przemknęło mu przez głowę — początek jakiego pojedynku wyznacza ten gong. . .” Książę podniósł wzrok na Eowinę i smutek ścisnął mu serce: miał przed sobą bladą, pozbawioną krwi maskę bólu z ogromnymi oczami — dziecko, które najpierw okłamano podle, i bezlitośnie, a teraz na dodatek jeszcze chcą je wystawić na pośmiewisko tłumu.

Ale ten przejaw słabości trwał tylko chwilę. Krew sześciu pokoleń stepowych władców wzięła górę nad chwilowym zmieszaniem: siostra króla Rohańskiej Marchii nie ma prawa zachowywać się jak uwiedziona przez panicza córka młynarza. Z czarującym uśmiechem, nasyconym ciepłem jak księżycowe światło zalewające

śnieżną kotłinę w Górach Białych, Eowina odpowiedziała porucznikowi, że przywieziony przez niego rozkaz jest bardzo dziwny: przecież nie jest ona poddana człowieka, mieniającego się królem Gondoru i Arnoru. W każdym razie znajdują się oni teraz poza rubieżami Odrodzonego Królestwa, tak więc, jeśli księżę Ithilien — skinienie głowy w stronę Faramira — nie ma nic przeciwko jej tu obecności, to ona raczej wybierze przedłużenie gościny.

Księżę Ithilien, rzecz jasna, nie oponował, i smuciło go w tej całej sytuacji tylko jedno. Nie miał broni, i jeśli ludzie Aragorna mają zalecenie w razie potrzeby wywieźć dziewczynę siłą, to może walczyć tylko za pomocą noża, którym jeszcze przed chwilą wycinał kęsy z jeleniej łopatki — zaiste godny koniec dla ostatniego przedstawiciela nieszczęsnej Anariońskiej dynastii. Cóż, przynajmniej styl tej tragifarsy będzie utrzymany w konwencji do samego końca. . . W tej chwili księżę niechętny przeniósł spojrzenie na stojącego na prawo od stołu Beregonda i drgnął ze zdumienia. Kapitan przeobraził się nie do poznania — jego spojrzenie nabrało poprzedniej kamiennej twardości, a ręka wyrobionym gestem oparła się na rękojeści miecza. . . Nie musieli już nic mówić: stary wojownik dokonał wyboru i gotów był umrzeć wraz z Faramirem.

A porucznik wyraźnie stracił rezon: najprawdopodobniej użycie broni przeciwko najjaśniejszym osobom nie było przewidziane w instrukcji. Eowina tymczasem, ponownie doń się uśmiechnęła — tym razem naprawdę czarująco — i przejęła inicjatywę:

— Obawiam się, że będzie musiał się pan zatrzymać, poruczniku. Proszę się poczęstować sarniną — dziś jest naprawdę udana. Pańscy żołnierze również potrzebują odpoczynku. Gunt! — zawołała do starszego lokaja. — Zaprowadź ludzi Jego Królewskiej Mości i dobrze ich nakarm, gdyż długą mieli podróż. I każ napalić w łaźni!

Eowinie wystarczyło sił, by wysiedzieć do końca posiłku i nawet podtrzymywać konwersację. „Proszę mi podać sól. . . Dziękuję bardzo. . . A co słyhać w Mordorze, poruczniku? My, w tej naszej głuszy zupełnie oderwaliśmy się od rzeczywistości. . .” Ale widać było, że ledwo panuje nad sobą. Patrząc na nią, Faramir przypomniał sobie widziane pewnego razu nie odprężone szkło: na oko zwyczajne szkiełko, ale wystarczy pstryknąć w nie paznokciem, a rozleci się na drobniutkie bryzgi.

Ten nocy oczywiście nie spał. Siedział przy biurku pod nocną lampką, łamiąc sobie głowę, czy można w zaistniałej sytuacji jakoś jej pomóc? Księżę był wybitnym filozofem, zupełnie nieźle radził sobie z taktyką wojny i sztuką wywiadu, ale co do sekretów duszy kobiecej — to trzeba powiedzieć sobie otwarcie — wyznawał się na nich słabo. Tak więc, gdy drzwi do jego komnaty otworzyły się bez pukania i na progu znalazła się blada Eowina, bosa i w nocnej koszuli, zupełnie się skonfundował. Na szczęście to ona, zdeterminowana jak somnambuliczka, nie czekając na zaproszenie, przekroczyła próg. Jej koszula opadła do stóp, a ona

rozkazała, dumnie unosząc głowę i opuszczając rzęsy:

— Weź mnie, książę! Teraz!

Chwycił na ręce jej leciutkie ciało — och, diabli, dygoce jakby miała dreszcze, ząb nie trafia na ząb! — i, przeniósłszy ją na swoje łożo, nakrył kilkoma ciepłymi futrami. . . Co tu jeszcze jest? Poszukał dokoła wzrokiem. Aha! Manierka z elfickim winem — to, co trzeba.

— Masz, łyknij! Rozgrzejesz się. . .

— A nie chcesz książę rozgrzać mnie jakoś inaczej? — Nie otwierała oczu i ciało jej, wyprężone jak struna, nadal trzęsło się i dygotało.

— Byle nie teraz. Znienawidzisz mnie na całą resztę życia i będziesz miała rację.

I wtedy zrozumiała, że można; w końcu — można. . . I nie przejmując się już niczym, rozetkała się jak w odległym dzieciństwie, a on tulił do piersi tę drżącą i szlochającą, nieskończenie drogą mu istotę i szeptał jej do ucha jakieś słowa — sam nawet nie pamiętał jakie, i nie miało to żadnego znaczenia — a wargi jego były słone od jej łez. Kiedy wyplakała do dna swój ból i obrzydzenie, ukryła się w norce pod futrami, zawładnęła jego dłonią i cicho poprosiła: „Opowiedz mi coś. . . miłego”. Wtedy zaczął deklamować wiersze, najlepsze z tych, jakie znał. A za każdym razem, gdy milkł, ona ścisnęła jego dłoń, jakby bała się go zgubić w nocy, i mówiła z niemożliwą do powtórzenia intonacją: „Jeszcze coś! Proszę!”

Zasnęła dopiero przed świtem, nie wypuszczając jego dłoni ze swych rąk, a on siedział jeszcze długo na brzegu łoża, czekając aż jej sen stanie się mocny i dopiero wtedy pochylił się nad nią, ostrożnie dotknął wargami skroni, a potem usiadł w fotelu. . . Kilka godzin później obudził go jakiś szelest, otworzył oczy i natychmiast usłyszał gniewne: „Odwróć się, proszę!”, a po kilku sekundach skargę: „Posłuchaj, daj mi coś do ubrania. Nie mogę w biały dzień spacerować w takim stanie!” A potem, już stojąc na progu, mając na sobie jego myśliwską kurtkę z podwiniętymi rękawami, nagle powiedziała cicho i bardzo, bardzo poważnie: „Wiesz, te wiersze. . . To było coś niezwykłego, nigdy w życiu nie przeżyłam niczego takiego. Przyjdę do ciebie wieczorem i będziesz deklamował jeszcze coś, dobrze?” Krótko mówiąc, zanim do Edoras wysłany został list, w którym Faramir zapytywał Eomera, czy nie ma nic przeciwko decyzji swojej siostry, która postanowiła zostać księżną Ithilien, ich wieczorki literackie trwale weszły do rodzinnej tradycji.

— Czy ty mnie słuchasz?

Eowina, dawno już umyta i ubrana, patrzyła na niego z wyrzutem.

— Wybacz, mała. Rzeczywiście zamyśliłem się.

— Coś smutnego?

— Raczej — niebezpiecznego. Myślę sobie — a czy nie przyśle do nas Jego Wysokość król Gondoru i Arnoru prezentu ślubnego? Żeby tylko twój onegdajszy żarcik o strychninie i arseniku nie był proroczy. . .

Wypowiadając te słowa, złamał jedno z niepisanych praw: w tych ścianach nie wspomina się Aragorna. Tylko raz, na samym początku ich romansu, Eowina niespodziewanie i bez związku z toczącą się rozmową powiedziała: „Jeśli cię to interesuje, jaki on był jako kochanek — stała odwrócona do okna i przesadnie uważnie przypatrywała się czemuś na dziedzińcu, nie zauważając jego protestującego gestu — to mogę powiedzieć zupełnie szczerze: taki sobie. Wiesz, on przywykł do tego, że tylko bierze — zawsze i wszystko. Jednym słowem „prawdziwy mężczyzna”. Wargi jej przy tych słowach wykrzywił gorzki uśmiech. „Oczywiście, mnóstwo kobiet tego właśnie chce, ale ja nie należę do ich grona. . .”

Przez jakiś czas patrzyła na Faramira pytająco, a potem skinęła głową i powiedziała, ważąc słowa i jakby sumując coś w myślach:

— Tak, to do niego podobne. . . Masz jakiś plan, by uniknąć takiego prezentu?

— Mam. Ale wszystko zależy od tego, czy w naszej drużynie zagra Beregond.

— Wybacz, że wtykam nos nie w swoje sprawy. . . Przecież ten człowiek zabił twego ojca. Co by o nim nie mówić, to jednak ojciec. . .

— Sądzę, że Beregond nie miał z tym nic wspólnego. Więcej nawet: spróbuję to dziś udowodnić, a przede wszystkim jemu samemu.

— A dlaczego właśnie dzisiaj?

— Dlatego, że wcześniej nie można było. Tego dnia — pamiętasz, w jadalni? — zachował się bardzo nieostrożnie. Umyślnie nie kontaktowałem się z nim przez cały ten czas, by uspić czujność chłopców z Białego Oddziału, ale teraz wydaje mi się, że układ jest taki: albo wóz, albo przewóz. Jednym słowem — zaprosz go do mojej komnaty pod jakimś pretekstem. Ale uważaj, by rozmowa wasza odbyła się przy świadkach — wszak nie mamy żadnych sekretów! A ty, gdy pojedziesz dziś na polowanie, oderwij się nieznacznie od eskorty i popytaj u ludzi, nie narzucając się, o pewną leśną osadę. . .

\* \* \*

W oczach wchodzącego do komnaty Beregonda tliła się słaba isierka nadziei: może nie wszystko stracone?

— Zdrowia życzę, Wasza Wysokość!

— Witaj, Beregondzie. I nie rozmawiaj ze mną tak oficjalnie. . . Chcę, byś pomógł mi skontaktować się z Jego Królewską Mością.

Z tymi słowami, książę wyjął ze stojącej pod ścianą podróżnej skrzyni i ostrożnie położył na stole dużą kulę z przydymionego kryształu.

— Kamień Jasnowidzenia! — zdziwił się kapitan.

— Tak, to palantir. Drugi jest teraz w Minas Tirith. Aragorn, z jakiegoś po-

wodu nie chce, bym ja się nim posługiwał, i nałożył nań zaklęcie. Tak więc, jeśli łaska, weź kulę i wpatrz się w jej wnętrze. . .

— Nie! — rozpaczliwie pokręcił głową Beregon, a na jego obliczu pojawił się strach. — Co tylko chcesz, byle nie to! Nie chcę widzieć zwęglonych dłoni Denethora!

— Więc widziałeś już je kiedyś? — Książę nagle poczuł, że jest śmiertelnie zmęczony. Jak widać, pomylił się, co do tego człowieka. . .

— Nie, ale opowiadano mi. . . Widzi je każdy, kto zajrzy do palantira!

— Nie przejmuj się, Beregonie. — W głosie Faramira dała się słyszeć ulga. — To nie jest ten palantir, nie ten należący wcześniej do Denethora. Tamten jest właśnie w Minas Tirith i nie zagraża ci.

— Tak? — Kapitan, mimo zapewnienia Faramira wyraźnie się obawiając, wziął Kamień Jasnowidzenia do ręki, dość długo wpatrywał się w niego, a potem z westchnieniem postawił z powrotem na stole. — Wybacz, książę, ale nic nie widzę.

— Widziałeś już wszystko, co należało, Beregonie. Nie jesteś winien śmierci Denethora — możesz spać spokojnie.

— Co?! Co powiedziałeś, książę?!

— Nie jesteś winien śmierci Denethora — powtórzył książę. — Wybacz, musiałem wprowadzić cię w błąd: nasz palantir to właśnie ów kamień. Rzeczywiście — widać w nim czasem skręcone palce, ale widzą je tylko ci, którzy są zamieszani w zabójstwo króla Gondoru. A ty nic nie widziałeś, co znaczy, że jesteś czysty. Tego dnia twoja wola została sparaliżowana przez czyjąś potężną magię. Jak sądzę, elficką.

— Naprawdę? — wyszeptał Beregon. — Chcesz mnie, książę, pocieszyć, i to na pewno jest ten inny palantir. . . „Powiedz, powiedz, że to nie jest tak!”

— Pomyśl sam — kto by mi dał ten „inny palantir”? Nawet ten oddali mi, ponieważ sądzili, że jest nieodwołalnie uszkodzony: sami rzeczywiście nie mogą nic w nim zobaczyć, gdyż dłonie Denethora przesłaniają całe pole widzenia. O tym, że ludzie nie mający nic wspólnego z zabójstwem nadal mogą z niego korzystać, na szczęście, nawet nie podejrzewają.

— To dlaczego powiedziałeś mi najpierw, że to nie ten?

— Widzisz. . . Chodzi o to, że jesteś człowiekiem łatwowiernym i bez trudu można ci coś zasugerować. Właśnie to wykorzystały elfy i Mithrandir. Bałem się, że po prostu wymyślisz sobie ten obraz. Autosugestia czasem wyczynia z ludźmi dziwne takie rzeczy. . . Ale teraz, chwała Eru, wszystko to za nami.

— Wszystko za nami. . . — wychrypiał Beregon. Wypowiadając te słowa, opadł na kolana i patrzył teraz na księcia z wyrazem tak głębokiego psiego oddania, że ten poczuł się niezręcznie. — Czy to znaczy, że pozwolisz, książę, służyć ci jak w przeszłości?

— Tak, pozwalam, ale natychmiast wstań z kolan... Powiedz mi teraz, czy jestem dla ciebie suwerenem Ithilien?

— Jakżeby inaczej, Wasza Wysokość?!

— Skoro tak, to czy mam prawo, pozostając wasalem gondorskiej korony, mieć swą osobistą ochronę narzuconą mi przez Króla?

— Oczywiście. Ale łatwiej to powiedzieć, niż wykonać: Biały Oddział jest mi podporządkowany tylko nominalnie. A ja tu jestem, szczerze mówiąc, tylko kwatermistrzem...

— Tego od dawna się domyślałem. A przy okazji — kim oni są? Dunedainowie?

— Szeregowcy to Dunedainowie. A oficerowie i kaprale... To ludzie z Tajnej Straży Króla. Skąd się wzięli u nas, w Gondorze, tego nikt nie wie. Ludzie gadają — Beregond zerknął na drzwi — że to podobno ożywione martwiaki. Kto tam dowodzi, sam nie wiem.

— M-m-hm... W każdym razie musimy się pozbyć tego towarzystwa, i to im prędzej, tym lepiej. No to jak, kapitanie, zaryzykujesz ze mną?

— Uratowałeś, Wasza Wysokość, mój honor, a to znaczy, że moje życie należy do ciebie bezwarunkowo. Ale trzech na czterdziestu...

— Sądzę, że jest nas nie troje, a nieco więcej, znacznie więcej.

Słyszając te słowa, zdumiony Beregond szeroko otworzył oczy.

— Jakiś tydzień temu chłopci z pewnej leśnej osady przywieźli do nas do fortu wóz wędzonej sarniny i zaczęli się wyklócać ze strażnikami przy bramie: wartownicy, jak zwykle, chcieli by zostawili łuki po tamtej stronie palisady. Był wśród tych przybyłych taki ciemnowłosy, dał się na całą okolicę: „Dlaczego, niby, szlachetni mogą wchodzić do rezydencji księcia z bronią, a wolni strzelcy z Drozdowej Kolonii, za diabła”. Przypominasz sobie?

— Coś takiego było... A o co chodzi?

— O to, że ten ciemnowłosy to baron Grager, porucznik Pułku Ithilien, a przed wojną mój rezydent w Khandzie, i mam podstawy sądzić, że w tej Drozdowej Kolonii nie siedzi on sam... Tak więc, twoim zadaniem jest nawiązać łączność z Gragerem, a potem będziemy działać według okoliczności. Od dziś będziemy się komunikować ze sobą przez skrytkę — gdy staniesz na szesnastym stopniu kręconych schodów w północnym skrzydle, to na poziomie lewego łokcia znajdziesz szczelinę w poszyciu ściany — akurat na liścik. Ani z górnego, ani z dolnego płacyku schodów nie widać tej szczeliny — sprawdziłem to. Po wyjściu ode mnie zaczniesz pić, gdzieś tak przez trzy dni: przecież zaprosiłem cię, żebyś spróbował mnie połączyć z Aragornem poprzez palantir — a ty, to jasne, zobaczyłeś w nim Denethora... Tylko nie przesadz — oficerowie Białych wydają się być bardzo przenikliwie patrzącymi ludźmi.

Dokładnie tego samego dnia w Kolonii wydarzyło się pierwsze przestępstwo — podpalenie. Jakiś przygłup podpałił... nie, nie uwierzycie: nie dom rywala,

który zrobił go rogaczem, nie spichlerz karczmarza, który odmówił czarki gorzały na kredyt, nie stóg zadzierającego nos sąsiada. . . Podpalono gołębnik, własność ponurego, samotnego kowala, który przyjechał tu z Anfalas i widać dlatego zachował pewne harde miastowe nawyki. Kowal kochał swe gołębie aż do przesady i dlatego obiecał srebrną markę temu, kto naprowadzi go na trop podpalacza. Miejscowa policja w postaci dwóch konstabli, kaprali Białego Oddziału, sama z siebie ryła nosem, szukając tropu, a znając obyczaje Anfalasczyków, można było być pewnym, że jeśli nie uda się wsadzić sprawcy pod klucz, to przyjdzie prowadzić dochodzenie już nie w sprawie podpalenia, a umyślnego zabójstwa. . .

Faramir wysłuchał tej głupiej historii, wysoko unosząc lewą brew — był bardzo tym wszystkim zdziwiony. Sprecyzujmy: naprawdę zdziwiony. Jedno z dwóch: albo przeciwnik popełnił pierwszy poważny błąd, albo odwrotnie — widzi całą intrygę księcia na wylot. I w jednym, i drugim przypadku Gra się rozpoczęła; rozpoczęła się wcześniej, niż oczekiwał, i nie tak, jak tego oczekiwał, ale nie było już drogi odwrotu.

## 23

### **Góry Cienia, Przełęcz Hotont 12 maja 3019 roku**

— Oto Ithilien. — Góral troll opuścił do pasa toból z bagażem i machnął ręką przed siebie, w stronę wąwozu poniżej, gdzie piętrzyły się zwarte kłęby jasnozielonego dymu: gęsty krzywolas z niskopiennych kamiennych dębów. — My teraz nie mamy tam wstępu. Ale ta ścieżka jest dobrze wydeptana, nie zabłądziacie. Gdzieś za godzinę traficie na ruczaj, a płycizna będzie nieco poniżej. Wygląda dość niebezpiecznie, ale przejść można... Najważniejsza sprawa to nie pękać i stawiać stopy wprost w kipieli, akurat tam jest najpłycej. Zaraz przepakujemy się i w drogę.

— Dzięki ci, Matunie. — Haladdin mocno uściśnął szeroką jak łopata dłoń przewodnika. I z budowy, i z zachowania troll przypominał niedźwiedzia: dobroduszny i flegmatyczny łasuch, w mgnieniu oka stający się śmiercionośną bojową maszyną, straszliwą nie tyle z powodu swej zadziwiającej siły, ile przebiegłości i zręczności. Nos jak kartofel, rozczochrana miotła ryżej brody i wyraz twarzy wieśniaka, któremu przed chwilą jarmarczny kuglarz wyciągnął zza ucha złotą monetę — wszystko to maskowało wspaniałego wojownika, biegłego i bezlitosnego. Patrząc na niego, Haladdin wciąż przypominał sobie usłyszane gdzieś powiedzenie: „Najlepszych na świecie żołnierzy można wyszkolić z ludzi spokojnych i rodzinnych”. Do czasu, kiedy taki oto chłop, wróciwszy pewnego dnia wieczorem z pracy, znajduje w miejscu swego domu pogorzelnisko ze zwęglonymi kośćmi.

Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem zwisające nad nimi ośnieżone bryły Gór Cienia — nawet Cerleg nigdy wcześniej nie podjąłby się przeprowadzenia ich oddziału przez wszystkie te lodowe cyrki, pionowe ściany z omszałymi osypiskami i nie mającymi końca dywanami rododendronów.

— Gdy wrócisz do bazy potrudź się i przypomnij Iwarowi, żeby w lipcu czekali na nas w tym samym miejscu.

— Nie bój się, chłopie: dowódca nigdy o niczym nie zapomina. Skoro się umówiliśmy, to pod koniec lipca będziemy tu na pewno.



— Dobrze. A gdyby nas nie było pierwszego sierpnia, wypijcie za spokój naszych dusz.

Matun na pożegnanie klepnął Cerlega tak, że ten ledwie ustał na nogach.

— Bywaj zdrów, zwiadowco!

Z orokuenem związały go przez te dni więzy prawdziwej przyjaźni. Tangornowi, rzecz jasna, nawet nie skinął głową; gdyby to on decydował, to tego gondorskiego pajaca... Jasne, jasne — dowódcy wiedzą lepiej. Matun był partyzantem w brygadzie Iwara-Dobosza od samego początku okupacji i dobrze wiedział, że powrotu grupy zwiadowczej należy oczekiwać w punkcie kontaktowym najwyżej przez trzy dni, a tu — tydzień! Zadanie o szczególnym znaczeniu, zrozumiano? Tak więc, może i ten gondorski pajac znalazł się w grupie nie po to, by szorować garnki.

„Tak — myślał w tym czasie Haladdin, obserwując miarowe, w rytmie kroków kiwanie się tobołu na plecach idącego przed nim barona. — Teraz wszystko zależy od Tangorna: czy potrafi w Ithilien osłonić nas przed swoimi, jak my przez ten czas osłanialiśmy jego. To, że jest osobistym przyjacielem księcia Faramira — wspaniale, bez dwóch zdań, ale do tego wspaniałego księcia mamy jeszcze szmat drogi... Na dodatek może być tak, że i sam Faramir w obecnej sytuacji jest tylko dekoracją przy rządach Aragorna. A baron ma dość specyficzne podejście do władz w Minas Tirith — w Odrodzonym Królestwie już z dziesięć razy mogli go postawić poza prawem... Jednym słowem, możemy łatwo zawisnąć całą trójką — nawet na najbliższej gałęzi, tam gdzie spotkamy pierwszy gondorski patrol, albo na murach Eryn Arnien. A co najzabawniejsze, w lesie barona powieszają nam do towarzystwa, a w forcie — nas do towarzystwa jemu. Tak, dobre towarzystwo to ważna sprawa...”

Można domniemywać, że umysł barona tego typu smętne myśli zaprzętały dziesięć dni temu, kiedy przekonali się, że droga do Ithilien przez Trakt Morgulski i przełęcz Pajęczycy jest szczelnie zamknięta przez elfickie posterunki, a to znaczy, że trzeba będzie poszukać pomocy partyzantów Gór Cienia. Najgorszą rzeczą byłoby wpaść na jeden z tych drobnych oddziałków, które nie uznawały żadnej władzy i nie myślały o niczym prócz zemsty. Wtedy nie pomogłyby nawet odwoływania się do wagi „misji”, a partyzanci rozprawiali się z jeńcami nie mniej okrutnie niż ich wrogowie... Na szczęście Cerleg, posiłkując się informacjami od Sharha-Rany, potrafił wyszukać w wąwozie Sharateg bazę zupełnie znośnie zdyscyplinowanej formacji, podporządkowanej jednolitemu dowództwu Ruchu Oporu. Oddziałem dowodził kadrowy żołnierz, jednoręki weteran Armii Północ, porucznik Iwar. Sam pochodził z tych okolic i stworzył w wąwozie zupełnie niedostępny bastion; prócz wszystkiego Iwar zorganizował na swych posterunkach obserwacyjnych znakomicie działającą dźwiękową łączność, za co otrzymał przezwisko „Dobosz”.

Porucznik bez cienia strachu zważył w dłoni okazany przez Haladdina pier-

ścień Nazgula, skinął głową i zadał tylko jedno pytanie: Jak może pomóc konsyliarzowi w wykonaniu jego zadania. Przerzucić ich grupę zwiadowczą do Ithilien? Nie ma problemu. Jego zdaniem, należy iść przez przełęcz Horont — o tej porze roku uważana jest za nie do pokonania, tak więc od ithilińskiej strony niemal na pewno nie jest strzeżona. Niestety, najlepszy z jego przewodników — Matun — wykonuje teraz powierzone mu zadanie. Czy mogą poczekać trzy, cztery dni? No to, nie ma sprawy. W tym czasie niech się wyśpią i najedzą na zapas. Czekaająca ich droga... ho-ho! I dopiero kiedy cała trójka odzyskała odebraną im na przednim posterunku broń, Tangorn zwrócił wziętą od lekarza poprzedniego dnia truciznę z eloarowej apteczki. Udało się.

Haladdin nigdy wcześniej nie bywał w tych okolicach i szczerze zainteresowany obserwował, jak się żyje w wąwozie Sharateg. Górskie trolle żyły ubogo, ale z każdego ich ruchu przebijało niemal książęce dostojenie; tylko gościnność ich — z punktu widzenia obcego — chwilami przekraczała wszelkie racjonalne granice i powodowała, że Haladdin czuł się wybitnie niezręcznie. Teraz w każdym razie stały się zrozumiałe źródła tej zadziwiającej atmosfery, jaka panowała w baraddurskim domu jego przyjaciela z Uniwersytetu, Kumaja.

Trolle zawsze osiedlały się w grupach kilku dużych, zaprzyjaźnionych ze sobą rodzin, a ponieważ na spadzistym stoku dom dla trzydziestu osób można zbudować tylko jednym jedynym sposobem — wyciągając go w pionie — ich budowle były grubościennymi kamiennymi wieżami o wysokości od dwudziestu do trzydziestu stóp. Sztuka układania kamiennych ścian, zrodzona przy wznoszeniu tych miniaturowych twierdz, uczyniła później wychodźców z trollijskich osiedli czołowymi budowniczymi Mordoru. Innym ulubionym zajęciem trolli była metalurgia. Najpierw odkryli sposoby kucia żelaza, uczyniwszy tym samym broń tanią — a więc i ogólnodostępną; potem nadeszła kolej na niklowo-żelazowe stopy (spora część tamtejszych żelaznych rud należała do rud stali stopowej) i teraz miecze, wiszące u pasa każdego mężczyzny, który osiągnął wiek lat dwunastu, stały się najlepszymi w Śródziemiu. Nie dziw więc, że trolle nigdy nie znały nad sobą żadnej władzy, prócz własnej starszyny: tylko zupełny idiota może posunąć się do szturmowania trollijskiej wieży po to, by straciwszy pod jej murami pół drużyny, przejąć jako podatek czy też świątynną dziesięcinę kilka chudych owiec.

W Mordorze świetnie to rozumiano, dlatego górali dotyczył tylko pobór do wojska, co im nawet dość pochlebiało. Później jednak, kiedy ich podstawowym zajęciem stało się wydobywanie rudy i wytapianie metali, na produkty owe nałożono drakońskie cła, ale trolli to jakby nie dotyczyło: obojętność na bogactwo i wygody stała się wręcz przysłowiowa, tak samo jak ich upór. Dana okoliczność zrodziła znaną w Śródziemiu legendę jakoby te trolle, które wszyscy znają, są tylko połową narodu. Drugą zaś połowę w Zachodnich krajach błędnie nazywa się „krasnoludami”, myśląc z innym mitycznym narodem — podziemnymi kowalami; to ci właśnie są owładnięci manią posiadania i całe swe życie spędzają w se-

kretnych podziemnych galeriach w poszukiwaniu złota i kamieni; ci właśnie są chciwi, kłótniwi, wiarołomni — jednym słowem są całkowitą odwrotnością prawdziwych, nadziemnych trolli. Jakkolwiek sprawa się ma, fakt pozostaje faktem: trollijska wspólnota podarowała Mordorowi wiele wybitnych postaci, od dowódców i mistrzów kowalskich do uczonych i religijnych przywódców, ale ani jednego, w jakikolwiek sposób znaczącego przedstawiciela warstwy kupieckiej!

Kiedy Zachodni sojusznicy — w ramach „Ostatecznego rozwiązania kwestii mordorskiej” — udanie „wyczyścili” przedgórze i zaczęli wykurzać trolle z ich wąwozów w Górach Cienia i Górach Popielnych, szybko zrozumieli, że walka z góralami to nie to samo, co kolekcjonowanie odciętych uszu w Oazie Gorgoroth... Trollijskie osiedla w tym czasie mocno się wyludniły, wielu mężczyzn poległo zarówno podczas wyprawy do Esgaroth, jak i na Polach Pelennoru. Ale podczas wojny w górskiej ciasnocie liczebność jako taka nie odgrywa szczególnej roli: górale zawsze mogli stanąć na drodze wroga w najważniejszych miejscach, gdzie dziesiątka dobrych wojowników może godzinami wstrzymać całą armię, a dokładniej — przez tyle czasu, ile go potrzeba, by ustawione wyżej na stoku kaptuły gruntownie przetrzepały sparaliżowaną kolumnę. Trzykrotnie pogrzebali pod wywołanymi własnoręcznie lawinami duże oddziały najeżdżające ich doliny. Porem przenieśli działania bojowe na przedgórze. Tak więc obecnie elfy z Wastakami nocą nie śmiały wysunąć nosa poza nieliczne, dobrze umocnione punkty. A do górskich osiedli, które stały się teraz partyzanckimi bazami, stale napływał lud z równin — skoro w obu przypadkach czeka nas koniec, to lepiej spotkać go z bronią w ręku i nie samotnie.

## 24

Wśród tych, którzy pojawili w tym tygodniu w Sharateg, były naprawdę interesujące osoby. Jednego z nich — mistrza Haddamiego — konsyliarz poznał w sztabie Iwara, gdzie mały Umbarczyk o pergaminowej twarzy i niewyobrażalnie smutnych oczach pracował jako pisarz, a od czasu do czasu podsuwał porucznikowi nadzwyczaj ciekawe pomysły realizacji wywiadowczych operacji. Mistrz był jednym z większych w kraju oszustów i w chwili upadku Barad-Dur odsiadywał w tamtejszym więzieniu pięcioletni wyrok za gigantyczną aferę z awalizowanymi wekslami bankowymi. Haladdin, kompletna finansowa noga, nie potrafił docenić piękna technicznych detali tej afery, ale sądząc z tego, że otumanieni negocjatorzy, szefowie trzech najstarszych handlowych domów Stolicy, dołożyli olbrzymich starań, by ukreślić łeb sprawie, pomysł musiał być naprawdę wyśmiewany. W zburzonym do cna mieście, perspektywy pracy w swojej specjalności — dużych finansowych machinacjach — były znikome, tak więc Haddami wykopał swoje ukryte złoto i zwiął na Południe, mając nadzieję przedostać się do swej historycznej ojczyzny. Jednakże złośliwość losu, którymi ten obficie szermuje podczas wojny, doprowadziły go nie do wymarzonego Umbaru, a do sharategskich partyzantów.

Mistrz był prawdziwą skarbnicą najprzeróżniejszych talentów, które, tęskniąc do kontaktów z „inteligentnymi ludźmi”, z przyjemnością demonstrował Haladdinowi. Na przykład, z niewyobrażalną dokładnością naśladował pismo innych ludzi — co, jak łatwo się domyślić, jest rzeczą bezcenną w jego profesji. O nie, mowa tu nie o jakimś prymitywnym odtwarzaniu cudzego podpisu, skądże! Zapoznawszy się z kilkoma stronicami, napisanymi ręką konsyliarza, Haddami napisał w jego imieniu tekst, na widok którego Haladdin w pierwszej chwili pomyślał. „Na pewno musiałem to sam napisać, po prostu nie pamiętam, kiedy i gdzie, a ten osobnik znalazł go i teraz zawraca mi głowę...”

Rzecz cała okazała się prostsza, a jednocześnie bardziej złożona. Haddami przyznał się, że jest genialnym grafologiem, który ze specyfiki charakteru pisma i stylu tworzy najwierniejszy z możliwych portret psychologiczny piszącego, a następnie praktycznie wciela się w tę osobę, tak więc pisane przezeń w imieniu innych osób teksty są — w pewnym sensie — autentyczne. A gdy mistrz na dodatek

wyłożył konsyliarzowi wszystko, czego dowiedział się o jego wewnętrznym świecie, dedukując z kilkunastu zapisanych wersów, ten znieruchomiał oszołomiony, mocno nawet wystraszony. Była to dla niego prawdziwa magia, i to magia nie-dobra. Przez chwilę nawet kusiła Haladdina myśl, by pokazać mistrzowi jakieś notatki Tangorna, ale wiedział, że byłoby to niesłychanie podłe, o wiele bardziej niż wsadzić nos w cudzy pamiętnik. Nikt nie ma prawa wiedzieć o kimś innym więcej, niż ten sam zamierza o sobie powiedzieć, gdyż w takiej sytuacji zarówno miłość, jak i przyjaźń umierają wraz z naruszonym prawem człowieka do tajemnicy.

Wtedy to wpadł na dziwny pomysł — dał Haddamiemu do ekspertyzy list Eloara, znaleziony wśród rzeczy zabitego elfa. Zawartość listu przeanalizowali starannie z baronem jeszcze w czasie zasiadki w Houtijn-Hotgor — mieli nadzieję znaleźć w nim jakieś punkty zaczepienia, jakieś wskazówki pomocne w realizacji przedarcia się do Lorien, ale nic z tego nie wyszło. I oto teraz Haladdin sam nie wiedząc, po co — zapragnął, korzystając z okazji, zapoznać się z psychologicznym portretem elfa.

Wyniki wprowadziły go w całkowite zdumienie. Haddami utkał z kruchych zwoików runicznego listu portret osoby w najwyższym stopniu szlachetnej i sympatycznej, być może nieco przesadnie marzycielskiej i otwartej aż do bezbronności. Haladdin oponował — grafolog obstawał przy swoim: przeanalizował również inne zapiski Eloara, jego topograficzne i gospodarcze notatki i wynik pozostał bez zmian, błąd wykluczony.

— Znaczy to, mistrzu, że funta kłaków nie jest warta pańska dedukcja! — rzucił wyprowadzony z równowagi Haladdin i opowiedział zaskoczonemu ekspertowi, co on sam zastał w Teshgol, nie szczędząc mu medycznych szczegółów.

— Proszę posłuchać, konsyliarzu — odezwał się po chwili zastanowienia nieco skonfundowany Haddami. — Ja, mimo wszystko obstaję przy swoim. Tam, w tym Teshgol, to nie był on. . .

— Co to znaczy „nie on”?! Może nawet nie on sam zgwałcił ośmioletnią dziewczynkę, zanim poderżnął jej gardło, ale uczynili to ci, którymi dowodził?!

— Ależ nie, Haladdinie, ja nie o tym mówię! Zrozum, to jest głębokie, niewyobrażalnie dla nas, ludzi, głębokie rozdwojenie osobowości. Proszę sobie wyobrazić, że musiał pan, bo tak wyszło, uczestniczyć w czymś podobnym do masakry w Teshgol. Ma pan matkę, którą głęboko kocha, a u elfów nie może być inaczej: dzieci są na wagę złota, każdy młody członek społeczności jest po prostu bezcenny. . . Tak więc, należy sądzić, zrobi pan wszystko, żeby nie dowiedziała się o tym koszarze, a biorąc pod uwagę elficką przenikliwość nie da się tego dokonać za pomocą kłamstwa czy prymitywnego przemilczenia, więc musi pan naprawdę przeistoczyć się w inną osobę. Dwie zupełnie różne osobowości w jednej istocie — że tak powiem, „do użytku zewnętrznego i wewnętrznego”. Rozumie mnie pan?

— Przyznam, że nie bardzo. . . Rozdwojenie jaźni to nie moja specjalność.

Dziwne, ale chyba właśnie ta rozmowa natchnęła Haladdina rozwiązaniem tego najważniejszego zadania, nad którym siedział, a rozwiązanie to przestraszyło go swą prostotą, prymitywnością nawet. Leżało na samym wierzchu i wydawało mu się teraz, że przez te wszystkie dni umyślnie odwracał wzrok, udając przed samym sobą, że go nie widzi. . . Tego wieczoru konsyliarz dotarł do wieży, gdzie przydzielono im kwatery. Gospodarze już się położyli spać, ale ogień jeszcze nie wygasł, i teraz siedział przy nim nieruchomo, wpatrując się szklanym wzrokiem w pomarańczową stertę węgla. Nawet nie zauważył kiedy obok pojawił się baron.

— Posłuchaj, Haladdinie, wyglądasz jakbyś zachorował. Może wypijesz czar-kę?

— A wiesz, chyba nie odmówię. . .

Miejscowa gorzałka sparzyła usta i przemknęła niczym skurcz wzdłuż grzbie-tu; wytarł łzy i poszukał wzrokiem, gdzie mógłby splunąć wódczaną śliną. Wcale nie ulżyło, ale spłynęła nań jakaś gorzka obojętność. Tangorn tymczasem zniknął gdzieś w ciemnościach w poszukiwaniach drugiego taboretu.

— Jeszcze?

— Nie, dziękuję.

— Stało się coś?

— Stało. Znalazłem sposób, jak podrzucić elfom nasz prezencik.

— No i?

— No i tak sobie myślę, że to odwieczne rozważania: czy cel uświęca środ-ki. . .

— Hm. . . Raz tak, innym razem nie. Jak się zdarzy. . .

— Właśnie. Matematyk powiedziałby: „Zadanie w tej postaci jest nierozwią-zywalne”. I Jedyny — w swej niewypowiedzianej mądrości — zamiast jedno-znacznej instrukcji postanowił wyposażyć nas w taki kapryśny i niepewny przy-rząd jak Sumienie.

— I cóż teraz mówi panu Sumienie, konsyliarzu? — Tangorn patrzył na niego z lekko ironicznym zainteresowaniem.

— Sumienie zupełnie niedwuznacznie powiada: „Nie wolno”. A Powinność na to: „Trzeba”. Tak się mają sprawy. . . Dobrze by było żyć zgodnie z rycerską dewizą: „Rób co trzeba — i niech będzie, co ma być”. Prawda, baronie? Szczególnie jeśli ktoś ci już szepnął na uszko, co mianowicie trzeba. . .

— Obawiam się, że nie będę w tym panu pomocny.

— A ja nie potrzebuję pomocy. Nawet więcej — odwrócił się i otrząsnąwszy z zimna, wyciągnął dłonie do stygnących węgla — chcę pana zwolnić z wszelkich zobowiązań co do uczestnictwa w tej wyprawie. Nawet jeśli zwyciężymy, realizu-jąc nasz plan, to — proszę mi wierzyć — nie będzie to Wiktoria, z której można być dumnym.

— Aż tak? — Twarz Tangorna stężała, a jego wzrok nagle stał się cięższy od kamiennej lawiny. — Więc pański plan ma taką wartość, że udział w nim jest mniej honorowy niż porzucenie w potrzebie przyjaciela? Ponieważ do tej chwili uważałem pana za takiego. Bardzo sobie cenię pańską troskę o czystość mojego sumienia, konsyliarzu, ale może pozwoli pan, że sam podejmę decyzję?

— Jak pan chce — obojętnie wzruszył ramionami Haladdin. — Może pan najpierw wysłuchać mnie i dopiero potem odmówić. To jest dość złożona kombinacja i przyjdzie zacząć z daleka. Jak pan sądzi, baronie, co aktualnie łączy Aragorna z elfami?

— Aragorna z elfami? Ma pan na myśli teraz, po tym, jak posadzili go na gondorskim tronie?

— Oczywiście. Mówił pan chyba, że nieźle zna wschodnią mitologię. Nie przypomina pan sobie przypowieści o Łańcuchu gnomów?

— Przyznaję, nie pamiętam. . .

— Jakże to. . . Bardzo pouczająca opowieść. Kiedyś dawno, dawno temu bogowie usiłowali uśmierzyć Chachti — głodnego demona Piekła, mogącego pożreć cały Świat. Dwukrotnie skuwali go łańcuchem wykonanym przez boskiego Kowala — najpierw ze stali, potem z mithrilu i dwukrotnie Chachti rwał go jak pajęczynę. Kiedy natomiast bogowie stanęli przed trzecią, ostatnią szansą, znizyli się do tego, że zwrócili się o pomoc do krasnoludów. Ci nie zawiedli i wykonali prawdziwie niezniszczalny łańcuch — z głosu ryb i tupotu kocich stóp. . .

— Głosu ryby i tupotu kocich stóp?!

— Tak. Ani jednego, ani drugiego nie ma — już nie ma — ponieważ wszystko, co na tym świecie było, poszło na wykucie Łańcucha. Ale, jak mi się wydaje, zużyto nań jeszcze kilka innych rzeczy, których teraz również nie można znaleźć, na przykład wdzięczność władców. . . A przy okazji. Jak, według pana, bogowie zapłacili krasnoludom?

— Należy sądzić, że zlikwidowali ich. Nie widzę innego wyjścia.

— Właśnie tak! Dokładniej mówiąc — zamierzali zlikwidować, ale krasnoludy też nie wypadły sroce spod ogona. . . Zresztą, to już inna historia. A wracając do Aragorna i elfów. . .

Opowiadanie było długie i treściwe — przy okazji sam sprawdzał swoją logiczną konstrukcję. Następnie popadli w milczenie, zakłócanie wyłącznie wyciem wiatru za ścianami wieży.

— Jest pan strasznym człowiekiem, Haladdinie. Kto mógłby pomyśleć. . . — w zamyśleniu powiedział Tangorn; popatrzył na konsyliarza jakoś dziwnie, z nowym zainteresowaniem i chyba z szacunkiem. — W zadaniu, jakiego się podjęliśmy, wszystkie takie karmelkowe smarki są co najmniej nie na miejscu, ale jeśli sążone nam jest zwyciężyć w sposób, jaki pan wymyślił. . . Słowem, nie sądzę, bym miał kiedykolwiek ochotę na wspomnianie tej historii przy kielichu dobrego wina.

— Jeśli sądzone nam jest zwyciężyć tak, jak to wymyśliłem — niczym echo odezwał się Haladdin — nie sędzę, żebym chciał oglądać swe odbicie w lustrze.

W duchu zaś dodał: „A już na pewno nigdy nie odważę się spojrzeć w oczy Soni”.

— Zresztą — uśmiechnął się baron — pozwolę sobie ściągnąć pana na grzeszną ziemię: ta rozmowa dziwnie przypomina awanturę przy podziale nie znalezionego jeszcze skarbu. Najpierw niech pan wygra ten bój, a dopiero potem zacznie się oddawać duchowej szamotaninie... Na razie pojawiło się światło na końcu tunelu i nic więcej. Nie sędzę, by nasze szanse na pozostanie żywymi były wyższe niż jeden do pięciu, tak więc jest to swego rodzaju uczciwa gra.

— „Nasze szanse”? Czy to znaczy, że jednak pan zostaje?

— A gdzie mam się podziąć... Chyba pan nie sądził, że da sobie radę beze mnie? Jak na przykład zamierza pan skontaktować się z Faramirem? A przecież bez jego, niech i biernego udziału, cała nasza kombinacja kończy się, nawet nie zaczynając. Dobra... Teraz tak. Uważam, że musimy wymyśloną przez pana przyrętnę zarzucić nie gdziekolwiek, a w Umbarze. Tę część zadania biorę na siebie — pan z Cerlegiem będziecie tam tylko ciężarem. Kładźmy się, a szczegóły przemyślimy jutro.

Następnego dnia jednakże, na plan pierwszy wyszły inne sprawy: pojawił się w końcu długo oczekiwany przewodnik, Matun, i ruszyli zdobywać Hotont. Był już drugi tydzień maja, ale przełęcz ryglowała jeszcze zima. Oddział trzykrotnie trafiał pod lawiny śnieżne — ratowały ich tylko śpiwory z futra gruborogów; pewnego razu, po półtorej doby siedzenia w igloo wykonanym przez Matuna z pospiesznie wyciętych cegieł, ledwo dali radę wygrzebać się na zewnątrz. We wspomnieniach Haladdina cała ta trasa skleїła się w jakiś grząski, ciągnący się koszar. Głód tlenowy utkał dokoła niego gęstą kurtynę z drobnych kryształowych dzwoneczków. Po każdym kroku miał ogromną ochotę zwalić się w śnieg i z rozkoszą wsłuchiwać w ich kołyszące dzwonienie — wydawało się, że nie kłamią, obiecując zamarznąć, najlepszy rodzaj śmierci... Z tego półomdlenia wyłaniał się tylko jeden epizod: mniej więcej pół mili od nich, na drugiej stronie wąwozu, pojawiła się nie wiadomo skąd ogromna kudłata postać — ni to małpa, ni to stojący na tylnych łapach niedźwiedź. Istota ta poruszała się pozornie niezręcznie, ale niesamowicie szybko, i, nie zwracając na nich uwagi, bez śladu znikła w kamiennym rumowisku na dnie wąwozu. Wtedy po raz pierwszy widział przestraszonego trolla — nigdy nie pomyślałby, że to jest w ogóle możliwe. „Kto to był, Matunie?” Ale ten tylko ręką machnął, jakby odganiając Nieczystego. „Udało się — mówił tym gestem — i dobrze...” Tak więc teraz idą po przetartym szlaku między rozłożystymi ithilińskimi dębami, rozkoszując się śpiewem ptaków, a Matun tymczasem wraca samotnie przez wszystkie te „żywe” osypiska i pola firnowe.

Wieczorem tego samego dnia wyszli na polanę, gdzie dziesięciu mężczyzn bu-



dowało palisadę dokoła pary nie ukończonych jeszcze chat. Na ich widok wszyscy chwycili za łuki, a przywódca poważnym głosem polecił: położyć broń na ziemi i podejść bliżej, wolno, z rękami nad głową. Tangorn, zbliżywszy się, oświadczył, że ich oddział kieruje się na spotkanie z księciem Faramirem. Chłopi popatrzyli na siebie i zapytali, skąd on się tu wziął. Z księżycy spadł, czy z komina. Baron tymczasem uważnie przyjrzał się jednemu z budowniczych — temu, który siedział na belkach, osiodławszy krokiew — i nagle roześmiał się serdecznie:

— Tak, tak, kapralu! Pięknie witasz swojego dowódcę.

— Chłopy! — wrzasnął ten, omal nie spadając ze swoich wyżyn. — Niech mi gały powypadają, jeśli to nie porucznik Tangorn! Wybacz nam, panie baronie, nie poznaliśmy: wygląda pan tak, że lepiej nie mówić... Nieważne, teraz wszyscy nasi są razem, możemy więc ten Biały Oddział... — i w całkowitym zachwycie zaadresował ukrytemu za lasami Eryn Arnen wyrazisty, nieprzyzwoity gest.

## 25

### **Ithilien, osiedle Drozdowa Kolonia 14 maja 3019 roku**

— Czy to znaczy, że tak właśnie palnąłeś na całe Eryn Arnem: „Wolni strzelcy z Drozdowej Kolony”?

— A co miałem robić? Czekać aż Odwieczny Ogień zamarznie? I księcia, i dziewczynę wypuszczają z fortu tylko w towarzystwie chłopców z Białego Oddziału, a w ich kompanii jakoś niezręcznie się rozmawia.

Płomyk oliwnego kaganka, stojącego na brzegu prymitywnego stołu z nie obrobionych desek, rzucał nierówne światło na twarz mówiącego, po cygańsku smagłą i drapiezną — nic dodać, nic ująć, zbój-masztang z karawanich szlaków z anduińskiego Południa. Nie dziw, że swego czasu człowiek ten czuł się jak ryba w wodzie zarówno w khandyjskich karawanserajach wśród poganiaczy bachtrianów, przemytników i zawszawionych gardłujących derwiszów, jak i w umbarskich portowych knajpach o najgorszej reputacji. Wiele lat temu właśnie baron Grager kształcił debiutującego za Anduiną „kota” Tangorna w abecadle rzemiosła zwiadowcy i — co może było jeszcze ważniejsze — niezliczonych niuansach Południa, bez opanowania których zostaniesz *chetchaco* — wiecznym obiektem obłudnie złośliwych uwag każdego Południowca, od ulicznego urwisa do dworzana.

Gospodarz Drozdowej Kolonii pytając dotknął dzban z winem, ale widząc ledwo zauważalne skinienie Tangorna, odsunął go tylko na bok: objęcia i inne emocje z powodu spotkania były już za nimi. Teraz był czas na pracę.

— Czy szybko nawiązałeś łączność?

— Za dziewięć dni powinni już zapomnieć o tym głupim epizodzie. Dziewczyna akurat wyjechała na polowanie — to dla niej sprawa zwyczajna — zobaczyła na jednej z polan pastuska ze stadem i bardzo zręcznie oderwała się od eskorty na jakieś dziesięć minut, nie więcej...

— Pastuszek, znaczy się... Pewnie wsunęła mu złotą monetę z liścikiem.

— Nie zgadłeś. Wyciągnęła mu drzazgę z pięty i opowiedziała, jak pewnego razu w dzieciństwie broniła ze swoim bratem tabunu przed stepowymi wilkami.

Słuchaj, czy tam na Północy, ci dumni jeźdźcy naprawdę wszystko robią własnymi rękami?

— Tak. Nawet książęta krwi w dzieciństwie pasą konie, a księżniczki pracują przy kuchni. Tak więc, co z tym pastuszkiem?

— Po prostu poprosiła go o pomoc, ale tak, żeby nie dowiedział się o tym ani jeden człowiek na świecie. I — oto słowo zawodowca: gdyby coś się stało, ten chłopiec dałby się pociąć na kawałki, a nie pisnąłby słowa. Krótko mówiąc, znalazł on Drozdową Kolonię i przekazał, że w przyszły piątek w karczmie „Czerwony Jeleń” kapitan Beregond będzie oczekiwał mocno podchmielonego człowieka, który klepnie go w ramię i zapyta czy to nie on dowodził mortondzkimi łucznicami na Polach Pelennoru. . .

— Cooo?! Beregond?!

— Wyobraź sobie. Zdziwiliśmy się, co najmniej jak ty. Jednakże musisz się zgodzić, że ludzie Aragorna na przynętę wystawiliby kogoś nie tak znacznego. Tak więc, książę słusznie uczynił. . .

— Wyście tu chyba zupełnie powariowali! — rozłożył ręce Tangorn. — Jak można za grosz wierzyć człowiekowi, który najpierw zabił swego władcę, a teraz, po miesiącu, zdradza nowych panów?

— Nic podobnego. On nie ma nic wspólnego ze śmiercią Denethora, co zostało wyjaśnione z absolutną dokładnością. . .

— Ciekawe, jak to wyjaśniliście. Wpatrywaliście się w kawowe fusy, czy jak?

— Wpatrywaliśmy się. Ale nie w fusy, a w palantir. Krótko mówiąc, Faramir całkowicie mu ufa. A książę, jak ci wiadomo, nieźle zna się na ludziach i nie ulega przesadnej łatwowierności.

Tangorn wychylił się do przodu i nawet gwizdnął ze zdziwienia.

— Poczekaj, poczekaj. . . Czy nie chcesz czasem powiedzieć, że palantir Denethora znajduje się w Emyrn Arnen?

— Tak. Ci tam, w Minas Tirith, zdecydowali, że kryształ jest „zablokowany” — oni wszyscy widzieli w nim tylko widmo zabitego króla. Dlatego, gdy Faramir wyraził chęć zabrania go „na pamiątkę”, nawet się ucieszyli.

— Ta-a-ak. . .

Baron odruchowo zerknął na drzwi do sąsiedniej izby, gdzie urządzali się na nocleg Haladdin i Cerleg. Sytuacja zmieniała się błyskawicznie. „Coś ostatnio wręcz nieprzyzwoicie sprzyja nam Fortuna — przemknęła mu myśl. — Och, nie rokuje to niczego dobrego. . .” Grager, wychwyciwszy to spojrzenie, kiwnął w stronę ściany.

— Ta para. . . Naprawdę szukają Faramira?

— Tak. Można im całkowicie ufać. Nasze dążenia, w każdym razie w tej chwili, są zgodne.

— No, no. . . Misja dyplomatyczna?

— Coś w tym rodzaju. Wybacz, ale jestem związany słowem. . .

Dowódca Ithilieńczyków przez jakiś czas ważył coś w głowie, a potem mruknął:

— Dobra, sam się nimi zajmuj, ja mam swoich kłopotów aż nadto. Na razie wpakuję ich do najdalszej bazy, na Wydrzym Potoku, żeby pod nogami się nie pętali, a potem się zobaczy.

— A dlaczego ze wszystkich swoich baz podsunąłeś akurat Drozdową Kolonie?

— Dlatego, że i tak tu się nie da podejść niezauważalnie. Zawsze zdążymy czmychnąć. Poza tym, ludzi tu jak kot napłakał. Jest to raczej punkt obserwacyjny niż baza.

— A ilu jest naszych?

— Ty jesteś pięćdziesiąty drugi.

— A ich?

— Czterdziestu.

— Tak, naszych sił za mało na szturm. . .

— O szturmie zapomnij — machnął ręką Grager. — Co jak co, ale zawsze zdążą wykończyć księcia, i to w każdej sytuacji. Tym bardziej, że Faramir kategorycznie żąda, by jego uwolnienie odbyło się bezkrwawo, żeby nikt nie ośmielił się oskarżyć go o złamanie przysięgi wasala. Nie, my mamy inny plan. Przygotowujemy ucieczkę z Emyrn Arnen, a kiedy książę Ithilien znajdzie się już pod naszą ochroną, będziemy mogli rozmawiać z Białym Oddziałem innym tonem. Coś w stylu: „Może byście sobie stąd poszli, chłopcy?”

— A macie już jakiś konkretny plan?

— Jesteś niesprawiedliwy. Już niemal wszystko zostało zrobione! Widzisz, największy problem to Eowina. Oni są wypuszczani za bramę pojedynczo, a książę sam — to jasne, nie ucieknie. Tak więc, musieliśmy rozwiązać łamigłówkę: żeby książę z księżną byli, po pierwsze — razem, po drugie — bez bezpośredniego nadzoru, i po trzecie — poza budynkiem fortu.

— Hm. . . Od razu przychodzi do głowy ich sypialnia. Co prawda, tam nie spełnia się trzeci warunek. . .

— Niemal zgadłeś. Łaźnia.

— To ci historia! — roześmiał się Tangorn. — Podkop?

— Oczywiście. Łaźnia stoi wewnątrz palisady, ale nieopodal budynku głównego. A kopimy od sąsiadującego młyna — niemal dwieście jardów w linii prostej. To niezły kawałek. Sam wiesz, że największym problemem w przypadku podkopu jest pozbywanie się wykopanego gruntu. Z młyna można go wywozić z workach przyprószonych mąką — wyglądają bardzo naturalnie. Najgorzej będzie jeśli wartownicy z fortu, po prostu z nudów, zaczną liczyć worki i wyjdzie im, że mąki wywozi się znacznie więcej niż przywozi ziarna. . . Tak więc musimy kopać nie na całego tylko wolno — wolno, ale z sensem. W przyszłym tygodniu powinniśmy się uwinąć.

— A Biały Oddział ciągle niczego nie podejrzewa?

— Beregonď zaklina się, że nie. Co prawda, oni oczywiście o niczym takim nie informują, ale jakieś oznaki niepokoju by zauważył.

— Mają swoją sieć agentów w Osadzie i w koloniach?

— W Osadzie tak, a w koloniach nie sędę. Musisz zrozumieć, że oni mają spore problemy ze swoimi ludźmi poza fortem. Miejscowi unikają kontaktów z Białym Oddziałem. Mówi się o nich różne rzeczy, na przykład, że to ożywieni zmarli, a nam to jest bardzo na rękę. W tej sytuacji każdy kontakt miejscowych z Białymi od razu rzuca się w oczy. Teraz oni zmyślili i przeszli na kontakty pośrednie — korzystają ze skrytek, ale wcześniej komunikowali się bezpośrednio.

— Właściciel karczmy pracuje dla nich?

— Chyba tak. To nam mocno komplikuje życie.

— Kupcy, którzy jeżdżą do Gondoru po towary?

— Jeden z nich. Inny to mój człowiek. Czekałem, sędząc, że będą chcieli go zwerbować, wtedy mielibyśmy dostęp do ich kanału łączności, ale na razie przynęta nie działa.

— Po prostu trzymasz ich wszystkich „pod lupą”?

— Nie tylko. Ponieważ liczył się każdy dzień, postanowiłem pozbawić ich łączności z Minas Tirith. Niech się trochę pomęczą. To ich odciągnie i od młynarza, i od naszych kolonii.

— Co do łączności. Czy ktoś z osadników nie hoduje czasem gołębi?

— Hodował — szyderczo uśmiechnął się Grager. — Ale gołębnik... fiu, i spłonął. Takie to są sprawy...

— Przypadkiem nie cieszysz się na wyrost? Biali pewnie na głowach stają...

— Oczywiście, że stają! Ale powiadam — to już jest kwestia dni, kto kogo wyprzedzi. Co do wagi wydarzeń to śledztwem w sprawie gołębnika zajmowali się dwaj kaprale, wyobrażasz sobie? Więc wiemy teraz na pewno, kto się u nich zajmuje kontrwywiadem... Zrozum — powiedział zamyślony były rezydent, nie odrywając zmrużonych oczu od kaganka — tak naprawdę to martwi mnie łatwość, z jaką odgaduję ich ruchy: wystarczy, że postawię siebie na ich miejscu — jak ja sam budowałbym swoją sieć w takim osiedlu? Ale to oznacza, że i oni, gdy dowiedzą się o naszym istnieniu — a dowiedzą się na pewno, to kwestia najbliższego czasu — będą tak samo łatwo przewidywać moje ruchy. Tak więc, zostaje nam tylko jedno — grać z wyprzedzeniem... Oho! — Jego uniesiony palec zamarł przy skroni. — Chyba goście! Pewnie chłopcy z fortu zaryzykowali bezpośrednią łączność z Minas Tirith — czekam na nich trzeci dzień.

\* \* \*

Powóz turlał się po szlaku w szybko zapadającym zmierzchu, i nocny chłód energicznie wpychał się za kołnierzyk oraz do rękawów ubrania woźnicy, właściciela osiedlowego kramu z towarami kolonialnymi. Sowią Spadź — najbardziej głuche i ponure miejsce na całej drodze od Osady do Osgiliath — miał już niemal za sobą, gdy z mrocznych krzaków leszczyny na poboczu drogi wyłoniły się cztery cienie. Kupiec dobrze znał reguły gry, dlatego bez sprzeczek oddał rozbójnikom sakiewkę z tuzinem srebrnych monet, za które zamierzał kupić w Gondorze mydło i przyprawy do swego kramu. Ci jednak nie bardzo interesowali się pieniędzmi, natomiast kazali jeńcowi się rozebrać, a to już łamało reguły gry. Jednakże przyłożone do gardła ostrze nie sprzyjało dyskusji. Ale tak naprawdę — aż do spływających po plecach strużek zimnego potu — kramarz wystraszył się dopiero wtedy, kiedy przywódca, podłubał sztyletem przy podeszwach jego butów, bez pośpiechu obmacał szwy jego kamizeli i, prychnąwszy zadowolony, spruł jeden z nich, po czym sięgnął paluchami do dziury i ze zręcznością kuglarza wyjął kwadracik najcieńszego jedwabiu zapisanego ledwo widocznymi w mroku znakami.

Kupiec rzeczywiście nie był zawodowcem i, gdy zbóje rzeczowo przerzucili sznur przez najbliższą gałąź, popełnił największe głupstwo: oświadczył, że jest człowiekiem króla. Co zamierzał przez to osiągnąć? Nocni zbóje tylko wymienili spojrzenia: ich doświadczenie podpowiadało im, że ludzie króla są równie śmiertelni na sznurze, jak i wszyscy inni. A ten, który w tym czasie wiązał na wolnym końcu sznura pętlę, zauważył oschle, że szpiegostwo nie jest wieczorną partyjką dartsa w „Czerwonym Jeleniu”, gdzie można przegrać kilka kufelków. Właściwie — ciągnął zbój starannie wiążąc piracki węzeł w taki sposób, by ofiara dobrze widziała wszystkie czynności — to chłop ma wielkiego farta: rzadko kiedy schwytanemu szpiegowi pozwala się umrzeć tak szybko i stosunkowo bezboleśnie. Jego szczęście, że jest tylko łącznikiem i nie wie nic na temat reszty organizacji... W tym momencie organizm nieszczęsnego kramarza nie wytrzymał i wyrzucił z siebie wszystkie ciekłe i stałe produkty metabolizmu, a potem łącznik zaczął pospiesznie wyłuszczać wszystko, co mu wiadomo, a wiedział on, jak przypuszczali ludzie Gragera, nie tak znowu mało.

„Zbóje” wymienili zadowolone spojrzenia — swoje role odegrali z powodzeniem. Dowódca wyprowadził z krzaków konia i rzuciwszy kilka krótkich dyspozycji, zniknął. Na przechwyconą zaszyfrowaną wiadomość czekano w Drozdowej Kolonii. Jeden z pozostawionych ludzi obrzucił dygocącą ofiarę spojrzeniem, bardzo odległym od zachwyty, i czubkiem buta przysunął doń ciśnięte na trawę ubranie.

— Tam za drzewami jest strumyk. Doprowadź się do porządku i ubierz. Po-

jedziesz z nami. Sam rozumiesz, co się z tobą stanie, gdy trafisz w łapy swych przyjaciół z Białego Oddziału.

Szyfr, za pomocą którego napisany był jedwabny list, okazał się nadspodziewanie prosty. Obliczywszy, że w niezbyt długim komunikacie jest siedem „rzadkich” liter — „RUN”, Tangorn z Gragerem natychmiast zrozumieli, że mają do czynienia ze zwykłym podstawieniem, tak zwanym „prostym bełkotem”, gdy jedna litera jest standardowo zamieniana tym samym znakiem w całym tekście. Zwykle w tym celu liczby porządkowe pięćdziesięciu ośmiu liter tworzących Kertar Daeron, przesuwają się o określoną liczbę; na przykład, przy przesunięciu na dziesiąte miejsce „RUN” (numer 1) używa się „RUN” (numer 11), a zamiast „RUN” (numer 55) — „RUN” (7). Absolutny prymityw. Na Południu takie, za przeproszeniem, „szyfrosystemy” stosuje się co najwyżej w sekretnych listach miłosnych. . . Odgadłszy za drugim podejściem liczbę przemieszczenia — 14 (data zapisu listu), Grager kunsztownie zaklął: wyglądało, że ktoś usiłuje im wcisnąć dezinformujący list.

Jednakże nie była to zmyłka. Wcale a wcale. . . W liście tym niejaki Gepard, kapitan Tajnej Straży Jego Królewskiej Mości, komunikował „koledze Gragerowi”, że w ich grze, jak się wydaje, doszło do sytuacji patowej. Grager oczywiście może zneutralizować Gepardową sieć poza ścianami fortu i znacznie utrudnić mu łączność z Minas Tirith, ale nie zbliży to porucznika do zrealizowania podstawowego jego zadania ani na krok. Czy nie należałoby spotkać się w takim razie w celu odbycia konferencji na przykład w Eryn Arnien, z gwarancjami bezpieczeństwa, może w jednej z kolonii, wybranej przez barona?

## 26

### **Ithilien, Eryn Arnien Noc z 14 na 15 maja 3019 roku.**

— Posłuchaj, mówisz, że księżniczka Elendeil w rzeczywistości w ogóle nie istniała, że wymyślił ją po prostu ten Airufin. . .

Eowina siedziała w fotelu z podwiniętymi nogami, splatając na kolanach swe szczupłe palce, zabawnie nachmurzona. Księżę uśmiechnął się i, przycupnąwszy na podłokietniku, usiłował wygładzić tę kochaną zmarszczkę dotknięciem warg, ale nic z tego nie wyszło.

— Nie, Far, poczekaj. Mówię poważnie. Przecież ona żyje, naprawdę żyje! A kiedy ginie, żeby uratować swego ukochanego, to chce mi się płakać, jakbym naprawdę straciła przyjaciela. . . Weźmy sagi o starożytnych herosach — oczywiście, to też zajmujące, ale jakoś tak zupełnie nie to. Tacy Gil-Galad i Isildur — oni są jacyś. . . no, wiesz, jak kamienne posągi, rozumiesz? Można ich czcić — i tylko to, a księżniczka — słaba i czuła — ją można pokochać. . . Rozumiesz mnie?

— Oczywiście, wspaniale to ujmujesz, zielonooka. Wydaje mi się, że Airufin z przyjemnością wysłuchałby twych słów.

— Elendeil powinna żyć na początku Trzeciej Ery. Nikt, prócz kilku historyków, nie pamięta nawet imion tych książąt, którzy rządzą wóczas na rohańskich równinach. Tak więc, kto jest bardziej realny — oni czy ta dziewczyna? To znaczy, że Airufin — aż strach powiedzieć! — okazał się potężniejszy od samych Valarów?

— W pewnym sensie tak.

— Wiesz, przyszło mi do głowy. . . Wyobraź sobie, że ktoś inny, równie potężny jak Airufin, napisze kiedyś książkę o nas, bo przecież może coś takiego się zdarzyć, prawda? Wtedy która z tych Eowin będzie prawdziwa — ja czy tamta?

— Jak pamiętam — uśmiechnął się Faramir — onegdaj prosiłaś mnie, bym wytłumaczył „na dostępnym dla głupiej baby poziomie”, co to filozofia. Tak więc, te twoje rozważania to właśnie filozofia, choć dość naiwna. Takimi problemami na długo przed tobą zajmowało się mnóstwo ludzi, i wiele ze znalezionych przez nich odpowiedzi to głupstwa bez wartości. Na przykład. . . Wejść! — zawołał,



słyszając pukanie do drzwi i zaniepokojony zerknął na Eowinę. Dokoła noc, kogo tu licho niesie?

Gość ubrany był w czarny paradny uniform kaprała Gondorskiej Straży Cytadeli (księcia zawsze intrygowała ta sprzeczność: Biały Oddział, a mundury czarne), i na jego widok Faramir poczuł ssanie w dołku — wyglądało, że w jakimś miejscu popełnili błąd. . . Poprosił Eowinę, by oddaliła się do sąsiedniego pokoju, ale gość łagodnie poprosił ją o pozostanie, gdyż to, o czym będzie się za chwilę mówiło, dotyczy wprost również i Jej Wysokości.

— Po pierwsze, proszę pozwolić, że się przedstawię, książę, choć może z pewnym opóźnieniem. Nie mam imienia, ale może mnie pan nazywać Gepardem. W rzeczywistości nie jestem kapralem, a kapitanem Tajnej Straży, oto mój żeton. Dowodzę tutejszym kontrwywiadem. Kilka minut temu aresztowałem komendanta Eryn Arnen pod zarzutem udziału w spisku i zdrady państwowej. Jednakże nie wykluczam, że Beregond tylko wykonywał pańskie rozkazy, nie wnikając zbyt w ich istotę, a wówczas jego wina nie będzie już tak wielka. Właściwie, właśnie to chciałbym wyjaśnić.

— Nie mógłby pan, kapitanie, wyrażać się jaśniej? Na twarzy Faramira nie drgnął ani jeden mięsień i zdołał bez lęku odpowiedzieć na spojrzenie Geparda — puste i straszliwe, właściwe wszystkim oficerom Białego Oddziału. Gdyby pominąć te oczy, oblicze kapitana mogłoby sprawiać zupełnie sympatyczne wrażenie — było mężne i nieco przy tym smutne.

— Jak mi się wydaje, książę, zupełnie opacznie rozumie pan sedno moich tu obowiązków. Powiniennem za wszelką cenę — powtarzam: za wszelką cenę — strzec pańskiego życia. Nie dlatego, że pana lubię, a dlatego, że taki mam rozkaz od mojego króla: jakiegokolwiek nieszczęście się panu przydarzy plotka przypisze je Jego Wysokości, a niby dlaczego ma on płacić czyjeś rachunki? To jedna strona zagadnienia. Z drugiej, jestem zobowiązany przeszkodzić w czyichkolwiek zakupach na namówienie pana do złamania przysięgi wasalnej. Proszę sobie wyobrazić, że jacyś głupcy napadają na fort i „uwalniają” pana, chcąc uczynić z pana sztandar restauracji. Jeśli przy tym zginie choć jeden z ludzi króla — a zginą na pewno — Jego Królewska Mość, mimo naprawdę szczerych chęci, nie będzie mógł przymknąć oczu na tę historię. Królewska armia wkroczy do Ithilien, a to najprawdopodobniej doprowadzi Odrodzone Królestwo prosto do krwawej wojny wewnętrznej. Tak więc, proszę uważać, że jestem tu po to, by ustrzec pana przed ewentualnymi głupstwami.

Dziwne, ale w mowie Geparda, może w jego intonacji — nie, raczej w budowie zdań — było coś takiego, że Faramir poczuł się jakby ponownie rozmawiał z Aragornem.

— Bardzo cenię pańską troskę, kapitanie, jednakże nie rozumiem, jaki to ma związek z aresztowaniem Beregonda.

— Jakiś czas temu spotkał się on w „Czerwonym Jeleniu” z wysokim, szcu-

płym człowiekiem, mającym wzdłuż lewej skroni długą bliznę, a jedno ramię wyraźnie wyższe od drugiego. Nie wie pan czasem, o kim mowa? Dość łatwa do zapamiętania powierzchowność. . .

— Przyznam, że nie przypominam sobie — uśmiechnął się książę, starając się, by uśmiech go nie zdradził, a były ku temu powody. . . — Może lepiej by było zapytać samego Beregonda.

— Och, Beregond odpowie na całą masę pytań. Ale pański brak pamięci, książę, jest bardzo zastanawiający. Rozumiem, że kapitan Pułku Ithilien, Faramir, może nie pamiętać twarzy wszystkich swoich żołnierzy, ale kaprali i oficerów, powinien. . . Powtarzam: łatwa do zapamiętania powierzchowność. . .

— A co ma do tego mój pułk?

— Jak to, co? Widzi pan, wielu z walczących w składzie tego wspaniałego oddziału nie wróciło po zakończeniu wojny do domów, do Gondoru. Szczególnie zauważalny jest całkowity brak zwolnionych ze służby oficerów i podoficerów — łącznie około pięćdziesięciu. No, pewnie część z nich zginęła — takie czasy — ale przecież nie wszyscy! Jak pan sądzi, książę, dokąd mogli się udać? Czy nie do nas, do Ithilien?

— Możliwe — obojętnie wzruszył ramionami książę. — Tyle, że ja nie mam o tym najmniejszego pojęcia.

— O to właśnie chodzi, książę, o to chodzi: nie ma pan pojęcia! Proszę zauważyć: powrót do Ithilien, z którym związana przecież była i służba w wojsku, i gdzie księciem jest ukochany ich kapitan (a to, że pana w pułku kochano, nie jest dla nikogo tajemnicą), to jakby rzecz normalna i naturalna. Tylko dlaczego żaden z nich nie przybył do Eryn Arnien oficjalnie, nie przedstawił się i nie poprosił o przyjęcie do służby. . . Zgódźmy się, że to jest nie tylko nienaturalne — to jest bardzo, ale to bardzo podejrzane! Logicznie zatem jest założyć, że pański pułk zachował się jako jednolita zdyscyplinowana organizacja, tyle, że działająca w nielegalnym trybie, i teraz ci ludzie walczą w głowach plany pańskiego „uwolnienia”. Do czego to doprowadzi, już, jak mi się wydaje, omówiliśmy.

— Pańskie domysły, kapitanie, są nawet interesujące i logiczne na swój sposób, jednakże jeśli wszystkie te dowody zdrady Beregonda, jakimi dysponujecie. . .

— Dajmy spokój, książę — skrzywił się Gepard. — Przecież nie jesteśmy przed ławą przysięgłych! W chwili obecnej niepokoją mnie nie prawnicze sztuczki, a prawdziwy stopień winy tego spiskowca-dyletanta. Teraz jednak rodzi się pytanie: W jaki sposób komendant, odbywający służbę w Minas Tirith, w oddziale Straży Cytadeli, mógł się skontaktować z kapralem Rankornem, wolnym strzelcem, który całą wojnę przesiedział w lasach Ithilien? To oznacza, że ktoś ich ze sobą zapoznał, nawet może zaocznie, i pierwszym kandydatem jest pan, książę. Tak więc, czy Beregond działał według swego uznania czy — co bardziej mi wygląda na prawdę — wykonywał pańskie zadanie?

„No i koniec — zrozumiał Faramir. — Po co oni wysłali na kontakt akurat Rankorna? Przecież naprawdę łatwo go rozpoznać po słownym opisie. . . Słowne opisy kaprali — och, głęboko grzebią w tych swoich dochodzeniach. . . I „Czerwony Jeleń” jest lepiej, niż sądziłem, inwigilowany. Przegraliśmy wszystko do cna, tylko płacić nam przyjdzie różnie: mnie czeka ciąg dalszy honorowego więzienia, kapitana — śmierć na torturach. Najgorsze, że nic nie mogę dla niego zrobić, będę musiał zostawić Beregonda swojemu losowi i żyć dalej z niezmywalnym piętnem własnej podłości. . . Ale nie mogę iść na układy, najgłupsza to na świecie iluzja, że ze zwycięskim wrogiem można się dogadać. Na takich „układach” z definicji nie można nic wytargować — ani dla siebie, ani dla innych; wszystko toczy się według starego schematu: „Co moje — to moje, a co twoje — też moje”. Oto dlaczego zrodziła się niepodważalna zasada tajnej wojny: w dowolnych okolicznościach należy milczeć albo zaprzeczać wszystkiemu — łącznie z faktem własnego istnienia. Przyznając się swojej roli w kontaktach z Ithilienczykami, nie uratuję Beregonda, a tylko przyspieszę zgubę Gragera i jego ludzi. . .”

Wszystko to niczym wicher przemknęło przez głowę księcia, zanim podniósł wzrok na Geparda i powiedział:

— Nie mam najmniejszego pojęcia o kontaktach komendanta z ludźmi Pułku Ithilien, jeśli takowe w ogóle miały miejsce. Pan świetnie wie, że przez cały ten czas nie zamieniłem z nim więcej niż dziesięć zdań. Ten człowiek, w końcu, zabił mojego ojca.

— To znaczy — podsumował bezbarwnym głosem wywiadowca — nie chce pan uchronić swego człowieka, jeśli nie od śmierci, to przynajmniej od tortur?

„Wiedział, na co się waży” — pomyślał Faramir, a głośno odpowiedział:

— Jeśli naprawdę miała tu miejsce zdrada, a co do tego jeszcze mnie pan nie przekonał, kapitan Beregond winien ponieść surową karę. — I starannie dobierając słowa, zakończył: — Ja natomiast jestem gotów przysiąc na komnaty Valarów, że nigdy nie zamierzałem — i nie zamierzam — złamać danego słowa: zobowiązania przed suzerenem są nienaruszalne.

— Rozumiem — powiedział w zamyśleniu Gepard. — A pani co powie, Eowino? Pani też jest gotowa dla dobra sprawy zdradzić i rzucić wilkom na pożarcie swego człowieka? Zresztą — uśmiechnął się szyderczo — o czym ja mówię. Przecież na tortury trafi tylko jakiś oficer z ludu. Też mi problem dla osoby z królewską krwią w żyłach. Ostatecznie wam nic nie grozi!

Wśród licznych zalet Eowiny umiejętność panowania nad własną twarzą nie była szczególnie dobrze opanowana — pobladła teraz i bezsilnie popatrzyła na Faramira. Gepard bezbłędnie utrafił w czułe miejsce ich obrony: dziewczyna była organicznie niezdolna do pozostawienia w biedzie przyjaciela. „Milcz!” — spojrzeniem nakazał jej Faramir, ale było już za późno.

— A teraz wysłuchajcie mnie oboje! — syknął Gepard. — Wcale mnie nie interesuje czyjeś przyznanie — nie jestem sędzią, jestem z kontrwywiadu. Potrze-

buję tylko wiadomości o rozlokowaniu żołnierzy z Pułku Ithilien. Nie zamierzam zabijać tych ludzi, moim celem jest wręcz uniknięcie przelewu krwi. . . Przyjdzie wam uwierzyć mi na słowo. Przeegraliście, i nic innego wam nie pozostaje. Potrzebne mi wiadomości uzyskam od was, bez względu na cenę. Nikt rzecz jasna nie może poddać przesłuchaniu trzeciego stopnia siostry króla Rohanu — ale może ona śmiało być obecna podczas tortur wiernego wam Beregonda, i zmuszę ją do przypatrywania się od początku zabawy do końca, klnę się na milczenie Mandosa!

Książę w tym czasie bawił się jakby w roztargnieniu piórem, leżącym na nie dokończonym rękopisie, nie zauważając, że lewym łokciem niechcący przesunął na sam brzeg stołu kielich z niedopitym winem. Jeszcze trochę i puchar upadnie na podłogę, Gepard odruchowo odwróci głowę, a wtedy on przeskoczy przez stół, żeby sięgnąć gardła szefa kontrwywiadu. Potem niech się dzieje, co diabeł podeśle. . . Ale nagle drzwi otworzyły się bez pukania i do pokoju energicznie wszedł porucznik Białego Oddziału. Dwaj szeregowcy zamarli w półmroku korytarza zaraz za progiem. „Tu też się spóźniłem” — zrozumiał Faramir, jednakże porucznik nie zwrócił nań najmniejszej uwagi, pochylił się i bezdźwięcznie wyszeptał coś na ucho Gepardowi, co bardzo tego ostatniego zdziwiło.

— Dokończymy rozmowę za dziesięć minut — rzucił kapitan już przez ramię, kierując się do drzwi.

Szczęknął zamek, rozległ się oddalający tupot ciężkich buciorów, i zapadła cisza — mętna i jakaś wąpiąca, jakby sama zdawała sobie sprawę ze swej tymczasowości.

— Czego tam szukasz? — Eowina była nad podziw spokojna, żeby nie powiedzieć obojętna.

— Czegoś na kształt broni.

— Tak, masz rację. . . Mam nadzieję, że i dla mnie?

— Widzisz, mała, wciągnąłem cię w to wszystko i nie potrafiłem zapewnić bezpieczeństwa. . .

— Głupstwa gadasz. Wszystko zrobiłeś dobrze, Far, po prostu Fortuna tym razem znalazła się po ich stronie.

— To co? Pożegnamy się?

— Pożegnamy. Cokolwiek się stanie, mieliśmy ten miesiąc. . . Wiesz co? To pewnie zwyczajna zawiść Valarów: za dużo przypadło nam szczęścia. . .

— Jesteś gotowa, zielonooka? — Teraz, po tych kilku chwilach, stał się zupełnie innym człowiekiem.

— Tak. Co mam robić?

— Patrz uważnie. Drzwi otwierają się w naszym kierunku, futryna też wystaje do wewnątrz. . .

## 27

A Gepard tymczasem, opierając się na zrębach palisady nad bramą, nie spuszczał oczu z okrutnego jastrzębiego oblicza Gragera, znanego mu wcześniej tylko z portretu pamięciowego. Przed bramą fortu, zalegała plama światła składająca się z dziesięciu pochodni, które trzymali tworzący świtę barona jeźdźcy w maskujących pelerynach Pułku Ithilien. Rozmowy toczyły się z oporami: „wysokie umawiające się strony” były zgodne co do tego, że należy uniknąć rozlewu krwi — i tylko co do tego. Nie ufały sobie — co było uargumentowane — ani za grosz.

— A jeśli po prostu schwytam teraz pana, baronie, i za jednym zamachem skończę ze wszystkimi swoimi problemami?

— Do tego będzie pan musiał otworzyć bramę, kapitanie. Niech pan otworzy — i zobaczymy czy łucznicy są lepsi. . .

Obaj ani na krok nie odstępowali od warunków wstępnych. Grager żądał, by Ithilienczycy mogli wejść do fortu, by strzec pokoi Faramira, Gepard żądał dyslokacji ich leśnych baz.

— Pan, chyba, ma mnie za idiotę, kapitanie?

— Tak, przecież żąda pan, bym wpuścił uzbrojonych ludzi do twierdzy. . .

Sprzecząc się tak przez kwadrans, stwierdzili w końcu, że Biały Oddział poprosi o instrukcje z Minas Tirith, a Ithilienczycy jutro przepuszczą bez przeszkód gońca. Na tym się rozstali.

Kogo jak kogo, ale Geparda to przedstawienie nie wprowadziło w błąd ani na chwilę. Ledwo wszedł nad bramę i oszacował położenie, odwrócił się do towarzyszącego mu porucznika i cicho polecił:

— Ogłosić alarm, ale bez hałasu. Wszystkich, których się da — na dziedzińcu. Ukryjcie się i czekajcie na zwiadowcę. Teraz, pod pozorem tego gadania, ktoś z pułku przeskoczy palisadę — pewnie tam od tyłu. Brać tylko żywcem: za trupy rozerwę na strzępy.

Gepard pomylił się tylko w kilku szczegółach. Szpieg wybrał nie tylną ścianę, a frontową. Bezszelestnie zarzucił na grzebień żalostnej palisady fortu miniaturową kotwiczkę na nieważkiej elfickiej linie, dosłownie o dziesięć stóp od stojącej pod bramą kawalkady, tam, gdzie nocny mrok, odepchnięty na bok przez pochodnie Ithilienczyków, wydawał się najgęstszy. Następnie, niczym pajęczek po paję-

czynnie, wleciał do góry, a potem jak powiew nocnego wietrzyku przemknął przez dziedziniec, umykając niemal spod buciorów drepczących po balkonie wartowników. Ci, nijak nie oczekując takiego tupetu, nie spuszczały oczu — i łuków — z jasno oświetlonych ludzi Gragera. I jeszcze jeden nie przewidziany przez Geparda drobiazg: człowiek, usiłujący uwolnić teraz księcia (improvizacja, powstała mniej niż godzinę temu z rozpaczy i braku nadziei na inne rozwiązanie), nie był z Pułku Ithilien, a z innego, Pułku Kirith Ungol.

\* \* \*

Należy odnotować, że pułkowa przynależność kaprała Cerlega dała w Drodzowej Kolonii asumpt do dość burzliwej dyskusji — co do istoty przedsięwzięcia i co do jego wykonania.

— Czy pan całkowicie zwariował, przyjacielu? — taka, lub prawie taka, była pierwsza reakcja Gragera, kiedy nagle Tangorn zaproponował wykorzystanie do przeniknięcia w Emyrn Arnen nie jednego z ithilijskich zwiadowców, jak postanowili w pierwszym wariancie, a „przyjeźdnego zawodowca” z Mordoru.

— Orokuen to orokuen, i nie można mu powierzyć życia księcia! Oczywiście, kuszące jest to, że orientuje się w wewnętrznych pomieszczeniach fortu, i to jeszcze z czasów, kiedy tu kwaterowali, prawda? Na dodatek potrafi rozprawić się z zamkami. . . Ale mimo wszystko, niech to diabli, baronie — żebyśmy my sami wprowadzali na pokoje księcia uzbrojonego Mordorczyka. . .

— Ręczę za tych ludzi głową — cierpliwie wyjaśniał Tangorn. — Nie mam prawa wprowadzać cię w ich misję, ale uwierz mi: Stało się tak, że w tej chwili wszyscy walczymy — przynajmniej w tej chwili — w jednej drużynie przeciwko wspólnemu wrogowi, i oni są nie mniej niż my zainteresowani uwolnieniem księcia z łap Białego Oddziału.

Zresztą, praca w wywiadzie dawno już nauczyła Gragera, że tymczasowa jedność interesów rodzi czasem zupełnie niewyobrażalne wcześniej aliance, a na wczorajszym wrogu można chwilami polegać bardziej, niż na niektórych przyjaciółach i kolegach. Skończyło się tym, że wziął na siebie odpowiedzialność i formalnie przyjął Cerlega — „na okres dokonania rajdu do fortu Emyrn Arnen” — do Pułku Ithilien i wręczył nawet orokuenowi odpowiedni papier — na wypadek, gdyby wpadł w ręce Białych. Kaprał w odpowiedzi tylko prychnął. Ujętym orokuenem nikt nie będzie się ceregielił w żadnym wypadku, lepiej już niech go powieszają jako mordorskiego dywersanta, a nie jako gondorskiego spiskowca. Ha-

laddin jednakże kazał mu się nie wymądrzać.

— I proszę pamiętać, kapralu: ani przy zdejmowaniu wartowników, ani przy wykonywaniu całej reszty zadania — żadnego przelewu krwi! Proszę uważać, że jest pan na moich ćwiczeniach.

— To miłe. A oni wiedzą, że to ćwiczenia?

— Mam nadzieję, że tak.

— Jasne. W takim razie, gdyby co, zadyndam na ćwiczebnym sznurze.

Powiadają, że we Wschodnich krainach istnieje złowieszcza sekta wilkołaków- *ninjoque* — superszpiegów i superzabójców, zdolnych do wcielania się w zwierzęta z zachowaniem ludzkiego oblicza. Wcieliwszy się w gekkona, *ninjoque* może na przekór wszystkim prawom fizyki łączyć po gładkich pionowych ścianach, stając się węzem przemykającym się przez każdą szczelinę, a zaskoczony przez strażę staje się nietoperzem i odfruwa. Cerleg nie władał nigdy sztuką *ninjoque*, choć o to w sekrecie podejrzewał go Tangorn, jednakże dowódca plutonu zwiadowców kirithungolskich jegrów i bez tych magicznych sztuczek potrafił wiele. W każdym razie, do czasu, kiedy po ogłoszeniu alarmu żołnierze Białego Oddziału zajęli pozycje na dziedzińcu fortu, on zdążył się już wspiąć na jedną z zewnętrznych galerii i teraz, zastąpiwszy kotwiczkę narzędziami ślusarza, majstrował przy prowadzących do wnętrza drzwiach. Kapral nie miał zdolności prawdziwego włamywacza, jednakże znał się dość dobrze na takich rzeczach, a dowolny zamek fortu, jeśli dobrze zapamiętał z ubiegłorocznego tu pobytu, dość zwyczajnie otwierał się z pomocą noża i paru kawałków drutu. Kilka minut później bezszelestnie przemykał po mrocznych i całkowicie pustych — wszyscy Biali byli na zewnątrz; bardzo to mu było na rękę! — korytarzach fortu. Orokuen nigdy nie uskarżał się na pamięć wzrokową i orientację przestrzenną, ale czuł, że nie będzie łatwo odszukać książęce komnaty w tym trójwymiarowym labiryncie.

Cerleg przebył niemal jedną trzecią drogi — to nieruchomiejąc przed węglami i załomami, to błyskawicznie przemykając przez otwarte przestrzenie, to boczkiem drobiąc po schodach, żeby nie naciskać na mogące skrzypieć środki stopni — gdy jakiś wewnętrzny stróż, dzięki istnieniu którego zdołał przeżyć te wszystkie lata, przyszedł mu jeszcze raz z pomocą i przejechał po kręgosłupie lodowatą dłonią: „Uważaj!!!” Zwiadowca wkleił się niemal w ścianę i wolno, płynnie, ruszył ku widniejącemu o dziesięć jardów od tego miejsca zakrętowi korytarza. Z tyłu nie widział nikogo, ale przecucie niebezpieczeństwa było wciąż bliskie i całkowicie wyraźne; gdy kapral pokonał w końcu zakręt był mokry od potu. Przykucnął i ostrożnie, niemal na poziomie podłogi, wysunął za róg małe kieszonkowe lustro — korytarz nadal był pusty. Poczekał kilka minut — nic, a potem nagle zrozumiał: niebezpieczeństwo oddaliło się, już go nie wyczuwa. To, jednakże, wcale go nie uspokoiło, i kiedy ruszył przed siebie, posuwał się jeszcze

bardziej ostrożny i przygotowany na najgorsze.

\* \* \*

Gdy Gepard odnotował kątem oka cień, który przemknął w głębi korytarza, dokładnie tak samo jak Cerleg wkleił się w ścianę korytarza i w myślach obrzucił się najcięższymi wyzwiskami. Przegapili, darmozjady! Położenie kapitana było, trzeba przyznać, fatalne: w całym ogromnym budynku znajdowało się tylko trzech wartowników; jeden pilnował komnat Faramira i Eowiny, drugi — Beregonda, trzeci — wejścia do piwnic fortu. Biec po pomoc na zewnątrz? Ale w tym czasie ten cień może uwolnić księcia, a wtedy, już w duecie narobią takiego zamieszania, że przez sto lat nie uda się wszystkiego uporządkować. Drzeć się z całej siły: „Alarm!” to jeszcze gorszy pomysł, gdyż wróg skoczy do labiryntu, przygotowuje się do walki i nie da się go wziąć inaczej niż podziurawionego jak rzeszoto, a to jest bardzo złe rozwiązanie. Tak. Wygląda, że nic innego nie pozostaje, jak ruszyć za gościem w pojedynkę i zwinąć go całego i żywego w walce sam na sam. Dobrze chociaż, że w takich sprawach Gepard czuł się znakomicie. . .

I podjąwszy taką decyzję, nagle poczuł ogarniające go radosne podniecenie, bo czyż jest na świecie bardziej wyrafinowana rozrywka, niż polowanie na uzbrojonego człowieka? Natychmiast znieruchomiał, ze zdumieniem wsłuchując się w siebie: tak, nie ma wątpliwości — wróciły doń emocje! To znaczy, że istnieje jakieś wyraźne stopniowanie. . . Najpierw wróciła mu pamięć (co prawda, co się z nim działo zanim znalazł się w drugim szeregu idącej po Polach Pelennoru falangi, nadal nie pamiętał), potem zdolność do samodzielnych logicznych decyzji, jeszcze później zaczął, jak kiedyś odczuwać ból i zmęczenie, a teraz oto pojawiły się emocje. Ciekawe, czy wśród tych odczuć nie wróciła zdolność odczuwania strachu? „Tym sposobem, naprawdę stanę się człowiekiem — uśmiechnął się w myślach. — No ale, czas do roboty”.

Nie zamierzał pchać się w korytarz, po którym poruszał się zwiadowca, wcale nie zamierzał: nie wiadomo, czy tamten też go nie przywazył i nie czeka teraz za najbliższym węglem. Lepiej wykorzystać fakt, że to on jest tu gospodarzem, może więc przemieszczać się znacznie szybciej niż przeciwnik: nie musi nieruchomieć ani nasłuchiwać przed każdym zakrętem. Pójdzie więc okrężną drogą, a i tak dotrze na miejsce jako pierwszy. . . Ale jakie to miejsce? Jeśli gość zmierza ku komnatom Faramira — bo gdzie jeszcze? — to należy go spotkać na zbiegu dwu par schodów, gdzie nie ma jak go ominąć, a on, Gepard, będzie miał co najmniej trzy minuty, by przygotować się do spotkania.

Szef kontrwywiadu, jak przewidywał, znalazł się na placyku przed obcym i te-



raz, zrzuciwszy pelerynę, by nie krępowała ruchów, najstaranniej jak mógł wybierał miejsce zasadzki. „Muszę wcielić się w tę zwierzynę... Tak... Jeśli nie jest mańkutom, to powinien poruszać się wzdłuż lewej ściany... A może zerknąłbym na niespodziewanie widoczne w tym układzie kręcone schody? Na pewno. Tak! To znaczy, że znajdę się wtedy tyłem do tej niszy? Dokładnie... Nisza jest znakomita, nawet z odległości kilku jardów nikt nie pomyśli, że zmieści się w niej coś większego od miotły. A tu jeszcze zgasimy ten kaganek i będziemy w jeszcze głębszym cieniu... O, teraz wszystko w porządku, tu właśnie się zaczaję. Tak więc — ja tu, a on dwa jardy i plecami do mnie. To jak? Rękojeścią miecza w łeb? Diabli, jakoś mi to nie leży... Nie wiem dlaczego, ale mi coś w środku protestuje, a w takich wypadkach należy tego słuchać. Znaczący — rękami... Chwyty duszący? Prawa ręka za włosy, szarpnięcie w dół, załamać głowę go tyłu, jednocześnie piętą od tyłu do góry pod kolano oporowe i wewnętrzną kością lewego przedramienia w wyprężone gardło. Tak... to dobre, ale można w taki sposób niechcący zmiażdżyć krtań — a wtedy mało co powie, umarłak. No to — hadakojime, ale dobrze by było, żeby sam odsłonił gardło — na przykład, niechby popatrzył do góry... Ale jak go zmusić do patrzenia w górę? Myśl, Gepardzie, myśl...”

\* \* \*

Gdy Cerleg dotarł do mrocznego, dziwnego układu architektonicznego rozszerzenia korytarza, na końcu którego domyślić się można było odchodzących w lewo stopni, przecucie niebezpieczeństwa ponownie zważyło się nań, ale to tak, że aż cały zadygotał — nieznaną wróg czaił się gdzieś w pobliżu. Najpierw minutę wpatrywał się i wsłuchiwał — nic, potem ruszył przed siebie, krok po kroczku, całkowicie bezszelestnie, myśląc: „Diabli, może machnąć na te ich zakazy i wyjąć jatagan?” Nagle zamarł jak wryty: z prawej odsłoniła się szeroka „aleja”, przez którą przechodziły jeszcze jedne, tym razem spiralne schody. Za tymi schodami wyraźnie coś się kryło. Przemknął wzdłuż lewej ściany, nie spuszczać oczu z odnogi — no, kto tam siedzi? — i zatrzymał się, ledwo nie roześmiawszy się na głos. Ufff! Ależ to zwykły miecz, oparty o ścianę za schodami, pozostawiony przez kogoś z Białych. Dziwne jednakże miejsce na przechowywanie osobistej broni... Może i nie opiera się o ścianę. Sądząc z położenia, mógł niechcący ześliznąć się z góry. A co, tak przy okazji, leży na górnym stopniu schodów?

Wewnętrzny stróż Cerlega zdążył wrzasnąć: „Z tyłu!!!” o nieuchwytny ułamek sekundy wyprzedzając ręce wroga bezszelestnie zwierające się na szyi orokuena. Kapral zdążył tylko napiąć mięśnie szyi... i nic więcej. Gepard precyzyjnie, jak na treningu, otoczył jego gardło zgiętą w łokciu prawą ręką, następnie prawy nad-

garstek zwiadowcy wczepił się w biceps lewej ręki, a lewa jak dźwignia zaparła się o kark Cerlega, spłaszczając chrząstki krtani i zamykając tętnice szyjne. Hadakojime — straszliwie skuteczne duszenie. Cześć.

## 28

Brzmi to banalnie, ale wszystko na tym świecie ma swoją cenę. Cena żołnierza to czas i koszt — co w gruncie rzeczy jest tym samym — wyszkolenia, uzbrojenia i wyposażenia nowego, na zmianę. Przy tym każda epoka posiada właściwą jej progową wielkość, powyżej której nie ma sensu podnosić kosztu przygotowania wojownika: poziom pewnego mistrzostwa został już osiągnięty, a całkowitego zabezpieczenia przed eliminacją z walki i tak nie da się osiągnąć. Po co więc tracić siły na przekształcenie średnio statystycznego żołnierza w szermierza najwyższej klasy, skoro i tak nie ustrzeże go to ani przed bełtem z kuszy, ani, co jest jeszcze bardziej ponure, od krwawej biegunki?

Weźmy na przykład walkę wręcz. Sztuka, na pewno, pożyteczna, ale do osiągnięcia doskonałości potrzebne są lata nieustannych ćwiczeń, a żołnierz, jak wiadomo, ma również inne zajęcia na głowie. Istnieje kilka wyjść z sytuacji; w mordorskiej armii, uważano, że człowiek musi opanować co najwyżej tuzin chwytów — ale za to kombinacje ruchów muszą być wbite w podświadomość dosłownie do poziomu odruchów. Oczywiście, nie da się przewidzieć wszystkich ewentualności, ale uwolnienie się od duszącej dźwigni od tyłu wchodziło w ów tuzin na pewno.

Wykonać — raz! — błyskawiczny stepujący przytup nieco do tyłu: obcasem po sklepieniu stopy przeciwnika, krusząc jej delikatnie ptasie kosteczki oplecione wrażliwymi nerwowymi zakończeniami. Wykonać — dwa! — uginając kolana i nieco obracając się w biodrach, wysuwać się ze słabnącego z powodu straszliwego bólu uchwytu w dół i nieco w prawo — aż do momentu, gdy da się gwałtownym dźgnięciem wsadzić łokieć w pachwinę wroga. Dalej, gdy jego ręce opadną ku obitym genitaliom, możliwe są warianty. Cerlega, na przykład, na „wykonać — trzy!” uczono zadawania podwójnego uderzenia otwartymi dłońmi w uszy: koniec z bębenkami, utrata przytomności gwarantowana. To nie wyszukany balet dalekowschodnich sztuk walki, gdzie hieroglify pozycji są tylko nutami służącymi do zapisu Muzyki Sfer. To jest mordorska walka wręcz, tu robi się wszystko prosto i na serio.

Po pierwsze, opadł na kolano i podniósł powiekę sprytnego kaprała Białego Oddziału. W porządku, instrukcja Gragera dochowana — żrenica reaguje. Potem

pozwoił sobie na oparcie się o ścianę. Zmrużył oczy i zmusił się do pokonania bólu, przełknął ślinę. Chwała Jedynemu, krtań cała. A gdyby tamten miał przy sobie sznurkową pętlę? To byłby koniec... „Jak to się stało, że tak skiepsciłem, co? Ale najważniejsze — jak on mnie tak wyprowadził? No tak! W takim razie pod drzwiami Faramira też będą na mnie czekali, przestępując z nogi na nogę...”

Dunadan-wartownik w korytarzu prowadzącym do „komnat książęcych” usłyszał na schodach ciężkie szuranie. Szmer, zdławiony jęk, cisza... Potem znowu niepewne kroki. Szybko wycofał się w głąb korytarza, obnażył miecz i czekał, w każdej sekundzie gotów do wszczęcia alarmu. Żołnierz był przygotowany na wszystko, ale kiedy w prześwicie korytarza pojawił się Gepard, zgięty wpół i opierający się lewą ręką o ścianę, otworzył szeroko ze zdumienia usta. Z mieczem w dłoni wartownik ruszył do przodu i obrzucił szybkim spojrzeniem schody, po których Gepard dopiero co wszedł — nic. Manwe Wielki, kto go tak...? Czy, może, struł się? Kapitan tymczasem opadł zupełnie z sił: wolno zsunął się po ścianie i zamarł z opuszczoną głową, ciągle trzymając się za brzuch. Widać było, że ostatni odcinek pokonał już na pół przytomny. Dunadan przyglądał się Gepardowi z mieszanym uczuciem zdziwienia, strachu i — co tam kryć — pewnego złośliwego triumfu. Tajna Straż, żeby ich! *Ninjoque* — srata-tata! Jeszcze raz zerknął na schody, skąd przykuśtykał kapitan, i przykucnął, by przyjrzeć się rannemu.

Dziwne, ale to fakt: gdy kaptur, kryjący do tej chwili twarz Geparda, odchylił się do tyłu, żołnierz w pierwszej chwili pomyślał, że zagadkowy i wszechpotężny szef kontrwywiadu z jakichś znanych sobie tylko powodów postanowił tymczasowo być orokuenem. Ta absurdalna myśl przysłała mu do głowy jako pierwsza, a na drugą już nie starczyło czasu: cios „łapa tygrysa”, który wybrał na tę okazję Cerleg, jest bardzo skuteczny, a zadaje się go właśnie najlepiej z dołu do góry. Nic więcej już nie trzeba było robić. Nie jest to przyjemna rzecz, ale umowa dotyczyła tylko zabijania, a o kontuzjach mowy nie było: może i jesteśmy na ćwiczeniach, ale przecież — do diaska — nie na pikniku! Na wszelki wypadek przeszukawszy wartownika — kluczy do komnat nie było, na to Cerleg zresztą nie liczył — kapral wyciągnął pozostawiony pod schodami bagaż i, poszperawszy w swoim worku z różnymi „przydatkami”, zabrał się do zamka.

„Nie ma co — myślał, podwijając zbyt długie dla niego rękawy bluzy Geparda — przez całą wojnę udawało mi się, a tu musiałem stracić niewinność. „Prawa i obyczaje wojen”, punkt o wykorzystaniu obcych mundurów i medycznej symboliki: za to się wiesz na najbliższej gałęzi i, nawiasem mówiąc, słusznie... Zresztą, teraz to się przyda: lepiej, że do księcia wejdzie znajomy strażnik więzienny, a nie jakiś orokuen. Nałożę kaptur i — świetny pomysł! — nic nie mówiąc, podam mu papier od Gragera”. Zamek w końcu szczęknął i Cerleg odetchnął: połowa sprawy załatwiona. Należy dodać, że manipulował przy zamku klęcząc, i drzwi otworzył — tak to jakoś wyszło — wcześniej, niż się wyprostował. Tylko to go uratowało — w innym bowiem przypadku nawet kocie odruchy orokuenta

nie pozwoliłyby mu przechwycić ciosu, zadanego przez Faramira.

Co to za sztuka uderzyć, kryjąc się za wystającą futryną, kogoś kto wchodzi do komnaty? Niby żadna, ale jest w tym pewna subtelność. Najlepiej postrzega człowiek rzeczywistość na poziomie swych oczu, i jeśli zamierzacie gruchnąć kogoś z całej siły w czerep, powiedzmy nogą od krzesła, to ten cios może zaskoczyć tylko całkowitego barana. Właśnie dlatego kompetentni ludzie, do których zaliczał się książę, nie silą się na moc uderzenia. Tacy ludzie przykucają i uderzają nie pionowo, a poziomo. Cios, jak już zostało powiedziane, jest słabszy, ale trafia. . . no, w sumie, akurat tam, gdzie trzeba, a co najważniejsze bardzo trudno jest się przed nim osłonić.

Scenariusz dalszego postępowania według Faramira był następujący. Zwinięty z bólu Gepard, czy kto tam wejdzie pierwszy, zostanie przez niego wciągnięty do komnaty, wprost na siebie — tak, że wyleci za lewą krawędź otworu drzwiowego. Jednocześnie Eowina ukryta za otwartymi drzwiami, zatraskuje je i zapiera całym ciałem. Ci, którzy pozostaną na korytarzu, naraz rzucą się wywahać je, ale pierwsze uderzenie będzie niezsynchronizowane, tak więc dziewczyna ma szansę je wytrzymać. Te sekundy dadzą Faramirowi czas na całkowite „wyłączenie” Geparda i zawładnięcie jego bronią. Eowina, w tym czasie odskakuje na bok; ci z korytarza zespołowo, na „trzy-cztery” uderzają w drzwi i wpadają do komnaty, tracąc równowagę, może nawet waląc się z nóg. Jeden z nich natychmiast otrzymuje cios mieczem — z całego serca: żarty się skończyły. Może wtedy zdolnych do walki będzie jeszcze ze dwóch Białych, a ponieważ książę znajduje się w pierwszej dwudziestce najlepszych szermierzy Gondoru, szansę pary książęcej Ithilien wydają się całkiem przyzwoite, a gdyby Eowinie udało się zawładnąć drugim mieczem, to nawet bardzo wysokie. Następnie przebierają się w mundury zabitych żołnierzy Białego Oddziału i usiłują opuścić fort.

Plan Faramira miał kilka niepewnych punktów, w szczególności w sprawach synchronizacji działań jego i Eowiny, ale w całości nie był taki zły, zwłaszcza, że za cel postawili sobie godną śmierć, a ucieczkę jeśli tylko się da. Jednakże, jak już wspomniano, otwierający drzwi orokuen nie zdążył się podnieść z kolan, tak więc pierwsze uderzenie Faramira trafiło go w pierś i ten zdołał je zablokować. Zdumiony przenikliwością jeńca — ależ bestia: rozpoznał pod kapturem kaprala Białego Oddziału orokuena! — Cerleg przeturlał się przez głowę do tyłu, na korytarz, a kiedy stał na nogach, wyskakujący tam za nim Faramir już odciął mu drogę odwrotu, a zaimprovizowana maczuga w ręku księcia stała się wirującym zamglonym wichrem i przechwycenie jej przekraczało możliwości orokuena. Na dodatek po chwili, za plecami, przemknęła mu ta jasnowłosa dzika kocica — nie pozostało kapralowi nic innego, jak turlać się niczym kłębek włóczki po podłodze, unikając ciosów i upokarzająco wołać:

— Jestem swój, książę! Przychodzę od Gragera i Tangorna! Przestańcie, niech was licho!

Zresztą, Faramir sam już coś zrozumiał, widząc leżące na korytarzu ciało wartownika.

— Stój! — wrzasnął. — Ręce na kark! Ktoś ty?

— Poddaję się — uśmiechnął się kapral i podał księciu list uwierzytelniający. — Oto papier od Gragera, tam wszystko jest wyjaśnione. Proszę czytać, a ja tymczasem wciągnę do komnaty tego — kiwnął głową w stronę Białego. — Przyda się jego mundur.

— Zabawne — parsknął książę i oddał Gragerowy list Cerlegowi. — To znaczy, że mam wśród przyjaciół nawet orokuenów. . .

— Nie jesteśmy przyjaciółmi, książę — spokojnie zaprzeczył tamten. — Jesteśmy sojusznikami. Baron Tangorn. . .

— Co?! Więc on żyje?!

— Tak. Uratowaliśmy go — tam, w Mordorze, i właśnie on nalegał, żebym to ja szedł ratować pana. . . Tak więc, baron nalegał, żeby pan, opuszczając fort — a zaraz go opuścimy — zabrał ze sobą palantir.

— Po co jest mi on potrzebny? — Książę był zdziwiony, ale tylko zdziwiony. Wyglądało, że przekazał inicjatywę przyjaciołom — Ithilienczykom w osobie kaprala-orokuenta i przygotował się do działania w trybie „PPP”: „potrzymaj — podaj — przynieś”. Tylko pytająco wskazał ruchem brody Dunadana, którego Cerleg wytrząsnął już z bluzy.

— Żyje, żyje — uspokoił go orokuen. — Po prostu. . . trochę się zamyślił. Drugi też żyje — tam dalej, w korytarzu. Przestrzegamy święcie pańskiego polecenia, żeby obyło się bez krwi.

Książę tylko pokręcił głową — z tym sokołem, jak się wydaje, może się udać.

— Wspomniałeś przed chwilą, że uratowaliście Tangorna. Skoro tak, to jestem pana dłużnikiem, kapralu: ten człowiek jest mi naprawdę drogi.

— Dobrze, jakoś się policzymy — uśmiechnął się Cerleg. — Proszę włożyć mundur i naprzód. Mamy nawet o jeden miecz za dużo.

— Jak to za dużo? — w końcu odezwała się Eowina. — Proszę tak nie mówić! Orokuen pytająco zerknął na Faramira; ten tylko rozłożył ręce: „Jak chcesz, to się z nią sprzeczasz. . .”

— Przeskakujemy palisadę, czy spróbujemy otworzyć bramę?

— Ani jedno, ani drugie, książę. Dziedziniec zapchany teraz Białymi, wszyscy są na posterunkach i wytrzeszczają na wszystko gały — więc nie przeskoczmy. Spróbujemy zwać przez podziemny korytarz.

— Ten, który się zaczyna w piwnicy z winami?

— Innego tu chyba nie ma. Beregond powiedział panu o nim?

— Oczywiście. Wiem, że zamykające go drzwi otwierają się na zewnątrz, a zamykają od wewnątrz, tak więc stamtąd nie da się ich otworzyć, jak każde takie sekretne wyjście z twierdzy. Przed wejściem do piwnicy zawsze stoi warta: wino

to wino, więc niby jest to usprawiedliwione. Gdzie przechowywane są klucze Beregond nie wiedział, a bał się wypytywać. Tak więc znaleźliście do nich klucze?

— Nie, nie znaleźliśmy — obojętnie odpowiedział Cerleg. — Po prostu spróbuję otworzyć zamek.

— Jak?

— Tak samo jak otworzyłem waszą komnatę i kilka innych zamków po drodze. W ten sam sposób przyjdzie sforsować zamek drzwi do piwniczki z winami. Nawiasem mówiąc, to właśnie będzie najbardziej niebezpieczny moment: grzebanie się z drzwiami piwnicy, gdy będziemy na widoku. Ale jeśli bez hałasu zlikwidujemy wartownika i szybko je otworzymy trzy czwarte problemu będzie załatwione. Pan, książę, w swoim nowym mundurze staje na warcie, jak gdyby nic się nie stało, a my z Eowiną i nieszkodliwym już wartownikiem chowamy się we wnętrzu, a wtedy spokojnie, bez krzątania mogą zająć się drzwiami do podziemnego korytarza.

— Ale tego zamka nie będzie łatwo otworzyć.

— Nie sądzę. Na pewno jest bardzo trwały i masywny, żeby nie dało się go wyłamać, a to znaczy, że nie będzie skomplikowany. Dobra, na koń! Wziął pan palantir, książę? Musimy zdążyć, póki Biali miotają się po dziedzińcu — przecież ciągle jeszcze czekają tam na mnie — a przed piwniczką jest tylko jeden wartownik.

— Poczekajcie! — odezwała się Eowina. — A Beregond? Nie możemy go przecież zostawić!

— Więc Beregond został aresztowany? Nie wiedzieliśmy...

— Tak, dopiero co. Wszystko o nim wiedzą.

Cerleg zastanawiał się tylko kilka sekund:

— Nie, to się nie uda. Nie wiemy, gdzie go trzymają, i stracimy zbyt dużo czasu na poszukiwania. Grager dziś w nocy wyłapie wszystkich ludzi Geparda z Osady — tak więc, gdy uwolnimy księcia, to jutro wymienimy ich na Beregonda. A jeśli nie wyciągniemy księcia, to i tak go nie uratujemy.

— Ma rację, Eowino. — Faramir zaciągnął sznury plecaka z palantirem i rzucił go na ramiona. — Ruszajmy, w imię Eru!

\* \* \*

Dunadan strzegący piwniczki zmierzył wzrokiem obszerną mroczną salę. Z lewej strony główne wejście do budynku fortu, z prawej na podobieństwo wachlarza rozchodziły się trzy pary głównych schodów, prowadzących do obu skrzydeł — północnego i południowego, i do Sali Rycerskiej. Dziwny, zaiste, pomysł —

ukryć wejście do podziemi nie w jakimś przytulnym zakątku budowli, a w tym ogólnym „przedpokoju”. . . Zresztą, dziwne i nienaturalne było w samym Ithilien absolutnie wszystko. Począwszy od księcia, co to księciem nie jest i nie wiadomo kim jest, kończąc na zwyczajach w ich Białym Oddziale: gdzie to widziane, żeby oficerowie udawali kaprali i szeregowych? Dobra, niech się utajniają przed wrogami, przed wszystkimi tymi miejscowymi terrorystami, co to ich nikt na oczy nie widział, ale przed sobą?! Niby pod jednymi pagonami służymy, a nie wiemy, że kapral Gront w rzeczywistości jest kapitanem, a nasz porucznik, jego miłość sir Elward, to w ogóle „szeregowiec”. Śmiech na sali, ale przecież ci z Tajnej Straży, o sir Elwardzie pewnie i do tej chwili nic nie wiedzą. Tak nam mówiono podczas instruktażu — Tajna Straż ma swoje zadania, a dunedaińska lejbgwardia Jego Królewskiej Mości, swoje. . . Nie wiem, może szpiclom takie porządki są jak miód na serce, ale prawdziwemu żołnierzowi jak sól na ranę. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze się okaże, że najważniejszy tu jest jakiś kucharz albo kamerdyner. To dopiero będzie zabawa. . .

Wartownik uśmiechnął się do swoich myśli, a potem drgnął — w niedobrej, jakby gęstniejącej w ciemnych kątach ciszy bezludnego fortu, głuchym echem odbijały się kroki dwojga zbliżających się ludzi. Zobaczył ich po kilku sekundach — po schodach północnego skrzydła szybko, niemal biegiem, schodzili szeregowy i kapral. Kierowali się prosto do wyjścia i wyglądali na zaniepokojonych w najwyższym stopniu. Po wsparcie biegną, czy jak? Kapral niósł przy tym w wyciągniętych rękach plecak z jakimś okrągłym przedmiotem. Niemal zrównawszy się z wartownikiem, nie zwalniając, rzucili do siebie kilka słów i rozdzielili się: szeregowy kierował się do wyjścia, a kapral chyba postanowił pokazać Dunadanowi swoje znalezisko. Ciekawe, co tam ma? Wygląda jak odrąbana głowa. . .

Wszystko, co się potem zdarzyło, stało się tak nagle, że wartownik ocknął się, gdy jego ręce znalazły się w żelaznym uchwycie, a zza pleców kaprala wyłonił się szeregowy, w którym wartownik ze zdumieniem rozpoznał Faramira. Książę przyłożył mu do gardła ostrze.

— Piśniesz, a zabije — cicho obiecał książę.

Dunadan przełknął ślinę, a jego twarz przybrała trupio-żółtą barwę; po skroniach zaczęły spływać obfite strużki potu. Przebierańcy wymienili spojrzenia, a na ustach „kaprala” — o ponury Mandosie, to orokuen! — pojawił się pełen pogardy uśmieszek. Oto, masz elitę Zachodu. . . Uśmieszek ten, jak się okazało, był zupełnie bezpodstawny: chłopak naprawdę strasznie bał się śmierci, jednakże po kilku sekundach zwalczył słabość i wrzasnął: „Alarm!!!” — i to tak, że krzyk ten zaowocował odzewem i brzękiem broni w całym Eryn Arnem.



## 29

Skróciwszy jednym krótkim machnięciem ręki wrzask Dunadana, który bez jęku zwał się na podłogę, orokuen odwrócił się do Faramira i posłał Jego Wysokości kilka słów, najłagodniejszym z których było „popapraniec”. Jego Wysokość przyjął to do wiadomości i przełknął: właśnie jego ni stąd, ni zowąd opętała delikatność, i to on nalegał, by tylko wystraszyć wartownika, nie „wyciszając” go, jak chciał Cerleg. „Humanizm” wyszedł im bokiem — żołnierz i tak zaliczył przeznaczoną mu pierwotnie kombinację złamań i wewnętrznych wylewów, tyle że już zupełnie bez sensu, gdyż ich położenie stało się beznadziejne.

Na analizy czasu zresztą nie było. Cerleg błyskawicznie zerwał z wartownika czarną pelerynę, cisnął ją nadbiegającej Eowinie i ryknął, wskazując drzwi do piwnicy: „Stajecie tam oboje! Miecze na baczność!”, a sam błyskawicznie wywlókł Dunadana na środek pomieszczenia. Grupa sześciu żołnierzy, która wpadła przez drzwi po kilku sekundach, zastała tylko świeże ślady dopiero co zakończonej potyczki: posterunek przy drzwiach piwniczki na swoim miejscu — gotowy do odparcia powtórnego ataku, jeden Dunadan na podłodze, klęczący przy nim kapral, ledwie zerknąwszy na nich, władczo wskazał południowe schody i ponownie pochylił się nad rannym. Żołnierze pomknęli, gdzie im kazano, tupiąc buciorami i omal nie zahaczywszy orokuena pochwami mieczy. Uciekinierzy mieli kilka sekund czasu na oddech.

— Przebijamy się do palisady? — Książę wyraźnie chciał złożyć gdzieś tu swoją szlachetną głowę.

— Nie. Działamy według pierwotnego planu. — Z tymi słowami Cerleg wyjął swoje narzędzia i zaczął spokojnie badać zamek.

— Ale oni od razu zrozumieją, czym my się tu zajmujemy!

— Aha. . . — Wytrych wszedł w dziurkę i zaczął obmacywać zasuwę.

— A co wtedy?

— Zgaduj do trzech razy, filozofie!

— Bić się?

— Zuch. . . Ja będę pracował, a wy mnie brońcie. Tak powinny wyglądać stosunki między naszymi klasami. . .

Książę nie wytrzymał i roześmiał się: ten osobnik zdecydowanie mu się spodobał. Ale w tej samej chwili przestało im być wesoło. Pauza skończyła się w taki sposób, jaki był do przewidzenia: z południowych schodów wróciła para skonsternowanych Dunedainów.

— „Kogo mamy szukać, panie kapralu?” — a w drzwiach pojawiły się sylwetki prawdziwych kaprali Białego Oddziału. Ci od razu zrozumieli, co się dzieje i zaczęły wrzeszczeć: „Stój!!! Rzucić broń!” — i wszystko inne, co w takich razach przyjęte jest wrzeszczeć.

Cerleg tymczasem rozpaczliwie gmerał w zamku, nie zwracając uwagi na to, co się działo za jego plecami. Toczący się tam dialog można było przewidzieć bez najmniejszego trudu:

— Oddaj miecz, Wasza Wysokość!

— A spróbuj odebrać!

— Hej, a kto tam jeszcze jest?

Obejrzał się więc tylko raz — gdy usłyszał za sobą brzęk ścierających się kling. Trójka Białych kaprali natychmiast uskoczyła do tyłu; jeden z nich, krzywiąc się z bólu, krył pod pachą prawy nadgarstek, a jego broń wałała się na podłodze — „magiczny krąg” z mieczy Faramira i Eowiny, jak na razie był skuteczny. Książę z kolei, nie miał okazji zerkania na drzwi. Najeżony stałą półokrąg szybko się zwierzał — sfora, która zapędziła w kąt jelenia. Jednakże po jakimś czasie usłyszał za plecami metaliczny szczeł, a potem dziwny śmiech Cerlega.

— Co tam, kapralu?

— Wszystko dobrze. Po prostu śmiesz mnie ta sytuacja: książę Gondoru i siostra króla Rohanu, nie szcędząc życia, osłaniają jakiegoś orokuena. . .

— Rzeczywiście zabawne. A jak inne sprawy?

— W porządku. — Z tyłu rozległo się skrzywienie zardzewiałych zawiasów i powiało stęchłym powietrzem. — Idę sprawdzić, a wy tu powstrzymajcie ich, póki nie dam wam znaku.

Biali tymczasem wnieśli dokoła nich prawdziwy częstokół, po czym zamarli. W ich działaniu książę dojrzał prawdziwą konsternację: „Do licha, a gdzie Gepard i inni dowódcy?” Ale nie miał złudzeń: otaczający ich nie atakują tylko dlatego, że nie mają pojęcia o istnieniu podziemnego korytarza. W końcu pojawił się obok nich szeregowiec z białą wstążką na rękawie i złożył przed Faramirem wyszukany ukłon:

— Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Jestem sir Elward, porucznik dunedainńskiej lejbgwardii. Może uzna pan za stosowne oddać miecz mnie?

— A w czym to jest pan lepszy od innych?

— Być może Tajna Straż dopuściła się pewnych działań, które uznał pan za uwłaczające swojej czci. W takim razie lejbgwardia Jego Królewskiej Mości w mojej osobie wyraża najgłębsze ubolewanie i gwarantuje, że nic podobnego nie

będzie miało miejsca w przyszłości, a winni zostaną przykładnie ukarani. Wtedy moglibyśmy uznać ten fatalny incydent za niebyły.

— Ryba nie pływa tyłem, poruczniku. Ja i Jej Wysokość postanowiliśmy, że wyjdziemy z fortu jako ludzie wolni, albo umrzemy.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak rozbroić was siłą.

— No to działaj, poruczniku. Tylko ostrożnie, bo się możecie naciąć. . .

Tym razem napór był poważniejszy. Jednakże do czasu, kiedy obie strony nie przekroczyły pewnej granicy, przewaga była po stronie pary książęcej: Eowina z Faramirem bez wahania kłuli napastników w kończyny, na co ci na razie się nie decydowali. Po jakimś czasie w szeregach atakujących było już trzech lekko rannych, przez co atak ich zamarł. Dunedainowie działali niechętnie i coraz częściej oglądali się na swojego porucznika — niechże padnie jakiś wyraźny rozkaz, diabli by to wzięli! Ciąć ich, czy jak? Ludzie z Tajnej Straży przewidująco zajęli miejsca w tylnych szeregach, pozostawiwszy inicjatywę i odpowiedzialność sir Elwardowi, ponieważ sytuacja najwyraźniej układała się tak, że gdzie nie popatrzyć — plama.

I oto, gdy Faramir już w myślach gratulował sobie, jak szczęśliwie zyskiwali czas dla Cerlega, ten nagle pojawił się obok nich, ściskając w rękę jatagan, i oświadczył głosem zupełnie bez zycia:

— Tam jest nowiutki umbarski zamek, książę. Nie dam rady go otworzyć. Tak więc, proszę się poddać, póki nie jest za późno.

— Już jest za późno — odciął Faramir. — Czy możemy jakoś uratować ci życie?

— Nie sędzę — pokręcił głową orokuen. — Mnie to już na pewno nie będą brali do niewoli.

— Eowino!

— Staniemy przed Mandosem ręka w rękę, kochany. Cóż może być wspanialszego?!

— No, to się przynajmniej zabawimy na koniec. — Z tymi słowami Faramir beztrąsko ruszył na szyk Białych, właśnie tam, gdzie stał sir Elward. — Trzymaj się, poruczniku! Przysięgam na strzały Oromego, zaraz spryskamy swą krwią cały mundur waszego pana — ale tak, że przez wieki tego nie zmyje!

A kiedy salę wypełnił dźwięk kling i wojownicze okrzyki — ponieważ teraz walka szła już na całego i wiadomo było, że zaraz pojawią się pierwsze śmiertelne ofiary — skądś z tyłu, od północnych schodów rozległ się głos, niby niezbyt głośny, ale wpijający się w świadomość wszystkich walczących:

— Powstrzymajcie się wszyscy! Faramirze, proszę cię, wysłuchaj mnie!

Coś takiego było w tym głosie, że bitwa rzeczywiście zamarła na kilka mgnień oka, i Gepard w cudzej pelerynie opierający się lewą ręką na czymś udającym kulę, a prawą na ramieniu kaprała Białych, dotarł do środka sali. Zatrzymał się

pośród zaskoczonych rzeszy walczących, a wtedy znowu rozbrzmiał jego władczy głos:

— Uciekaj, Faramirze! Szybko!

Cięnięty ręką kapitana niewielki błyszczący przedmiot uderzył w pierś Cerlega i zdumiony kapral podniósł z podłogi sprytny, dwustronny klucz do umbarckiego zamka.

I w tej chwili skończyło się oszołomienie! Faramir z Eowiną, na komendę orokueny błyskawicznie wycofali się ku drzwiom, on sam rzucił się do piwnicy, a sir Elward, do którego w końcu dotarło, co się dzieje, zakrzyknął:

— Zdrada! Przecież zaraz uciekną przez podziemny korytarz! Przez kilka sekund porucznik zastanawiał się nad sytuacją, a potem, podjął decyzję i, wskazując księcia mieczem, wypowiedział sakramentalne: „Zabijcie go!” Sytuacja stała się poważna. Od razu stało się jasne, że Eowiną nie wytrzyma dłużej niż kilka minut. Dziewczyna, należy odnotować, fechtowała się wspaniale, może nawet lepiej od księcia, po prostu dunedaiński miecz nie leżał jej w ręku, gdyż był zbyt ciężki. Oboje już zarobili po lekkiej ranie, on w prawy bok, ona w lewe ramię, gdy z tyłu rozległo się:

— Droga wolna, książę! Wycofujcie się po kolei w przejście między beczki. Plecak jest u mnie!

Po kilku sekundach książę, zaraz za Eowiną, pojawił się w piwnicy. Stojąc na progu zadał udane pchnięcie atakującemu go Dunadanowi, po czym wydłużył dystans i teraz szybko wycofywał się w mrok, w wąską szczelinę między ustawionymi na sobie w trzy poziomy puste beczki.

— Szybciej, szybciej! — rozległ się jakby z góry głos Cerlega. W przejściu już pojawiły się sylwetki Białych — wyraźnie widocznych na tle oświetlonego otworu drzwi, i nagle z przodu rozległ się głuchy, podobny do lawiny drewniany grzechot i nastał kompletny mrok — od wejścia nie dochodził już najmniejszy promień światła. Faramir najpierw zamarł, kiedy nagle obok niego pojawił się orokuen, chwycił go za rękę i pociągnął gdzieś w mrok. Ramiona księcia zaczęły o ścianki przejścia, z tyłu rozległy się wrzaski i przekleństwa Dunedainów, a od przodu, z ciemności, nawoływała ich zaniepokojona Eowina:

— Co tam się dzieje, Cerlegu?

— Nic szczególnego. Po prostu rozhuściłem beczki z górnego poziomu, zrzuciłem na nich i zawałem przejście. Mamy teraz co najmniej minutę przewagi.

Dziewczyna czekała na nich przy niewielkich, choć niezwykle grubych drzwiach prowadzących do wąskiej i niskiej mniej więcej na pięć stóp ziemnej galerii. Dokoła panował gęsty mrok i nawet orokuen mało co odróżniał.

— Eowino, naprzód, i to żwawo! Tylko proszę palantir zabrać... A pan, Faramirze, proszę mi tu pomóc... Gdzie to jest, do diaska?

— Czego tam szukasz?

— Belki. Niewielka belka, jakieś sześć stóp. Mieli ją przywlec do drzwi ludzie

Gragera. . . Aha! Jest! Zamknął pan drzwi, książę? Teraz podeprzemy je belką. . . Proszę tędy się przecisnąć. Tu zaprzemy i. . . w dół. . . Chwała Jedynemu, podłozę drewniane więc będzie trzymało jak trzeba.

Po kilku sekundach drzwi zaczęły drzeć pod ciosami. Zdążyli w ostatniej chwili.

A na powierzchni, w Emyrn Arnen, miała miejsce gwałtowna słowna przepychanka. Błady z gniewu sir Elward wrzeszczał na szefa kontrwywiadu:

— Jesteś aresztowany, Gepard, czy jak tam cię zwa! I miej na uwadze, bydlatku: u nas, na Północy, zdrajców wieszamy za nogi, tak, by przed śmiercią mieli czas na zastanowienie się. . .

— Zamknij się, bałwanie, i bez twoich krzyków rzygać się chce — machnął ręką zmęczony kapitan. Przycupnąwszy na stopniu schodów i zamknąwszy oczy, cierpliwie czekał aż założą mu na stopę coś na kształt łubków. Chwilami przez jego twarz przebiegał skurcz bólu: zmiżdżenie stopy to rzecz naprawdę straszna.

— W sumie, jesteś aresztowany — znowu zaczął Dunadan. Popatrzył na oficerów Tajnej Straży, stojących półokręgiem za swoim dowódcą, i nagle poczuł strach — a nie było go łatwo wystraszyć. Siedem postaci zamarło w dziwnych pozach, a ich oczy, zazwyczaj ciemne i puste jak wyschnięta studnia, nagle wypełniła purpurowa jasność, jak oczy drapieznika.

— Nie, nie, nawet nie myślcie — odwrócił się do swoich ludzi Gepard i purpurowe jarzenie natychmiast znikło, jakby go tam nigdy nie było. — Niech uważa mnie za aresztowanego, skoro będzie spokojniejszy. Do pełni szczęścia brakuje nam jeszcze tylko rzezi wewnątrz Białego Oddziału. . .

W tej samej chwili z dziedzińca fortu doszedł ich gwar głosów, potem drzwi otworzyły się i, w towarzystwie zupełnie oszołomionych wartowników, wszedł człowiek, którego najmniej się można było tu spodziewać.

— Grager. . . — odezwał się oszołomiony sir Elward. — Jak śmiesz pojawiać się tu? Nikt panu nie dawał gwarancji bezpieczeństwa.

— Gwarancje bezpieczeństwa — uśmiechnął się baron — potrzebne są teraz nie mnie, a wam. Przyszedłem tu na polecenie mojego suzerena, księcia Ithilien — oświadczył z naciskiem. — Jego Wysokość zgadza się zapomnieć wszelkie zło i to już mu wyrządzone, i to, które zamierzaliście wyrządzić mu w przyszłości. Więcej nawet — książę ma plan, który pozwoli Jego Królewskiej Mości zachować twarz, a wam osobiście — głowy na szyjach.

## 30

### **Ithilien, Osada** **14 maja 3019 roku**

Ranek tego dnia był cudowny, a akwarelowy błękit gór Ephel Duath — co za dureń nazwał je Górami Cienia! — tak przejrzysty, że ich zaśnieżone szczyty wydawały się być szybującymi nad szmaragdowym runem Ithilien. Wznoszący się na szczycie sąsiedniego wzniesienia Emyr Arnen stał się na ten czas właśnie tym, czym widzieli go jego budowniczości — nie twierdzą, a czarownym leśnym schronieniem. Promienie wschodzącego słońca cudownie przekształciły łąkę na skraju Osady — obfita rosa, wcześniej zaciągająca ją szlachetnym matowym srebrem, nagle rozjarzyła się niezliczonymi, szczerze rozsypnymi po łące brylancikami: zapewne majowy świt zaskoczył gnomy, zbierające się tu na swe nocne narady, i teraz te rzuciły się do kryjówek w norach polnych myszy, w panice porzuciwszy rozłożone wcześniej skarby.

Zresztą, u tych trzech czy czterech setek ludzi, w większości wieśniaków i żołnierzy, którzy zebrali się w owym czasie na łągu, omawiana rosa raczej nie wywoływała pozytywnych skojarzeń, nie mówiąc już o poetyckich, ponieważ przemokli przez nią do suchej nitki, i teraz ledwo powstrzymywali szczykanie zębów z zimna. Nikt jednakże nie odchodził, przeciwnie — ludzi ciągle przybywało. Do mieszkańców Osady dołączali teraz ludzie z odległych wsi: wiadomość o tym, że w nocy Biały Oddział opuszcza Emyr Arnen, przekazując swe obowiązki ponownie uformowanemu Pułkowi Ithilien, rozniosła się z zupełnie niewyobrażalną szybkością po całej okolicy, a żaden człek nie zamierzał opuścić takiego widoku. Teraz wpatrywali się w dwa znieruchomiłe naprzeciwko siebie szyki — czarny i zielony, na oficerów adresujących ku sobie skomplikowane ruchy obnażonych mieczy („Posterunek przekazany” — „Posterunek przyjęty”), i — dziwna sprawa! — po raz pierwszy czuli się nie przesiedleńcami z Gondoru, Arnoru czy Belfalas, a Ithilienczykami.

Książę Ithilien był nieco blady i w siodle, jak odnotowywali w duchu znawcy, nie czuł się przesadnie wygodnie. Zresztą, bladych obliczy z mętными spojrzeniami było sporo również w szeregach Białego Oddziału. („Oj, chło-opy, czuje serce

moje, że balowali dzisiaj w nocy w zamku do utraty pulsu...” „A jak! Od tych trzech Białych, w tylnym szeregu z prawej — zajeżdża tak, że można od razu płaść. Ledwo na nogach stoją, biedni”.) Faramir tymczasem podziękował Białemu Oddziałowi za wierną służbę, uroczyście pożegnał się z oficerami swej osobistej ochrony i zwrócił się z przemową do ludu:

— Dziś — powiedział — uroczyście odprowadzamy do domów przyjaciół, którzy przyszedli nam z pomocą w najtrudniejszym czasie — gdy młoda ithilien-ska kolonia była bezbronna wobec hord łaknących krwi goblinów i wilkołaków. Odważnym Strażnikom Cytadeli kłaniamy się za to czapką do ziemi!

„Słyszysz, kumie — stada goblinów... Widziałeś kiedy choć jednego, choć z daleka?” „No, ja tam nie widziałem, wiadomo, ale są ludzie, którzy powiadają, że na Wydrzym Potoku nie tak dawno...”

— Pamięć o tej pomocy na zawsze pozostanie w naszych sercach — tak samo, jak księstwo Ithilien na zawsze pozostanie wasalem Odrodzonego Królestwa, jego tarczą za Anduiną. Jednakże będziemy bronić Królestwa według swego planu: nie mieszkamy w Anorien, a za Wielką Rzeką, dlatego musimy pozostawać w pokoju i zgodzie ze wszystkimi tutejszymi narodami — czy to się komu podoba czy nie.

„O czym on mówi, kumie?” „No-o... Ja tak rozumiem, że tego... na przykład trolle w Górach Cienia. Powiadają, że mają tam żelazo w cenie błota, ale z drewnem jest bardzo u nich mizernie...” „No, jak tak, to zgoda...”

— Jednym słowem, Jego Wysokość król Gondoru i Arnoru, trzykrotnie — niech żyje!

„Dziwne to, kumie...” „Ty lepiej patrz, baranie. Tam z prawej już beczki wytaczają! Na krzywy pysk, można i za Jego Wysokość... Hur-r-r-ra!”

Goniec z Minas Tirith — porucznik dunedaińskiej lejbgwardii pojawił się na łące, gdy ceremonia trwała w najlepsze. Jego koń był pokryty pianą i ciężko pracował zapadniętymi bokami. Sir Elward, skręcony w precla przez ludzi z Tajnej Straży („Prosimy się uśmiechać, sir! Przecież powiedziałem — uśmiechać!”) i teraz bezsilnie przyglądający się tej niesłychanej zdradzie — poddaniu bez walki kluczowej twierdzy — poderwał się, a w sercu jego zatliła się nadzieja: Jego Królewska Mość w jakiś sposób dowiedział się o buncie i wysłał do Białego Oddziału rozkaz zgarnięcia tych po trzykroć zdrajców, od Faramira po Geparda... Niestety, pakiet był rzeczywiście od Aragorna, ale adresowany do kapitana Tajnej Straży. Ten od razu złamał pieczęć z Białym Drzewem i pogrążył się w czytaniu. Następnie niespiesznie złożył depezę i z dziwnym uśmiechem wyciągnął dłoń do sir Elwarda:

— Proszę przeczytać, poruczniku. Sądzę, że to pana zainteresuje.

List był szczegółową instrukcją, jak ma Biały Oddział działać w nowych okolicznościach. Aragorn napisał, że dla zachowania *status quo* należy wykryć bazy Pułku Ithilien i zniszczyć je za jednym zamachem tak, by nie uszedł ani jeden człowiek. Operacja winna być wykonana błyskawicznie i w ścisłej tajemnicy,

a komu przypisać ten straszliwy mord — górskim trollom, goblinom czy osobście Mordorowi — to już jak kapitan uzna. Ale!!! Jeśli istnieje choćby cień wątpliwości, co do sukcesu podobnego typu operacji — może na przykład minął dogodny czas i Ithilięńczyków jest tylu, co Białych — to nie należy wykonywać operacji. Należy wówczas udać, że to, co się stało, było planowane i akceptowane przez króla, po czym oddać Emyrn Arnen oficerom Pułku Ithilien w zamian za potwierdzenie przez Faramira przysięgi wasala. Sam zaś Biały Oddział wracać ma do Minas Tirith, pozostawiwszy tylko na miejscu siatkę szpiegowską. Jego Wysokość jeszcze raz powtórzył, że życie Faramira musi być zachowane w dowolnych okolicznościach; tych zaś, którzy — świadomie czy nieumyślnie — sprowokują otwartą walkę między Białymi i Ithilięńczykami, co natychmiast doprowadzi do partyzanckiej wojny w księstwie i zacznie kruszyć jedność Odrodzonego Królestwa, czeka egzekucja za zdradę państwową. Krótko mówiąc: po pierwsze, „zaczęłeś robić — rób tak, żeby nie wstał” i po drugie, „jeśli nie masz pewności — nie wyprzedzaj”.

„Na świecie jest mnóstwo władców — pisał w postscriptum Jego Wysokość — którzy uwielbiają nadawać swym rozkazom postać aluzji, by mieć potem możliwość schowania się za plecami bezpośredniego wykonawcy — „zostałem źle rozumiany”. Tak więc, Elessar z rodu Walandiia nie należy do nich: zawsze bierze odpowiedzialność za siebie i nazywa rzeczy po imieniu, a w jego rozkazach zawarte jest to jedynie, co się w nich zawiera. Jeśli zatem w Białym Oddziale znajdują się oficerowie, którzy — mając więcej chęci działania niż rozumu — przyjmą kategoryczne zakazy za zawołowane życzenia władcy, to kapitan Gepard zobowiązany jest do zneutralizowania owych oficerów za wszelką cenę”.

— Jak pan widzi, zachowując panu życie w toku nocnych potyczek, w pewnym sensie naruszyłem polecenie Króla.

— Więc pan wiedział o rozkazie już wcześniej? — Sir Elward patrzył na Geparda z zabobonnym strachem.

— Przecenia pan moje możliwości. Po prostu w odróżnieniu od pana potrafię przewidywać poczynania w danej kombinacji przynajmniej na dwa ruchy do przodu.

\* \* \*

— Odchodzą! Patrzcie, naprawdę odchodzą! — westchnął Grager, odprowadzając spojrzeniem rozciągniętą na szlaku Osgiliath kolumnę Białych; palce lewej ręki na wszelki jednak wypadek trzymał skrzyżowane w szczególny sposób — „żeby nie zapeszyć”.



— Ja, jeśli mam być szczery, do ostatniej chwili nie wierzyłem, ciągle czekałem, że wykręcą jakiś podły numer. . . Wasza Królewska Mość jest geniuszem!

— Po pierwsze, nie Wasza Królewska Mość, a Wasza Wysokość. I proszę mieć na uwadze, baronie, że żarty na ten temat zupełnie mnie nie bawią. . .

— Przepraszam, Wasza Wysokość.

— Zresztą — Faramir, uśmiechając się lekko, powiódł spojrzeniem po zebranych dokoła żołnierzach Pułku Ithilien — wszystkim wam zezwalam na zwracanie się do mnie — ze względu na starą znajomość — „mój kapitanie”. Przywileju tego, rzecz jasna, nie dziedziczy się. A teraz, panowie, Jej Wysokość odprowadzi was do zamku, gdzie już nakryto do stołu i odkorkowano najlepsze wino. My, z panami oficerami i. . . eee. . . gośćmi ze Wschodu, dojdziemy do was za jakieś dziesięć minut. Tak więc, co to pan onegdaj, baronie Grager, tak się radował: „odchodzą, odchodzą”. Naprawdę pan tak sądzi?

— Na pewno nie, mój kapitanie. Ich sieć szpiegowska. . .

— No właśnie. Co teraz z nimi zrobimy?

— Nic, Wasza Wysokość.

— Proszę mi to wyjaśnić. . .

— Z przyjemnością. Nie ma sensu oddawać pod sąd wykrytych przez nas ludzi Geparda: skoro Ithilien jest i był wasalem Gondoru, to i w ich pracy na rzecz monarchy Odrodzonego Królestwa nie ma cech przestępstwa. Czasem w podobnych wypadkach szpiega po cichu się likwiduje, ale to skrajne przypadki, ponieważ tym samym oznajmimy Minas Tirith, że znajdujemy się z nimi w stanie jeśli nie wojny, to jawnej wrogości. I, w końcu, najważniejsza sprawa: jestem niemal pewien, że ich sieć nie jest nam znana do ostatniego człowieka. Jeśli wyłapiemy tylko tę znaną nam jej część, to pozwolimy w przyszłości spokojnie pracować pozostawionym agentom. A jeśli nie ruszymy nikogo, to nie zdołają określić, co nam właściwie wiadomo, i wtedy oni — według prawideł konspiracji — będą musieli wychodzić z założenia, że cała sieć jest „zaświetlona”. Sądzę, że jeśli nawet nie postawią na niej krzyżyka, to na długo „zakonserwują”. W każdym razie, ja na ich miejscu nie zbliżałbym się do takiej podejrzaney sieci na trzy strzały z łuku.

— Dobrze, teraz to wszystko jest na pańskiej głowie, baronie Grager. Dostaje pan awans na kapitana i odpowiednie pełnomocnictwa.

— Oho! — roześmiał się Tangorn. — Widzę, książę, że odbudowa państwa Ithilien nie odbywa się zwyczajnym trybem: pierwszą instytucją jego stanie się kontrwywiad. . .

— Jak się żyje między wilkami. . . — wzruszył ramionami Faramir. — Ale, to chyba nie interesuje naszych gości. Gdzie pan jest, Cerlegu? Muszę przyznać, że jestem w pewnej konsternacji: za dzisiejsze nocne wyczyny powinniście bezwarunkowo zostać pasowani na rycerza, ale natychmiast powstanie przy tym niezmiernie duża liczba formalnych perturbacji. Nie wiem przy tym, czy wojownikowi w ogóle potrzebny jest do czegoś tytuł gondorskiego rycerza?

— Zupełnie do niczego, Wasza Wysokość! — pokiwał głową Cerleg.

— No właśnie... Nie zostaje nam zatem nic innego, jak wziąć przykład ze starych legend: proście o wszystko, czego chcecie, kapralu! Ale miejcie na uwadze, że córek na wydaniu na razie nie przewiduję, a w szkatule książęcej... Ile tam mamy Beregondzie?

— Sto trzydzieści sześć złotem, Wasza Wysokość.

— N-no tak... Nie zaimponuje nikomu ten skarbiec. Zapewne musicie się zastanowić, kapralu? Ach, właśnie! Jeszcze jeden mam dług: za uratowanie tego szlachetnego pana.

— Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość... — zająknął się orokuen. — Ale my... jakby to powiedzieć... wszyscyśmy razem, to i prośba będzie wspólna. Lepiej niech Waszej Wysokości wszystko opowie baron Tangorn: proszę uważać, że przekazałem swoje prawo jemu... .

— Ach tak? — Książę z wesołym zdumieniem przyjrzał się całej trójce. — Im dalej, tym ciekawiej. Prośba, mam rozumieć, konfidencjonalna?

— Tak, Wasza Wysokość.

— Jeśli się znam na tych sprawach, to mowa będzie o palantirze — zaczął Faramir, gdy odjechali na jakieś dwadzieścia kroków. Na obliczu księcia nie został nawet ślad poprzedniej wesołości.

— Już się pan domyślił, książę?

— Nie jestem durniem. Gdyby było inaczej, to po co prosilibyście, bym go zabrał podczas ucieczki? Po prostu nie przyszło mi do głowy, że jesteście z tymi ludźmi w jednej kompanii... . Teraz przyjdzie mi oddać magiczny kryształ w ręce Mordorczyków. W niezłą historię się wpakowałem z pańskiej lekkiej ręki, nie ma co... .

— To nie jest tak, Wasza Wysokość. Haladdin nie znajduje się obecnie na służbie Mordoru, działa z własnej woli i, ośmielam się twierdzić, w interesach całej cywilizacji Śródziemia... . Smutne jest tylko to, że nie mam prawa wprowadzić Waszej Wysokości w istotę narzuconej mu misji i proszę, żeby Wasza Wysokość uwierzył mi na słowo.

— Ja nie o tym mówię — machnął ręką Faramir. — Przecież wiesz, że zawsze ci ufałem. W niektórych sprawach nawet więcej niż sobie. Chodzi o coś innego: a nie okaże się, że wy — cała trójka — w rzeczywistości jesteście tylko czyimiś marionetkami i ten ktoś tylko wygarnia zar waszymi rękami? Przeanalizuj sytuację jeszcze raz, ale nie jako druh Haladdina i Cerlega, tylko jako zawodowy wywiadowca... .

— Analizowałem już wielokrotnie i oto, co mogę powiedzieć: nieważne, kto wszczął to wszystko, Haladdin będzie prowadził tylko własną grę, a ten człowiek — proszę mi uwierzyć — jest niesamowicie odporny na złamanie, choć na oko tego nie widać. I jeszcze jedno: lubię go po prostu jako człowieka i uczynię wszystko, by dopomóc mu w zwycięstwie.

— Dobrze — mruknął książę po chwili namysłu. — Uważajmy, że mnie przekonałeś. Tak więc, jakiej konkretnie pomocy spodziewacie się z mojej strony?

— Po pierwsze, proszę przyjąć moją rezygnację — zaczął baron, a widząc zdumiony wzrok Faramira, dokończył: — Przyjdzie mi na jakiś czas zasiąść w Umbarze. Wolę tam przebywać w charakterze osoby prywatnej, żeby przypadkiem nie postawić w niewygodnej sytuacji Waszej Wysokości. . .

# 31

## **Gondor, Minas Tirith** **17 maja 3019 roku**

— Jej Królewska Mość, Królowa Gondoru i Arnoru! — przemówił mistrz ceremonii i rozpląnął się bez śladu w powietrzu, jakby go tu w ogóle nie było. Pałacowa służba posiada, prócz doświadczenia, dodatkowo nadnaturalne wyczucie. Aragorn miał stalowe nerwy — zawód kondotiera zobowiązuje — i prawdziwe swe uczucia, gdy ktoś w jego obecności wypowiadał „Jej Wysokość Królowa”, ukrywał znakomicie, ale kto go tam naprawdę wie... Wyczuwa, szelma, że za każdym razem w takim przypadku rodzi się u Jego Królewskiej Mości Elessara Kamienia Elfów przelotna jak powiew wietrzyka ochota: albo oddać wypowiadającego owe słowa pod opiekę chłopców z Tajnej Straży (odstukać w nie malowane drewno), albo po prostu wyjąć z pochwy Anduril i dokładniutko przeciąć mówiącego na pół — od ciemienia do kości ogonowej...

Bożeż ty mój, jaka ona jest piękna! W żadnym z ludzkich języków nie istnieją słowa zdolne opisać jej urodę, a same elfy słów nie potrzebują... Zresztą, nie o urodzie jako takiej mowa. Absolutna, zaprawdę gwiezdna. Ale niedostępność — oto ta smycz, na której prowadzono go pewną ręką przez wszystkie te lata, od chwili, gdy po raz pierwszy trafił do Złotego Lasu i spotkał tam — o, najzupełniej przypadkowo! — Arwenę Undomiel, córkę samego Władcy Elronda, Gwiazdę Wieczorną Imladris. Nikt nie wie, dlaczego elfy wybrały właśnie jego — jednego z niezliczonych dunedaińskich książąt. Zwłaszcza, że za księcia uważa siebie niemal każdy Dunadan, z niezachwianą pewnością wywodząc swój rodowód, jeśli nie wprost od Isildura, to na pewno od Eärendura. Jakkolwiek było, Pierworodni nie pomylili się: nałożone na siebie zadanie Aragorn wykonał wspaniale.

A teraz patrzył na nią z zupełnie mu dotąd nie znanym uczuciem. Rozpaczą. Dalsza walka nie ma sensu, gdyż ileż można uganiać się za iluzją? Tak, czas na podsumowanie, a samego siebie okłamywać nie ma sensu. Tak więc, nieznaną przywódca północnych tropicieli wygrał największą w historii Śródziemia wojnę, wstąpił na tron Odrodzonego Królestwa i stał się mimo wszystko najważniejszym

pośród władców Zachodu — tyle, że do posiadania tej kobiety nie zbliżyło go to ani na krok.

— Czego chcesz ode mnie, Arweno? — Wiedział, że mówi nie to, co należy i nie tak, jak należy, ale nic nie mógł na to poradzić. — Skruszyłem Mordor i cisnąłem do twych stóp koronę Gondoru i Arnoru. Jeśli ci tego mało, rozszerzę granice naszego królestwa poza morze Rhun i Góry Wendotenijskie. Podbiję Harad i kraje Dalekiego Wschodu i uczynię cię Królową Świata, tylko wyraż życzenie!

— A czy ty sam tego nie chcesz?

— Już nie. Chcę tylko ciebie... Wiesz, wydaje mi się, że wtedy, w Dolnie, byłem ci bliższy, niż teraz...

— Zrozum — na jej obliczu pojawił się wyraz zmęczonego współczucia, jak u nauczycielki, nie wiadomo który już raz objaśniającej tępemu uczniowi reguły ortografii — nie mogę należeć do żadnego z ludzi, więc nie dręcz się niepotrzebnie. Przypomnij sobie historię księcia Valakara i królowny Vidumavi. Jak się to opisuje w waszych kronikach: „Gondorczycy uważali siebie za lepszego pochodzenia od ludzi z Północy. Związek małżeński z niższą, choćby i sojuszniczą rasą uważany był za obrażę”. Wiadomo jak to się tam skończyło — wojną domową... A przecież z wyżyn mojego pochodzenia nie ma różnicy nawet między Isildurem i jakimś czarnoskórym wodzem z dalekiego Haradu... Ale i to jest niczym w porównaniu z najważniejszą rzeczą — wiekiem. Przecież ty dla mnie nie jesteś nawet dzieckiem, tylko maleństwem. Wszak nie nazwałbyś żoną trzyletniej dziewczynki — nawet gdyby wyglądała jak dorosła kobieta.

— Ach tak?

— Oczywiście. I zachowujesz się również jak rozpieszczone dziecko. Szybko nacieszyłeś się oznakami władzy królewskiej i oto zapragnąłeś nowej zabawki — Arweny, Gwiazdy Wieczornej Imladris. Pomyśl: nawet miłość chcesz otrzymać za garść cukierków — korony ludzkich królestw. Czyżbyś od tylu lat mając do czynienia z elfami, nie zrozumiał do tej pory, że nikt z nas nie pożąda władzy jako takiej? Uwierz mi — nie ma dla mnie różnicy między koroną Gondoru i tym oto pucharem — jedno i drugie, to tylko kawałki srebra ze szlachetnymi kamieniami...

— Tak, wygląda, że rzeczywiście jestem w porównaniu z wami dziecięciem. I oszukaliście mnie wtedy, w Złotym Lesie, właśnie jak dziecko.

— Oszukałeś sam siebie — spokojnie odparowała. — Przypomnij sobie, jak wyglądały sprawy.

Mgnienie oka — i ściany pałacowej sali przesłoniła srebrzysta mgła, z której wyłoniły się niejasne sylwetki lorieńskich mallornów, a on sam usłyszał rozbrzmiewający tuż obok miękki głos Elronda: „Być może z moją córką odrodzi się w Śródziemiu panowanie Ludzi, ale, mimo mojej miłości do ciebie, powiem: Arwena Undomiel dla drobiazgów nie będzie zmieniała swego losu. Tylko król

Gondoru i Arnoru może być jej mężem. . .” Głos Władcy zmienił się w bezgłośny szelest, i Aragorn ponownie zobaczył obok siebie Arwenę. Ta niedbałym ruchem dłoni przywróciła sali jej poprzedni wygląd.

— Powiedziane było właśnie tak, Aragornie, synu Arathorna. To jest najczystsza prawda — tylko król Arnoru i Gondoru może być mężem elfickiej księżniczki, ale czy obiecano ci, że na pewno nim będzie?

— Masz jak zwykle rację — uśmiechnął się krzywo Aragorn. — Dziecięciu, jakim jestem, do głowy by coś takiego nie przyszło: Władca Dolnu usiłuje wykręcić się ze swej obietnicy. Cóż, kruczki w kontrakcie wynaleźliście znakomicie, umbarscy adwokaci mogliby się od was wiele nauczyć. . .

— Zapłacono ci uczciwie za pracę — Odrodzonym Mieczem i tronem Odrodzonego Królestwa.

— Tak, tronem, którym nie dysponuję!

— Och, nie bądź obłudny. — Zmarszczyła nieco czoło. — Poza tym, świetnie wiedziałeś, że po wstąpieniu na tron otrzymasz elfickiego doradcę. . .

— Powiedz lepiej: namiestnika.

— Znowu przesadzasz. . . W końcu doradcą w Minas Tirith jest nie byle kto, a ja, dzięki czemu w oczach poddanych wszystko wygląda na zwyczajny dynastyczny związek. A ty — ty wyobraziłeś sobie nie wiadomo co i postanowiłeś uzupełnić kolekcję swych dziewczynek o córkę elfickiego Władcy!

— Przecież wiesz, że to wszystko nie tak. — W jego głosie nie słychać już było niczego prócz zmęczonej pokory. — Kiedy w Złotym Lesie przyjąłeś z moich rąk pierścień Barahira. . .

— Ach, to. . . Chcesz mi przypomnieć historię Berena i Luthien? Zrozum w końcu: to nic więcej jak tylko legenda, przy tym — ludzka legenda, która wśród elfów może wywołać tylko śmiech. . .

— Dziękuję za wyjaśnienie. . . Prościej mówiąc, dla was miłość człowieka i elfa to coś jak zoofilia, tak?

— Wiesz co, zakończmy tę głupią rozmowę. . . Dość słusznie przypomniawszy chwilę temu o konieczności dochowywania umów. Nie wydaje ci się, że drugi w ciągu ostatnich tygodni „nieszczęśliwy wypadek” człowieka z mojej świty, to lekka przesada?

— Ach, to masz na myśli. . .

— Właśnie to, mój drogi. A jeśli nagle wyobraziłście sobie, że Lorien nie zdoła obronić ludzi, którzy dla niego pracują, to damy twojej Tajnej Straży taką lekcję, że zapamięta ją na zawsze. . . Jeśli będzie miał kto zapamiętać.

— Muszę ci przypomnieć, moja droga — obudzona w nim złość pomogła mu wziąć się w garść. Jakby odetchnął solami trzeźwiącymi i pętający go urok stopniał. Dunadan znowu stał się sobą: białym polarnym wilkiem, który stanął przeciw stadu szakali — że jak na razie nie wy jesteście tu gospodarzami. Nazywajmy rzeczy po imieniu: gdyby twoja „świta” była prawdziwym poselstwem, to

już dawno wszystkich usunięto by z kraju „za działalność niezgodną ze statusem dyplomatycznym”.

— Kiedyś cię zgubi ta twoja nadmierna pogoń za logiką, bo z niej wypływa przewidywalność. Nie zacząłbyś tak postępować, gdybyś nie był w wielkiej potrzebie, a to znaczy, że zamordowani zbliżyli się do czegoś nadzwyczaj tajnego i niezwykle ważnego. Pozostaje mi tylko wyjaśnić, czym właściwie zajmowali się w ostatnich dniach swego życia — powiedziała Arwena.

— No i jak? Są sukcesy?

— Och, jeszcze jakie! Jeśli można to nazwać sukcesami. . . My — przyznaję — patrzyliśmy przez palce na twoje zabawy z martwiakami. Szczerze mówiąc, nikt nie wierzył, że śmiertelny opanuje Zakłęcia Cienia w stopniu, który pozwoli przywołać ich do życia. Ale teraz postanowiłeś przejąć także ciemną wiedzę Mordoru — zbierasz, gdzie tylko się da owe zatrute odłamki i, jak się wydaje, w zadufaniu swoim wyobraziłeś sobie, że i to ci ujdzie płazem. . . Tak, nie przeczę: jesteś awanturnikiem najwyższej klasy, takiego w końcu wybieraliśmy i to spośród wielu. Jesteś człowiekiem mądrym, aż do szaleństwa odważnym i całkowicie bezlitosnym — zarówno w stosunku do siebie, jak i innych. Wiem, że nic dla ciebie nie znaczy żonglowanie żywą kobrą, ale uwierz mi, że nigdy jeszcze — klnę się na komnaty Valinoru! — nie wszczynałeś tak niebezpiecznej zabawy, jak w tej chwili. . .

— Poza tym jestem jeszcze człowiekiem pragmatycznym. Sztuczka polega na tym, że dla was te zabawy są nie mniej zgubne, jak dla mnie i cieszę się, że w końcu zrozumiałaś jak wielkie jest niebezpieczeństwo. Tak więc, jestem gotów się wycofać, jak tylko otrzymam odstępnę.

— Ho, ho! A jak wysoka jest cena?

— Znasz już cenę. Innej nie będzie.

Arwena w milczeniu odwróciła się i zaczęła odchodzić, niczym pionowy słoneczny promień przesywający zakurzoną komnatę, i gdy odwróciła się na jego niezbyt głośny okrzyk „Poczekaj!”, to było to zwycięstwo kto wie czy nie większe od Pelennoru i Kormallen.

— Poczekaj — powtórzył i niedbale podrzucił w dłoni srebrny puchar, ten, który służył jej za obraźliwą ilustrację jego zainteresowania ludzkimi skarbami. Chwytał go i zmiął w garści jednym ruchem, jak papierek od cukierka; rubiny inkrustacji trysnęły spomiędzy palców jak krople krwi i z kościanym stukotem zaczęły skakać po marmurowej podłodze. — Klnę się na komnaty Valinoru — wolno powtórzył za nią — teraz też nie widzę różnicy między koroną Gondoru i pucharem. Wybacz, ale korony nie miałem pod ręką. . .

Z tymi słowami cisnął jej niedbale ten kawałek zmiętego srebra, tak że Arwena, chcąc nie chcąc, musiała go chwycić i, nie oglądając się, wyszedł z komnaty. Chyba po raz pierwszy pole boju opuszczał jako zwycięzca. Zgoda, ona ma rację — wszedł do gry, od której nie ma niebezpieczniejszej, i nie zamierza się wyco-

fywać. Chce tej kobiety i dostanie ją, nieważne ile może go to kosztować. Tak się nie stanie póki elfy pozostają elfami? Cóż, trzeba będzie zniszczyć sedno ich potęgi. Zadanie niestłuchanie skomplikowane, ale znacznie bardziej pociągające, niż na przykład podbój Haradu...

W tym momencie przywrócił go do życia głos dyżurnego lejbgwardii:

— Jego Królewska Mość... Jego Królewska Mość! Przybył Biały Oddział z Ithilien. Raczysz ich przyjąć?

\* \* \*

Aragorn milczał z opuszczoną głową i skrzyżowanymi na piersi rękami; siedzący naprzeciwko Gepard z nogą w łubkach niezręcznie odstawioną w bok, kilka już minut temu zakończył swój niewesoły meldunek i teraz oczekiwał wyroku.

— W tych okolicznościach, kapitanie — Jego Królewska Mość podniósł w końcu wzrok — pańskie działania należy uznać za właściwe. Sam będąc na pana miejscu, działałbym tak samo... Zresztą nic w tym dziwnego.

— Tak jest, Wasza Królewska Mość. Nasz cień to wasz cień.

— Chciałeś, chyba o coś zapytać?

— Tak. W Ithilien krępował nam ręce kategoriyczny rozkaz zachowania życia Faramira. Czy nie uważasz, Wasza Wysokość, że należy przemyśleć...

— Nie, nie uważam. — Dunadan w zamyśleniu przespacerował się po komnacie. — Przeżyłem burzliwe życie i mam na sumieniu wiele grzechów, w tym śmiertelnych... Ale krzywoprzysięcą nie byłem i nigdy nie będę.

— Jak to się ma do prawdziwej polityki?

— Wprost. Faramir jest człowiekiem honoru, to znaczy, że póki ja nie złamię swych zobowiązań, i on nie odstąpi od swoich. A mnie, jak na razie, urzęduje *status quo*...

— Ale do Ithilien niedługo zaczną spływać wszyscy niezadowoleni z władzy Waszej Wysokości!

— To zrozumiałe — i to jest po prostu wspaniałe! Przecież uwalniam się w ten sposób od opozycji w Gondorze, przy czym — zauważ — zupełnie bezkrwawo. Jak zniwelować pomysły tych ludzi co do restauracji poprzedniej dynastii — to będzie zmartwienie Faramira. Jego, powtarzam, też wiąże słowo.

— I nie przejmujesz się, panie, tym, że książę Ithilien jak sądzę już zaczął prowadzić jakąś sekretną grę ze Wschodem?

— Nie było tego w twoim raporcie. Skąd masz takie dane?

— Chodzi o to, że nogę połamał mi zwiadowca orokuen, a opatrywał ją w nocy lekarz z Umbaru. Zwą go, jak dziś pamiętam, Haladdin. Ci ludzie przyszli z Górnymi



Cienia w towarzystwie znanego nam dobrze barona Tangorna.

— Opisz mi tego lekarza!

Gepard ze zdziwieniem popatrzył na Aragorna. Ten wychylił się do przodu, a jego głos ledwo słyszalnie zadrżał.

— Tak, to on, bez wątpienia — mruknął Dunadan i na kilka sekund przymknął oczy. — To znaczy, że Tangorn odszukał w Mordorze Haladdina i przywłókł go do Ithilien, do Faramira. . . Diabli i diabli, kapitanie, najgorszą wiadomość zachował pan na koniec! Wydaje mi się, że nie doceniłem tego filozofa. . .

— Proszę mi wybaczyć, Wasza Królewska Mość, ale nie jestem zapoznany z okolicznościami. . . Kim jest ten Haladdin?

— Widzisz, będziesz musiał teraz stanąć na czele pewnej niewielkiej supertajnej formacji — grupy „Feanor”. Nie wchodzi ona nawet w struktury Tajnej Straży i podlega bezpośrednio mnie. Strategicznym zadaniem „Feanora” po wsze czasy jest zbierać dane pozostałe po Mordorze i Isengardzie. Spróbujemy wykorzystać to do naszych celów. Same księgi nie wystarczą — niezbędni są też ludzie. . . Tak więc, na osiemnastym miejscu naszej listy znajduje się doktor Haladdin. Można oczywiście przypuścić, że czysty przypadek zetknął go z Tangornem — umbar-skim rezydentem Faramira — ale osobiście nie wierzę w takie przypadki.

— Tak więc, sądzisz, Wasza Królewska Mość, że Faramir zajmuje się tym samym, co i ty?

— Zazwyczaj mądre myśli przychodzą do mądrych głów jednocześnie. Nawiasem mówiąc, elfy też zajmują się aktualnie takimi poszukiwaniami, co prawda w innym celu, ale sedno problemu leży w tym, że Faramirowi z jego starymi kontaktami na Wschodzie znacznie łatwiej jest szukać niż pozostałym. Przy tym wykazy, na których się aktualnie opieramy, skomponowane zostały na bazie przedwojennych raportów jego zaanduińskich rezydentów — chwała Manwe, że archiwa Rady Królewskiej wpadły w moje ręce, a nie elfów. . . Krótko mówiąc, kapitanie, natychmiast proszę odnaleźć Tangorna i wytrząsnąć z niego wszystko, co tylko się da. Następnie proszę przemyśleć, jak położyć łapy na zdobyczy Ithilienczyków. Nie ma aktualnie ważniejszej sprawy. Rozumiemy się?

— Czy mam zorganizować porwanie w Eryn Arnien? — Skonfundowany Gepard pokręcił głową. — Tamtejsza nasza siatka jest praktycznie rozgromiona przez tego diabelskiego Gragera, i takiej operacji nie uda się z nimi zorganizować. . .

— Tangorn nie będzie siedział w Eryn Arnien. Faramir na pewno wyśle go do Umbaru, gdzie baron tak wspaniale się wykazał przed wojną. Obecnie jest tam pełno mordorskich emigrantów, a i dla tajnych dyplomatycznych misji lepszego miejsca się nie znajdzie. Haladdina pewnie już gdzieś ukryli. . . Zresztą, to da się łatwo sprawdzić. Zaraz wyślę gońca do Eryn Arnien, przecież zawsze mogę przekazać swoje najlepsze życzenia ithilienowskiemu księciu. A jeśli goniec nie zastanie tam ani Haladdina, ani Tangorna — a tak, właśnie, sądzę, że będzie — natych-

miast wysyłaj swoich ludzi do Umbaru. Działaj, kapitanie. I zdrowiej szybciej, roboty huk.

\* \* \*

— A gdzie jest obecnie Rosomak?

— W Isengardzie, dowodzi szajką maruderów Dungarczyków. Jego zadaniem jest zdobyć ogień burzący.

— A Ichneumon?

— Ten jest w Mindolluinie. Jest katorżnikiem w kamieniołomie — odpowiada współpracownik „Feanora”, wprowadzający Geparda w kierowanie spadkiem, i wyjaśnił: — W ramach operacji „Kpiarz”, panie kapitanie. Jego wyprowadzenie przewidziane jest w przyszły wtorek.

— Nie można przyspieszyć zakończenia tej operacji?

— Nijak nie można, panie kapitanie. Ichneumon pracuje praktycznie bez przykrywki, a kamieniołomy to tradycyjnie domena ludzi Królowej. Jeśli go „zaświecimy”, to nie przeżyje ani pięciu minut — „próba ucieczki” i tym podobne. . .

— Dobrze. — Oszacował za ile dni wróci goniec z Eryn Arnien. — Do wtorku jakoś wytrzymam. Jak tylko się zjawi, niech się natychmiast stawi u mnie.

**Gondor, góra Mindolluina**  
**19 maja 3019 roku**

Z lotu ptaka kamieniołom w Mindolluinie, w którym wydobywa się wapień budowlany dla Minas Tirith, podobny jest do wyszczerbionej na brzegach porcelanowej filiżanki, której dno i ścianki oblepiły w poszukiwaniu śladów cukru setki malutkich i zajadłych w swej pracy mrówek. Przy dobrej pogodzie — a dziś właśnie taka tu panowała — śnieżnobiały lej pracował niczym reflektor kumulujący promienie słoneczne, i w wewnętrznych, nie wentylowanych przestrzeniach kamieniołomu, panował piekielny upał. I to w środku maja! O tym, co tu się będzie działo latem, Kumai wolał nie myśleć. Oczywiście, ci z jeńców, którzy trafili do Anfalas, na galery, mieli zapewniony jeszcze gorszy los, ale — zgódźmy się — to słaba pociecha. Dziś jeszcze miał szczęście: trafiła mu się działka na najwyższym poziomie, gdzie wiał chłodny wietrzyk i niemal nie było wapiennego pyłu. Co prawda, tych, którzy pracowali na zewnętrznym perymetrze kamieniołomu, zakuwano w kajdany, ale Kumai uważał tę cenę za zupełnie do przyjęcia.

Od tygodnia w parze z Kumajem pracował Mbanga, poganiacz bojowego mumaka z haradzkiego korpusu, nie znający Wspólnej Mowy. Przez półtora miesiąca nadzorca wbili mu do głowy niezbędny i wystarczający z ich punktu widzenia zasób słów: „wstań”, „idź”, „nieś”, „turlaj”, „ręce na kark”. Jednakże taki zwrot, jak „leniwe czarne bydle” nie dało się zaadaptować i trzeba było pozostać przy zwyczajnym „czarnuchu”. Mbanga wcale nie usiłował rozszerzyć swojego zasobu lingwistycznego poprzez kontakty z innymi więźniami, gdyż znajdował się jakby w stałym półśnie. Może nie ustawał w opłakiwaniu swego zabitego Tongo — przecież między poganiaczem i mumakiem zawiązuje się prawdziwie ludzka przyjaźń, znacznie mocniejsza od układu między jeźdźcem i ukochanym wierzchowcem. A może po prostu przebywał duchem na swoim, niewyobrażalnie odległym Południu — tam, gdzie gwiazdy w nocy są na sawannie tak ogromne, że wystarczy wstać na czubki palcy u stóp i można ich sięgnąć koniuszkiem assegaja, i gdzie każdy mężczyzna używając prostej magii, może stać się lwem, a kobiety — naprawdę wszystkie — są piękne i w miłości nienasycone.

\* \* \*

Niegdyś w tych okolicach istniała potężna cywilizacja, po której nie pozostało nic, prócz porośniętych bujną tropikalną zielenią stopniowanych piramid i wyłożonych bazaltowymi płytami dróg wiodących z nikąd do nikąd. A historia Haradu w obecnej jego postaci zaczęła się mniej niż sto lat temu, kiedy Fasimba, młody, dynamiczny wódz hodowców bydła z centralnej części kraju, przysiągł, że zlikwiduje handel niewolnikami. I rzeczywiście zlikwidował. Należy tu zauważyć, że w krajach Południa i Wschodu handel ludźmi istniał od zarania dziejów, jednakże specjalnie masowego charakteru ta dziedzina nie przybrała: sprawy w większości ograniczały się do sprzedaży piękności do haremów i podobnie egzotycznych działań, nie mających jakiegoś szczególnego ekonomicznego znaczenia. Sytuacja gwałtownie się zmieniła, gdy khandyjski kalifat uczynił z tego proceduru gałąź gospodarki i zorganizował w całym Śródziemiu stały system handlu czarnoskórymi.

Na brzegu głębokiego zalewu, przylegającego do ujścia Kuwango — głównej wodnej arterii wschodniego Haradu — wyrosło dobrze umocnione khandyjskie miasteczko, które nazywało się bezpretensjonalnie — Niewolnicza Zatoka. Jego mieszkańcy najpierw usiłowali polować na czarnych sami, ale szybko przekonali się, że jest to zajęcie wymagające dużego zaangażowania i przy tym niebezpieczne. Jak to ujął jeden z nich: „To jest podobne do strzyżenia świni: mnóstwo wrzasku, a pożytku żadnego”. Jednakże nie poddali się i nawiązali wzajemnie wygodne kontakty z wodzami nadbrzeżnych terytoriów, a głównym ich handlowym partnerem stał się niejaki Mdikwa. Od tego czasu żywy towar zaczął napływać na bazyry Khandu stale i regularnie, w zamian za perły, lusterka i niedbale destylowany rum.

Wiele osób wyrzucało mieszkańcom Niewolniczej Zatoki i ich wpływowym kontrahentom, że zajęcie to jest brudniejsze od błota. Ci zaś filozoficznie odpowiadali, że interes jest interesem, i skoro jest zapotrzebowanie, to musi być ono zaspokajane — jeśli nie przez tego handlarza, to przez innego. Jakkolwiek było, zajęcie to w Niewolniczej Zatoce kwitło, a jego realizatorzy bogacili się, zaspokajając przy okazji wszystkie swoje wybujałe seksualne fantazje — w końcu czarnoskórych dziewcząt, jak i chłopców, w tymczasowej swej dyspozycji każdy miał pod dostatkiem.

Tak wyglądała sytuacja w chwili, kiedy Fasimba udanie otruł na przyjacielskiej uczcie sześciu okolicznych wodzów. Tak naprawdę, to otrutym miał być właśnie Fasimba, ale ten umiejętnie wykonał manewr wyprzedzający — był to jego koronny numer — następnie Fasimba dołączył ich włości do swoich i siebie obwołał Imperatorem. Zjednoczywszy wojowników siedmiu plemion w jednolitą

armię i wprowadziwszy do niej surowe dowodzenie i nieuniknioną karę śmierci za dowolne przejawy plemiennego czy rodowego separatyzmu w szeregach, młody wódz, który zawsze pragnął mieć jakiś wpływ na khandyjskich sąsiadów, zaprosił wojskowych doradców z Mordoru. Mordorczycy dość szybko nauczyli czarnoskórych wojowników, którym strach był równie obcy jak i dyscyplina, działania w szyku, a wynik szkolenia przeszedł wszelkie oczekiwania. Prócz tego, Fasimba jako pierwszy docenił olbrzymie możliwości bojowych mumakili. Były one wykorzystywane w bitwach od niepamiętnych czasów, ale dopiero on potrafił zorganizować „taśmowe” szkolenie zwierząt od ich narodzin i w ten sposób doprowadził do powstania nowej formacji w armii. Efekt był mniej więcej taki, jak w naszych czasach użycie czołgów: jedna maszyna przypisana do pułku piechoty to oczywiście rzecz przydatna, ale nic więcej, natomiast pół setki czołgów zebranych w jedną pancerną pięść to siła zasadniczo zmieniająca charakter całej wojny.

Tak więc, po trzech latach od rozpoczęcia swej reformy wojska, Fasimba ogłosił wojnę na śmierć i życie nabrzeżnym wodzom, zajmujących się handlem niewolnikami, i w ciągu pół roku pokonał ich wszystkich. Przyszła kolej na Mdikwę. W Niewolniczej Zatoce panował już głęboki smutek, gdy nagle od lądowego króla przybył goniec z dobrymi wieściami: wojownicy Mdikwy starli się w decydującym boju z zachwalaną armią Fasimby i rozbili ją całkowicie, tak więc do miasta wkrótce przyprowadzonych zostanie wielu dobrych, silnych niewolników. Khandyjczycy odetchnęli z ulgą, ale nie omieszkali poskarżyć się gońcowi, że niby ceny na niewolniczych targowiskach metropolii w ostatnim czasie mocno spadły, co było najczystszy kłamstwem. Goniec jednakże nie przejął się tym specjalnie: niewolników jest tylu, że rumu wystarczy na pół roku.

W oznaczonym czasie do miasta nadeszła niewolnicza karawana, prowadzona osobiście przez Mdikwę — stu osiemdziesięciu mężczyzn i dwadzieścia kobiet. Skuci ze sobą mężczyźni, mimo wcześniejszych zapewnień gońca, wyglądali mizernie: wycieńczeni, poznaczeni siniakami i ranami niedbale opatrzonymi za pomocą bananowych liści. Ale za to kobiety, które prowadzono na czele kolumny całkowicie nago, były tak wspaniałe, że cały garnizon zebrał się dokoła nich i, śliniąc się, na nic innego patrzeć już nie chciał. A szkoda... Albowiem kajdany i łańcuchy nie były prawdziwe, podobnie jak krew na ciałach, a sami niewolnicy byli osobistą gwardią Imperatora. Pod „opatrankami” ukryte były gwiazdziste noże do miotania, zabijające na piętnaście jardów. Gwardziści mogli też obejść się i bez broni: każdy z nich w biegu na krótkim dystansie doganiał konia, mógł uniknąć strzały i rozbijał uderzeniem pięści stos ośmiu dachówek. Miejska brama została przejęta w ciągu kilku sekund, a Niewolnicza Zatoka upadła. Operacją dowodził Fasimba — właśnie on wprowadził do miasta „niewolniczą karawanę”, przyodziawszy się w znany na całym wybrzeżu leopardzi płaszcz Mdikwy. Imperator dobrze wiedział, że przedstawiciele wyższej rasy nie zawracają sobie głowy

odróżnianiem twarzy wszystkich tych „popielników”. Zresztą, Mdikwa nie potrzebował już swojego słynnego płaszcza: rozszalałe ogniste mrówki, na których szlaku przywiązano go — nowa kara za handel niewolnikami — już zmieniły przybrzeżnego watażkę w idealnie oczyszczony szkielet.

Po dwóch tygodniach do przystani Niewolniczej Zatoki przybił khandyjski statek przeznaczony do przewożenia niewolników. Kapitan, nieco zaskoczony pustką na nabrzeżu, wyruszył do miasta. Wrócił w towarzystwie trzech uzbrojonych Haradrimów i płaczącym się ze strachu językiem zażądał, by na brzeg zeszedli tragarze z grona załogi. A ładunek, jaki mieli wziąć na pokład by przewieźć do Khandu, doprowadziłyby do drżenia każdego.

Było to półtora tysiąca wyprawionych ludzkich skór, dokładnie — 1427 sztuk. Cała ludność Niewolniczej Zatoki z wyjątkiem siedmiu niemowląt, które Fasimba nie wiadomo dlaczego oszczędził. Na każdej ze skór ręką pisarza miejskiego — uczciwie mu zapłacono, zabijając jako ostatniego i stosunkowo szybko — wypisane było imię właściciela oraz szczegółowo opisane było, jakim torturom został poddany przed skórowaniem. Na skórach należących do kobiet, odnotowano ilu czarnych wojowników wszechstronnie oceniało zalety ich nosicielek. Kobiet w mieście było mało, a wojowników wielu, tak więc liczby były różne, ale zawsze robiły wrażenie. . . Tylko kilku mieszkańców miało szczęście dorobić się krótkiej notatki „zginął podczas szturm”. A ostatnim numerem programu była kukła wykonana z gubernatora będącego krewniakiem samego kalifa. Zawodowi taksydermiści najprawdopodobniej nie pochwalali wykorzystania w charakterze materiału do wypychania pereł, tych samych, którymi płacono za niewolników, jednakże Imperator miał w tej materii swoje zdanie.

Powie ktoś, że takie potworne okrucieństwo nie może być usprawiedliwione: wódz Haradrimów, orzekną oni, po prostu ubrał w postać zemsty własne sadystyczne skłonności. Inni zaczną dywagować o „historycznej sprawiedliwości”, a że przy tym nie obeszło się bez „ekscesów i przegięć” — trudno, Haradrimowie to nie anioły, a wcześniej nałykali się biedy i niesprawiedliwości. Dyskusja na ten temat wydaje się w ogóle bez sensu, a w konkretnym przypadku po prostu nie ma związku ze sprawą, ponieważ to, co Fasimba uczynił z mieszkańcami Niewolniczej Zatoki, nie było ani spontanicznym przejawem patologicznego okrucieństwa wodza, ani zemstą za cierpienia przodków. Był to jedynie ważny element subtelny, strategicznego planu, wymyślonego i realizowanego przez absolutnie jasny i zimny umysł.

## 33

Khandyjski kalif, otrzymawszy w prezencie skórki swoich poddanych i kukłę krewniaka zareagował właśnie tak, jak przewidywał Imperator: odrąbał głowy kapitanowi oraz całej jego załodze, żeby nie wozili w przyszłości byle czego, i publicznie poprzysiął wykonać taką samą kukłę z Fasimby, po czym natychmiast wysłał do Haradu korpus ekspedycyjny. Pamiętając o smutnym losie marynarzy, doradcy nie tylko nie odwiedli go od głupiego pomysłu, ale nie nalegali nawet, by dokonać wstępnego zwiadu. Kalif natomiast, zamiast zabrać się za przygotowanie wyprawy, zajmował się wybieraniem tortur, jakim podda Fasimbę, gdy już ten wpadnie mu w ręce.

Po miesiącu dwudziestotysięczna khandyjska armia została wyładowana w ujściu Kuwango, przy ruinach zburzonej Niewolniczej Zatoki, i ruszyła w głąb kraju. Należy odnotować, że khandyjscy wojownicy, jeśli za miernik wziąć ilość niesionego na sobie żelaza, a szczególnie zdobiących owo żelazo złoconych dupereli, nie mieli sobie równych w Śródziemiu. Niestety tylko w tym, że ich doświadczenie bojowe sprowadzało się do tłumienia wieśniaczych powstań i innych operacji policyjnych. Jednak przeciwko czarnoskórym dzikusom, jak się wydawało, powinno to wystarczyć: Haradrimowie w panice rozbiegali się, widząc przed sobą połyskującą w słońcu żelazną falangę. Ścigając bezładnie wycofującego się przeciwnika, Khandyjczycy minęli pasmo przybrzeżnej dżungli i wyszli na sawannę, gdzie następnego ranka natknęli się na cierpliwie oczekujące ich główne siły Fasimby.

Dowodzący wyprawą bratanek kalifa zbyt późno zrozumiał, że haradzka armia jest co najmniej dwukrotnie liczniejsza od khandyjskiej, a wyszkolona gdzieś około dziesięć razy lepiej. Właściwie bitwa, jako taka, nie odbyła się; był tylko miażdżący atak bojowych mumakili, a potem pościg za uciekającym w panice wrogiem. Zresztą straty Khandyjczyków mówią same za siebie: półtora tysiąca zabitych i osiemnaście tysięcy jeńców, Haradrimowie stracili nieco ponad stu ludzi.

Po krótkim czasie kalif otrzymał od Fasimby szczegółowe sprawozdanie o bitwie wraz z propozycją wymiany jeńców na znajdujących się w khandyjskiej niewoli Haradrimów — wszystkich na wszystkich. W przeciwnym wypadku propo-

nowano przysłanie do Niewolniczej Zatoki statku, zdolnego do wzięcia na pokład dziewiętnastu tysięcy ludzkich skór, a w Khandzie wiedziano, że w tej materii Fasimba nie rzuca słów na wiar. Imperator wykonał jeszcze jeden dalekosiężny ruch: uwolnił kilkuset jeńców i wypuścił ich do domów, by ci wyjaśnili khandyjskiemu społeczeństwu, na czym polegają propozycje Haradu. Lud, jak można się było spodziewać, zaczął się burzyć i wyraźnie zapachniało powstaniem. Po tygodniu kalif, nie dysponując w tym momencie żadnymi siłami zbrojnymi, skapitulował. W Niewolniczej Zatoce odbyła się zaproponowana przez Fasimbę wymiana i od tej pory Imperator stał się dla swego ludu żywym bogiem na ziemi — ponieważ w oczach Haradrimów wyciągnięcie człowieka z khandyjskiej niewoli mało czym różni się od wskrzeszenia.

Od tej pory to dość ponure imperium Haradrimów, w którym nie było piśmienictwa, ani architektury, ale aż nadto rytualnego kanibalizmu, mrocznej czarnej magii i polowań na czarowników, porządnie rozszerzyło swoje granice. Najpierw czarnoskórzy przesuwali się tylko na południe i wschód, ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat skierowali swoje spojrzenia na północ i odgryźli porządny kawał khandyjskiego terytorium, zbliżywszy się do granic Umbaru, południowego Gondoru i Ithilien. Mordorski poseł przy dworze Imperatora słał do Barad-Dur depeszę za depeszą: „Jeśli nie podejmiemy w krótkim czasie zdecydowanych kroków, to wkrótce cywilizowanym państwom centralnego i zachodniego Śródziemia przybędzie przeciwnik, straszniejszy od wszystkich wcześniejszych: niezliczone szeregi wspaniałych wojowników, nie wiedzących, co to strach czy litość”.

Wtedy Mordor, kierując się khandyjską mądrością: „Jedynym sposobem pozbycia się krokodyli jest osuszenie błota”, zaczął wysyłać na Południe swoich misjonarzy. Nie nużyli czarnoskórej ludności opowiadaniem o Jedynym, ale leczyli dzieci i uczyli ich czytania oraz pisania, w alfabecie, jaki sami wypracowali dla języka haradzkiego na bazie Wspólnej Mowy. I kiedy jeden z jego twórców, wielbny Aidzuno, zobaczył pierwszy tekst stworzony ręką małego Haradrima, a był to znakomity w swej poetyckości opis polowania na lwa, zrozumiał, że nie nadaremno żył na tym świecie.

Byłoby przesadą twierdzić, że działalność misjonarska doprowadziła do znacznego złagodzenia okrutnych tamtejszych obyczajów. Sami misjonarze, jak się wydawało, otoczeni byli niemal religijnym szacunkiem i teraz każdy Haradrim na dźwięk słowa „Mordor” demonstrował najbielszy ze swych uśmiechów. Prócz tego, Harad, nie to co inne „cywilizowane” kraje, nie cierpiał na selektywną sklerozę. Tu znakomicie pamiętano, kto im w swoim czasie pomagał podczas wojny z khandyjskimi handlarzami niewolników. Dlatego, gdy mordorski poseł zwrócił się do Imperatora Fasimby Trzeciego z prośbą o pomoc w walce z koalicją Zachodnią, ten natychmiast wysłał na pomoc północnym braciom wyborowy oddział jazdy i mumakili — ten właśnie haradzki korpus, który tak wspaniale walczył na Polach Pelelloru pod purpurowym sztandarem ze smokiem.



Z całego tego korpusu ocalało tylko kilku ludzi, a w ich liczbie — dowódca jazdy, słynny kapitan Umglangan. Od tej pory prześladował go jeden obraz, jasny i wyraźny, jak rzeczywisty. . . Pośród nietutejszej błękitnej sawanny w groźnym oczekiwaniu czekały na siebie dwa szeregi rozdzielone piętnastoma jardami dystansu — odległość, z jakiej zabija assegaj. Obie strony mają w swych szeregach najwspanialszych wojowników wszechczasów, jednak w prawym szeregu jest o jednego wojownika za mało. Czas zaczynać walkę, ale groźny Udugwu, nie wiadomo dlaczego litując się nad kapitanem, nie daje sygnału do największej męskiej rozrywki. „No, gdzie jesteście, kapitanie?! Szybciej, zajmujcie miejsce w szeregu!” I co wybrać, skoro serce wojownika woła go tam, do podnóża czarnego bazaltowego tronu Udugwu, a powinność dowódcy każe mu wrócić z meldunkiem do swego Imperatora? Był to ciężki wybór, ale wybrał dług i teraz, pokonawszy tysiące niebezpieczeństw, dotarł już do granic Haradu.

Przyniesie Fasimbie smutną wieść: ci ludzie Północy, którzy byli dla Haradrimów jak bracia, padli w boju, i w północnych ziemiach nie ma teraz nikogo, prócz wrogów. Ale to też jest wspaniałe — ponieważ teraz stoi przed nimi wiele bitew i wielkich zwycięstw! Kapitan widział w akcji wojowników Zachodu — za nic nie oprą się czarnym wojownikom, kiedy będzie to nie malutki ochotniczy korpus pod purpurowym sztandarem, a prawdziwa armia. Zamelduje, że już nie ma różnicy w kawalerii, czego się mocno bali, gdyż całkiem niedawno Haradrimowie nie potrafili walczyć wierzchem, a teraz godnie przeciwstawili się najlepszej jeździe Zachodu. A przecież ci jeszcze nie znają piechoty Haradu: z tego wszystkiego, co on tam widział, mogła się z nią równać tylko trollijska — a teraz rzecz jasna już nikt. No a mumakile to mumakile — broń niemal doskonała. Gdyby nie stracili dwudziestu sztuk w przeklętej leśnej zasadzce — nie wiadomo jak potoczyłyby się sprawy na Polach Pelennoru. . . Boją się ognistych strzał? To nie problem: trzeba będzie to uwzględnić podczas tresury młodych. . . Cóż, Zachód sam wybrał swój los, zmiatając stojący między nim i Haradrimami Mordor.

\* \* \*

Poganiacz Mbanga żył problemami znacznie mniej globalnymi. Nie podejrzewając istnienia matematyki, od samego rana rozwiązywał w umyśle dość złożony problem planimetryczny, który inżynier drugiego stopnia Kumai, gdyby był wtajemniczony w plany współtowarzysza, sformułowałby jako „minimalizację sumy dwóch zmiennej długości odcinków”: od Mbangi do nadzorca i od nadzorca do skraju przepaści kamieniołomu. Oczywiście, nie jest on równy Umglanganowi, i nie ma co liczyć na miejsce w szeregu najlepszych wojowników wszechczasów,

ale jeśli potrafi umrzeć tak, jak sobie wymyślił, to Udugwu — w swym nieskończonym miłosierdziu — pozwoli mu wiecznie polować na lwy na swych niebiańskich sawannach. Realizacja planu jednakże nie była łatwa. Mbanga, wychudzony sześcioma tygodniami głodu i ciężkiej pracy, musi zabić gołymi rękami uzbrojonego po zęby i wcale nie lekkomyślnego dryblasa, a na załatwienie tej sprawy ma nie więcej niż dwadzieścia sekund. Potem zbiegną się inni nadzorcy i po prostu zaćwiczą go nahajami, a to żałosny koniec niewolnika. . .

Wszystko odbyło się tak szybko, że nawet Kumai przegapił pierwsze ruchy Mbangi. Zobaczył tylko czarną błyskawicę, która wystrzeliła do nóg nadzorcy: Haradrim przykucnął, pozorując poprawianie kajdan, i nagle skoczył głową do przodu, niczym drzewna mamba, z niewiarygodną precyzją przebijająca sploty gałęzi. Prawe ramię czarnoskórego z całej siły wbiło się w oporowe kolano stojącego bokiem do nich strażnika — dokładnie pod staw kolanowy; Kumajowi wydało się, że naprawdę słyszy trzask towarzyszący rozdieraniu stawu i wypadaniu ze swych gniazd delikatnego chrzęstnego dysku. Gondorczyk opadł na ziemię, nawet nie krzyknąwszy, tak był zszokowany bólem. Mgnienie oka i, zarzuciwszy na ramię bezwładne ciało, Haradrim drobnymi z powodu pęt kroczkami podążył do krawędzi. Zbiegającą się ze wszystkich stron straż Mbangi wyprzedził o jakieś trzydzieści jardów. Dotarłszy do wymarzonej krawędzi, cisnął swoje brzemie w dół, w lśniącą białą przepaść, i teraz uzbrojony w przejęty miecz, spokojnie czekał na wrogów.

Oczywiście, ani jeden z tych Zachodnich ścierwojadów nie odważył się skrzyżować z nim klingi — po prostu zastrzelili go z łuków. Ale to nie miało już żadnego znaczenia: zginął w boju z bronią w rękę, a to znaczy, że zasłużył sobie na prawo pierwszego rzutu assegaja w zaświatowych polowaniach na lwy. Czym wobec tego jest taki drobiazg, jak trzy rany w brzuch, na tle owej wiecznej rozkoszy?

Haradrimowie zawsze umierają z uśmiechem, a uśmiech ten — jak już zaczęli się domyślać niektórzy przewidujący ludzie — nie wróży krajom Zachodu nic dobrego.

## 34

— Zdechł, ścierwo! — skonstatował z rozczarowaniem płowowłosa drągał, starannie zmiąwszy obcasem palce Mbangi — zero reakcji. Przeniósł swoje nalane krwią oczka na znieruchomiącego z boku Kumaja. — Ale niech mnie powiesz — przrzucił bat z ręki do ręki — jeśli jego kolega nie zapłaci za Erniego swą skórą...

Od pierwszego uderzenia Kumai instynktownie osłonił się łokciem, z ręki ode-rwał się kawałek skóry. Ryknąwszy z bólu, rzucił się na płowowłosego, a wtedy przystąpili do dzieła pozostali czterej... Bito go długo, z rozmysłem i wymyślnie, póki nie wyszło im, że teraz to już nie ma sensu, i tak ofiara straciła przytomność. A co wy sobie myślicie? Ktoś musi poważnie odpowiedzieć za śmierć nadzorcy, no bo jak inaczej?

Tymczasem podszedł dowódca straży, ryknął: „Może już koniec tej zabawy, co?!” i pogonił ich przekleństwami na swoje posterunki — po licho mu dodatkowy truposz w raporcie. Bo to jest tak: jeśli to bydlę kopnie w kalendarz tu, na miej-scu — trzeba będzie wyjaśniać to z naczelnikiem robót, a nie ma nic gorszego! Ale jeśli trochę później, w baraku — wtedy proszę bardzo: „naturalny ubytek” i żadnego gadania... Skinieniem głowy przywołał grupkę jeńców przyglądają-cych się egzekucji z pewnej odległości, i po niedługim czasie Kumai walał się już na przegniłej słomie swej pryczy. Zresztą, każdemu biegłemu człowiekowi wy-starczyłoby jedno spojrzenie na tego półtrupa w zakrwawionych strzępach skóry, by wiedzieć, że nie będzie żył. Należy dodać, że kilka miesięcy temu troll, będąc poważnie ranny w bitwie na Polach Pelennoru, oszukał śmierć, ale na tym chyba jego fart się skończył.

\* \* \*

Kiedy jazda Eomera przerwała obronę Armii Południe i zaczęła się ogólna panika, inżynier drugiego stopnia Kumai został odcięty od swoich nieco na pół-

noc od obozu, na terenie parku maszyn oblężniczych. Wraz z nim znalazło się tu w okrążeniu siedmiu żołnierzy oddziału inżynieryjnego, nad którymi jako najstarszy stopniem musiał przejąć dowodzenie. Nie będąc wielkim znawcą wojennej strategii i taktyki, zrozumiał, że jeszcze kilka minut i cała ta porzucona na los szczęścia technika trafi w ręce wroga. Jedyne, co mu pozostaje, to zniszczyć ją. Zaprowadziwszy twardą ręką porządek w swoim pododdziale (jeden z siedmiu, który bąknął coś w stylu „Ratuj się kto może!”, leżał nieruchomo przy wiązce szturmowych drabin), troll przekonał się, że czego jak czego, ale nafty — chwała Jedynemu! — nie zabraknie. Po minucie jego podwładni krzątali się jak mrówki, polewając paliwem mechanizmy katapult i podstawy wież oblężniczych, a on sam popędził do „bramy” — wyrwy w pierścieniu wozów, otaczających miejsce postoju tego inżynieryjnego zaplecza. Tam właśnie natknął się na przednią straż Rohirrimów.

Konni książęta odnieśli się do pojedynczego Mordorczyka bez należnego szacunku, za co zapłacili i to natychmiast. Kumai uważany był za siłacza, nawet jak na trolla — kiedyś w czasie studenckiego pijaństwa przeszedł po karniszu, niosąc na wyciągniętych rękach fotel z pijanym w trupa Haladdinem, tak więc jako broń wykorzystał nie byle co, a znaleziony przypadkowo dyszel. . . Wycofać się zdążył tylko jeden z jeźdźców — pozostali polegli tam, gdzie ich szyk zderzył się z tym straszliwym młynkiem.

Zresztą Rohirrimów to specjalnie nie skonfundowało. Z gęstniejącego mroku natychmiast wyłoniła się jeszcze szóstka jeźdźców, którzy natychmiast rozsypali się w najeżone kopiami półkole. Kumai usiłował przegrodzić sobą prześwit, odwracając za tylną oś jeden z wozów ale zrozumiał, że nie zdąży, dlatego wycofał się i — starając nie tracić z oczu przeciwników — rzucił przez ramię rozkaz:

— Zapalajcie, żeby was licho!

— Nie nadażamy, panie! — zawołał ktoś z tyłu. — Do wielkich katapult nie możemy się przedostać. . .

— Palcie, co się da! Nie ma co się czaić! Zachodni są w obozie! — ryknął i zaprosił we Wspólnej Mowie gotujących się do ataku Rohirrimów: — No, kto tam się nie boi?! Kto stanie do uczciwej walki z górskim trollem?!

I udało się! Szyk rozsypał się na elementy i po jakiejś sekundzie stanął przed nim rycerz z białym plumażem korneta:

— Jesteś gotów, szlachetny panie?

Kumai chwycił swoją żerdź za środkową część, wykonał błyskawiczny wypad i odkrył Rohirrima o kilka jardów od siebie. Uratowało trolla tylko to, że rohańska klinga okazała się zbyt lekka i nie dała rady przeciąć jego dyszla, na którą przyjął cios. Usiłując zyskać cenne sekundy, inżynier wycofywał się w głąb parku maszynowego, ale nie udało mu się już oderwać od prześladowcy. Kornet był zręczny i szybki jak łasica, a w walce na krótkim dystansie szanse Kumaja z jego nieporęczną bronią były bliskie zeru.

— Podpalać i zwalić w diabły!!! — ponownie wrzasnął, wyraźnie widząc, że jego koniec zbliża się wielkimi krokami.

Tak też się stało: w następnej chwili świat eksplodował białym bólem i troll natychmiast opadł w delikatną chłodną ciemność. Uderzenie korneta dokładnie rozcięło mu hełm i Kumai już nie widział, jak po minucie wszystko dokoła dosłownie rozlało się w morze ognia — jego ludzie zdążyli mimo wszystko wykonać polecenie. . . A po kilku sekundach cofający się przed żarem Rohirrimowie, zobaczyli jak z głębi tego huczącego pieca wychodzi, niepewnie krocząc, ich lekomyślny oficer uginający się pod brzemieniem nieprzytomnego trolla.

— Po jakie lichy, kornecie?

— Ależ powinienem poznać imię tego szlachetnego sira! W końcu jest jeńcem mojej broni. . .

Kumai ocknął się dopiero trzeciego dnia — w rohańskim sanitarnym namiocie, gdzie obok niego leżała trójka jego „chrześniaków”: stepowi książęta nie czynili różnic między swoimi, i obcymi rannymi, i wszystkich leczyli jednakowo. Na nieszczęście, „jednakowo” oznacza w tym przypadku „jednakowo niedobrze”: głowa inżyniera znajdowała się w opłakanym stanie, a z lekarstw dostał mu się przez cały ten pobyt tylko bukłaczek wina, który przyniósł mu jego pogromca, kornet Eorgen. Kornet wyraził nadzieję, że po wyzdrowieniu inżynier drugiego stopnia okaże mu honor i spotkają się raz jeszcze w pojedynku — ale najchętniej jakąś bardziej tradycyjną bronią, nie dyszlem. I oczywiście może siebie uważać za wolnego, przynajmniej w granicach obozu — pod słowem oficera. . . Jednakże po tygodniu Rohirrimowie wyruszyli na wyprawę na Mordor zdobywać dla Aragorna koronę Odrodzonego Królestwa, i tego samego dnia Kumaja wraz z resztą rannych wysłano do kamieniołomu na Mindolluinie: Gondor wszak był już cywilizowanym państwem, nie to co zapyziały Rohan.

Jak udało mu się przeżyć tych kilka pierwszych katorżniczych dni — z rozbitą głową i wstrząsem mózgu, który co jakiś czas ciskał go w odmęty nieświadomości — było całkowitą zagadką. Najprawdopodobniej był to wynik trollijskiego uporu, po prostu chęci uczynienia na złość nadzorcom. Zresztą, nie miał specjalnych złudzeń co do swego losu. Kumai w swoim czasie przeszedł zgodnie z panującą w majątnych trollijskich domach tradycją, cały łańcuszek stanowisk w ojcowej kopalni w Cagancabie — od górnika do pomocnika geometry. Wystarczająco dobrze znał się na organizacji prac wydobywczych, by wiedzieć, iż ekonomiczne wyniki nikogo tu nie interesują. Przywieziono ich tutaj nie dlatego, by przynieść właścicielom kamieniołomu jakiś dochód, a żeby zdechli. Dla mordorskich jeńców ustalono takie proporcje normy wydobywania i wyżywienia, że było to najprawdziwszym „zabijaniem na raty”.

Na trzeci tydzień, kiedy część jeńców już oddała duszę Bogu, a reszta, nic nie mogąc na to poradzić, wciągnęła się jako tako w ten zabójczy rytm, wpadła tu inspekcja elfów.

— Hańba i barbarzyństwo — wydzierali się inspektorzy. — Czyż nie jest jasne, że ci ludzie mogą robić coś więcej niż tylko popychać taczki? Przecież tu jest pełno specjalistów z wielu dziedzin. Wykorzystajcie ich na odpowiednich stanowiskach, do licha!

Gondorskie dowództwo drapało się w zakłopotaniu po głowach — „No tak, poszkapiliśmy się, wasza stepowość!” — i natychmiast urządziło swoisty rejestr mistrzów. W wyniku tego kilkudziesięciu szczęściarzy zmieniło mindolluińskie piekło na pracę w swojej specjalności, na zawsze porzuciwszy kamieniołom. . .

A niech im, Jedyny rozsądzi. . . Kumai w każdym razie nie zamierzał kupować sobie życia, budując dla wroga latające aparaty cięższe od powietrza, gdyż to właśnie było jego specjalnością. Są rzeczy, których robić nie wolno, bo robić nie wolno. I koniec. Ucieczka z Mindolluiny była marzeniem ściętej głowy, a innych możliwości wyrwania się stąd Kumai nie widział. Przy tym zaczynało odgrywać rolę wycieńczenie organizmu i coraz częściej dominowała w jego zachowaniu zwyczajna, głęboka apatia. Trudno powiedzieć, ile jeszcze by pociągnął w takim trybie — może tydzień, a może i pół roku, ale rok, to już raczej nie. Jednakże Mbanga — niech Jedyny ma go w opiece — na koniec swego żywota tak mocno trzasnął drzwiami, że za jednym zamachem rozwiązał wszystkie Kumajowe problemy — raz i na zawsze.

## 35

Pod wieczór do baraku Mordorczyków, gdzie miotał się w spalającej go gorączce inżynier drugiego stopnia, zajrzał nieznajomy: szczupły i szybki w ruchach, a smągła twarz mieszkańca zaanduińskiego południa, była zdecydowana i władcza — najpewniej oficer z umbarskiego kapra, dziwnym zrządzeniem losu ulokowany w Mindolluinie, a nie na rei galery królewskiej floty. Przez minutę stał i patrzył na tę zakrwawioną sieczkę, po której już zupełnie spokojnie, jak po swojej domenie, spacerowały stada tłustych much, i mruknął, do nikogo w szczególności się nie zwracając: „Tak, wygląda, że do rana się upiecze. . .” Potem zniknął, ale po pół godzinie, ku niemałemu zdziwieniu Kumajowych sąsiadów, pojawił się ponownie i zabrał za leczenie. Poleciwszy przytrzymać pacjenta, by się nie miotał, zaczął wcierać prosto w sączące się posoką rany jadownicę żółtą, lepką maść o mocnym zapachu kamfory. Spowodowało to taki ból, że Kumai natychmiast wypadł z płytkiego omdlenia, i gdyby nie był tak wycieńczony, to za diabła koledzy z baraku nie utrzymaliby go. Jednakże Pirat, bo tak nazywali go jeńcy, spokojnie wykonywał swoją pracę i dosłownie po minucie mięśnie rannego rozluźniły się, ciało spłynęło potem, gorączka w oczach zaczęła opadać. Troll zapadł w kamienny sen. Maść miała prawdziwie czarodziejską moc: do rana szramy nie tylko podeschły, ale zaczęły też rozpaczliwie swędzieć — a to jest pewna oznaka zablizniania się. Tylko kilka ran miało oznaki zapalenia — nimi zajął się ponownie, przybyły przed porannym apelem Pirat. Przywrócony do życia Kumał dość ponuro powitał swego zbawiciela:

— Nie chcę wyjść na niewdzięcznika, ale naprawdę nie dałoby się znaleźć lepszego zastosowania dla owego cudownego środka? Co za sens wyciągać z tamtego świata kogoś, kto i tak kieruje się w tamtą stronę?

— Hm. . . Człowiek co jakiś czas powinien popełniać głupstwo, bo inaczej nie będzie człowiekiem. Proszę się odwrócić. Tak. . . Niech pan wytrzyma, inżynierze, zaraz poczuje pan ulgę. Aha, wracając do głupstw. Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale dlaczego został pan w kamieniołomie? Siedziałby pan sobie teraz w Minas Tirith, w królewskich warsztatach, i nie znał goryczy życia powszedniego.

— Zostałem dlatego — prychnął Kumai — że przez całe życie hołdowałem takiej dewizie: „Nie miotaj się pod klientem”...

— I nagle urwał w pół słowa, gdy dotarło do niego: a skąd ten człowiek wie o jego specjalności, skoro nikomu o niej nie opowiadał i starannie ją ukrył w czasie „rejestracji”?

— Godna postawa — zupełnie poważnie skinął głową Pirat. — A najciekawsze, że w danym przypadku jest nawet od strony pragmatycznej prawidłowa. Rozumie pan, jedyna prawidłowa... Przecież wszyscy, którzy wtedy zaczęli się miotać, już nie żyją, a pan — przy minimalnym szczęściu — wkrótce znajdzie się na wolności.

— Są martwi? Skąd pan wie?

— Stąd, że sam ich zakopywałem. Ja, jeśli mogę się pochwalić, bawię w tu-tejszym oddziale pogrzebowym.

Kumai milczał przez kilka minut, trawiąc wieści. Najstraszniejsze, że pierwszą jego myślą było: „I słusznie!” A potem: „Boże mój, kim tu się stałem...” Tak więc nie dotarło do niego od razu, co mówi Pirat:

— Jednym słowem dokonał pan słusznego wyboru, mechaniku Kumai. Oczywiście, jak pan widzi, nie zapomniała o panu i podjęła specjalną operację ku pańskiemu uwolnieniu. Jestem jednym z uczestników tej operacji.

— Jak to? — Słowa zbawcy wytrąciły go do końca z równowagi. — Jaka ojczyzna?

— A co? Ma ich pan kilka?

— Pan zwariował! Czy naprawdę ktoś jest gotów poświęcić wielu ludzi, żeby wyciągnąć stąd mnie?

— Wykonujemy rozkaz — sucho odparował Pirat — i nie nam sądzić, co jest ważniejsze dla Mordoru: przez lata tworzona siatka szpiegowska, czy pewien inżynier drugiego stopnia.

— Proszę mi wybaczyć... A przy okazji, jakoś do tej pory nie zainteresowałem się, jak brzmi pana imię.

— I słusznie pan uczynił. Nie jest ono panu do niczego potrzebne. Ucieczka zacznie się dosłownie za kilka minut, i jakkolwiek będzie jej koniec, my i tak się już nie spotkamy.

— Za kilka minut?! Proszę mnie posłuchać, czuję się lepiej, ale nie na tyle, żeby... Ciekawe, jak przejdę przez strefę straży zewnętrznej?

— Jako trup, ma się rozumieć. Ja, o ile pan pamięta, służę w oddziale pogrzebowym. Proszę się nie martwić, nie pan pierwszy i — odstukać w drewno — nie ostatni...

— Więc mówi pan, że ci wszyscy, którzy się wtedy...

— Niestety! Akurat w tym elemencie obozowego życia wszystko odbyło się na serio. To robota elfów, tak wszystko zaplanowali, i nic nam się nie udało zdziałać... Krótko mówiąc, wypije pan teraz ten preparat i „umrze” mniej więcej na



dwanaście godzin. Nie sądzę, by po wczorajszym incydencie pańska śmierć wywołała jakieś pytania. Reszta to detale, które pana nie dotyczą. . .

— Jak to „nie dotyczą”?

— Bardzo prosto. Zalecam dopełnienie pańskiego kreda „Nie miotaj się pod klientem” jeszcze takim: „Mniej wiesz — spokojniej śpisz”. Co powinien pan wiedzieć, stanie się jasne w odpowiednim czasie. Proszę pić, Kumai. Czas jest drogi.

Napój z flakonika podziałał szybko, dosłownie w kilka sekund; ostatnia rzecz, jaką widział to smagłe oblicze Pirata z mnóstwem małych blizn dokoła ust.

O tym, co się działo potem z jego „trupem” — tętno: sześć uderzeń na minutę, brak reakcji — Kumai nigdy się nie dowiedział. Zresztą, po co miał wiedzieć, że więziony był w trupowiezie pod stertą innych ciał, a potem leżał, czekając na transport w sąsiednim, porzuconym wyrobisku, przysypany warstwą żwiru? Ocknął się w całkowitych ciemnościach. Wszystko się zgadza, jeśli Pirat nie nałgał o „godzinie dwunastej”, teraz powinna być noc. Gdzie on jest? Sądząc po zapachu, w jakimś chlewie. . . Ale wystarczyło, by się poruszył, kiedy obok rozległ się nieznamy głos, w którym ledwo dało się uchwycić jakiś obcy akcent:

— Gratuluje udanej podróży, inżynierze drugiego stopnia! Może się pan rozluźnić, droga jeszcze przed panem niekrótka, ale największe niebezpieczeństwa — tfu-tfu-tfu! — za nami.

— Dziękuję, eee. . .

— Nadintendent. Po prostu — nadintendent.

— Dziękuję, nadintendencie. Ten człowiek, z kamieniołomu. . .

— Wszystko z nim w porządku. Więcej pan wiedzieć nie musi.

— Można mu przekazać moje podziękowanie?

— Nie sądzę. Ale zamelduję o pańskiej prośbie.

— Można zadać pytanie?

— Można.

— Czy ode mnie będzie się wymagało, bym tworzył nowe typy broni?

— Oczywiście.

— Ależ ja jestem specjalistą w zupełnie innej dziedzinie!

— Czyżby pan chciał pouczać dowództwo, inżynierze drugiego stopnia?

— Wcale nie. — Milczał chwilę. — Po prostu nie jestem pewien. . .

— Ale dowództwo jest pewne. W końcu — w głosie nadintendenta pojawiły się cieplejsze nutki — nie będzie pan pracował samotnie. Tam jest cała grupa. Dowodzi wami Dżaheddin.

— Ten Dżaheddin?

— On właśnie.

— Niekiepsko. . .

„Nie, to ma swoje uroki — o niczym nie myśleć, spokojnie robić, co ci każą. . .”

— Reasumując — proszę leżeć i wypoczywać. Gdyby nie ta idiotyczna historia z nadzorczą moglibyśmy ruszać nawet zaraz, a tak przyjdzie nam trochę poczekać.

— Wie pan co, żeby wrócić do domu, do Mordoru, wystarczy mi sił i zdrowia nawet teraz...

— A kto panu powiedział — uśmiechnął się niewidoczny rozmówca — że kieruje się pan do Mordoru?

— To znaczy... jak...

— A tak, bardzo prosto. Przecież pana przez cały czas szukają — w każdym razie przewidujemy taką możliwość — elfy. Jak się przekonaliśmy, serio traktują swoje plany... A pan, nawiasem mówiąc, ma nie ukrywać się, a pracować, to ogromna różnica.

— Dobrze, ale gdzie?

— Proszę pomyśleć. Gdzie najlepiej ukryć łup? Na strychu policjanta. Gdzie jest najciemniej? Pod kandelabrem. Chwyta pan?

— Chce pan powiedzieć... — wolno powiedział Kumai, czując nagle chłód w dołku, ponieważ wszystkie fragmenty jego wspaniałej historii z zuchwałą ucieczką zaczynały nieubłaganie układać się w zupełnie inną mozaikę, nazwa której brzmi: inscenizacja. — Chce pan powiedzieć, że zostanie tu, w Gondorze?

— Nie. Tak naprawdę to byłoby kuszące i w normalnych czasach nawet nie tak bardzo złożone. Przeważkowaliśmy i ten wariant, ale musieliśmy z niego zrezygnować... Chodzi o to, że w Minas Tirith toczy się obecnie poważna walka między Królem i Królową. Oboje mają swoje sekretne służby, które bez przerwy szpiegują siebie wzajemnie, i w sferę zainteresowania tych zuchów można wpaść przypadkowo i z byle powodu. Tak więc okolica jest niestety dla nas zamknięta. Ale na Gondorze i Mordorze świat się nie kończy... A tak przy okazji, gdyby chciało pana wykorzystać Odrodzone Królestwo, to ich ludzie pewnie wystaliby pana do pracy w Mordorze. Armia i kontrwywiad zwycięzcy na pewno potrafiłby stworzyć dla pana taką „kryształową wieżę”, że palce lizać. Zgadza się pan?

Przez kilka sekund panowała cisza.

— Diabli! Czy naprawdę tak wszystko jest wypisane na mojej twarzy?

— Nie wątpię — choć twarzy pańskiej nie widzę z powodu ciemności. Słowem, proszę lepiej zostawić te dywagacje specjalistom i zająć się tym, co jest pana domeną, dobrze?

— Proszę przyjąć moje przeprosiny, nadintendencie.

— Nie ma za co. A skoro już o tym mówimy... Ludzie, z którymi przyjdzie panu pracować, trafili na ten „uniwersytet” różnymi drogami. Wielu z nich to wasi dobrzy znajomi. Może pan z nimi wspominać minione studenckie pijaństwa, obecne komunikaty Ruchu Oporu, filozoficzne obrazy świata — wszystko, co panu w duszy gra, prócz jednego: historii pańskiego tam pojawienia się. Gadanie na ten temat może kosztować życie wielu ludzi: i moich współpracowników, jak ten

nasz wspólny znajomy z Mindolluiny, i pańskich kolegów znajdujących się jeszcze w ręku wroga. Mówię to zupełnie poważnie i z absolutną odpowiedzialnością za słowa. Czy to jest dla pana jasne, inżynierze drugiego stopnia?

— Tak jest, nadintendencie.

— No i świetnie. Jednym słowem, niech pan szybko dochodzi do zdrowia i w drogę.

\* \* \*

— Gratuluje, Ichneumonie. — Gepard wyprostował się w fotelu i przyjrzał stojącemu „na bacność” porucznikowi Tajnej Straży. — Zapoznałem się z pańskim raportem podsumowującym operację „Kpiarz”. Sześciu uratowanych — wspaniale. W imieniu służby wyrażam swoje podziękowanie!

— Sługa Jego Królewskiej Mości!

— Spocznijcie, poruczniku. Proszę siadać — nie jesteśmy na placu defiladowym. . . Rozumiem, że pańskie odejście z Mindolluiny odbyło się w trybie awaryjnym.

— Tak jest. Ten ostatni człowiek, którego prowadziłem, inżynier Kumai, trzydziesty szósty numer na naszej liście, konstruktor „mechanicznych smoków”, dosłownie dzień przed ucieczką wpadł w idiotyczną historię. Tamtejsi przodownicy pracy zrobili z niego kawałek farszu, i musiałem go w krótkim terminie doprowadzić do porządku. Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili wydawało mi się, że nie ma co leczyć. . . W końcu udało mi się go wyciągnąć, ale sam się „zaświeciłem” na wylot, kablarze zameldowali dowództwu i. . . Jednym słowem, pańscy ludzie z grupy asekuracyjnej, zdążyli w najlepszym z możliwych momencie.

— Na czas — mruknął Gepard i z wyraźnym obrzydzeniem obejrzał obskurny pokój konspiracyjnego mieszkania. — W najlepszym momencie. Dwa trupy, trzech rannych, cała tajna służba Jej Królewskiej Mości staje na głowie. Szukają „morskiego” szpiega, smagłego mężczyznę z drobniutkimi bliznami dokoła ust. A policja. . . Ta z kolei, chwyta zbiegłego katorżnika z takimi samymi znakami szczególnymi. . . Tak sobie myślę, najwyższy czas, zmienić klimat. Pakuj się, czeka cię praca na Południu, w Umbarze.

— Tak jest, panie kapitanie!

— Masz dossier. Zapoznaj się. Baron Tangorn, przed wojną był umbarskim rezydentem Faramira. Są podstawy sądzić, że jest w tej chwili zajęty tym samym, co i my: wyszukuje mordorskich specjalistów i dokumentację dla swego księcia. Według niektórych przymiarek, powinien w najbliższym czasie pojawić się w Umbarze. Twoim zadaniem jest przechwycić Tangorna i wycedzić z nie-

go informację o tym pomysle Ithilienczyków. Jego Królewska Mość przykłada szczególną wagę do tej operacji.

— Czy podczas wyciągania zeń informacji mogę potraktować go... twardo?

— Inaczej się nie da: sądząc z tego dossier, baron nie należy do tych, którzy kupują sobie życie kosztem powierzonych mu tajemnic. Zresztą, po przesłuchaniu i tak trzeba będzie go zlikwidować. Przecież formalnie jesteśmy w sojuszu z Ithilien, tak więc ta historia nie powinna wypłynąć na zewnątrz.

— W jakim charakterze baron przybędzie do Umbaru? Oficjalnie czy...

— Raczej „czy”. Masz jedną przewagę: Tangorn, jak mi się wydaje, na razie nie wie, że na niego polujemy. Nie wykluczam, że przynajmniej na początku będzie najzupełniej legalnie mieszkać w jednym z tamtejszych hoteli, i wtedy ujęcie go nie sprawi żadnego kłopotu. Ale baron to bestia kuta na cztery nogi: wyczuwszy coś, zniknie w tym mieście jak żaba na dnie stawu.

— Jasne. Będę działał samodzielnie, w pojedynkę?

— Samodzielnie, ale nie w pojedynkę. Przydzielam ci trzech kaprali — wybierzesz ich sobie sam, z naszych. Jeśli znajdziesz go od razu, to tych sił powinno ci wystarczyć aż nadto. Ale jeśli go spłoszycie...

— To się nie może stać, panie kapitanie!

— Stać się może wszystko, i każdemu — rzucił z rozdrażnieniem Gepard, bezwiednie rzucając krótkie spojrzenie na swoją nogę. — Tak więc, prowadząc poszukiwania w mieście nie masz prawa zwracać się o pomoc do tamtejszej siatki, choć może i szkoda, gdyż mają tam od licha pracowników i, co najważniejsze, wspaniałe kontakty w miejscowej policji.

— Mogę wiedzieć, dlaczego?

— Dlatego, że dysponujemy danymi, że w Umbarze aktywnie działają elfy i istnieje mocne proelfickie podziemie. Lorien pod żadnym pozorem nie może się dowiedzieć o naszej operacji — to najsurowszy rozkaz — a ja obawiam się przecieków: naszych strasznie tam brakuje, i w umbarskiej siatce, niestety, pracują wyłącznie ludzie... — Gepard zamilkł na chwilę i jakimś dziwnie powszednim tonem zakończył: — Na wszelki wypadek dostaniesz mandat z sygnaturą „RUN”.

Ichneumon podniósł oczy na kapitana, jakby czekając na potwierdzenie tego, co usłyszał. Teraz wreszcie wiedział, co oznaczają słowa: „Jego Królewska Mość przykłada szczególną wagę do tej operacji...” Mandat z sygnaturą „RUN” pozwala pracownikowi Tajnej Straży działać „w imieniu Króla”. Podczas zagranicznych operacji przydaje się to w dwóch przypadkach: pozwala wydać bezpośredni rozkaz konsulowi i odsunąć go od stanowiska, lub wykonać na miejscu egzekucję szefa regionalnej siatki...

# CZEŚĆ TRZECIA

## Umbariski gambit

*„W jednej trzeciej żołnierz, w jednej trzeciej policjant i w jednej trzeciej przestępca” — jak mawiał o sobie ten człowiek, należący do legendarnego pokolenia swego zawodu. Polował na komunistów na Malajach, mau-mau w Kenii, na Żydów w Palestynie, na Arabów w Adenie i na Irlandczyków — zawsze i wszędzie.*

J. Le Carre

**Umbar, Rybi Targ  
2 czerwca 3019 roku**

Krewetki były wspaniałe. Rozmieszczono je na cynowym półmisku, niczym gotowe do boju triery na mętnej porannej powierzchni zatoki Barangar: kłujące rostra w płataninie wąsików-olinowania groźnie skierowane na wroga, łapki-wiosła podciągnięte pod korpus, jak przed abordażem. Pół tuzina na porcję — więcej chyba się nie da — zaiste „królewskie”, ledwie mieszczące się na dłoni. Do tego ostry sok, obiecujący niepowtarzalne uzupełnienie lekko słodkawego, różowawego mięsa, piekł już w odzwyczajone od tego przysmaku wargi i koniuszki palców. Tangorn rzucił spojrzenie na czekającą swej kolejki tacę z dużymi, pieczonymi na węglach ostrygami: omszałe stożkowe kamienie popękały w kilku miejscach od gorąca, odrobinę wstydliwie prezentując swą zawartość. Było w tym coś czarującego i odrobinę nieprzyzwoitego. Nie, jednak nigdzie w świecie nie potrafią tak przygotowywać morskich dań, jak w małych lokalach dokoła Rybiego Targu — gdzie tam do nich komfortowym restauracjom z nadbrzeża Trzech Gwiazd! Szkoda, że nie można zamówić trepangów: jeszcze nie sezon. . . Westchnął i ponownie zabrał się za ociekającą gorącym korzennym sosem krewetkę, z roztargnieniem wsłuchując się w paplaninę swego towarzysza konsumpcji.

— I proszę nie przeczyć, baronie. Wasz kraj to malutki, ale mający przesadne o sobie mniemanie półwysep na północnym zachodzie oikumeny. Zasiedlają go klasyczni paranoicy, którzy wbili sobie do głowy, że cały pozostały świat śpi i marzy przez sen jak by tu was podbić i zniewolić. A komu, proszę mi powiedzieć potrzebne są wasze wątle lasy osikowe wybrukowane muchomorami, nie topniejące przez połowę roku śniegi i ten bury pienisty kwas który pijecie zamiast normalnego wina?

Nie to, że gadanina tego chłystka w jakiś sposób dotykała patriotycznych uczuć Tangorna, szczególnie, że większość z tego było prawdą, po prostu w ustach wysokopostawionego pracownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Umbar takie słowa brzmiały dość dziwnie. Szczególnie, jeśli się uwzględni, że to on wykazał się inicjatywą w organizacji tego spotkania. . . Baron niespecjalnie

zdziwił się, kiedy dzisiejszego ranka właściciel jego ulubionego hotelu „Szczęśliwa kotwica” z odpowiednią dozą służalczości wręczył swojemu stałemu gościowi kopertę, niemal całkowicie oblepioną rządowymi pieczęciami. Cóż, minęły już trzy dni od czasu kiedy pojawił się w Umbarze, gdzie na pewno pozostawił po sobie — jak by to delikatnie powiedzieć? — niejednoznaczne w treści i na pewno wyraziste wspomnienia. Zupełnie naturalne w takiej sytuacji jest, że sekretarz stanu Gagano, na ustną prośbę szefa Sekcji Północnej Zarządu MSZ Alkabira, poprosił ithilińskiego gościa o konfidencjonalne spotkanie. A w wyniku tego Tangorn już od kwadransa „wnika” w chamskie wypowiedzi tego bałwana. „Stop! — powiedział sobie. — A czy na pewno taki z niego bałwan, na jakiego stara się wyjść? Zaraz, wycacajmy jego odporność... co by tu, takiego... niewinnego?”

— „Malutki, ale mający przesadne o sobie mniemanie półwysep” — to nie-  
źle powiedziane — przyznał baron. — Ale ostatni punkt, o „burem kwasie” zamierzam obalić. Nie uwierzy pan, ale pół minuty temu pomyślałem sobie: „Ech, żeby tak do tych krewetek kilka pint naszego dobrego bittera! Żeby był czarny i gorzki, jak dziegieć, a piana tak zwarta, że mogłaby utrzymać na sobie drobną monetę...” — Uśmiechnął się marzycielsko i obdarzył rozmówcę gestem przepełnionym zmęczonym protekcjonalizmem. — Pan po prostu nie wyobraża sobie, panie sekretarzu stanu, co to znaczy prawdziwy gondorski bitter. Po jednym łyku, tym najdłuższym, na języku pozostaje posmak dymu. Wie pan, jak w parku, kiedy na wiosnę palą ubiegłoroczne bukowe liście. Nie darmo nazywa się go też „wędzonym piwem”.

Pan sekretarz stanu odpowiedział, że na gatunkach piwa zna się nie gorzej od aborygenów (w końcu nie pierwszy rok pracuje w Sekcji Północnej), równie dobrze jak na gatunkach foczego tranu, tak lubianego przez Lossothów z wybrzeży Lodowej Zatoki.

Mhm. Nie pierwszy rok, w Sekcji Północnej... Można, oczywiście, gardzić do woli obcymi, ale po co tak otwarcie demonstrować swoje pogardliwe odczucia? A to, że otrzymywane za pomocą archaicznej metody górnego brodzenia bittery i stauty od stu chyba lat nie produkuje się już nigdzie poza Eriadorem, i że słynne shireskie wędzone piwo, to wcale nie bitter, a lager, tylko słód jest karmelizowany w szczególny sposób... Ależ nie, zawodowiec po prostu nie ma prawa nie wiedzieć takich rzeczy o kraju, z którym pracuje! Niech pan sobie myśli co chce, ale dziwnych dziś ma pracowników tak przecież mądry i dokładny Alkabir...

Tak więc, po co odbyło się to spotkanie? Wersja pierwsza: żeby po prostu wyciągnąć go z pokoju, by bez przeszkód poszperać w bagażach, poszukując notatek, listów uwierzytelniających i tym podobnych. No, taka taniocha byłaby co najwyżej w stylu tępotnych miedziaków z gondorskiej siatki — umbarska tajna służba, jaką ją pamiętał z ubiegłych lat, działa znacznie, znacznie bardziej finezyjnie... Wariant drugi: Alkabir w imieniu MSZ komunikuje, że Republika zdradziła swą wielowiekową tradycję tymczasowych aliansów i balansowa-

nia między różnowektorowymi siłami. Postanowiła skapitulować przed najsilniejszym — to znaczy przed Gondorem — i demonstracyjnie odżegna się od wszelkich kontaktów z ithilińskim emisariuszem, za którego go rzecz jasna uważają. Wariant trzeci — najbardziej prawdopodobny: Alkabir daje mu do zrozumienia, że choć Republika rzeczywiście zdradziła wielowiekową tradycję, to są w niej potężne siły, nie zgadzające się z tą decyzją. Tak więc „ithiliński emisariusz” powinien mieć do czynienia właśnie z nimi, a nie z MSZ i innymi oficjalnymi instancjami, jakie reprezentuje nabzdyczony niedorozwinięty Gagano. Najważniejsze, że w dowolnym wariacie nie ma sensu pchać się w gabinety Błękitnego Pałacu, wymachując swymi pełnomocnictwami. Nawet gdyby takowe posiadał. . .

W tym miejscu Tangorn opanował atak śmiechu, ledwo się powstrzymał: „To znaczy, że ja nie wierzę, iż Alkabir bez namysłu wysłał na spotkanie ze mną tego bubka Gagano, a Alkabir nie wierzy, w moją emeryturę i brak pełnomocnictw od Faramira. Powstałe na podstawie tych całkowicie dowolnie wybranych przesłanek obrazy są wewnętrznie sprzeczne, a niezupełnie wiadomo, jakiego rodzaju fakty mogłyby nas przekonać. . .”

— Co tak pana rozśmieszyło, baronie? — zapytał nadęty sekretarz stanu.

— Ach, takie tam. . . Przyszła mi do głowy pewna konstrukcja logiczna. . . Ale, ale! Zagadaliśmy się, a pan zapewne musi już wracać do urzędu — skromny wędrowiec, jak ja, nie powinien na długi czas odciągać od poważnych spraw tak odpowiedzialne osoby. Z całego serca dziękuję za bardzo konstruktywną rozmowę. Jeśli nie sprawi to panu trudności proszę, ale dosłownie i bez upiększeń, przekazać Alkabirowi następującą rzecz. . . Proszę powiedzieć, że całkowicie doceniłem jego decyzję delegowania na rozmowę ze mną właśnie sekretarza stanu Gagano, ale chłopcy, którzy siedzą na Nadmorskiej 12, są zbyt prostacy i obawiam się, że nie doceniają takich subtelności. . .

Nagle Tangorn zamilkł, ponieważ słysząc adres konsulatu Gondoru jego rozmówca jak zaszczuty rozejrzał się na boki. Wyglądał wręcz jakby spodziewał się zobaczyć przy najbliższym stoliku dwóch, albo trzech współpracowników Tajnej Straży Jego Królewskiej Mości w czarnych paradnych mundurach, rozkładających na obrusie swoje narzędzia do tortur. Poderwał się i, mamrocząc jakieś przeprosiny, podążył do wyjścia. Siedzący obok nich samotny dżentelmen o wyglądzie kupca, treściwie rozkoszujący się kawiozem jeża morskiego, popatrzył na barona i na obliczu jego zmieszały się — w zupełnie naturalnych dla takiego przypadku proporcjach — zaskoczenie, zdumienie i strach. Tangorn w odpowiedzi uśmiechnął się i, skinąwszy głową w stronę uciekającego sekretarza stanu, szczerze wzruszył ramionami i pokręcił palcem przy skroni. Następnie przysunął do siebie półmisek z nieco wystygłymi ostrygami — co się mają marnować! — i wyrobionym ruchem wyjął mięczaka z jego fortecy, po czym pograżył się w rozmyślaniach.



\* \* \*

Spora willa na ulicy Nadmorskiej, gdzie od niedawna znajdował się konsul lat Odrodzonego Królestwa, a właściwie — „Umbariski terytorialny departament Tajnej Straży”, zasłużenie cieszyła się wśród mieszkańców miasta najgorszą reputacją. Mająca się odbyć w niedługim czasie aneksja Umbaru była już dla Minas Tirith sprawą przesądzoną, określano go teraz wyłącznie jako „piracką zatokę na odwiecznych ziemiach południowego Gondoru”. Konsul bez specjalnych ceregieli przygotowywał się do wykonywania obowiązków Namiestnika, a ludzie z gondorskiej rezydentury już teraz zachowywali się w mieście jak gospodarze. Nie wiadomo dlaczego nazywali siebie „wywiadowcami”, choć w rzeczywistości byli najzwyczajniejszymi łebkami od mokrej roboty. Tangorn spoglądał na to towarzystwo z uczuciami podobnymi do tych, jakie towarzyszą szlachetnemu bandycie z klasycznej szkoły, patrzącemu na stado małych chuliganów. Zniknięcia ludzi i wypływające w kanałach ciała ze śladami tortur stały się w ostatnim czasie rzeczą zwyczajną. Do tej pory Umbarczycy mogli się pocieszać tym, że te okropne rzeczy dotyczą przede wszystkim emigrantów z Mordoru, jednakże niedawny zamach na słynnego admirała Carnero rozwiął i te iluzje.

Jednym słowem, konsulat Aragorna to firma co się zowie, bez dwóch zdań, ale żeby samo jej wspomnienie wywołało taką panikę u poważnego urzędnika państwowego i to podczas wykonywania obowiązków służbowych... „Coś tu cuchnie. Chyba, że... Chyba, że ten tchórz sam pracuje dla Gondoru! Aha, może ze strachu wydało mu się, że go zdemaskowałem i zamierzam przekazać. Ale mi się żarcik udał. Zaiste, głupi to ma szczęście... A ludzie Aragorna mają nerwy zupełnie do bani. Ciekawe, tak przy okazji, komu można przekazać zdrajcę w tym mieście, gdzie policja jest wykupiona cała z flakami, albo zastraszona tak, że drżą jej kolana, a gondorski rząd, gdyby chciał mógłby już wysłać urzędowe polecenia urzędnikom rządowej administracji Umbaru? Co prawda, istnieje tu jeszcze tajna służba i wojskowi, ale ci, co jest zupełnie dziwne, zachowują się tak, jakby to wszystko ich nie dotyczyło... Zresztą, diabli z nim, z tym Gagano. Mam teraz swoich problemów powyżej uszu! Dość, że moja skromna osoba już niechcący wzbudziła zainteresowanie siatki Gondoru”.

„No bo — zastanawiał się, sącząc jakoś dziwnie niesmaczne już wino — dlaczego wszyscy uważają, że przywozłem ze sobą zaszyte w kalesonach patenty nadzwyczajnego i pełnomocnego posła księstwa Ithilien z propozycjami obronnego sojuszu? Dobra, niech będzie — współplemieńcy na razie mnie tylko ostrzegają: „Nie pakuj się, przyjacielu, w oficjalne kontakty z władzami Republiki, nie należy!” Cóż, takiego ostrzeżenia gotów jestem wysłuchać i przestrzegać święcie, gdyż to zupełnie nie przeczy moim planom. Ale zabawnie by było — diabli! —

podać do wiadomości publicznej, prawdę i tylko prawdę: „Zrozumcie, chłopcy, ja naprawdę nie zamierzam w żaden sposób pakować się w tę waszą gondorsko-umbarską kaszę! Mam zupełnie inne zadanie: muszę w ciągu trzech tygodni doprowadzić do poważnego kontaktu z konspiracyjnymi strukturami elfów, nie wiedząc o nich niczego, poza jednym jedynym imieniem z przechwyconego przez nas listu Eloara — Elandar””.

Tangorn dopił wino, cisnął na stół swoją ostatnią umbarską monetkę z dumnym profilem Castamira i, lekko kulejąc, skierował się do wyjścia. Sharha-Rana podał im namiary na kilka rezerwowych skrytek, ale Tangorn unikał płacenia złotymi mordorskimi dunganami. Miłośnik morskich jeży również zakończył posiłek i niespiesznie wytarł serwetką najpierw palce, a potem wargi — cienkie i jakby pomarszczone przez mnóstwo malutkich blizn. Sygnał „Uwaga!” Przy stoliku pod drzwiami rozlokowało się trzyosobowe towarzystwo marynarzy, z namaszczaniem pochłaniających zupę z małży. Ten z prawej niedbale odsunął na brzeg stołu butelkę barangarskiego: „Gotowi!” Tangorn powinien dojść do drzwi tawerny za jakieś sześć do siedmiu sekund, a przez tych właśnie kilka sekund porucznik Tajnej Straży Ichneumon musiał podjąć decyzję: czy improwizować i brać barona już teraz, czy działać według pierwotnego, starannie przemyślanego planu. Ale kto mógł wiedzieć, że jego agent Gagano tak głupio pęknie?

A miał tylko i wyłącznie mgliście napomknąć Tangornowi w imieniu umbarskiego MSZ-u o niestosowności oficjalnej jego akredytacji — porywanie dyplomaty obcego, choć jakby sojuszniczego państwa wcale się porucznikowi nie uśmiechało — i z tym zadaniem sekretarz stanu poradził sobie całkiem dobrze. Niestety, ten tchórzliwy typ zwerbowany był również za pomocą malutkiego szantażu, tak więc żądanie Ichneumona utrzymania spotkania w tajemnicy przed swoim stałym kuratorem wprowadziło Umbarczyka w straszliwe przerażenie. Znacomiecie rozumiał, że na ulicy Nadmorskiej takie „zapominalstwo” uznane będzie za dwulicowość, ze wszystkimi z tego wynikającymi konsekwencjami. Gagano bał się panicznie swoich gondorskich władców i w wyniku celnej riposty barona po prostu rozsypał się na kawałki. . .

„Nie — powiedział do siebie Ichneumon — nie ma co się szarpać. Nie stało się nic, czego by się nie dało naprawić. Baron oczywiście zrozumiał, że jego rozmówca związany jest z wywiadem Gondoru, ale niemal na pewno dojrzy w tym dążenie Minas Tirith do ukrócenia Emyrn Arnen. . . Dobra, decydujemy: niech idzie, działamy według planu wyjściowego”. Porucznik schował serwetkę do kieszeni — zamiast cisnąć ją na stół — i Tangorn bez przeszkód minął marynarską kompanię przy wejściu. Zmieszał się z ulicznym tłumem i niespiesznie skierował w stronę nadbrzeży. Dwukrotnie sprawdzał, ale obecności „ogona” nie stwierdził.

Naprawdę go nie było: Ichneumon uznał, że najważniejsze to nie spłoszyć teraz niechący podopiecznego. Za kilka godzin przygotowanie operacji będzie za-

kończone całkowicie. Ostatni ruch — otrzymają do swej dyspozycji kilka kompletów prawdziwych umbarskich mundurów policyjnych. Dziś wieczorem w „Szczęśliwej kotwicy” zjawi się po Tangorna patrol policji; okażą nakaz i poproszą go, by udał się z nimi na posterunek w celu złożenia zeznań. . . A potem dołożą starań, by baron nie zmarł wcześniej, niż wyłoży wszystko o sukcesach ithilieńskiej służby wywiadowczej w jej polowaniu na mordorskie technologie.

## 37

Nikt zapewne nie wie, kiedy ludzie zaczęli osiedlać się na tym wydłużonym górzystym półwyspie i na błotnistych wyspach zamkniętej przezeń laguny. W każdym razie, jeśli mieszkańcy Odrodzonego Królestwa wymawiają „Numenor” z obowiązkowym przydechem, wywracaniem oczu i unoszeniem w kierunku nieba wskazującego palca, to Umbarczycy zupełnie szczerze drapią się po głowach: „Jak, jak? Numenorczycy? A czy ja mogę spamiętać wszystkich barbarzyńców? Wiecie ile ich tu przez nas się przewaliło?” Los Umbaru, jako wielkiego morskiego mocarstwa określiły dwie okoliczności: wspaniała zamknięta zatoka i fakt, że najwyższy punkt ma wysokość 5.356 stóp nad poziomem morza — jedyne prawdziwe góry na całym wybrzeżu od ujścia Anduiny. Na tych wysuszonych szerokościach słowo „góry” oznaczało „las”, „las” znaczyło „statki”, a „statki” — „morski handel”, który to handel w naturalny sposób wiąże się z kaperstwem i — po co ta obłuda! — z jawnym piractwem. Plus fantastycznie wygodne rozmieszczenie na styku wszystkiego, co się dało: prawdziwe skrzyżowanie Świata. Idealna baza przeładunkowa i docelowy punkt wszystkich karawan z krajów Wschodu.

Zwarta linia umocnień na przesmyku Chewelgar, łączącym półwysp z kontynentem, i wspaniała wojenna flota, gwarantująca niepowodzenie wrogich desantów sprawiały, że Umbar wydawał się być całkowicie niepodatny na podboje; tym dziwniejsze więc było to, że w ciągu swojej historii podbijany był przez każdego, kto tylko tego chciał. Dokładniej — Umbarczycy, nie dopuszczając do grzechu walki, uznawali nad sobą protektorat odpowiedniego kontynentalnego mocarstwa i płacili mu daninę, rozumnie uważając, że wojna — nawet zwycięska — będzie kosztowała ich handlowy kraj znacznie więcej. Ich sytuację można przyrównać do położenia przedsiębiorcy, który bez najmniejszej przyjemności, ale spokojnie odlicza reketierowi monety za „ochronę”, wliczając te sumy w koszt pozyskania towaru. Jest mu dokładnie wszystko jedno, do którego z przestępczych ugrupowań należy jego „protektor”, ważne tylko, by kolesie nie wszczynali strzelaniny z automatów na tle lustrzanych witryn jego lokalu.

Na kontynencie olbrzymie bitwy przeplatały się z wielomiesięcznymi oblężeniami, a sławni królowie, wiecznie zatroskani zajmowaniem kolejnych ziem,

zamiast zająć się sensownym gospodarzeniem na tych, już posiadanych, kolejny raz dekapitowali swoich ministrów skarbu, którzy nabrali głupiego obyczaju przerywania wzniesłego lotu myśli koronowanej głowy swoimi nikczemnymi:

„Skarbiec pusty, sir, a żołd armii nie był wypłacany od ubiegłego wrześnie!” Jednym słowem życie toczyło się raźnie. Umbarczycy tymczasem, siedząc za swymi chewelgarskimi umocnieniami, zabudowywali grząskie wyspy, łączyli je w całość systemem tam i mostów, a potem przecinali kanałami. Megapolis wznoszące się prosto z lazurowych wód laguny sprawiedliwie uważano za jedno z piękniejszych miast Śródziemia. Kapitały kupców były niezmierzone, tak więc słynni architekci i rzeźbiarze czwarty wiek pod rząd trudzili się tu bez przerwy.

Przez ostatnie trzysta lat Umbar stał się tak mocny, że uznał za przesadę płacenie okupu komukolwiek. Nie mając sobie równych na morzach, przeszedł do taktyki czasowych obronnych sojuszy — a to z Mordorem przeciwko Gondorowi, a to z Gondorem przeciwko Mordorowi, a to z Khandem przeciwko obu. Jednakże w ostatnim roku sytuacja mocno się zmieniła. Mordor przestał istnieć — nie bez pomocy Umbaru, który w decydującej chwili przekazał Aragornowi flotę desantową, by raz i na zawsze pozbyć się konkurenta w handlu karawanowym; Khand, rozdarty wojną religijną, stracił całkowity wpływ na przybrzeżne obszary, a z południa nadchodziła nowa siła, z którą, wszystko na to wskazywało, nie da się plotkować przy herbatce — Haradrimowie. W sumie wybór Republika miała mizerny — między południowymi dzikusami i północnymi barbarzyńcami. Senat wybrał tych ostatnich, mają nadzieję, że haradrimski najazd odsuną miecze Aragorna, choć jasne było jak słońce, że tym razem opłatą za sojusz będzie bezpośrednia okupacja przez „wielkiego północnego sąsiada”. Tak więc znajdowali się tu i tacy, którzy uważali umbarską niezawisłość i swobody obywatelskie za wystarczająco godne, by położyć na drugiej szali własne życie i bronić je orężem.

Większość obywateli jednakże o tych smutnych rzeczach nie myślała, albo przynajmniej starannie odganiała od siebie podobnego typu myśli. Wesoły kosmopolityczny Umbar z jego prostymi i po „naszemu” sprzedajnymi władzami prowadził zwyczajne życie „głównego skrzyżowania Świata”. Tu działały świątynie wszystkich trzech światowych i wielu miejscowych religii, a kupiec z dowolnego kraju, zrobiwszy interes, mógł uczcić go w restauracyjce ze specjałami rodzimej kuchni. Tu gromadzili, wymieniali i kradli informacje dyplomaci oraz szpiedzy z takich krajów, o których w Odrodzonym Królestwie nawet nie słyszano, a gdzie z kolei nikt nie interesował się zaśnieżonym niedźwiedzim kątem na tym brzegu Anduiny. Tu można było znaleźć dowolną rzecz, jaką zrodziła ziemia, wody i trzewia Ardy, lub tworzyły ręce i umysły jej mieszkańców, począwszy od egzotycznych owoców do najrzadszych leków i narkotyków, od zadziwiającego wykonaniem platynowego diademu ze słynnymi wendotenijskimi szmaragdami do mordorskiego jataganu z bułatnej stali, którym można było przeciąć kamień, a następnie owinać klingę wokół pasa jak rzemień, od nieznanych skrzemienia-

łych zębów (jakoby smoczych, posiadających magiczne właściwości) do rękopisów w zapomnianych dziś językach. Było tu wszystko, a zawierało się to zwłaszcza w pewnej znanej anegdocie: „Czy naprawdę istnieje Pierścień Władzy? Nie, ponieważ gdyby istniał można by go kupić na umbarskim bazarze”. A jak tu się mieszała krew... Jakie piękności wynurzały się z tego wrzącego wszechświatowego tygla! W każdym razie Tangorn po drodze z Rybiego Targu na nadbrzeża Trzech Gwiazd naliczył co najmniej pół tuzina takich Metysek, że po prostu „trzymajcie mnie we czworo”. Na nadbrzeżu zajrzał do znanej sobie z dawnych czasów piwniczki, gdzie wypił kielich ulubionego złocistego muszkatelu. Słodczy i gorczy tak subtelnie w nim się równoważyły, że smak zanikał w ogóle i wino stało się urzeczywistnionym aromatem jakby zwyczajnym i nawet dość mocnym, a tak naprawdę utkanym z wielu odcieni wieloznaczności i niedopowiedzeń. Wystarczy zatrzymać łyk na języku, by zobaczyć na jawie nagrzane promieniami słońca topazowe owoce, nieco przyprószone wapiennym pyłem i lśniąca, białą kamienistą drogę przez winnicę, a potem, z drżącego południowego upału, same zrodzą się w duszy upajające rytmy umbarskich sześciowerszy — takato...

Dziwna sprawa, myślał, wychodząc po wyszczerbionych stopniach z chłodnego piwnicznego mroku (jeszcze raz sprawdził — nie ma „ogona”), ale kiedyś wydawało mu się zupełnie poważnie, że jeśli pijący wyczuje do końca smak takiego magicznego napoju to wniknie w duszę miasta, gdzie się zrodził. Cudowny, przeklęty, delikatny, kapryśny, ironiczny, grzeszny, wiecznie umykający i nie dający się do siebie zbliżyć Umbar... Dziewka nieziemsko piękna i urokliwa, która napoi cię oszałamiającym wywarem — specjalnie, by flirtować na twych oczach z pierwszym lepszym — i masz tylko jedno do wyboru: zabić ją, lub machnąć na wszystko ręką i pogodzić się z nią taką, jaką jest. On pogodził się i teraz, wróciwszy po czterech latach rozłąki, zrozumiał w końcu absolutnie jasno i wyraźnie, że całe gondorskie życie barona Tangorna było niczym więcej jak przeciągającym się nieporozumieniem, ponieważ prawdziwy jego dom jest tu...

Zatrzymał się przy balustradzie nabrzeża, opierając się łokciem o ciepły różowawy wapień, rzucił spojrzenie na wspaniałą panoramę obu umbarskich zalewów, Harmiańskiego i Barangarskiego, i nagle coś sobie przypomniał: to właśnie tu spotkał się z baronem Gragerem pierwszego dnia swojego w Umbarze pobytu! Rezydent wysłuchał opowieści Tangorna i zimnym głosem odciął: „Mam w nosie rekomendacje Faramira! Do prawdziwej pracy dopuszczę pana, młodzieńcze, nie wcześniej niż za pół roku. Do tego czasu ma pan znać miasto lepiej niż miejscowa policja, ma pan mówić oboma tutejszymi językami bez akcentu i posiadać szeroki krąg znajomości we wszystkich warstwach społeczeństwa — od kryminalistów do senatorów. To na początek. Jeśli nie wywiąże się pan z zadania — wracamy do domu. Zajmiemy się przekładem literackim, gdyż to naprawdę dobrze panu wychodzi”. Zaiste wszystko wraca na swoje miejsce...

Czy potrafił stać się tu swoim? To jest raczej w ogóle niemożliwe... Ale, jak-

kolwiek było, nauczył się układać wielce cenione przez znawców takato, zupełnie znośnie znał się na olinowaniu statków i swobodnie migał z harmiańskimi przemytnikami. Jeszcze teraz potrafi z zawiązanymi oczami przeprowadzić gondolę po labiryncie kanałów Starego Miasta i do tej pory trzyma w pamięci co najmniej tuzin przechodnich podwórek i innych miejsc, gdzie można zgubić „ogon”, nawet jeśli śledzący już „ocierają się ramionami”, to znaczy jawnie prowadzą za pomocą całej brygady. . . Wtedy splótł tu sobie niezłą sieć, a potem w jego życiu pojawiła się Elwiss — kobieta, dla której w tym mieście nie istniały tajemnice. . . Albo może to on pojawił się w jej życiu?

Elwiss była najwspanialszą kurtyzaną Umbaru; od matki urodzonej w Belfalas, posiadaczki portowego szynku pod nazwą „Pocałunek syreny” — przejęła jej szafirowe oczy i włosy koloru jasnej miedzi, które w mgnieniu oka doprowadzały do szaleństwa każdego człowieka z Południa, a od ojca — korsarskiego szypra powieszzonego na rei, gdy dziewczynka nie miała jeszcze nawet roku — męski twardy umysł, niezależność charakteru i tęsknotę do dobrze zaplanowanych afer. Takie połączenie pozwoliło jej wypłynąć ze slumsów portowej dzielnicy, gdzie się urodziła, i przenieść do własnej willi na ulicy Jaspisowej, w której to willi spotykał się cały wielki świat Republiki. Stroje Elwiss regularnie powodowały wylewy złości u żon i oficjalnych kochanek wyższych urzędników, a jej ciało było modelem na trzech malowniczych płótnach i powodem tuzina pojedynków. Jedna z nią noc kosztowała fortunę — lub nie kosztowała nic prócz na przykład udanej wierszowanej dedykacji.

Właśnie tak stało się pewnego dnia z Tangornem, który wpadł do niej na chwilę, gdyż miał nadzieję nawiązać trwałe kontakty z regularnie pojawiającym się tam sekretarzem khandyjskiego konsulatu. Gdy goście zaczęli się rozchodzić, ślicznotka zatrzymała się przed zabawnym północnym barbarzyńcą i z oburzeniem, nijak nie współgrającym ze skrzącymi się ze śmiechu oczami, rzekła:

— Powiadają, baronie, że pan onegdaj twierdził, jakoby miała farbowane włosy. — Baron otworzył usta, chcąc zaprzeczyć tej straszliwej potwarzy, ale pojął na czas, że nie tego się od niego oczekuje. — Tak więc, jestem naturalną blondynką. Chce się pan przekonać?

— Teraz?

— A kiedy?! — I, wzięwszy go pod rękę, zdecydowanie ruszyła z salonu do wewnętrznych pokoi, mrużąc po drodze: — Zobaczymy, czy jesteś taki dobry w łóżku, jak w tańcu. . .

Okazało się, że nawet lepszy. Przed świtem Elwiss podpisała bezwarunkową kapitulację, której warunków uczciwie dochowywała w ciągu wszystkich lat. Co do Tangorna, to najpierw wydało mu się to wspaniałą przygodą — i niczym więcej. Baron uświadomił sobie, że ta kobieta bezszelestnie zajęła w jego życiu znacznie więcej miejsca, niż mógł sobie na to pozwolić, dopiero wtedy, gdy ta szcudrze obdarowała swymi czułościami młodego potomka senatora Loano

— pustogłowego piękniśia układającego słodkie aż do mdłości rymy. Odbył się pojedynek, który rozśmieszył całe miasto, ponieważ baron tylko wyplazował nie-szczęśnika, nanosząc mu furę siniaków i powodując małe wstrząśnienie mózgu. Pojedynek rozwścieczył Gragera i oszołomił umbarską tajną służbę. Szpiegom tak nie wolno postępować! Grager zrugął go okrutnie, co Tangorn przyjął zupełnie obojętnie, i poprosił tylko o natychmiastowe przeniesienie z Umbaru — powiedzmy, do Khandu.

Ten rok spędzony w Khandzie nie pozostawił żadnych sensownych wspomnień: wypalone słońcem do przeraźliwej bieli ściany glinianych, głuchych domów bez okien, do tego jakby na zawsze przesłonięte twarze miejscowych kobiet, zapach spalonego oleju bawełnianego, smak praśnych placków, które ledwo ostygłą stają się smakiem i konsystencją podobne do kitu, a nad tym wszystkim wiszący w powietrzu, nie kończący się nigdy dźwięk zurny, niczym brzęczenie olbrzymiego moskita. . . Nie, nie potrafił pokochać tego pogrążonego w wiecznej drzemce kraju. Baron usiłował zapomnieć o Elwiss i zająć się pracą, ale mdłe pieśczęty tamtejszych piękności nie mogły w żaden sposób jej zastąpić. . . Dziwne, jednak dość zaskakującego rozkazu Gragera — „Wracać do Umbaru” — początkowo wcale nie połączył ze swymi raportami. Okazało się jednak, że jeden z rzuconych przez niego pomysłów — ten o przeanalizowaniu realnej wymiany towarowej między Mordorem i innymi zaanduińskimi krajami — wydał się szefowi na tyle sensownym, że postanowił zająć się nim osobiście na miejscu, w Khandzie. Natomiast Tangorna, ku jego całkowitemu zdziwieniu, Grager pozostawił na swoim stanowisku — szefa umbarskiej rezydentury.

— Poza tobą, wybaczyć, nie ma kogo. . . a poza tym, wiesz, jak tu na Południu się mówi: „Żeby nauczyć się pływać, należy pływać”.

A następnego dnia po powrocie, podeszła do niego kobieta, szczerze owinięta khandyjskim chałatem. Z gracją odrzuciła kwef i powiedziała z uśmiechem, który rzucił go na kolana:

— Witaj, Tan. . . Będziesz pewnie się śmiać, ale czekałam na ciebie przez cały ten czas. A jeśli będzie trzeba to poczekam jeszcze raz tyle.

— Ale! Nie poświęciłaś się chyba Walja-Wekcie — usiłował ironizować, usilnie wrywając się z tej szafirowej topieli.

— Walja-Wekta?

— Jeśli się nie mylę, to w aritańskim panteonie zawiaduje ona cnotą, czy nie tak? A świątynia arkan znajduje się o trzy przecznice od twego domu, tak więc służba w nim nie obciąża cię. . .

— Ja mówię o czymś innym — wzruszyła ramionami Elwiss. — Oczywiście, przez ten rok spałam z wieloma mężczyznami, ale to była praca i nic więcej. . .

— Popatrzyła na niego i „wystrzeliła prosto między oczy”: — Ale wiesz, Tan, nie miej złudzeń: w oczach ludzi, mieniących się „porządnymi”, moje zajęcie nie wygląda gorzej niż twoje. Mam na myśli to, czym się zajmujesz tu naprawdę. . .



Przez jakiś czas trawił jej słowa, a potem znalazł w sobie siły, by się roześmiać:

— No, muszę przyznać, że trafiłaś. . . Cóż, masz rację, Eli. — Z tymi słowami objął ją jak kiedyś za kibić, jakby zamierzając zawirować w tańcu. — A niech ich wszystkich diabli!

— A co ja mam do tego — uśmiechnęła się smutno. — I ty nic nie masz. . . Po prostu jesteśmy na siebie skazani i nic na to nie poradzimy.

To była święta prawda. Rozstawali się mnóstwo razy — czasem nawet na długo, ale potem wszystko zaczynało się od nowa, od tego samego miejsca. Po tych rozstaniach witany był różnie: czasem od jednego jej spojrzenia w komnacie osiadała warstwa szronu na palec grubości; czasem wydawało się, że Arda pęka aż do swych tajnych głębin i na zewnątrz wylewa się spopielająca wszystko protuberancja Odwiecznego Ognia; a czasem po prostu głaskała go po policzku dłonią i mówiła: „Wchodź. Strasznie schudłeś. . . Zjesz coś?”, jak godna naśladowania gospodyni domowa, witająca męża po rutynowej podróży w interesach. Oboje już wiedzieli wyraźnie: każde z nich ma we krwi śmiertelną porcję nieusuwalnej trucizny, a odtrutkę, dającą zresztą tylko czasowe uleczenie może otrzymać tylko od tego drugiego.

## 38

Życie Tangorna w Umbarze wcale nie sprowadzało się tylko do przygód miłosnych. Należy zauważyć, że zawodowe obowiązki barona odbijały się w pewien sposób na jego stosunkach z Elwiss. Ponieważ niedwuznacznie dała mu do zrozumienia, że ma pojęcie o drugiej stronie jego działalności, baron uznał najpierw, że jego przyjaciółka jest w jakiś sposób związana z umbarską tajną służbą. Pomysł okazał się nietrafiony: dwukrotnie „darował” jej informacje przeznaczone do przekazania kolegom i za każdym razem informacje nie przechodziły do nich — przy tym za drugim razem „zatkany kanał” omal nie zawalił zaplanowanej operacji.

— Jak sądzisz, Eli, czy jestem tak mało interesujący dla waszych służb, że ich ludzie nawet nie poprosili cię o obserwowanie mnie?

— Dlaczego nie? Prosili, rzecz jasna. Od razu, gdy tylko wróciłeś. . . Z czym przyszli, z tym wyszli.

— A ty miałas z tego powodu kłopoty. . .

— Nic naprawdę poważnego, Tan. Nie przejmuj się, proszę cię!

— Może lepiej gdybyś się zgodziła, tak dla picu?

— Nie. Nie życzę sobie — ani dla picu, ani tak. . . Zrozum, żeby kablować na ukochanego, trzeba być wysoce moralną istotą o głębokim poczuciu obywatelskiego obowiązku. A ja jestem tylko sprzedajną dziewczką. Ja się do tego nie nadaję. . . I skończmy z tym tematem, dobrze?

To odkrycie naprowadziło barona na pomysł, żeby samemu wykorzystać obszerne kontakty Elwiss do zbierania informacji, ale nie tajnych — broń Boże! — a zupełnie jawnych. Chodziło o to, że i jego, i Gragera interesowały nie tyle bojowe okręty nowej generacji, budowane w stocznicach Republiki, czy skład „umbarskiego ognia” — zagadkowej mieszanki zapalającej, wykorzystywanej podczas oblężeń i bitew morskich — co taka proza życia, jak obroty handlu karawanowego i wahania cen żywności na targowiskach Umbaru i Barad-Dur. Bardzo interesowały barona również najnowsze technologiczne osiągnięcia, coraz wyraźniej określające oblicze cywilizacji mordorskiej, która zawsze wywoływała u niego najszczerzy zachwyt. . . Dziwne to było, ale faktem jest, że właśnie na poły amatorska drużyna Faramira (a jej członkowie nie znajdowali się na służbie państwo-

wej i przez wszystkie te lata nie otrzymali z kiesy państwa ani grosza) intuicyjnie doszła to tego stylu pracy, który stał się cechą wywiadów dopiero naszych czasów. Wiadomo ogólnie, że aktualnie niemal całą informację wywiadowczą, w tym tę najpoważniejszą, zdobywają nie zuchwali agenci obwieszeni mikroaparatami i bezgłośnymi pistoletami, a analitycy gorliwie szperający po gazetach, komunikatach giełdowych i w innych jawnych materiałach. . .

Póki Tangorn zagłębiał się, idąc za radą Elwiss, w działalności umbarskich finansistów, w porównaniu z którą magia Białej Rady wygląda na dziecinną zabawę w „kółko graniaste”, Grager, który stał się w tym czasie kupcem drugiej gildii Algoranem, założył w Khandzie kompanię zajmującą się dostawami do Mordoru oliwy z oliwek w zamian za produkty tamtejszych „wysokich technologii”. Dom Handlowy „Algoran & Co.” kwitł; starannie kontrolując koniunkturę na miejscowym rynku żywnościowym, firma stale rozszerzała swój udział w imporcie żywności i na pewien czas zdołała nawet zmonopolizować import fig. Co prawda, osobiście swojej filii w Barad-Dur szef kompanii nie odwiedzał, mając pewność, że w mordorskim kontrwywiadzie nie pracują same barany, jednakże nie musiał tego czynić, gdyż miejsce dowódcy armii jest nie w pierwszych szeregach atakujących, a na pagórku, w pewnym oddaleniu.

Wynikiem tej działalności stał się dwunastostronicowy dokument, znany dziś historykom jako „Memorandum Gragera”. Łącząc w jedną całość kilka pozornie odległych czynników, jak to, że tendencje do zwiększenia normy zysku z handlu karawanowego (zgodnie z tym, co uwidaczniało się na giełdach Umbaru i Barad-Dur), pojawienie się w mordorskim parlamencie serii protekcjonalistycznych ustaw, zainicjowanych przez lobby rolnicze — wynik gwałtownego wzrostu kosztów rodzimej produkcji rolnej — i chyba z dziesięć innych, Grager z Tangornem udowodnili rzecz matematycznie nie do obalenia: zależny od importu żywności Mordor nie potrafi poprowadzić jakiegokolwiek długotrwałej wojny. Jest na śmierć i życie związany handlem karawanowym z sąsiadami, którego nie da się pogodzić z wojną. Dlatego najbardziej zainteresowany jest utrzymaniem pokoju i, co z tego wynika, nie stanowi zagrożenia dla Gondoru. Z drugiej strony, bezpieczeństwo szlaków handlowych jest dla Mordoru sprawą istotną, dlatego w przypadku zagrożenia ich będzie działał twardo i być może niezupełnie racjonalnie. „Jeśli ktokolwiek ma ochotę wciągnąć Mordor w wojnę — orzekali w podsumowaniu zwiadowcy — to nie ma nic prostszego: wystarczy zacząć terroryzować karawany na Trakcie Ithilieńskim”.

Faramir w specjalnym referacie przekazał te uwagi do wiadomości Królewskiej Rady Gondoru, kolejny raz usiłując udowodnić, że sławetne „mordorskie zagrożenie wojenne” jest niczym innym jak mitem. Rada, jak to miała w zwyczaju, wysłuchiwała referatu z uwagą, nic z niego nie zrozumiała, a jako rezolucję wysłała do księcia stały zestaw uwag i pouczeń. Sprowadzały się one pokrótce do tego, że „dżentelmeni nie czytają cudzych listów”, a po drugie — „pańscy szpie-

dzy lenią się bardzo i zupełnie myszy nie chwytają”. Po czym „Memorandum Gragera” zostało przekazane do archiwum, gdzie wraz z innymi Faramirowymi meldunkami pokrywały je kolejne warstwy kurzu, aż do chwili, kiedy wpadły w ręce goszczącemu w Minas Tirith Gandalfowi...

Gdy zaczęła się wojna — dokładnie jak w opisanym przez nich scenariuszu — Tangorn przerażony pojął, że to jego sprawka.

— „Świat jest Tekstem”, chłopcze. Wszystko to pasuje do twych artystycznych gustów. Coś ci się nie podoba? — prychnął drewnianym głosem Grager, niepewną ręką rozlewając do szklanek kolejną porcję ni to tequili, ni to jakiejś innej bimbrowatej berbeluchy.

— Ale my pisaliśmy inny Tekst, zupełnie inny!

— Co to znaczy „inny”? Tekst, mój ty esteto, istnieje tylko wtedy, gdy współdziała z czytelnikiem. Każdy człowiek pisze własną historię Elendeil, a co tam chciał powiedzieć Airufin nie ma żadnego znaczenia. Wynika z tego, że my stworzyliśmy prawdziwie artystyczny tekst skoro czytelnicy — rezydent pokręcił palcem w okolicach ucha, tak więc nie wiadomo było kogo ma na myśli — czy to Rada Królewska, czy jakieś prawdziwe Siły Wyższe potrafiły zinterpretować go w tak przewidywalny sposób...

— Zdradziliśmy ich... Ktoś wykorzystał nas jak niemowlęta, ale to nas nie usprawiedliwia. I tak ich zdradziliśmy... — powtórzył Tangorn, wpatrując się w mętną, jadownicie opalizującą zawartość szklanki.

— Tu się zgadzam — nie usprawiedliwia... No to co? Łykniemy?

Nie mógł określić ile dni trwało ich pijaństwo — na szczęście obaj uważali, że rozwiązali swoje umowy o pracę. Zaczęli pić, gdy, ledwie usłyszawszy o wojnie, szef domu handlowego „Algoran” przyjechał do Umbaru, wykańczając po drodze kilka wierzchowców. Tu dowiedział się szczegółów. Zdziwiający, ale rozdzielni, jakoś się trzymali, jednak gdy tylko popatrzyli sobie w oczy zrozumieli, że to koniec wszystkiego, co było im drogie. Właśnie oni doprowadzili do tego końca i to własnymi rękami. Dwaj szlachetni idioci... I nastał taki koszmarnie mdlący i ziejący alkoholem świt, kiedy ocknął się po dzbanie lodowatej wody wylanej nań przez Gragera. Grager był dokładnie taki jak wcześniej — precyzyjny i pewny siebie, a jego zalane krwią białka oczu i wielodniowy zarost wydawały się być detalami niezbyt udanego kamuflażu.

— Pobudka! — oświadczył bez cienia litości w głosie. — Jesteśmy znowu w pracy. Wzywają nas do Minas Tirith — osobiście mamy oświecić Radę Królewską co do perspektyw separatystycznego pokoju z Mordorem. Naturalnie jest to pilne i absolutnie tajne... Niech mnie diabli, może coś jeszcze się da naprawić! Jego Królewska Mość Denethor jest w wystarczającym stopniu pragmatycznym władcą, i widocznie wojna ta jest mu potrzebna jak karpiowi parasol.

Pracowali nad dokumentem przez trzy doby, bez snu i jedzenia, pijąc tylko kawę. Włożyli w to zajęcie swoje dusze i zawodowe mistrzostwo, gdyż pomylić się

po raz drugi nie mieli prawa. Było to rzeczywiście arcydzieło: Stop nieubłaganej logiki i bezbłędnej intuicji, oparty na wspaniałej znajomości Wschodu, opisane doskonałym literackim językiem, który mógł poruszyć każde serce. To była droga do pokoju z przedmiotowym opisem niebezpieczeństw i pułapek na niej czyhających. Już kierując się do portu, Tangorn znalazł chwilę, by wpaść do Elwiss:

— Ja na jakiś czas wyjadę do Gondoru, nie smuć się beze mnie! Kobieta zbłądła i powiedziała niemal niestęszalnie:

— Idziesz na wojnę, Tan. Rozstajemy się na długo, a najpewniej na zawsze. Czy nie możesz przynajmniej pożegnać się ze mną po ludzku?

— Skąd te przypuszczenia, Eli? — szczerze zdumiał się baron. Wahał się przez kilka sekund, a potem machnął ręką i pękł: — Szczerze mówiąc, jadę właśnie po to, żeby powstrzymać tę kretyńską wojnę... Jest wstrętna w każdym swoim aspekcie, a ja bawić się w te klocki nie zamierzam, klnę się na komnaty Valinoru!

— Idziesz na wojnę — powtórzyła Elwiss. — Wiem to na pewno. Cóż, będę się za ciebie modlić... I, proszę cię, idź już, nie warto w tej chwili patrzeć na mnie.

A gdy ich statek minął ponure sztormowe nabrzeża południowego Gondoru i wpłynął w ujście Anduiny, Grager rzucił przez zaciśnięte zęby:

— Wyobraź sobie, przyjeżdżamy do Minas Tirith, a tam robią wielkie oczy: „Kim wy jesteście, chłopaki? Co za Rada Królewska? Czy wy jesteście normalni? To byt jakiś żart, nikt was nie wzywał i nie oczekuje”. Ale się uśmiejemy...

Ale nie był to wcale żart i oczekiwano ich niecierpliwie już na przystani Pelargiru:

— Baron Grager i Baron Tangorn? Jesteście aresztowani. Tak łatwo „kupić” najlepszych zwiadowców Zachodu mogli tylko swoi.

## 39

— A teraz proszę nam opowiedzieć, baronie, jak pan tam, w tym swoim Umbarze zdradzał ojczyznę.

— Może bym ją i zdradził, pomyślawszy przedtem rozsądnie, ale na taką zakichaną ojczyznę nie znajdzie się kupiec.

— Proszę zaprotokołować: oskarżony Tangorn szczerze przyznał się, że planował przejście na stronę wroga i nie zdołał doprowadzić do realizacji pomysłu z powodu niezależnych od niego okoliczności.

— Właśnie tak, tak zapiszcie: „Może i coś planował, ale niczego nie zdążył zrobić”.

— Żeby móc pana poćwiartować, wystarczy aż nadto tego dokumentu, który przywieźliście ze sobą, wszystkich tych waszych „propozycji pokoju”!

— Zostały spisane na bezpośredni rozkaz Rady Królewskiej.

— Słyszeliśmy już tę bajeczkę! Możemy zobaczyć ten rozkaz?

— Diabli nadali, już mam odcisk na języku od tłumaczenia wam, że otrzymałem go z sygnaturą „RUN”, a takie dokumenty zgodnie z instrukcją są niszczone natychmiast po zapoznaniu się z nimi!

— Uważam, panowie, że po prostu nie powinniśmy nawet wnikać w obyczaje złodziei-szpiegów...

Taka gadanina trwała już drugi tydzień. Nie dlatego, że wina wywiadowców, czy wyrok, wywoływały u spierających się stron jakiegokolwiek wątpliwości — po prostu Gondor, cokolwiek by się o nim powiedziało, był państwem prawa. Oznaczało to, że niewygodnego człowieka nie da się tu wysłać na szafot na skinienie nawet wysoko postawionej dłoni. Niezbędne było zachowanie pozorów przyzwoitości, dlatego obudowywano sprawę niezbędną liczbą formalności. Najważniejsze, że Tangorn ani razu nie pomyślał, że dzieje się coś niesprawiedliwego. Przeżywał coś takiego, co czasem robi kisiel z męznego, niby zdrowo myślącego człowieka i który nagle zaczyna pisać haniebne, bezużyteczne „listy do panującego”. Wywiadowcy mieli być skazani nie z powodu błędu czy donosu, a właśnie za to, co zamierzali wykonać — usiłowali powstrzymać wybuch wojny, całkowicie niepotrzebnej ich krajowi. Nie ma się na kogo złościć i ciskać — wszystko odbyło się

uczciwie i zgodnie z regułami. . . I kiedy pewnej nocy obudzono barona krzykiem: „Do wyjścia z rzeczami!”, po prostu nie wiedział co o tym myśleć.

W izbie więziennej kancelarii jego i Gragera powitał naczelnik pelargirskiego więzienia i ksiązę Faramir, ubrany w połowy mundur jakiegoś nie znanego im pułku. Naczelnik był zły i zmieszany — wyraźnie wymuszano na nim jakąś nieprzyjemną decyzję.

— Umiecie czytać? — zimnym głosem zapytał ksiązę.

— Ale w pańskim rozkazie. . .

— Nie w moim, a w królewskim!

— Tak jest, sir, w królewskim! Tak więc tam jest powiedziane, że formuje pan ochotniczy pułk do szczególnie ryzykownych operacji na tyłach wroga i ma prawo werbowania przestępców, jak tu powiedziano: „nawet wprost spod szubienicy”. Ale nie powiedziano, że mogą to być ludzie oskarżani o zdradę państwa i współpracę z wrogiem!

— Ale też nie powiedziano niczego przeciwnego. Nie zakazane, czyli dozwolone.

— Formalnie tak, sir. — Z tego, że klawisz zwraca się do następcy gondorskiego imperium po prostu „sir”, a nie „Wasza Królewska Mość”, Tangorn wywnioskował, że sprawy księcia kiepsko stoją. — Ale to jest widoczne gołym okiem niedopatrzenie! W końcu, to na mnie spoczywa odpowiedzialność. . . czas wojny. . . bezpieczeństwo ojczyzny. . . — W tym miejscu naczelnik nieco odzyskał kontenans, wyczuwając punkt oparcia. — Jednym słowem: nie mogę wypuścić, aż do pisemnego zezwolenia z góry.

— O, ma się rozumieć. W godzinie próby nie mamy prawa ślepo przestrzegać instrukcji. Należy sprawdzać wszystko z pomocą swego patriotycznego węchu. . . Jesteście patriotą?

— Tak jest, sir. . . To znaczy Wasza Królewska Mość! Rad jestem, że moje postępowanie zostało właściwie. . .

— Posłuchaj mnie zatem uważnie, szczerze więzienny — nie zmieniając tonu, ciągnął ksiązę. — Zwróć uwagę na czwarty punkt mojego pełnomocnictwa. Mogę nie tylko przyjmować do siebie ochotników, chłopów pańszczyźnianych, przestępców i innych, ale mam prawo do mobilizowania w imieniu króla urzędników militarnych urzędów, do którego zalicza się i twój. Tak więc albo wyjadę z tymi dwoma, albo z tobą, i przysięgam na strzały Orome, że tam, za Osgiliath, będziesz miał aż za dużo okazji okazania swego patriotyzmu! No to, jak będzie?

Odetchnęli dopiero, gdy mury więzienia zniknęły w oddali. Tangorn na zawsze zapamiętał, jak stał pośrodku nocnej ulicy, opierając się z powodu fali słabości o ramię księcia. Oczy miał zamknięte, a na uniesionej ku górze twarzy osiadła zimna mżawka, nasycona miejskimi dymami. . . Życie i wolność, czego jeszcze może chcieć człowiek? Faramir, nie tracąc ani chwili, poprowadził ich ciemnymi, tonącymi w błocie ulicami Pelargiru do portu.

— Diabli by to wzięli, panowie, dlaczego złamaliście mój rozkaz? Mielicie siedzieć w Umbarze i nie wysuwać stamtąd czubka nosa? Co to za historia z tym waszym wezwaniem?

— Rozkaz do nas nie doszedł, a co do wezwania... Myśleliśmy, że wytłumaczysz nam wszystko, jako członek Rady Królewskiej.

— Już nie: Radzie Królewskiej defetyści nie są potrzebni.

— Ach tak... Posłuchaj, a ten twój pułk... Wymyśliłeś go, żeby nas wyciągnąć?

— No, powiedzmy, że nie tylko w tym celu.

— Ale przecież podstawiałeś się na całego...

— Kicham na to. Mam teraz wspaniały status — „dalej niż na front nie pogną, dadzą co najmniej pluton pod bronią”, więc wykorzystuję to, jak tylko się da.

Na nadbrzeżu odnaleźli niewielki stateczek; obok, na pirsie, kimali owinięci w maskujące płaszcze dwaj, dość dziwni żołnierze. Zasalutowali wyraźnie niezgodnie z Regulaminem Faramirowi, obrzucili taksującym spojrzeniem wywiadowców i bez zwłoki zaczęli przygotowywać się do wypłynięcia — na ile mógł ocenić Tangorn, bardzo zręcznie.

— Cóż, książę, ruszamy, nie czekając na świt?

— Wiesz, to, że w rozkazie nie ma wyjątków w postaci przestępców rangi państwowej, to rzeczywiście niedopatrznie. Chcesz się przekonać, jak szybko się połapia?

Faramir miał świętą rację. „Uzupełnienie Nr 1 do królewskiego rozkazu Nr 3014–227: Amnestia przestępców, zamierzających wziąć udział w obronie ojczyzny, wyjątki: osoby winne przestępstw państwowych” przybyło do Pelargiru następnego ranka. Stateczek księcia tymczasem był już w połowie drogi do przystani Harlondy, gdzie znajdowały się koszary formującego się Pułku Ithilien. Oczywiście schwytano by ich i tam, ale gdy policyjne szarże z nakazem aresztowania pojawiły się w obozie Ithilienczyków, okazało się, że poszukiwani — jaka szkoda, dosłownie godzinę temu! — wypłynęli w składzie grupy zwiadowczej na drugi brzeg Anduiny. O tak, wyprawa będzie długa — miesiąc, może i więcej. Och nie, grupa działa w trybie autonomicznym, nie przewiduje się z nią łączności. Zresztą możecie sami udać się za Osgiliath i poszukać ich tam. Orokuenowie też ich poszukują... Ach, no to w niczym nie mogę pomóc, proszę mi wybaczyć. Kapralu, proszę odprowadzić gości. Mają pilne sprawy w Minas Tirith!

Słusznie się mówi, że „wojna wszystko wybieli”, gdyż po jakimś czasie o zdrajcach-rezydentach po prostu zapomniano — inne rzeczy stały się ważniejsze. Całą wojnę Tangorn spędził w Ithilien; walczył bez specjalnego entuzjazmu, ale odważnie i umiejętnie, starał się osłaniać żołnierzy jak mógł — dokładnie tak, jak kiedyś opiekował się agentami swojej siatki. To akurat było normą w ich pułku, a stosunki między oficerami i żołnierzami w oddziale dość różniły się od



ogólnie przyjętych. Wieśniacy pracujący za uwłaszczenie, rozbójnicy odrabiający swą amnestię, jęgrzy przez całe życie pilnujący jeleni w królewskich lasach, i kłusownicy przez całe życie na te jelenie polujący, arystokraci-awanturnicy wcześniej przyjaźniący się z Boromirem, i arystokraci-intelektualiści z ich byłej, przedwojennej kompanii — wszyscy oni stworzyli zadziwiający stop, niosący piętno osobowości swego demiurga, kapitana Faramira. Nie ma co się więc dziwić, że Aragorn nakazał rozwiązanie pułku następnego dnia po Wiktorii na Polach Pelennoru.

Do Mordoru Tangorn dotarł już sam, jako osoba prywatna — zabójcę ciągnęło na miejsce zbrodni. Bitwa pod Kormallen była już za nimi, więc zdążył tylko na ucztę zwycięzców na ruinach Barad-Dur. „Patrz — nakazywał sobie — i nie odwracaj wzroku. Ciesz się z wyników swej pracy!” A potem przypadkowo trafił do wąwozu Teshgol, akurat kiedy odbywało się tam „czyszczenie” i struna pękła. . . Od tego momentu żył twardo, mówiąc sobie: „Siła Wyższa darowała mi wtedy drugie życie, ale darowała nie ot tak sobie, na krzywy ryj, a żebyś mógł odkupić to zło, które wyhodowałeś niechcący w życiu poprzednim, przed Teshgolem”. Przeczucie podpowiedziało mu wtedy, że powinien dołączyć do Haladdina, ale jak się przekonać, czy wybór był słuszny? I nagle z absolutną, jakąś niezmierną wyrazistością zrozumiał: owo drugie życie dane mu jest nie na zawsze, a jedynie wypożyczone, i zostanie odebrane, gdy tylko spełni swą misję. Właśnie tak: nie zgadnie (albo uda, że nie zgadł) — będzie żył do głębokiej starości, odgadnie — osiągnie odkupienie za cenę życia. Ma tylko prawo do tego niezbyt wesołego wyboru, ale to prawo to jedyna rzecz, jaka różni go od martwiaków Aragorna. Ostatnia myśl — o Aragornowych martwiakach — spowodowała, że wrócił ze świata wspomnień na przedwieczne nadbrzeże Trzech Gwiazd. A więc, martwiała. . . Zapewne nikt i nigdy nie pozna tajemnicy ich pojawienia się, a elfy potrafią strzec swych sekretów. Ale umbarskie statki, które dostarczyły ten koszmarny ładunek pod mury Minas Tirith to zupełnie inna sprawa: one mają właścicieli i załogi, mają listy frachtowe i rachunki ubezpieczeniowe. Elficy agenci na pewno popracowali i nad tą sprawą. Właściwie już krąży legenda, że była to niby piracka flota, która przybyła grabić Pelargir, ale czasu minęło nie tak znowu dużo i pewne ślady mogły pozostać nie zatarte. Te ślady naprowadzą go na ludzi, którzy wynajęli statki, a ci z kolei na nieznanego jak na razie Elandara. Nie ma po prostu sensu wszczynać tej gry, którą z Haladdinem zamierzali zaproponować Lorien, na niższym poziomie.

Najzabawniejsze, że pomóc mu powinien w poszukiwaniu kontaktu z elfem nie kto inny, ale mordorski wywiad, o kontakty z którym oskarżano kłamliwie Gragera cztery lata temu; oczekując na egzekucję w pelargijskim więzieniu, nawet nie wyobrażał sobie, że kiedyś naprawdę będzie współpracował z tymi ludźmi. . . Potrafiłby zapewne dojść do tropów siłami swoich ludzi, ale jego siatka została „zakonserwowana” i jej odtworzenie wymagało kilku tygodni, którymi po prostu nie dysponuje. A Mordorczycy najprawdopodobniej są w posiadaniu materiałów

dotyczących tego epizodu — nie może być inaczej, albo ich rezydentowi należy się dymisja i kara. Problem tylko w tym, czy zechcą oni podzielić się informacjami, i czy w ogóle zechcą się kontaktować — przecież dla nich teraz jest Gondorczykiem, wrogiem... Dobra, wszystko się wyjaśni jutro. Kontakt jaki przekazał Haladdinowi Sharha-Rana, wyglądał tak: portowa tawerna „Morski konik”, nieparzysty wtorek, to znaczy jutro, jedenasta rano; zamówić butelkę tequili i talerzyk z cząstkami limony, zapłacić złotą monetą, pogadać o czymkolwiek z kimkolwiek, posiedzieć z dziesięć minut przy stoliku w lewym tylnym kącie sali, po czym należy udać się na plac Castamira Wielkiego, gdzie przy prawej kolumnie dojdzie do samego spotkania i wymiany haseł... No to jak? Pospacerować jeszcze po nadbrzeżnych uliczkach, a potem powoli do hotelu?

W tym momencie ktoś go zawołał:

— Przecież czeka pan na dziewczynę, szlachetny panie — kup więc dla niej kwiatek!

Tangorn leniwie odwrócił się i na chwilę stracił oddech: nie chodziło o to, że dziewczyna z kwiatami była po prostu piękna, a o to, że jej koszyczek wypełniały fioletowo-żółciste orchidee z gatunku meotis, niesamowicie rzadkiego o tej porze roku. A meotisy były ulubionymi kwiatami Elwiss.

## 40

Przez wszystkie te dni pod różnymi pretekstami odkładał spotkanie z nią. „Nigdy nie wracaj tam, gdzie byłeś szczęśliwy. . .” Od czasu, kiedy tak udanie przewidziała: „Idziesz na wojnę” upłynęło wiele wody i jeszcze więcej krwi. . . Ani on, ani ona już nie będą tacy jak wcześniej — czy warto więc chodzić po zgłiszczach i organizować seanse nekromancji? Elwiss, jak się dowiedział, jest obecnie w najwyższym stopniu poważną i szacowną osobą, a wspaniała intuicja pozwoliła jej zbić na giełdzie przyzwoity majątek. Chyba nie jest zamężną, ale jakoś tak ni to zaręczona, ni to po słowie z jednym z filarów świata interesów. Po diabła więc jej niespokojne i niebezpieczne widmo przeszłości? I oto teraz cała ta wzmocniona obrona runęła w jednej chwili.

— Ile kosztują twe kwiaty, ślicznotko? Mam na myśli cały koszyk?

Dziewczyna — na oko miała jakieś trzynaście lat — ze zdziwieniem popatrzyła na Tangorna.

— Nie jesteś tutejszy, szlachetny panie! Przecież to meotisy, są drogie.

— Tak, tak, wiem. — Sięgnął do kieszeni i nagle pojął, że wydał całe swoje srebro. — Wystarczy ci dungan?

Jej wspaniałe oczy nagle zgasły, pojawiały się w nich i natychmiast ginęły zaskoczenie i strach, potem zostało tylko zmęczenie i obrzydzenie.

— Złota moneta za kosz kwiatów to zbyt wiele, szlachetny panie. . . — powiedziała cicho. — Ja wszystko rozumiem. . . Zaprowadzisz mnie do siebie?

Baron nigdy nie cierpiał na przesadną uczuciowość, ale w tym momencie jego serce ścisnęła żałość i gniew.

— Przestań! Nie potrzebuję niczego prócz twych orchidei, słowo honoru. Przecież nigdy wcześniej nie świadczyłaś takich usług.

Skinęła głową i jak dziecko pociągnęła nosem.

— Dungan to dla nas ogromne pieniądze, szlachetny panie. Mogłybyśmy z mamą żyć za nie przez pół roku. . .

— No to żyjcie sobie — mruknął Tangorn, wkładając w jej dłoń złoty okrąg z profilem Saurona. — Pomódl się za powodzenie dla mnie, na pewno będzie mi potrzebne, i to wkrótce. . .

— Więc nie jesteś szlachetnym panem, a rycerzem Fortuny? — Teraz była to cudowna mieszanka ciekawości, dziecięcego zachwytu i dorosłej kokieterii. — Nigdy bym nie pomyślała!

— Tak jakby — uśmiechnął się baron i, wzięwszy koszyk z kwiatami, skierował się na ulicę Jaspisową. Dogonił go jej srebrzysty głosik:

— Na pewno ci się powiedzie, rycerzu, uwierz mi! Będę się modliła z całych sił, a moje modlitwy są wysłuchiwane, naprawdę!

Tina, stara służąca Elwiss, otworzywszy mu drzwi odsunęła się, jakby zobaczyła upiora. „Aha — pomyślał — wygląda na to, że moje pojawienie się jest prawdziwą niespodzianką i zapewne nie wszystkim będzie w smak”. Z tą myślą skierował się do salonu, skąd dochodziły dźwięki muzyki, obok niego dreptała mamrocząca jakieś skargi staruszka. Wyczuła już chyba, że wizyta z przeszłości nie wyjdzie na dobre... Towarzystwo w salonie tworzyło kilka, ale za to wybitnych osób. Grano Trzecią sonatę Akvino, przy tym grano wspaniale. Na bezgłośnie przystającego w drzwiach barona nikt w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi, więc przez kilka minut mógł wpatrywać się w odwróconą plecami Elwiss, ubraną w granatową suknię. Potem gospodyni odwróciła się, ich spojrzenia skrzyżowały się, w umyśle Tangorna zrodziły się jednocześnie dwie myśli, przy tym jedna głębsza od drugiej. Pierwsza brzmiała: „Są jednak na świecie kobiety, którym wszystko wychodzi na dobre, nawet wiek”, a druga: „Ciekawe, upuści swój kielich, czy nie?”

Ruszyła ku niemu wolno, bardzo wolno, jakby pokonując opór, ale opór — czuło się to od razu — tylko zewnętrzny. Wydawało mu się, że problemem jest muzyka, która zmieniała pokój w przeskakujący z kamienia na kamień górski strumyk i Elwiss musiała iść do niego pod prąd. Potem rytm jej kroków zaczął się zmieniać, Elwiss zmierzała ku niemu, ale muzyka nie poddawała się, z płynącego ruczaju zmieniała się w nieprzebyty kłęb jeżyn. Kobieta musiała przedzierać się przez jej kolczasty gąszcz, co było trudne i bolesne, bardzo bolesne, ale nie widać było tego po niej. A potem wszystko się skończyło: muzyka poddała się, opadała bezwładnymi spiralami do jej stóp, a ona, jakby jeszcze nie wierząc, ostrożnie przejechała opuszkami palców po jego twarzy:

— Tan... Miły mój. Wróciłeś jednak... — Na pewno stali tak objęci całą wiecznością, a potem ona wzięła go pod ramię i szepnęła: — Chodźmy.

Wszystko było takie samo — i inne. To była zupełnie inna kobieta, i odkrywał ją na nowo, jak za pierwszym razem. Nie było wulkanicznych namiętności, ani wyrafinowanych pieszczot, zawieszających umysły na drżącej pajęczynie nad przepaściami słodkiego omdlenia. Była ogromna, wszechogarniająca czułość, i oboje rozpuścili się w niej. Nie było już dla nich innego rytmu, prócz drzenia Ardy, przedzierającej się przez rozsypane na firmamencie kłujące gwiazdy... „Jesteśmy skazani na siebie” — powiedziała kiedyś. Cóż, jeśli tak jest, to dziś wyrok został wykonany.

— Na długo przyjechałeś do nas, do Umbaru?

— Nie wiem, Eli. Słowo honoru, nie wiem. . . Chciałbym na zawsze, ale może tak się stać, że tylko na kilka dni. Tym razem, jak mi się wydaje, nie ja decyduję, a Siły Wyższe.

— Rozumiem. . . Więc znowu jesteś w pracy. Potrzebujesz pomocy?

— Nie sądzę. Może jakieś drobiazgi. . .

— Kochany, przecież wiesz, że dla ciebie jestem gotowa na wszystko. Nawet na miłość w pozycji misjonarza!

— No nie, takiej ofiary od ciebie nie będę wymagał — roześmiał się Tangorn, dostosowując się do jej wesołości. — Chyba, że jakiś drobiazg, raz czy dwa zaryzykować życie. . .

— To co innego. Więc czego potrzebujesz?

— Żartuję, Eli. Wiesz, te gry stały się teraz naprawdę niebezpieczne. To nie są te poprzednie idylliczne czasy. Szczerze mówiąc, nawet przyjdzie tu być zupełnym szaleństwem, chociaż niby dobrze sprawdzałem czy i kto za mną idzie. . . Tak więc, łyknę kawę i powlokę się na miękkich nogach do hotelu.

Na chwilę nad pokojem zawisła cisza, potem Elwiss powiedziała dziwnym, bezbarwnym głosem:

— Tan, boję się. . . Jestem kobietą, wyczuwam przyszłość. Nie odchodź, błagam cię. . .

Rzeczywiście zbladła straszliwie, nigdy nie widział jej w takim stanie. . . Nigdy? W pamięci usłużnie pojawił się obraz sprzed czterech lat: „Idziesz na wojnę, Tan. . .” „Diabli nadali, czego się dotknę, to się kruszy” — pomyślał niezadowolony. A tymczasem kobieta przyłgnęła doń i nie miał szans oderwać się od niej. Powtarzała:

— Zostań ze mną, proszę cię! Przypomnij sobie, przez wszystkie te lata nigdy cię o nic nie prosiłam. . . Ale ustąp mi raz, tylko raz!

Więc ustąpił, żeby ją uspokoić. Właściwie, co to za różnica skąd pójdzie na kontakt do „Morskiego konika”? A drużyna Ichneumona czekała na niego tej nocy w „Szczęśliwej kotwicy” na próżno.

Cóż, nie pojawił się dziś — pojawi się jutro. Zamiast biegać za nim po całym mieście lepiej urządzić zasadzkę przy norze, nie ma pośpiechu; a poza tym, nie należy dzielić grupy przechwytyjącej barona. Wszak był kiedyś „trzecim mieczem Gondoru”, to już nie psi fiut. . . Co jak co, ale czekać Ichneumon potrafił.

\* \* \*

Tajna służba Umbaru, wygodnie i niezawodnie ukryta w przesiąkniętych za-

pachem tekturowego kurzu, laku i atramentu trzewiach Ministerstwa Spraw Zagranicznych pod umyślnie niezrozumiałym szyldem DSD — „Departament Specjalnej Dokumentacji”, była organizacją niewidzialną. Państwową tajemnicą był nawet adres jej lokalu sztabowego, a jest nim „Zielony Dom” w zaułku Błotnym, który to dom czasem wspominany jest odpowiednio ściszym głosem w rozmowach „dobrze poinformowanych ludzi” z grona senatorów i wyższych urzędników. W rzeczywistości mieści się tam tylko archiwum z odtajnionymi dokumentami, które wyleżakowały się tu przez zapewniony prawem okres stu dwudziestu lat. Jak się nazywa dyrektor departamentu wiedzą tylko trzy osoby: kanclerz, minister wojny i generalny prokurator Republiki — pracownicy firmy mają prawo zabijać tylko z nakazu prokuratury, z tym że sankcję na mord otrzymują czasem wstecznie, po fakcie. Imion czterech wicedyrektorów nie zna nikt poza samym dyrektorem.

W odróżnieniu od służb specjalnych, tworzonych na bazie policji — te z reguły na zawsze zachowują ciągotki do pompacyjnych administracyjnych budynków na głównych ulicach stolic i do zastraszania obywateli legendami o swej wszechpotędze i wszeobecności — DSD powstał raczej jako służba bezpieczeństwa dużej, handlowo-przemysłowej korporacji. Dlatego zapewne bardziej był zainteresowany tym, by w dowolnych okolicznościach pozostawać w cieniu. Organizacyjna struktura departamentu skopiowana została z zamorro — umbarskich przestępczych syndykatów: system odizolowanych komórek, łączących się w sieć tylko poprzez swych dowódców, którzy z kolei tworzą komórki drugiego i trzeciego szeregu. Współpracownicy firmy żyją na specjalnie opracowanych legendach nie tylko za granicą, ale i w domu; nigdy nie noszą broni, chyba, że wymaga tego legenda, i pod żadnym pozorem nie zdradzają swej tożsamości i przynależności do organizacji. Przysięga milczenia i umberto — zasada, którą niegdyś Grager wyjaśnił Tangornowi jako: „Wejście — dungan, wyjście — sto”, łączy jej członków w coś na kształt tajnej rycerskiej kapituły. Trudno w to uwierzyć, znając umbarskie nawyki, ale przez trzy wieki istnienia DSD (nawiasem mówiąc, oficjalną swą nazwę firma zmienia z taką samą regularnością, jak wąż skórę) przypadki zdrady w jego szeregach można było policzyć na palcach jednej ręki.

Zadanie departamentu polega na tym, by „wyposażać władze Republiki w dokładne, aktualne i obiektywne informacje o sytuacji w kraju i za jego granicami” (koniec cytatu). Wiadomo, że obiektywne może być tylko źródło niezależne i nie zainteresowane wynikami swej pracy, i dlatego DSD — zgodnie z prawem — tylko gromadzi informacje, ale nie uczestniczy w wypracowywaniu militarnych i politycznych decyzji na nich bazujących i nie ponosi odpowiedzialności za konsekwencje takich decyzji. Departament jest rodzajem przyrządu pomiarowego, któremu kategorycznie zakazano wtrącania się do obserwowanego procesu. Taki podział funkcji jest naprawdę mądry. W przeciwnym przypadku wywiad zaczyna albo wysługiwać się władzy, komunikując tylko to, co ta chciałaby usłyszeć,

albo wychodzi spod kontroli, a wtedy zaczynają się takie cuda, jak zbieranie kompromitujących informacji o własnych obywatelach, prowokacje czy nieodpowiedzialne akcje dywersyjne poza granicami, uzasadnione starannie spreparowanymi komunikatami.

Z punktu widzenia prawa wszystko, co miało miejsce tego letniego wieczora w pewnej nie rzucającej się w oczy willi, gdzie spotkali się dyrektor DSD Almandin, jego pierwszy zastępca Jakuzzi zawiadujący siatką i działaniami operacyjnymi w kraju, i dowódca sztabu admirała Carnero, kapitan flagowy Maccaroni, miało cechy „zdrady państwowej w postaci spisku”. Jego uczestnicy, na tę okazję porzucając odwieczną niechęć „łapsów” do „mundurowych”, nie garnęli się do władzy — wcale nie; po prostu zwiadowcy zbyt dobrze wiedzieli, czym skończy się dla ich małego kwitnącego kraju jego pochłonięcie przez chciwy, despotyczny Gondor, i dlatego nie potrafili spokojnie ulokować się na fali za władzą, obfajdaną na rzadko. . .

— Jak się ma szef, kapitanie?

— Całkiem dobrze. Sztylet tylko drasnął jego płuco, a plotki, jakoby admirał jest umierający, rozpuszczamy my sami. Jego ekscelencja nie wątpi, że za kilka tygodni będzie już na nogach i nic nie przeszkodzi mu własnoręcznie dowodzić podczas operacji „Sirocco”.

— A my niestety mamy fatalne wieści, kapitanie. Nasi ludzie donoszą z Pelargiru, że Aragorn gwałtownie forsuje przygotowanie floty do agresji. Według ich szacunków, będzie ona gotowa za jakieś pięć tygodni. . .

— Grom i diabli! Jednocześnie z naszą!

— Właśnie tak. Nie muszę panu objaśniać, że w ostatnich dniach przed pełnym bojowym rozwinięciem armia i flota są zupełnie bezbronne — jak homar podczas linienia. Oni przygotowują się w Pelargirze, my — w Barangarze. Idziemy praktycznie łeb w łeb, można osiągnąć co najwyżej przewagę jakichś dwóch, może trzech dni, ale kto te dwa dni złapie, ten zgarnie przeciwnika ciepłutkiego w domowych pieleszach ojczystej przystani. Tylko taka jest różnica, że oni szykują się do wojny otwarcie, a my ukrywamy wszystko przed własnym rządem i dwie trzecie sił tracimy na maskowanie i dezinformację. . . Proszę powiedzieć, kapitanie, czy może pan jakoś przyspieszyć przygotowanie w Barangarze?

— Tylko za cenę osłabienia ich utajnienia. . . Ale chyba będziemy musieli zaryzykować, nie mamy innego wyjścia. Najważniejsze jest teraz, jak zamydlić oczy tym z Nadmorskiej 12, ale to, jak rozumiem, raczej pana specjalność. . .

Kiedy marynarz pożegnał się i wyszedł, szef DSD pytająco spojrzął na swego towarzysza. Wywiadowcy tworzyli zabawną parę — gruby, jakby wiecznie zasypiający w biegu Almandin, i chudy, dynamiczny jak barrakuda Jakuzzi. Przez lata współpracy nauczyli się rozumieć siebie nawet nie w pół słowa, a w pół spojrzenia.

— No?

— Mam tu materiały dotyczące szefa gondorskiej agentury. . .

— Kapitan Tajnej Straży Marandil, przykrywka — drugi sekretarz konsulatu.

— Właśnie ten. Rzadkie bydlę, nawet na ichnim tle. . . Ciekawe, czy wszystkie swoje szumowiny spławili do nas, do Umbaru?

— Nie sądzę. W Minas Tirith ci chłopcy działają tak samo jak i tu, to ich maniera. Tyle, że trupy są wrzucane nie do kanałów, a do dołów. . . Ale, skoncentrujmy się na sprawie.

— Dobrze. Ten Marandil. To jest taki bukiet szlachetności. . .

— I, jak rozumiem, chcesz go zwerbować za pomocą któregoś z tych kwiatusków z bukietu..

— Niezupełnie. Na to, co ma za sobą, nie uda się — Aragorn im wszystko darował. A bieżące. . . Po pierwsze, jest żałośnie nieprofesjonalny, a po drugie, zupełnie bez moralnego trzpienia i na pewno nie wytrzyma uderzenia. Jeśli tylko popełni jakiś błąd, za który można go będzie przydusić — jest ugotowany. A naszym zadaniem jest pomóc mu popełnić taki błąd.

— Cóż, pracuj w tym kierunku. . . A na razie rzuć im jakąś kość, żeby odciągnąć ich uwagę od zalewu Barangar. Oddaj im, na przykład. . . a nawet wszystko, co mamy na agenturę Mordoru!

— A na co ona im teraz?

— Na nic, ale jak słusznie zauważyłeś, ponieważ są tak kompromitująco nieprofesjonalni, to zadziała odruch rekina — najpierw połkną, a potem będą się zastanawiać: „Potrzebne nam to było?” Zaczną więc dzielnie patroszyć nikomu już niepotrzebną mordorską siatkę, zapomniawszy o reszcie świata. No i „gest dobrej woli” z naszej strony. To nam da trochę wytchnienia, a sami przygotowujemy sidła na Marandila.

Pulchne dossier DSD na siatkę Mordoru w Umbarze zostało tego samego wieczora przekazane na Nadmorską 12 i wywołało tam stan bliski euforii. A między innymi podpuchami była tam i taka: „Tawerna „Morski konik”, jedenasta rano, nieparzysty wtorek: wziąć butelkę tequili z cząstkami limony i usiąść przy stoliku w lewym tylnym kącie sali”.



**Umbar, tawerna „Morski konik”  
3 czerwca 3019 roku**

Gdy Tangorn pchnął zbite byle jak z okrętowego poszycia drzwi wejściowe i zaczął schodzić po oślizgłych stopniach do sali głównej, przesiąkniętej niemożliwą do usunięcia wonią gorzkiego czadu, starego potu i rzygowin, do jedenastej brakowało kilku minut. Ludzi z powodu wczesnej pory było mało, ale część miała już w czubie. W kącie para Chaldejów niejako z obowiązku tłukła pojękującego oberwańca. Chciał pewnie zniknąć, nie płacąc, a może coś gwizdnął. Na spuszczone mu manto nikt nie zwracał uwagi — czuło się, że takie estradowe numery wchodzi w koszty obsługi. „Morski konik” był lokalem szczególnego typu. . .

Na barona nikt nie zezował — wybrany przezeń na dziś strój fartownego chłoptasia wykonany był bezbłędnie: czwórka rżnących w kości Pomorzan z niewyobrażalnie wielkimi sygnetami na wytatuowanych łapach wyraźnie usiłowała określić położenie Tangorna w hierarchii świata przestępczego, ale nie mogąc się pogodzić wrócili do przerwanej gry. Tangorn tymczasem niedbale oparł się o kontuar i przyjrzał się sali, po szpanersku przerzucając z jednego kąta ust do drugiego wykałaczkę z drewna sandałowego o gabarytach niemal galerniczego wiosła. Nie miał złudzeń, że uda mu się odkryć, kto prowadzi tu kontrobservację, w końcu szanował swoich kolegów z Mordoru, ale. . . Przy kontuarze sączyli rum dwaj marynarze, sądząc po wymowie i ubraniu mieszkańcy Anfalas, jeden zupełny młokos, drugi nieco starszy.

— Skąd przyptynęliście, chłopcy? — przyjaźnie zagadnął baron.

Starszy popatrzył na szczura łądowego jak na puste miejsce i nie raczył odpowiedzieć. Młodszy nie utrzymał morskiego fasonu i wypalił sakramentalne:

— Pływają gówna i ryby, a marynarze idą w rejs!

Ta para chyba była prawdziwa. . .

Wypełniwszy w ten sposób punkt dotyczący „rozmowy”, Tangorn królewskim gestem cisnął na szynkwias złotą wendotenijską njanmę:

— Tequili mi daj, gospodarzu, ale najlepszej! Karczmarz z obwisłymi wąsami, które nadawały mu wygląda morsa prychnął:

— A my mamy, chłopcze, jedną. Jest ci ona i najlepsza, i najgorsza zarazem. Bierzesz?

— A co mam zrobić... Do tego, skoro już tak idzie, nastrugaj limony na zagrychę.

Gdy usiadł ze swą tequilą przy lewym narożnym stole, kątem oka zauważył jakiś ruch w sali i natychmiast, nawet nie szacując układu, zrozumiał: koniec, wpadka. Byli tu już przed nim, daje za to głowę, a to znaczy, że nie on przywłókł ich na „ogonie”. Sam kontakt jest „zaświetlony”, oczekiwali tu mordorskiego łącznika — i doczekali się... Ależ wpadł, najgłupiej jak można. Czwórka „Pomorzan” rozdzieliła się — dwaj zajęli pozycje przy drzwiach wejściowych, a pozostali dwaj już kierowali się do niego niedbałym kołyszającym krokiem, omijając stoły i nie wyjmując prawych rąk spod poły kamizel. Gdyby miał przy sobie Usypiacz, to oczywiście załatwiłby tych chojraków bez problemu i nawet by ich za bardzo nie pokroił. Ale bezbronny — miecz wyraźnie nie pasował do dzisiejszego przebrania — stał się ich zdobyczą. Ot, masz te swoje: „Prawdziwi zawodowcy nie noszą broni”! Przemknęła przez głowę kretyńska myśl: trzepnąć butelką o stół i... „Co ty pleciesz — obsztorcował siebie — „tulipan” to nie miecz, czterech ludzi nim nie potniesz. Możesz liczyć tylko na głowę... Na głowę i na Fortunę. Ale przede wszystkim należy zmaćić ich scenariusz i zyskać na czasie...” Tak więc nie zaczął nawet podnosić się im na spotkanie. Począł aż przy uchu zabrzmiało złowieszcze: „Ręce na stół, i siedź jak mysz pod miotłą”, i odwróciwszy się do mówiącego, syknął, jakby spluwając przez zęby:

— Idioci! Taką operację zafajdaliście... — Po czym westchnął i poradził zmęczonym głosem temu z prawej: — Zamknij paszczę, durniu, bo ci Nazgul wleci.

— Zaraz wstaniesz i pójdziesz z nami, i bez żartów — odparł tamten, ale w głosie jego już rozbrzmiała nutka niepewności: twarda minastiritska wymowa wyraźnie nie była tą, której się spodziewali z ust schwytanego orokueny.

— Oczywiście, że z wami, a z kim jeszcze. Dostaniecie po lewatywie z terpeniny za to, że pchacie się gdzie popadnie, nie powiadamiając Ośrodka, barany... Ale, jeśli pozwolicie — dodał z szyderczą uprzejmością — dopiję to: za swoje niedoszte kapitańskie pagony... Nie sterczcie tak nade mną, jak Białe Wieże! Gdzie wam mogę uciec! Broni nie mam — możecie mnie ostukać.

Prawy z „Pomorzan”, jak wyczuł, już był gotów zasalutować. Na lewego jednakże nie podziałało. Albo i podziałało, tylko lepiej znał instrukcje. Przycupnął przy stoliku, naprzeciwko barona, i dał znak towarzyszowi, by zajął miejsce za plecami Tangorna.

— Trzymaj ręce na stole, bo... sam rozumiesz. — Z tymi słowami nalał baronowi szklaneczkę tequili i wyjaśnił: — Sam cię obsłużę. Dla pewności.

— Wspaniale — uśmiechnął się baron. W rzeczywistości nie czuł się wspaniale — od frontu jeden, wpatruje się w twarz i oczy, drugi za plecami, niewidoczny, w każdej chwili może przygrzać po łbie. Nic miłego. — A palec też mi sam poli-

żesz?

A gdy w oczach tamtego błysnęła złość i obietnica: „Pogadamy jeszcze sobie...”, pokojowo roześmiał się, jak gdyby dopiero teraz zrozumiał:

— Wybacz, chłopie, nie miałem nic obraźliwego na myśli. Do mnie nie dotarło: przecież jesteś pewnie w tym mieście od niedawna i nie wiesz, jak się pije tequilę. Pewnie myślisz — bimber, świństwo! — ale nie, nic podobnego. To znaczy — tak, jeśli ktoś źłomie szklankami i bez zakąski, to rzeczywiście nie do przyjęcia. Ale tak naprawdę to znakomita rzecz, byle pić umiejętnie. Co jest najważniejsze? — Tangorn rozparł się na krześle i przymknął powieki. — Najważniejsze przełożyć jej smak solą i kwaskiem. Patrz: nakładasz na paznokieć kciuka szczyptę soli, a żeby nie spadła, należy to miejsce uprzednio polizać. — Z tymi słowami sięgnął do stojącego na środku stołu talerzyka z solą i papryką; „Pomorzanin” przy tym ruchu sięgnął za pazuchę, ale nie wrzeszczał „Ręce na stół!” Wyglądało, że uczciwie pobiera lekcję. — Teraz dotykasz soli samym koniuszkiem języka, i... hopla-a! Och, diabli-diabli-diabli! Co za świństwo dają w tym lokalu?! A teraz limonką ja, limonką... Dos-skonała!

— Albo inny, też dobry sposób... Nalej drugiego, skoro już robisz za kelnera! To już nie z solą będzie, a z papryczką. — Znowu sięgnął do solniczki, ale znieruchomiał w pół drogi i z rozdrażnieniem odwrócił się do drugiego „Pomorzanina”: — Słuchaj, koleś, daj do tyłu kapkę, co? Nie mogę jak ktoś tak wali czosnkiem prosto w moje ucho!

— Stoję zgodnie z instrukcją — odpowiedział tamten rozeźlony.

„Głupcze — pomyślał baron — „zgodnie z instrukcją” to nie wolno ci przede wszystkim wszczynać ze mną rozmowy. Ta wymowa: „instrukc-jom”... musi być urodzony w Lebennin... Zresztą, nieważne. Ważne jest to, że stoi nie dokładnie za mną, a o krok w lewo, i mierzy sześć stóp bez dwóch cali... Wszystko? Tak, wszystko: głowa zrobiła co mogła, teraz kolej na Fortunę...” Sekundę później Tangorn, wciąż niedbale rozwalony na krześle, sięgnął palcami do talerzyka z czerwoną papryką i, nie patrząc, lekkim ruchem przerzucił go przez ramię za plecy — dokładnie w twarz Lebennijczyka, a jednocześnie pod stołem gwałtownie wsadził czubek buta w goleń swojego rozmówcy.

Wiadoma rzecz: zaskoczony człowiek wykonuje wdech — tak więc teraz ten za plecami miał paprykę w płucach i nie pozbedzie się jej w najbliższej przyszłości. Osobnik z naprzeciwka bąknął coś jak: „U-łoj, sukinsyn!” i, zwinąwszy się z bólu, runął pod stół, ale chyba nie na długo — nie udało się złamać kości. Od drzwi już pędzili, wywracając krzesła, dwaj pozostali — jeden z umbarskim sztyletem, drugi z kiścieniem, a Tangorn dopiero szperał za pazuchą temu widaćemu się na podłodze. Spokojnie myślał, że jeśli ten ukrył tam jakieś gówno typu kastet czy rzucawki, to koniec... Ale nie — chwała Tulkasowi! To był wielki umbarski sztylet z tych, jakie noszą przy pasach górale Półwyspu: długości pół jarda, płynnie przechodzące w stożek ostrze, którym można zadawać nie tylko sztychy, ale

i cięcia. Żadne tam nie wiadomo co. Broń mężczyzny, nie złodzieja.

Jednakże spotkawszy się z parą spod drzwi pojął, że tak łatwo się nie wyrwie. Chłopcy nie pękali, a bronią władali co najmniej tak dobrze jak on. I gdy już lewą rękę odjęto mu po trafieniu kiścieniem, a z tyłu pojawił się trzeci, kulejący, ale już zdolny do walki, baron uznał, że sprawy stoją kiepsko. Zupełnie kiepsko. I zaczął walczyć poważnie, bez wygłupów.

\* \* \*

Ponury gondolier, otrzymawszy srebrną castamirkę, przybił do zrujnowanej towarowej przystani i pojawił się po kilku minutach z nowym odzieniem dla pasażera — prawdziwymi łachmanami, jeśli porównać je z eleganckim papuzim strojem „fartownego chłopca”, ale za to nie było na nich krwi. Tangorn, przebrawszy się w biegu — żeby nie tracić czasu, ukrył zdobyczny sztylet i srebrny żeton zdjęty z szyi jednego z „Pomorzan”. „Karanir, kapral Tajnej Straży Jego Królewskiej Mości Elessara Kamienia Elfów”. Kapralowi żeton już się nie przyda. . . „Trzeci miecz Gondoru” uszedł, pozostawiwszy po sobie zabitego i dwóch rannych. Zresztą o rannych, jak można sądzić, zatroszczono się odpowiednio — tajną policję w „Morskim koniku” kochano nie bardziej, niż w jakiegokolwiek innej portowej spelunie dowolnie wybranego Świata. . .

Sam otrzymał dwie rany — lekkie zadrapania; gorzej sprawa się miała ze sparaliżowaną od uderzenia ręką, ale i to nie była najważniejsza ze spraw zaprzatających w tej chwili umysł barona. W końcu ma na tę okoliczność coś z Haladdinowej apteczki. Reasumujmy. . . Czwórka „Pomorzan” zawinęła się i kropka, dopiero za jakieś dwie, trzy godziny ktoś się zainteresuje ich rozplynięciem w Umbarze. Ale ten odcinek czasu, to chyba jedyny plus w jego sytuacji. Wkrótce zacznie na niego polować cała gondorska siatka i, co jest o wiele poważniejsze, miejscowa policja. Są straszliwie skorumpowani, ale znają się na swojej robocie — wyśmienicie. To, że w „Morskim koniku” zaatakował ich stary znajomy baron Tangorn będą wiedzieli przez swoich informatorów już za kilka godzin, przez co zaraz zablokują port, a potem, pod wieczór, zaczną metodycznie przeczesywać miasto. W gwarze zwiadowców taką sytuację, jak jego określa się mianem „trędownoty z dzwoneczkiem”: nie ma prawa zwrócić się o pomoc do ludzi ze swojej starej „zakonserwowanej” siatki, ponieważ jego przedwojenne materiały mogły zostać przekazane Ośrodkowi w Minas Tirith, ani oddać się pod ochronę umbarskiej tajnej służby, bo ci mogą go osłaniać tylko, jeśli przyzna się, że jest „człowiekiem Faramira”, a tego na pewno nie robi. Najsmutniejsze jest to, że stracił bezpowrotnie łączność z mordorskimi agentami, jednymi ludźmi, którzy mogli pomóc

mu odnaleźć Elandara. . . Krótko mówiąc, zawalił robotę, a teraz sam nosi piętno śmierci, i to że nie ponosi żadnej winy jest bez znaczenia — misja Haladdina nie może się spełnić.

Tak więc, nie ma ani jednego agenta, ani jednego kontaktu, ani jednego punktu kontaktowego. Co więc ma? Pieniądze, dużo pieniędzy: ponad czterysta dunganów w sześciu skrytkach, do tego dobrze ukryta kolczuga z mithrilu, którą dał mu Haladdin do sprzedania, gdyby zawiodły skrytki Sharha-Rany. Ma też kilka rezerwowych nerek wcześniej przygotowanych „domowym sposobem” bez powiadamiania przełożonych — mogą je wygrzebać dopiero za kilka dni — i są pewne stare, ale czynne kontakty w świecie przestępczym. I to chyba wszystko. . . Nie ma nawet Usypiacza — miecz pozostał w domu Elwiss, a o powrocie na ulicę Jaspisową, jak i do „Szczęśliwej kotwicy”, nie ma co marzyć.

A gdy gondolier wysadził go w pobliżu portowych magazynów, jasne już było, że jedyna racjonalna taktyka w takim supernieprzyjemnym układzie to blefować na całego. Nie chować się po karaluszach szczelinach, a uderzyć samemu.

**Umbar, ulica Nadmorska 12**  
**4 czerwca 3019 roku**

Ichneumon wolnym krokiem przemierzał korytarze konsulatu. Im cięższa i niebezpieczniejsza była sytuacja, tym bardziej flegmatyczny, rzeczowy i uprzejmy — przynajmniej na oczach ludzi — powinien być dowódca. Tak więc, sądząc po spokojnym, trwale przyklejonym do oblicza Ichneumona uśmiechu, sprawy miały się fatalnie, albo i jeszcze gorzej.

Rezydenta, kapitana Marandila, zastał w jego gabinecie.

— Życzę zdrowia, panie kapitanie! Porucznik Ichneumon, oto mój żeton. Wykonuję u was, w Umbarze, całkowicie tajną misję Ośrodka. Żałuję, ale powstały pewne komplikacje...

Marandil nawet nie raczył oderwać oczu od swoich paznokci; całym sobą dawał do zrozumienia, że zadra na małym palcu lewej ręki zajmuje go znacznie bardziej niż komplikacje jakiegoś przyjeźdnego agenta. W tym momencie drzwi otworzyły się i porucznika bezceremonialnie odsunął na bok chłoptys o niemal siedmiu stopach wzrostu.

— Pora zaczynać, szefie! Dziewczyna, palce lizać!

— A wy już tam polizaliście czegoś słodziutkiego... — niby ganił, ale w gruncie rzeczy zachowywał taką niewymuszoną, domową atmosferę kapitan.

— Ależ skąd! „Prawo pierwszej nocy” ma senior, a my już tam po kolei... Ale panienska już jest rozebrana i czeka niecierpliwie.

— No to chodźmy, bo jeszcze zmarznie, czekając! Chłoptys zarechotał, a kapitan zaczął wyłazić zza biurka, ale natknął się na spojrzenie Ichneumona i zobaczył w tym wzroku coś takiego, że nagle zechciał wyjaśnić:

— To z nocnego połowu, z agentury Mordoru! I tak, ścierwo, w kanale wylądaje...

Ichneumon obojętnie oglądał kaflowy sufit gabinetu („Co za brak gustu!”) i poważnie obawiał się, że nie powstrzyma zalewającej go fali szału, która wypłynie przez źrenice. Oczywiście — wywiad to okrutna zabawa, a przesłuchanie trzeciego stopnia, to przesłuchanie trzeciego stopnia; „dziewczynka” powinna wie-

dzieć, na co się waży, kiedy wplątywała się w te gierki, to jest uczciwe i zgodne z regułami. . . Ale niezgodne z regułami, absolutnie niezgodne z regułami jest to, jak zachowują się jego koledzy po fachu, ta „słodka para”: jakby nie pod pagonami służyli, a pod. . . Zresztą, diabli by ich wszystkich — zaprowadzenie porządku w regionalnych sieciach nie wchodzi w zakres obowiązków „Feanora”. Przynajmniej na razie. Więc porucznik ponownie zwrócił się do Marandila, przybierając tak przekonujący ton, że każdy choć trochę myślący człowiek zrozumiałby, że to koniec, dalej już nie można.

— Proszę o wybaczenie, panie kapitanie, ale to sprawa nie cierpiąca zwłoki — może mi pan wierzyć na słowo. A z tym zajęciem — skinął w kierunku chłoptysia — pańscy podwładni znakomicie poradzą sobie i bez pana.

Chłoptysz aż się zachłysnął rechem i, wyraźnie popierany uśmiechem szefa, leniwie rzucił:

— Daj spokój, poruczniku! Wiadoma sprawa — trzy czwarte spraw rozwiązują się same, a reszta jest po prostu nierozwiązywalna. Wal lepiej z nami do piwniczki. Tobie, jako gościowi dziewczątka da poza kolejką. Chcesz — to ona ci polize, a jak nie, to ty jej. . .

Marandil z niemą rozkoszą obserwował, jak się załatwia stołecznego wizytanta. Oczywiście, trzeba będzie mu pomóc, nic się nie poradzi, ale niech najpierw poczuje jak należy: w Umbarze jesteś, gościu miękki, nikim, a nazywasz się — nikt. . .

— Jak ty stoisz w obecności starszych stopniem? — odezwał się bezbarwnym głosem Ichneumon. Zmierzył spojrzeniem chłopaka i zatrzymał spojrzenie na czubkach jego butów.

— A bo co? Normalnie chyba stoję — nie padam z nóg!

— Niezły pomysł. . . — oświadczył w zamyśleniu porucznik i lekkim jak tańczone *pas* krokiem ruszył do przodu. Był niższy od swego przeciwnika o głowę i niemal dwukrotnie węższy w ramionach, tak więc tamten uderzył nie z całej siły — pięść miał wielkości odważnika, odrobinę za mocno stuknie i załucze jak muchę. . . Uderzył i zamarł zdumiony: Ichneumon nie to, żeby się uchylił od uderzenia czy wycofał — po prostu zniknął, dosłownie rozpląnął się w powietrzu. Chłoptysz stał z wytrzeszczonymi oczami, póki z tyłu ktoś nie klepnął go w ramię: „Hej!”, a ten odwrócił się, bęwał. . .

Ichneumon przekroczył rozpostarte na podłodze ciało — z obrzydzeniem, jakby to był stos nawozu — zatrzymał się przed odruchowo cofającym się za biurko Marandilem, w oczach którego kotłowała się wyraźna panika, i oschle zauważył:

— Coś podwładni się tu wywracają z byle powodu. Nie dajecie im jeść, czy co?

— Ostry z ciebie gość, poruczniku! — zdobył się na uśmiech zapytany. — Nie złość się: po prostu chcieliśmy zobaczyć cię w akcji. . .

— Tak właśnie to odebrałem. Czy uważamy temat za zamknięty?

— A czy ty nie jesteś przypadkiem z tych... jak im tam *ninjokwe*

— To inna technika, choć zasada jest taka sama... Wróćmy jednak do naszych spraw. Co do piwnicznych rozrywek: obawiam się, że przyjdzie panu tu posiedzieć, bo — proszę wybaczyć płaski kalambur — tam pana nie stanie. Proszę polecić swoim ludziom, żeby zaczynali bez pana. I niech też zabiorą stąd tego chamowatego młodzieńca.

Za wino, jak i za kawę Ichneumon podziękował, i od razu przeszedł do sedna sprawy:

— Wczoraj wasi ludzie usiłowali ująć w „Morskim koniku” barona Tangorna. Co to ma znaczyć? Czy pan aby czasem nie zapomniał, że Ithilien jest wasalem gondorskiej korony?

— Ależ nie mieliśmy pojęcia, że to Tangorn! Po prostu on się pojawił na przechwyconym przez nas kontakcie, więc chłopcy zdecydowali, że to jest ten łącznik.

— Aha... — Ichneumon na krótką chwilę przymknął powieki. Cóż, to zmienia postać rzeczy... Teraz już nie ma żadnych wątpliwości, że baron jest mocno związany z Mordorem. Zresztą, dla Mordoru też już jest nieprzydatny...

— Proszę się nie niepokoić, ujmijmy go jeszcze przed wieczorem. W poszukiwaniach uczestniczą nie tylko nasi ludzie, ale również policja Umbaru. Znaleźli już jedną jego norę, porzucił ją dosłownie pół godziny przed ich przyjściem.

— To właśnie jest celem mojej wizyty. Natychmiast proszę przerwać poszukiwania barona Tangorna. Policji proszę nakłamać, że niby doszło do nieporozumienia, brak łączności dwóch bratnich służb specjalnych. Jednym słowem: „Kto się czubi — ten się lubi”. Zwłaszcza, że to w pewnym stopniu odpowiada rzeczywistości.

— Nie rozumiem pańskiego poczucia humoru!

— Wcale pan nie musi, kapitanie. Zna pan tę sygnaturę „RUN”? — Marandil zerknął na jedwabny papier w ręku porucznika i wyraźnie zbladł. — Baronem zajmuję się ja, i pańskich ludzi to zupełnie nie dotyczy. Proszę ich odwołać, a co najważniejsze — powtarzam — natychmiast powiadomić umbarską policję: jeśli Tangorn trafi w ich ręce, a nie w moje, to będzie to katastrofa, za którą obaj odpowiemy głowami.

— Ale, panie poruczniku... On już zabił czworo moich ludzi!

— Słusznie zrobił — wzruszył ramionami Ichneumon. — Durni, którzy zaczynają się kumplować z zatrzymanymi należy zabijać. Na miejscu... Teraz tak: pan ucina wszelkie aktywne poszukiwania Tangorna i spokojnie czeka. Niewykluczone, że w najbliższym czasie on się sam ujawni...

— „Ujawni się sam”? Przecież nie jest psychiczny.

— Wcale nie. Po prostu, sądząc z okoliczności, trafił w sytuację bez wyjścia. A baron — jak go sobie wyobrażam — należy do ludzi skłonnych do gry na całego... Tak więc, jeśli dojdzie do pana coś takiego natychmiast proszę powiadomić



mnie. Podnieście na maszcie konsulatu porporczyk Dol Amroth, i wkrótce pojawi się ktoś po informacje, po czym na zawsze zapomnicie o tym, że słyszeliście takie imię — Tangorn. Jasne?

— Tak jest! Proszę posłuchać, panie poruczniku, wygrzebaliśmy, że miał tu wcześniej kobietę...

— Jaspisowa 7, o tej mówimy?

— Tak... — przyznał rozczarowany Marandil. — Więc pan już wie?

— Oczywiście. Wydaje mi się, że spędził tam przedwczorajszą nockę. I co dalej?

— No to trzeba nią potrząsnąć?

— Tak? I co pan ma nadzieję wytrząsnąć? — Ichneumon skrzywił się. — W jakich pozycjach uprawiali miłość i ile razy w nocy miała orgazm? Co ona jeszcze może panu opowiedzieć? Tangorn nie jest idiotą, żeby wprowadzać kochankę w swoje służbowe sprawy.

— Ale mimo wszystko...

— Kapitanie, powtórzę raz jeszcze: proszę wyrzucić z głowy wszystko, co wiąże się z Tangornem — to są teraz moje problemy, nie pańskie. Jeśli spotka pan Tangorna na ulicy proszę przejść na drugą stronę, a potem po prostu wciągnąć na maszt dol amrońskiego Łabędzia, dobrze? I przy okazji — co do pańskich problemów: pan teraz wytrząsa, tak zrozumiałem, starą mordorską siatkę. Proszę mi wybaczyć głupie pytanie, ale po co?

— Jak to „po co”?

— Tak. W czym, proszę mi wytłumaczyć, przeszkadzała panu? A jeśli nawet, to dlaczego zaczął ich pan wyłapywać, zamiast trzymać pod kloszem i „wyświetlić” kontakty?

— Spieszyliśmy się, bo gdyby DSD prowadził podwójną grę...

— DSD?! Więc to oni wam cisnęli tę mordorską siatkę?

— No tak! „Gest dobrej woli”.

— Kapitanie, przecież to bajki dla umysłowo opóźnionych dzieci! Czy nie zechce pan jeszcze raz pomyśleć, po co zrobili wam taki królewski prezent? Czego od was chcą w zamian? Dobra, to już — jak powiedziałem — wasze problemy, róbcie co chcecie. Żegnam uprzejmie!

Ichneumon skierował się do drzwi, ale w połowie drogi nagle odwrócił się:

— I jeszcze jedno. Uprzedzając pańską służbową gorliwość, kapitanie... — Zawahał się na chwilę, jakby wyszukiwał odpowiednie słowa. — Tak więc, jeśli ktokolwiek z twoich ludzi podejdzie do domu na Jaspisowej bliżej, niż na trzy strzały z łuku, nakarmię cię omletem z własnych jaj. Rozumiesz mnie?

Skrzyżowali spojrzenia tylko na chwilę, ale Marandilowi wystarczyło to, by zrozumieć, że z całkowitą pewnością nakarmi.

Przewidywania Ichneumona spełniły się następnego dnia. Marandil otrzymał wiadomość, że pilnie chce się z nim spotkać jeden z pracowników operacyjnych

policji Umbaru, inspektor Waddari. Inspektor nie znajdował się w gronie tych policjantów, co to, nie kryjąc się, pracowali dla konsulatu Gondoru, ale miał niezłe wyobrażenie o wszystkich tych gierkach. Był to stary i doświadczony wywiadowca zorientowany w podszewce życia jak mało kto. Zarówno z powodu wieku, jak i kwalifikacji od dawna już powinien nosić pagony komisarza — z tego też powodu „brał w łapę” bez najmniejszych skrupułów. Należy zauważyć, że korupcja w policji umbarskiej w ogóle uświęcona była wielowiekową tradycją, a policjant czy celnik, nie biorąc łapówek, wywoływał zaniepokojenie nie tylko kolegów i przełożonych, ale i uczciwych obywateli. „Nie, chłopaki, do tego gada nie można się plecami odwrócić”. Waddari jednak różnił się od swych kolegów po fachu tym, że otrzymane honorarium odpracowywał uczciwie i do końca, bez uciekania się do tekstów o „obiektywnych trudnościach”.

— Wasi ludzie, panie sekretarzu, szukali niejakiego Tangorna, ale wczoraj poszukiwania zostały niespodziewanie przerwane. Czy pana jeszcze interesuje ten człowiek?

— N-no-o... Chyba tak — ostrożnie wychylił się w jego kierunku Marandil.

— Jestem gotów podać panu dokładne miejsce jego pobytu dzisiejszego wieczoru. Jeśli dogadamy się co do ceny...

— Czy mogę wiedzieć, skąd ma pan tę informację?

— Może pan. Przysłał do mnie list i wyznaczył mi spotkanie.

— A dlaczego postanowił pan zdradzić swego potencjalnego klienta?

— Nawet mi to nie przyszło do głowy. Po prostu w opisanych przez niego warunkach spotkania nigdzie nie jest powiedziane, że nie mogą o nim wiedzieć osoby postronne. A skoro Tangorn nie przewiduje takiej ewentualności, to jest zwyczajnym głupcem, z którym nie warto mieć do czynienia.

— Hmm... I ileż pan chce?

— Trzy dungany.

— Ile?! Chłopie, chyba zupełnie zwariowałeś?! Zerwała ci się przekładnia na realia?

— Ja proponuję, a...

— Ja, jeśli chcesz wiedzieć, w ogóle na to kładę i dalej jadę...

— A ty mi tu kitu nie wciskaj — jestem operem, a nie jakimś frajerem! Półtorej doby ryjecie ziemię nosami, a potem nagle: „Ach, zmyłeczka-pomyłeczka!” Każdy dureń wie, że tego kaczora poszukuje teraz inna drużyna, a umbarska policja została na boku... Tak więc, będę musiał sam się skoncentrować i wywieźć, kto tam depcze temu facetowi po piętach. Ale czas ucieka!

— Dobra: dwa.

— Powiedziane trzy, znaczy trzy. Co to, o fistaszki na bazarze się targujemy? I nie zaciskaj tak dupy, przecież to nie twoje prywatne pieniądze lecą.

— Dobra, dobra! Dwa z mety, a trzeci — jak go weźmiemy, według twego namiaru.

— O, nie! Ja powiem gdzie i kiedy, a cała reszta to już twój problem. Mnie to zwisa i trzepece. Trzy, i to już.

— Fajnie, a jak po prostu mnie kiwniesz?

— Posłuchaj, jesteśmy poważnymi, dorosłymi ludźmi. Nie jestem portowym menelem, co za butelkę sprzedaje mapę ze współrzędnymi pirackiego skarbu.

Schowawszy monety do kieszeni, Waddari zaczął instruować Marandila:

— Wiesz, gdzie jest plac Castamira?

— To ten, gdzie na środku jest jezioro z trzema wpadającymi do niego kanałami?

— Właśnie ten. Jezioro jest okrągłe, sto pięćdziesiąt jardów średnicy, kanały wpadają pod kątem stu dwudziestu stopni — na dwunastej, czwartej i ósmej godzinie według cyferblatu, jeśli liczymy od rostralnych kolumn. Nabrzeże jeziora jest poprzecinane schodami schodzącymi do wody — po dwie pary na każdym odcinku między kanałami, łącznie sześć. O siódmej wieczorem mam być na tych schodach, które stykają się z kanałem na godzinie ósmej, ubrany w purpurową pelerynę i kapelusz z czarnym piórami. Na jednym z kanałów pojawi się wynajęta gondola — wodny przewoźnik. Gondolier zabierze mnie, i dalej będzie płynął zgodnie z moimi wytycznymi. Ja mam poruszać się gondolą od schodów do schodów, ale nie kolejno, wzdłuż brzegu, a przecinając jezioro: siódma godzina — jedenasta godzina — trzecia godzina, i tak dalej. Wszystko jasne?

— Najzupełniej.

— O tym czasie nie ma praktycznie ruchu na jeziorze, jeśli pojawią się inne gondole, to mam przycumować i poczekać, póki nie wpłyną do kanałów. Tangorn zejdzie z którychś schodów — jeśli, rzecz jasna, przekona się, że nie ma zasadzki — i wsiądzie do mojej gondoli. Będzie przebrany i ucharakteryzowany. Poznamy go, gdy wyjmie z zanadru fioletową chusteczkę i dwukrotnie nią machnie. I to wszystko. Ster w twoje ręce, sekretarzu. Powodzenia.

Waddari wstał i ruszył do wyjścia z kawiarni, gdzie odbyło się spotkanie. Po drodze przemknęła mu myśl: „Głowę dam sobie obciąć, że owinie ich dokoła palca...”

Kapitan zaś, wróciwszy do konsulatu, po pierwsze, wypełnił księgowy dowód wypłaty na wydatki agenturalne: 4 (słownie — cztery) dungany. Zamierzał napisać „pięć”, ale powstrzymał się: chciwość może frajera zgubić, natomiast ptaszęta po ziarnku dziobią, a syte są... No to jak, podnosić flagę Dol Amroth i oddać Tangorna na tacy temu stołecznemu cwaniakowi? „A wiesz co? Jeź ci w zadek, a nie koronną operację — zdecydował niespodziewanie. — Taki rozkład jaki dziś wypadł, przychodzi raz w życiu. Schwytam go sam, a zwycięzców się nie sądzi”. Przypomniał sobie nagle oczy Ichneumona i wstrząsnął nim dreszcz. A może, niech go diabli? „Nie — uspokoił siebie. — Sprawa jest czysta i pewna, bez pu-

dła: mam dokładny czas i miejsce spotkania, mam trzydziestu dwóch pracowników operacyjnych i pięć godzin na przygotowania — a w ciągu pięciu godzin, jak pamiętam. Demiurg Aritan stworzył Ardeę z całym jej nadzieniem: wodę z rybami, powietrze z ptakami, ziemię ze zwierzętami, ogień ze smokami i człowieka z wszystkimi jego ohydztwami. . .”

## 43

### Umbar, plac Castamira Wielkiego 5 czerwca 3019 roku

— Ilu naliczyłeś, Jakuzzi?

— Trzydziestu dwóch.

— A ja widzę tylko tuzin. . .

— Wolałbym nie wskazywać ich palcem. . .

— Ależ, niech cię Jedyny broni, kochaneczku! W końcu jesteś operem, a ja tylko analitykiem, już chociażby z tego powodu masz o wiele więcej atutów w ręku niż ja. — Almandin spokojnie odchylił się na oparcie plecionego krzesła, smakując wino; siedzieli pod pasiastym płóciennym dachem jednej z licznych małych kafejek na placu Castamira, niemal pod rostralną kolumną całą naszpikowaną odciętymi dziobami gondorskich okrętów, i leniwie obserwowali przepływ wieczornego tłumy. — Cóż, jeśli naprawdę jest ich trzydziestu dwóch, to Marandil wyprowadził na akcję cały skład rezydentury, prócz ochrony obiektu. . . A — nawiasem mówiąc — naszego solenizanta nie widzisz czasem?

Jakuzzi jeszcze raz obrzucił spojrzeniem wypełnione tłumem nadbrzeżne deptaki brudnawego, okrągłego jeziora. Szlachetni panowie i morscy oficerowie, straganiarze i wymalowane ulicznice, muzykanci i wróżbiarze, żebracy i złodziejaszki. . . Pracowników gondorskiej rezydentury rozpoznał wśród nich błyskawicznie, choć niektórzy zamaskowani byli, trzeba im przyznać, nadzwyczaj udanie, ale barona ku swojemu wyraźnemu niezadowoleniu, nie potrafił wykryć. Chyba, że. . . Nie, to głupie.

— Wygląda, że go tu nie ma. Pewnie też oszukał tych chłopaków i cichuteńko dał nogę.

— Owszem, tak by postąpił profesjonalista — skinął głową Almandin. — Ale baron będzie działał inaczej. Założymy się?

— Zaraz. . . — Zastępca dyrektora do spraw operacyjnych zatroskany popatrzył na swego przełożonego. — Więc pan uważa, że Tangorn jest dyletantem?

— Nie dyletantem, drogi mój Jakuzzi, a amatorem. Wyczuwa pan ten niuans?

— Przyznaję, że nie bardzo. . .

— Profesjonalista to nie ten, kto w stopniu doskonałym posiadał technikę rzemiosła, bo to akurat baron ma opanowane bezbłędnie, a ten, kto otrzymawszy zadanie, zawsze doprowadzi do pożądanego wyniku bez względu na zaistniałe okoliczności. . . A baron — tak wyszło — nigdy nie pracował za pieniądze. Nie jest związany ani przysięgą, ani umberto i przyzwyczajony jest do niesłychanego komfortu: robienia wyłącznie tego, co uważa za słuszne. I jeśli okaże się, że rozkaz przeczy jego wyobrażeniom o honorze i sumieniu, to on po prostu nie będzie go wykonywał. Będzie miał w nosie konsekwencje dla siebie osobiście i dla sprawy. Sam pan rozumie — miejsce takiego człowieka jest nie w szeregach służby wywiadowczej, a w wendotenijskim klasztorze. . .

— Chyba rozumiem, co pan ma na myśli — skinął w zamyśleniu głową Jakuzi. — Baron żyje w świecie moralnych stereotypów i zakazów, nie do pomyślenia dla nas, zawodowców. . . Wie pan co? Odświeżałem sobie w pamięci jego dossier i natknąłem się na ciekawą rozmowę — przyjacielska rozmowa po pijaku. Zapytano go, czy jest zdolny uderzyć w razie konieczności kobietę? On przez jakiś czas zastanawiał się, i to zupełnie serio, a potem przyznał, że zabić może by i dał radę, ale uderzyć — nigdy, w żadnej sytuacji. . . Zresztą, jegoteczka w ogóle jest zabawna. Powiem panu, że to nie dossier, a jakiś literacki pamiętnik: niemal połowa tego to wiersze i artystyczne przekłady. Pomyślałem wtedy, że takiego pełnego wydania takato Tangorna, jak ma nasz departament, nie znajdziesz nigdzie na świecie. . .

— Szkoda tylko, że będziemy mogli je opublikować nie wcześniej niż za sto dwadzieścia lat, zgodnie z prawem o odtajnieniu. . . O! Gondola. . . No to jak? Zakładamy się, że wykręci jakiś szalony numer i ostatecznie okręci sobie wszystkich dokoła palca?

— Mnie się wydaje, że raczej powinniśmy się modlić o przychylność Fortuny, a właściwie o błąd Marandila. . .

Mała trzymiejscowa gondola przycumowała do schodzących ku wodzie stopni, żeby wziąć na pokład jegomościa w purpurowym płaszczu i kapeluszu z czarnym pióropuszem, a następnie zaczęła wolno przecinać toń jeziora. W tym momencie na twarzy Jakuziego pojawił się jakiś senny wyraz; wyjął z kieszeni złotony sangwinowy ołówek, nakreślił nim kilka słów na serwetce, odwrócił ją tekstem do dołu i mówiąc: „Dobra. Można obstawiać. . .”, przekazał ołówek Almandinowi. Ten również coś napisał i obaj, nie odzywając się do siebie, zaczęli przyglądać się rozwojowi wypadków.

Gondola opisała niezupełnie zamknięty trójkąt i wróciła do schodów, sąsiadujących z tymi, skąd zaczęła swoją trasę. Miejsce to było okupowane przez grupę trędowatych, okutanych w pasiaste chałaty — tu zebrali o wsparcie. „Zimny trąd” jest chorobą śmiertelną i nieuleczalną, jednakże w odróżnieniu od „gorącego” praktycznie nie zakaźną — można się nią zarazić tylko zgniatając jeden z tych małych wyprysków, którymi pokryte są twarz i ręce chorego, lub na przykład pi-

jąc mleko z tego samego kubka. Dlatego chorzy nigdy nie byli usuwani ze skupisk ludności, a khandyjscy hakimianie uważali ich nawet za szczególnie miłych Bogu. Dzień po dniu te żalosne postacie owinięte w pasiaste chałaty, bezgłośnie domagały się litości przechodniów i jakby przypominały im: porównajcie to z tym, co się wam wydaje nieszczęściem w waszym codziennym życiu. . . Trędowaci trwali w takim bezruchu, że wydawało się, iż tworzą jakąś architektoniczną kompozycję, coś jakby wymyślne pachołki do cumowania gondol. Dlatego, gdy jedna z tych owiniętych tkaniną postaci wstała i, nieco kulejąc, ruszyła po schodach, stało się jasne — oto, zaczęło się. . .

Trędowaty wszedł na górny stopień, w jego dłoni pojawiła się wyciągnięta z rękawa fioletowa chusteczka. W tej samej chwili grupa gapiów, kręcących się wokół ulicznego sztukmistrza, który żonglował trzema sztyletami o jakieś dwadzieścia jardów od schodów, rozpadła się: dwaj runęli w prawo i w lewo, odcinając człowiekowi w chałacie drogę ucieczki, a dwaj inni i sam sztukmistrz, chwyciwszy fruujące w powietrzu kindżały, rzucili się wprost ku zdobyczy. Teraz stało się jasne, że człowiek ów trochę źle obliczył odległość: zaczął schodzić ku wodzie, gdy gondola była za daleko — jakieś piętnaście jardów od brzegu. Zresztą, może by i zdążył wskoczyć do łódki i uratować się, ale przeszkodziło tchórzostwo pasażera w płaszczu i kapeluszu, który, widząc trzech uzbrojonych prześladowców, wystraszył się tak mocno, że gondolier, ulegając jego panicznej gestykulacji, zaczął wiosłować do tyłu, porzucając współnika pasażera na brzegu. Człowiek w chałacie rozpaczliwie miotał się na najniższym stopniu schodów — ratunku znikąd. . . Po kilku sekundach dopadli go „gapie”. W mgnieniu oka wykręcili mu ręce na plecy, a „żongler” niemal bez zamachu przysolił mu w wątrobę i natychmiast, jednym jakby ruchem, kantem dłoni w szyję. I już, po wszystkim. „Za tyłek, i do suki”.

Jednakże, gdy „trędowatego” zaczęli wlec ze schodów na nadbrzeże, dokoła zgromadził się oburzony tłum: do takiego traktowania chorych żebraków mieszkańcy Umbaru nie byli przyzwyczajeni. Dwaj przypadkowi hakimianie w żółtych tiubietijkach pielgrzymów natychmiast zaczęli bronić „bożego człowieka” i awantura zaczynała powoli przeradzać się w bójkę. Ludzie Marandila ze wszystkich końców placu walili — ramię do przodu — przez gęstniejący tłum do miejsca wydarzeń, a gdzieś w oddali już rozlegał się szarpiący nerwy trzel policyjnego gwizdka. . . Człowiek w purpurowej pelerynie w tym czasie wysiadł na brzeg, o trzy pary schodów od miejsca awantury, opuścił gondolę i niespiesznie zaczął się oddalać. Z daleka widać było, że los fałszywego trędowatego wcale go nie obchodzi.

— No, jak się panu podobał spektakl, drogi mój Jakuzzi?

— Wspaniały. Naprawdę w osobie Tangorna straciliśmy znakomitego reżysera. . .

W wyrazie twarzy zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych nic się niby nie

zmieniło, ale Almandii znał tego człowieka od wielu lat, i dlatego widział, że straszliwe napięcie, w jakim ten przebywał przez ostatnie dziesięć minut, rozmyło się, a w kącikach ust pojawił się nawet cień triumfującego uśmiechu. Cóż, to w końcu i jego zwycięstwo... Jakuzzi tymczasem zatrzymał przechodzącego obok kelnera:

— Przyjacielu, butelkę nurneńskiego!

— Nie boisz się wystraszyć Fortuny?

— Wcale. Wszystko już się dokonało, i mamy już Marandila w kieszeni.

Oczekując na wino, z zainteresowaniem przyglądali się, jak rozwija się sytuacja na nadbrzeżu. Bójka niespodziewanie się skończyła, choć rejdach chyba nawet się nasilił, a na miejscu awantury utworzyła się wolna przestrzeń, pośrodku której leżał człowiek w chałacie, usiłując wstać na nogi. „Gapie” i „żongler” całkowicie stracili zainteresowanie swą zdobyczą: nie tylko wypuścili ją z rąk, ale gwałtownie odskoczyli do tyłu. Jeden z nich oglądał swoje dłonie, a na twarzy miał wypisane przerażenie.

— Widzi pan, do chłopaków dotarło w końcu, że trędowaty jest prawdziwy! A nie jest to ten przypadek, o którym się mówi „lepiej późno, niż wcale”... Łapiąc go, na pewno rozgnietli masę ropni na rękach i wysmarowali się po czubki głów osoczem, tak więc — cała trójka już jest martwa... Reagują bardzo emocjonalnie, ale trudno mi ich osądzać... Dowiedziawszy się, że zostało im kilka miesięcy życia, jeśli to w ogóle można nazwać życiem, mogli stracić głowy. Trudno jest zachować kamienny spokój.

— Trędowaty, mam nadzieję, nie został pokrzywdzony?

— Och, na pewno nie! Sądzę, że każdy szturchaniec zaowocował co najmniej castamirką: Tangorn nie jest z tych bęcwałów, co to usiłują zaoszczędzić na drobniactwach... Jak to się mówi u nich, tam na Północy, nie próbuje się „z gówna zbierać śmietany”, czy tak?

Gdy złote nurneńskie małymi gejzerami zakipiało w kieliszkach, Jakuzzi bezczelnie — mógł sobie na to dziś pozwolić — zapytał:

— Kto płaci?

Almandin skinął głową i odwrócił swoją serwetkę, potem porównał oba zapisy i uczciwie przyznał:

— Będę musiał ja.

Na jego serwetce napisane było jedno słowo: „Gondolier”, a jego zastępca napisał: „Gondolier — T. Na brzegu odbędzie się akcja osłonowa”.



## 44

Gdy na nadbrzeżu ucichły ostatnie odgłosy awantury, a trędowaty zajął swe normalne miejsce, Almandin zapytał:

— Słuchaj, a gdybyś to ty był na miejscu tego bałwana Marandila? Nie pytam: czy potrafiłbyś ująć barona, bo to uwłaczające pytanie, ale ciekawi mnie, ilu ludzi byś potrzebował? W porównaniu do tych trzydziestu dwóch?

Jakuzzi milczał pół minuty, obliczał coś, przypatrując się nadbrzeżu, a potem orzekł:

— Trzech. Przy tym wcale nie trzeba by było angażować jakichś wspaniałych fechmistrzów czy innych mistrzów walki wręcz. Musieliby tylko mieć podstawy pracy z jedwabną siecią. Widzi pan — wszystkie trzy kanały wpadają do jeziora pod niskimi mostkami: ich prześwity to mniej niż dziesięć stóp. Stawiam na każdym z nich po jednym człowieku. To, że przedmiotem akcji jest gondolier, wiadomo, ale i tak mielibyśmy umówiony system sygnalizacji. . . Gdy przepływa pod mostkiem, oper rzuca sieć, potem skok na dół, do gondoli, i ukłucie igłą zanurzoną wcześniej w soku mancenilli. . . Pan miał całkowitą rację, szefie: ten jego zamysł to najczystsza afera obliczona na durnia. Manewr osłonowy z trędowatym był niezły, ale to nie zmienia sedna sprawy. . . Żaden zawodowiec nie wsadzi w ten sposób łba w pętlę. To rzeczywiście amator — wspaniały i fartowny. Uda mu się raz, drugi, ale za trzecim skręci sobie kark. . .

— Popatrz — przerwał mu Almandin, wskazując palcem na przeciwległy koniec placu — nasz niezastąpiony Waddari już chwyta biednego Marandila za różne takie czułe miejsca. . . Ten nie odpuści nikomu! A przy okazji. Sam pójdziesz werbować kapitana, czy pošlesz kogoś ze swych ludzi?

\* \* \*

Kafejka była identyczna jak ta, w której siedziało szefostwo DSD: takie same plecione krzesła, taki sam pasiasty dach — tylko atmosfera przy stoliku była

znacznie mniej świąteczna. Gondorski rezydent był po prostu załamany: nie odrywając spojrzenia od leżącego na obrusie żetonu — „Karanir, kapral Tajnej Straży Jego Królewskiej Mości Elessara Kamienia Elfów” — kiwał głową, wsłuchując się w słowa Waddariego:

— Tak więc, baron dziś po prostu sprawdzał czy w „Morskim koniku” łapano go przypadkowo, czy to zaplanowana akcja. Teraz już wie wszystko i przekazuje panu ten żeton, a słowami oto dosłownie co powiedział: „Ja was nie ruszałem, ale skoro chcecie wojny, to ją macie. A skoro mało wam siedmiu nieboszczyków, to otwieram sezon polowań na waszych ludzi w całym Umbarze. Jeszcze zobaczycie, co to znaczy samotny mistrz przeciwko zgrai obdartych darmożjadów”. Zresztą, to już pana z nim rozliczenia, mnie to nie rusza. Ale my mamy jeszcze pewną sprawę. . .

— Jaką znowu sprawę? — Marandilowi, jak się wydaje, było już wszystko jedno. Nawet jego „goryle”, sterczący dla asekuracji przy pobliskim stoliku, widzieli, że z szefem nie jest dobrze.

— Bardzo prostą. Jeśli Tangorn nie przyszedł na spotkanie ze mną to pół biedy. Ale jeśli przyszedł, a wyście wszystko spartolili i nie skumali kim jest gondolier — to już zupełnie inna działka. Nie wiem czy głowę, ale oficerskie sznury za taką wpadkę na pewno ci zdejmą. . . Ale ja mam zaraz pisać protokół ze spotkania — list Tangorna przyszedł na policję zwykłą pocztą i został zarejestrowany w kancelarii. . . Hej, przestań mi tu durnia strugać! Ja ci dam sygnał do „goryli”! Ja też tu nie jestem sam. . . Myślisz, że mnie sprzątniesz i sprawa przyschnie? No właśnie, siadaj sobie spokojniutko. . . Co to za jakieś północne obyczaje? Zabierać siłą, to, co ci proponują żebyś kupił? Uwierz, jest mi wszystko jedno, kto w moim raporcie będzie siedział w gondoli. . . Co tak milczysz?

— Nie rozumiem. . .

— Chłopie, tyś chyba ze smutku zupełnie zgłupiał. To proste jak świński ogon: pięć dunganów — i nie było żadnego gondoliera. To znaczy był, ale nie Tangorn. Wart jest kapitański żeton pięciu dunganów, jak sądzisz?

Gdy inspektor wrócił do swego nieprzytulnego kawalerskiego mieszkania, zdążył już oszacować propozycję Tangorna. Oczywiście, baron nie ryzykował dzisiaj życia tylko po to, żeby wykończyć trzech gondorskich operacyjnych i oficjalnie oświadczyć Marandilowi: „Oko za oko!” Prawdziwym celem było, choć to może brzmi dziwnie, spotkanie z Waddarim, którego chciał wynająć do pewnego delikatnego zadania. Praca nie była specjalnie skomplikowana, (problemem mógł być tylko termin — zaledwie tydzień), ale bardzo niebezpieczna: każdy błąd zaprowadzi inspektora prosto do śmierdzącej krwią, spalonym mięsem i przedśmiertnymi torsjami piwnicy na Nadmorskiej 12. W przypadku zaś sukcesu baron gotów był wyasygnować sto pięćdziesiąt dunganów — wynagrodzenie komisarza policji za dwanaście lat uczciwej służby. Waddari oszacował ryzyko i uznał, że sprawa jest tego warta. Waddari nigdy nie był tchórzem i skoro podjął

się zadania, to zawsze doprowadzał je do końca.

\* \* \*

— Sądząc po triumfującej minie, można panu pogratulować zwycięstwa, mój drogi Jakuzzi.

— To było nawet łatwiejsze niż sądziłem — pękł natychmiast. — „Jeśli powiadomimy minastirirski Ośrodek o historii gondoliera, który zwiął trzydziestu dwóm wywiadowcom, to stanie się jasne, że dwukrotnie miał pan Tangorna w ręku i dwukrotnie go pan wypuścił. Żaden kontrwywiadowca nie uwierzy w takie przypadki. Pracuje pan z baronem w parze i na dodatek, kryjąc współnika, z zimną krwią zamordował siedmiu swoich podwładnych — Oto jak to będzie wyglądało podczas śledztwa. Skierują pana do piwnicy, wytluką przyznanie o pracy dla Emyrn Arnen, a następnie zlikwidują”. Ten logiczny łańcuch wydał mu się niepodważalnie trafny, i podpisał zgodę na pracę dla nas. Tak więc, niech sobie Maccarioni forsuje prace w Barangarze — gondorska rezydentura ogłuchła i oślepla... A wie pan, czego zażądał jako zapłatę? Okazało się, że teraz w Umbarze, oprócz ludzi Marandila, pracuje specjalna drużyna, podporządkowana bezpośrednio Ośrodkowi...

— Ach tak?

— Barangarem na szczęście się nie zajmują. Nie wiadomo dlaczego gonią Tangorna, odsunawszy od tej sprawy miejscowe siły. Dowodzi nimi niejaki porucznik o ksywie Ichneumon, mający mandat z sygnaturą „RUN”. Jak twierdzi Marandil — profesjonalista najwyższej klasy...

— Bardzo interesujące...

— Marandil złamał jego bezpośrednie polecenie — miał zapomnieć o istnieniu Tangorna, i może zostać aresztowany, gdy tylko wiadomość o niewykonaniu rozkazu dotrze do porucznika. Tak więc, kapitan życzy sobie — „w celu uniknięcia kolizji interesów” — byśmy zlikwidowali swoimi siłami tego Ichneumona i jego ludzi. Wydaje mi się, że jego prośba nie jest pozbawiona sensu. Musimy wszak teraz tego bydlaka chronić jak źrenicę oka — przynajmniej do chwili rozpoczęcia „Sirocco”. Jednym słowem, szefie, nie uda się panu uniknąć zdobywania w prokuraturze generalnej sankcji. Nasz najdroższy Almaran wielce przestrzega przepisów i zawsze miota się jak smród po spodniach z powodu likwidacji, ale w tym przypadku musi nam pójść na rękę...

— A nie boisz się, że zapyta siebie: „Człowiek, opatrujący zgodą wniosek o zlikwidowanie kadrowego oficera gondorskiego wywiadu. Czy długo potem jeszcze pożyje i jaka śmierć mu pisana?”

— Almaran to czyścioszek i matacz, ale nie tchórz. Pamięta pan sprawę Arreno, kiedy miał w nosie pogróżki i naciski dwóch senatorów i wysłał na szubienicę trzech przywódców zamorro? A w przypadku Ichneumona wszystko jest jasne: nielegalny, do Umbaru przybył na lewych papierach, sam przygotowywał porwanie i zabójstwo. . . Nie, nie powinno być żadnych problemów.

— Słusznie: od tego końca — nie. Prawdziwy problem polega na tym, że tych ludzi należy jeszcze zlokalizować. . .

— Znajdziemy! — zuchowato obiecał zastępca do spraw operacyjnych. — W tym mieście na razie my rządzymy. Odnalezienie Tangorna to kwestia jednego, dwóch dni, a na tę przynętę wyłapiemy i tych, co na niego polują.

— No, no. . .

To „no, no” Almandina było prorocze. Operacyjni z DSD przeszukali Umbar, co się zowie — od kila do jabłka masztu, ale nie znaleźli ani Ichneumona, ani Tangorna: obaj porucznicy jakby się zapadli. . . A zresztą, dlaczego „jakby”? Czwartego dnia poszukiwań stało się jasne: obu poszukiwanych nie ma w mieście i najprawdopodobniej ciało barona kisi się w którymś z kanałów, a Ichneumon już zszedł z pokładu gdzieś w Pelargirze, by zameldować o pomyślnym wykonaniu zadania. . . No i, niech ich obu diabli — niebezpieczne dla Marandila chwile minęły, a wpychać nosa w ich sprawy wcale nie miał zamiaru.

\* \* \*

Najciekawsze jest jednak, że meldunek umbarskiej tajnej służby, w którym donosiła ona o nieobecności Tangorna w mieście, dokładnie odpowiadał prawdzie. Baron w tym czasie dawno już przebywał na pokładzie zakontraktowanej przez niego feluki „Latająca rybka”, która przez wszystkie te dni dryfowała o jakieś dziesięć mil od wybrzeża na trawersie przylądka Djurindjol — na południe od Umbaru, poza głównymi szlakami wodnymi. Trzej przemysłowcy, załoga feluki — Wujaszek Sarakesz z parą swych „bratanków” — uważali podobne spędzanie czasu za dziwne, jednakże opinie te zachowali dla siebie, słusznie uważając, że człowiek, płacący pół setki dunganów za trzytygodniowy fracht ma prawo do dziwactw i spokoju. Nawet jeśli niechcący wpakowali się w jakąś poważną aferę typu ubiegłorocznego napadu na złoty transport skarbcza Republiki, to te dungany warte są ryzyka. Zresztą, pasażer mało był podobny do człowieka interesu, choć polecał go sam Kulawy Vittano, którego żartem i nie w oczy nazywano „Książę Harmiański”. Ubiegłej nocy, z dwunastego na trzynasty czerwca, załoga miała w końcu okazję zademonstrowania zlecniodawcy swych zawodowych umiejętności. „Latająca rybka” pod nosem szybkich galer straży przybrzeżnej przemknęła

w koronkowe wybrzeże szkierowe, otaczające zachodni kraniec zalewu Harmiańskiego; w jednym z nie rzucających się w oczy zalewów wzięli na pokład — po towarzyszącej tego typu operacjom wymianie sygnałów — pocztę dla barona, a następnie ponownie wycofali się za Djurindjol.

Autorem jednego z listów był Waddari. Inspektor powiadał, że zadanie zostało wykonane: ustalił adresy dwóch zakonspirowanych mieszkań, które posiada w mieście rezydentura Gondoru, i zebrał pełną informację o ich najemcach i systemie ochrony. A co do drugiej pozycji, jak przewidywał Tangorn, nie udało się nic załatwić: wszystkie osoby, biorące udział w historii z okrętami dla Aragorna, albo umarły — w wyniku szybko przebiegających chorób i nieszczęśliwych przypadków, albo doznały dogłębnej utraty pamięci, a dokumenty kancelarii portu zostały poprawione i to bez jakichkolwiek widocznych śladów. Krótka rzecz ujmując, wyglądało na to, że cała flota umbarskich okrętów w ogóle nie istniała. Dalej było jeszcze śmieszniej: owszem, obaj przesondowani na tę okoliczność senatorowie jednogłośnie twierdzili, że sami wprawdzie nie pamiętają tego posiedzenia, na którym zapadła decyzja o wystąpieniu po stronie Gondoru w Wojnie o Pierścień, ale wszystko to na pewno można odnaleźć w protokołach Senatu z dnia dwudziestego dziewiątego lutego. Natomiast próba uświadomienia prawodawcom, że obecny rok zgoła przestępnym nie jest, przyjęta została przez nich jako głupi żart. Z całej tej historii sączył się jakiś swąd siarki, i Tangorn z całego serca ucieszył się z decyzji Waddariego, by nie ujawniać się z powodu przesadnego zainteresowania okrętową aferą i nie sprowokować kolejnego nieszczęśliwego wypadku.

Tym cenniejsza stawała się druga informacja — wiadomości zebrane przez Elwiss i przesłane przez Waddariego, a potem przez ludzi Vittano. Rozmawiała z wieloma spośród swoich przyjaciół w artystycznych kręgach i kręgach ludzi interesu. Temat rozmów był zupełnie niewinny i nie powinien zaniepokoić tych, którzy mogli jej pilnować w tym czasie — i z DSD, i z Nadmorskiej 12. Najważniejsza informacja, jak to często bywa, leżała na samym wierzchu, a sytuacja wyglądała tak...

Mniej więcej trzy lata temu, gdy na północy zaczynała dojrzewać wojna, wśród umbarskiej młodzieży niespodziewanie rozkwitło powszechne zainteresowanie elfami. Dla niektórych, tych o nieskomplikowanych umysłach, skończyło się to modą na elfickie symbole i pieśni, a osobniki bardziej inteligentne zostały zainteresowane ich ideologią, a ta, przynajmniej w streszczeniu Elwiss, wyglądała jak najdziksza mieszanka nauk khandyjskich derwiszów („Nic nie mieć, niczego nie pożądać, niczego się nie bać”) i mordorskich anarchistów („przebudowa społeczeństwa na bazie całkowitej wolności jednostki i społecznej równości”), doprawiona sielankowymi bredniami o „powszechnym jednoczeniu się z Przyrodą”. Można się tylko dziwić, jak mogli dać się złapać na taką kretyńską paplaninę młodzi umbarscy intelektualiści. Ale łapali się, łapali! Nawet więcej — po jakimś

czasie okazało się, że nie być nosicielem tej ideologii jest po prostu nieprzyzwoite i wręcz niebezpieczne: osoby, wypowiadające opinie w innym tonie niż zachwyty i rozczulanie, poddawane były ostracyzmowi i jawnej nagonce — „dzieci są zawsze okrutne”.

A po roku wszystko się skończyło — tak samo niespodzianie, jak się zaczęło. Z całego tego ruchu, a był to bez wątpienia zorganizowany ruch, została tylko artystyczna szkoła elfinarów, bardzo ciekawy wariant prymitywizmu, a do tego dziesięciu półgłówkowatych guru, wygłaszających natchnione przepowiednie, według których wkrótce całe Śródziemie miało się stać jednym wielkim Złotym Lasem. Głównym ich jednakże zajęciem było obgadywanie kolegów i dymanie oszołomionych trawką małolat ze swego stada... Poważni młodzi ludzie oderwali się od tych wszystkich zabaw i wrócili na łona swych rodzin, z którymi przez rok byli bez kontaktu. Ich wyjaśnienia nie były specjalnie oryginalne — od „diabli mnie skusili” do „kto w młodości nie był rewolucjonistą jest pozbawiony serca, a kto następnie nie został konserwatystą — pozbawiony jest mózgu”, a zresztą, jakie szczegółowe wyjaśnienia potrzebne są rodzicom, którzy ponownie mają swą latorośl przy rodzinnym stole? Wszystko to można by uważać za jakąś bzdurę, nie zasługującą na specjalną uwagę — w końcu młodzież zawsze musi się jakoś wyszumieć — gdyby nie jedna jedyna okoliczność.

Chodziło o to, że nawróceni — a wśród nich były dzieci najznakomitszych rodów Republiki — co do jednego gwałtownie zainteresowali się służbą państwową, czego w środowisku „złotej młodzieży” nigdy wcześniej nie obserwowano. Przemiana spędzającego połowę życia w środowisku cyganerii marzyciela albo salonowego lenia we wzorowego urzędnika jest dziwna, ale gdy takich przypadków są dziesiątki, a nawet setki, to jest w tej prawidłowości coś niepokojącego. Jeśli jeszcze dodamy, że w ciągu ostatnich dwóch lat wszyscy zrobili fantastyczne kariery (demonstrując przy tym zadziwiającą solidarność i pomoc wzajemną, mocniejszą od więzów zamorro) i wyraźnie wspinali się po szczeblach administracyjnych stanowisk, to sytuacja ta zaczynała wręcz przerażać. Nie pozostawało najmniejszych złudzeń: za siedem, osiem lat właśnie ci ludzie zajmą kluczowe stanowiska we wszystkich umbarskich urzędach — od MSZ do Admiralicji, od Skarbu do tajnej służby i bez rozlewu krwi, nie łamiąc żadnych przepisów, przejmą wszystkie sfery realnej władzy w Republice. Najdziwniejsze zaś było to, że nikogo w Umbarze to nie obchodziło, chyba, że jakiś stetryczały urzędnik rozczulił się i wymamrocze: „O, narzekamy na naszą młodzież, a ona, oho-ho! Orły! Dla dobra ojczyzny...”

Tangorn odłożył wykonany przez Elwiss wykaz mniej więcej trzydziestu „nawróconych na łono” i głęboko zamyślony patrzył na wiszącą w powietrzu za rufą „Latającej rybki” mewę. Zastygła w błękicie przestworzy, przypominając „ptaszka” na marginesie; tego „ptaszka”, którym powinien zaznaczyć zaraz jedno z nazwisk na liście — tej osoby, którą trzeba będzie rozpracować. Nie chodziło o trud-

ności konkretnego wyboru, smutne było to, że ci ludzie — sądząc z tego, co o nich wiedział — byli naprawdę mu mili. Idealiści, których uczciwość porównywalna jest co najwyżej do ich naiwności. . . Niestety, było wręcz niemożliwe wytłumaczyć im, że w samym Lorien, w tym prawdziwym, a nie tym wytworzonym w ich młodzieńczych wyobrażeniach, jeśli można sądzić, ani wolnością, ani bezklasową społecznością nawet nie pachnie, i że owa „sprzedajna zgniła pseudodemokracja”, która ich na swoje nieszczęście wychowała, ma cały szereg zalet w porównaniu z teokratyczną dyktaturą.

Tak więc, szuka najbardziej sympatycznych i być może najbliższych mu duchowo ludzi w Umbarze.

Szuka ich, żeby zabić.

Jak to mawiał Haladdin? „Czy cel uświęca środki? Problem, w sumie, nierozwiązywalny”.

**Umbar, ulica Latarniowa**  
**Noc z 14 na 15 czerwca 3019 roku**

Umbarczycy jednogłośnie twierdzą, że człowiek, który nie widział Wielkiego Karnawału, nie widział niczego w swoim życiu; brzmi to może przesadnie bezapelacyjnie, ale taka opinia jest w pewnym sensie uzasadniona... Nie chodzi nawet o piękno nocnych fajerwerków i pochodów przebierańców, choć i te są wspaniałe. Niezmiernie ważne jest co innego. Druga niedziela czerwca to dzień, kiedy walą się wszystkie bariery społeczne: uliczne dziewczki stają się szlachetnymi pannami z dobrych domów, a panienki — dziewczkami, natomiast w parze komediantów, którzy na role odgrywają na ulicy scenki z życia słynących z tępoty górali Półwyspu, równie dobrze jeden może być senatorem, a drugi — członkiem gildii żebraków. To jest bowiem dzień, kiedy czas zaczyna się cofać, i każdy może wrócić do swej wspaniałej, lekkomyślnej młodości i posiąść ciepłe, czułe usta nieznanym w czarnej maseczce, którą udało się porwać w tanecznym wirze. To dzień, kiedy grzechem jest bogacić się, a kraść — świństwem. Tego dnia wolno wszystko, prócz jednego — naruszać incognito partnera.

W tym sensie działania pary szlachetnych panów, którzy odłączyli się od owiniętego serpentynami korowodu oddalającego się przy akompaniamencie huku petard od skrzyżowania ulicy Latarniowej i Zaułka Miętowego, należy uznać za niegodne, choć działali oni w szlachetnym celu. Ci dwaj, jeden w różnokolorowym trykocie cyrkowego akrobata, drugi cały obwieszony dzwoneczkami błazna, pochylili się nad leżącym na ziemi człowiekiem ubranym w granatowo-złoty płaszcz astrologa. Niezbyt umiejętnie usiłowali doprowadzić go do przytomności — „Hej, co tam?” — zdjawszy z niego przy tym srebrną maskę. Wyczuwało się, że „ratownicy” sami ledwo utrzymują się na nogach.

Z zaułka wyfrunęło w ich kierunku stadko trzech dziewczyn w dominach różnego koloru.

— Kawalerowie, kawalerowie! — zaszczebotały, klaszcząc w dłonie. — Akurat po jednym dla każdej! Zaklepuję sobie akrobatę! Pójdiesz ze mną, chłopczyku?



— Uważaj na zakrętach, koleżanko! — warknął nagabnięty. — Nie widzisz, że nasz koleś zupełnie wysiadł. . .

— Och, biedny. . . Przesadził, tak?

— A kto to wie. Niby zupełnie dobrze tańczył w korowodzie, i nagle ni stąd, ni zowąd — łup — i już „zdrewniały”. I wcale tak dużo nie pił. . .

— A może się ocknie, jak go pocałuję? — kokietowało niebieskie domino.

— Proszę bardzo, skarbie! — uśmiechnął się błazen. — Jak się zhaftuje to, wiadomo, ulży mu. . .

— Fuj, ale z ciebie. . . — obraziła się dziewczyna.

— Dobra, dziewczyny, nie obrażajcie się jak myszy na ser — ugodowo powiedział akrobata i twardą ręką objął bordowe domino nieco powyżej talii. Usłyszał za to namiętne: „Ach, bezczelny!” — Dziewczyny, jesteście wspaniale, kochamy was do szaleństwa, i tak dalej. . . Macie coś do wypicia? Szkoda. Zróbmy tak — wy ruszajcie po Miętowym na nadbrzeże, weźcie tam nurneńskiego dla całego towarzystwa. . . — z tymi słowami podał dziewczynie portmonetkę nabitą drobnymi srebrnymi monetami — . . . i, najważniejsze, zdobądźcie miejsca blisko kapeli. A my was dogonimy za jakieś pięć minut. Tylko odciągniemy tego zielonego pijusa tam na skwerek, niech się zdrzemnie na trawce. . . Ach, żeby go lichy, przyczepił się. . .

A kiedy dziewczyny, stukając obcasikami po kocich łbach, zniknęły w przecznicy, błazen, jakby jeszcze nie wierząc samemu sobie, pokręcił głową i odcchnął:

— Uff! Już myślałem, że to koniec i przyjdzie im sprzedać kosę. . .

— Tak, wiadomo: jesteś miłośnikiem prostych i szybkich rozwiązań — mruknął akrobata. — Trzeba cię pilnować jak dziecka. A gdzie byśmy te trzy trupy ukryli? Nie pomyślałeś, prawda, mądralo?

— Nie pomyślałem — uczciwie rozłożył ręce błazen. — No to jak, panie szefie? Jedziemy dalej?

— Jasne. Ale — kosa, nie kosa, trza będzie za nimi potuptać. . . Nie wiadomo, co to za dziewczuchy, chociaż na osłonę nie wyglądają. Ruszaj za nimi na nadbrzeże, a jakby co, zaraz z powrotem.

— A pan? Sam tu?

— Mancenilla nie zawodzi. Chłop się ocknie najwcześniej za godzinę. Narzuć mi go na grzbiet. — Akrobata przykleknął na jedno kolano obok nieruchomego astrologa. — Te sto jardów jakoś poradzę sobie sam.

Astrolog wynurzał się ze swego narkotycznego oszołomienia wolno i z trudem; gdy tylko ujawnił pierwsze oznaki życia, ktoś zacisnął mu nozdrza i wlał do otwartych ust zawartość flakonika — stymulator na bazie coli. Czas naglił, należało spieszyć się z przesłuchaniem. Mężczyzna rozkaszał się i otworzył oczy. Od pierwszego spojrzenia pojął gdzie się znajduje, zresztą — nie było to trudne. . . Pomieszczenie bez okien, ale raczej niski parter niż piwnica, dwaj ludzie w karna-

wałowych kostiumach — cyrkowego akrobata i błazna. Zaraz. . . No tak, przecież tańczyli razem w jednym korowodzie, a potem — tak! — właśnie ten akrobata dał mu łyknąć wina ze szklanej manierki z wytłoczonymi na niej wesołymi dalekowschodnimi smokami. . . Wino było dobre, tylko po kilku łykach wycina w pień, a potem człowiek odzyskuje przytomność nie wiadomo gdzie, ręce ma przywiązane do podłokietników fotela, a na taborecie przed nim stoi blaszana miska z narzędziami, na widok których wszystkie wnętrzności jakby zanurzyły się w lodowatym śluzie. . . Ale o co chodzi? Przecież dobrze pamięta, że akrobata też łykał z tej samej butli. . . odtrutka? A, diabli, co to teraz za różnica. . . Ważne kim są. . . DSD? Czy może Nadmorska 12? Przeniósł wzrok na rozjaśniane purpurowymi rozbłyskami oblicze błazna, który rzeczowo gmerał w węglach wypełniających duży piecyk, i wzdrygnął się — i to tak, że niemal chwycił go skurcz mięśni grzbietu.

— Pan Algali, młodszy sekretarz MSZ, jeśli się nie mylę? — przerwał ciszę akrobata; siedział nieco dalej, uważnie przypatrując się swemu jeńcowi.

— Nie mylicie się. Z kim mam honor? — Ofiara opanowała się już i na zewnątrz nie ujawniała strachu, tylko zdziwienie.

— Moje imię nic panu nie powie. Reprezentuję Tajną Straż Odrodzonego Królestwa i mam nadzieję, że uda nam się nawiązać współpracę z panem. Tu otoczenie nie jest tak miłe jak na Nadmorskiej 12, ale piwnica nasza nie ustępuje specjalnie tamtej. . .

— Dziwnie pan werbuje agentów, słowo honoru — wzruszył ramionami Algali; w jego wzroku pokazała się na chwilę ulga. — Może już czas zrozumieć, że tu, na Południu, każdą rzecz można kupić, a to łatwiejsze niż odbieranie siłą. Chce mnie pan zwerbować do swojej siatki? Ależ, proszę bardzo! Po co zatem było urządzać ten kretyński spektakl?

— Spektakl nie jest taki głupi jak się panu wydaje. Przecież potrzebujemy nie dokumentów o sytuacji w Khandzie, do których ma pan dostęp w pracy, a czegoś zupełnie innego.

— Nie rozumiem. . . — Sekretarz uniósł brew.

— Może już dajmy sobie spokój z tymi wygłupami! Przecież już wszystko rozumiałeś, jeśli nie jesteś durniem. . . Potrzebna nam jest elficka siatka, w której siedzisz: imiona, kontakty, hasła. No?!

— „Elficka siatka”? Czy wyście się koknary nawąchali? — prychnął Algali, chyba odrobinę za bardzo niedbale niż należałoby w jego sytuacji.

— Posłuchaj mnie teraz uważnie. Okropnie mi się nie chce sięgać do tego wszystkiego — akrobata szerokim gestem wskazał piecyk i miskę — okropnie. . . Są zatem dwa warianty, albo powiesz wszystko, co wiesz, po czym wracasz do domu i spokojnie pracujesz dla nas. Albo powiesz wszystko, ale już z naszą pomocą — znowu skinął na piecyk — i wtedy już stąd nie wyjdiesz. Twój wygląd — sam rozumiesz — mógłby porazić uczucia elfickich przyjaciół. Mnie się bardziej

podoba pierwszy wariant, a tobie?

— Mnie też. Ale nie mam nic do powiedzenia i tak, i siak. Spudłowaliście. Po prostu nie jestem tym, kogo potrzebujecie.

— To twoje ostatnie słowo? Mam na myśli — ostatnie zanim zaczniemy?

— Tak. To pomyłka, nawet nie słyszałem o jakiejś elfickiej sieci.

— No i tu wpadłeś, chłopcze — głos akrobaty ociekał zadowolonym śmiechem. — Rozumiesz, gdybyś był zwyczajnym umbarskim urzędnikiem, to tłukłbyś się teraz w histerii z gębą zlaną smarkami, albo zacząłbyś tę siatkę tworzyć z głowy. My, oczywiście, łapałibyśmy ciebie na kłamstwie, ty byś zaczynał od nowa. . . Ale ty nawet nie próbujesz zyskać na czasie. Tak więc, nawet jeśli miałem jakieś wątpliwości, co do twojej osoby — to już ich nie mam. Masz jakieś kontrargumenty?

Algali milczał — nie miał co odpowiedzieć. A najważniejsze — spłynęła nań nie wiadomo skąd dziwna obojętność. Siła, za której cząstkę uważał siebie, przyszła mu na pomoc, poczuł niemal fizycznie jej obecność — jakby dotknięcie czułych matczynych dłoni: „Wytrzymaj, synku! Trzeba cierpieć, ale to nie potrwa długo, i nie będzie takie straszne. . . Nie bój się, jestem tu, z tobą!” I — dziwna sprawa — niewidzialną obecność tej siły wyczuł również akrobata; wystarczyło mu tylko jedno spojrzenie na obojętny uśmiech Algalego, by zrozumieć: koniec! Umknął, bydlak, przeciekł między palcami. Teraz już nie jest w jego władzy, można z nim robić co się chce — umrze i nie powie ani słowa. To się zdarza, nieczęsto, ale się zdarza. . . I wtedy po prostu uderzył w twarz przywiązanego do krzesła człowieka, wkładając w ten cios całą swą wściekłość:

— Ty gnoju, ty elficka szmato! — rzucił, przyznając się tym samym do porażki.

— „Elficka szmato”? Interesujące!

Nikt nawet nie zauważył, że przez drzwi przeniknął czwarty przebieraniec, w kostiumie zbója-masztanga. Zresztą, miecz masztanga miał cechy wyraźnie nie karnawałowe, a uderzenie rękojeści w skroń akrobaty natychmiast wyłączyło tamtego z dalszego ciągu wydarzeń. Błazen tymczasem zdołał odskoczyć w bok i obnażyć swoją klingę, ale mało co mu to pomogło: zbyt wielka była różnica w klasie szermierzy, tak więc gość potrzebował nie więcej niż dziesięciu sekund, by długim ukośnym cięciem otworzyć pierś błazna — tak, że trykająca we wszystkie strony krew chlapnęła też na astrologa. Starannie wytarłszy ostrze miecza podniesioną z podłogi szmatą, masztang przez chwilę przyglądał się z niezadowolaniem jeńcowi.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, szlachetny panie, to ci chłopcy usiłowali przykleić pana do elfickiego podziemia. Czy nie tak?

## 46

— Nie rozumiem, o czym pan mówi. — Wymowa Algalego pozostawiała wiele do życzenia: obmacywał teraz językiem ruszające się zęby i usiłował oszacować straty.

— Do diaska, młodzieńcze, nie jestem durniem, który pyta czy należy pan do podziemia! Ja pytam, czego chcieli ludzie z Tajnej Straży Aragorna?

Algali milczał, usiłując rozeznaczyć się w sytuacji. Wszystko to wyglądało na kiepski spektakl, gdzie odważny wybawiciel, „cały na białą”, wyskakuje z kominą akurat w chwili, kiedy księżniczka już trafiła w owłosione łapska herszta zbójów, ale jeszcze nie straciła cnoty. . . Dokładniej — wyglądałoby, gdyby nie szereg okoliczności: miecz, którym masztang rozciął krępujące go rzemienie był prawdziwy, cios w pierś błazna — sądząc po odgłosie — również prawdziwy, a krew, której krople otarł Algali ze swego policzka, była rzeczywiście krwią, a nie sokiem z porzeczek. . . W sumie, wyglądało, że rzeczywiście niechcący trafił w jakieś obce machinacje. Cóż, gorzej niż było nie będzie.

— Przy okazji — jestem baron Tangorn. A pan jak ma na imię, chłopcze?

— Algali, młodszy sekretarz MSZ, do usług.

— Bardzo mi miło. Przeanalizujemy zatem położenie. Moje pojawienie się tu wygląda jak „fortepian w krzakach” — takie przypadki zdarzają się tylko w książkach, przez co wydaję się panu osobnikiem niewątpliwie podejrzany. . .

— O, dlaczego. Jestem panu bardzo wdzięczny, baronie. — Algali aż przesadnie skłonił się przed wybawcą. — Gdyby nie pańska szlachetna interwencja, na pewno czekałby mnie dość fatalny koniec. Ci ludzie, uwierzy pan lub nie, wbili sobie do głowy, że przynależę do jakiejś elfickiej organizacji. . .

— No to teraz rozpatrzmy to z mojego punktu widzenia. Ja — proszę mi wybaczyć — założę, że moi gondorscy koledzy nie pomylili się. . . I proszę mi nie przerywać! — Tu w głosie masztanga wyraźnie zgrzytnął metal oficerskiego tonu. — Tak więc, przybyłem do Umbaru z Ithilien z misją specjalną: nawiązać kontakt z elfami i przekazać im pewną ważną informację — jasna sprawa, że nie za darmo. Niestety, o misji tej dowiedział się Aragorn, który zamierza przeszkodzić mi w przekazaniu tych informacji. Dla niego to też sprawa życia i śmierci. Jego Tajna Straż zaczęła na mnie polowanie. Trzeciego czerwca usiłowali ująć mnie

w tawernie „Morski konik”, i od tamtej pory gramy ze sobą w kotka i myszkę po całym mieście. Co prawda, w trakcie zabawy myszka stała się skorpionem — te rozgrywki kosztowały ich siedmiu nieboszczyków a, licząc tego — niedbale skinął głową w stronę błazna — już ośmiu. . . Tak więc, dziś wieczorem w końcu wymacałem jeden z ich konspiracyjnych lokali, Latarniowa 4. Składam im rzecz jasna wizytę i co się ukazuje oczom moim? Ludzie z Tajnej Straży z oddaniem, zupełnie zapomniawszy o zewnętrznej ochronie willi, przepytują człowieka z jakoby elfickiej siatki — tej właśnie, której od dwóch tygodni szukam. . . Więc jak mój „fortepian w krzakach”? Który z naszych „przypadków” jest bardziej podejrzany?

— Hm, jeśli rozpatrywać je teoretycznie. . .

— Och, oczywiście, że teoretycznie! Przecież się umówiliśmy, że pańska przynależność do elfickiej siatki jest niczym innym jak tylko warunkowym założeniem. . . No więc, nie bacząc na to wszystko, jestem skłonny uwierzyć w pańską opowieść. Jeśli mam być szczerzy, to po prostu nie mam wyboru. Najpierw musi się pan ukryć. . .

— Nawet mi nie w głowie! Mnie te wasze szpiegowskie gierki. . .

— Słuchaj, jesteś idiotą, czy co? Skoro już wpadłeś w oko ludzi z Nadmorskiej 12 to koniec, jesteś załatwiony! Udowodnisz im, że nie należysz do elfickiej siatki tylko umierając w torturach. Wtedy rozłożą ręce i powiedzą: „A to ci historia, pomyliliśmy się. . .” Nawet jeśli naprawdę nie jesteś w tej siatce, ani na jawie, ani we śnie — szukaj dziury, w której uda ci się ukryć, a mnie — zauważ — zupełnie nie interesują twoje problemy i nie mam zamiaru proponować własnych dziurek. . . Ale jeśli naprawdę jesteś z elfickiego podziemia, będziesz musiał po takim „cudownym uwolnieniu” długo i mętnie tłumaczyć się przed własną służbą bezpieczeństwa — czy jak tam się ona u was nazywa. Powiesz im po prostu: baron Tangorn z Ithilien szuka kontaktu z Elandarem. . .

— Pierwszy raz słyszę to imię.

— Nie dziwota — to nie twoja szarża. Tak więc, jeśli twoi przełożeni uznają, że sprawa jest godna uwagi, czekam na ciebie o siódmej wieczorem w piątce w restauracji „Zielona makrela”. Ale koniecznie przekaż, że nie będę rozmawiał z nikim innym tylko z Elandarem. Z płótkami nie zawieram umów.

A kiedy masztang wyprowadził astrologa na ganek willi, w noc przenicowaną wybuchami karnawałowych fajerwerków, zatrzymał swego podopiecznego i dodał jeszcze:

— Poczekaj. Po pierwsze, zapamiętaj dom, numer i całą resztę — to ci się przyda. Po drugie, kiedy uda mi się wyciągnąć z tego akrobata, w jaki sposób Nadmorska 12 dopadła młodszego sekretarza MSZ Algalego, zapieczętuj te zeznania w kopercie, która czekać będzie na ciebie w Harmiańskiej Wólce, w domu mamuni Madino. . . No, ruszaj, chłopcze, a ja idę pogadać z naszym wspólnym znajomym, póki jeszcze węgle nie wygasły do końca. . .

\* \* \*

Nie wyglądało jednak, by młodszy sekretarz poważnie przejął się ostrzeżeniami masztanga. Przez jakiś czas szwendał się po ciemnych ulicach, zapewne usiłując wykryć „ogon” — śmiechu warte, przy jego wprawie. Potem wszedł do baru „Spadająca gwiazda”, ulubionego miejsca wszelkiego rodzaju artystycznej i prawie artystycznej elity, gdzie zawsze było gwarno, a już tej nocy nie dało się nawet szpilki wetknąć. Tu, w świetle, od razu stało się widoczne, że przygoda kosztowała sekretarza trochę nerwów. Jedną z oznak były bardzo wyraźnie drżące ręce. Czekał przy kontuarze, aż barman zmiesza mu „Niezapominajkę” — skomplikowany koktajl z jedenastu komponentów — mechanicznie układał słupek z monet, ale palce nie słuchały go i słupek dwukrotnie się rozsypał. Barman, który zauważył te architektoniczne ćwiczenia, chrząknął, odstawił koktajl i oznajmił:

— Dam ci, chłopie, szklankę rumu — to ci prędzej pomoże. . .

Kilka godzin Algali spędził przy stoliku w kącie sali, nie rozmawiając z nikim, potem zamówił drugi koktajl, a następnie wyszedł na zewnątrz i ciasnymi uliczkami dotarł na zupełnie bezludny o tej godzinie most Spełnionych Życzeń. I zniknął.

Jeśli ktoś śledził Algalego, to pewnie w tym momencie powołałby się na siły nieczyste: przed chwilą był tu człowiek, a teraz nie ma. . . W zasadzie można wysnuć przypuszczenie, że skoczył do przepływającej pod mostem gondoli, ale most Spełnionych Życzeń ma prześwit trzydzieści stóp; urzędnicy MSZ raczej nie mają kwalifikacji do takich cyrkowych numerów, a i synchronizacja działań musiałaby być niesamowita. A poza tym, kto i jak by ją uzgodnił? Zresztą, inne warianty wyjaśnień były wcale nie mniej fantastyczne. Można też powiedzieć znacząco: „Elficka magia!”, ale i te słowa raczej niczego nie wyjaśniają. Krótko mówiąc, w jaki sposób Algali znalazł się w niepozornym rybackim domku na brzegu zalewu Barangarskiego pozostało zagadką.

Po kilku godzinach stał on na środku chaty, zupełnie nagi, rozłożywszy na boki ręce, z zamkniętymi oczami. Szczupłutka czarnowłosa dziewczyna, podobna trochę do smutnego ptaszka vivino, wolno, niemal nie dotykając go, przesuwała dłonie wzdłuż pleców Algalego. Zbadawszy w ten sposób całe jego ciało, dziewczyna pokręciła przecząco głową i rzekła:

— Czysty, żadnego magicznego pyłu.

— Dziękuję ci, malutka! — Człowiek, siedzący w kącie na wyschniętej baryłce, miał spokojną, ogorzałą twarz kapitana stojącego na mostku miotanego sztormem statku. — Zmęczona jesteś?

— Nie bardzo — usiłowała się uśmiechnąć, ale blady to był uśmiech.

- Odpocznij z godzinę...  
— Nie jestem zmęczona, naprawdę!  
— Odpocznij, to rozkaz. Potem jeszcze raz sprawdzisz jego ubranie — każdą niteczkę. Obawiam się, że wsadzili mu gdzieś „wahadełko”... No, a co ty nam powiesz? — Odwrócił się do chłopaka w karnawałowym kostiumie nietoperza.  
— Kontrobservacja nie wykazała „ogona”, w każdym razie od „Spadającej gwiazdy” do mostu. Szedłem za nim, bo i tak musiałem odwiązać drabinę sznurową, po której schodził do gondoli. Wszystko czyste.  
— Były jakieś problemy?  
— Żadnych. Jak tylko dostałem sygnał alarmu — koktajl „Niezapominajka” plus rozsypujący się słupek monet — uruchomiłem grupę osłonową. Barman przy drugim koktajlu przekazał mi, na którym słupku ma szukać drabinę, i wszystko odbyło się gładko i cicho.  
— Dobrze. Na razie jesteście wolni. A pan, Algali, proszę coś na siebie włożyć, siadać i opowiadać. Słucham was uważnie.

\* \* \*

Odprowadziwszy wzrokiem oddalającego się po Latarniowej MSZ-owskiego sekretarza, człowiek, który przedstawił się jako baron Tangorn — rzeczywiście był to baron Tangorn — wrócił do budynku. Na półpiętrze wrzała praca: akrobata i błazen — żywi i zdrowi — starannie sprzątała pomieszczenia. Błazen już zdążył zdjąć zakrwawione ubranie, a także wyrzucić resztki wypełnionego świńską krwią pęcherza, który trzymał pod pachą, gdy rozciął go miecz barona. Krzywiąc się z bólu, zdejmował właśnie mithrilową kolczugę. Widząc Tangorna, ustawił się bokiem, żeby zademonstrować ogromny siniec.

- Szefie, jak pragnę podskoczyć — zebro mi złamałeś!  
— Za te dungany, coś zarobił, można cierpieć. Jeśli to była aluzja do podwyżki — obejdiesz się smakiem.  
— No wiesz?! Mogłeś delikatniej. Dźgnąć lekko i już, ale nie, ty musiałeś grzmotnąć z całej siły! A jakby kolczuga nie wytrzymała?  
— Ale wytrzymała — obojętnie odparował baron. — Daj ją tu. Kolczuga została wcześniej pomalowana czarną emalią, tak więc nie różniła się w tej chwili na oko od starej mordorskiej kolczugi; w planach barona nie przewidywano wtajemniczenia współników w sekrety jej wykonania.  
— Inspektorze — zawołał akrobata, starannie zmywającego krwawe plamy z oparcia krzesła — proszę nie zapomnieć odłożyć na miejsce piecyk.  
— Baronie — odezwał się tamten rozdrażnionym tonem — nie należy mnie

pouczać jak się zaciera ślady! — Po czym przypomniał znane powiedzonko o synku, co to uczy ojca dzieci robić, i o tym, że nie należy uprawiać miłości na nadbrzeżu Trzech Gwiazd, przede wszystkim dlatego, że widownia zadręczy parę swoimi głupimi radami.

— A gdzieście to wszystko zdobyli? — Tangorn pokręcił w dłoni złowieszczo wyglądające szczypce, wyjęte na chybił trafił ze sterty w misce.

— Kupiłem za trzy castamirki od targowego wyrwizęba wszystkie jego manele i dodałem co nieco z narzędzi ślusarskich. Zachlapałem trochę krwią i zupełnie dobrze wyszło, na oko się nie odróżni. . .

— Świetnie. Dzięki za współpracę — mówiąc to, podał Waddariemu i jego pomocnikowi po sakiewce ze złotem. — Ile jeszcze potrzebujecie czasu na sprzątnięcie? Dziesięć minut wystarczy? — Inspektor pomyślał chwilę i skinął głową. — Dobrze. Twój statek — baron zwrócił się do błazna — odpływa o świcie. Na tych ziemiach pięćdziesięciu dunganów wystarczy, żeby założyć jakąś gospodę czy zajazd, i na zawsze zapomnieć o Umbarze i o umbarskich wywiadowcach, prawda? Tylko nie radzę ci publikować memuarów o dzisiejszej nocy. . .

— A co to znaczy „publikować memuary”, szefie?

— To znaczy, że ktoś po pijaku zaczyna sypać opowieściami ze swego żywota. Albo, uważając się za mądrego, wysyła liścik na policję. . .

— Nie gadaj głupot, szefie! — obruszył się tamten. — Żebym ja kiedykolwiek brata wsypał?!

— I tak postępuj dalej. Pamiętaj: Kulawy Vittano jest mi coś winien i uważa mnie za swego krewniaka, tak więc, jakby co, dostanie cię nie tylko w Wendotenii, a nawet w Błogosławionych Królestwach.

— To mnie obraża, dowódco. . .

— Nie obrażam cię, tylko przestrzegam. Bo wiesz, ludzi czasem kusi takie coś — dwa razy skasować za tę samą robotę. . . No, żegnam was, orły. Powodzenia. Mam szczerą nadzieję, że się już nie spotkamy.

Powiedziawszy to, baron odwrócił się i ruszył ku drzwiom, ale zaraz zatrzymał się i stał kilka sekund, jakby niezdecydowany. Żeby zabrać się do tej pracy, która go czekała na górze, na pewno należało się przygotować.



Dom na Latarniowej 4 był naprawdę konspiracyjnym lokalem gondorskiej rezydentury, tyle że prawdziwi jego gospodarze, dwaj kaprale Tajnej Straży, nie brali udziału w opisanych powyżej wydarzeniach. Cały ten czas spędzili w salonie na górze — ze skrępowanymi rękoma i nogami, z kneblem w ustach. Kaprale zostali zaskoczeni w toku błyskawicznej operacji, zaplanowanej przez Waddariego oraz Tangorna i zrealizowanej przez mężczyznę o przezwisku Tłuczek, któremu bardzo zależało na zmianie klimatu. Trzeci wspólnik potrzebny był baronowi nie tylko z powodu swych zawodowych nawyków, ale również po to, by liczba porywaczy Algalego odpowiadała liczbie rzeczywistych mieszkańców Latarniowej 4. A ponieważ w toku inscenizacji jeden z porywaczy został „zabity” przez Tangorna, to teraz jeden z kaprali powinien rozstać się z życiem w ten właśnie sposób. . . „Zaiste, Świat jest Tekstem — pomyślał baron, pchnąwszy drzwi do salonu — i nie da się od tego uciec”.

— No to jak, poznajecie mnie? — Tangorn pozbył się maski i póki uwalniał swych jeńców z knebli, ci mogli dokładnie mu się przyjrzeć, porównując to co widzą z opisem operacyjnym. Sądząc z tego, jak zjeżył się jeden i skamieniał drugi, było jasne, że go poznali, i niczego dobrego nie oczekują. — Pogadamy od serca, czy od razu siekać was na gulasz?

Ten, który się najpierw skulił, teraz wybuchnął przekleństwami — widać było, że rozpaczliwie stara się zagłuszyć swój strach. A drugi, to rzucało się w oczy, był człowiekiem opanowanym: patrzył przed siebie prosto i twardo, a potem rozkleił wargi i powiedział ostro, jakby jednym uderzeniem wbił gwóźdź:

— Rób swoje, gadzie! Ale pamiętaj, wcześniej czy później dopadniemy cię. I powiesimy za nogi, tak jak należy powiesić zdrajcę. . .

— Tak, pewnie tak się stanie. . . za jakiś czas — wzruszył ramionami baron, wyciągając z pochwy miecz. Teraz wybór był już jasny. — Tylko ciebie wśród „my” nie będzie, gwarantuję ci.

Mówiąc to, wbił klingę w pierś jeńca i natychmiast wyszarpnął. Krew trysnęła wspaniale. . . Przez te lata wojen „trzeci miecz Gondoru” poszlachtował w walckach wielu ludzi, ale nigdy jeszcze nie musiał z zimną krwią zarzynać bezbronego i skrępowanego człowieka, niech nawet i śmiertelnego wroga. Zrozumiał, że

wykonał jeszcze jeden krok poza tę rubież, spoza której nie ma powrotu, ale nie miał już wyboru. Jedyna rzecz, na jaką sobie pozwolił, to zadanie ciosu dokładnie w prawą górną część piersi: taka rana, jeśli chłopak przyjaźni się z Fortuną, może nie być śmiertelna. Trup, jako taki, baronowi nie był potrzebny — jednakże rana musiała być prawdziwa, by elfy nie nabrały podejrzeń, co do wiarygodności przedstawienia.

Gdy zaś, trzymając zakrwawiony miecz w ręku, odwrócił się do drugiego kaprała, ten spazmatycznie zaczął kopać związanymi nogami w podłogę, usiłując odsunąć się od oprawcy. „Pękł — jak by to określił Tłuczek — aż do samej dupy, a niby mówi się, że suma nie zależy od zmiany miejsc składowych. . . Zmienia się, i to jeszcze jak!” Tangorn musiał przerwać strumień jego wyznań, ponieważ wszystkie te wiadomości o sprawach i sprawkach Nadmorskiej 12 aż tak bardzo go w tej chwili nie interesowały.

— Dobrze. A od kiedy wasza siatka ma rozpracowywać elfickie podziemie?

— Ja o takim czymś nic nie słyszałem. Może inni. . .

— Jak to „nie słyszałem”? To po co elfa porywaliście?

— Jakiego elfa? — zgłupiał tamten.

— No, może nie elfa, ale człowieka z elfickiego podziemia. . . tego, którego dopiero co wypuściłem z waszej piwnicy.

— Ja. . . ja nie rozumiem! My nawet nie słyszeliśmy o żadnych elfach!

— Aha! — złowieszco uśmiechnął się Tangorn. — Mam omamy, znaczy się. . . Czy może ktoś go wam podrzucił do piwnicy, co?

— Proszę posłuchać, opowiedziałem wszystko, co wiem. Jeśli wpadnę w ręce Marandila, to koniec ze mną. Po co miałbym kłamać?

— Przestań mi tu kręcić! Jeśli chcesz wiedzieć, to znalazłem tę waszą norę, obserwując chłopaka z elfickiego podziemia — Algalego, młodszego sekretarza MSZ-u. Tak więc na własne oczy widziałem, jak dwaj chłopcy w karnawałowych strojach poczęstowali go jakąś trucizną, a potem tu przywlekli. No to, postanowiłem złożyć wam wizytę. . . Czy może za tymi portierami kryje się jeszcze kilku waszych?

— Ależ nie, przysięgam! Nie porywaliśmy nikogo! — W oczach kaprała błysnęło szaleństwo, miał ku temu powody.

— Tak. . . Wydaje mi się, że wreszcie trafiłem na coś sensownego w tej stercie odpadków, które usiłujesz mi wcisnąć. Należy sądzić, że jest to wasza podstawowa operacja, i dla jej osłonięcia jesteście gotowi na każdą ofiarę. . . Tyle, że teraz właśnie zainteresowałem się tą historią na serio: nie myśl, że uda ci się umrzeć tak samo łatwo i szybko jak twojemu współnikowi! Wiesz, od czego zacznę?

Kapral należał do tych ludzi, którym ze strachu głowa zaczyna pracować lepiej niż w normalnych warunkach. Żeby uniknąć tego koszmaru, jaki obiecywał mu baron, błyskawicznie zmontował swoją wersję: że niby rzeczywiście schwymano młodszego sekretarza MSZ Algalego, działając według ustnego, nie potwierdzo-

nego żadną dokumentacją polecenia Marandila. . . Tangorn na gorąco wyłapywał wszystkie chwiejne punkty w wersji kaprała, a ten natychmiast wprowadzał do swej opowieści odpowiednie korekty i trwało to tak długo, aż historia stała się logicznie podbudowana i wiarogodna. W rzeczywistości baron, zadając odpowiednie naprowadzające pytania, po prostu zmusił kaprała do zbudowania tej samej wersji, którą on opracował kilka dni wcześniej. . .

Kiedy opowieść została spisana na papierze — przy tym dwukrotnie — Tangorn związał go na nowo, zabrał żetony obu kaprała (gadatliwy nazywał się Arawan, o ten ostry — Morimir; zdejmując łańcuszek z jego szyi baron dotknął tętnicy szyjnej — puls, jak na razie, dawał się wyczuwać) i opuścił dom, odprowadzany przeraźliwymi wrzaskami swego rozmówcy: „Rozwiąż mnie! Pozwól mi uciec!” W planach barona leżało, by w łapy swoich koleśi z Nadmorskiej 12 trafił kaprał możliwie późno, dlatego nie lenił się, odszukał posterunkowego, choć to niełatwe zadanie w noc karnawałową, i przekazał mu, że dom na Latarniowej 4 ma otwarte drzwi, a z wewnątrz dochodzą wołania o pomoc: „Nie wygląda to na żart, może ktoś po pijaku rozrabia?” Następnie zamknął w kopercie, przeznaczonej do Harmiańskiej Wólki, zeznania Arawana wraz z jego żetonem. Kopię zeznań jutro rano otrzyma konsul Odrodzonego Królestwa: niech sobie z Marandilem łamią głowy, co to ma znaczyć. Niepewność, jak powszechnie wiadomo, rodzi brak działania.

Na pokład „Latającej rybki” Tangorn wrócił dopiero o świcie i natychmiast zasnął kamiennym snem. Co miał zrobić — zrobił, teraz zostało mu tylko czekać. Zarzucona przynęta — prawdziwe imię jednego z przywódców podziemia — jest tak smakowita, że elfy po prostu nie mogą nie doprowadzić do spotkania: muszą przyjść, chociażby po to, by go sprzątnąć. . . Należy sądzić, że sprawdzenie tej historii zajmie elfom kilka dni, tak więc w „Zielonej makreli” powinien się pokazać dopiero w następny piątek, dwudziestego. Teraz zaś ma trochę czasu, by przemyśleć rozmowę z Elandarem, osłonę oraz trasy ucieczki.

\* \* \*

— Rozmawiać będzie tylko z samym Elandarem, plotki go nie interesują. . .

— Zwariowaliście! — spojrzenie Wielkiego Magistra płonęło. — On nie może znać tego imienia, a zresztą, nikt poza Lorien nie może tego wiedzieć!

— Tym niemniej, tak to wygląda, mistrzu. Czy powinniśmy pakować się w kontakt z nim?

— Oczywiście. Tylko nie ty, a ja sam. Sprawa jest zbyt poważna. Albo rzeczywiście ma jakąś ważną informację — a wtedy należy ją zdobyć za wszelką

cenę, albo nas prowokuje. W tym drugim przypadku należy go zlikwidować, póki nie jest za późno... Ile czasu potrzebuje pańska służba bezpieczeństwa, żeby sprawdzić tę dziwną historię z cudownym ocaleniem?

— Sądzę, że cztery dni wystarczą, mistrzu. W zasadzie, już w ten piątek można by pójść do „Zielonej makreli”.

— Jeszcze jedno. Ten Algali... Słyszał imię, którego znać nie powinien. Postarajcie się, żeby nie wypaplał tego nigdy i nikomu.

— Tak jest, mistrzu. — Szef służby bezpieczeństwa na sekundę odwrócił spojrzenie. — Jeśli uważa pan to za konieczne...

— Tak uważam. Ten chłopak został ujawniony i „zaświecony” na całego. Niedługo zaczną na niego polować i Tajna Straż, i DSD, a my nie mamy prawa narażać na ryzyko całego podziemia... Wiem, wiem, co pan sobie teraz pomyślał: „Gdyby chodziło nie o człowieka, a o elfa, to pewnie werdykt byłby inny...” Dobrze mówię?

— Wcale nie, mistrzu — odparł zapytany głosem bez emocji.

— Bezpieczeństwo organizacji jest najważniejsze, to podstawa wszystkiego. Chciałem tylko przypomnieć, że na kontakt z Tangornem powinien iść właśnie Algali, odebrać przesyłkę w Harmiańskiej Wólce — też on. Tak więc z tą akcją powinniśmy się powstrzymać przynajmniej do piątku...

„Tak — z pewną dumą pomyślał Wielki Magister — wspaniale ich wychowaliśmy, i to w ciągu niecałych dwóch lat. Wypowiadasz magiczne zdanie: „Jest takie słowo — trzeba!”, i nikt już o nic nie pyta. Kto by pomyślał, że ci humaniści i miłośnicy wolności będą gorliwie trzaskać obcasami i salutować, znajdując w tym głęboki sakralny sens, niedostępny ich słabym cywilnym umysłom... Zresztą, ten Algali to jeszcze ma szczęście. Przecież cała siatka to nieboszczyki, wszyscy co do jednego, tyle że on umrze szczęśliwy, przepełniony iluzjami i wiarą w jasną przyszłość, a pozostali przed śmiercią będą musieli napatrzeć się na dzieło swych rąk i zrozumieć, dla kogo przygotowali grunt...”

\* \* \*

— Beka z gnojem!!! Na tych gondorskich niedorozwojach nie ma co polegać, ale gdzie pan był, Jakuzzi?

Zastępca dyrektora do spraw operacyjnych rzadko widywał szefa w takim stanie. Raport o nalocie Tangorna na Latarniową 4 doprowadził Almandina do najwyższego stopnia szału; przy tym dotarli przed chwilą od Aktinidisa, trzeciego zastępcy — wywiad polityczny — wiadomości o sytuacji w Minas Tirith, i też nie poprawiły mu humoru. — Czy pan przynajmniej rozumie, że ten psychol ze

swoją wendetta, jak nie dziś, to jutro zabije Marandila, a wraz z nim całą operację „Sirocco”?!  
— Obawiam się, że nie jest to żadna wendetta, a Tangorn wcale nie jest psycholem, tylko my nie możemy przeniknąć do sedna jego pomysłu. Może to brzmi fantastycznie, ale ten amator wygrywa stawkę po stawce! Można sądzić, że pomagają mu jakieś Siły Wyższe...

— Dobra tam! Niech pan przestanie bawić się w jakieś mistyczne rozważania! Co się dzieje z kapitanem?  
— Jeśli baron chciał go złamać, to udało mu się całkowicie. A pisemne zeznania Arawana dobiły biedaka: przysięga, że nie wydawał żadnego rozkazu porwania Algalego, i że ani mu takie coś w głowie nie powstało. To jakieś szaleństwo! Może jakieś światło rzuca zeznania tego elfinara, gdy go odnajdziemy...

— Zostawcie Algalego w spokoju! — rzucił Almandin. — On nie ma wpływu na zagwarantowanie bezpieczeństwa pańskiego agenta Marandila. Jasne?  
— Tak jest! — odparł oper.

Znowu wali łbem w tę samą ścianę. Dwa lata temu, kiedy położył na biurku pierwsze materiały o proelfickich organizacjach Umbaru, nakazano mu natychmiast zwinąć działania operacyjne wszczęte przeciwko tym ugrupowaniom i „zakonserwowanie” już wprowadzonych agentów. Od tego momentu dosłownie wszędzie natyka się na ślady tych konspiracyjnych struktur, jak na ślady mysich odchodów w starej komodzie, ale za każdym razem otrzymuje polecenie nie pchania swego psiego pyska w sekrety Wysokiej Polityki: „To jest po linii Aktinidisa”. Należy sądzić, że szefa wywiadu politycznego w podobnie wyszukany sposób informowano, że to jest „po linii Jakuziego”, jednakże nie dało się tego sprawdzić poprzez jakieś prywatne konsultacje: tego typu kontakty między dwoma wicedyrektorami, tak samo jak inne podobnego typu kontakty między współpracownikami (poza tymi narzuconymi przez podporządkowanie służbowe) były kategorycznie zakazane Regulaminem Departamentu — karano to jako odstępstwo od umberto...

„Dobra — zdecydował w pewnej chwili, odczuwając przy tym dziwną ulgę — pewnie Almandin ma jakieś swoje powody, niewidoczne z mojego stopnia dostępności — tajny strategiczny sojusz z elfami przeciwko Gondorowi, czy coś takiego... W końcu ja, wywiadowca, swoją robotę wykonałem, a dalej niech się męczy kierownictwo z analitykami pospołu. Jak mawiał niezapomniany Blacharz: „Ja mam wrzasnąć: Ku-ku-ry-ku!, a czy słońce wszędzie, to już nie moja broszka...”

— Jak pan uważa, Jakuzi, czy kapitan może nadal działać?  
— Jest całkowicie rozbity, to strzęp człowieka — jęczy i błaga, żebyśmy mu pozwolili natychmiast uciekać — tak jak się umawialiśmy...

— Właśnie! — i dyrektor trzasnął dłonią w poranny zaszyfrowany komunikat ze sztabu Carnero. — Marandil i tak nie zdoła już osłaniać tego, co się dzieje w zatoce Barangarskiej, jego podwładni nie są ślepi...

„„Podwładni nie są ślepi...” Czy to nie o mnie i elfach?” — poruszyła się myśl w głowie Jakuzziego, a on szybko wyrzucił ją z pamięci.

— A do tego kupa wpadek z trupami z lekkiej ręki tego ithilieńskiego awanturnika. Jak nie dziś, to jutro odbiorą kapitanowi oficerskie akselbanty i oddadzą pod sąd... Krótko mówiąc, natychmiast znajdźcie Tangorna i odizolujcie go za wszelką cenę, za wszelką — jasne? Jak się uda bez rozlewu krwi — wspaniale, jak nie — likwidujcie go w diabły, i pogrzebmy wreszcie tę sprawę! Teraz co do siatki Gondoru... Czy możemy po prostu zablokować ich łącza z Kontynentem, ale naprawdę wszystkie kanały? A potem utrzymać tę blokadę aż do drugiej dekady czerwca, kiedy zacznie się „Sirocco”?

— Sądzę, że tak. Zamkniemy szlaki lądowe przez Chewelgar, Maccarioni połączy się ze strażą przybrzeżną, a ci przejdą na alarmowy tryb służby.

— Tak. Teraz jeszcze jedno: skoro Tangorn jednak jest w mieście, to i Ichneumon, gdzieś tu się czai. Co wiemy na ten temat?

— Jak by to panu powiedzieć... Pojawił się pewien ślad, na razie bardzo mętny. Moi ludzie od kilku dni nie spuszczają z oka przyjaciółki Tangorna, Elwiss. Tak więc, wpadł nam w oko pewien drobny szczegół, niby nic takiego, ale...

\* \* \*

Najbardziej banalne przedsięwzięcia — takie, na przykład, jak zwiększenie częstotliwości patrolowania — doprowadzają czasem do nieoczekiwanych wyników. Przeglądając rankiem dwudziestego codzienną paczkę komunikatów, Jakuzzi natknął się na raport straży przybrzeżnej: w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego, podczas próby wejścia do zalewu Harmiańskiego przechwycona została feluka znanego przemytnika Wujaszka Sarrakesza „Latająca rybka”. Prócz samego szypra na pokładzie znajdowała się dwuosobowa załoga; ładownia była całkowicie pusta, tak więc nie było formalnych przesłanek do aresztowania, przed wieczorem trzeba będzie Sarrakesza wypuścić. W raporcie jednakże odnotowano, że „Latająca rybka” usiłowała ujść przed strażniczą galerą, niemal ocierając się o obfitujące w mielizny i rafy wybrzeże Półwyspu. Możliwe, pisali w podsumowaniu pogranicznicy, że na feluce był jeszcze jeden pasażer, który, korzystając z ciemności, skoczył za burtę i wplaw przedostał się na brzeg.

Trudno powiedzieć, co w tej banalnej portowej historii przyciągnęło uwagę wicedyrektora DSD — najprawdopodobniej jakieś przeczucie... Wujaszek Sarrakesz, o ile pamiętał, związany jest z zamorro Kulawego Vittano i specjalizuje się w zakazanych przez prawo dostawach do Haradu stalowej broni w zamian za orzechy cola, sprowadzanie których jest z kolei zmonopolizowanym przywilejem

Republiki. Cola — rzecz droga, i objętość zwrotnej kontrabandy zazwyczaj jest niewielka, nie więcej niż dziesięć worków; wyrzucić je za burtę, gdy tylko zaśmierdziało przypaloną sierścią to kwestia dwóch, trzech minut. Puste ładownie nie zdziwiły więc wicedyrektora. Dziwne było co innego: specjalnie tresowany policyjny pies naprawdę nie wyczuł na pokładzie zapachu coli, a to już zmuszało do poważnego rozważenia wersji strażników o nieznanym pasażerze. Kiedy indziej byłoby to zwyczajnym głupstwem, ale nie teraz, kiedy departament nadzwyczaj skrupulatnie przymykał wszystkie kanały łączności placówki z Nadmorskiej 12 i wyszukiwał gondorskich agentów z drużyny Ichneumona. Jakuzzi uważał, że w tej krytycznej dla kraju chwili skończyły się żarty — nakazał poddanie całej trójki schwytych przemytników aktywnemu przesłuchaniu. Po kilku godzinach jeden z „bratanków” Sarrakesza pękł i opisał pasażera, który uciekł w pław. Opis wystarczył Jakuzziemu — bez trudu rozpoznał w nim barona Tangorna.

Rozpoznał — zaklął krótko, ale soczyście „z marynarskimi zawijaszami”, ponieważ zrozumiał, że w najbliższym przewidywalnym czasie nie da się schwytać barona. Sarrakesz jest z Półwyspu, i zapewne Tangorna skierował do któregoś z rozlicznych górskich osiedli, do swoich krewniaków. Nawet gdyby ktoś wiedział, gdzie ukrył się baron, to co z tego — górale nigdy nie wydadzą zbiega policji. Prawo gościnności jest dla mieszkańców Półwyspu święte, targi o zdradę nie mają sensu, a żeby wyrwać barona siłą należy zmontować małą operację wojskową, a tej nikt nie zaaprobuje. . . Może wysłać w góry zabójców — *ninjokwe*? Jakby nie było innego wariantu, to jeszcze, ale. . . Dobrze, zaryzykujemy, poczekamy, niech baron wróci na Wyspy. W końcu po coś tu przybył ubiegłej nocy, mimo oczywistego niebezpieczeństwa, pchał się na „Latającej rybce” do zalewu. Na jakiś czas stracił łączność z przemytnikami Vittano, droga wodna do miasta została odcięta, a zablokowanie Długiej Grobli nie będzie problemem.

— Znajdźcie mi wszystko, co mamy o rodzinnych i przyjacielskich kontaktach Wujaszka Sarrakesza — zadysponował wicedyrektor, zawoławszy swego referenta. — Raczej nie mamy na niego specjalnego dossier, więc trzeba będzie przezcasać wszystkie materiały o zamorro Kulawego Vittano. Teraz druga sprawa: kto u nas zarządza siatką wśród górali Półwyspu — Rashua?

**Umbar, okolice osady Iguatalpa  
24 czerwca 3019 roku**

Orzech, pod którym urządzili postój, miał około dwustu lat, co najmniej. Jego korzenie utrzymywały spory kawałek gruntu na zboczu, nad ścieżką prowadzącą z Iguatalpy do przełęczy i jak się wydawało, radziły sobie z tym problemem znakomicie: wiosenne deszcze, nader obfite w tym roku, nie spowodowały tu ani osypisk, ani nowych wypłuczysk. Słaby wiaterek od czasu do czasu mierzwił rozległą koronę, a wtedy plamki słonecznego blasku bezszelestnie przesiąkały przez nią na kremowożółty dywan z opadłych liści, zalegający u podnóża pnia, między żyłami grubych korzeni. Tangorn z rozkoszą wyciągnął się na tym cudownym legowisku — w końcu dla jego zranionej nogi tutejsze ścieżki nie są łatwe — oparł się na lewym łokciu, i od razu wyczuł pod nim jakiś przedmiot. Gałązka? Kamyczek? Przez kilka sekund baron leniwie rozważał dylemat: rozgrzebywać tę stertę w poszukiwaniu uwierającego przedmiotu, czy przesunąć się nieco dalej. Rozejrzał się i przemieścił swoje ciało, gdyż poruszanie czy przesypanywanie czegokolwiek tu wydało mu się świętokradztwem.

Otwierający się przed jego wzrokiem obraz przesycony był spokojem; nawet wodospad Uruapan, trzystustopowa ucieleśniona złość rzecznych bogów, schwytanych w pułapkę przez swych górskich braci, wydawał się z tej odległości po prostu sznurem srebrzystego haftu, wykonanym na ciemnozielonym suknie zalesionego zbocza. Nieco bardziej po prawej stronie, w centrum kompozycji wznosiły się nad mglistą przepaścią wieże klasztoru Uatapao — starodawny kandelabr z ciemnej miedzi, zaśniedziały szlachetną patyną bluszczu. „Ciekawa architektura — myślał Tangorn. — Wszystko, co swego czasu widziałem w Khandzie, wyglądało zupełnie inaczej. Zresztą, nie dziw: miejscowy wariant hakimiańskiej wiary bardzo się różni od khandyjskiej ortodoksji. A w większości górale jak byli, tak i pozostali barbarzyńcami. Dwa wieki temu przeszli na hakimiaństwo — najsurowszą i najbardziej fanatyczną ze światowych religii — i to tylko po to, by móc jeszcze w tej materii przeciwstawić się mięczakom, mieszkańcom Wysp, żalonym robakom, które całe swoje życie zmienili w ciągły targ „sprzedaj-kup”



i zawsze przedkładali wygodę nad honor, a zadośćuczynienie materialne nad wendette”. W tym momencie leniwe rozmyślania barona zostały przerwane co najmniej bezceremonialnie, ponieważ towarzysz jego, który zdążył już opróżnić worek i rozłożyć na nim, jak na obrusie, jeszcze ciepły gliniany garnek z przygotowanym rano ryżem i bukłaczek z winem, odłożył nagle sztylet, którym strugał płatki twardego, zapieczonego z przyprawami mięsa w kolorze czerwonego witrażowego szkła, podniósł głowę i, nie odrywając wzroku od zakrętu ścieżki, niedbałym ruchem przyciągnął ku sobie leżącą obok kuszę.

Zresztą, tym razem był to fałszywy alarm. Kilka chwil później przechodzień siedział już z podwiniętymi nogami przy ich rozścielonym worku i wygłaszał toast — długi i skomplikowany, jak pętla pnącej się pod obłoki serpentyny. „Krewniak — przedstawiono go Tangornowi, a ten tylko wzruszył ramionami, gdyż w tych górach wszyscy byli jakoś spokrewnieni, a jeśli nie spokrewnieni, to spowinowaceni lub, w najgorszym przypadku, zaprzyjaźnieni — z Irapuato, za tą doliną”. Następnie górale wszczęli długą, rzeczową rozmowę o widokach na urodzaj kukurydzy i o sposobach hartowania klingi, praktykowanych w Iguatalpie i Irapuato. Baron natomiast, którego udział w dyspucie ograniczał się do uprzejmych uśmiechów, zaczynał składać daninę miejscowemu winu — niewiarogodnie cierpkiemu i gęstemu, kryjącemu w swej bursztynowej głębi pomrujące różowawe błyski — dokładnie jak pierwszy słoneczny odbłask, kładący się na wilgotną od rosy ścianę z żółtawego muszlowca.

Wcześniej Tangorn nie doceniał tego wspaniałego trunku, czemu nie można się dziwić: wino to zupełnie nie nadaje się do transportu — ani w butlach, ani w beczkach. Tak więc wszystko, co się sprzedaje na dole, to nic innego jak podróbka. Tutejsze wino należy pić na miejscu, przez kilka pierwszych godzin po zacerpnięciu dzbankiem na drewnianej ręczce pitosu, w którym brodziło. Po rem można nim już tylko gasić pragnienie. Sarrakesz w czasie ich wymuszonego wylegiwania się na pokładzie „Latającej rybki” z przyjemnością wprowadzał barona w tajniki miejscowego winiarstwa: opowiadał jak winne grona miażdży się w drewnianych kadziach razem z kłociami (stąd bierze się owa niezwykła cierpkość tych win) i rowkami odprowadza do zakopanych w sadach pitosów, jak potem po raz pierwszy otwiera się naczynie, starannie zahaczywszy szpunt dwoma hakami i odwracając twarz, by wrywający się stamtąd zwarty i żywiołowy winny zapach *dzini* nie uderzył w człowieka i nie doprowadził go do pomieszania zmysłów...

Większa część wspomnień starego przemytnika nie wyróżniała się szczególną uczuciowością. To był dość specyficzny świat, gdzie mężczyźni, będąc ciągle w pogotowiu, nie rozstają się z bronią, a odziane w czerń kobiety zmienione są w milczące cienie, zawsze przemykające pod najbardziej odległą od mężczyzny ścianą, gdzie malutkie okienka w grubych murach domów to w rzeczywistości strzelnice dla kusz, a najważniejszy produkt miejscowej ekonomiki to trupy, poja-

wiające się w wyniku nie kończącej się bezsensownej wendetty. Świat, gdzie czas się zatrzymał, a każdy krok jest przewidywalny na dziesiątki lat do przodu. Nic dziwnego, że radosny awanturnik Sarrakesz, wtedy noszący zupełnie inne imię, od dzieciństwa czuł się tam jak ciało obce. A tuż obok było morze, otwarte dla wszystkich i wszystkich ze sobą równające... Teraz, gdy twardą ręką kierował felukę przez spienione sztormowe wały, rycząc na zbyt powolną załogę: „R-ruszać się! R-r-ręka, noga, mózg na kilu!” każdy wiedział, że to jest człowiek na właściwym dla siebie miejscu. Właśnie dlatego wilk morski uparł się, gdy Tangorn postanowił dwudziestego pojawić się w mieście:

— Nawet nie myśl o tym! Wpadniemy, jak pragnę zawisnąć.

— Jutro muszę być w mieście.

— Posłuchaj mnie, dobry człowieku, przecież wynająłeś mnie nie jako gondoliera, żebym cię powoził po Kanale Obwodowym. Potrzebowałeś zawodowca, prawda? I skoro ten zawodowiec ci mówi: „Dzisiaj się nie przebijemy”, to tak właśnie jest.

— Ja muszę trafić do miasta — uparcie powtórzył baron. — Żebym zdechł!

— Na pewno trafisz, i to prosto do celi. Straż przybrzeżna dwa dni temu przeszła na tryb alarmowy, rozumiesz czy nie? Gardziel laguny jest zatkana tak, że nawet delfin nie przedostanie się niezauważony. Musimy przeczekać, w tym trybie oni sami długo nie wytrzymają. Przynajmniej do początku następnego tygodnia, żeby trochę księżycy ubyło.

Przez jakiś czas Tangorn zastanawiał się.

— Dobra. Jeśli wpadniemy, co ci grozi? Pół roku?

— Więzienie to betka, najważniejsze, że skonfiskują statek.

— A ile kosztuje ta twoja „Latająca rybka”?

— No, co najmniej trzydzieści dunganów.

— Świetnie. Kupuję ją, za pół setki. Przybijasz?

— Zwariowałeś — machnął ręką przemytnik.

— Może. Ale monety, jakimi płacę były bite nie w domu wariatów.

A potem wszystko poszło dokładnie tak, jak prorokował Sarrakesz. Gdy pięćdziesiąt sążni przed dziobem feluki wzbila się w górę przeniecona promieniami księżycy fontanna — to doganiająca ich galera oddała strzał ostrzegawczy z katarpulty — szyper, mrużąc oczy, ocenił dystans do wrzącej po lewej stronie kipieli, odwrócił się do barona i polecił:

— Wal za burzę! Do brzegu nie więcej niż jeden kabel, nic ci nie będzie. W osadzie Iguatalpa odszukasz mojego kuzyna Botaszaneę i przesiedzisz u niego. Pięćdziesiąt dunganów oddasz jemu. No, skacz, uparciuchu... .

„No i co na tym zyskałem — myślał baron — skacząc na łeb na szyję w tę aferę? Dobrze ludzie mówią: „krócej nie znaczy szybciej”, i tak straciłem tydzień. Dobra, mądry jestem teraz, po szkodzie... .”

W tym momencie w rozmowie przy winie pojawiło się nowe słówko „algwasile”, i od tej pory Tangorn zaczął przysłuchiwać się bardziej niż uważnie.

Właściwie nie algwasile, a miejscy żandarmi, i dowodzi nimi nie wiejski korrehidor, a własny oficer. Dziewięcioro ludzi — oficer dziesiąty, pojawili się w Irapuato przedwczoraj. Jakoby pętają się w celu pojmania słynnego rozbójnika Uanaco, ale wykonują to zadanie jakoś dziwnie: patroli nie rozesłali, a szwendają się po domach i rozpytują — nie było aby we wsi obcych? A kto im, wyspiarskim szakalom, cokolwiek powie, nawet gdyby coś wiedział? A z innej strony, jakby się tak zastanowić, można ich zrozumieć: „walkę z rozbójnictwem”, jak tego chciało dowództwo, wykonują — i fajnie. W końcu oni też nie są ostatnimi durniami — za zebracze wynagrodzenie skakać po turniach i osypiskach, podstawiając czerep pod bełt kuszy, a ich kolesie w tym czasie strzygą karawany na Długiej Grobli...

Kiedy gość się pożegnał, towarzysz Tangorna, Cecorello, powiedział zamyślony:

— To ciebie łapią.

— Dokładnie — skinął głową Tangorn. — Czyżbyś szacował, czy nie lepiej by było oddać mnie w Irapuato?

— Zgłupiałeś?! Przecież jedliśmy chleb z jednego bochenka! — Góral zamilkł, a po chwili dodał: — Wiesz, ci na dole, zawsze o nas mówią, że my niby jesteśmy tępi, na żartach się nie znamy. Może tak i jest: tu mieszkają ludzie prości, i za taki żarcik łatwo mogą ci gardło rozplatać... A poza tym — rozciągnął wargi w chytrym uśmiechu, zupełnie jak dziadek obiecujący wnukom pokazanie sztuczki z „odrywaniem kciuka” — za twoją głowę i tak nie dadzą więcej niż pięćdziesiąt dunganów, które jesteś winien naszej rodzinie. Lepiej już doprowadzę cię do miasta, jak umawialiśmy się, i uczciwie odbiorę swoje pieniądze, może być?

— Może być. A nie zastanawiałeś się nad jakimiś bocznymi ścieżkami?

— Tak. Do Irapuato nie da się wejść, więc i tak trzeba będzie dokoła...

— Dokoła... Wszystko jest poważniejsze, niż ci się wydaje. W Uahapanie pojawili się dziwni domokrażcy. Chodzą we czworo obwieszeni bronią od stóp do głów, a w Koalkoman trzy tygodnie przed czasem zjawił się poborca podatkowy z algwasilami. Teraz zaś to — Irapuato... To mi się bardzo nie podoba.

— No tak... Uahapan, Koalkoman, Irapuato — otoczyli ze wszystkich stron. Chyba, że...

— Jeśli masz na myśli Guanohato — machnął ręką baron — możesz się nie łudzić. Tam na pewno już się ktoś pojawił: albo wędrowni cyrkowcy zabawiający publikę gaszeniem świecy bełtami swoich kusz, albo przecinający jataganami podrzucaną w powietrze pestkę moreli. Ale to niechby sobie było, gorsze jest coś innego. Otoczyli — masz rację — ze wszystkich stron, i tylko do naszej osady nikt nosa nie wściubia. Co by to mogło znaczyć?

— Może po prostu na razie tu jeszcze nie dotarli?

— Odpada. Do Uahapanu można przedostać się tylko przez Iguatalpę, prawda? Lepiej powiedz mi co innego. Jeśli taka drużyna pojawiłaby się w naszej wsi, mogliby mnie schwytać?

— W życiu! Przecież zwróciłeś naszą uwagę na przechodniów, uważamy na nich jak należy. Gdyby nawet setkę żandarmów przygnali, i tak bym cię zdążył wyprowadzić tyłami domów i ogrodami. A dalej są góry, szukaj wiatru w polu... Jak przyjdą z psami to mamy na nie tabakę z papryczką...

— Prawda. Oni to wiedzą nie gorzej, niż ja i ty. No to, po co to wszystko?

— Chcesz powiedzieć... — Góral zmrużył oczy i zacisnął ręce na rękojeści sztyletu tak, że kostki palców zbiały. — Chcesz powiedzieć, że zwąchali gdzie jesteś? W Iguatalpie?

— Na pewno. Jak — nieważne. To po pierwsze. A po drugie, to, co mi się naprawdę nie podoba to to, że strasznie nieporadnie się zachowują... Wydaje się, że wszyscy ci „domokrażcy”, „łowcy rozbójników” i „poborcy podatkowi” splekli dokoła nas coś na kształt zaciągającego się niewodu. Ale to tylko na oko niewód: tak naprawdę to jest to łańcuch naganiaczy, którzy hałasując i wrzeszcząc zapędzają zwierzynę na strzelców...

— Coś nie kumam...

— To bardzo proste. Oto na przykład usłyszałeś o żandarmach w Irapuato, o czym pomyślałeś w pierwszym momencie? Słusznie: o ścieżce. A teraz powiedz, czy bardzo trzeba być mądrym, żeby posadzić na tej ścieżce kilku kuszników w maskujących pelerynach?

Cecorello milczał długą chwilę, potem wykrztusił sakramentalne: „No to co robimy?”, oficjalnie uznając w ten sposób Tangorna za dowódcę.

— Myślimy — wzruszył ramionami baron. — A co najważniejsze, nie czynimy żadnych gwałtownych ruchów, bo tego właśnie od nas oczekują. Wiemy, że ci z Uahapan, Koalkoman i Irapuato to tylko „zaganiacze”. Teraz pomyślimy, gdzie czają się prawdziwi „strzelcy”, i jak można obok nich przemknąć.

„Tak więc — dedukował — zadanie standardowe: ponownie poluję na niejakiego barona Tangorna, szatyna około trzydziestu dwóch lat, typ nordycki, sześć stóp wzrostu, który to baron posiada jeszcze znak szczególny w postaci lekkiego utykania... Może to dziwne, ale zadanie nie jest prościutkie, jak się początkowo wydaje. Gdzie powinienem ustawić swoich „strzelców”? A przy okazji: skąd ich wziąć? Nie, to proste: muszą to być agenci operacyjni, którzy mogą go rozpoznać, i żebym tu nie widział żadnych bandziorów obwieszonych bronią na trzy strzały z łuku dokoła! Baron na pewno będzie przebrany i tak ucharakteryzowany, że rozpoznanie go nawet dla ludzi pamiętających jego twarz, nie będzie łatwym zadaniem. A czy dużo jest takich ludzi? Nie więcej niż tuzin, a najpewniej siedmiu, ośmiu. W końcu minęły cztery lata. Robimy tak — dzielimy ich na cztery zmiany, po sześć godzin pracy, bo potem oko się męczy... Nie jest to za dużo... Dzielić tę drużynę w ogóle nie ma sensu, trzeba ich zebrać w jedną pięść, ani

włączyć do oddziału „strzelców”, ani do „zaganiaczy” absolutnie nie można. Gdy podzielimy. . . Tfu! Czy ja zupełnie zgłupiałem?! Jak można ich pakować do „zaganiaczy” skoro — z góry to wiadomo — że ci nie spotkają się z baronem, jeśli nie jest zupełnym durniem, a i wcale nie muszą znać szczegółów operacji, tylko łążą po krzakach i hałasują. . . Znaczy, tak: przydatnych ludzi mam mało, dzielić ich nie mogę, muszę więc skoncentrować ich wszystkich. . . Oczywiście!”

— Będą na nas czekali na Długiej Grobli. Nie da się jej ominąć — poinformował baron pół godziny później siedzącego cicho i zastanawiającego się Cecorello. — A my przejdziemy przez nią takim sposobem. . .

— Zwariowałeś! — wykrztusił góral wysłuchawszy szczegółów jego planu.

— Mówiono mi już to wiele razy — rozłożył ręce baron. — Jeśli więc jestem wariatem, to szczęśliwym wariatem. . . Idziesz ze mną? Miej na uwadze, że nie będę cię długo prosił, gdyż — samemu będzie mi jeszcze łatwiej.

\* \* \*

— Wszystko się zgadza, mistrzu. Ludzie z Nadmorskiej 12 rzeczywiście usiłowali go ująć w „Morskim koniku” i potem jeszcze raz — na placu Castamira. Dwa razy udało mu się im ująć. W „Koniku” — czworo zabitych, na Castamira — troje zarażonych trędem. Dość wysoka cena, według mnie, jak na osłonę jednorazowej dezinformującej operacji. Latarniowa 4 to rzeczywiście konspiracyjny lokal gondorskiej Tajnej Straży, i naprawdę dokonał na ten lokal nalotu: jeden z kaprali — mieszkańców tego lokalu, jest ciężko ranny mieczem w pierś, opowiadanie Algalego potwierdza leczący rannego lekarz. Żeton Tajnej Straży oryginalny, pismo owego Arawana dokładnie odpowiada temu z raportu na posterunku policji. A Algalego szuka obecnie cała gondorska siatka. Ryją nosami w ziemi jak krety. . . Słowem — nie wydaje się, żeby to była jakaś zmyłka.

— Dlaczego więc nie pojawił się w „Zielonej makreli”?

— Może przyuważył pod knajpą naszych ludzi z grupy osłonowej i słusznie uznał, że złamaliśmy warunki umowy. Ale to w najlepszym przypadku, a w najgorszym — capnęli go ludzie Aragorna. . . Miejmy nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży, mistrzu, i czekajmy następnego piątku, dwudziestego szóstego. A osłonę przyjdzie nam wycofać, gdyż w przeciwnym przypadku znowu nic z tego nie wyjdzie.

— Masz rację. Jedna rzecz jest jednak absolutnie pewna — nie może wyjść z „Zielonej makreli” o własnych siłach. . .

## 49

### **Umbar, ulica Nadmorska 12 25 czerwca 3019 roku**

Ichneumon wolnym krokiem przemierzał korytarze konsulatu. Nie skradał się wzdłuż ścian jak błyskawiczny cień, a właśnie przemierzał — tak, że jego krokom towarzyszyło echo, rodzące się i zamierające w zakątkach śpiącego budynku, a naścienne lampiony co chwilę wychwytywały z półmroku czarny paradny mundur ze srebrnymi oficerskimi akselbantami na lewym ramieniu. Zresztą, Marandil od razu zrozumiał, że to tylko złudzenie powstałe z powodu niepewnego oświetlenia: w rzeczywistości porucznik był w cywilnym ubraniu, a „srebro” na jego piersi i ramieniu to po prostu plamy jakiejś białej pleśni. . . Nie, nie pleśni — to szron! Szron na ubraniu. . . Skąd miałby się wziąć? I w tej właśnie chwili twarz kapitana owiał słaby, ale wyraźny podmuch — jakby lodowate tchnienie grobowca. Języczki płomieni w kagankach zgodnie kiwnęły się, jakby potwierdzając, że to nie halucynacje, nie łudź się! Mury konsulatu, przekształconego w niezdobytą twierdzę, dwa pierścienie po psiemu wiernej ochrony, DSD z jego niedoścignionym systemem poszukiwań — wszystko nadaremno. . .

Można było fizycznie wyczuć grobowe zimno wiejące od zbliżającej się postaci, i chłód ten, trwale przytwierdził do podłogi podeszwy kapitańskich butów, od razu zmieniając paniczny wicher w jego głowie w gęstą galaretę: „No i koniec. Przecież od początku wiedziałeś, że tak to się właśnie skończy. . . Otrzymałszy zeznania Arawana, wiedziałeś już — kiedy, a teraz na dodatek wiesz — jak, i już. . .” Porucznik tymczasem na jego oczach zmieniał się w najprawdziwszego Ichneumona, który niespiesznie, nieco kołyszając się na boki, zbliża się do kobry — płaski trójkątny łeb z położonymi na głowie uszami, sam w jakiś sposób przypominający głowę węża, rubinowe koraliki oczu i śnieżnobiałe zęby pod nastroszonymi wąsami. A kobrą jest on, Marandil. . . Stara zmęczona kobra z wyłamanymi zębami jadowymi. Oto zaraz szczęki mangusty zewrą się na jego gardle, uderzą fontanny krwi z przebitych tętnic i zachrzeszczą koronki kości kręgosłupa. . . Cofnął się, na próżno osłaniając się rękami od zbliżającego się koszmaru, i nagle zwałił na plecy: zaczepił obcasem o brzeg dywanika.

Właśnie ból — upadając mocno uderzył się łokciem — uratował kapitana, przywracając go do rzeczywistości. Paniczny strach nie wiadomo dlaczego zmienił swoje właściwości — z paraliżującego stał się mobilizującym, i Marandil, błyskawicznie poderwawszy się na równe nogi, pobiegł mrocznym korytarzem, tak szybko, że przerywana linia szeregu lampek złała się w ciągłą ognistą linię. Schody... na dół... skok przez poręcz na następny marsz schodów... jeszcze raz... Tu już powinien stać wartownik. Gdzież on jest? Korytarz prowadzący do gabinetu rezydenta... ochrona, gdzie jest cała ochrona, żeby ich lichy?! A za plecami kroki — miarowe, jakby tnące na dokładne plasterki zwartą i grząską ciszę korytarza... Aaaa!!! Przecież to ślepy korytarz! Dokąd teraz, dokąd? Do gabinetu — nie ma wyboru... klucz... nie wchodzi do dziurki, gadzina! O, kretyn, przecież to od sejfu... Spokojnie, spokojnie... O, Wielki Aule, pomóż, ten diabelski zamek wiecznie się zacina... A kroki coraz bliżej i bliżej — jak padające lodowate krople na wygoloną głowę... A ciekawe, dlaczego nie biegnie? Zamknij się, idioto, nie wykracz! Spokojnie, przekręć... jest, w porządku!!!

Jak jaszczurka przemknął przez szczelinę nie do końca otwartych drzwi do gabinetu, napał na nie całym ciałem i zdążył przekręcić klucz w tej samej chwili, kiedy kroki odmieńca dały się słyszeć na progu. Kapitan nie zapalał światła — nie miał na to sił. Dygocący i zlany potem usiadł na parkiecie na środku pokoju, w obszernym kwadracie księżycowego światła, przekreślonego kratą okna. Dziwna sprawa: racjonalnie myśląc, Marandil wiedział, że koszmarny prześladowca nigdzie się nie rozpułnął, ale tu, siedząc na tym posrebrzonym dywaniku, jakoś poczuł się bezpiecznie, jak podczas dziecinnej zabawy, kiedy wystarczy krzyknąć: „Zamawiam!” Roztargnione spojrzenie przemknęło po rysunku księżycowych cieni na podłodze, i dopiero wtedy domyślił się, że należy popatrzeć na okno. Domyślił się i niemal zawył ze strachu i rozpaczy.

Na zewnętrznym parapecie, prawie z nosem, na szybie, stał jakiś dziwnie przypominający hienę człowiek. Ten drugi odmieniec mógł z łatwością rozbić nogą szybę i wskoczyć do pokoju, ale nie ruszał się z miejsca i tylko patrzył na Marandila okrągłymi, blade fosforyzującymi oczami... Z tyłu natomiast, dał się słyszeć słaby metaliczny chrobot — to Ichneumon już się zajął zamkiem drzwi. „Dobrze, że klucz został w dziurce” — przemknęło przez głowę kapitana, i w tej samej sekundzie drzwiami wstrząsnęło straszliwe uderzenie. Obok zamka został wybity szarpany, owalny otwór o średnicy jakichś sześciu cali, przez który to otwór z korytarza wlała się struga mętnego światła. Struga ta niemal natychmiast „wyszła” do kilku promyków — otwór został czymś z zewnątrz zasłonięty — a potem nagle rozległ się szcęk zasuwki i drzwi gabinetu stanęły otworem... Dopiero wtedy Marandil zrozumiał, że porucznik po prostu wywalił pięścią otwór w drzwiach, wsunął przezeń rękę i spokojnie przekręcił sterczący od wewnątrz klucz. Kapitan rzucił się do okna, obawiając się człowieka-hieny znacznie mniej niż Ichneumona, a wtedy z mrocznych kątów pokoju z bezszelestną gracją wynurzyła się kolejne

para napastników — wilki.

Wywlekły go za nogi spod biurka, pod którym usiłował się schować, i stały teraz nad zdobyczą, szczerząc kły i nasycając powietrze ostrym zapachem psiej sierści, a ich oddechy były przesiąknięte „mięsnym” zapachem. On zaś, uświadomiwszy już sobie całkowitą nieodwracalność zapłaty za swoją zdradę, skowyczał na podłodze, spazmatycznie usiłując osłonić rękami gardło i pachwinę. . . A potem nagle wszystko się zmieniło, rozwiało. . . Podporządkowując się obojętnemu głosowi Ichneumona: „Kapitanie Marandil, w imieniu Jego Królewskiej Mości jesteś aresztowany. Kapralu, odbierzcie mu broń, żeton i klucze do sejfu. Do lochu go!”

Nie! Nie! Nie-e-e!!! To nieprawda, to nie może być. . . Każdemu to się mogło przydarzyć, ale nie jemu, nie kapitanowi Tajnej Straży Marandilowi, szefowi umbarskiej rezydentury! Ale oto już go wloką na dół po stromych wyszczerbionych stopniach, a on nagle przypomina sobie z przeraźliwą dokładnością, że stopni jest dwadzieścia, a czwarty od dołu jest mocno odłupiony, a potem, już w lochu, jednym ruchem wytrzasają go z ubrania i gołego wieszają za związane kciuki na haku wbitym w belkę sufitu. . . Wtedy pojawia się ponownie oblicze Ichneumona — oko w oko:

— Twoje układy z umbarskimi tajnymi służbami mnie nie interesują. Chcę wiedzieć, kto ci podsunął pomysł napuszczenia na naszą grupę elfów, skłócając ich podziemie z Tajną Strażą Jego Królewskiej Mości. Dla kogo z Minas Tirith pracujesz? Dla ludzi Arweny? Co ci wiadomo o misji barona Tangorna?

— Nic nie wiem, przysięgnę na co tylko chcesz! — chrypi, zwijając się z bólu wyszarpiętych stawów i świetnie rozumiejąc, że to tylko lekka rozgrzewka. — Nie wydawałem żadnych poleceń porwania tego Algalego. Arawan albo zwariował, albo pracował na własne konto. . .

— Proszę przystąpić, kapralu. . . Więc kto kazał ci „zaświecić” mnie przed elfami?

Oprawcy znają się na rzeczy i bardzo dokładnie dozują ból, nie dając mu umknąć w prawdziwe omdlenie, a trwa to długo, nieskończenie długo. . . Potem wszystko się skończyło: zaiste wielka jest miłość Valarów, i czułe dłonie Vaire unoszą go do najpewniejszego ze schronień — do mrocznych pokoi Mandosa.

\* \* \*

Słoneczne promienie uderzały prosto w twarz Marandila — zbliżało się południe. Z jękiem poderwał ciężką jak z kamienia głowę — jakby wcale nie zaznał snu — ze zwiniętego w rulon, zastępującego poduszkę płaszcz, bezskutecznie



usiłując ni to przełknąć, ni to odcharknąć ugrzęzły w zaschniętym gardle krzyk. Wypracowanym ruchem wyszukał stojącą obok kanapy nie dopita butelkę rumu i, wyrwawszy zębami korek, łyknął obficie. Tak naprawdę, to alkohol już mu nie pomagał — żeby naprawdę dojść do siebie musiał niuchnąć koknary: przez tych kilka dni przerażenie wyżarło mu trzewia, zostawiając tylko żalną, pomarszczoną otoczkę. Kapitan przestał wychodzić poza bramy konsulatu, a spał tylko w dzień, nie rozbierając się. Z jakiegoś powodu przekonał sam siebie, że Ichneumon przyjdzie po niego dokładnie o północy, jak w prześladowających go koszmarach.

Koszmary były wyrafinowane i różnorodne. Speckomando Ichneumona albo przenikało do wnętrza jego gabinetu niczym cienie — *ninjokwe*, albo pojawiało się jak zupełnie zwyczajne widma wprost z dużego ściennego zwierciadła wykonanego przez khandyjskich mistrzów — ocknąwszy się pewnego razu, rozbił je natychmiast na drobne kawałki. Czasem po prostu wyłamywali drzwi, jak zwyczajny oddział policji z wszelkimi możliwymi odznakami i dokumentami. Najbardziej jednak utkwił mu w pamięci ten sen, w którym napadły na niego cztery ogromne, wielkości psa, nietoperze. Nieuchwytnie i zwinne ganiały kapitana po całym budynku i, złośliwie popiskując, chlastały go po głowie swymi skórzastymi skrzydłami, usiłując sięgnąć oczu. Dłonie, którymi osłaniał twarz, czubek głowy i szyję były już poszarpane na krwawy farsz ich małymi ostrymi kłami — i dopiero wtedy następował nieodmiennie fabularny koniec: „Kapitanie Marandil, w imieniu Jego Królewskiej Mości jesteś aresztowany. Kapralu, odbierzcie mu broń, żeton i klucze do sejfu. Do lochu go!”

— Panie sekretarzu! Panie sekretarzu, proszę się obudzić! — Dopiero teraz pojął, że obudził się nie sam z siebie. W drzwiach gabinetu stoi przestępujący z nogi na nogę łącznik. — Pilnie wzywa pana pan konsul.

„Pilnie wzywa” — to coś nowego. Otrzymałszy jakieś dziesięć dni temu w porannej poczcie przesyłkę z zeznaniami Arawana, Nadzwyczajny i Pełnomocny Konsul Odrodzonego Królestwa sir Eidred zażądał od rezydenta wyjaśnień. Otrzymałszy zaś zamiast tego żaloszny bełkot w stylu: „To nie ja, i nic o tym nie wiem”, zaczął uciekać przed kapitanem jak przed zadzumionym, demonstracyjnie zerwawszy z nim wszelkie kontakty. Najgorsze zaś było to, że wersja wydarzeń, podyktowana Arawanowi przez Tangorna, wyglądała tak przekonująco, że Marandil zaczął wątpić we własny rozsądek: a może naprawdę sam wydał taki rozkaz, będąc w jakimś zamroczeniu umysłu? Przekonał sam siebie tak mocno, że zlikwidował rannego Morimira, bo mógłby po wyzdrowieniu potwierdzić polecenie porwania Algalego. Usunął go pospiesznie, niechlujnie, zostawiając wiele śladów i przez to odciął sobie wszelkie możliwości wycofania się. Marandil fizycznie odczuwał duszną pustkę, jaka tworzyła się wokół niego w całej siatce: podwładni, jak jeden mąż, unikali z nim nawet kontaktu wzrokowego, a w pomieszczeniach, do których wchodził, natychmiast zamierały wszelkie rozmowy. Rozumiał, że najwyższy czas uciekać, ale jeszcze bardziej bał się samotności w mieście. Została

mu tylko wiara w skuteczność DSD, w wariant, w którym dobierze się on do Ichneumona wcześniej, niż ten do niego. Już nie wierzył natomiast w to, że własna ochrona zatrzyma porucznika, choć otrzymała taki rozkaz.

— Pali się, czy co? — rzucił ze złością do gońca, usiłując doprowadzić do porządku solidnie wymiętoszone podczas snu ubranie.

— Jakiegoś trupa znaleźli i powiadają, że to pana domena. Znaki szczególne: mnóstwo drobnutkich blizn na wargach. . .

Do gabinetu konsula Marandil niemal wbiegł i od razu został pochwycony pod pachy przez dwóch zajmujących pozycje przy drzwiach oberwańców w wysmarowanych błotem ubraniach. Sir Eidred stał nieopodal. W jego postawie i wyrazie twarzy dziwnie mieszały się znieważona arystokratyczna wyniosłość i służbowa uniżoność — czuło się, że Jego Ekscelencji dopiero co zaaplikowano legendarną lewatywę z trzech wiader terpentyny. W fotelu konsula zaś, założywszy nogę na nogę rozwalił się Ichneumon, we własnej osobie — tak samo wybrudzony jak jego podwładni.

— Kapitanie Marandil, w imieniu Jego Królewskiej Mości jesteś aresztowany. Kapralu, odbierzcie mu broń, żeton i klucze do sejfu. Do lochu go! — I, wstając, rzucił przez ramię: — A panu, panie konsulu, stanowczo radzę skopać tyłek dowódcy ochrony. W sumie to można do was przeniknąć na cztery sposoby, ale żeby wejścia do kanalizacji burzowej nie były przesłonięte kratami. . . Takie niedbalstwo nie mieści się w głowie! Tak więc, proszę się nie zdziwić, że pewnego ranka zauważy pan w ogrodzie konsulatu cygański tabor, a w westybulu kilku chrapiących włóczęgów. . .

*Nie! Nie! Nie-e-e!!! To nieprawda, to nie może być. . . Każdemu to się mogło zdarzyć, ale nie jemu — kapitanowi Tajnej Straży Marandilowi, szefowi umbarskiej rezydentury! Ale oto już go wloką na dół po stromych wyszczerbionych stopniach, a on nagle przypomina sobie z przeraźliwą dokładnością, że stopni jest dwadzieścia, a czwarty od dołu jest mocno odłupany, a potem, już w lochu, jednym ruchem wytrząsają go z ubrania i gołego wieszają za związane kciuki na haku wbitym w belkę sufitu. . . Wtedy pojawia się ponownie oblicze Ichneumona — oko w oko:*

— *Twoje układy z umbarskimi tajnymi służbami mnie nie interesują. Chcę wiedzieć, kto ci podsunął pomysł napuszczenia na naszą grupę elfów, skłócając ich podziemie z Tajną Strażą Jego Królewskiej Mości. Dla kogo z Minas Tirith pracujesz? Dla ludzi Arweny? Co ci wiadomo o misji barona Tangorna?*

— *Nic nie wiem, przysięgnę na co tylko chcesz! — chrypi, zwijając się z bólu wyszarpiętych stawów i świetnie rozumiejąc, że to tylko lekka rozgrzewka. — Nie wydawałem żadnych poleceń porwania tego Algalego. Arawan albo zwariował, albo pracował na własne konto. . .*

— *Proszę przystąpić, kapralu. . . Więc kto kazał ci „zaświecić” mnie przed elfami?*

*Oprawcy znają się na rzeczy i bardzo dokładnie dozują ból, nie dając mi umknąć w prawdziwe omdlenie, a trwa to długo, nieskończenie długo. . .*

*Potem wszystko się skończyło: zaiste wielka jest miłość Valarów, i czułe dłonie Vaire unoszą go do najpewniejszego ze schronień — do mrocznych pokoi Mandosa. . .*

Akurat „unoszą” . . . Doczekasz się!

— I nie miej, parszywcze, złudzeń, że zdechniesz zanim wyłożysz całą sprawę! Dla kogo ze świty Arweny pracujesz? Jak realizowana była łączność?

Nic się nie skończyło — wszystko dopiero się zaczynało. . .

**Umbar, Długa Grobla**  
**26 czerwca 3019 roku**

Umbarska Długa Grobla nie znajduje się w wykazie dwunastu Cudów Świata — jak je wyliczył swego czasu w swej *Historii Powszechnej* Asch-Scharam, ale to chyba świadczy o specyfice smaku wielkiego Wendotenijczyka: przedkładał on nad budowle funkcjonalne i czasem olbrzymie, wyrafinowane świecidełka typu baraddurskiej wieżycy, czy Wiszącej Świątyni w Mendorze. Łączący od czterech wieków Półwysep z Wyspami nasyp, długi na siedemset sążni, wręcz porażał wyobraźnię każdego przybywającego do Umbaru: był szerszy od każdej z miejskich ulic i pozwalał rozminąć się dwóm karawanom bachtrianów. Właściwie po to właśnie był budowany — obecnie kupcy wożący po Trakcie Chewelgarskim towary z kontynentu i na kontynent nie musieli korzystać z przepraw promowych. Nie za darmo, rzecz jasna. Jak twierdziły złe języki, z tych srebrnych monet, które z kieszeni kupców do miejskiego skarbcza wpłynęły przez cztery wieki, można by było usypać obok drugą taką groblę.

Przed masywnym budynkiem komory celnej, wznoszącym się przy wjeździe na groblę od strony Półwyspu, rozlokowało się całe miasteczko z pstrych namiotów i bambusowych szałasów. Tutaj kupiec, zmęczony pięciodniową podróżą po krętych serpentynach Traktu Chewelgarskiego, miał możliwość wydania swoich pieniędzy w przyjemniejszy niż w gabinecie celnika sposób. Ścielący się nad rusztami siwy szaszłykowy czad — nie wiadomo czy nie smaczniejszy od samych szaszłyków, dziewczyny o różnej barwie skóry i dowolnych gabarytach, nienatrzętnie prezentowały swe wdzięki, do tego dochodzili magowie i prorocy, kusząco proponujący za jakąś nędzną pikkołę przepowiednię tyczącą przyszłych interesów, a za castamirkę pozbycie się raz i na zawsze wszelkiej konkurencji... Namolnie wzywali do miłosierdzia żebracy, penetrowali ubrania kieszonkowcy, z cyrkową zręcznością wciągali „jeleni” w swoje matactwa szulerzy i mistrzowie trzech kulek; tu również rzeczowo prowadzili swoje reketierskie interesy policjanci — wszak miejsce było dochodowe, nie da się ukryć... Powiadają, że pewien początkujący stróż porządku zupełnie na poważnie złożył na biurku swego prze-

łożonego taki oto raport: „Odczuwając wielką potrzebę powiększenia dochodów z powodu urodzin trzeciego dziecka, proszę o przeniesienie na Długą Groblę choćby na krótko”. Słowem, taki Umbar w pomniejszeniu i w całej swej okazałości.

Dzisiejszego dnia kolejka posuwała się w iście żółtym tempie. Mało tego, że celnicy jakby usiłovali zdrzemnąć się na stojąco, co nie przeszkadzało im wsuwać nosy w każdy pakunek, to jeszcze powstał dodatkowy zator na grobli, gdzie budowlane ekipy zaczęły zmieniać bruk. Potężny czarnobrody przywódca jednej z karawan z Khandu już zrozumiał, że celnicy — oby ich poraził Wszechmogący dygawicą i ropiejącymi wrzodami! — tyle czasu zmitrężyli przy jego karawanie, że przed obiadem bachtriany już za skarby nie zdążą na Wyspy — co znaczy, że dzisiejszy dzień targowy poszedł osłu pod ogon. Dobra, co tam teraz się szarpać i puszczać bańki nosem. . . Wszystko to wola Wszechmogącego. Kazał więc pomocnikowi pilnować zwierząt i towaru, a sam, żeby zabić czas, poszedł poszwendać się po miasteczku namiotowym.

Posiliwszy się w jednej z jadłodajni — lagmana, trzy porcje wspaniałego szafranowego pilawu i talerz słodkich pierożków z suszonymi morelami — ruszył już z powrotem, ale zatrzymał się przed małym pomostem, gdzie wdzięcznie wyginała się oliwkowa tancerka, której za cały strój służyło kilka fruujących w powietrzu jedwabnych wstążek. Dwaj górale z Półwyspu pożerali ją oczami — poczynając od poruszających się w niedwuznaczny sposób bioder i matowo połyskującego brzucha. Przy tym rzecz jasna nie zapominali o spluwaniu od czasu do czasu, okazując w ten sposób obrzydzenie. „Tfu! Co ci miastowi w nich widzą? Ani brzuszeczka, ani tyłeczka”. Poza tym wymieniali między sobą uwagi co do moralnej postawy miejskich kobiet. Karawaniarz już szacował, ile go będzie kosztowała bliższa znajomość z tancerką w jej namiocie za pomostem, ale nagle pojawił się nie wiadomo skąd hakimiański prorok — owinięta w na poły przegniłe łachmany łysa mumia z płonącymi jak węgle oczami — który z miejsca zaczął miotać gromy na zebranych rozpustników „pożądliwie zapatrzonych w nierząd, czyniony przez upadłą siostrę naszą”. „Upadła siostra” miała to wszystko w baczeniu, ale kupiec szybciotko zwinął się na bok. „Niech go z tą drogą do Raju! Jeszcze rzuci jakiś urok. . .”

Baby jednak się chciało: pięć dni w drodze, nie żarty. . . Zresztą, co sobie za młodu żałować! Poszukał wzrokiem dokoła siebie i. . . proszę bardzo, dosłownie tuż obok, o dziesięć kroków, znalazł obiekt poszukiwań. Na pierwszy rzut oka dziewczę nie rzucało na kolana — chudziutka siedemnastolatka, na dodatek ozdobiona potężną, dobrze wyleżakowaną śliwą pod lewym okiem — ale doświadczone oko Khandyjczyka doceniło walory jej figury i aż się oblizał: „No, to jest coś i to z czymś! A co do gęby, to jak wiadomo można ją w razie czego onucą zasłonić”.

— Nudzisz się, koleżanko?

— Spadaj — obojętnie warknęła tamta; głos miała nieco ochryply, ale przy-

jemny. — Pomyliłeś się, wujku, ja nie z tego interesu.

— Akurat, nie z tego! Może nie dali ci dobrej ceny? Ja ci gwarantuję — wszystko będzie cacy. . . — I rechocząc, chwycił ją za rękę, niby żartując, ale za skarby świata się nie wyrwie.

Dziewczyna odpowiedziała krótką wiązanką, która mogłaby wywołać rumieniec na obliczu pirackiego kaperskiego bosmana, uwolniła — jednym dokładnym ruchem — swoją rękę z łapy kupca i szybko cofnęła się, w zaułek między połatany namiotem i krzywym straganem z trzciniowych mat. Właściwie to nie było w tym żadnej specjalnej sztuki — po prostu należy się wyrwać w stronę opuszki kciuka trzymającego człowieka — ale za pierwszym razem taki numer robi niezłe wrażenie i prowadzi zazwyczaj, do słusznych wniosków. Ale nie dziś: napalony karawan-bashi, wściekły, że jakaś małaletnia szmata udaje niedotykalską, co sił runął w zaułek między namiotami za umykającą zdobyczą. . .

Nie minęła i minuta, gdy Khandyczyk pojawił się ponownie na placu. Szedł teraz bardzo ostrożnie, jakby na paluszkach i, cichutko mruczając z bólu, przyciskał do brzucha prawą rękę, starannie chroniąc ją lewą. No, chłopie, sam sobie jesteś winien, co tu jeszcze powiedzieć. . . Dla każdego opera DSD wybicie ze stawu kciuka sięgającej do niego ręki to jak splunąć. Każdy ci to robi, nawet żółtodziób — a dziewczyna nowicjuszka nie była. Nieco później Fea, bo pod takim imieniem znali ją koledzy z departamentu, wróciła do „swego” sektora placu, jednakże pechowy karawan-bashi raczej by już jej nie poznał, nawet gdyby zderyli się nosami: dziwka zniknęła, a zamiast niej pojawił się chłopiec-nosiwoda, obdarty i umorusany, ale bez śladu sińca pod okiem — a wszak uwagę obserwatora zazwyczaj przyciągają takie właśnie „cechy”. Należy zauważyć, że wróciła na swój posterunek, akurat na czas: ślepy żebrak, siedzący tuż przy wjeździe na groble, posępnie zawył: „Wspomóżcie, kto jak może, ludzie dobrzy!” zamiast poprzedniego: „Ludzie dobrzy, wspomóżcie, kto jak może!” co oznaczało sygnał: „Do mnie!”

Cechy orientacyjne poszukiwanego — „Z północy, szatyn, sześć stóp wzrostu, oczy szare, trzydzieści dwa lata, ale wygląda młodziej, kuleje na prawą nogę. . .” — Fea oczywiście знаła na pamięć, choć tym razem była zaprzęgnięta do operacji tylko jako zabezpieczenie, bezpośrednio podległe jednemu z rozpoznających ślepemu żebrakowi. O tym, że owym żebrakiem jest sam pierwszy zastępca DSD we własnej osobie, Fea nawet nie podejrzewała — jak również tego, że Jakuzzi został wczoraj uprzedzony z całą stanowczością, że jeśli pomysł z obławą na Tangorna nie zostanie zrealizowany w ciągu najbliższych trzech dni, to nie uda mu się wykręcić rezygnacją z munduru. . . Tnąc więc powietrze swym dźwięcznym: „A komu wody, zimnej wody z lodem?!”, dziewczyna zręcznie wkręciła się w tłum, usiłując z marszu odgadnąć, kto mianowicie ściągnął na siebie uwagę dowódcy.

Na groble akurat wjeżdżał wóz z workami i, sądząc z wyglądu, była to kuku rydza. Parę mułów prowadził na postronku wysoki i szczupły, dwudziestoosmio-

może trzydziestoletni góral, a odległość między jego malinowym fezem a brukiem wynosiła dokładnie sześć stóp. Co do reszty... Nawet jeśli pominąć chromanie, które mogło być taką samą przyciągającą jak jej siniec, cechą, to oczy miał zgoła nie szare. Worki... worki — to poważne, i właśnie z tego powodu baron z tego nie skorzysta. Przeskoczyć groblę w beczce, czy rulonie dywanu to kuszący ruch, ale tak już „zajeżdżony”, banalny i wielokrotnie wysmiany, że właśnie ta operetkowość może skusić skłonnego do paradoksalnych decyzji Tangorna. Dlatego właśnie celnicy dziś pracują podwójnie starannie. Puszczono między nich plotkę, że, aby ukrócić łapownictwo, incognito pracują dziś na grobli specjaliści inspektorzy ze Skarbu. Wszystkie natomiast powozy wieśniaków, poruszające się z powodu remontu bruku straszliwie wolno, kontroluje specjalnie wyszkolony pies.

Postawiwszy w ten sposób krzyżyk i na workach i na ich właścicielu, sokole spojrzenie Fei przemknęło po wcinającym się w kolejkę przy akompaniamencie krzyków w stylu: „Uwaga! Prawa wolna — bykowca chcesz skosztować?!” oddziale konnych żandarmów i ich połowu — sześciu skutych parami górali — i, przekonawszy się, że i tu panuje ład i porządek, przeniosła spojrzenie na inny obiekt... Ach to!

Pątnicy-hakimianie, wracający do miasta po Shawar-Shawanie tradycyjnej trzytygodniowej pielgrzymce do jednej ze swych górskich świątyń. Ze trzydziestu ludzi — twarze na znak pokory mieli zakryte kapturami włosienic, a niemal połowa z nich to apoplektycy i kalecy, w tym też kulawi... Naprawdę, wspaniała maska. Nawet gdyby się udało rozpoznać barona, co i tak jest nierealne, to jak go wywlec z tłumu pątników? Siłą, wydając polecenie ekipie remontującej drogę? Powstanie takie zamieszanie, że strach pomyśleć, a jutro w ogóle może dojść w mieście do rzezi między hakimianami i arkanami... Wywołać go na pobocze? Ale jak? Tak rozmyślając, omal nie przegapiła momentu, kiedy „jej” ślepiec wstał, ustępując swe wielce dochodowe miejsce innemu członkowi gildii żebraków i, postukując laską po kamieniach drogi, ruszył za pielgrzymami: znaczyło to, że rozpoznał Tangorna i jest całkowicie tego pewny. Kilka chwil później Fea z nosiwody stała się przewodnikiem. W pewnym oddaleniu za nimi maszerowali dwaj górale — ci sami, którzy wraz z pechowym karawan-bashim gapili się na tancerkę. Jednym z nich był Rashua — rezydent DSD na Półwyspie, a jeszcze dalej dziwne towarzystwo składające się z dwóch frantów o wyglądzie kryminalistów i śniętego celnika; nadeszła pora obiadu również dla brygady kamieniarzy — ci też ruszyli gęsiego do miasta. Zasadzka na grobli spełniła swe zadanie: Jakuzzi, może i stary koń, ale nie psuł bruzdy!

— Zuch z niego, dziewczyno. Znakomicie to wymyślił, chyłę czoła... Jeśli mam być szczerzy, to prawdziwy uśmiech Fortuny, że potrafiłem go wykukać. Reszta naszych w ogóle nic nie zajarzyła. Szkoda, że nie gra w naszej drużynie...

W głosie wicedyrektora do spraw operacyjnych rozbrzmiała niemal czułość; cóż, zwycięstwo rodzi wielkoduszność, i samokrytycyzm. W jego pamięci po-

jawił się nagle stolik kawiarni na placu Castamira, powrócił smak nurneńskiego wypitego za sukces gondoliera, własny werdykt: „To rzeczywiście amator — wspaniały i fartowny: uda mu się raz, drugi, ale za trzecim skręci sobie kark. . .” Cóż, nadszedł właśnie ten trzeci raz: żadnemu człowiekowi Fortuna nie sprzyja w nieskończoność.

— A jak go pan poznał pod kapturem?

— Pod kapturem? Aaa. . . Uznałaś, że jest jednym z pielgrzymów?

— Przepraszam?

— Oczywiście, że nie. To aresztant, ten w parze z prawej strony. Twarz owinięta zakrwawioną szmatą, a kuleją wszyscy: kajdany to nie przelewki. . .

— Ale żandarmi. . .

— Żandarmi są najprawdziwsi na świecie. A on jest rzeczywiście aresztantem, na tym polega cały pomysł! Znakomite rozwiązanie, naprawdę kunsztowne. . . Nie rozdziawiaj tak ust i nie zatrzymuj się, bo ludzie na ciebie patrzą. Ucz się dziecko, póki żyją tacy mistrzowie. . . Nie mówię o sobie, a o nim.



## 51

— Ale ja i tak nie rozumiem... To znaczy — nie wszystko rozumiem — przyznała Fea, ponieważ czuła, że dowódca jest we wspaniałym nastroju, i dlatego chętny do tłumaczenia.

— Obliczył wspaniale: sami żandarmi ściągną na siebie uwagę na pewno, bo zdobyczny mundur to standard maskowania. Ale ich zdobycz — jeśli żandarmi są prawdziwi — raczej nie. Więc stał się takim łupem. Jak — na razie nie wiem, a i nie jest to ważne: istnieje wiele możliwości. Mógł na przykład przyjść do Irapuato i wylać komuś pół kubka wina na mundur... Pewnie, stłukli go uczciwie, ale to pozwoliło mu zakryć rozbity pysk, a w nagrodę przeprowadzą go do miasta, i jeszcze ukryją na kilka miesięcy w najpewniejszym miejscu na świecie — w więzieniu. Nikt by go tam nie szukał, ani my, ani ludzie Aragorna. To dobry wariant, jeśli zamierzał gdzieś przeczekać. Przez przestępców może też skontaktować się z kimś ze swych ludzi — niechby i z Elwiss. Ci dadzą w łapę ile trzeba sędziemu albo więziennym władzom, i będzie na wolności za kilka dni... Tyle, że w moich planach nie leży zezwolenie na wylegiwanie się gdzieś na narach.

Idąc pięćdziesiąt jardów za żandarmami, a byli to naprawdę „polujący na rozbójników” z Irapuato, Jakuzzi i jego towarzyszka dotarli do budynku policyjnego zarządu portu. Tu aresztowani zostali podzieleni: czworo poprowadzono dalej, w kierunku widniejącego za Kanałem Obwodowym więzienia Ar-Khoran, a Tangorna i skutego z nim górala (w którym Rashua już rozpoznał niejakiego Cecerello, bratanka Sarrakesza), dowódca oddziału osobiście wprowadził do budynku policji. Oczekawszy dla porządku jakieś piętnaście minut, Jakuzzi również wszedł do wnętrza. Dyżurnemu, który zamierzał zagrozić wejście dwóm obszarpańcom, podsunął pod nos żeton komisarza policji i oschłym głosem polecił, by go zaprowadzono do komendanta posterunku. Żeton schował w fałdy ubrania, gdzie spoczywała jeszcze cała sterta podobnych zmyłek — od inspektora posterunku celnego do kapitana flagowego służby inżynierskiej Admiralicji, najważniejsze było nie pomylić się i pokazać odpowiednią w odpowiednim miejscu i chwili.

— Komisarz Rachmadjanian — przedstawił się, wchodząc do gabinetu. Jego właściciel, niechlujny grubas z obwisłymi policzkami, wyglądający na ożywioną

karykaturę policyjnej szarży, wykonał niezbyt udaną próbę wyciągnięcia z fotela olbrzymiego zadu i przywitał gościa:

— Starszy inspektor Djezin. Proszę siadać, komisarzu. Czym mogę służyć? Przy okazji, czy dziewczyna, to pański współpracownik?

— Oczywiście.

Chłopięcy kamuflaż nie zmylił ani na sekundę Djezina. Jakuzzi, zresztą, i tak już oszacował po wielu szczegółach, że komendant posterunku jest z jednej strony wystarczająco sprytny, co nie było dziwne, gdyż Zarząd Portu to istna kopalnia złota, pretendenta na ten łakomy kęs jest zawsze po dach, a z drugiej — prosty jak świński ogon i naiwny jak dziecko: na przykład, na biurku stoi zupełnie nie ukrywana butelka elfickiego wina, za którą w sklepie „Kamień Elfów” na nadbrzeżu Trzech Gwiazd musiałby wyłożyć ze trzy swoje miesięczne pensje... „Zupełnie zbeczelnieli” — pomyślał ze złością Jakuzzi. W tym momencie jednak troska o czystość munduru umbarskiej policji w zakres obowiązków DSD na szczęście nie wchodziła.

— Mniej więcej pół godzinki temu do waszego posterunku dostarczono dwóch aresztowanych, górali... — zaczął, ale starszy inspektor energicznie zaprotestował:

— Pomylił się pan, komisarzu. Przez ostatnie kilka godzin nie dostarczano tu nikogo!

Ta odpowiedź była tak nieoczekiwana, że Jakuzzi zaczął wbijać grubasowi do głowy, że spór nie ma sensu, gdyż wszystko odbywało się przecież na jego oczach.

— To znaczy, że wydawało się panu, komisarzu — bezczelnie odpowiadał tamten, robiąc znak do podpierającego futrynę dyżurnego. — Posterunkowy potwierdzi: nie mamy żadnych aresztantów-górali, i nigdy nie mieliśmy!

— Nikt nas tu nie rozumie, dziewczyno — z goryczą pokiwał głową Jakuzzi. To było umówione hasło. Chwilę później wskazujący palec Fei, nabrawszy cech stalowego trzpienia, wbił się w podstawę szyi posterunkowego — dokładnie w dołek między obojczykami; krótko potem grube drzwi gabinetu zamknęły się od wewnątrz, odcinając starszego inspektora od jego snujących się po korytarzu podwładnych. Jakuzzi tymczasem przechwycił rękę Djezina, który chciał sięgnąć po broń, i lekko naciskając na przegub zmusił tamtego, prawie zadławionego własnym krzykiem, do rozlania się na fotelu. Rozejrzawszy się na boki, wicedyrektor do spraw operacyjnych zmiotł kantem dłoni szyjkę elfickiej butelki i doprowadził zemdłego do przytomności, wylewając mu za kołnierz jej drogocenną zawartość, po czym uniósł biedaka za kołnierz i zapytał z ogromną serdecznością:

— Gdzie górale?

Grubas dygotał i pocił się, ale milczał. Nie było czasu na takt i umiar — za

chwile jego podwładni mogli wyważyć drzwi. Tak więc Jakuzzi zapytał krótko:

— Dziesięć sekund do namysłu. Potem zacznę liczyć do pięciu, a po każdej cyfrze będę ci łamał po jednym palcu. Na „sześć” poderżnę ci gardło tą oto brzytwą... Popatrz mi w oczy, czy ja wyglądam na żartownisia?

— Jesteście z tajnej służby? — cierpięciznym szeptem wymamrotał siny ze strachu Djezin; widać było gołym okiem, że naszywki starszego inspektora dostał, nie podstawiając swej skóry pod ostrza bandyckich noży w melinach Harmiańskiej Wólki.

— Sześć sekund minęło. No?!

— Opowiem wszystko, wszystko, co wiem! Oni kazali mi zwolnić siebie...

— Kazali zwolnić?! — Jakuzziemu wydało się, że podłoga pokoju błyskawicznie ulatuje mu spod stóp, a w żołądku powstaje ohydne uczucie spadania w pustkę.

— Oni są ludźmi gondorskiego króla, z Tajnej Straży. Wykonywali misję na Półwyspie, ale górale ich rozszyfrowali i skazali na śmierć. Udało im się uciec, przez lasy dotarli do Irapuato, gdzie obecnie miejscy żandarmi robią obławę na Uanaco, a następnie polecili dowodzącemu operacją ewakuować ich do miasta pod postacią aresztowanych... A u nas, w zarządzie, kazali dać sobie jakieś miejskie ubranie i wyszli tylnym wyjściem. Powiedzieli jeszcze — tu cierpienie wykrzywiło mu twarz — że jeśli komuś wypałą o tej historii, to znajdą mnie nawet na dnie morza, i w Błogosławionym Królestwie... Ja rozumiem, że oficjalna gondorska Tajna Straż nie jest dla nas władzą, ale... Jednym słowem, rozumiecie mnie...

— Kto wam powiedział, że to ludzie Aragorna?

— Jeden z nich jest wyraźnie z Północy, z Gondoru. Okazał żeton kaprała Tajnej Straży Jego Królewskiej Wysokości...

— Kapral Morimir albo kapral Arawan... — z trudem wykrztusił Jakuzzi, sam nie poznając swego głosu; to już nie zwykłe zaćmienie umysłu. Jak mógł zapomnieć o żetonach Tajnej Straży, które przejął Tangorn podczas napadu na Latarniową 4?

— Tak jest, kapral Morimir! To znaczy, że pan zna tych ludzi?

— Lepiej niż bym chciał. Kiedy ten Morimir się przebierał, nie zwróciliście uwagi, co ma w kieszeni?

— Pieniądze, tylko.

— Dużo tych pieniędzy?

— Jakieś dziesięć castamirek, i trochę drobniaków.

— Jakie ubranie im daliście?

Wicedyrektor do spraw operacyjnych mechanicznie kiwał głową, odnotowując jakimś skrawkiem świadomości dokładny opis szmat, w jakie wyposażył Djezin

szanownych gości. Wszystko to nie miało już jednak znaczenia. Dziesięć castamirek... Odwrócił się do Fei.

— Wyjdiesz zaraz tylnym wyjściem, jak oni. Idź w lewo, w stronę Kanału Obwodowego, tam jest sklep Eruko. Może od razu tam kupią ubranie. Sklepek nie jest tani, ale dziesięć castamirek wystarczy. Gdyby nie, to idź po nadbrzeżu...

— Na Pchli Targ?

— Właśnie. Muszą się szybko przebrać. To nasza jedyna szansa. Działaj...

Ciężko usiadł na kamiennym parapecie przy posterunku policji, nie patrząc, wyciągnął dłoń — siedzący obok Rashua natychmiast włożył w nią manierkę z rumem — łyknął, i utkwił nieruchome spojrzenie w splotującym na zachód słońcu. W głowie miał kompletną pustkę. Oczywiście, za jakiś czas wpadną na trop Tangorna, ale jego osobiście to nie uratuje, gdyż termin, przydzielony mu przez Almandina, upływa za godzinę. Zresztą, nie czuł żadnej nienawiści do barona — to było uczciwa gra...

— Dowódcu, mamy! — Fea pojawiła się przed nim, roześmiana, z błyszczącymi oczami, zdyszana — widać było, że biegła przez całą drogę. — Przebrali się w Eruko, tak jak pan powiedział, a teraz weszli do Morskiego Banku Kredytowego, który stoi po sąsiedzku.

To się nie mogło zdarzyć, ale się zdarzyło. Los tego dnia jakby postanowił zademonstrować, jak mało znaczą nasze własne wysiłki i umiejętności w porównaniu z jego kaprysami. „W końcu — myślał, spiesząc za Feą do Morskiego Banku, gdzie dziewczyna przewidująco zostawiła patrol w składzie trzech uliczników — przyplącałem to tylko strachem. Odpukać w niemalowane... A baron... Tak, los się dziś od niego odwrócił, co się zowie: niby wszystko poszło wyśmienicie, aż się akcja prosiła do podręcznika *Wskazówki do pracy operacyjnej*, a tu...”

W tym czasie, gdy Tangorn i Cecorello, ubrani z nie rzucającą się w oczy elegancją, ponownie pojawili się na ulicy, wywiadowcy DSD upletli dokoła taką pajęczynę, że rozerwanie jej nie wchodziło w grę. Przyjaciele tymczasem trzykrotnie się ucałowali, jak to górale, a potem każdy ruszył w swoją stronę. Cel odwiedzin w banku wyjaśnił się dość szybko: jeden z agentów, władający kunsztem kieszonkowca ocenił, że Cecorello jest w tej chwili „nabity złotem jak wrzesniowy pstrąg ikrą”. Jakuzzi polecił nie tracić czasu na górala — niech spada na wszystkie cztery strony świata — i skoncentrować się na obserwowaniu Tangorna. Akurat doszło wsparcie — rezerwowa grupa obserwacji zewnętrznej, i od tej chwili szanse barona stały się praktycznie zerowe: żaden samotnik nie poradzi sobie z organizacją — jeśli tylko jest to jakaś poważna organizacja.

Przez następne dwie godziny Tangorn odważnie i fachowo krążył po mieście — to ginąc w targowym tłumie, to ukrywając się w pustych, obfitujących w czyhające na nieostrożnych przechodniów echo przejściowych podwórkach, to niespodziewanie wskakując do wynajmowanych łodzi — jednakże nie tylko nie dał rady oderwać się, ale nawet nie wykrył „ogona”: DSD to nie gondorska rezyden-

rura, a zawodowcy najwyższej klasy. . . Tylko raz uspokoiony już Jakuzzi, który trzymał się teraz na uboczu, tworząc coś na kształt sztabu operacji, otrzymał od Sił Wyższych pstryczka w nos — nie czuj się zbyt pewnie przed czasem! Obserwatorzy zameldowali, że baron, starannie sprawdziwszy swoje otoczenie, wszedł do „Zielonej makreli”. Czy iść za nim, ryzykując, że ktoś się „zaświetli”, czy po prostu czekać przy wyjściu?

— Tyły restauracji zajęte? — zapytał Jakuzzi tak na wszelki wypadek.

Oper tylko przełknął ślinę. . .

— Żeby was! — ryknął wicedyrektor, znowu czując, że spada w nicość. — Czy nie wiecie, że w tej cholernej „Makreli” okienko w ubikacji jest takie duże, że i byka można przez nie wyciągnąć? Wywalę z firmy, gamonie!

Wykrzykując ostatnie słowa, zdążył pomyśleć: „Jeśli Tangorn mimo wszystko przywazał „ogon” i zdążył wejść do restauracyjnej ubikacji, to on, Jakuzzi, nikt już nie wywali. . . „Jednak udało się. Okazało się, że baron aktualnie spożywa treściwą kolację w wydzielonym gabinecie „Zielonej makreli” z dwoma szacownymi panami, a jednym z nich jest zaginiony bez wieści sekretarz MSZ Algali.

**Umbar, restauracja „Zielona makrela”  
26 czerwca 3019 roku**

— A jak, tak przy okazji, skończyła się historia z zerwanymi zaręczynami pańskiej kuzynki? — niedbale zapytał Tangorn, kiedy kolacja zbliżyła się do końca, i Algali, podporządkowując się niemal niewidocznemu skinieniu głowy swego towarzysza, porzucił ich i przeszedł z gabinetu do sali ogólnej.

— Niczym specjalnym. Linoel, jak mi się wydaje, przeżywa nowy romans... Nawiasem mówiąc, skoro zamierza pan porazić mnie swą znajomością lorieńskiej kroniki towarzyskiej, to efekt, muszę się przyznać raczej będzie odwrotny: nowina ta ma ze sto lat...

„Jeden-zero dla mnie — odnotował w myślach baron. — Gdyby tak nie było, to po co by się od razu pchał z ustawianiem mnie? Wychodzi, że te elfy są nie tak znowu mądre i przewidujące, jak się o nich mówi...” Na głos zaś powiedział, wzruszywszy przy tym ramionami:

— Po prostu chciałem się upewnić, że jest pan naprawdę Elandarem. W pańskich ustach rozbrzmiało imię „Linoel” i o to właśnie mi szło. Oczywiście, naiwne to, ale... — Uśmiechnął się nieśmiało. — A nie mógłby pan zdjąć tej półmaski?

— Proszę bardzo.

„No tak, rozmówca był niewątpliwie elfem: źrenice nie okrągłe a pionowe, kocie czy też gadzie. Można oczywiście zerknąć jeszcze na koniuszki jego uszu, ukryte w tej chwili pod włosami, ale szczególnej potrzeby nie ma... Cóż, jesteś u celu. „Przez omszałe lasy i burzliwe rzeki, przez grząskie bagna i śnieżne góry prowadziła droga rycerza, i doprowadził go zaczarowany puchar do wąwozu rzeki Uggun, gdzie zamiast ziemi pod stopami leżała spieczona szlaka, zamiast strumyków płynęła piekąca żółć, a zamiast zieleni rosło ziele ogłupiające i ziele rozdzielające. Tu właśnie zamieszkiwał jaskinię pod granitowymi głazami Smok...”. Co prawda, jeśli już sięgać do starożytnych ballad, to nie jesteś wcale odważnym rycerzem, a zwykłym cwany giermkim, który podkraść się do pieczary, by podrzucić do niej przynętę i od razu dać drapaką. Walczyć z wychodzącym na

zewnątrz smokiem przyjdzie Haladdinowi, ale szansę będzie miał biedny konsyliarz tylko wtedy, gdy potwór pożre podrzuconą przez ciebie wcześniej przynętę: zalakowany list, wyjęty dwie godziny temu z sejfów Morskiego Banku, gdzie przechowywany był przez cały ten czas obok kolczugi z mithrilu i innych drobiazgów... Cóż, to co teraz robię jest aż do bólu nie rycerskie, ale mamy uwolnić świat od smoka, a nie trafić w szeregi szlachtetnych postaci z dziecięcych bajek”.

— Mam nadzieję, że jest pan usatysfakcjonowany? — przerwał przeciągające się milczenie elf. W głębinie jego oczu niebieskawo-popielnym ognikiem migotała kpina.

— Chyba tak. Nie znam Elandara osobiście, ale opis słowny, chyba, się zgadza... — To był czysty blef, ale, jak się wydawało, udany. Zresztą inne możliwości sprawdzenia już się wyczerpały. — A jeśli jest pan nie tym, za kogo się teraz podaje, to proszę mi uwierzyć — to najlepsza chwila, by wycofać się z gry... Sztuczka polega na tym, że wiadomości, jakie zamierzam panu przekazać, mogą kosztować głowę niektórych hierarchów Lorien, tak więc ci na pewno podejmą polowanie na posiadaczy sekretu, tak samo jak ludzie Aragorna na mnie. Syn kłofaeli Eornis potrafi wykorzystać te informacje i pozostać przy życiu, ale elf stojący choćby o stopień niżej... Niebezpieczne wiadomości są niszczone wraz z posłańcami, kimkolwiek są, to pewnik. Zresztą, pan też powinien rozumieć, co to znaczy — zostać niechcący posiadaczem informacji nie przysługującej na swoim poziomie... — Z tymi słowami Tangorn wyraził spojrzał w kierunku, w którym udał się Algali.

— Tak, ma pan rację — spokojnie skinął głową jego rozmówca, rzuciwszy również krótkie spojrzenie w tamtym kierunku. — Rzeczywiście jestem Elandar, a pan, baronie — skoro już jest panu znany wewnętrzny tytuł lady Eornis — rzeczywiście orientuje się w lorieńskiej kuchni. Obawiam się tylko, że przecenia pan moją rangę w elfickiej hierarchii...

— Wcale nie. Po prostu pan ma do odegrania tę samą rolę, co i ja: pośrednika. A informacja, jak pan zapewne już się domyślił, przeznaczona jest dla pańskiej matki. Powiem więcej: mam podstawy sądzić, że kłofaela Eornis też nie jest końcowym ich adresatem.

— Ach tak... — Elandar zmrużył kocie oczy. — To znaczy, że Faramir zdobył dowody na to, że ktoś w Lorien poważnie skumał się z Aragornem i zamierza wykorzystać Odrodzone Królestwo jako kartę przetargową w swojej grze przeciwko Władczyni... I teraz księżę Ithilien sądzi, że ta z wdzięczności zwróci mu tron Minas Tirith, czy tak?

— Powtarzam — jestem tylko pośrednikiem, i nie mam pełnomocnictw do powoływania się na jakiegokolwiek imiona... Ale co, tak naprawdę, wydaje się panu nieprawdopodobne w tej konstrukcji?

— W zasadzie jest ona wielce prawdopodobna... powiedziałbym nawet, że przesadnie prawdopodobna. Po prostu panu osobiście, baronie, nie dowierzam ani

na grosik, proszę o wybaczenie. Zbyt wiele wokół pana powstało hałasu. . . To, że polują na pana ludzie Aragorna, jest chyba prawdą — ale ma pan przy tym jakieś podejrzanе szczęście: najpierw w „Morskim koniku”, potem w Castamirskiej kałuży. . . A już ta historia z uwolnieniem Algalego. . .

Kto może uwierzyć w taki zbieg okoliczności?

— Nie mam argumentów: historia jest rzeczywiście nieprawdopodobna — rozłożył ręce baron. — Czy to znaczy, że podejrzewa pan nadal w wydarzeniach na Latarniowej 4 moją inscenizację?

— Podejrzewałem do wczoraj — przyznał jakby nieco zły na siebie Elandar. — Ale wczoraj kapitan Marandil został aresztowany i złożył szczegółowe zeznania co do tego epizodu. Rzeczywiście kazał schwytać Algalego. . .

Tangorn musiał przywołać całe swe opanowanie, żeby nie rozdziawić szeroko ust. Zaiste: „Za dobrze — też niedobrze”.

— Drepczemy w miejscu, z całym szacunkiem — powiedział ostrym tonem, czując, że należy przejść do ataku. — W każdym przypadku nie pan będzie decydował — nie pański, za przeproszeniem, poziom. . . Mnie interesuje jedna sprawa: Czy dysponuje pan możliwością przekazania mojej informacji lady Eornis, ale tak, by nie dowiedział się o tym nikt inny w Lorien? Jeśli nie — rozmowa nie ma sensu. Będę szukał innych kanałów.

Elf w zamyśleniu pogładził dłonią leżącą na obrusie paczuszkę — wyraźnie szukał śladów magicznego oddziaływania. Tangorn wstrzymał oddech: „Smok podszedł do przynęty i zaczął ją ostrożnie obwąchiwać”. Tak naprawdę, to nie miał czego się obawiać — od strony fizycznej nie było się tu do czego przyczepić.

— Mam nadzieję — uśmiechnął się — że ma pan możliwość przekonania się o braku trucizn czy magicznych pułapek, nie otwierając przesyłki?

— Jakoś sobie poradzimy. . . Jednakże paczka — Elandar zważył ją w dłoni — ma z pół funta, i wewnątrz wyraźnie wyczuwam metal. . . dużo metalu. Co tu jest, prócz samego posłania?

— Posłanie owinięte jest kilkoma warstwami srebrnej folii, by nie dało się go przeczytać z zewnątrz przy użyciu magii. — Elf ledwo dostrzegalnie skinął głową. — Zewnętrzne opakowanie to zgrzebnina, a w węzłach sznura, tam, gdzie są pieczęcie lakowe, wpleciono metalowe pierścienie. Nie da się otworzyć tej przesyłki bez śladu: nie da się też podgrzać i zdjąć laku, ponieważ zbyt głęboko wnikł we włókna zgrzebniny, ani starannie ściąć pieczęci cienkim rozgrzanym ostrzem, bo przeszkadza zawarty w niej pierścień. Tak pieczętuje się państwową pocztę w Khandzie — nie znam pewniejszego sposobu. . . Aha, są jeszcze dwa elementy asekuracji: węzły sznura, którymi są umocowane pierścienie, na pewno nie są znane żadnemu elfowi. Proszę popatrzeć. Z tymi słowami Tangorn szybko zawiązał kawałek szpagatu dokoła rękojeści noża do owoców i przekazał go Elandarowi. Ten przez kilka chwil usiłował wniknąć w sprytne sploty, ale potem, z wyraźnym



niezadowoleniem, zaniechał prób.

— To jakiś tutejszy morski węzeł?

— Absolutnie nie. Po prostu elfy, z powodu swego skostnienia, zawsze wiążą cięciwę do łuku jednym jedynym sposobem, podczas gdy takich sposobów jest co najmniej trzy. To jeden z nich. . .

Elandar z rozdrażnieniem wsunął pakunek w zanadrze i ponownie zaczął przyglądać się węzłowi. Jakże to — wyższa rasa, a potyka się na takiej bzdurze. . . To boli! Tangorn zamarł, bojąc się uwierzyć własnym oczom. „Smok połknął przynętę. . .” Pożarł jednak, bydlę. . . Połknął, zżarł, schrumkał, wsunął! I w tym momencie elf, jakby czując tę radosną burzę myśli i uczuć, podniósł wzrok i uważnie przyjrzał się baronowi, a ten z przerażeniem poczuł, jak nieodparta siła wciąga go w bezdenne szczeliny żrenic Elandara, a zimne palce ze wstrętem zaczynają grzebać w zawartości jego duszy. . . „Nie wolno, nie wolno patrzeć w oczy smoka — przecież to wie każde dziecko”! I szarpnął się z całej siły do tyłu, jak szarpie się schwyty w potrzask lis, zostawiając w szczękach pułapki kawałki futra, krwawe mięso z odłamkami kości i postrzępione nici ściągien. „Nic nie wiem. Jestem tylko pośrednikiem, tylko pośrednikiem, i nikim więcej!” Odczuwał straszliwy ból, wręcz fizyczny, a potem wszystko ustało — zdołał się uwolnić albo elf wypuścił go sam. Wtedy usłyszał głos Elandara — napływał falami, jakby ze snu:

— To, że nas nienawidzisz to drobiazg: polityka czasem sprowadza do jednego łóża jeszcze bardziej niechętnych sobie partnerów. Ale coś ukrywasz w związku z tą przesyłką, coś ważnego i niebezpiecznego, a to mi się naprawdę nie podoba. Może tam wewnątrz jest po prostu jakaś tutejsza państwowa tajemnica, na przykład receptura umbarskiego ognia albo mapy Admiralicji? A przy wyjściu złapią mnie za ręce tutejsi deesdesowcy, i wyląduję na galerach na jakie trzydzieści lat, albo i na szubienicy w Ar-Khoranie. Czas mamy, właściwie wojenny, do żartów nikt nie jest skłonny. Miło by było przyszyć mi paragraf o szpiegostwie, co?

— To nieprawda. . . — zaoponował niemrawo, nie mając sił otworzyć oczu; język się plątał, chciało mu się ni to rzygać, ni to po prostu zdechnąć. . . Ciekawe, czy tak się czuje zgwałcona kobieta?

— Nieprawda. . . — parsknął krótkim śmieszkiem elf. — Może i nieprawda. Ale od tego prezenciku i tak zajeżdża stęchlizną, głowę daję!

„A smok wcale nie chciał łykać przynęty, tylko leniwie skosztował ją i, powarukując, powlókł do swej jaskini — na wszelki wypadek. I tam sądzone jej było zgiąć — wśród strzępów kolczug tych rycerzy, którzy mieli odwagę rzucić potworowi wyzwanie, wśród książęcych koron i złotych monstrancji zburzonych przezeń miast, i szkieletów zabitych dziewczyn. . .” Wszystko się skończyło, zrozumiał Tangorn; przegrał tę walkę, najważniejszą walkę w życiu. Eru jest świadkiem, że zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, ale w ostatniej chwili Fortuna odwróciła się od niego. . . Od niego i Haladdina. Czy to oznacza, iż pomylił się, sądząc na początku, że ich misja nie jest miła Siłom Wyższym?

Tymczasem do gabinetu powrócił Algali — czas było się zbierać. Elandar, ponownie stał się szlachetnym wykształconym dżentelmenem, bawił swych rozmówców nowymi anegdotkami, ponarzekał na sprawy zmuszające go do opuszczenia tej czarującej kompanii.

— Ależ nie, baronie, nie trzeba mnie odprowadzać, w żadnym wypadku. Proszę raczej ponudzić się jeszcze trochę z przemiłym naszym Algalim, przez jakieś dziesięć minut.

Na pożegnanie napełnił kielichy z płaskiej srebrnej manierki.

— Za nasze powodzenie, baronie! To jest prawdziwe elfickie wino, a nie ta tanioccha, którą sprzedają w „Kamieniu Elfów”, proszę mi wierzyć. — Następnie duszkiem wypił gęsty rubinowy płyn nałożył na twarz półmaskę i skierował się do wyjścia.

Przez kilka minut Tangorn i Algali siedzieli w milczeniu naprzeciwko siebie, a ich nie tknięte kieliszki stały między nimi jak słupy graniczne. „Najdroższy nasz Elandar asekurowuje się, żebym przypadkiem nie wyskoczył za nim na ulicę i nie przyczepił się do niego — leniwie myślał baron. — Ciekawe, czy wie nasz kolega młodszy sekretarz, że gdybym tylko chciał mógłbym migiem wydostać się z tej „Makreli” przez okienko w toalecie? Może wie, ale raczej nie... Zresztą, co mi tam. To już mi niepotrzebne”.

„A z tobą okrutnie i podle zażartowałem, chłopcze — pomyślał nagle, napotkawszy naiwne spojrzenie „nosiciela informacji nie swojego poziomu”. — Może dlatego odwróciły się ode mnie Siły Wyższe? Odwróciły się i wyszło, że w całym tym niezmywalnym gównie kapałem się i z tobą, i z tym chłopakiem na Latar-niowej 4 zupełnie niepotrzebnie. Ja żartowałem sobie z ciebie, a one ze mnie. Wszystko się zgadza — bogowie zawsze śmieją się ostatni...”

— Wiesz co, jeszcze sobie tu trochę posiedzę, a ty — jeśli drogie ci twe życie — spadaj stąd z szybkością wiatru: twoi kołesie elfy wydały na ciebie wyrok śmierci. Radzę ci, żebyś skorzystał z okienka w toalecie. Człowiek twojej budowy wylezie przez nie bez problemów.

— Nawet gdybym panu uwierzył — z pogardą w głosie odparł młodzieniec — i tak nie przyjąłbym wybawienia od śmierci z pańskich rąk.

— Tak? A to dlaczego?

— Dlatego, że jest pan wrogiem. Walczy pan po stronie Sił Mroku, tak więc każde pańskie słowo to kłamstwo, a każdy czyn — zło.

— Mylisz się, chłopcze — westchnął Tangorn. — Nie jestem po stronie ciemnych i nie jestem po stronie jasných. Ja, skoro już o tym mówimy, jestem po stronie różnokolorowych.

— Nie ma takiej strony, baronie — odciął Algali, a w jego spojrzeniu zapłonął ogień. — Nastanie Bitwa Bitew, *Dagor-Dagorad*, i każdy — słyszy pan, każdy! — będzie musiał dokonać wyboru między Światłem i Mrokiem. I kto nie jest z nami, jest przeciwko nam...

— Kłamiesz. Taka strona istnieje, niewątpliwie istnieje! — Tangorn już się nie uśmiechał. — Jeśli o coś walczę to o to, by miły waszym sercom *Dagor-Dagorad* w ogóle nie nastąpił. Walczę o prawo różnokolorowych do pozostawiania różnokolorowymi, bez wplątywania się w tę waszą „powszechną mobilizację”. A co do Światła i Mroku. . . Siły Światła, jak rozumiem, ucieleśnia twój władca?

— Nie jest władcą, a Mentorem!

— Niech i tak będzie. No to teraz popatrz sobie tutaj. — Z tymi słowami wyjął z kieszeni biały, podobny do kwarcu kamyczek na srebrnym łańcuszku. — To jest elficki wykrywacz trucizn. Widziałeś już coś takiego?

Wkładany do kielichów z elfickim winem kamyczek za każdym razem zaczynał jarzyć się złowieszczym fioletowym światłem.

— Sądząc po barwie, to trucizna powinna zadziałać za jakieś pół godziny. . . Zgoda, jestem wrogiem, o mnie nie mówmy, ale serwowanie trucizny własnemu uczniowi? Jak to się ma do tradycji Sił Światła?

I tu zdarzyło się coś, czego Tangorn nie przewidywał. Algali chwycił bliższy kielich, błyskawicznie uniósł do ust i, nim baron zdążył przechwycić jego rękę, wypił wszystko co do kropelki.

— Łżesz! — Twarz młodzieńca stała się blada i natchniona, przepelniona jakimś niezmiernym zachwytem. — A jeśli nawet nie, to co z tego: tak widocznie trzeba dla sprawy. Dla Naszej Sprawy. . .

— Dziękuję ci, chłopcze — pokiwał głową baron po chwili oszołomienia. — Nawet nie wiesz, jak mi pomogłeś. . .

Nie żegnając się, ruszył do wyjścia, a na progu odwrócił się i rzucił spojrzenie na skazanego fanatyka: „Strach pomyśleć, co się stanie ze Śródziemniem, jeśli te dzieciaki będą górą. Może nie najlepiej rozegrałem swoją partię, ale przynajmniej grałem w dobrej drużynie”.

\* \* \*

Jakuzziemu wystarczyło hartu, by nie kręcić się osobiście przed wejściem do „Zielonej makreli” — zaufał speccom z grupy obserwacji zewnętrznej. Ani faktu kontaktów Tangorna z elfickim podziemiem, ani personalia jego rozmówcy aktualnie nie interesowały wicedyrektora DSD. I na to przyjdzie czas. Wiedział, że i los Republiki, i jego własny całkowicie zależą od jednego drobiazgu — dokąd uda się baron po wyjściu z „Zielonej makreli”: na prawo, czy na lewo, do portu czy Nowego Miasta. Wiedział to, ale sam nie miał na nic wpływu, dlatego więc modlił się do wszystkich znanych sobie bogów: Jedynego, Słonecznego, Nienazwanego, nawet do Eru Iluvatara północnych barbarzyńców i Wielkiego Smoka

Udugwu, gdyż co mu jeszcze pozostało? I gdy w końcu usłyszał: „Obiekt wyszedł z restauracji, kieruje się w stronę Nowego Miasta”, pierwszą jego wyraźną myślą było: „Ciekawe, który z nich wysłuchał moich modlitw? A może, Bóg jest naprawdę jeden — po prostu w różnych krajach i narodach ma różne „operacyjne pseudonimy” i „legendy osłaniające”?”

— Ulice są puste. — W głosie składającego meldunek dowódcy grupy obserwacji zewnętrznej rozbrzmiewała troska. — A obiekt jest wyjątkowo ostrożny. Strasznie trudno będzie go prowadzić...

— ... a co najważniejsze, wcale nie trzeba — roześmiewszy się, dokończył Jakuzzi. Teraz już czuł zdecydowanie, że Fortuna jest po jego stronie; przecucie zwycięstwa, słodsze nawet od samego zwycięstwa, przepełniało go, wypływało na zewnątrz pianistymi bryzgami nurneńskiego wina. — Zdejmijcie obserwację, całkowicie. Grupa przejścia — działać według wariantu drugiego.

**Umbar, ulica Jaspisowa 7**  
**Noc z 26 na 27 czerwca 3019 roku**

Tej nocy Jaspisowa była pusta, ale nawyk sprawdzania zakotwiczył się w jego świadomości na trwałe. „Zresztą — uśmiechnął się w duchu Tangorn — jeśli naprawdę ktoś mnie obserwuje, to nie zazdroszczę śledziom: to nie port z jego odwiecznym, nigdy nie zamierającym skupiskiem ludzkim, a szacowna arystokratyczna dzielnica, na ulicach której po zapadnięciu zmroku pozostaje tylko tyłu ludzi, ile na oświetlającym ją księżycu... Chociaż, jeśli się zastanowić, komu teraz jest potrzebny baron Tangorn po aresztowaniu bałwana Marandila... Najważniejsze — czy potrzebny jest teraz samemu sobie? A może Elwiss? Czego mu teraz najbardziej trzeba to cichej norki, w której siedząc, można się do woli zastanawiać nad tym: czy w „Zielonej makreli” nie mógł wygrać, czy nie chciał? W ostatniej chwili wystraszyło go własne zwycięstwo, ponieważ zawsze pamiętał swoją milczącą umowę z Siłami Wyższymi, że wraz z zakończeniem misji zakończy się jego ziemski żywot... I nie o to chodzi, że stchórzył, nie. Po prostu w decydującej chwili pojedynku z Elandarem nie potrafił zacisnąć zębów i zrobić „przez niemoc”. Nie sił, nie umiejętności mu zabrakło, i nawet nie szczęścia — a uporu i odwagi...”

Myśląc tak, doszedł do kramu jubilera czcigodnego Chakti-Wariego. Na wejściowych drzwiach żmijka z brązu informowała potencjalnego złodzieja, że chronią lokal, według wendotenijskiego obyczaju, królewskie kobry; może to było kłamstwo, ale kto by tam sprawdzał. Potem przeciął jezdnię i, jeszcze raz sprawdzwszy tyły, otworzył własnym kluczem furtkę w ośmiostopowej wysokości murze z muszlowca. Dwupiętrowa willa Elwiss znajdowała się w głębi ogrodu, przez który prowadziła wysypana piaskiem ścieżka. Maźnięcia księżycowego pędzla szczerze obsiadły nawoskowane listowie oleandrów, zagęszczając do nieprzeniknionego mroku cień pod nimi. Cykady brzęczały na swych cymbałkach tak, że dzwoniło w uszach... A ci, którzy oczekiwali barona w tym księżycowym ogrodzie mogliby z łatwością ukryć się nawet w jasne południe na świeżo skoszonym łągu i absolutnie bezszelestnie tańczyć po rozeschniętym parkiecie, posypanym

suchymi liśćmi, przez co nie dziw, że uderzenie w tył głowy — płócienną „kiełbaską”, wypakowaną piaskiem: tanio i soczyście — kompletnie go zaskoczyło.

Odlatujący w mrok Tangorn nie widział ani tego, jak pochyliło się nad nim kilka postaci w czarnych strojach, ani tego, że dokoła nich pojawiły się, jakby ucieleśniając się z mroku, inne jeszcze postacie — też w czerni, ale nieco innego kroju. Tego, co się stało potem, nie widział również, a gdyby nawet widział, to na pewno nic by z tego nie zrozumiał: walka *ninjokwe* to nie taka sprawa, że może ją prześledzić oko dyletanta. Bardziej przypomina to taniec fruujących na wietrze liści. Starcie odbyło się w całkowitej, zupełnie nienaturalnej ciszy, przerywanej tylko odgłosami sięgających celu ciosów.

Gdy barona po siedmiu czy ośmiu minutach wyszarpięto z omdlenia za pomocą ohydneho zapachu soli trzeźwiących, wszystko już się skończyło. Wystarczyło, że otworzył oczy, a człowiek w czerni odsunął flakonik od jego twarzy i, nie odzywając się ani słowem, zniknął gdzieś. Baron leżał na czymś twardym i niewygodnym, i dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że został przeniesiony pod same drzwi willi, gdzie teraz siedzi, opierając się plecami o stopnie ganku. Dokoła rzeczowo i absolutnie bezszelestnie snuły się ciemne postacie; dwie, trafiwszy akurat w plamę księżycowego światła, wlokły tłumok o charakterystycznym kształcie, z którego sterczały na zewnątrz miękkie buty. Gdzieś za plecami Tangorna toczyła się rozmowa dwóch mężczyzn — jeden miał wyraźny, śpiewny akcent mieszkańca Półwyspu. Baron, nie odwracając głowy, wsłuchał się w ich dialog.

— Same trupy. Na jednego narzuciliśmy sieć, ale zdążył zażyć truciznę.

— M-mm... Tak... Delikatnie mówiąc — szkoda. Dlaczegoście...

— To byli chłopcy, że sam bym takich chciał. Mamy dwóch zabitych i jeszcze dwaj są ranni. Czegoś takiego nie pamiętam...

— Kto?

— Dhjango i Ritwa.

— Dij-jabli... Sporządźcie raport. I żeby mi za pięć minut żadnych śladów tu nie było.

— Tak jest.

Zaszeleściły na trawie zbliżające się kroki i przed Tangornem pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna, odziany w odróżnieniu od reszty w zwykłe cywilne ubranie. Jego twarz również zakrywał kaptur.

— Jak się pan czuje, baronie?

— Dziękuję, bywało gorzej. Czemu zawdzięczam...?

— Usiłowali pana przechwycić ludzie ze speckomanda Aragorna — należy sądzić, że w celu przesłuchania z likwidacją w końcowej fazie. Przeszkodziłoby temu, ale na pańską wdzięczność, ze zrozumieliśmy względów, nie bardzo liczymy.

— Aha! Wykorzystano mnie jako przynętę?! — Wymawiając słowo „przynęta” baron nagle zaczął się serdecznie śmiać, ale zaraz przestał, mrużąc oczy aż do bólu w tyle głowy. — Pańska służba to DSD?

— Nie znam takiego skrótu, a i nie o skróty chodzi. Mam dla pana fatalną nowinę, baronie: jutro zostanie pan formalnie oskarżony o morderstwo.

— Kogo zamordowałem? Członków gondorskiej rezydentury?

— Ale tam! Obywatela Republiki Umbaru Algalego, którego otruł pan dzisiejszego wieczora w „Zielonej makreli”.

— Jasne. . . A dlaczego zostanę postawiony w stan oskarżenia dopiero jutro?

— Dlatego, że moja firma z szeregu powodów nie jest zainteresowana pańskimi zeznaniami podczas śledztwa i procesu. Ma pan czas do jutrzejszego południa, by na zawsze zniknąć z Umbaru. Ale jeśli pan mimo wszystko pozostanie tu i znajdzie się w więzieniu, to proszę nie mieć mi tego za złe, ale będziemy musieli zagwarantować sobie pańskie milczenie innym sposobem. . . Jutro rano po Trakcie Chewelgarskim rusza karawana czcigodnego Kantaridisa, a w niej znajdzie się para wolnych bachtrianów. Służba graniczna na Przesmyku otrzyma portrety operacyjne z odpowiednim opóźnieniem. Czy wszystko jasne, baronie?

— Wszystko, prócz jednego. Najprostszym wyjściem byłaby likwidacja mnie właśnie tu. Co was powstrzymuje?

— Zawodowa solidarność. — Człowiek w kapturze uśmiechnął się. — A poza tym podobają mi się pańskie takato.

W tym czasie ogród opustoszał: ludzie w czerni jeden po drugim bezdźwięcznie rozplłynęli się w mroku nocy, która wcześniej ich zrodziła. Człowiek w kapturze ruszył za nimi, ale zanim na zawsze zniknął w księżycowym cieniu między krzewami oleandrów, nagle odwrócił się i rzucił:

— Aha, baronie, jeszcze jedna bezpłatna rada. Póki nie opuści pan Umbaru proszę „chodzić bezpiecznie”. Prowadziłem pana dzisiaj przez cały dzień, od Długiej Grobli, i nie opuszcza mnie przeczucie, że pan wyczerpał już przeznaczony dla niego zapas powodzenia, i to do samego dna. Takie rzeczy się czuje. . . Nie żartuję, proszę mi wierzyć.

Cóż, wygląda, że jego zapas powodzenia naprawdę się wyczerpał. Chociaż zależy z jakiej strony popatrzeć: przegrał dziś na sucho ze wszystkimi, z kim tylko mógł — i z elfami, i z ludźmi Aragorna, i z DSD — ale przy tym pozostał przy życiu. . . Nie, nie tak: nie został przy życiu, a pozostawiono go przy życiu, a to są różne rzeczy. . . A może wszystko to mu się wydawało? Ogród pusty, nie ma kogo zapytać, chyba że cykady opowiedzą. Wstał i poczuł, że uderzenie na pewno jego głowie się nie przyśniło: w czaszce z hałasem przelewał się ból zmieszany z mdłościami, wypełniając go aż po koniuszki uszu. Wsunął rękę do kieszeni w poszukiwaniu klucza i natknął się na ciepły metal mithrilowej kolczugi: nałożył ją już w banku, przewidując różne niespodzianki ze strony Elandara. . . Nie ma co — nieźle mu się przysłużyła. . .

Ledwie trafił kluczem w dziurkę, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich zaspany lokaj — ogromny, flegmatyczny Haradrim Unkwa, zza ramienia którego wyglądała wystraszona Tina. Odsunawszy służbę, baron wszedł do domu. Na

spotkanie biegła już po schodach Elwiss, w biegu zapinając szlafrok:

— Boże, co ci się stało? Jesteś ranny?

— Wcale nie. Po prostu wypilem trochę. — W tym momencie rzuciło nim tak, że musiał oprzeć się o ścianę. — Przechodziłem obok i pomyślałem sobie, że wstąpię, po staremu. . .

— Kłamca. . . — Pociągnęła nosem, a jej ręce wymknęły się z szerokich rękawów szlafroka i owinęły się dokoła jego szyi. — Panie, jak ja mam cię dosyć!

\* \* \*

Leżeli obok siebie, dotykając się leciutko, a jego dłoń głaskała ją od ramienia do wygięcia biodra, lekko, jakby w obawie, że zetrze się księżycowe srebro z jej skóry.

— Eli! — zdecydował się w końcu, a ona jakoś od razu poczuła, co zaraz zostanie powiedziane; wolno usiadła, owinęła rękami kolana i ułożyła na nich głowę. Słowa ugrzęzły mu w gardle; dotknął jej ręki i poczuł, jak odsunęła się — niby niewiele, ale na pokonanie tego „niewiele” będzie musiał zużyć całe życie, i jeszcze nie wiadomo, czy to wystarczy. Tak zawsze z nią było: w zasadzie nie potrafiła urządzić scen, ale za to umiała tak milczeć, że potem przez tydzień czuł się ostatnim bydlakiem. . . „Przedemną rysowała się tu jakaś poważna matrymonialna perspektywa, a w końcu nie jest już dziewczynką — niedługo trzydziestka. . . Bydlak z ciebie, baronie i jeśli mówić bez ogródek — obojętne egoistyczne bydlę”.

— Wasza tajna służba dała mi do jutrzejszego południa czas, żebym na zawsze usunął się z Umbaru — inaczej po prostu mnie zabiją. Jestem pod kloszem, już się nie wywinę. Takie to sprawy, Eli. . . — Nagle pomyślał, że chyba tak właśnie mówi się kochance: „W najbliższym czasie nie możemy się spotykać — moja coś zwąchała”, i niemal nie zgrzytnął zębami z obrzydzenia do samego siebie.

— Czy ty się usprawiedliwiasz, Tan? Po co? Przecież rozumiem — to po prostu taki los. . . A o mnie się nie martw. — Uniosła głowę i nagle cicho roześmiała się. — Tym razem byłam bardziej przewidująca niż poprzednio.

— O czym ty mówisz?

— A takie tam, kobiece. . .

Elwiss wstała, narzuciła na siebie szlafrok, a ruch ten był taki „skończony”, że odruchowo zapytał:

— Dokąd idziesz?

— Spakować cię do drogi, gdzie jeszcze? — Odwróciła się nieco zdziwiona. — Widzisz, nigdy nie będę damą z towarzystwa, wybacz. . . Brakuje mi subtelno-



ści uczuć. Powinnam urządzić histeryczną scenę albo przynajmniej dla pozorów pozalać ręce, prawda?

Zbyt wiele dzisiaj stracił za jednym zamachem: cel, do którego dążył przez kilka miesięcy, wiarę w siebie i kraj, który stał się — może nawet przeciw jego woli — drugą ojczyzną, a teraz traci Elwiss. . . Rozumiejąc, że wszystko się zawaliło, rozpaczliwie runął przed siebie, jakby skakał z przystani w beznadziejnej próbie ściągnięcia wpływ odpływającego statku.

— Posłuchaj, Eli. . . Ja naprawdę nie mogę zostać w Umbarze, ale ty. . . Co byś powiedziała, gdybym zaproponował ci wyjazd ze mną do Ithilien i zostanie tam baronową Tangorn?

— Odpowiedziałabym — w jej głosie słychać było tylko śmiertelne zmęczenie — że niestety przez całe swe życie kochałeś tryb przypuszczający. A kobiety, taka ich natura, wolą rozkazujący. . . Przepraszam.

— A gdybym zmienił tryb? — Z całej siły starał się uśmiechnąć. — W trybie rozkazującym to będzie brzmiało tak: Wyjdź za mnie! Czy tak lepiej?

— Tak? — Zamarła, szeroko otworzywszy oczy, z rękami przyciśniętymi do piersi, jakby się w coś wsłuchiwała. — A wiesz, że znacznie lepiej? Może jednak powtórz. . .

Więc powtórzył. Najpierw opadł przed nią na kolana, a potem chwycił ją na ręce i zawirował w wolnym tańcu po całym pokoju. Wtedy dopiero miała lekki atak kobiecej hysterii, to śmiała się, to szlochała. . . Kiedy w końcu znów znaleźli się w łóżku, najpierw przyłożyła palec do jego warg, a potem, chwyciwszy jego dłoń, położyła ją na swoim brzuchu i wyszeptwała:

— Cśśś! Nie wystraszył go!

— Czy ty. . . my. . . — wykrztusił.

— No tak! Przecież powiedziałam ci, że tym razem byłam sprytniejsza niż cztery lata temu. Cokolwiek dalej się stanie, będę miała jego. . . Wiesz — śmiejąc się cicho, przygłęła do Tangorna i czule potarła policzek o jego ramię — nie wiem skąd, ale jestem pewna, że to będzie chłopiec — wykapany tata.

Przez jakiś czas leżał, nie wiedząc co powiedzieć i na próżno usiłując zaprowadzić jakiś ład w myślach: zbyt wiele tego wszystkiego i to na raz. „Poprzednie życie awanturnika Tangorna skończyło się — to jasne. . . Ale może cicha rodzina idylla z Elwiss jest właśnie owym końcem, który miały na myśli Siły Wyższe? Albo na odwrót — po prostu płacą mi, żebym porzucił Haladdina? Ale i tak już nie mam nic do zrobienia, moja misja skończona. . . Ach, a czy na pewno? Gdyby mi teraz zaproponowano jeszcze jedną rozgrywkę, od początku, i kazali oddać życie w zamian za zwycięstwo nad Elandarem? Nie wiem. . . Jeszcze pół godziny temu oddałbym bez zastanowienia, a teraz już nie wiem. . . Pewnie wyszukałbym jakiś szlachetny powód, żeby się wymigać, jeśli mam być przed sobą szczerzy. Ależ mnie sprytnie spętali. . . No i dobrze, niech się kończy — pomyślał. — Nie mam już sił rozwiązywać wszystkich tych zagadek, stawiając siebie na miejscu

Sił Wyższych i niech wszystko się toczy, jak ma się toczyć”.

— Posłuchaj — zaniechał w końcu tych myślowych konsultacji i prób pozbiegania rozbieganych myśli: i tak ciągle zatrzymywał się na jakichś drobiazgach. — A nie będziesz się nudziła tam, w Eryn Arnem? Bo to jest, jeśli mam być szczerzy taka dziura. . .

— Wiesz co — w tej tu naszej Stolicy Świata tak się nabawiłam przez te dwadzieścia osiem lat, że wystarczy mi na trzy pozostałe życia. Tym się zupełnie nie przejmuj. . . I w ogóle, panie baronie — wygięła się kusząco z rękami pod głową — czy nie pora i czas, byśmy przystąpili do spełniania swych małżeńskich obowiązków?

— Bez najmniejszych wątpliwości, droga baronowo!

W budzącym się do życia ogrodzie śpiewał vivino; ptaszek usadowił się na gałązce kasztanowca na wprost otwartego na oścież okna ich sypialni, a jego melodyjne trele wydały się w pierwszej chwili Tangornowi nićmi wyciągniętymi z tkaniny własnego snu. Ostrożnie, by nie zbudzić śpiącej Elwiss, wymknął się z pościeli i podkraść do okna. Miniaturowy śpiewak zarzucił główkę, tak że żółte piórka na jego gardziołku nastroszyły się tworząc żabot, i szczerze cisnął na okolicę trele wspianego finałowego śpiewu; potem z udawanym onieśmieniem odwrócił się, ustawił półprofilem i wyczekująco popatrzył na barona. „No i jak? Spodobało się?” „Dziękuję maluchu! Przecież wiem: vivino to ptak leśny, nie znosi miasta. . . Przyleciałeś specjalnie, żeby pożegnać się ze mną?” „Coś ty!” — ptaszek ironicznie mrugnął okiem i odrzucił głowę w głąb ogrodu. Tak, vivino był prawdziwym Umbarczykiem i nordycki sentymentalizm był mu wyraźnie obcy.

Szybko i niemal niesłyszalnie zaklaskały po podłodze boscie stopy i ciepła ze snu Elwiss przyłgnęła doń z tyłu, przemknawszy wargami po łopatkach i kręgosłupie.

— Co tam widzisz?

— Śpiewał vivino. Prawdziwy vivino — w mieście, wyobrażasz sobie?

— Aa. . . To był mój vivino. Mieszka tu już prawie od miesiąca.

— Rozumiem — powiedział Tangorn, odczuwając — ależ to śmieszne! — coś jak ukłucie zazdrości. — Bo ja myślałem, że przyleciał tu z mojego powodu. . .

— Wiesz co. . . a może on naprawdę jest twój, a nie mój? Przecież pojawił się w moim ogrodzie jednocześnie z tobą. . . Tak, dokładnie na początku miesiąca!

— Cóż, jakby tam nie było, to jest to najwspanialszy pożegnalny prezent Umbaru, jakiego można się spodziewać. . . Zobacz, Eli, a oto jeszcze jeden pożegnalny prezencik! — Roześmiał się, wskazując na ponurego zaspanego policjanta, zajmującego pozycję po drugiej stronie ulicy Jaspisowej, obok jubilerskiego sklepu Chakti-Wariego. — Tajna służba, taktownie pokaszując, przypomina mi, żebym do wyjazdu „chodził bezpiecznie”. . . A, co do wyjazdu — nie rozmyślałaś się? Może pojedziesz później, kiedy załatwisz wszystkie tutejsze sprawy?

— Nie! — powiedziała zdecydowanie. — Z tobą! W tej karawanie są dwa wolne bachtriany — czy to nie palec losu? A sprawy. . . I tak będzie je załatwiać

mój prawnik, to jest robota na kilka tygodni. Pewnie lepiej by było wszystko obrócić w złoto — papiery wartościowe tam u was, na Północy, chyba nie są dobrą lokatą?

— Tam nikt o czymś takim nawet nie słyszał — pokiwał głową, obserwując ubierającą się Elwiss. — Ależ z nas para — klasyka: arystokrata bez majątku, którego cały dobytek to miecz i żarty przez mole tytuł, żeni się z pieniędzmi wspaniale urządzonej wdówki z klasy mieszczańskiej...

— Która to wdówka zaczęła swą karierę od tego, że na prawo i lewo sprzedawała własne ciało — dołączyła do żartu Elwiss. — Z jakiej byś strony nie popatrzył to całkowity mezalians... Nie historia życia, a złota żyła dla kumoszek z obu warstw.

— To prawda... — Przyszła mu do głowy pewna myśl, i teraz coś rozważał w duchu. — Pomyślałem sobie... Do południa jest jeszcze masa czasu. A może pobierzemy się teraz? Możesz wybrać według którego z rytuałów dowolnej umbarskiej religii.

— Tak, kochany, oczywiście... A w jakim obrzędku wszystko mi jedno... Możemy według aritańskiego, ich świątynia jest o dwa kroki stąd.

— Co się stało, Eli? Nie cieszysz się?

— Nie, nie! Coś ty! Po prostu nagle napadło mnie przeczucie, bardzo niedobre... Akurat kiedy zacząłeś mówić o ożenku.

— Bzdury — odpowiedział zdecydowanie. — Ubieramy się i naprzód. Arkanie — to arkanie. Aha, przy okazji... Żeby nie pomylił — twój kamień to szafir?

— Tak, a co?

— Póki się ubierasz, akurat zdążę wpaść do kramu czcigodnego Chakti-Wariego — na okoliczność prezentu ślubnego. Pora rzecz jasna za wczesna na handel, ale za takie pieniądze — podrzucił na dłoni sakiewkę z resztkami złota, daru od Sharha-Rany — staruch wypadnie z pościeli jak spłoszony bażant...

I nagle zamilkł, widząc twarz Elwiss: bladła w oczach, a jej oczy z chabrowych stały się czarne — widać było tylko źrenice.

— Nie!!! Tan, kochany, nie idź, błagam cię!

— Co ci jest, kochana? Czy to te... twoje przeczucia? — Elwiss szybko skinęła głową w odpowiedzi, nie mogąc wykrztusić ani jednego słowa. — Zrozum, już mi nic nie zagraża. Wypadłem z gry i po prostu już nikomu nie jestem potrzebny...

— Dobrze — opanowała się — chodźmy. Ale tylko razem, dobrze? Będę gotowa za pięć minut. Obiecujesz, że nie wyjdiesz z domu beze mnie?

— Tak, mamusiu!

— Mądry chłopczyk!

Elwiss cmoknęła go w policzek i wyfrunęła na korytarz; słychać było jak wydaje dyspozycje pomrukującej z niezadowolenia Tinie. „Brawo, panie baronie —

pomyślał ponuro — doczekaliśmy się... Ukochana kobieta poprowadzi pana za rączkę, gwarantując pańskie bezpieczeństwo. Sam już nie zdołasz tego zrobić... I tak wyszedłeś z tej gry przegrany, co ci nie poprawia samooceny, ale jeśli teraz naprawdę będziesz czekał na Elwiss, to po prostu przestaniesz mieć prawo nazywania siebie mężczyzną... A jeśli przecucie ją nie zawodzi — tym gorzej dla nich. Może, jako szpieg, wart jest w tej chwili miedziaka w dzień targowy, ale nie przestał z tego powodu być „trzecim mieczem Gondoru”. Ma Usypiacza i kolczugę z mithrilu. Zaryzykujmy, bracia! Niech wasze głowy staną się moją nagrodą pocieszenia. Akurat mam do tego odpowiedni humor... Tfu! — Omal nie roześmiał się na głos. — Chyba zaczynam poważnie traktować kobiece przecucia. — Obrzucił spojrzeniem pusty ogród, a z okna piętra widać było wszystko świetnie, popatrzył na całkowicie bezludną Jaspisową z deesdesowcem w mundurze policjanta. — W kramie Chakti-Wariego są strażnicze kobry... i co z tego? Diabli, żebym tylko nie zdemolował klombu — pomyślał, przekładając nogi przez parapet — bo mi Eli za te swoje lewkonie łeb urwie...”

\* \* \*

Elwiss była już niemal gotowa do wyjścia, gdy wychwyciła kątem oka ruch w ogrodzie. Z zamierającym sercem rzuciła się do okna i zobaczyła na ścieżce Tangorna: posłał jej całusa, a potem skierował się do furtki. Posłała szeptem swemu ukochanemu kilka wyrażeń, stosownych bardziej w czasach jej portowej młodości, niż w aktualnej sytuacji, z pewną ulgą przekonała się, że baron jest uzbrojony i, sądząc po kroku, wcale nie zamierza gapić się na uroki letniego dnia. Czujnie minął furtkę, przeciął ulicę, zamienił kilka słów z policjantem, i wyciągnął dłoń do młoteczka z brązu na drzwiach sklepu...

— Ta-a-a-an!!! — przeciął ciszę rozpaczliwy okrzyk.

Za późno.

Policjant uniósł rękę do ust — i w tej samej chwili baron, spazmatycznie chwytając się za gardło, upadł na jezdnię.

Gdy wybiegła na ulicę po „policjancie” nie było już nawet śladu, a Tangornowi zostało kilka sekund życia. Zatruty kolec, wyrzucony z umpitany — małej dmuchawki haradzkich pigmejów — wbił mu się w szyję, o palec powyżej kolczugi. „Trzeci miecz Gondoru” nie zdążył nawet wyjąć z pochwy Usypiacza. Baron ścisnął aż do bólu ręce usiłującej go podnieść Elwiss i wychrypiał:

— Faramirowi... Przekaż... Wykonać... — Chciał coś powiedzieć jeszcze, a było to przygotowane zdanie: — Faramirowi przekaż — nie udało się wykonać — ale zabrakło powietrza w płucach: alkaloidy anriabis, będące podstawą

pigmejskiej trucizny, wywołują paraliż mięśni aparatu oddechowego... Ani wykonać swojej misji ani powiadomić o jej fiasku baron nie zdołał i z tą myślą umarł.

Z sąsiedniego strychu obserwował tę scenę przez zasnutą pajęczyną otwór wentylacyjny człowiek o ksywie Przewoźnik — „wymiatacz” z organizacji Elandara. Nie wierząc własnym oczom, opuścił kuszę, bezskutecznie usiłując zrozumieć, kto go tak zręcznie wyprzedził? DSD? Jak na Nadmorską 12 zbyt czysta akcja... A jeśli to wszystko tylko kolejna zmyłka barona? Może, na wszelki wypadek, wsadzić weń belt?

Ichneumon tymczasem zdążył już pozbyć się munduru policjanta i, będąc znowu akredytowanym przy MSZ posłem Jego Wysokości Sultana Sagula IV Świątobliwego — potężnego władcy nieistniejących w przyrodzie Wysp Florissantu — bez specjalnego pośpiechu podążał do portu, gdzie czekała na niego zafrachtowana wcześniej feluka „Trepang”. Pojedynek dwóch poruczników zakończył się tym, czym miał się zakończyć, ponieważ zawodowiec różni się od amatora również tym, że gra nie po to, by strzelić ładną bramkę, i nie do chwili swego „kryzysu psychologicznego”, a do sześćdziesiątej sekundy ostatniej minuty meczu. Przy okazji warto zauważyć, że dla Ichneumona owa sześćdziesiąta sekunda nastąpiła właśnie w porcie, gdzie przyszło mu jeszcze raz zademonstrować swój wysoki stopień profesjonalizmu. Pewnie sam miałby problemy z określeniem, co zaniepokoiło go w zachowaniu załogi „Trepanga”, ale nie wnikał w to, tylko się odwrócił — jakby chcąc zadać jakieś pytanie — do wchodzącego za nim po trapie szypra, kantem dłoni zmiażdżył mu krtań i skoczył w tłustą, rdzawą, powleczoną martwymi tęczowymi zawijasami wodę między pirsem i kadłubem statku. To właśnie dało mu kilka sekund przewagi — akurat tyle, by wyszarpnąć zza mankietu i włożyć do ust małą zielonkawą pigułkę. Tym sposobem w ręce operacyjnych Jakuziego trafił jeszcze jeden, czwarty z kolei w ciągu ostatnich dwunastu godzin, niezidentyfikowany trup. Speckomando „Feonor” zagrało z umbarską tajną służbą na remis: zero-zero.

A Tangorn umarł na rękach skamieniałej z rozpacz Elwiss, nie wiedząc o najważniejszym: właśnie jego śmierć z ręki ludzi Tajnej Straży stanie się ostatnim dowodem, który zakończył wahania Elandara — tego samego dnia przesyłka barona nie znaną nikomu z ludzi trasą wyruszy na północ, do Lorien. Nie wiedział też tego, że Elwiss zrozumiała jego przedśmiertne zachłystujące się rżenie jako zdanie: „Faramirowi przekaż — wykonane!” i spełni polecenie ukochanego jak należy... A Ktoś nieustannie tkający z niewidocznych przypadków i zupełnie oczywistych ludzkich słabości wspinały gobelin, który my właśnie nazywamy Historią, natychmiast wyrzucił z pamięci ten epizod; to właśnie jest gambit, poświęca się figurę — wygrywa się grę. I tyle...

# CZEŚĆ CZWARTA

## Okup za cień

*Ciągle powtarza, i ciągle powtarza  
do późna, aż budzą się ćmy:  
„Nie podpisujcie pokoju z Niedźwiedziem,  
mimo, że chodzi jak my!”*  
R. Kipling

**Mroczna Puszcza, okolice Dol Guldur**  
**5 czerwca 3019 roku**

— Ślad jest świeży. Świeżutki. . . — wymamrotał pod nosem Rankorn; przypadł na jedno kolano i, odwracając się, dał znak idącemu o jakieś piętnaście jardów za nim Haladdinowi, by zeszedł ze ścieżki. Zamykający pochód Cerleg ominął posłusznie odsuwającego się na pobocze konsyliarza i teraz obaj kaprale wpatrywali się w małą gliniastą nieckę, wymieniając ciche uwagi we Wspólnej Mowie. Opinia Haladdina tropicieli nie interesowała zupełnie; co tam Haladdin — nawet głos orokuena w tej naradzie nie znaczył zbyt wiele. Zwiadowcy mieli własną tabelę rang. Wczorajsi wrogowie — ithiliński ranger i dowódca plutonu zwiadu kirithungolskich jegrów — odnosili się do siebie z wyraźnym szacunkiem, jak mistrz złotnik z mistrzem rusznikarzem, ale pustynia to pustynia, a las to las — obaj zawodowcy znakomicie znali granice swoich domen. Ranger w końcu spędził w lasach całe swoje świadome życie.

Był on wtedy smukłym młodzieńcem, chodził wyprostowany, prawe ramię jeszcze nie wznosiło się ponad lewe, a twarzy nie szpeciła brzydtko zrosnięta purpurowa blizna; był przystojnym mężczyzną, odważnym i cieszącym się łaskami Fortuny, a mundurowy, butelkowitzelony kaftan królewskiego leśniczego leżał na nim wspaniale — w sumie, śmierć dziewczuchom. . . Mężczyźni z okolicznych wsi niespecjalnie go lubili, a on uważał, że to naturalne: jasne, że wieśniaka urzędują tylko ten leśniczy, który „potrafi wejść w położenie”, Rankorn natomiast do obowiązków służbowych podchodził z właściwą młodości gorliwością. Będąc człowiekiem króla, miał w nosie miejscowych landlordów, i natychmiast ustawił sobie ich czeladź — przy jego poprzedniku uważała ona, że królewski las jest ich spiżarnią. Wszyscy pamiętali historię z szajką Eggi-Pusttelgi, którego przyniosło kiedyś w te okolice. Rankorn poradził sobie z tymi zuchami sam, nie czekając aż ludzie szeryfa raczą oderwać swoje tyłki od ławek karczmy „Trzy pinty”. Słowem, do młodego leśniczego odnoszono się w okolicy z bojaźliwym szacunkiem, ale bez szczególnej sympatii, a zresztą — miał w nosie ich sympatię. Od dziecka przywykł sam być sobie królem, i żył nie tyle z rówieśnikami, co z lasem. Las był dlań



wszystkim — i towarzyszem zabaw, i rozmówcą, i mentorem, a z czasem stał się najprawdziwszym domem. Ludzie mówili nawet, że w jego krwi jest domieszka krwi Wosów — borowych ze złowieszczej Druadańskiej Puszczy, ale czy to mało gadają ludzie w zagubionych w leśnej głuszy wioskach podczas wilgotnych jesiennych wieczorów, kiedy tylko ognek łuczywa powstrzymuje przed wyłożeniem z ciemnych kątów drzemiące tam stare licha. . .

Na dodatek Rankorn — ku rozczarowaniu wszystkich okolicznych panien na wydaniu — przestał pokazywać się na wiejskich zabawach, a zamiast tego coraz częściej pojawiał się w na poły rozwalonej stróżówce na obrzeżu Druadanu, gdzie jakiś czas temu osiedliła się przybyła nie wiadomo skąd — pewnie z odległej północy, a może nawet z Angmaru — starucha-zielarka ze swą wnuczką Lianiką. Czym opętało to piegowate dziewczę takiego wspaniałego chłopaka tylko Manwe wie; wielu uważało, że nie obeszło się bez czarów: babka w końcu władała różnymi urokami i potrafiła leczyć za pomocą ziół i przykładania rąk — z tego zresztą żyła. O Lianice wiadomo było, że dogaduje się ze wszystkimi zwierzętami i ptakami w ich językach i potrafi na przykład zmusić gronostaja, by siedział słupka na dłoni obok spokojnie myjącej pyszczek polnej myszy. Zresztą, te opowieści, być może powstały po prostu dlatego, że ludzi w odróżnieniu od zwierząt bała się i unikała jak mogła. Najpierw ludziska myśleli, że może jest całkowicie niema? „Ach, co tam — zadzierały bródki oburzone ślicznotki z okolicy, gdy ktoś w ich obecności wspominał dziwny wybór leśnika — może właśnie się dobrali swą rasą. . .”

A co, może i rzeczywiście by się dobrali, tylko los im nie sprzyjał. . . Zdarzyło się, że pewnego wieczora Lianika spotkała na leśnej ścieżce nadmiernie wesołe towarzystwo seniora, który wyjechał na polowanie by swym zwyczajem „odrobinię polepszyć krew wieśniaków”. Te jego zabawy wywoływały już niezadowolenie nawet wśród sąsiadów-landlordów: „Naprawdę, szanowny panie, pańska skłonność do dymania wszystkiego, co się rusza i oddycha. . .” Sprawa było najzwyczajniejsza ze zwykłych, nie warta wspomnienia. No bo, kto mógł pomyśleć, że ta kretynka później się utopi. . . Co to? Ubyło jej, czy jak? Mają rację ludzie, kiedy mówią, że wszyscy oni tam, na swoich północach, są trochę szurnięci. . .

Rankorn pochował Lianikę sam — starucha nie przeżyła śmierci wnuczki i trzeciego dnia zgasła, nie odzyskując przytomności. Sąsiedzi przyszedli na cmentarz głównie z ciekawości — położy leśniczy na świeżym kopczyku strzałę z czarnym opierzeniem, przysięgając zemstę? Ale nie, nie zaryzykował. . . No i słusznie — wyżej tyłka nie podskoczysz. Co z tego, że jest „człowiekiem króla” — król daleko, a drużyna landlorda, osiemnastu zbirów do których szubienica wzdycha, tuż obok. A z drugiej strony, trzęsą się chłopu kolanka, nie taki z niego chwata, jak się wydawało. . . Ten ostatni punkt widzenia wypowiediany był przede wszystkim przez tych, co się onegdaj pozakładali, dwa do jednego, albo i trzy, stawiając na to, że Rankorn ogłosi zemstę i teraz, kwaśno się uśmiechając, wypłacali przegrane

pieniążki na lepki od piwa stół w „Trzech pintach”.

Młody senior jednakże tak nie myślał: we wszystkim, co nie dotyczyło jego odchylenia na punkcie różowego mięska, był naprawdę przewidujący i ostrożny. Leśniczy nie sprawiał na nim wrażenia człowieka, który zostawi tę historię bez konsekwencji, albo — co na jedno wychodzi — przyjdzie potykać się o progi sądów i smarować supliki. Ta sprytna pejzanka, którą mimochodem uszczęśliwił na leśnej ścieżce, mimo pewnych jej oporów (diabli, ugryziony palec boli do dziś)... Szczerze mówiąc, gdyby wiedział, że poważnie trzyma na niej oko taki chłop jak Rankorn, to po prostu przejechałby obok... Tym bardziej, że dziewczyna — tfu, patrzeć nie było na co. Ale co teraz gadać. Co się stało, to się nie odstanie. Skonfrontowawszy swoje wrażenie z opinią dowódcy drużyny, landlord ustalił: nie ma się co cieszyć z braku czarnej strzały, znaczy to tylko, że Rankorn nie jest miłośnikiem teatralnych gestów i ma w nosie opinię gapiów. Poważny człowiek to i traktowania wymaga poważnego... Tej samej nocy stojący na uboczu dom leśniczego zaczął płonąć ze wszystkich czterech rogów. Drzwi wejściowe okazały się podparte belką, a gdy purpurowo zabarwione od wewnątrz okno na strychu zakrył cień zamierzającego wyjść na zewnątrz człowieka, z dołu, z ciemności posypały się strzały; więcej już nikt nie usiłował wyrwać się z płonącego budynku.

Spalony żywcem leśniczy, to nie jakiś zawszony wieśniak, który z własnej głupoty wpadł pod kopyta pańskiego konia na polowaniu, tu się nie da wszystkiego ukryć pod korcem. Ale...

— Cały okrąg, sir, sądzi, że to kłusownicy. Nieboszczyk, niech mu ziemia lekką będzie, trzymał ich twardo, więc zemścili się. Fatalna historia... Jeszcze wina? — Te słowa młody senior adresował do przybyłego z Harlondu komornika, który — tak wyszło — zatrzymał się pod jego gościnnym dachem.

— Tak, tak, dziękuję! Wspaniały claret, dawno już nie miałem okazji próbować takiego — rzeczowo pokiwał głową komornik — pulchny senny staruszek z wianuszkami siwych włosów dokoła różowej jak wiejska słonina łysiny. Długo wpatrywał się w płomień kominka przez wino, nalane do kielicha umbarskiego mistrza, a potem przeniósł na gospodarza swe wyblakłe błękitne oczka, które nagle utraciły swą senność i stały się przenikliwie lodowate.

— A, właśnie, ta topielica... To nie pańska poddana?

— Jaka topielica?

— Proszę posłuchać, czyżby tak wiele się u pana topiło, co dwa, trzy dni?

— Ach, ta... Nie, ona była gdzieś z północy. A dlaczego pan pyta, czy to ma jakieś znaczenie?

— Może tak się stać, że będzie miało. A może, i nie. — Komornik uniósł kielich na wysokość oczu i w zamyśleniu powiedział: — Pański majątek, drogi panie, cieszy oko swym zagospodarowaniem. To przykład godny naśladowania dla

wszystkich okolicznych ziemian. Według mojego szacunku, co najmniej dwieście pięćdziesiąt marek rocznej renty, nieprawdaż?

— Półtorej setki — nie mrugnawszy okiem zełgał landlord i z ulgą odetchnął — chwała Eru! Rozmowa, chyba przeszła na płaszczyznę pragmatyki. — A do tego niemal połowa idzie na podatki... no i akt hipoteczny...

Cóż, kłusownicy, to kłusownicy. Odpowiedniego kandydata wybrano szybko; powisiał stosowną chwilę w dybach nad węglami, złożył wyczerpujące zeznania, po czym został statecznie i w majestacie prawa nabity na pal ku przestrodze innym chłopom. Komornik wrócił do miasta, czule przyciskając do boku sakiewkę, cięższą o sto osiemdziesiąt srebrnych marek...

No to koniec...

Diabła tam — koniec!

Landlord od początku był zaniepokojony tym, że nie znaleziono w pogorzeliśku żadnych kości. Dowódca drużyny, który osobiście dowodził nocną akcją, uspokajał pana: ściany drewniane i grube, podłoga drewniana, nie klepisko, paliło się ponad godzinę — trup spłonął doszczętnie, takie rzeczy często się zdarzają. Młody senior, jednak, będąc — jak już powiedzieliśmy — człowiekiem nad swój wiek przewidującym, posłał ludzi, by jeszcze raz przeszukali pogorzeliśko... No i potwierdziły się jego najgorsze przecucia. Okazało się, że sztuka przewidywania nie była obca również leśniczemu, w życiu którego występowało już wcześniej parę niespodzianek: z piwnicy prowadził na zewnątrz podziemny tunel długości trzydziestu jardów, na podłodze którego widniały nie stare plamy krwi — jedna z nocnych strzał musiała trafić w cel.

— Szukać! — zarządził młody senior — niezbyt głośno, ale takim tonem, żeby ustawionych w szeregu drużynników, chłopów na schwał, pokryła gęsia skórka. — Albo on, albo my i nie ma odwrotu. Na razie, chwała Orome, leczy się gdzie w lesie. Jeśli umknie jestem trupem, ale wy — wszyscy! — umrzecie przede mną, to wam gwarantuję!

Landlord osobiście dowodził pościgiem, oświadczywszy, że tym razem się nie uspokoi, póki nie zobaczy osobiście ciała Rankorna. Prowadzące w głąb lasu tropy uciekiniera przez cały dzień były czytelne i wyraźne: ścigany nawet nie usiłował ich maskować, widocznie uważając, że nikt już go nie widzi wśród żywych. Co prawda, pod wieczór dowódca drużynników znalazł w krzakach obok tropu nastawiony samostrzał... Lepiej byłoby powiedzieć, że sam samostrzał został wykryty później, kiedy strzała aż po lotki siedziała w bebechach dowódcy. Póki drużynnicy gaworzyli zgrupowani wokół rannego, nie wiadomo skąd nadleciała druga strzała i wpiła się w szyję jeszcze jednego zucha. Ale tu Rankorn się zdradził: jego sylwetka mignęła wśród drzew o jakieś trzydzieści jardów poniżej, na zboczu zagajnika, i wtedy cała wataha runęła za nim wąską luką między krzewami leszczyny... A taki był właśnie plan, żeby ruszyli wszyscy naraz i biegiem, nie patrząc pod nogi. W sumie do wilczego dołu trafiło za jednym zamachem troje.

Na taki sukces, szczerze mówiąc, Rankorn nawet nie liczył. Zbóje Eggi-Pustelgi, którzy zmajstrowali tę konstrukcję, napracowali się uczciwie — osiem stóp głębokości, na dnie kołki wysmarowane mięsną zgnilizną, tak że zakażenie krwi gwarantowane w każdym przypadku.

Zmierzch tymczasem zapadał gwałtownie. Teraz już druzynnicy stali się przesadnie nawet ostrożni: chodzili tylko parami, a kiedy przeczesywali las i zauważyli w końcu przyczajonego w krzewach Rankorna, nie ryzykowali i naszpikowali go strzałami z dwudziestu jardów. Niestety, gdy podeszli bliżej, akurat pod uderzenie pięćsetfuntowej kłody, znaleźli zamiast wymarzonego trupa zwitek kory z naciągniętymi nań szmatami. . . . Dopiero wtedy landlord zdał sobie sprawę, że nawet ucieczka z „rejonu umocnionego” bandy Eggi, dokąd ich tak sprytnie wciągnął ów przekłety Wos — nie będzie sprawą łatwą: dokoła las jest naszpikowany śmiertelnymi pułapkami, a czworo ciężko rannych, nie licząc dwóch zabitych, całkowicie pozbawiły oddział mobilności. Zrozumiał też, że ich miażdżąca przewaga liczebna w tym układzie nie ma zupełnie żadnego znaczenia, i aż do świtu, podczas tego polowania, rolę zwierzyny przyjdzie odgrywać właśnie im.

## 56

Przygotowali obronę okrężną w najgorszym, jakie sobie można wyobrazić miejscu — wądół zarośnięty leszczyną, widoczność zero, ale przenoszenie się na inne miejsce byłoby jeszcze gorsze. O tym, by rozpaść ognisko nawet nie myśleli — strach się oświetlić, strach dać się usłyszeć, i nawet rannych opatrywali w całkowitych ciemnościach, po omacku. Zacinawszy w garści łuki i rękojeści mieczy, wsłuchiwali się w bezksiężycową noc, bez wahania strzelając w stronę każdego szmeru, w każde poruszenie w unoszącej się z wilgotnych liści mgłę. Skończyło się tak, że około trzeciej w nocy komuś puściły nerwy, i ten idiota z okrzykiem: „Wosowie!” wystrzelił w sąsiada, który wstał, chcąc rozprostować ściernięte mięśnie, a potem, łamiąc krzaki, rzucił się w głąb obronnego pierścienia. Dalej stało się to najgorsze, co tylko może się zdarzyć w nocnym boju: pierścień się rozpadł, i zaczęła się ogólna bieganina po nocy ze strzelaniem na oślepa — każdy przeciw każdemu...

Zresztą, tym razem nie było mowy o jakimś przypadku: wspomnianym „kimś”, kto sprowokował swoim strzałem w towarzysza ogólną zawieruchę, był nie kto inny jak sam Rankorn. Korzystając z mroku, leśniczy przywłaszczył sobie pelerynę jednego z zabitych — na szczęście dla niego nikt ich nie pilnował — wkręcił się w pierścień zajmujących pozycje drużynników i zaczął czekać. Właściwie, mógł sto razy wpakować strzałę w plecy landlorda i, korzystając z nieuniknionego zamieszania, rozwiąć się spokojnie we mgłę, ale ten nie zasłużył sobie na tak „przyjemny” los. Rankorn miał inne plany.

Wyniki boju stały się widoczne, gdy nastał dzień: okazało się, że oddział stracił dwóch żołnierzy, ale najgorsze — koszmar! — zaginął sam landlord. Wojownicy uznali, że podczas nocnej paniki musiał stracić swoich z oczu (poniekąd mieli rację: w lesie tylko zupełny dureń rzuca się do ucieczki na chybił trafił — normalny człowiek usiądzie pod krzakiem i nie ruszy się, póki ktoś się o niego nie potknie), i zaczęli przeczesywać okolicę, nawołując swego pana. Znaleźli go kilka mil od miejsca potyczki — orientując się na stada już zlatujących się kruków. Młody senior był przywiązany do drzewa, a z półotwartych jego ust sterczały odcięte genitalia. „Kuśką się zadławił” — szeptano potem złośliwie po wsiach...

W obławie na bestię entuzjastycznie wzięła udział cała okoliczna ludność, ale z równym skutkiem mogliby chwytać leśne echo. Dalsza kariera królewskiego leśniczego, któremu teraz nie zostało nic innego jak zostać rozbójnikiem, była standardowa; standardowy był i jej koniec — albowiem, jak głośzą słowa starej piosenki, „Może długo sznur się splata, lecz się zawsze w pętłę zwinie. . .” Raniomny w potyczce z ludźmi harlondskiego szeryfa i połamany na kole Rankorn miał ozdobić sobą szubienicę akurat tego dnia, kiedy do miasta przybył baron Grager, werbujący ludzi do wyraźnie przerzedzonego ithilieńskiego pułku. „O! Ten by mi się nadał” — rzucił baron z takim samym wyrazem twarzy, z jakim klientka kramu z wędlinami dźga paluchem w upatrzonego kawałek szynki („Tylko proszę pokroić”). Szeryf jedynie zgrzytnął zębami.

Pod Osgiliath sprawy szły tak sobie. Pułk Ithilien walczył wyraźnie lepiej od innych i, jak to się dzieje w takich przypadkach, dostawał uzupełnienie w ostatniej kolejności. Zresztą, z ludźmi w ogóle było mizernie. Ci w Minas Tirith, którzy najgłośniej przed wojną wydzielali się: „Raz i na zawsze uwolnić Śródziemie od hord ze Wschodu”, jakoś od razu znaleźli masę spraw na drugim brzegu Anduiny, prosty zaś lud od samego początku miał tę Wojnę o Pierścień głęboko w płucach. Tak więc ogłoszony niegdyś przez Faramira punkt o poborze do pułku — „choćby i prosto spod szubienicy” — był wykorzystywany tyle razy, ile tylko się dało. Właściwie, „pod szubienicą” siedział nawet sam Grager, ale w czasie wojny nikt nie odważył się ruszyć frontowego oficera — na niego sądowe szczury Gondoru miały za krótkie ręce.

Wiele zachodu kosztowało pułkowego lekarza, by przywrócić workowi połamanych kości wyciągniętemu przez barona z harlondskiego zaścianka wygląd kogoś, kto przypominałby człowieka, ale słynny zbój był tego wart. Strzelać z łuku tak samo jak przedtem Rankorn nie mógł, wyłamany bark stracił możliwość ruchu, ale tropicielem nadal był wyśmienitym, a jego doświadczenie w pułapkach i innych działaniach bojowych w leśnej okolicy było naprawdę bezcenne. Wojnę zakończył w mundurze kaprała, potem z wielkim powodzeniem uczestniczył pod dowództwem swojego porucznika w uwolnieniu i osadzeniu na ithilieńskim tronie Faramira, i już miał się zabrać za wznoszenie własnego domu — gdzieś na bezludziu, powiedzmy w dolinie Wydrzego Potoku — kiedy nagle zaprosił rangera Jego Wysokość Księżę Ithilien i poprosił o przysługę: czy nie mógłby odprowadzić dwóch jego gości na Północ, do Mrocznej Puszczy?

„Już nie jestem na służbie, mój kapitanie, a dobroczynność nie jest moją cechą”. „A ja właśnie potrzebuję takiego, kto nie jest na służbie. A dobroczynność nie ma nic do rzeczy, oni są gotowi dobrze zapłacić. Powiedz swoją cenę, kaprału”. „Czterdzieści srebrnych marek” — palnął Rankorn, po prostu, żeby się od niego odczepili. Ale żyłasty, orlonosy orokuen, chyba ich przywódca, tylko skinął głową: „Zgoda”, i zaczął rozplątywać plecioną sakiewkę z elfickim wzorem; no, a gdy na stole pojawiła się garść różnego złota (Haladdina od dawna męczyło

pytanie: Skąd Eloar wziął wendotenijskie njanmy i kwadratowe czengi z Południowych Archipelagów?), rangerowi nie wypadało dawać wstecz.

Haladdin i Cerleg rozkoszowali się teraz całkowitą beztroską, gdyż całe przygotowanie do wyprawy pod Dol Guldur wziął na swoje barki Rankorn. Co prawda, kupione dla nich w osadzie plecione mokasyny-iczigi zwiadowca przymierzał wyraźnie niezadowolony, nie dowierzając obuwiu pozbawionemu twardej podeszwy, ale ponorek, który w tych okolicach wykorzystywany jest zamiast worka na plecy, wyraźnie mu się spodobał: twardej stelaż z dwóch czeremchowych pałaków połączonych jednym zaciskiem pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, pozwala nieść kanciasty stufuntowy ładunek, nie przejmując się tym, jak przylega do pleców.

Orokuen na ten czas, ku pewnemu zdziwieniu konsyliarza, przeniósł się z gościnnych apartamentów Emyrn Arnen oddanych w ich władanie przez księcia, do koszar Faramirowej osobistej ochrony. „Ja, mój panie, jestem człowiekiem prostym, i w całym tym komforcie czuję się jak mucha w śmietanie: i śmietanie szkodzi, i musze”. Następnego dnia pojawił się z sińcem pod okiem, ale bardzo z siebie zadowolony: okazało się, że Ithilięńczycy, nasłuchawszy się opowieści o czynach kaprała w noc uwolnienia księcia, podpuścili go na sparring z dwoma najlepszymi zapaśnikami swego pułku. Jeden pojedynek Cerleg wygrał, drugi przegrał, a może starczyło mu rozumu, by przegrać, ku pełnej satysfakcji obu stron. Teraz nawet ujawniona w czasie wieczornych gawęd niechęć orokuena do piwa spotykała się u rangerów ze zrozumieniem: ma chłop autorytet, ma więc prawo... A co wy tam? Kumys... O, przepraszam! Nie dowieźli... Gdy pewnego razu Haladdin zajrzał do koszar do swego towarzysza, zauważył, że wraz z jego pojawieniem natychmiast zwiędła ożywiona rozmowa i zaległa niezręczna cisza: dla wiejskich chłopaków, którym pozwolono wreszcie nie strzelać do siebie, wykształcony lekarz był teraz tylko dokuczliwą przeszkodą. Przełożonym.

Z kilku dróg na Północ wybrano drogę wodną: nie wiadomo, kto teraz włada Brunatnymi Polami na lewym brzegu Anduiny. Do wodospadów Rauros, a to jest mniej więcej dwie trzecie drogi, płynęli pod żaglem — o tej porze roku w dolinie Wielkiej Rzeki wieją mocne i równe południowe wiatry. Dalej musieli przesiąść się do lekkich dłubanek. Tę część podróży Haladdin z Cerlegiem odbyli w charakterze okrętowego balastu: „Nie znacie Rzeki, i najlepsze, co możecie zrobić dla oddziału, to w żadnych okolicznościach nie odrywać tyłków od dna łódki, i w ogóle nie wykonywać gwałtownych ruchów”. Drugiego czerwca ekspedycja dotarła do łuku Anduiny przed wpadającą doń, biorącą początek w Fangorskim Lesie Srebrną Żyłą. Dalej zaczynały się Zaczarowane Lasy — Lorien na prawym brzegu, Mroczna Puszcza na lewym. Stąd do Dol Guldur zostawało nieco więcej niż sześćdziesiąt mil w linii prostej. Ludzie Faramira zostali, by pilnować czółen — przeprawili się, by nie kusić licha, na prawy, rohański brzeg, a oni trzej po dniu drogi zobaczyli przed sobą zębatą, czarno-zieloną ścianę jodeł Mrocznej Puszczy.

Las ten był zupełnie inny niż prześwietlone słońcem i wypełnione życiem dą-

browy Ithilien: całkowity brak młodziaków i krzewów sprawiał, że przypominał niemożliwą do ogarnięcia spojrzaniem kolumnadę gigantycznej świątyni. Pod arkami panowała głucha cisza — gruby dywan z jadowicie zielonego mchu, upstrzonego gdzieś tam drobnymi białymi kwiatami podobnymi do kartoflanych pączków, dokładnie wygłuszał wszystkie dźwięki. Cisza i przejrzysty zielony mrok tworzyły złudzenie, że znajdują się w podwodnym świecie, potęgowały to jeszcze „wodorosty” — rozczochrane siwiejące brody porostu zwisającego z jodłowych gałęzi. Ani promieni słońca, ani powiewu wiatru, przez co Haladdin fizycznie odczuwał jak jego pierś ugniata wielometrowa warstwa wody. Drzewa były ogromne; prawdziwą ich wielkość można było ocenić dopiero według leżących pni — nie dawało się przejść przez nie, a obejście kosztowało sto, sto pięćdziesiąt stóp w każdą stronę, tak więc niektóre fragmenty wiatrołomu były zupełnie nieprzebyte, trzeba je było omijać bokiem. Na dodatek wnętrza tych leżących kłód zżarte były na koronkę przez olbrzymie — wielkości dłoni — mrówki, które zajadły atakowały każdego, kto ośmielił się dotknąć ścian ich domu. Dwukrotnie natknęli się na ludzkie szkielety, dość świeże; nad nimi bezszelestnie roiły się węglowoczarne motyle — i to było tak przerażające, że nawet doświadczony orokuen w milczeniu czynił znak Jedyne.

Stada wilkołaków i pająki wielkości koła powozu — wszystko to wydawało się dziecinnymi bajkami: Las nie poniżał się do bezpośredniej wrogości, po prostu był całkowicie obcy, jak obcy jest przestwór oceanu czy zimne płomienie podniebnych lodowców Ephel Duath. Moc Lasu przejawiała się nie w przeciwdziałaniu, a w odpychaniu i nie przyjmowaniu, stąd najmocniej odczuwał ją właśnie leśniczy Rankorn. Tę moc zbierała — wiek po wieku, kropla po kropli — w swe zaczarowane mury Dol Guldur; trzy magiczne twierdze — Dol Guldur w Mrocznej Puszczy, Minas Morgul przy Kirith Ungol i Ag Jakend pośród pozbawionego życia wysokogórskiego płaskowyżu Szurab w północnym Khandzie — zamykały Mordor w ochronny trójkąt, sycony starożytną mocą lasów, światłem górskich śniegów i milczeniem pustyń. Nazgule, którzy wnieśli owe zaczarowane „rezonatory” i chcieli ukryć ich prawdziwe przeznaczenie, nadali im postać twierdz. Należy sądzić, że cieszyli się jak dzieci, gdy kolejny zachodni wódz z niedowierzaniem pętał się po splekanych płytach dziedzińca Dol Guldur, bezskutecznie usiłując odnaleźć przynajmniej ślady tego garnizonu, który tak usilnie walczył z jego wojownikami. (Po raz ostatni ten wybieg zastosowano dwa miesiące temu: „lustrzany garnizon” prawie dwa tygodnie odciągał siły elfów z Lorien i pospolite ruszenie z Esgaroth, pozwalając prawdziwej Armii Północ praktycznie bez strat powrócić do Morannon). Jedynie do podziemi zamku nie należało wchodzić — o czym zresztą uczciwie zawiadamiały wyryte na murach napisy we Wspólnej Mowie.

Konsylium na ścieżce przeciągało się. Haladdin zdjął z ramion ponorek — jak zwykle w pierwszej chwili poczuł rozkosz lotu nad ziemią — i podszedł do tropi-



cieli. Obaj kaprale wyglądali na wyraźnie zaniepokojonych: przemykali się przez te dni po głuchych leśnych ścieżkach, unikając przetartego szlaku łączącego Dol Guldur z Morannon, jednakże obecność ludzi nawet w tych zaczarowanych gęstwinach dawała się odczuć stale — i nagle, proszę: zupełnie świeże ślady. Ślady wojskowych butów Mordorczyka z piechoty... A Sharha-Rana o żadnych mordorskich oddziałach w rejonie twierdzy nie wspominał ani słowem.

— Może jacyś dezzerterzy z Armii Północ, jeszcze z tamtych czasów?

— Nie sędę... — podrapał się po czubku głowy Cerleg. — Każdy dezzerter spłynąłby stąd dokądkolwiek, choćby i do piekła. A ci wyraźnie tu siedzą, gdzieś w pobliżu. Sądząc po głębokości śladów, szli bez ładunku.

— Dziwny ślad — zgodził się z nim Rankorn. — Ludzie z waszej Armii Północ powinni mieć buty porządnie zdeptane, a te wyglądają jakby były prosto z magazynów. Patrz, jak rant dobrze się odbił.

— A skąd wiecie, że to Mordorczycy?

— No — tropieciele wymienili spojrzenia, chyba nawet nieco obrażone — wysokość obcasa... kształt czubka...

— Ja nie o to pytam. My, na przykład, z Cerlegiem mamy mokasyny — i co z tego? Nastąpiła krótka cisza.

— Diabli... Też prawda... Ale jaki to ma sens? Sensu nie było w tym w ogóle... Stąd raptowna decyzja Haladdina wyglądała na całkowicie irracjonalną — skok w mrok. Właściwie, nie była to nawet jego decyzja; po prostu jakaś postronna siła cicho rozkazała: „Naprzód, chłopie!” i teraz już trzeba było albo podporządkować się bez namysłu, albo wycofać się z tej zabawy.

— Robimy tak... Do Dol Guldur, jak obliczyłem, zostało niewiele, jakieś tuzin mil. Teraz wychodzimy na drogę. Dalej — wy zostajecie, a ja idę do twierdzy. Sam. Jeśli za trzy dni nie wrócę to koniec: zawracajcie sanie, nie żyję. Do twierdzy nie zbliżajcie się w żadnym wypadku. W żadnym, jasne?

— Czy pan, miły panie, zwariował? — poderwał się orokuen.

— Kaprału Cerleg! — Haladdin nawet nie podejrzewał, że natura dała mu takie możliwości intonacyjne — mógłby słowami, jak bryłami rudy, wypełnić hutniczy piec. — Czy rozumiecie rozkaz?

— Tak jest... — Ofuknięty stracił rezon, ale tylko na chwilę. — Tak jest, panie konsyliarzu drugiego stopnia!

— No i świetnie. A ja muszę się wyspać i dobrze sobie wszystko przemyśleć, co mam mówić tym ludziom w nowiutkich butach — jeśli twierdza jest w ich rękach. Kim jestem, gdzie spędziłem te miesiące, jak tu się dostałem i takie tam... Skąd, nawiasem mówiąc, mam mokasyny — w podobnych sytuacjach nie istnieją nieważne drobiazgi.

Kumai przełożył stery i szybowiec zawisł w powietrzu, opierając się skrzydłami o pustkę. Dol Guldur widać stąd było jak na dłoni — ze wszystkimi jej dekoracyjnymi bastionami i rawelinami, centralnym donżonem zajęтым aktualnie przez warsztaty i nicią drogi dojazdowej wijącej się między wrzosowymi wzgórzami. Jeszcze raz przyjrzał się okolicy i zadowolony parsknął przez nos: pomysł ukrycia ich „Zbrojnego klasztoru” tu, u diabła na zapiecku, pod samym nosem lorieńskich elfów, wspaniały był w całej swojej bezczelności. Co prawda, wielu kolegów zebranych pod dachem magicznej cytadeli, czuło się nie w swoim sosie — jednych dręczyły uporczywe nocne koszmary, innych niezrozumiałe dolegliwości, ale trolle to lud gruboskórny i flegmatyczny, całkowicie pozbawiony przesądów, tak więc inżynier czuł się tu wspaniale, i pogrążył się w pracy tak, że nawet czubka głowy nie było widać.

Choć formalnie przewodził im Dżaheddin — osławiony chemik, optyk i elektromechanik z Uniwersytetu w Barad-Dur — w rzeczywistości dowodził „na obiekcie” komendant Grizzly, naprawdę przypominający ogromnego szarego niedźwiedzia z leśnych przedgórzy północnego Wschodu. Ani jego prawdziwego imienia, ani funkcji zajmowanej w wywiadzie nikt z tutejszych nie znał.

Kumai nawet nie mógł określić jego narodowości; może był z tych północnych trolli, co to żyli niegdyś w Górach Mglistych, a potem stopniowo rozmyli się wśród Dungarczyków i Angmarczyków?

Komendanta Kumai poznał natychmiast po przybyciu do twierdzy. Ludzie nadintendenta przewieźli go tu za pomocą sztafety wzdłuż Traktu Dol Guldur — mieli tu zmontowaną prawdziwą pocztę konną, przesyłki szły niemal codziennie. A gdy przyjechał, Grizzly urządził mu wielogodzinne przesłuchanie, z maniacką dociekliwością wypatroszył cały Kumajowy żywot, sięgając niemal do seksualnych preferencji jego pierwszej przyjaciółki. Dzieciństwo, nauka w szkole, służba wojskowa, imiona i daty, dane techniczne latających aparatów i przyzwyczajenia jego uniwersyteckich współbiedników, słowne portrety mistrzów kowalskich i górników ojcowej kopalni, i kolejność toastów w biesiadach trolli... „Twierdzi pan, że trzeciego maja 3014 roku, w dniu pańskiego pierwszego lotu,

było pochmurnie. Czy na pewno tak było? A jak się nazywa barman w knajpce „Eccigidel”, znajdującej się naprzeciwko Uniwersytetu? — Ach, rzeczywiście — „Eccigidel” jest nieco dalej na bulwarze. . . Inżynier drugiego stopnia Szagrat z waszego pułku — wysoki, przygarbiony, kuleje na prawą nogę? Ach, „kwadratowy” i nie kuleje w ogóle. . .” Nawet głupiec by zrozumiał, że sprawdzić trzeba, czy nie podsuwają jakiejś wszy, ale po co aż takie komplikacje? Kiedy zaś Kumai przy okazji wspomniał jakiś szczegół swej ucieczki z kamieniołomu, Grizzly zmarszczył się z wyrzutem:

— Czy nie poinstruowano pana, że ten temat jest tabu?

— Ale. . . — skonfundował się inżynier — . . . ja myślałem, że to tabu nie dotyczy pana. . .

— Czy powiadomiono pana o jakichś wyjątkach?

— Nie. . . Moja wina.

— Proszę się przyzwyczać. . . Dobrze, kontrola wypadła dla pana pozytywnie. Proszę się częstować. — Z tymi słowami komendant przysunął Kumajowi pękaty czajnik z odłamanym dziobkiem i khandyjską pialę z cieniutkiej kremowej porcelany, a sam pograżył się w czytaniu sporządzonego przez mechanika wykazu rzeczy potrzebnych do pracy: bambus, drzewo balsy, umbarskie płótno żaglowe. . . mnóstwo rzeczy a drugie tyle potem dopiero się przypomniał. — Jeszcze jedno, pańscy poprzedni współpracownicy, tacy jak mistrz Mchamsuren. . . Gdyby tu byli, pomogliby sprawie?

— Jeszcze jak! Ale czy to jest możliwe?

— Dla naszej służby nie ma rzeczy niemożliwych. Musi pan tylko przypomnieć sobie o tych ludziach wszystko — cechy zewnętrzne, więzy przyjaźni i rodzinne, przyzwyczajenia. . . Przyda nam się każdy detal, tak więc proszę wysilić pamięć.

Po pół godzinie komendant przyklepał dłonią stertę zapisanych arkuszy papieru, lakonicznie podsumowując:

— Jeśli żyją to znajdziemy. Kumai od razu poczuł, że znajdują.

— Proszę się przebrać, panie inżynierze drugiego stopnia. — Grizzly wskazał wzrokiem na komplet nowiutkiego mordorskiego munduru bez naszywek (tak byli umundurowani wszyscy — i konstruktorzy Dżaheddina, i obsługa, i milczący ochroniarze z wywiadu). — Proszę za mną, pokażę panu nasze obejście. . .

Obejście było obszerne i urozmaicone. Na Kumaja na przykład czekał wspinały szybowiec nie znanej mu wcześniej konstrukcji: proste i wąskie, jak elfickie ostrze, bez mała dwudziestostopowe skrzydła trzymały się nie wiadomo na czym, chyba na niczym — jakiś nieprawdopodobny materiał, lżejszy od balsy i twardszy od kamiennego cisu; podobnie wspinała była „miękka” katapulta do wyrzucania maszyny w powietrze. No, nie ma takich materiałów w przyrodzie, choćbyście mi łeb odrąbali! Ale w tym momencie mechanik pojął, że ma do czynienia z legendarnym „Smokiem” Nazguli, długość lotu którego określała jedna tylko okoliczność

— ilość czasu, jaką wytrzyma w gondoli jego pilot. Zresztą, pilotowanie „Smo-ka” Kumai opanował szybko. Wiadoma sprawa — im doskonalsza technika, tym prostsza jest w użyciu.

Jednocześnie z Kumajem do Dol Guldur trafiła czwórka isengardzkich inżynierów „kruszącego ognia” — tak nazywano proszek zapalający, podobny nieco do używanego w Mordorze od dawien dawna w świątecznych fajerwerkach. Isengardczyków przyprowadził Rosomak — niewysoki żylasty chłopak z nieco krzywymi nogami, podobny do dungarskiego górala; zastępował Grizzly’ego, kiedy ten wybywał z twierdzy w jakichś swoich tajnych sprawach. Co do „kruszącego ognia”, po jakimś czasie nazywanego po prostu proszkiem, to mordorscy mistrzowie mieli najpierw o tym marne zdanie: nafaszerowane nim ceramiczne naczynia w kształcie kropeł z krótkimi skrzydełkami leciały daleko — fakt, niemal na dwie mile — ale celność ich, delikatnie mówiąc, pozostawiała wiele do życzenia: plus minus dwieście jardów. Na dodatek pewnego razu „latająca kropla” eksplodowała w wyrzutni, zabijając przypadkowego robotnika; dowiedziawszy się od Isengardczyków, że takie rzeczy się zdarzają — „No, nie powiem, żeby regularnie, ale zdarza się, zdarza” — Mordorczyki popatrzyli na siebie: „Słyszeliście, chłopcy? Na kij nam ten „kruszący ogień”. Prędzej swoich załatwi niż obcych...”

Jednakże nie minęły trzy dni od awarii, gdy katapultiarze zaprosili Grizzly’ego na próbne strzelania — pochwalić się nowym typem pocisku. Ze standardowego dystansu trzystu jardów pierwszym strzałem zrobili kaszę z grupy ośmiu tarcz, a uczyniła to była okrągła ceramiczna kula, nafaszerowana proszkiem z kawałkami gwoździ i wyposażona w knot stosowany wcześniej w dzbanach z zapalającą naftą. Następny krok aż sam się prosił: umieścić pojemnik z proszkiem wewnątrz pojemnika z „ognistą galaretą”, która powstaje w wyniku rozpuszczenia mydła w jasnej frakcji nafty — tak, by podczas wybuchu lepkie, wypalające wszystko kłaki fruwały we wszystkie strony... Grizzly przyjrzał się wtedy trzydziestopięciojardowej plamie wypalanej aż do mineralnych warstw ziemi i zdumiony popatrzył na Dżaheddina:

— I to wszystko zrobił jeden zakichany garnek? No, panowie, gratuluję! W końcu wymyśliliście coś wartościowego!

Wtedy Kumai pomyślał, że takie pociski — czy to zapalające, czy odłamkowe — można wystrzeliwać nie tylko z katapult, ale również zrzucić z szybowców.

— Bez sensu — brzmiała odpowiedź. — Powiedz sam. Ile lotów wykonasz w ciągu jednej bitwy? Dwa? Trzy? Nie warta skórka wyprawki.

— Jeśli miałbym zrzucić pociski na wrogą armię to nie. Ale gdyby trafić osobiście milorda Aragorna z milordem Mithrandirem — nawet bardzo by było warto.

— Sądzisz, że trafisz?

— Trafić przecież trzeba nie w człowieka, a w trzydziestopięciostopowy okrąg, więc dlaczego nie?

— Wiesz co, to jakoś... niehonorowo.

— C-co? Co-o-o?

— Nic, ja tylko... To i tak koniec z tymi poprzednimi rycerskimi wojnami, z ich: „Gotów jesteś, szlachetny panie?” Jedyne może zaświadczyć, że nie myśm ją zaczęli.

Tak, koniec ze szlachetnymi wojnami, koniec... Mordorscy konstruktorzy, na przykład bardzo udoskonalili kusze — broń, która w Śródziemiu zawsze była nieformalnie zakazana.

— Jak sądzisz, dlaczego szlachetni rycerze tak nienawidzą kuszy? Rzekłbym, że w ich nienawiści jest coś osobistego, prawda?

— Jakże to, słyzałem: broń dystansowa — broń tchórzy.

— Eee... nie, to jest bardziej skomplikowane. Przeciwno łukom — zauważ! — nikt nie protestuje. Chodzi o to, że najlepszy łuk ma na cięciwie naciąg sto funtów, a kusza — tysiąc.

— No to co z tego?

— A to, że łucznik może ubić rycerza w zbroi tylko jeśli trafi w szczelinę przyłbicy, w złączenie zbroi i tak dalej — wysoka to sztuka, której musisz się uczyć od trzeciego roku życia, a dopiero około dwudziestki będziesz się do czegoś nadawał. Kusznik natomiast wali w kontur — gdzie by nie trafił, przesyje na wylot. Miesiąc przygotowania i piętnastoletni czeladnik, który w życiu nie trzymał w rękach broni, wytrze rękawem smarki, przymierzy ze stu jardów i wykopyrtnie się słynny baron X, zwycięzca czterdziestu dwóch turniejów, i tak dalej, i tak dalej... Wiesz, jak powiadają w Umbarze? „Jedyny stworzył ludzi słabych i silnych, a twórca kuszy ich zrównał”. Dlatego teraz ci „silni” się wściekają — ginie, jakoby, wysoka etyka wojennego kunsztu!

— Dokładnie. A na dodatek podatne warstwy społeczne zaczynają się burzyć. A na kij nam właściwie potrzebni oni są, z tymi swoimi herbami, plumażami i innymi duperelami? Bo jeśli się rozchodzi o obronę ojczyzny, to kusznicy są o wiele tańsi w utrzymaniu.

— Ależ z pana pełzający pragmatyk... .

— Nie da się ukryć. Nijak ci ja, świński ryj, nie mogę pojąć, dlaczego wybić człowiekowi mózg mieczem jest szlachetne, a bełtem — podłe?

Zresztą i stalowe kusze wyposażone w szkła przybliżające, i „latające krople”, i nawet rzucane z niebios pociski — wszystko to wyglądało na niewinne zabawy w porównaniu z tym, czego zażądało od nich — ustami Grizzly’ego — niewidzialne Kierownictwo. W Górach Mglistych od dawna znanych jest kilka wąwozów, gdzie ze skalnych szczelin sączy się mgła, która następnie bez śladu taje w nieruchomym powietrzu. Tych niewielu, którzy zdołali ująć stamtąd, opowiadają, że wystarczy odetchnąć tym powietrzem, a w ustach pojawia się ohydny słodkawy posmak, i jak lawina zwała się senność, z którą nie sposób jest walczyć, a czym się kończą takie sny, widać po zgromadzonych na osypiskach zwierzę-

cych szkieletach. Tak więc, należy wymyślić sposób wypuszczania takiej mgły na wroga. . . Kumai był człowiekiem zdyscyplinowanym, skoro trzeba to trzeba, ale ten pomysł Kierownictwa — zatruwania powietrza — zemdlił go. Kto wymyślił tę „Broń Zemsty”? Chwała Jedynemu — on jest tylko mechanikiem, a nie chemikiem, tak więc osobiście się z tą bronią nie zetknie.

Zrzucił z wysokości stu stóp kilka kamieni o podobnej do pocisków wadze, siadły wspaniale, na styk z tarczami. Potem wylądował na trakcie o jakieś półtorej mili od Dol Guldur, tam gdzie droga, przecinając niczym biała piaszczysta szrama chorobliwy rumieniec przekwitających wrzosów, uciekała w mroczny kanion wymyty przez nią w gęstwinie Mroczonej Puszczy. Wysiadł z gondoli i przykucnął na poboczu, niecierpliwie patrząc w stronę twierdzy. Zaraz przyprowadzą konie i spróbują unieść „Smoka” bezpośrednio z ziemi, rozpędziwszy go z pomocą zaprzęgu konnego, jak to robiono z szybowcami starego typu. No, gdzie oni są? Już lepiej by ich po śmierć posyłać. . .

Ponieważ Kumai patrzył w kierunku Dol Guldur, zobaczył nadchodzącego człowieka dopiero wtedy, gdy ten zbliżył się na jakieś trzydzieści jardów. Przypatrzywszy się przybyszowi, troll potrząsnął głową: „To być nie może!”, a potem, nie czując pod stopami ziemi, runął na spotkanie i chwilę później zgniótł przybysza w objęciach.

— Ostrożniej, byku krasy, żebra mi połamiesz!

— Musiałem sprawdzić, czy nie jesteś ułudą! Dawno cię znaleźli?

— Dość. Aha, najważniejsze: Sonia jest żywa i zdrowa, jest teraz z naszymi, w Górach Popielnych. . .

Haladdin uważnie wsłuchiwał się w opowieść Kumaja, nie odrywając wzroku od pracowicie krzątających się nad kwieciami wrzosu pstrych ziemnych pszczołek. Zuchy Nazgule, ale cwane skubańce, żeby im licho nogi powyrywało. . . „To jest numer — ukryć palantir w takim gnieździe os. . . Dobrze, że nie pchałem się do tych zawodowców ze swą amatorską legendą, bo wyniuchali by mnie raz-dwa, no a potem: gorące powitanie! A opowiedzieć wszystko Grizzly’emu i Rosomakowi — to za dużo. Pojawia się w ich supertajnym „Zbrojnym klasztorze” jakiś konsyliarz drugiego stopnia:

„Ja, panowie, wpadłem do was na chwilę — zabiorę tylko z kryjówki palantir, i wracam do Ithilien, do księcia Faramira. Działam ci ja na polecenie Kapituły Nazguli, ale ten, co mi to polecenie przekazał od razu zmarł, tak więc nie ma kto potwierdzić tego faktu. . . Jako dowód mogę wam pokazać pierścień Nazgula, choć prawdą jest, że nie ma on żadnych magicznych właściwości”. Niezły obraz olejny, nawet nie za szpiega mnie wezmą, a za wariata. Może do zamku i wpuszczą — w końcu spece od trucizn nie walają się na drogach. . . Ale gdzie tam, na pewno nie wypuszczą. W każdym razie — ja bym nie wypuścił. . . Stop-stop-stop!” Hej, Halik, śpisz?! Wszystko w porządku?

— Tak, wybacz. Po prostu wpadł mi do głowy pewien pomysł. Widzisz, wyko-

nuję tu pewne zadanie specjalne, nijak nie związane z waszym „Zbrojnym Klasztorem”. Słyszałeś o takich pierścieniach?

Kumai podrzucił pierścień i zważył go w dłoni. Gwizdnął z szacunkiem.

— Inoceranium?

— Tak właśnie.

— Czy nie chcesz powiedzieć...

— Chcę, inżynierze drugiego stopnia Kumai!

— Tak jest!

— W imieniu Kapituły Nazguli... Czy jesteście gotowi wykonać moje polecenie?

— Tak jest!

— Pamiętaj — o tym zadaniu nie może się dowiedzieć nikt z grona twego Kierownictwa.

— Pomyśl, o czym ty mówisz!

— Kumai, przyjacielu... Nie mam prawa odsłonić przed tobą sedna operacji, ale przysięgam na co tylko chcesz, przysięgam na życie Soni: to, co robię, jest jedyną rzeczą, jaka jeszcze może uratować Śródziemie. Wybieraj... Jeśli przyjdę do Grizzly'ego, to na pewno zażąda potwierdzenia moich pełnomocnictw. Zanim jego przełożeni połączą się z moimi, mogą minąć nie tygodnie, może nawet miesiące, a do tego czasu wszystko już się skończy. Myślisz, że Nazgule są wszechpotężne? Guzik z pętelką! Nawet nie uprzedziły mnie, jeśli chcesz wiedzieć, o tych zabawach wywiadu w Dol Guldur — pewnie sami o tym nie wiedzą...

— To jasne — mruknął Kumai. — Gdy na nasz historycznie trwały burdel nałoży się jeszcze utajnienie, to nikt niczego nigdy nie znajdzie.

— No to jak? Zrobisz to?

— Zrobię.

— W takim razie słuchaj i zapamiętuj. W Wielkiej Sali zamku jest kominek. W jego tylnej ścianie powinien tkwić kamień w kształcie rombu...

**Ithilien, Eryn Arnien**  
**12 czerwca 3019 roku**

„Nie ma cięższego zajęcia niż czekanie” — słowa te odlano w brązie i może dlatego się nie ścierają. Potrójnie ciężko, jeśli oczekiwanie jest jedynym zajęciem: wszystko, co można było zrobić — zrobiono. Siedź teraz i czekaj, czy nie brzęknie dzwoneczek: „Wasze wyjście!” Czekaj dzień po dniu, w stałym pogotowiu — a dzwoneczek może wcale nie zadzwonić, to już nie od ciebie zależy, tu rządzą inne Siły. . . Haladdin, zmuszony do leniuchowania w Eryn Arnien po wyprawie do Dol Guldur, przyłapał siebie na tym, że szczerze zazdrości Tangornowi, prowadzącemu swą śmiertelnie niebezpieczną grę w Umbarze: lepiej już co i rusz ryzykować życiem, niż tak czekać. Jakże przeklinał siebie za te myśli, kiedy tydzień temu posmutniały Faramir przekazał mu mithrilową kolczugę: „A ostatnimi jego słowami było: „Wykonane””. Jakby wykrakał.

Wspominał i ich powrót z Dol Guldur. Tym razem nie udało się przeskoczyć niezauważalnie: wojownicy, strzegący przed elfami ścieżek Mrocznej Puszczy, ruszyli po ich śladach, nie odstając ani o krok, jak wilki za rannym jeleniem. Cóż, przynajmniej teraz dokładnie wiedział, ile jest warte jego życie — czterdzieści marek, tyle ile zapłacili Rankornowi. Gdyby nie zrzeczność rangera, na pewno zostaliby gdzieś pośród jodeł Mrocznej Puszczy, stając się żerem tamtejszych czarnych motyli. . .

Na brzegu Anduiny wpadli w zasadzkę, i gdy nad głowami zaświstały strzały, nie było już co wrzeszczeć: „Chłopy, my jesteśmy swoi, tylko z innego departamentu!” Haladdin strzelał tam do swoich — strzelał, zadając śmierć elfickimi zatrutymi strzałami — i teraz już nigdy nie zmyje ze swych rąk tej krwi. . .

A wie pan, co jest najsmutniejsze, najdroższy panie Haladdinie? Pan, gołąbeczku, jest teraz związany krwią, i dlatego stracił pan największy dar Jedynego: prawo wyboru. Za twoimi plecami wiecznie będą majaczyć i ci zabici w nadanduińskich zaroślach wikliny ludzie w mordorskich mundurach bez naszywek, i zatruty Tangorn — tak więc, gdy tylko odechce ci się i powiesz: „Więcej nie mogę”, natychmiast staniesz się zwyczajnym zabójcą i zdrajcą. Aby te ofiary nie były da-



remne, musisz zwyciężyć, a żeby zwyciężyć — ciągle iść po trupach i to przez niewyobrażalne bagno. Zamknięte koło... A najgorsza robota dopiero przed tobą. To, że wykonasz ją cudzymi rękami — rękami barona Gragera — niczego nie zmienia. Jak powiedział wówczas Tangorn: „Uczciwy podział: organizator ma czyste ręce, a wykonawca — czyste sumienie”. Guzik prawda...

\* \* \*

Zanim Tangorn udał się do Umbaru, dokonał inscenizacji kluczowej sceny, po czym beznamiętnie skonstatował:

— Do niczego się nie nadajesz. Zdradzasz się każdym spojrzeniem, każdą intonacją. Fałsz widoczny jest na wiorstę — żeby go zobaczyć, nie trzeba być elfem, a oni są bardziej przenikliwi niż my... Wybacz, powinienem od razu przewidzieć, że to nie jest rola dla ciebie. Nawet jeśli pożą moją umbarską przynętę, to ty nie zdołasz zaciąć ryby — zerwie się.

— Zdołam. Skoro trzeba, zrobię to.

— Nie. I nie kłóć się — ja bym też nie potrafił. Żeby zagrać w takiej scenie wiarygodnie, znając przy tym wszystkie okoliczności i wszystkie drugie dna, mało mieć stalowe nerwy: trzeba być nie tylko szubrawcem i łajdakiem, ale po prostu — nie być człowiekiem...

— Dziękuję panu, sir.

— Nie ma za co, sir. Może z czasem zdołasz się stać takim nie-człowiekiem, ale my nie mamy aż tyle czasu. Tak więc widzę tylko jedno wyjście: wstawić dodatkową przekładkę...

— Co, co?

— To nasz slang. Należy wprowadzić pośrednika, wypuszczonego na działanie w ciemno... tfu... jednym słowem, pośrednik musi być przekonany, że mówi prawdę. Przy tym, uwzględniając poziom kontrahenta, to musi być rasowy zawodowiec.

— Masz na myśli barona Gragera?

— Hm... „Kapujesz, medycyna” — jak mawia twój kapral.

— A pod jakim pozorem go wciągniemy?

— Pod tym, którego się naprawdę obawiamy — że w chwili przetargu elfy wyłamią twój umysł za pomocą jakichś tam magiczno-hipnotycznych sztuczek, i zamiast się z nami wymienić, okradną nas... Zresztą, to nie jest taki sobie umysł, a czysta prawda. Tobie też ulży — podzielisz z baronem po bratersku tę beczkę gówna... Jak mawiał słynny Su-Wei-Go: „Uczciwy podział: organizator ma czyste ręce, wykonawca — czyste sumienie”.

- Kim był ten Su-Wei-Go?
- Szpiegiem, a kim jeszcze mógł być. . .

\* \* \*

Ryba wzięła, gdy mijał osiemdziesiąty trzeci dzień z darowanych im stu. Strzały ostatnich słonecznych promieni przeszywały bezsilnie głuchą przestrzeń pustej o tej godzinie Sali Rycerskiej i, wpijając się w przeciwległą ścianę, rozsypywały się na pomarańczowe bryzgi; bryzgi były żywe i ciepłe — starały się przeskoczyć ze ściany na twarz i ręce ślicznej dziewczyny w zakurczonym męskim odzieniu, która upatrzyła sobie obiadowy fotel Faramira. „Naprawdę można ją nazwać „dziewczyną” — odnotował w duchu Grager — choć według ludzkich miarek należałoby jej dać trzydzieści, a ile ma naprawdę — wyobrazić sobie strach. Powiedzieć, że jest piękna, to nie powiedzieć nic. Można, oczywiście, opisać Portret przepięknej nieznanym wielkiego Anwendiego słowami policyjnego portretu pamięciowego — ale czy warto próbować? Ciekawe, ten doktor Haladdin potrafił wykreślić jej ruchy, jak się wykreśla fazy zaćmienia księżyca — robota jubilerska, cymes i rodziniki w cukrze — ale jakoś nie wykazał z tego powodu żadnej radości, raczej wręcz przeciwnie. Co by to mogło znaczyć?”

— W imieniu księcia Ithilien witam panią w Emyrn Arnen, milady Eornis. Jestem baron Grager, być może słyszała pani o mnie.

— O, tak. . .

— Elandar przekazał pani posłanie barona Tangorna?

Eornis skinęła głową, w potem wyjęła z jakiejś sekretnej kieszonki prosty srebrny pierścień z mocno startymi elfickimi runami i położyła na stole przed Gragerem:

— Wśród pierścieni zalanych lakiem na waszej przesyłce, był i ten. Należał do mojego zaginionego bez śladu syna, Eloara. Pan coś wie o jego losie. . . Dobrze zrozumiałam sedno pańskiego posłania, baronie?

## 59

— Wszystko właściwie pani zrozumiała. Ale od razu ustalmy kilka rzeczy: jestem tylko pośrednikiem, jak i mój zabity towarzysz. Na pewno są sposoby szperania po moim umyśle za pomocą elfickiej magii, ale nie znajdzie tam pani niczego ponad to, co i tak zamierzam pani powiedzieć.

— Przesadza pan w ocenie możliwości elfów...

— Tym lepiej. Tak więc pani syn żyje. Jest w niewoli, ale wróci do pani, jeśli dogadamy się co do ceny.

— Och, wszystko, czego chcecie — kamienie, gondolińska broń, magiczne rękopisy...

— Niestety, milady: ci, w czyich rękach się znalazł, to nie południowi masztangowie handlujący zakładnikami. Wydaje mi się, że reprezentują wywiad Mor-doru.

Nic nie zmieniło się w jej twarzy, ale szczupłe palce zbieleły, zaciskając się na podłokietnikach fotela.

— Nie będę zdradzała swego narodu dla ratowania syna!

— I nawet nie chce pani wiedzieć, jak mało od pani wymagają?

A gdy minęła wieczność, sprasowana do kilku sekund, odpowiedziała:

— Chcę.

Grager, mający za sobą dziesiątki werbunkowych operacji zrozumiał, że oto stało się. Dalej to już tylko kwestia techniki, „endszpil” z przewagą figury.

— Przedstawię niektóre dodatkowe okoliczności. Eloar odłączył się od swoich towarzyszy i zabłądził na pustyni. Kiedy go znaleziono umierał z pragnienia, tak więc mordorscy partyzanci na początku po prostu uratowali mu życie.

„Uratowali mu życie”? Te potwory?

— Droga pani, tymi bajkami o „wędzonej człowieczynie” można straszyć wieśniaków z Shire, a mnie nie warto. Ja, cokolwiek to znaczy, walczyłem z orokami przez cztery lata. Ci ludzie zawsze szanowali męstwo wroga, a z jeńcami obchodzili się po ludzku — tego nikt im nie odbierze. Co innego jest ważne: dowiedzieli się, że pani Eloar osobiście uczestniczył w „czyszczeniu”... To jest eee... taki eufemizm na masowe zabijanie ludności cywilnej...

— To kłamstwo!

— Niestety, to najszczęśliwsza prawda — westchnął Grager. — Tak się stało, że mój przyjaciel, nieżyjący już baron Tangorn, osobiście widział dzieło oddziału Wastaków Eloara. . . Oszczędzę pani macierzyńskie uczucia i nie opiszę tego, czego świadkiem był baron.

— Przysięgam, to jakaś potworna pomyłka! Mój chłopiec. . . Zaraz, pan powiedział: „Wastakowie”? Pewnie po prostu nie potrafił powstrzymać tych dzikusów. . .

— Milady Eornis, dowódca odpowiada za czyny podwładnych jak za własne. Nie wiem jak to jest u elfów, ale tak jest u ludzi. . . Zresztą, powiedziałem to tylko po to, by wyraźnie pani zrozumiała: jeśli teraz nie dogadamy się co do ceny uwolnienia syna, to nie może on liczyć na konwencję o jeńcach wojennych. Po prostu oddadzą go w ręce rodzin tych, którzy mieli pecha trafić na „czyszczące” oddziały. . .

— Co. . . — spazmatycznie przełknęła ślinę — . . . powinnam zrobić?

— Najpierw muszę sprecyzować pani położenie w lorieńskiej hierarchii.

— A czy ono im nie jest znane?

— Ze słów Eloara, a on — musi się pani ze mną zgodzić — może po prostu podnosić swoją cenę jako zakładnika. Oni muszą wiedzieć jak pani jest potężna: klofoela — to ranga, czy specjalizacja, a może jeszcze coś innego? Jeśli zajmuje się pani jakimiś bzdurami, typu wychowywanie książąt czy przestrzeganie ceremoniału, to oni nie widzą sensu układania się z panią.

— Jestem klofoelą Świata.

— Aha. . . to znaczy, że w świecie Władczyni prowadzi pani sprawy dyplomacji, wywiadu i, szerzej, elfickiej ekspansji na Śródziemiu?

— Można i tak to określić. Zaspokaja pana stopień mojej potęgi?

— Całkowicie. . . Tak więc, do rzeczy. W jednym z kontrolowanych przez elfy gondorskich obozów pracy znajduje się pewien mordorski jeńiec. Zorganizuje mu pani ucieczkę, a w zamian otrzyma syna, i to wszystko. Wydaje mi się, że w temacie „zdrada swego narodu” może mieć pani czyste sumienie.

— Ale Lorien nigdy nie pójdzie na taką wymianę, ponieważ mowa jest o członku mordorskiej rodziny panującej?

— Nie będę komentował pani domysłów, milady Eornis, ponieważ sam nie za bardzo mam o tym pojęcie. Ale co do jednego ma pani rację: jeśli o naszych kontaktach dowie się choć jedna dusza w Lorien, nie uratuje pani głowy. No i, swemu synowi rzecz jasna też.

— Dobrze, zgadzam się. . . Ale najpierw chciałabym się upewnić, że Eloar żyje. Pierścień można zdjąć również z trupa.

— Oczywiście. Proszę się zapoznać z tym liścikiem. To był śliski moment, chociaż Grager o tym nie wiedział. A Haladdin gdyby zobaczył skamieniałą twarz elfijki, która wczytywała się w chwiejne, jakby napisane pijaną ręką runy — „Kochana mateńko żyję i traktują mnie dobrze” — od razu wiedziałaby: wszystko

w porządku, mistrz Haddami nie zawiódł, nie nadaremnie niemal cały dzień wcielił się w postać.

— Co oni mu zrobili, zwierzęta?!

— Według ich słów siedzi w podziemnym więzieniu, a to nie są parki Lorien — rozłożył ręce Grager. — I rzeczywiście, nie czuje się najlepiej. . .

— Co oni mu zrobili? — powtórzyła cicho. — Nie kiwnę palcem póki nie otrzymam gwarancji, jasne?! Przewrócę do góry nogami wszystkie obozy jenieckie. . .

— Ależ otrzyma pani swoje gwarancje, proszę się uspokoić! Nie po to urządzono cały ten cyrk z docieraniem do zakonspirowanej łączności, żeby teraz przerywać targi o wymianę, prawda? Zaproponowali nawet. . . — Grager zrobił efektowną pauzę: — Czy chce się pani z nim zobaczyć?

— On. . . on jest tutaj? — zawołała.

— No nie, zbyt wiele pani wymaga! Może go pani zobaczyć za pomocą Kamieni Jasnowidzenia. O godzinie, co do której możemy się zaraz umówić — powiedzmy. . . w południe pierwszego sierpnia, może być? Eloar podejdzie do mordorskiego palantira, a pani do swojego. . .

— U nas w Lorien nie ma Kamieni Jasnowidzenia — pokręciła głową Eornis.

— Oni to wiedzą — skinął głową Grager. — Żeby przyspieszyć sprawę są gotowi na jakiś czas oddać pani jeden ze swoich kryształów. Potem zwróci go pani razem z tym więźniem — nie ma pani odwrotu. Jednakże oni też żądają gwarancji: są sposoby na wykrycie palantira za pomocą innego — wy, elfy, wiecie to lepiej niż ja — a nie zamierzają oni odkrywać przed wrogiem rejonu, w którym przebywają, to jasne. Dlatego są dwa nieodwołalne żądania. Po pierwsze, przekazany pani kryształ będzie „oślepiony” nieprzenikliwym workiem i ustawiony wyłącznie na tryb „odbiór”. . . Przepraszam, milady, nic z tego nie rozumiem, po prostu powtarzam ich instrukcję jak papuga. Tak więc, wyjmuję pani palantir z worka i przestawi go na tryb „nadawanie” dopiero w południe pierwszego sierpnia. Jeśli odważy się pani zrobić to wcześniej, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają w mordorskich sekretnych kryjówkach, to proszę nie mieć do nikogo pretensji: jednym z obrazków, jaki pani zobaczy, będzie egzekucja Eloara. Czy to jasne?

— Tak.

— I po drugie. Oni wymagają, żeby w czasie seansu łączności znajdowała się pani daleko od Mordoru — w Lorien. . . Dlatego w południe pierwszego sierpnia, kiedy pani palantir zacznie działać jako nadajnik, oni chcą w nim zobaczyć coś, co przekona ich, że jest pani w Lorien, i nigdzie indziej. . . Chcą zobaczyć coś, co jest tylko w Lorien. . . Wie pani, w tym punkcie umowy dostali jakiegoś kręcka na punkcie podejrzliwości, tak że ponad pół godziny wybieraliśmy jakąś lorieńską cechę, która nie da się z niczym pomylić i której nie da się podrobić. I ktoś sobie przypomniał, że wasza Władczyni ma jakiś ogromny magiczny kryształ, ukazujący obrazki z przyszłości. „O! — ucieszyli się — to jest to, czego potrzebujemy!”

— Zwierciadło Galadrieli?!

— Inaczej go nazwali, ale chyba pani wie, o co chodzi.

— Ależ oni po prostu zwariowali! Dostęp do Zwierciadła Władczyni jest praktycznie niemożliwy. . .

— Dlaczegoż to „zwariowali”? Oni tak właśnie powiedzieli: „Oto, przy okazji, szansa pokazania swej prawdziwej władzy w układach Lorien”. W sumie tak: w południe pierwszego wyjmuję pani palantir z worka, przełącza go z „odbiór” na „nadawanie” i w tym momencie oni w Mordorze widzą w nim Zwierciadło Galadrieli. Potem odwrotne włączenie i pani widzi syna, żywego i zdrowego. . . No, stosunkowo zdrowego. Potem powiedzą pani kogo i z jakiego obozu należy wyciągnąć. Dalsze szczegóły operacji będzie pani prowadziła tylko przez palantir. Co się pani w tym nie podoba?

— Nie uda się nam — powiedziała zrezygnowanym głosem, a Grager od razu wychwycił to „nam”. Dobrze, wszystko idzie jak trzeba.

— Dlaczego?

— Bez wiedzy Gwiazdnej Rady do Lorien nie wolno wnieść żadnego magicznego przedmiotu. A palantir jest naładowany najmocniejszą z możliwych magią, ja po prostu nie mogę go przenieść przez warty na granicy.

— Tak, oni też słyszeli o tym zakazie. Ale czy to dotyczy również klofoeli Świata?

— Źle się orientujecie w lorieńskich porządkach — uśmiechnęła się krzywo.

— Zakaz dotyczy wszystkich, nawet Władczyni i Władcy. Straż graniczna podporządkowuje się tylko klofoelowi Pokoju — i nikomu więcej.

— Skoro problem leży tylko w straży granicznej, to będę rad usunąć ten niewielki problem, który wydaje się pani nie do rozwiązania — wyrachowanie niedbałym gestem uspokoił ją Grager. — Palantir zostanie pani przekazany w pani lorieńskiej stolicy, Karas Galadon.

— Jak to w Karas Galadon? — wykrztusiła oszołomiona i Grager wyczuł przez skórę, że coś poszło nie tak.

„Przestraszyłaś się — zrozumiał. — Po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia tej rozmowy wystraszyłaś się naprawdę. . . Niby dlaczego? Jasne — może szokować wiadomość, że w twojej stolicy agenci wroga potrafią wyczyniać rzeczy, które przekraczają nawet twoje możliwości, możliwości królewskiego ministra. Ale to coś innego: ten ruch zaskoczył cię. Wszystkie inne szczegóły naszej rozmowy, nawet otrzymanie pierścienia Eloara, w tym czy innym stopniu, przewidziałaś. . . przewidziałaś i zmontowałaś własną kontrgrę. Dlatego wszystko, z czym miałem do czynienia do tej chwili nie były twymi prawdziwymi uczuciami, a tym, co chciałaś mi zasugerować. Powinienem połapać się od razu: zbyt łatwo i szybko się złamałaś i dałaś się zwerbować, a przecież nie mogłaś nie rozumieć, że to właśnie jest werbowanie — do końca życia będziesz na haczyku, w końcu jesteśmy w jakimś sensie kolegami po fachu. Tak, oczywiście, syn znajduje się rękach wroga

i grozi mu męczeńska śmierć. Ale i tak: jest dworzanką, więc na drodze do swego klofoelskiego fotela, czy na czym tam oni zasiadają w tej swojej Gwiezdnej Radzie, musiała przejść przez taki kurs intryganctwa, że hej! Oczywiście decyduje Haladdin, ale ja bym na jego miejscu nie powierzył jej palantira, a nawet nożyka do owoców. Och, wykiwa cię ona przy wymianie, biedny konsyliarzu, jak dziecko, daję głowę. A może i nie wykiwa... w tym znaczeniu, że nie da rady. Ma chłop przecież swoje tuzy w rękawie: w jakiś sposób zamierza przekazać jej kryształ do Złotego Lasu — nie mam pojęcia, ale coś ma, to fakt”.

— Słuch pani nie zawiódł, milady Eornis, właśnie w Karas Galadon. W tym roku na pani barkach leży organizacja Święta Tańczących Świetlików, prawda?

**Las Lorien, Karas Galadon**  
**Noc z 22 na 23 lipca 3019 roku.**

Odbywające się w noc lipcowej pełni Święto Tańczących Świetlików, elfy uważają za jedno z najważniejszych, tak więc z tego, kto organizuje je w określonym roku, jako tako zorientowany Lorieńczyk może wyciągnąć poważne wnioski o prawdziwej sytuacji w „jak nigdy dotąd jednolitym” kierownictwie Lorien. Tu najdrobniejszy szczegół ma głęboki sens, ponieważ odzwierciedla niuanse bezlitosnej walki o władzę, jaka jest jedynym sensem życia nieśmiertelnych elfijskich hierarchów. Przy tym zupełnie niewinny detal, na przykład, kto reprezentuje podczas obchodów osobę Władcy — kuzyn w drugiej linii czy bratanek, może być znacznie ważniejsze niż chociażby wstrząs, jakiego doznali wszyscy, widząc dwa lata temu na święcie milorda Estebara — poprzedniego klofoela Mocy, który dziesięć lat wcześniej zniknął bez śladu wraz z innymi uczestnikami „Spisku Ke-rebranta”. Kilka godzin stał eksklofoel na talanie — obserwacyjnym pomoście korony mallornu — po lewej ręce od lorieńskich Władców, by potem ponownie zniknąć w niebycie. Twierdzono przy tym, choć szeptem i rozglądając się nerwowo na boki, że do podziemi pod Kurhanem Wielkiego Smutku prowadzili go nie podwładni klofoela Pokoju, a tancerki klofoeli Gwiazd... Dlaczego? Po co? „Tajemnica to wielka jest”.

Właściwie to słusznie: Władza, by była Władzą powinna być niepojęta i nieprzewidywalna — inaczej nie będzie to Władza, a zwykłe kierownictwo... Można tu przy okazji przypomnieć, jak w jednym z sąsiednich Światów obcy eksperci usiłowali przewidzieć wygibasy polityki pewnego potężnego i zagadkowego Mocarstwa: odnotowywali w jakim porządku zajmują podczas świąt swoje miejsca na grobie Założyciela tamtejsi hierarchowie, jakie są odstępstwa od alfabetycznego porządku podczas wyliczania ich imion i tak dalej. Eksperci byli kompetentni i mądrzy, ich wnioski głębokie i niewątpliwie logiczne, tyle tylko że nie mogli w swych niezawodnych przewidywaniach utrafić ani razu... Tak więc, jeśli wymienieni powyżej eksperci zaczęliby analizować sytuację podczas przygotowania do obchodów Święta Tańczących Świetlików 3019 roku Trzeciej Ery, to na pew-



no wymyśliliby coś takiego: „Ponieważ przygotowanie święta w tym roku po raz pierwszy powierzono klofoeli Świata, to należy to interpretować ów fakt tak, że w elfickim kierownictwie ekspansjoniści zdecydowanie górują nad izolacjonistami, i należy oczekiwać gwałtownie narastającej obecności elfów w kluczowych regionach Śródziemia. Niektórzy analitycy uważają, że u podstaw tej sytuacji leży brak podziału kompetencji w otoczeniu Władczyni, zatroskanej przesadnym umocnieniem pozycji klofoela Pokoju”. Najzabawniejsze jest to, że same z siebie te logiczne konstrukcje są może i słuszne, jak zresztą zawsze w tych pseudoanalizach...

Co do święta, to jest ono niezwykle piękne. Oczywiście, całe jego nietuzinkowe piękno dane jest odczuć w pełni tylko elfowi. Jednak z drugiej strony, jeśli trochę pomyśleć, człowiek to istota tak prymitywna i uboga, że wystarczają mu i te okruchy prawdziwej rozkoszy, które są zawsze na widoku... Mieszkańcy Lorien zbierają się tej nocy na talanach, tych nad Nimrodel. Z wysokości mallornowych koron otwiera się bajeczny widok na dolinę strumienia, gdzie w rosistych łągach otaczających smutne zakola — srebro z czernią, jak na gondorińskich grzywnach — rozsypują się kwiatostany jasnych świeczników — *fiali*. Sam nieboskłon w porównaniu z tym wspaniałym widokiem staje się matowym odbiciem w starym lustrze z polerowanego brązu — a tak, prawdę mówiąc, i jest: cały przebieg niebieskich światła nad Śródziemiem odzwierciedla tylko to, co się dzieje tej nocy nad brzegami Nimrodel. Zresztą śmiertelnik, jak już było powiedziane, postrzega tylko nędzną część uroczystości: rozkoszuje się niezmiennym od wieku rysunkiem gwiazd, ale magicznych wzorów, splatanych *fialami* tancerek — a właśnie taniec jest podstawą magii Pierworodnych — wzrok ludzki nie powinien widzieć. Rzadko kiedy mizerne odgłosy tego czarownego rytmu dolatują do świata ludzi poprzez olśnienia największych skaldów i muzykantów, na zawsze zatruwając przy tym ich dusze tęsknotą za nieosiągalną doskonałością.

Eornis, spełniając obowiązki klofoeli Świata, znajdowała się o tej północnej godzinie pośród „nieboskłonu”, akurat tam, gdzie siedem *fial* — sześć jasnych i siódma najjaśniejsza — tworzą na łągach Nimrodel kwiatostan Sierp Valarów, wskazujący ręką na Biegun Świata. Przebywała w pełnej samotności. Tancerki na czele z klofoelą Gwiazd — jedyne istoty, mające dostęp do „nieboskłonu” — dawno już oddaliły się pod korony mallornów; Eornis zaś bezskutecznie usiłowała odgadnąć jak baron Grager zdoła spełnić swą obietnicę: „O świecie, gdy rozwidni się, znajdzie pani worek z Kamieniem Jasnowidzenia w trawie obok tej *fiali*, która oznacza Gwiazdę Polarną w Sierpie Valarów”. Dostęp do „nieboskłonu” jest zakazany pod karą śmierci nawet elfom, nawet zwykłym klofoelom, i można nie obawiać się, że ktokolwiek znajdzie palantir wcześniej niż ona... Ale w jaki sposób przenikną tu owi mordorscy szpiedzy? Musi to być... musi to być któraś z tancerek? Nie, to zupełnie wykluczone — tancerka związana z wrogiem! Ha! A związana z wrogiem klofoela Świata — to co, możliwe?

„Ale ja nie jestem związana z wrogiem — sprzeciwiła się sama sobie — ja po prostu prowadzę swoją grę. Po prostu robię wszystko, by uratować swego chłopca, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, by spełniać warunki zaproponowanego przez nich interesu. . . Rano otrzymam palantir, w południe pierwszego sierpnia poznam imię następcy mordorskiego tronu, bo kto by to jeszcze mógł być, a już potem wymianę zakładników potrafię urządzić tak, by wszystko pozostało w moich rękach, na pewno! Oni, widocznie, nie znają jeszcze pełni możliwości elfów — no to poznają! Nie wiedzą z kim zadarli, robaki gnojowe!

Chociaż, nie takie to wszystko proste. . . Wygrywając tę grę, położę do stóp Władczyni palantir i głowę mordorskiego księcia. Wielkie zwycięstwo, i niech ktoś ośmieli się otworzyć usta — zwycięzców się nie sędzi. Ale jeśli mi się nie uda, albo po prostu nie da się doprowadzić gry do końca. . . Wtedy wszystko stanie się interesem z wrogiem, zwyczajną zdradą, a kłofael Pokoju oddałby prawą rękę, żeby móc oskarżyć mnie o to i wysłać do swoich podziemi pod Kurhanem Wielkiego Smutku. . . Jeśli będzie miał choć cień podejrzenia co do moich rozmów z Ithilieńczykami, Straż zacznie grzebać tak, jak tylko ona potrafi, a wtedy ze mną koniec. A przecież motywowałam przed Władczynią wizytę w Emyn Arnen właśnie tym, że „według informacji z Umbaru, ktoś w Lorien zaczyna grę z Aragornem, i niewykluczone, że ów ktoś to kłofael Pokoju”. Jeśli się dowie o naszej rozmowie — a dowie się na pewno — to nie pozostanie mu nic innego, jak śmiertelnie zdyskredytować mnie w oczach Władczyni, i będzie nad tym pracował uczciwie. . .”

„A może — nagle przemknęła myśl — wszystko to, poczynając od umbarskich wydarzeń, to po prostu wielostopniowa intryga kłofaela Pokoju, i palce Strażników zacisną się na moich ramionach, gdy tylko sięgnę po worek z kamieniem, udającym palantir? Czy Elandar i ci ithilieńscy baronowie pracują przeciwko mnie dla kłofaela Pokoju? Ależ nie, to bez sensu. . . Sama już boję się własnego cienia. Ale jak mogło dojść do tego, że ci ithilieńscy szpiegzy — wyraźnie za zgodą Faramira — grają w jednej drużynie z Mordorczykami? Cóż, to akurat jest proste: jako pośrednicy chcą odgryźć swój kęs — skompromitowaną przez współpracę z wrogiem elficką kłofaelę, z którą potem można będzie robić co się chce. . . Nawiasem mówiąc, tak by właśnie było gdyby mi przyszło do głowy spełnić ich warunki.

Trudno, jakkolwiek to zaplanowano, drogi odwrotu nie ma: uratuje mnie tylko zwycięstwo w trakcie „wymiany zakładników”. . . i nie tylko uratuje, a wzniesie jeszcze o stopień wyżej! A potem. . . Potem sama odnajdę tych, którzy położą dziś na Gwieździe Polarnej worek z Kamieniem Jasnowidzenia. Uczynię to sama, uruchomiwszy swoją służbę, wyprzedziwszy Straż, i przekażę ich Radzie: „Nasz niezrównany chroniący Pokój w ostatnim czasie tak się przejął wykrywaniem spisów, których wartość wszyscy znamy, że przespał istnienie w Karas Galadon prawdziwej szpiegowskiej siatki wroga. . . A może nawet nie przespał? Może nici

tej pajęczyny ciągną się dalej, niż ośmielam się przypuścić?” Od takiego ciosu nie otrząśnie się, jakkolwiek by go nie osłaniał Władca, to będzie czyste zwycięstwo — i Władczyni, i moje”.

\* \* \*

Tymczasem niewidzialny dla oka „Smok” Kumaja przemierzał nocne niebo Lorien wzdłuż matowo świecących światłem księżycy zakrętów Nimrodel. Zobaczywszy pośród doliny obficie rozsypane, mocno świecące błękitnawe ogniki, układające się w dość dokładną mapę gwiazdnego nieba, inżynier odetchnął i skierował szybowiec w dół: na razie wszystko szło zgodnie z planem. Odszukał wśród tych „gwiazdozbiorów” Kosz, który w tutejszych krajach nie wiadomo dlaczego nazywają Sierpem Valarów — jest, tam, gdzie powinien być, i Gwiazda Polarna na swoim miejscu. . . Ciekawe, z czego wykonane są te latarnie? Światło wyraźnie zimne — może to ta sama substancja, która świeci w próchni? Kosz błyskawicznie powiększał swoje rozmiary; Kumai wymacał pod nogami na dnie gondoli worek wyjęty poprzedniej nocy ze skrytki za romboidalnym kamieniem w tylnej ścianie kominka w Dol Guldur, i nagle zaklął przez zaciśnięte zęby. „Niech to licha! Nie powiedział mi, jakie są prawdziwe wymiary tej figury — jak mam teraz w tym mroku, ocenić swoją wysokość?”

Najpierw Haladdin po prostu prosił, by Kumai wyjął worek z kryjówki i rzucił go w czasie jutrzejszego treningowego lotu gdzieś nieopodal twierdzy — żeby mógł go znaleźć i zwiać. Ale potem konsyliarz nagle zamilkł w pół słowa i wykrztusił:

— Słuchaj, czy stąd możesz dolecieć do Lorien?

— Bez trudu. To znaczy, nie bez trudu, ale mogę.

— A w nocy?

— Tak naprawdę, to w nocy na takie odległości jeszcze nie latałem. . . Trudno się zorientować.

— A podczas księżycowej nocy? Na miejscu, które mnie interesuje będą naziemne punkty orientacyjne w postaci ognia?

— No, to łatwiej. Dlaczego pytasz, masz dokonać zwiadu z powietrza?

— Rozumiesz, przypomniałem sobie, jak zręcznie miotasz ze swojego szybowca pociski w naziemne cele. Takie coś trzeba by wykonać w Lorien. . .

Nocny lot umotywował Kumai przed swoimi przełożonymi w twierdzy znakomicie: zaproponował Grizzly’emu przeciwiczenie nocnego ataku.

— A to po co?

— Żeby móc ciskać zapalające pociski na obóz przeciwnika. Jeśli przez całą

noc przed bitwą zamiast spać, będą gasili płonące namioty, to rano wiele się nie nawojują.

— Hm. . . racja. Dobra, próbujcie, inżynierze.

Wystartował o zmierzchu — „Polatam trochę, póki jeszcze jasno” — wykonał szeroki skręt, by obserwatorzy z twierdzy stracili go z oczu, i dopiero wtedy wziął kurs na północny zachód; miejsce, w którym Nimrodel wpada do Anduiny wyszukał jeszcze przy świetle dziennym, reszta była sprawą prostą. . .

Kumai wyprostował palce i worek poleciał w dół, w oznakowaną „gwiazdami” ciemność. Po kilku sekundach dziób szybowca zakrył Gwiazdę Polarną Kosza; dobrze — jeśli tylko nie pomylił się co do wysokości, to cel trafiony.

— Co to jest, jakaś trucizna?

— Nie, to magia.

— Magia?! Nie macie co robić. . .

— Uwierz mi: elfom ten woreczek bardzo się nie spodoba.

— No, no. Kiedy sprawy idą kiepsko zawsze wszyscy uciekają od lekarzy do czarowników. . .

Dobra, swoje zadanie wykonał, a po co to komu — szefowie wiedzą lepiej. Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz. Teraz czas na skręt i powrotny kurs. Droga daleka, a wiatr coraz mocniejszy.

Wykonał zuchwały skręt nad sennymi wodami Nimrodel, ale nie uwzględnił jednej okoliczności: wysokości mallornów. Dokładnie zaś mówiąc, po prostu nie podejrzewał, że są na świecie tak wielkie drzewa.

I nastąpiło uderzenie, kiedy jedna z gałęzi niby leciutko dotknęła koniuszka skrzydła, od razu zmieniając szybowiec w wirujące uskrzydłone nasionko, podobne do tych, jakie mallorny jesienią ciskają garściami na dywan ze zwiędłych elanorów.

I nastąpiło drugie uderzenie, kiedy bezsilny oślepiiony „Smok” został rzucony w prawo, i wyrznięt w drugą koronę — z chrzęstem rozdarło się poszycie, pękł grzbiet i żebra konstrukcji nośnej.

I nastąpiło trzecie uderzenie, gdy wszystkie te fragmenty runęły wzdłuż pnia w dół, na wypełniony skamieniałymi elfami talan — niemal pod same stopy klofoela Pokoju.

Właściwie, Kumai w tym momencie już swoje zadanie wypełnił, tak że można by go było spokojnie wpisać w rubrykę „straty dopuszczalne”, filozoficznie wspomniawszy ową jajecznicę, jakiej nie da się usmażyć bez rozbijania jaj. Istniała jednakże jedna komplikująca wszystko okoliczność: troll, przy upadku mocno się potłukł, ale przeżył — a to, jak łatwo się domyślić, oznaczało potworną katastrofę.

# 61

**Gwiezdna Rada Lorien**  
**23 lipca 3019 roku Trzeciej Ery**

**KLOFOEL POKOJU:** Pośpiech zalecany jest przy łapaniu wszy i niespodziewanej biegunce, szacowny klofoelu Mocy. Tak więc, proszę mnie nie popełdzać. Trolle to naród uparty, żeby wyciągnąć z niego informację potrzebuję czasu, i to niemało.

**WŁADCZYNI:** Ile mianowicie czasu potrzebujesz, klofoelu Pokoju?

**KLOFOEL POKOJU:** Sądzę, że co najmniej trzy dni, o Jasna Władczyni.

**KLOFOEL MOCY:** On po prostu musi zatrudnić wszystkich nierobów spod Kurhanu Wielkiego Smutku, o Jaśni Władcy! Sprawa jest bzdurna — niech zastosuje swój „napój prawdy”, i po ćwierć godzinie to stworzenie wyłoży wszystko, co mu wiadomo.

**WŁADCA:** A rzeczywiście, klofoelu Pokoju, dlaczego nie miałbyś zastosować „napoju prawdy”?

**KLOFOEL POKOJU:** Czy mam rozumieć, że to polecenie, o Jasny Władco?

**WŁADCA:** Nie, nie, dlaczego od razu. . .

**KLOFOEL POKOJU:** Dziękuję, o Jasny Władco! Dziwna sprawa: gdybym ja pouczał klofoela Mocy, jak należy budować szyk łuczników w boju, a jak jazdy, uważałby to za obrazę i miałby rację. A w wykrywaniu przestępców nie wiadomo dlaczego znajdują się u nas wszyscy lepiej ode mnie!

**WŁADCA:** No po co tak od razu. . .

**KLOFOEL POKOJU:** Co do „napoju prawdy”, szacowny klofoelu Mocy, to przełamać z jego pomocą ludzki umysł to żaden problem. Na to, jak słusznie zauważono, wystarczy ćwierć godziny. Problem powstaje potem, jak z tej sterty chłamu, która wypada z tych połamanych mózgów wybrać coś istotnego, i — zapewniam — na oddzielenie ziaren od łusek zmitrężymy niejeden tydzień. Za pomocą „napoju prawdy” otrzymanie przyznania to drobiazg, ale my nie potrzebujemy przyznania, a informacji! A jeśli od pierwszego razu coś się nie uda, powstaną niejasności? Już po raz drugi nie zadamy pytania, przecież po zażyciu tego

napoju stanie się kretynem. . . Tak więc proszę pozwolić mi działać z wykorzystaniem tradycyjnych metod.

**WŁADCZYNI:** Wszystko świetnie pan wytłumaczył, klofoelu Pokoju, dziękuję. Mam pewność, że śledztwo znajduje się w niezawodnych rękach. Proszę tak postępować, jak uważa pan za słuszne. Tylko jeszcze jedna rzecz przysłała mi do głowy. . . „Mechaniczny smok” przyleciał do nas z zewnątrz, i dlatego w toku śledztwa mogą się ujawnić bardzo ciekawe niuanse, dotyczące nie tylko Zaczarowanych Lasów, ile samego Śródziemia. Jak pan uważa, Władco, może dobrze by było podłączyć do śledztwa klofoelę Świata? Lepiej się orientuje w tamtejszej specyfice. . .

**WŁADCA:** Tak, tak, to jest bardzo mądra decyzja! Prawda, klofoelu Pokoju?

**KLOFOEL POKOJU:** Nie odważę się komentować polecenia Jasnej Władczyni, o Jasny Władco. Ale czy nie prościej byłoby odsunąć mnie od tej roboty? Skoro nie cieszę się zaufaniem. . .

**WŁADCA:** Co też pan mówi, proszę nawet tak nie myśleć! Jestem bez pana jak bez rąk. . .

**WŁADCZYNI:** Powinniśmy myśleć nie o osobistych ambicjach, a o korzyściach Lorien, klofoelu Pokoju. Sprawa jest nadzwyczajna, a dwaj specjaliści to lepiej niż jeden. Nie zgadza się pan ze mną?

**KLOFOEL POKOJU:** Jakże tak można, o Jasna Władczyni!

**KLOFOELA ŚWIATA:** Pracować wraz za panem, dostojny klofoelu Pokoju, było zawsze moim marzeniem. Cała moja wiedza i umiejętności są do pełnej pańskiej dyspozycji i mam nadzieję, że nie okażą się zbędne.

**KLOFOEL POKOJU:** Ani przez moment w to nie wątpię, czcigodna klofoelo Świata.

**WŁADCZYNI:** Tak więc, ten problem mamy z głowy. Informujcie nas na bieżąco, klofoelu Pokoju. . . A o czym chciała powiadomić Radę klofoela Gwiazd?

**KLOFOELA GWIAZD:** Nie chciałabym was niepokoić nadaremnie, o Jaśni Władcy i czcigodni klofoele Rady, ale dziś przed świtem na nieboskłonie, jak mi się wydaje, zmianie uległ rysunek gwiazdozbiorów. Oznacza to zmiany w całym magicznym układzie Zaczarowanych Lasów. Pojawiła się tu jakaś magiczna moc i to bardzo silna. . . Za mojej pamięci takie coś wydarzyło się tylko raz — kiedy do Karas Galadon przywieziono Zwierciadło Władczyni.

**WŁADCZYNI:** A twoje tancerki nie mogły się pomylić, klofoelo Gwiazd?

**KLOFOELA GWIAZD:** Sama chciałabym w to wierzyć, o Jasna Władczyni. Dziś w nocy powtórzymy swój taniec.

\* \* \*

Kumai ocknął się wcześniej, niż oczekiwały tego elfy. Uniósł nafaszerowaną bólem głowę i popatrzył na śnieżnobiałe, podobne do porcelany ściany bez okien, z których ściekało na podłogę martwe, błękitnawe światło umocowanej nad drzwiami fiali. Nie pozostawiono mu żadnego ubrania. Prawy nadgarstek przy-mocowano łańcuchem do wąskiej, wmurowanej w podłogę leżanki. Dotknąwszy głowy, zaskoczony odsunął palce — głowa było wygolona, a długa, świeża blizna na skroni została wysmarowana czymś śmierdzącym i tłustym. Wolno odchylił się do tyłu i, przymknąwszy oczy, spazmatycznie przełknął grudę obrzydliwych suchych torsji. Już wszystko zrozumiał, i zaczął się bać jak nigdy dotąd w życiu. Oddałby wiele, za możliwość śmierci już teraz, zanim ci zaczną, ale przecież — niestety! — nie miał czego oddawać.

— Wstawaj, trollu! Patrzcie go, jak to się wyleguje, plemię Morgotha! Na tamten świat droga nie jest krótka, więc się zbieraj.

Elfów było troje — mężczyzna i kobieta w jednakowych srebrnych płaszczach, i z szacunkiem towarzyszący im pacholek w skórzanej kurtce. Pojawili się w celi zupełnie bezszelestnie, a poruszali się z jakąś nienaturalną lekkością, jak ogromne motyle, choć jednocześnie czuło się, że nie ustępują siłą trollowi. Elfijka bezceremonialnie przyjrzała się więźniowi i coś szepnęła do swego towarzysza — sądząc po jej uśmiešku, było to coś sprośnego — a wysłuchawszy jej, elf zmarszczył się z wyrzutem.

— Może sam coś chcesz opowiedzieć, trollu?

— Może i chcę. — Kumai usiadł, ostrożnie spuścił nogi z leżanki i teraz czekał, kiedy opadną zawroty głowy, by podjąć decyzję. Strach ustąpił sam, po prostu nie było już nań miejsca. — A co w zamian?

— W zamian?! — Taka bezczelność spowodowała, że elf na kilka sekund stracił dar mowy. — W zamian — lekka śmierć. Czy wydaje ci się może, że to mało?

— Mało. Lekką śmierć od dawna noszę przy sobie: serce, wie pan, chore... od dzieciństwa. Tak więc, nic nie wyjdzie z torturami — gdzie się zaczniesz, tam się skończy.

— Pięknie kłamiesz — srebrzyście roześmiał się elf. — Interesująco.

— No to próbuj — wzruszył ramionami Kumai. — Oberwiesz od przełożonych za zmarłego podczas śledztwa szpiega. A może nie?

— Przełożeni to właśnie my, trollu... — Elf w płaszczu usiadł na taborecie przyniesionym przez „skórzanego”. — Ale słuchamy cię z zainteresowaniem, co dalej...

Co tu jest do kłamania? On swoją sytuację rozumie, nie jest dzieckiem. Ale

nie jest też tępym fanatykiem i nie zamierza ginąć za wszystkie te fantomy — ojczyzna, przysięga — zupełnie nie zamierza. Bo niby, po co? Dowództwo wysłała cię do boju, a samo tłuste tyłki wygrzewa, wilczyśka obrzydliwe... Opowie wszystko, co wie, a wie sporo: przecież wypełniał zadania specjalne dowództwa i wcześniej, i teraz. Ale — nie za darmo. Za życie, a dla was to drobiazg. Niech w podziemnym więzieniu, jako niewolnik w kopalniach ołowiu, oślepiiony i pozbawiony męskich cech — byle pozostać przy życiu!

— No to opowiadaj, trollu. Jeśli opowiesz prawdę i prawda ta nas zainteresuje... Wtedy znajdziemy ci pracę w naszych kopalniach. Jak pani sądzi, miłady Eornis?

— Oczywiście! Dlaczego rzeczywiście nie zostawić go przy życiu?

Tak więc, nazywa się Chmurka (raczej nie powinien się zaplatać... tak rzeczywiście wołali nań w dzieciństwie — Sońka, zaraza, wymyśliła i przyczepiło się, aż do Uniwersytetu — Chmurka i Chmurka), stopień — inżynier drugiego stopnia, ostatnie miejsce służby — oddział partyzancki... Induna (pamiętam, był taki dziaduś-dmuchawiec, prowadził wykłady z optyki na drugim roku). Baza oddziału — wąwóz Cagancab w Górach Popielnych (to ojцова kopalnia, tamtejsze okolice sama przyroda stworzyła do wojny partyzanckiej, nie może być, żeby nie było tam Ruchu Oporu... A i tak nic sensownego z marszu nie skomponuje). Wczoraj... zaraz, jaki dziś jest dzień? No tak, proszę o wybaczenie, tu pytania zadajecie wy... Tak więc rankiem dwudziestego drugiego otrzymał zadanie — miał polecieć do Lorien, żeby wypatrzeć położenie świeczników w dolinie rzeki Nimrodel; jemu osobiście wydaje się, że cały ten pomysł to całkowita bzdura, po prostu dowództwo dostało świra z rozpaczy, ciągle o jakąś mistykę zahacza. Nie, tym razem zadanie dał nie Indun. Wcześniej nigdy tego człowieka nie widział, wydaje się, że jest z wywiadu, pseudo — Szakal... Cechy? Niewysoki, skośne oczy — z rodu orokuenów, krótka mała blizna nad lewą brwią... Nie, na pewno nad lewą.

— To jest bardzo naiwne, trollu. Nie nazywam cię Chmurką, ponieważ to imię jest takim samym kłamstwem, jak i cała twoja opowieść. Wiesz co, są dwie złote reguły postępowania podczas śledztwa: unikać kłamstwa i niepotrzebnych szczegółów, a ty złamałeś obie... Powiedz mi, sterniku „mechanicznego smoka”, jaki tego dnia wiał wiatr — chodzi o siłę i kierunek?

No i koniec... Ale kto mógł pomyśleć, że ten elf zna się na lataniu? Zresztą Kumai, plotąc te bzdury, nie przestawał przygotowywać dla rozmówców pewnej niespodzianki: przyjęta przez trolla usłużnie uniżona pozycja pozwoliła mu podciągnąć pod siebie nogi. I teraz, rozumiejąc, że gra i tak skończona, niczym zwolniona sprężyna runął do przodu, usiłując lewą ręką, tą nieprzykłą, sięgnąć elfa w srebrzyście-czarnym płaszczu. I chyba sięgnąłby go, gdyby nie popełnił kolejnego błędu: trafił spojrzeniem na wzrok elfa, a tego w żaden sposób nie należało robić...



Klofoel Pokoju rozdrażnionym machnięciem ręki powstrzymał „skórzanego”, który niczym jastrząb rzucił się do skamieniałego trolla — co się teraz szarpiesz, gapo? — i odwrócił się do swojej rozmówczynie:

— Czy nadal pani chce zostać sam na sam z tym urodziwym chłopcem, milady Eornis? Nie rozmyśliła się pani?

— Wręcz przeciwnie! Jest zachwycający — zwierzę, prawdziwe zwierzę!

— Ach, bestyjka z pani. . . Wie pani co? Proszę go sobie zabrać, skoro tak się pani spodobały jego męskie cechy! Ale nie wcześniej, niż po tym, jak my z nim popracujemy. Bo jeszcze, odpukać, rozstanie się z życiem w pani objęciach — może wszak zdarzyć się coś takiego — i zabierze ze sobą do grobu to, co mu wiadomo. . . Przecież taki koniec zasmuciłby panią nie mniej niż mnie, czy nie tak?

## 62

— Nie śpij! — „skórzany”, stojący za taboretom Kumaja, kopnął inżyniera w ściegna pięty i ból natychmiast przywołał go z tego błogosławionego stanu zapomnienia.

— Skąd leciałeś, trollu? Jakie masz zadanie? — Pytania zadaje inny, ten zza stołu. Pracują razem: jeden zadaje pytania, te same, godzina po godzinie, drugi tylko kopie z tyłu w pięty, gdy tylko Kumai się podnosi, albo upuszcza żeliwną z niewyspania głowę. Niby nie uderza mocno, ale w to samo dokładnie miejsce, i po kilkudziesięciu uderzeniach ból staje się nieznośny, wszystkie myśli dotyczą tylko jednego — jak uniknąć kolejnego kopniaka, który i tak nieuchronnie nastąpi. . . Kumai natomiast nie miał złudzeń: to nawet jeszcze nie jest początek, nie zajęli się nim jeszcze na poważnie, ograniczyli się tylko do tego, że nie dają pić i spać.

O tym, co będzie dalej — kiedy w końcu zrozumieją, że po dobroci niczego z niego nie wyciągną — Kumai zabronił sobie nawet myśleć. Po prostu postanowił: trzymać się ile można, i przynajmniej dać choć trochę czasu Grizzly’emu i Rosomakowi — ludzie sprytni, może zrozumieją, co i jak, i potrafią uchronić przed uderzeniem „Zbrojny klasztor”. Przypomniawszy sobie, że przed lotem został w pracowni na schematach, trasę na ujście Nimrodel, i miał teraz nadzieję, że ludzie z wywiadu połączą jego zniknięcie z tą marszrutą. . . „Ale skąd będą wiedzieli, że nie zginął, a trafił żywy w ręce elfów? A zresztą, co mogą zrobić, nawet jeśli się domyślą. Ewakuować Dol Guldur, czy co? Nie wiem. . . Olśnienia i cuda to domena Jedynego, a ja mogę tylko się trzymać i mieć nadzieję”.

— Nie spać! — tym razem ten od tyłu chyba przesadził i jego kopniak naprawdę pozbawił Kumaja przytomności. Kiedy zaś inżynier ocknął się, przy stole zamiast „skórzanego” zasiadał ten pierwszy, elf w srebrno-czarnym płaszczu.

— Nie mówiono ci, trollu, że masz nieprawdopodobne szczęście? Stracił rachubę czasu już dawno temu; ostre światło, odbijając się od ścian, wyżerało łązwiące z powodu bezsenności oczy, i pod powiekami uzbierało się po całej garści rozżarzonego żwiru. Zmrużył oczy i, nie zdoławszy się utrzymać, zapadł ponownie w senną otchłań. . . Przywrócono go do przytomności nie za pomocą uderzenia, a można by rzec, że dość uprzejmie — potrząsali za ramię. Widocznie coś

naprawdę zmieniło się w tym ich elfickim rozdaniu. . .

— Tak więc, kontynuuję. Nie wiem, kto polecił ci przylecieć na to zadanie w mordorskim mundurze, ale nasi prawnicy — oby zapadli się w Odwiecznym Ogniu! — uznali nagle, że z tego powodu powinno się ciebie uważać nie za szpiega, a jeńca wojennego. A według praw waszego Śródziemia jeńca wojennego chroni konwencja: nie wolno go zmuszać do złamania przysięgi wojskowej, i tym podobne. — Elf poszperał w papierach leżących na stole, i, wyszukawszy odpowiedni punkt, z wyraźnym niezadowoleniem stuknął weń palcem: — Jak rozumiem, chcą ciebie na kogoś wymienić. Podpisz się tu i idź spać.

— Nie jestem piśmienny — rozkleił zapieczone wargi Kumai.

— „Niepiśmienny sternik mechanicznego smoka”. A to dobre. . . No to przyłóż tu palec.

— Akurat.

— No to, niech cię licha: zrobię adnotację „odmówił podpisania” i koniec zabawy. . . Te papiery i tak nie są nikomu do szczęścia potrzebne, chyba, że twoim dowódcom — jeśli naprawdę dojdzie do wymiany. Kropka, wolny. . . w tym znaczeniu, że — odprowadzić aresztowanego! Chociaż przepraszam, sir, już pan nie jest aresztantem, a jeńcem wojennym. . .

A gdy „skórzani” wyprowadzali inżyniera na korytarz, klofoel Pokoju rzucił za nim:

— Szczęśliwy twój bóg, trollu: za kilka godzin zająłbym się tobą na poważnie, i. . . Po co leciałeś do nas, do Lorien, co?

Uwierzył w swoje zwycięstwo dopiero, gdy zobaczył na stoliku celi porcję elfickich sucharów, a najważniejsze — dzban lodowatej wody: gliniane ścianki omotane srebrzystą pajęczynką spelzającą w dół w postaci dużych drżących kropel. Woda miała słaby słodkawy posmak, ale nie wyczuł go: człowiek, pozbawiony napoju przez kilka dni nie potrafi tego wyczuć.

I nadszedł sen, cudowny i lekki, jak zawsze po zwycięstwie. Pachniało domem — starym drewnem i cudowną skórą, ojcowską fajką i jeszcze czymś, co nie ma nazwy; mama bezszelestnie krzątała się w kuchni, i, ukradkiem wycierając łzy, przygotowywała jego ulubioną czarną fasolę, a Sonia z Halikiem — beztroscy, przedwojenni — na przemian wypytywali go o przygody, a to, każdy takie rzeczy wie, nie jest byle co. . .

Więc, szczęśliwie uśmiechając się, zaczął z nimi we śnie rozmawiać.

Dobrze, gdyby tylko rozmawiał, bo przecież tak naprawdę to po prostu odpowiadał na pytania, które zadawał jakiś równy, usypiający głos.

W Dol Guldur uznano go za zaginionego: „Najprawdopodobniej, w czasie swego ostatniego treningowego lotu, odbywanego w porze nocy, źle obliczył wysokość i uderzył w drzewa. Poszukiwania ciała i szczątków aparatu latającego w okolicach zamku nie dały jak na razie pozytywnych rezultatów”. Nazajutrz Grizzly zgodnie z instrukcją opieczetował papiery inżyniera, w tym mapy lotów,

i wysłał je do Minas Tirith, do lokalu sztabowego operacji „Feanor”, nie przyglądając się im.

\* \* \*

### **Gwiezdna Rada Lorien** **25 lipca 3019 roku Trzeciej Ery**

**KLOFOEL POKOJU:** Tak więc, jak widać zupełnie dobrze można obejść się bez tortur, i kruszącego mózg „napoju prawdy”.

**WŁADCZYNI:** Jest pan prawdziwym mistrzem swego zawodu, klofoelu Pokoju. I co udało się panu wyjaśnić?

**KLOFOEL POKOJU:** Imię „sternika smoka” — Kumai, tytuł — inżynier drugiego stopnia. Przyleciał, jak przypuszczaliśmy z Dol Guldur. Sądząc z jego opowieści, powstało tam prawdziwe gniazdo żmij — zbiegli mordorscy konstruktorzy tworzą pod skrzydłami swojej służby wywiadowczej nowe bronie. Prawdziwym celem lotu było zrzucenie z polecenia Kapituły Nazguli na nimrodelski „nieboskłon” worka z jakimś magicznym przedmiotem, przeznaczenie którego jest mu nieznane. Należy sądzić, że dostojna klofoela Gwiazd i jej tancerki wyczuły właśnie tę magię. Moi strażnicy rozpoczęli poszukiwania w dolinie Nimrodel, ale przedmiotu tego nie udało się odnaleźć: worek ktoś zdążył zabrać. W związku z tym, o Jaśni Władcy... proszę zrozumieć mnie dobrze... Nalegam... raz jeszcze proszę mnie dobrze zrozumieć... na odsunięcie od śledztwa dostojnej klofoeli Świata.

**WŁADCZYNI:** Nazywajmy rzeczy po imieniu, klofoelu Pokoju. Uważasz, że klofoela Świata w jakiś sposób weszła w kontakty z wrogiem, i zrzucony z przestworzy przedmiot przeznaczony był dla niej?

**KLOFOEL POKOJU:** Nie powiedziałem tego, o Jasna Władczyni. Jednakże dostęp do „nieboskłonu” mają tylko tancerki i klofoela Świata. Gdyby zrzucony przez trolla przedmiot znajdował się na „nieboskłonie” podczas tańca świetlików, to na pewno by go wyczuły, a po ich odejściu nad rzeką została tylko dostojna klofoela Świata...

**WŁADCZYNI:** A czy nie mogły owego „mordorskiego worka” znaleźć te elfy, które rankiem zbierają *fiale*? I zabrać ze sobą, po prostu nie wiedząc, co zabierają?

**KLOFOEL POKOJU:** W zasadzie mogły, o Jasna Władczyni — moi Strażnicy już sprawdzają tę wersję. Dlatego proszę tylko czasowo, do wyjaśnienia, od-

sunąć klofoelę Świata od śledztwa dotyczącego sprawy „mordorskiego worka” — i nic więcej.

**WŁADCA:** Tak, to się nazywa racjonalna ostrożność, czy nie tak?

**WŁADCZYNI:** Jak zwykle masz rację, Władco. Jednakże, skoro dopuszczamy bezpośrednią zdradę klofoeli, to dlaczego nie mielibyśmy założyć, że tancerki, zawiązawszy spisek w swoich szeregach, odnalazły tej nocy worek i zabrały go w jakimś sobie tylko znanym celu? Wtedy stanie się jasne, dlaczego nie potrafiły wywęszyć w Karas Galadon źródła, wytwarzającego tak mocne magiczne tło...

**KLOFOELA GWIAZD:** Jak mam rozumieć twe słowa, a Jasna Władczyni? Oskarżasz mnie o spisek?!

**WŁADCA:** Właśnie, właśnie, Władczyni, przyznam, że jakoś straciłem wątek twych rozważań... Czyżby możliwy był taki koszmar jak spisek? Przecież one są zdolne...

**WŁADCZYNI:** Ależ nie ma żadnego „spisku tancerek”, uspokój się, Władco! Korzystam tylko z przykładu. Skoro podejrzani są wszyscy — więc niech będą wszyscy bez wyjątków... Zresztą, według mnie, pora wysłuchać klofoeli Świata.

**KLOFOELA ŚWIATA:** Dziękuję ci, o Jasna Władczyni. Przede wszystkim, jakkolwiek dziwnie to brzmi, chciałabym wystąpić w obronie dostojnej klofoeli Gwiazd. Zarzucano jej, że nie potrafi odnaleźć w Karas Galadon źródła potężnej magii? Jednak pozwolę sobie zauważyć, że postawione przed nią zadanie podobne jest do szukania zeszłorocznego śniegu.

**WŁADCZYNI:** Mogłabyś wyrażać się jaśniej, klofoelo Świata?

**KLOFOELA ŚWIATA:** Podporządkuję się, o Jasna Władczyni! Dostojny klofoel Pokoju, nie wiadomo dlaczego mówi o magicznym przedmiocie zrzuconym na „nieboskłon”, a następnie odebrany i wyniesiony stamtąd, jak o niezachwianie pewnym fakcie...

**KLOFOEL POKOJU:** Ponieważ jest to niezbity fakt, dostojna klofoelo Świata. Podczas przesłuchania trolla byliśmy obecni nie tylko my. Jego zeznania mogą potwierdzić co najmniej trzech niezależni świadkowie.

**KLOFOELA ŚWIATA:** Zawodzi pana pamięć, dostojny klofoelu Pokoju; pamięć i przyzwyczajenie do dostrzegania wszędzie spisków. Troll, wszakże, powiedział, że zrzucił na „nieboskłon” worek, o zawartości którego dokładnie nic nie wiadomo. Dlaczego, właściwie, szukacie przedmiotu materialnego. Czy nie mógł to być błotny ogień, czy inne niematerialne świństwo, które po prostu stopniało pod wpływem promieni słońca, skażając okolicę? Zresztą, nie zamierzam dyskutować o magicznych technikach w obecności dostojnej klofoeli Gwiazd...

**KLOFOELA GWIAZD:** Wydaje mi się ta interpretacja zupełnie prawdopodobna, dostojna klofoelo Świata. W każdym razie o wiele prawdopodobniejsza niż spisek tancerek.

**WŁADCZYNI:** Chcesz przekazać nam coś jeszcze w związku ze śledztwem, klofoelo Świata?

**KLOFOELA ŚWIATA:** Na pewno, o Jaśni Władcy! Wielce czcigodny klofoel Pokoju jest przekonany, że Dol Guldur, skąd przyleciał „smok”, jest kontrolowany przez Mordor, ale ja doszłam do innych wniosków. . . Co do Nazguli, które jakoby inspirowały zadanie trolla, to wierutna bzdura. Wszyscy wszak wiemy, że Czarna Kapituła od dawna nie istnieje. A historia tego Kumaja jest bardzo interesująca. Trafił do niewoli na Polach Pelennoru i potem, jak należało oczekiwać, gnił w kamieniołomach Mindolluiny, póki nie zorganizowano mu ucieczki — właśnie jako specjalisty od „mechanicznych smoków”. Troll jest do tej chwili święcie przekonany, że wyciągnął go z obozu rodzimy mordorski wywiad, ale, jak mi się wydaje, biedak został po prostu wykiwany. Świta królowej Arweny ma powody przypuszczać, że do wszystkich tych ucieczek konstruktorów z mindolluińskiej katorgi przyłożył ręce nie kto inny, jak Jego Królewska Mość Elesar Kamień Elfów, któremu marzy się posiadanie wielu bojowych technologii. Według danych Arweny, król utworzył w tym celu specjalną supertajną służbę, szkielek której opiera się na martwiakach, wojownikach przywróconych do życia za pośrednictwem Zaklęcia Cienia. O tych stworach wiadomo niewiele, a z tego niewiele przede wszystkim to, że wszyscy noszą imiona wzięte od drapieżników. Jak sądzi wielce czcigodny klofoel Pokoju, dlaczego troll, komponując z marszu swoją naiwną legendę, w której z boku niejako wystąpił „agent mordorskiego wywiadu”, nazwał go „Szakal”? Po prostu dlatego, że wszyscy „mordorscy wywiadowcy”, z którymi miał do czynienia w Dol Guldur, nosili „zwierzęce” imiona! Tak więc, nie mam wątpliwości, że Dol Guldur kontrolowana jest przez Straż Aragorna, i „smok” był wysłany tu właśnie przez nią. A z tej okoliczności należy wyprowadzić takie oto pytanie do wielce czcigodnego klofoela Pokoju: O czym, ciekawa jestem, ponad dwie godziny rozmawiał w cztery oczy z Aragornem — pamiętacie, wtedy, podczas jego styczniowej wizyty w Karas Galadon?

**KLOFOEL POKOJU:** Przepraszam, ale rozmawiając z nim wykonywałem wolę Jasnych Władców!

**WŁADCZYNI:** Widzisz, Władco, jakie ciekawe rzeczy się odkrywają, kiedy informacja dociera nie z jednego, ale z dwóch niezależnych i, powiedzmy to sobie szczerze, niespecjalnie przyjaznych sobie źródeł?

**WŁADCA:** Tak, tak, co racja to racja! Tylko ja, szczerze mówiąc, trochę się już zgubiłem. . . Przecież to, że klofoel Pokoju jest związany z tymi. . . martwiakami. . . to przecież żart, prawda?

**WŁADCZYNI:** Ja również chciałabym, żeby to było tylko kiepskim żartem. Tak więc, naszym pierwszym zadaniem jest zniszczyć Dol Guldur, przy tym dokończyć tego natychmiast, póki się nie opamiętali. . .

**KLOFOEL MOCY:** O Jasna Władczyni, wypalę do cna to gniazdo żmij!

**WŁADCZYNI:** Jak mi się wydaje, „wypalaliście” je już do spółki z Władcą, nie dalej jak trzy miesiące temu. . . Nie, nie. Mam co do was inne plany — znacznie poważniejsze. Dol Guldur tym razem zajmę się sama: należy raz na zawsze

zburzyć jego mury — wtedy może coś z tego wyjdzie. Prócz tego, bardzo bym chciała dostać żywego któregoś z tych Aragornowych „zwierzątek”... Ilu ludzi obsadza tę dekoracyjną twierdzę, klofoelu Pokoju?

**KLOFOEL POKOJU:** Kilkudziesięciu, o Jasna Władczyni, mogę to sprecyzować...

**WŁADCZYNI:** Nie trzeba. Proszę przekazać pod moje dowództwo tysiąc wojowników, klofoelu Mocy: występuję natychmiast. A wy wszyscy... Klofoel Pokoju i Świata niech kontynuują swoje śledztwo w poprzednim trybie — widzę, że ich wspólne działanie przynosi znakomite rezultaty, tak trzymać! Tancerki i klofoela Gwiazd kontynuują poszukiwania rzuconego na Karas Galadon magicznego przedmiotu, ale tylko razem ze Strażnikami, bo jeszcze kogoś skusi, by zająć się badaniem jego magicznych właściwości w pojedynkę... A ty, klofoelu Mocy, zostajesz w Karas Galadon jako mój zastępca i pilnujesz ich wszystkich: przecież to dzieci, naprawdę dzieci i jeszcze wzniecą pożar, kiedy mamy nie ma w domu... Klofoel Pokoju na przykład nie powinien bawić się w żołnierzyki ze swymi ulubionymi pogranicznikami, klofoela Gwiazd nie musi wdzięczyć się przed moim Zwierciadłem, klofoela Świata... Jednym słowem — rozumiesz mnie, klofoelu Mocy?

**KLOFOEL MOCY:** Jak nie mam rozumieć, o Jasna Pani! Ja ich, tych intrygantów, widzę na wylot!

**WŁADCA:** A co ze mną, Władczyni?

**WŁADCZYNI:** A ty Władco, jak zwykle masz reprezentować sobą Najwyższą Władzę Lorien: pokazywać się narodowi, podpisywać rozporządzenia, i całą resztę.

## 63

### **Mroczna Puszcza, na południe od twierdzy Dol Guldur 31 lipca 3019 roku**

Nie zanosiło się, by deszcz miał się kiedyś skończyć. Oto już trzeci dzień w powietrzu wisiała zimna, absolutnie jesienna mżawka; kiedy w chmurach grzmiało, wydawało się, że ze zwisającego niemal do ziemi materaca ktoś leniwie wytrzepuje wodny pył. Strumyk, do którego podeszła prowadzona przez Grizzly'ego kolumna, stał się wielką rzeką, turlającą po płycznach niewielkie kamienie. Póki szóstka żołnierzy męczyła się z uruchomieniem przeprawy linowej, bo tylko tak można było przeprowadzić rannych, pozostali zamarli na brzegu, i lodowate strumyki spływające po utrudzonych twarzach i zmieniające przepocone mundury w lodowate kompresy, wolno, ale nieubłaganie rozmywały ten istniejący jeszcze, niewielki zapas bojowego ducha. Koszmarnie się nałożyło — ucieczka, brak ruchu i dreszcze...

Grizzly patrzył na poziomą strunę, pod którą bezwładnie wisiał na dwóch uprzężach, piersiowej i biodrowej, pierwszy z grona ciężko rannych; patrzył na rozlewisko, gdzie, spieniając kawowego koloru wodę, walczyli z nurtem przepływającym się jeźdźcy. Na jego skamieniałym obliczu rysowały się mięśnie. Tak wyszło — jak brak szczęścia to brak szczęścia. Nie liczył, że straci niemal godzinę na forsowanie tej „przepluwanki”, a elfy i tak depczą im po piętach... Większa część jego żołnierzy w tej chwili rozpaczliwie broniła się w otoczonym Dol Guldur, mając do wykonania tylko jedno zadanie — odciągnąć na siebie główne siły atakującej od przedwczoraj armii elfów. Grizzly natomiast, cudem przeprowadziwszy kolumnę oddanych mu pod opiekę mordorskich i isengardzkich konstruktorów przez nie zamknięty jeszcze szczelnie pierścień okrażenia, z najwyższą możliwą prędkością prowadził ją na południe, wzdłuż Traktu. On z kolei, odciągał pościg elfów od uciekającego w pojedynkę Rosomaka, który unosił w swoim plecaku dokumentację „Zbrojnego klasztoru” — tę, której nie udało się przekazać w poprzednich sztafetach.

Cały plan Grizzly'ego oparty był na założeniu, że w pościg za nimi elfy rzucą



stosunkowo niewielkie siły, które można będzie odeprzeć, połączywszy się z oddziałami Aragorna, strzegącymi odcinka Traktu biegnącego przez Brunatne Pola przed prawdziwymi Mordorczykami. I wszystko szło nie tak znowu źle, póki nie uderzyli nosami w ten przekłęty strumyk. . . Czas, czas! Grizzly zamarł, ukrywając się za omszałym pniem mroczno-leśnej jodły, i oczekiwał w każdej chwili, że przez deszczowy półmrok przemknie niesłyszalny cień w szaro-zielonym maskującym płaszczu. . . Zresztą, najpewniej niczego nie dojrzy, a ostatnim jego wrażeniem z życia stanie się krótki świst elfickiej strzały.

— Panie poruczniku! — z tyłu wyrósł jeden z podwładnych. — Przeprawa chronionych osób i stanu osobowego zakończona. Pańska kolej.

„Szybko się uwinęliśmy” — pogratulował sobie Grizzly i nagle zamarł, obrzucając nowym, w najwyższym stopniu uważnym spojrzeniem, rozszalałą rzeczkę i zdradliwie śliskie, wypolerowane przez deszcz i nurt głązy na jej brzegach. — No, trzymajcie się teraz, Pierworodni! Wspomnicie moje słowa — odbijemy sobie straty z nadwyżką”.

— Kapralu!

— Słucham, panie poruczniku?

— Ile mamy stalowych kusz?

\* \* \*

Elficki setnik, lord Ereborn ze swoim oddziałem, dotarł do rzeczki jakieś pół godziny po tym, jak kolumna Grizzly’ego roztajała w zasłonie dżdżu na drugim jej brzegu. Przez dziesięć minut elficcy obserwatorzy badali przeciwny brzeg z ukrycia pod drzewami. Nic. Potem ochotnik Edoret, z przywiązaniem na plecach mieczem ostrożnie wszedł do wody i, w każdej sekundzie oczekując świstu strzały, zaczął posuwać się naprzód, lawirując między grzywaczami i wirami. Kiedy woda sięgnęła mu do połowy bioder, został przewrócony i rzeka poniosła go. Jednak elf pływał jak wydra i, szczęśliwie uniknąwszy uderzeń o głązy, dotarł do cichego miejsca na drugim brzegu, gdzie wśród sterzących z wody gałęzi wierzb oblepionych mokrymi trawiastymi pakułami sterzały czapy gąbczastej żółtej piany. Edoret wyszedł z wody, pomachał do swoich i zatrzymał się, oceniając jak by tu lepiej przeskoczyć na przybrzeżne głązy, nie skrećiwszy sobie przy tym karku na mokrych kamieniach. Obserwatorzy odetchnęli i opuścili łuki — chyba się udało. Regulamin wszystkich armii w każdym ze Światów każe w takiej sytuacji dać czas na zbadanie okolicy, jednakże Ereborn, spiesząc się ze schwytem zdobyczy przed zmierzchem, postanowił zaoszczędzić czasu. Podporządkowując się machnięciu ręki setnika, pięcioro elfów ruszyło do przodu, powtarzając drogę

Edoreta.

Gdy weszły do wody mniej więcej po kolana, nad rzeką rozległ się trzask błękitnego drozda, a na ten sygnał z przeciwległego brzegu wypuszczona została salwa bełtów. Troje elfów zostało zabitych na miejscu albo, ciężko ranni, zachłysłni się i zostali porwani przez nurt; czwarty, z rozwaloną w drzazgi kością barku, wydostał się na ląd i dokuśtykał do drzew. Najgorszy jednak los spotkał piątego, który został przy samym brzegu — bełt ugodził go w brzuch i, przeszedłszy przez jelita, utknął w kręgosłupie. Dla uwięzionego na wrogim brzegu Edoreta czas jakby się zatrzymał: przez krótką jak mgnienie oka chwilę widział ukrytych na stoku kuszników i nawet policzył ich — sześciu. Trzeźwo oszacował, ile potrzebuje czasu, żeby uwolnić swój sprytnie przymocowany miecz i dobiec do wrogów, co rusz ślizgając się na mokrych głazach. . . Po czym podjął jedyną słuszną decyzję: wskoczył do rzeki i, zanurzony, z głową ponad powierzchnią, pozwolił, by prąd uniósł go z niebezpiecznego miejsca. Jeden ścigający go bełt tylko skrzesał na lakierowanym czubku sterzącego z wody głazu śmierdzącą mokrym pierzem iskrę, natychmiast zatartą przez deszcz.

Lord Ereborn był, co się zowie, „młodzieńcem z dobrej rodziny”; nie dysponował ani talentami dowódcy, ani nawet nabytym w bitwach żołnierskim doświadczeniem, ale odwagi i miłości własnej było w nim dużo. Niebezpieczna to mieszanka. . . Szybko określił, że mają do czynienia nie z tyłami dościgniętej kolumny, a z grupką strzelców, osłaniających wycofywanie sił głównych, i postanowił zagrać *va banque*, wykorzystując wadę kuszy — niską wydajność: kilka strzałów na minutę przeciwko dwóm tuzinom z łuku. Zaatakowali czołowo. Ereborn uniósł nad głowę rodzinny miecz, Smoczy Szpon, po dwakroć zatrąbił w róg i, wzbijając fontanny bryzg, zamasyżycie wkroczył w potok. Miał na sobie zbroję z gondolińskiej „gąbczastej stali”, niemal nie ustępującej w twardości mithrilowi, tak więc zupełnie się nie bał wycelowanych weń z tamtego brzegu strzał. Pomylił się.

Chwilę potem dokładnie zrozumiał różnicę między znanymi mu dotychczas angmarskimi myśliwskimi kuszami i stalową kuszą nowej generacji, mającej na cięciwie naciąg tysiąca dwustu funtów. Trzyuncjowy przeciwpancerne bełt wpił się Erebornowi w dolną prawą część piersi z szybkością osiemdziesięciu jardów na sekundę. Ogniwa gondolińskiej kolczugi z honorem wytrzymały ten test, nie pozwalając trójgraniastemu żądłu strzały wpić się we wnętrzości elfa, jednak uderzenie o sile pół tony w okolice wątroby i tak każdego pozbawi tchu. Mignęła wśród tych grzywaczy blada twarz w srebrzystym hełmie, wciągnęło pod wodę szarfę z maskującej peleryny — i zniknęły na zawsze: stara zbroja stała się balastem. . . A młodego ordynansa, który rzucił się na pomoc, bełt trafił dokładnie w środek czoła.

I atak „zachłysłnął się”. Owszem, gdyby to byli ludzie — czy to dzikusy Haradrimowie, czy rycerze Rohanu, czy umbarska piechota morska — przy tak wi-

docznej przewadze liczebnej po prostu rzuciliby się do ataku wszyscy i, wybrukowawszy przekłety bród swoimi trupami, w ciągu kilku chwil wyrzneliby w pień rzadki łańcuch obrońców. Ale nie elfy. Zbyt wysoka jest cena życia Pierworodnego, by tak wyklądać nim brzegi nieznannej rzeczki w Mroczej Puszczy. Właściwie, to przyszły tu one nie walczyć, a polować, niech nawet będzie to niebezpieczna zwierzyna — a z takim nastawieniem nie wlezie wojsko ani na drabinę obłęzniczą, ani do wody na ostrzeliwanym brzegu... Zabierając zabitych i rannych, elfy wycofały się pod osłonę drzew, by stamtąd zasypać gradem strzał pozycje przeciwnika. Jednakże okazało się, że wymiana ognia również nie odbywa się prawidłowo — to znaczy nie idzie po myśli Pierworodnych. Problemem stał się wielodniowy deszcz: cięciwy elfickich łuków zamokły całkowicie i strzały leciały niemrawo, a co najważniejsze — zupełnie nie dało się prowadzić celnego ostrzału. Natomiast bełty wojowników Dol Guldur raz po raz znajdowały dla siebie zdobycz — zaiste, tworamí Morgotha są te kusze!

Przyszło im wycofać się głębiej do lasu, pozostawiwszy nad brzegiem tylko dobrze zamaskowanych obserwatorów. Sir Tarankwil, który przejął dowództwo po Erebornie, policzył ułożone szeregiem ciała, nad którymi krążyły już, nie wiadomo skąd pojawiające się czarne motyle — nawet deszcz im nie przeszkadza! — w myślach dodał jeszcze tych czworo, uniesionych przez nurt i, zgrzytnąwszy zębami, przysięgł w duchu na komnaty Valarów, że ci kusznicy, czy to orokueni, czy ktokolwiek inny — bez różnicy, zapłacą tak, że nie policzą tego za taniochę. Niech się Władczyni wypcha z tym swoim: „Wziąć choć kilku żywcem”. Nieco później wrócił wysłany przez niego zwiad, i przyniesione wieści były tak samo ponure, jak i wszystkie wydarzenia poprzedniej godziny. Okazało się, że po obu stronach ścieżki zaczynają się obszerne wiatrołomy — domena olbrzymich mrówek. Od przodu wiatrołomy otwierają się na rzekę, tak że pomysł Tarankwila — wysłać część sił w górę i dół rzeki, by rozciągnąć i tak rzadki łańcuch obrońców — nie uda się zrealizować.

— A może wrócimy i nadłożymy drogi? Na jakim odcinku ciągną się zwały drzew?

— Nie mam pojęcia, sir! Sprawdzić?

— Odwołuję!

Nie było już czasu na takie wędrówki — i tak strasznie dużo go zmarnowano, a niedługo zmierzchną. . . Cóż, nie ma rady, trzeba wyprowadzić frontalny atak.

Zresztą, „frontalny”, nie znaczy „na łeb, na szyję”. Sir Tarankwil był dowódcą niezrównanie bardziej doświadczonym niż jego poprzednik, i odważnie włączyć do wody, bawiąc się w żywą tarczę, wcale nie zamierzał. Jego wojownicy ponownie skoncentrowali się za drzewami przy brodzie, i raz jeszcze zaczął się pojedynek strzelców. Różnica polegała na tym, że elfy zmieniły cięciwy na suche, a i deszcz do tego czasu nieco ucichł. Teraz ich strzały w końcu leciały jak trzeba — i elfy, niewątpliwie najlepší strzelcy Śródziemia, pokazały, na co ich stać. . . Mordorscy

kusznicy strzelali z pozycji leżącej, kryjąc się za kamieniami — tak więc ciał zastrzelonych nie dało się zobaczyć, ale Tarankwil był przekonany, że w szeregach wroga z szóstki zostało co najwyżej dwóch. Dopiero wtedy, wycisnąwszy wszystko, co się dało ze swojej przewagi w gęstości ostrzału, wydał rozkaz ataku... A z przeciwnego brzegu uderzyła salwa — nierówna i niecelna, ale ponownie z sześciu kusz. Co to za sztuczki Morgotha. Dotarło do nich wsparcie, czy jak?!

## 64

W tym momencie ostrzał z tamtego brzegu się skończył, a nad kamieniami pojawiła się jakaś szmata przywiązana do pochwy miecza. Elficy łucznicy zdążyli już poczęstować tę konstrukcję pięcioma strzałami, gdy w końcu Tarankwil opamiętał się i polecił:

— Wstrzymać ostrzał! — potem, już ciszej, uzupełnił:

— Na razie wstrzymać. Poddają się, czy co? No, ciekawym. . .

Szmata majtała jeszcze chwilę, a potem zamiast niej ukazał się oczom zdumionych elfów zwiadowca Edoret — żywy i zdrowy, z mieczem w ręku:

— Chodźcie tu, szybko!

— A gdzie reszta? — zapytał sir Tarankwil, obejrzawszy wnętrze tej naturalnej fortyfikacji: kusz w „strzelnicach” było sześć, a trupy tylko dwa — oba w mordorskich mundurach bez naszywek i dystynkcji; choć zabici byli, sądząc po pyskach to nie orokueni; jednemu strzała sterczała z oczodołu, drugiemu połowę czaszki ściał miecz Edoreta.

— Nie mam pojęcia, sir — odpowiedział zwiadowca, odrywając usta od manierki, podanej przez któregoś z towarzyszy, i z niezadowoleniem przerywając swą opowieść, jak to on, wspierany, jak się wydaje, przez samych Ulmo i Orome, zdołał wydostać się na wrogi brzeg jakieś trzysta jardów poniżej przeprawy, bezszelestnie podkraść się przez las i rzucił na wroga z tyłu. — Najpierw było ich tu sześciu, na pewno, ale kiedy ja się tu przekradłem, to był tu tylko jeden ptaszek. — Edoret wskazał na zabitego mieczem. — To on strzelał ze wszystkich kusz po kolei. . . Sądzę, sir, że reszta zdołała uciec, i tak skończyły im się bełty. Czy zaczynamy pościg?

\* \* \*

Kiedy kolumnę Grizzly’ego dogonił jeździec od przeprawy (niebawem nagroda dla pierwszego rannego w tej potyczce — od razu pogalopować do swoich

z raportem), stali na krótkim popasie na obszernym wrzosowym pustkowiu, jakich wiele na granicy Mrocznej Puszczy i Brunatnych Pól. Porucznik w milczeniu wysłuchał meldunku, i oblicze jego, po raz pierwszy od trzech dni, nieco pojaśniało — na razie idzie tak, jak to sobie zaplanował. To znaczy, że elfy w pościg za nimi nie wysłały sił głównych — te, widocznie, poważnie ugrzęzły pod Dol Guldur — a ze stu łowców... A trochę jeszcze wystrzelają ich kusznicy na tej rozjuszonej rzeczce, zaiste — nie wiadomo nigdy, co się na dobre odwróci! „Ale najważniejsze, jeśli moi chłopcy wytrzymają jeszcze kilka godzin, a wytrzymają, w co nie wątpię, to jeszcze przed nocą zdążymy połączyć się z ludźmi Jego Królewskiej Mości: do nich już na pewno dotarły sztafety i forsownym marszem idą nam na pomoc. Trzymajcie się teraz, Pierworodni! Czy naprawdę udało się uciec?

Ciekawe, gdzie teraz zorganizujemy nowy „Zbrojny klasztor” — może rzeczywiście, w Mordorze? Chociaż, co ja gadam: po bezpośredniej ingerencji gondorskiej armii przejrzą na oczy nawet największe barany z grona tych jajogłowych... A z drugiej strony, może to i lepiej. Gdzie oni się teraz mogą podziąć? „Wszak, bracia, ileś tam już czasu uczciwie służycie wrogowi, jeśli chcecie przekazać was teraz do swoich z odpowiednimi wyjaśnieniami? Ach, nie chcecie?” Będą wykuwali dla nas „Broń Zemsty” jak nie! Zresztą to też sprawa przyszłości, i nie ma co teraz mącić sobie w głowie. Na razie mam inne zadanie — dostarczyć oddane mi pod opiekę osoby całe i zdrowe, a potem niech się martwi szefostwo. Kto by pomyślał, że największym skarbem państwa staną się ci Dżaheddin i jemu podobni... Co prawda, ja też bez pracy nie zostanę — tych ludzi trzeba pilnować jak oka w głowie.

Potrafili przecież, spryciarze, zrobić z tych głupich latających „kropel” prawdziwą broń! Niby to, że dokładność trafienia „kropli” wyraźnie wzrasta, jeśli nada się jej w locie ruch wirowy — wymyślili to od razu — ale zmusić ten nieszczęsny dzban, żeby obracał się wzdłuż podłużnej osi? Mocowali różne spiralne skrzydełka, coś jak opierzenie strzały — bzdury z rury... Ale ktoś przypomniał sobie „Ogniste koło”: mieli tam, w Barad-Dur, taki rodzaj fajerwerku — lekka obręcz na osi, obracana przez umocowane na niej, na stycznej, cylindry z ognistą mieszanką. I proszę — połączyli tę zabawkę z „kroplą”: wykonali w ściankach tam, gdzie ognista struga wylatuje przez wąskie gardło kilka skośnych kanałów, coś jak wewnętrzny gwint, i od razu zawirował ten „latający dzban” tak, że aż miło...

Właśnie opis tego urządzenia wynosi teraz we własnym plecaku samotnie przedzierający się przez Mroczną Puszcze Rosomak. Uda mu się, chłop ma doświadczenie. Las jest dla niego jak rodzinny dom, powinien dojść. W umówionym miejscu na brzegu Anduiny znajdzie w wiklinie czółno z zapasem prowiantu — i w drogę. Do Minas Tirith daleko, płynąć mu przyjdzie tylko po nocach, ale w tym przypadku pośpiech już nie jest wskazany... Tak więc, jeśli nawet my nie dojdziemy, to i tak Jego Królewska Mość otrzyma jeszcze jedną nową broń — i to jaką!”

Rozmyślania Grizzly'ego przerwał obserwator:

— Panie komendancie! Tam, z przodu, jakiś jeździec pędzi co sił! Kiedy porucznik przyjrzał się jeźdźcowi na czele kolumny, najpierw po prostu nie uwierzył własnym oczom, a potem jego usta rozciągnęły się w zupełnie nieregularnym uśmiechu: oto najprawdziwszy ojciec — dowódca, osobiście przyprowadził pomoc, nie powierzył tego nikomu...

— Czołem, panie kapitanie!

— Spocznijcie, poruczniku — krótko machnął ręką Gepard. Zarówno cała jego szara peleryna — czy aby nie ta sama, w której maszerowali wtedy po Polach Pelelloru? — jak i zajędzony wierzchowiec, wszystko było zachlapane błotem z drogi. — Zajmujcie pozycje obronne, elfy będą tu za kwadrans.

— Ilu ich?

— Około dwustu. Wylądowały przedwczoraj na północy Brunatnych Pól, przecięły Trakt i ruszyły nam na spotkanie.

— Jasne — mruknął Grizzly wyraźnie przypomniawszy sobie, jak dziesięć minut temu pozwolił sobie na niewybaczalne rozluźnienie, otrzymawszy depeszę od przeprawy: „No, chyba się przedarliśmy”... Ech, trzeba było w jakąś kłodę odpukać — może we własny łeb, na przykład.

— Widzi pan przecież, kapitanie, ilu mam ludzi... Nie przetrzymamy do nadejścia głównych sił.

— O czym pan mówi, poruczniku? Jakie „siły główne”? Ich tu nie ma i nie będzie...

— A pan? — wykrztusił Grizzly.

— Ja, jak pan widzi, jestem tu — wzruszył ramionami kapitan, i przez ten ruch przez moment przypominał zwykłego cywila.

— Więc to znaczy, że po prostu nas porzucili...

— Co też pan, poruczniku — „porzuci-ili” — ironicznie przeciągnął Gepard. — Nie porzucili, a złożyli w ofierze w imię Wyższych Państwowych Interesów. Tak samo jak i my, odnotujmy to, obeszliliśmy się z obrońcami Dol Guldur. „Składając małą ofiarę zyskujemy dużo”, prawda? Krótko mówiąc, w Minas Tirith uznano, że występować przeciwko elfom „miecz przeciwko mieczowi” jest w obecnej chwili niepolitycznie i odwołano z Traktu całe wojsko, starannie niszcząc całą tamtejszą infrastrukturę. „Co, co? Dol Guldur? Jaki znów Dol Guldur. W życiu nic o tym nie wiedziałem...” — powiedzą.

— A panu, jak rozumiem, bardzo się nie spodobała ta decyzja, panie kapitanie...

— Ja, jak pan widzi, jestem tu — wyraźnie powtórzył szef grupy „Feanor”.

— Bo przecież w naszej służbie nie przewiduje się takiego komfortu, jak raport o dymisji...

— E-elfy-y-y!!! — rozległ się od przodu krzyk, przepełniony nawet nie strachem, ale jakąś śmiertelną trwogą.

— Hej tam, bez paniki! — ryknął Gepard; wskoczył w siodło, uniósł się w strzemionach, i, wznosząc ku deszczowemu niebu wąski elficki miecz (no tak, to ten z Pól Pelennoru!), wydał rozkaz: — Formujcie romb, poruczniku! Jazda na prawe skrzydło!

Może i dodał coś jeszcze, coś „historycznego” — może coś jak owo słynne, wygłoszone w podobnych okolicznościach nad piaszczystymi barchanami jednego z sąsiednich Światów: „Osły i uczeni — do środka!” Ale, jakkolwiek tam było, słowa te nie trafiły już do szkolnych podręczników Śródziemia. Do nadciągającego szeregu elfów było zbyt daleko, więc nic nie usłyszały, a z tych, którzy zajmowali obronę obok Geparda, żaden nie dożył świtu pierwszego sierpnia.

Tak stały sprawy.



**Las Lorien, Karas Galadon  
1 sierpnia 3019 roku**

Zebrali się w Sali Błękitnej galadońskiego pałacu o bladym świcie — po naleganiach klofoeli Gwiazd. Ranek tego dnia był wybitnie jesienny — szklisty i zimny, jak woda w leśnym źródle, tak więc dreszcze, jakie wstrząsały milady Eornis, dla postronnego oka niewidoczne, mogły być wywołane właśnie przez pogodę. W każdym razie, tak wołała je interpretować. „Co to nagle wpadło do głowy tej Władczyni Gwiazd? Wielki Eru, czyżby jej tancerki znalazły jednak ukryty przeze mnie palantir? No, może nie znalazły, ponieważ to niemożliwe, a wyczuły, gdzie jest... Ja i tak mam większy problem: jak w południe przedostać się do Zwierciadła, nieustannie strzeżonego przez ludzi klofoela Mocy. Nie rozwiąże się sam, a pomysłów nadal nie mam”.

Już od tygodnia wszyscy wiedzieli, że należy szukać właśnie przedmiotu materialnego — wersja o błotnym ogniu, podrzucona przez klofoelę Świata, została uczciwie sprawdzona i naturalnie nie potwierdziła się. Zaczęły się więc metodyczne poszukiwania. Kiedy mówi się, że tancerki klofoeli Gwiazd „wywacują źródła magii”, to jest to dość dokładny opis: naprawdę pracują na podobieństwo psów, idących górnym tropem. Przez wszystkie te dni pogrążone w transie dziewczyny krążyły po Karas Galadon, przenikając przestrzeń między wystawionymi przed siebie dłońmi — ni to poszukiwanie przyczajonej w opadłych liściach słomki, ni to dziecinna zabawa w „ciepło zimno”. Na razie ciągle było „zimno”. Magiczny przedmiot wyraźnie był gdzieś w pobliżu, ale nie dawał się odnaleźć. Jak przewidziała Eornis: od samego początku obawiała się nie tyle magii tancerek, co Strażników klofoela Pokoju z ich banalną policyjną metodą. Zresztą, ich śledztwo również utknęło w martwym punkcie.

Niebezpieczeństwo podkrađło się do klofoeli Świata od zupełnie niespodziewanej strony. Klofoel Mocy, którego Władczyni zostawiła „na gospodarstwie” w czasie swojej ekspedycji karnej do Mrocznej Puszczy (a mogła tak naprawdę polegać tylko właśnie na tym zupaku, który nigdy nie bawił się we własne gry), przejawiał „gorliwość ponad własny rozum”. Jego podwładni zastąpili ochro-

nę Pałacu Galadon, i pewnego pięknego dnia oszołomione klofoele i klofoelowie odkryli, że po prostu nie dopuszcza się ich do Sali Błękitnej na posiedzenie Rady, a wszystkie usiłowania osiągnięcia porozumienia z tymi bęcwałami rozbijały się o żeliwne: „Nie było rozkazu!” Nieporozumienie — wiadomo — zostało wyjaśnione, jednakże stało się jasne, że od tej chwili, aż do powrotu Władczyni, porządki w pałacu ustanawiać będzie klofoel Mocy — według własnego widzi mi się. A ponieważ Władczyni wprost zakazała podczas swej nieobecności dostępu do Zwierciadła klofoeli Gwiazd, co było dość rozumnym środkiem ostrożności, to po prostu zamknął wejście do Księżycowej Wieży, gdzie przechowywany był magiczny kryształ, przed wszystkimi klofoelami. „Może to mała przesada, ale kaszy masłem się nie zepsuje...” Tak więc jeśli w ciągu kilku dzielących ją od południa godzin nie znajdzie sposobu pokonania tej przeszkody, to cały, szczegółowo opracowany plan na nic się nie zda, a wtedy Eloara nic już nie uratuje...

— Jak tam wasze poszukiwania, wielce czcigodna klofoelo Gwiazd? — z uprzejmą obojętnością doinformowywała się Eornis, póki zajmowali miejsca dokoła stołu Rady.

— Nijak. Powód zebrania jest znaczenie poważniejszy... Zdziwiona Eornis skierowała wzrok na Władczynię magicznych żywiołów Złotego Lasu: ta wyglądała na chorą, a głos jej brzmiał dziwnie martwo. Tak, wygląda, że sprawa jest najpoważniejsza z najpoważniejszych.

— Nie będę was trudziła szczegółowym opisem magicznych rytuałów, wielce czcigodni klofoele Rady i ty, o Jasny Władco, gdyż mamy zbyt mało czasu... A, być może, nie mamy go wcale. Krótko mówiąc, i ja, i tancerki od mniej więcej tygodnia odczuwamy dziwne pulsacje tego magicznego pola, które generuje Zwierciadło. Najpierw były to lekkie drgania, potem przekształciły się w prawdziwe drgawki, a wczoraj wieczorem spazmy te ułożyły się w dość określony rytm — w najwyższym stopniu nieprzyjemny... Proszę mi powiedzieć, czy wy nic takiego nie odczuwacie?

— Ja odczuwam! — niespodziewanie przerwała wiszącą nad stołem ciszę klofoela Pamięci, i nie wiadomo co bardziej wstrząsnęło zebranymi — samo oświadczenie klofoeli Gwiazd, czy ta niesłychana niesubordynacja: formalnie niby wszyscy są tu równi, ale nigdy jeszcze „maluśkim” — wszystkim tym pałacowym bibliotekarzom, mamkom-niańkom i mistrzom ceremonii — nie przyszło do głowy wtrącić się do dyskusji Władców i „Wielkiej Czwórki”. — Dokładnie tak jak powiedziałaś, wielce czcigodna klofoelo Gwiazd! Nie miałam tylko pojęcia, że to z powodu Zwierciadła...

„Skąd mogłaś wiedzieć, szara myszko — pomyślała rozdrażniona Eornis. — O czym ty w ogóle masz pojęcie, poza swoimi zakurzonymi rękopisami z Berliandu i głupimi sagami... Ale ja też jestem głupia! Jak mogłam nie połączyć tych drgań ze Zwierciadłem? Oto źródło moich dreszczy... Inna sprawa, czy warto przyznawać się teraz do tego i łać w ten sposób wodę na młyn tej gwiazdnej

szmaty... Chyba warto, i nawet pójdę dalej”.

— Sądzę, że wielce czcigodna klofoela Pamięci wykazała się niemałym męstwem, otwarcie mówiąc o tym, co odczuwamy my wszyscy, ale obawiamy się powiedzieć to głośno. Uczucie, jakie dominuje nad nami to silny lęk bez powodu, czy nie tak, wielce czcigodni członkowie Rady?

— Może niektóre panienki i odczuwają „silny lęk bez powodu”, ale ja osobiście ni diabła tam się nie boję, klofoelo Świata! I nie potrzebujemy tu, wiecie... .

— Dziękuję, wielce czcigodny klofoelu Mocy, uwzględniliśmy wasze osobiste zdanie. Pozostali członkowie Rady, jak rozumiem, podzielają to, co powiedziała klofoela Świata. — Klofoela Gwiazd lekko skłoniła głowę w stronę Eornis. — Ale nasz strach wcale nie jest „lękiem bez powodu”. Chodzi o to, że Zwierciadło... . Jak by to wyjaśnić... . Jest w pewnym sensie żywe. A tworzony przez nie kołyszący rytm — ten, który teraz odczuwacie — dobrze jest znany w magicznych praktykach: to jest rytm skurczy porodowych, ale na odwrót... . Straszliwa rzecz. Zwierciadło przeczuwa swój koniec, a wraz z nim śmierć całego naszego świata... . Przeczuwa i usiłuje tym krzykiem powiadomić nas, rozumiecie? A ciała niebieskie nad Lorien jakby zupełnie zwariowały... .

— Czy nie może to być jakoś związane z owym magicznym przedmiotem, którego wciąż nie mogą odnaleźć wasze tancerki? — wychylił się do przodu klofoel Pokoju.

— Może — pochmurnie skinęła głową klofoela Gwiazd; wyraźnie nie zamierzała rozwijać tego tematu, i nawet nie wtrąciła czegoś jak: „Wasi Strażnicy, nawiasem mówiąc, również nie mają lepszych wyników”.

— Zaraz, jak mamy rozumieć: „Śmierć całego naszego świata”? — wtrącił się Władca.

„Patrzejcie! Obudził się, w końcu, nasz król-ostojka... .”

— Tak właśnie mamy rozumieć, o Jasny Władco: był i nie ma. I nas wszystkich też.

— Więc zróbcie coś! Klofoelo Gwiazd! I ty też, klofoelu Pokoju! Ja... . Rozkazuję wam! Jako Władca... .

Na twarzach członków „Wielkiej Czwórki” wyraźnie odbiło się: „I co my byśmy robili bez twoich rozkazów, królu nasz... .” Klofoela Gwiazd wymieniła spojrzenia z klofoelami Świata i Pokoju, zerknęła na klofoela Mocy, i powiedziała:

— Na początek, o Jasny Władco, muszę zobaczyć Zwierciadło na własne oczy — i to teraz, bez zwłoki.

— No tak, to się rozumie! Proszę tam pójść, natychmiast... . „No i koniec — pomyślała zrozpaczona klofoela Świata, wpatrując się w grę odcieni zieleni w szmaragdzie swego pierścienia. — Nie mam żadnych kontrargumentów na jej propozycję. Znakomicie rozegrała swoje asy i cała Rada, wraz z tym marazmatykiem, jest po jej stronie”.

W tej samej chwili jednakże nad stołem pojawiła się postać w lśniącej zbroi,

przypominająca gabarytami i subtelnością rysów oblicza kamienne idole strzegące dolnego biegu Anduiny. Póki Eornis zastanawiała się — czy klofoel Mocy zdejmuje kiedykolwiek swój hełm i mithrilową kolczugę (choćby, gdy uprawia miłość), ten z żołnierską prostotą wypowiedział się o panikarzach i cywilach. On, na przykład, nie odczuwa żadnych złowieszczych rytmów. A i skąd klofoeli Gwiazd, jak i jej tancerkom, znany jest ów „rytm porodowych skurczów”? Wszak są one u nas, jakoby dziewczicami. . . Krótko mówiąc, on ma prosty rozkaz Władczyni: nie dopuszczać klofoeli Gwiazd do Zwierciadła, i próby złamania tego zakazu będą rozpatrywane jako bunt — ze wszystkimi z tego wynikającymi konsekwencjami. . . A co pan myślał, o Jasny Władco?

— Tak, tak — wymamrotał Władca Lorien. Nieunikniony gniew Władczyni przeraził go bardziej, niż hipotetyczny koniec Świata. — Lepiej poczekajmy na Jej powrót z wyprawy do Dol Guldur. . .

— Opamiętaj się, Jasny Władco! — Zaskoczona Eornis wpiła spojrzenie w mówiącą te niebywałe słowa klofoelę Pamięci. Biedaczka chyba zatraciła poczucie realności. — Nasz Świat zapada się w przepaść, i jeśli ktoś może go uratować, to tylko klofoela Gwiazd, a ten hełmem połyskujący bałwan uparł się przestrzegać instrukcji, otrzymanej w zamierzchłych czasach! Dobra, pal go lichu — czego można się spodziewać od istoty wyposażonej w odlew z brązu zamiast mózgu, ale wy wszyscy. . . Wielki Eru, czy nawet teraz, na krawędzi zguby, nie możecie się wznieść ponad swoje groszowe intrygi?

I Eornis nagle zrozumiała, że ta książkowa myszka tylko wypowiedziała głośno to, co myśli tuzin „malusieńkich” klofoeli, a, jak się okazało po sekundzie, nie tylko oni. Dlatego, że na spotkanie klofoelowi Mocy, który w szale poderwał się na równe nogi, odrzuciwszy fotel, już zmierzał miękkim tygrysim krokiem klofoel Pokoju — ręka na rękojeści miecza, a na ustach uśmiezek, który mógł zamrozić Odwieczny Ogień.

— Coś tu wspomniałeś wcześniej o buncie, wielce czcigodny klofoelu Mocy. . . To ciekawy pomysł, nie uważa pan, o Jasny Władco?

— No, tego. . . to jest. . . — żałośnie bąknął Władca i od razu się przymknął. „Malusieńcy” już odsunęli się pod ściany, i. . .

— Stać!!! — Klofoela Świata doznała olśnienia: wszystkie elementy miotającej się po jej umyśle łamigłówki ustawiły się w odpowiednim porządku. Jedynym możliwym. — Mówię do pana, klofoelu Mocy!

Zapewne nikogo innego nie posłuchałby, jednakże klofoela Świata we wszystkich intrygach ostatnich lat niezmiennie stawała po stronie Władczyni — stąd miała nań pewien wpływ.

— Jasna Władczyni rzeczywiście wspomniała — żartując, na pewno żartując — że klofoela Gwiazd nie powinna mizdrzyć się przed Zwierciadłem. Ale przecież nie zabraniała dostępu do kryształu wszystkim innym klofoelom. Zgadzasz się ze mną, wielce czcigodny klofoelu Mocy?

— To, niby, tak. . .

— No, widzicie! Więc postanowione: wykonując wolę Rady, wejdę do Księżycowej Wieży. . . Oczywiście, moich magicznych zdolności nie można porównywać z talentami wielce czcigodnej klofoeli Gwiazd, ale wieści, w jakim jest stanie Zwierciadło chyba mogę przynieść?

— A czy przynajmniej wyobrażasz sobie, wielce czcigodna klofoelo Świata — pokiwała głową klofoela Gwiazd — jak niebezpieczne jest wpatrywanie się w Zwierciadło przez osobę, która nie jest chroniona przez moje, jak się wyraziłaś, magiczne talenta?

— Ja nie mam zamiaru wpatrywać się w Zwierciadło: aż tak daleko moje poświęcenie nie sięga. . . — roześmiała się Eornis. — Jasna Władczyni, jeśli mi wiadomo, ma zwyczaj wykorzystywania w tym celu gości Lorien z grona ludzi: ci przecież i tak są śmiertelni — trochę wcześniej, trochę później. . . Mamy akurat pod ręką jednego — ten latający troll. Nie został, mam nadzieję, zlikwidowany, wielce czcigodny klofoelu Pokoju?

— Na razie nie. Trzeba by go tylko doprowadzić do stanu używalności: kiedy biedak zapoznał się ze swymi zeznaniami rozpadł się na kawałki — najpierw usiłował skończyć ze sobą, a potem wpadł w całkowitą apatię. . .

— To nam nie przeszkadza. Czyli jeszcze przed południem przekaże mi go pan do dyspozycji, jesteście umówieni?

— Tak, umówieni. Tylko wie pani co, wielce czcigodna klofoelo Świata. . . Jakieś mam niedobre przeczucia co do pani bezpieczeństwa: troll to troll — istota dzika, nieprzewidywalna, jak coś nie pójdzie jak trzeba. . . Jednym słowem, do Księżycowej Wieży wejdziemy we troje — pani, on i ja. Tak będzie bezpieczniej.

— Jestem wzruszona pańską troską, wielce czcigodny klofoelu Pokoju.

— Nie trzeba mi dziękować, wielce czcigodna klofoelo Świata.

## 66

Księżycowej Wieży strzegli wartownicy klofoela Mocy; minęli ich, gdy słońce już zbliżało się do zenitu. Wąskie spiralne schody pokonywali gęsiego. Klofoel Pokoju wchodził jako pierwszy, lekko i elastycznie stąpając co dwa stopnie. Idącego za nim trolla, w rzeczywistości wcale się nie obawiał i nawet nie skuł go kajdankami — ograniczył się tylko do nałożenia Zaklęcia Pajęczyny. Zamykała pochód Eornis, jeszcze raz sprawdzająca w umyśle szczegóły swego planu. Szansa na powodzenie istniała, ale była nikczemnie mała, a co najgorsze — wszystko zależało nie od jej zdolności, a od niewyobrażalnej liczby okoliczności... Cóż, w każdym przypadku, ich wieloletnia rozgrywka z klofoelem Pokoju zbliża się do finału, i z powrotem z wieży sądzone jest wyjść tylko jednemu z nich, a komu — to już zależy od tego, jak się rozłożą atuty...

Najwyższe pomieszczenie Księżycowej Wieży było okrągłym pokojem o średnicy mniej więcej dziesięciu jardów. Jedyłą jego ozdobą było Zwierciadło: kryształ osadzono w oprawie z mithrilu, posiadającej gięte, wysokie na półtorej stopy nóżki, przez co cała konstrukcja przypominała niewielki stolik. Sześć strzelistych okien ukazywało wspaniałe widoki na Karas Galadon. „Zabawne — odnotowała Eornis — ten troll — nie wiadomo, czy nie jest jedynym człowiekiem, który zobaczy prawdziwą panoramę elfickiej stolicy, ale nikomu już o tym nie opowie; tych gości, których zamierzamy wypuścić z powrotem, nie dopuszcza się bliżej niż do talanów wzdłuż Nimrodel, a ci durnie odchodzą stąd z przekonaniem, że rzeczywiście żyjemy na tych żerdkach...”

— Proszę podprowadzić go do Zwierciadła, klofoelu Pokoju, ale Pajęczyny proszę nie zdejmować...

I dopiero gdy wypowiedziała te słowa, klofoela Świata spostrzegła, że ze Zwierciadłem rzeczywiście dzieje się coś niedobrego. Kryształ był smoliście czarny, a czerń tę w równych odcinkach czasu przenikało purpurowe jarzenie. Wyraźnie czuło się, że Zwierciadło dosłownie zachłystuje się bezdźwięcznym krzykiem strachu i bólu. „Może szkodzi mu obecność palantira? — pomyślała nieco zbyt późno. — Teraz już nic nie da się zmienić... Wytrzymaj — zwróciła się do Zwierciadła w myślach. Za kilka minut wszystko się skończy”. I, jakby w odpowiedzi, kryształ eksplodował od wewnątrz niebywałej mocy ognistym wybuchem, który

Eornis skojarzył się z Odwiecznym Ogniem... Myśl ta przemknęła i zgasła — były inne rzeczy do załatwienia: klofoel Pokoju, jak się wydawało, zauważył, czy też wyczuł, że pokój nie jest aż tak pusty, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Zresztą, według jej planu miał to wyczuć — przy tym sam, bez cienia podpowiedzi z jej strony... Co za ironia, polegać na intuicji i wysokim profesjonalizmie śmiertelnego wroga!

Klofoel Pokoju tymczasem maksymalnie starannie oglądał pomieszczenie i, jak należało oczekiwać, niczego podejrzanego nie zauważył. Nie było sensu używać magii — Zwierciadło tworzy dokoła siebie magiczne pole takiej mocy, że całkowicie zabija pola innych przedmiotów. Zupełnie pusty pokój i niski „stolik” na cienkich nóżkach... „A czy ja zdołałbym tu ukryć jakiś przedmiot, nawet malutki? Może bym i zdołał... A dlaczego niby nie! Zaraz, zaraz... „Niewielki przedmiot”. Jak to powiedział ten troll? „Mniej więcej wielkości głowy dziecka”! Ach, to po to chciałaś się dostać do Zwierciadła...”

— Klofoelo Świata! Jesteś aresztowana za zdradę. Odejdź pod ścianę!

Stali naprzeciwko siebie, rozdzieleni Zwierciadłem. Klofoel Pokoju obnażył miecz — nie zamierzał dawać tej gadzinie ani cienia szansy, i tak jest śmiertelnie niebezpieczna, jak żmija.

— Odepnij od pasa sztylet... Dobrze... Teraz drugi, masz go w rękawie... Odepchnij je nogą daleko od siebie! A teraz sobie porozmawiamy. Magiczny przedmiot, którego bezskutecznie szukają tancerki tej gwiazdnej idiotki, przymocowałaś od spodu do Zwierciadła, prawda? Żeby go dojrzeć należy klęknąć przed Zwierciadłem — takie coś nikomu do głowy nie przyjdzie, a za pomocą magii odnaleźć go po prostu się nie da. Tancerki przypominają teraz psa, który ma odnaleźć wyperfumowaną chusteczkę w worku z mielonym pieprzem... Wyrazy uznania. Wspaniale to wymyśliłaś! Nawiasem mówiąc — co to jest?

— Palantir — odpowiedziała bezsilnie Eornis.

— Ho, ho! — Wyraźnie nie tego oczekiwał. — Czyj to prezent? Wroga?

— Nie. Aragorna.

— Co ty pleciesz?

— To prawda. Jego Królewska Mość Elessar Kamień Elfów jest człowiekiem przewidującym, nigdy nie wkłada do jednego koszyka wszystkich jaj. Myślisz, że tylko ty rozmawiałaś z nim w styczniu w cztery oczy? Sprzątniesz mnie i stracisz pomocnika w swojej grze przeciwko Władczyni.

— Mylisz się, gołąbeczko: im mniej sojuszników, tym bardziej są cenni — tak więc, nie masz szans. Czeka cię wiele interesujących rzeczy w podziemiach Kurhanu: tamtejsi chłopcy są nadzwyczaj pomysłowi, a polecę im, byś nie umarła zbyt szybko...

— Będziesz musiał pokazać dowody mojej zdrady, a to znaczy — oddać Radzie palantir. Czy nie lepiej zachować go dla siebie, a mnie uczynić swoim agentem w otoczeniu Władczyni? Mogę ci wiele dać, sam to wiesz...

— Dość tego gadania! Twarzą do ściany, szybko! Siadaj na podłodze! Na podłodze, powiedziałem!!! Czym go przykleiłaś do „stolika”? Magią?

— Nie, po prostu klej ankarasu — podporządkowała się załamana, i patrząc w ścianę, błagalnie powiedziała: — Wysłuchaj mnie...

— Milczeć!

Głos, wypowiadający „Milczeć!” był zduszony: najprawdopodobniej klofoel Pokoju za jej plecami przykucnął już i zgięty obmacywał spód kryształu — chyba czas! Prowadząc swój żalosny targ przegranego, w rzeczywistości przez cały ten czas uporczywie przebijała się przez zwarte, bijące w odpowiedzi niczym fale przyboju, magiczne pole Zwierciadła, do lepkich szarych nici Zaklęcia Pajęczyny, którym klofoel Pokoju spętał trolla. Każde zaklęcie posiada unikatowy wzór osobowości rzucającego, dlatego usunąć je może tylko on sam — dla innych jest to śmiertelnie niebezpieczne i z reguły nie przynosi zadawalających efektów. Na szczęście Pajęczynę tworzy się jednym z prostszych zaklęć, osobowości w niej niemal nie ma — czysta technika, tak więc można zaryzykować... „Teraz wszystko będzie zależało od tego, jak zachowa się uwolniony troll. Oczywiście jest załamany, ponieważ wyłożył wrogowi wszystko, co tylko wiedział. Ważne jednak jest — do jakiego stopnia jest złamany. Jeśli całkowicie i stał się meduzą, to koniec, ale jeśli potrafił zachować człowieczeństwo i przynajmniej chęć policzenia się z tymi, którzy zmusili go do zdrady, potrafię mu pomóc. Ja jemu, a on mnie...”

W tym momencie Eornis szarpnęła Pajęczynę, jak odrywa się najczęściej przyschnięty do rany opatrunek — jednym ruchem, ponieważ inaczej się nie da. Straszliwy, wywracający na nice ból przygasił jej świadomość; ach, to tak jest! Zdejmowanie cudzych zaklęć, nawet jeśli to taki drobiazg jak Pajęczyna, a zdejmuję ją nie byle kto, a elficka klofoela... Wynurzyła się z omdlenia po kilku sekundach, kiedy już było po wszystkim. Klofoel Pokoju leżał na podłodze obok Zwierciadła z nienaturalnie wykręconą głową, jakby chciał popatrzeć na coś za swoimi plecami, a troll już wskoczył na parapet, wyraźnie zamierzając odejść — a zamiar ten nie napotkał najmniejszych przeciwników ze strony Eornis.

„Wielce czcigodny klofoel Pokoju uwolnił trolla z zaklęcia i nieostrożnie się odwrócił — uśmiechnęła się w duchu — a ja po prostu niczego nie zdążyłam zrobić... Wszystko stało się tak nieoczekiwanie, wielce czcigodni członkowie Rady! Jestem niezmiernie wdzięczna zmarłemu: gdyby nie zgłosił się sam, by towarzyszyć mi w wieży, na jego miejscu zapewne znalazłabym się ja...”

Zadziwiający obraz stolicy elfów Kumai zdążył ogarnąć spojrzeniem tylko w ostatniej chwili, czyniąc wieńczący swe życie krok — tak więc wszystkie te wieżyczki i wiszące mostki natychmiast runęły mu na spotkanie, niczym waląca się teatralna dekoracja, a w twarz uderzyły sześciokątne płyty dziedzińca. Ostatnią myślą było: „Ścierwa, pozbierają mnie z kawałków...”

Może i poskładałyby, dlaczego nie? W końcu kto wie, gdzie się kończy potęga elfów? Ale nie mieli już na to czasu... Nie tylko na to, nie mieli go również



już na nic innego. Przecież słońce dopełzło do zenitu, i Eornis, wyjąwszy palantir z ochronnego worka ze srebrną osnową, zbliżyła go do zupełnie oszalałego Zwierciadła, gotowego, jak się wydawało, uciec na swoich giętych mithrilowych nóżkach. Oczekawszy umówiony czas, klofoela Świata nałożyła na siebie dwie pomarańczowe isierki we wnętrzu magicznego kryształu i w ten sposób przełączyła palantir na tryb „odbiór”...

**Arnor, wieża Amon Sul — Mordor,  
zachodni brzeg krateru wulkanu Orodruina  
1 sierpnia 3019 roku Trzeciej Ery,  
za kwadrans południe**

— Trzymaj! — zachrypłym głosem rozkazał Gandalf, jakby sam utrzymywał niepomierny ciężar, a tak właściwie było. To, że ciężar był niematerialny, nie miało żadnego znaczenia. Magowie Białej Rady — cała czwórka — tracili siły, a zwiastujący omdlenie pot spływał po ich nawoskowanych twarzach. Powinni do tej roboty ustawić się w pentagramie, ale w tym momencie mogli ustawić co najwyżej kwadrat. . . Ach, Sarumanie, Sarumanie!

Całą podłogę sali zajmowała ogromna mapa Śródziemia, narysowana po prostu na kamiennych płytach — nieco schematycznie, ale z dokładnym zachowaniem proporcji i orientacji względem stron świata. W centralnej części mapy, odpowiadającej Arnorowi, leżał w tej chwili palantir, który miotał na boki bezładne, różnokolorowe błyski — żółte, błękitne, zielonkawe. Wysięk magów Białej Rady zaczynał przynosić wyniki: błyski powoli przekształciły się w spokojne świecenie, które następnie rozpadło się na różnokolorowe promienie, cienkie jak druty do ręcznych robótek. W tym momencie Gandalf wypowiedział krótkie „mocujące” zaklęcie, które zabrzmiało jak: „Puszczaj!”, magowie chórem powtórzyli je, po czym pozwolili sobie na rozluźnienie, jakby postawili w końcu na podłodze przenoszony na rękach kredens, wypakowany kryształami. W porządku — pierwsza część roboty wykonana.

Kolorowe sznury, niczym wachlarz rozbiegły się po podłodze od centralnego palantira, uciekając gdzieś poza mury sali, łączyły obecnie kryształ z sześcioma innymi, rozsianymi po Śródziemiu. Punktu na mapie, gdzie znajduje się inny palantir nie da się określić — tylko kierunek, jednakże i to nie jest mało. Przede wszystkim Gandalf zbadał złocistożółty promień prowadzący dokładnie na Zachód, w nieogarnione spojrzeniem przestrzenie oceanu. Żółte światło oznacza, że tamten znajduje się w zwykłym roboczym trybie — musi to więc być palantir zachodnich elfów Kirdana Szkutnika. Mag sprawdził, czy promień przechodzi

dokładnie przez ten punkt lindońskiego wybrzeża, gdzie powinna znajdować się wieża Eryn Beraid, i skinął głową zadowolony: ich mapa jest zorientowana praktycznie idealnie, można pracować dalej.

Dwa mętne zielonkawe promienie, z których jeden prowadził na Północ, a drugi — na południowy wschód, do ujścia Wielkiej Rzeki, nie interesowały go: to na pewno zaginione w morskich odmętach palantiry z zatopionego okrętu księcia Arvedui i uniesiony prądem Anduiny palantir Osgiliath. A oto mamy powód całego tego zamieszania: dwa promienie mają kolor lazuru, a to znaczy, że palantiry są uruchomione, ale mają na sobie ochronne futerały ze srebra. Rozchodząc się pod bardzo małym kątem, prowadzą na południowy wschód. Do Mordoru. Żeby to nagła. . . Tak jest.

— Skąd w Mordorze mają drugi kryształ, Gandalfie?

— Popatrzcie na mapę: żadnej linii prowadzącej do Eryn Arnen nie ma. Należy więc sądzić, że Jego Wysokość Książę Ithilien, ciągnąc dalej swoje przedwojenne wschodnie rozgrywki, oddał palantir Denethora temu mordorskiemu nasieniu. . . Sukinsyn. . . Ach, szkoda, że go Aragorn wtedy nie udusił, wtedy, w szpitalu polowym. . .

— No, przestań. . . A może Aragorn z Faramirem zawarli jakiś sojusz przeciwko elfom, wykorzystując resztki rozgromionych orokuenów? Wtedy minastiritski palantir mógł przekazać orokuenom sam Elessar Kamień Elfów. . . W końcu, przeciwko elfom w tej chwili grają wszyscy — włącznie z nami — ale każdy z osobna.

„Mimo wszystko — myślał Gandalf — nie można uchwycić ogólnego sensu tego obrazu. „Przepowiednia Wakalabaty” jest wieloznaczna, ale jeden ze sposobów jej interpretacji jest taki: „Magia odejdzie ze Śródziemia wraz z palantirami”, i ma się to stać dziś w południe, albo nie odejdzie wcale. . . O co tu chodzi?” Wpatrzył się ponownie w ciemnoniebieskie „mordorskie” promienie: jeden przechodził przez wschodni brzeg jeziora Nurn, drugi — nieco na zachód od Barad-Dur, mniej więcej przez Gorgoroth i Orodruinę. . . Orodruinę?! Ach, więc to sobie zamysłili. . .

„A może. . . Nie, nie ma tu, do licha, miejsca na zbiegi okoliczności! Wygląda, że te mordorskie barany postanowiły zrzucić swój palantir w Odwieczny Ogień i zniszczyć go w ten sposób. No i na zdrowie — co przez to osiągną? Oczywiście, to nieco pozakrzywia magiczne pola innych palantirów, samego Zwierciadła też, ale nie aż tak — uff! — żeby „magia odeszła ze Śródziemia”! Nawet, jeśli przy tym padnie jakiś inny palantir, który będzie w tym samym momencie nastrojony „na odbiór””.

— Gandalfie! Popatrz! Coś się dzieje dziwnego ze „wschodnim” promieniem!

Przywódca Białej Rady sam zauważył, że z tym promieniem, który przechodził przez wschodnią część Mordoru, działy się dziwne rzeczy: zaczął rytmicznie tracić barwę i jaskrawość — wyglądało to, jakby po nieboskłoniu od czasu do

czasu przemykała ołowiana burzowa chmura.

— Ależ to niemożliwe! — ponownie odezwał się mag w niebieskiej pelerynie. — W Śródziemiu jest tylko jedna rzecz, która może wpłynąć na pole palantira — Zwierciadło. Ale Zwierciadło jest u elfów, w Lorien, a palantir w Mordorze. . .

I w tym momencie straszliwy domysł przeszył umysł Gandalfa. — Ten palantir nie jest w Mordorze — wychrypiął, wskazując mapę Śródziemia. — Skierowany nań promień przechodzi przez wschodni Mordor, to prawda. Ale ta linia — patrzcie na mapę! — przechodzi dokładnie przez Lorien: tam się właśnie znajduje — obok Zwierciadła!

— Poczekaj, może to tylko zbieg okoliczności: lorieńskie elfy nigdy nie miały swojego palantira, a Kirdanowy jest na swoim miejscu. . .

— Wcześniej nie miały, a teraz, jak widzicie, mają! Nie wiem, kto zrobił taki prezent Władczyni Galadrieli — Aragorn, Faramir czy orokueni — ale ona z jakiegoś powodu ułożyła obok siebie oba kryształy. W południe orokueni, a może i nie oni, skąd mam wiedzieć, zrzucą swój palantir w gardziel Orodruiny, Odwieczny Ogień przeskoczy z orodruńskiego palantira na lorieński, a z niego na Zwierciadło, i wtedy nastąpi koniec wszystkiego! A gdy szczytnie Zwierciadło, w skrzący Odwieczny Ogień zmieniają się również pozostałe Kamienie Jasnowidzenia — i nasz w tej liczbie. — Słyszając te słowa, magowie odruchowo odsunęli się na boki, jak gdyby śmiertelny ogień już osmalił ich twarze. — Oto i jest „Przepowiednia Wakalabaty”. Szybciej, stańcie w trójkącie! Pomagajcie mi, może jeszcze zdążymy. . .

Gandalf opadł na podłogę i przez kilka sekund po prostu siedział nieruchomo, zamknawszy oczy. Korek manierki z elfickim winem przyszło wyciągać zębami, palce skostniały jak odmrożone. . . i tak już będzie zawsze. Wypił kilka łyków, zaciskając manierkę między zgrabiętymi dłońmi, i, nie patrząc, podał ją Radagastowi. „Zdążyliśmy. . . Jednak zdążyliśmy. . .” Świetlny sznur, odchodzący od ich palantira do orodruńskiego, miał teraz barwę nie błękitną, a purpurowo-fioletową. Gdy tylko te zuchy wyjmą swój kryształ z ochronnej srebrnej plecionki, dokoła niego owinie się, jak błękitną iskrzącą nicią, zaklęcie Gandalfa. Och, nie chciałby być tym, który weźmie tę kulę w ręce. . . Cóż, można teraz odsapnąć i spokojnie wszystko przemyśleć. Jak przechwycić ten palantir? Przecież na pewno będzie sobie leżał wśród orodruńskich głązów na zboczu.

\* \* \*

Haladdin oderwał się od kontemplowania lśniącego złotem purpurowego stopu, który wrzał niemal u jego stóp w trzewiach wulkanicznego tygla i, mrużąc

i osłaniając dłonią oczy, oceniał położenie już znajdującego się poza kreską południa słońca. Lorien leży wyraźnie bardziej na zachód niż Mordor, tak więc ichniejsze — „orodruńskie” — południe winno wyprzedzać południe lorieńskie o jakieś piętnaście minut. . . Tak, chyba już można wyjąć palantir z worka i czekać, kiedy w nim pojawi się Zwierciadło — jeśli rzecz jasna Kumai wykonał swe zadanie. . . „Nie wolno ci tak myśleć, słyszysz?! — osadził sam siebie. — Zrobił to, co trzeba, i dobrze to wiesz. . . Ale ty za kilka minut będziesz musiał zabić tę kobietę. . . Może nie kobietę, a elfijkę, ale co to za różnica. . . Zresztą, co tam się dręczyć. Wszystko już było wałkowane w głowie tysiące razy. Można, pewnie że tak, podrzucić „wykonanie wyroku” Cerlegowi — kima sobie spokojnie za kamieniami, ten ma nerwy! — ale to by było już zupełnie. . .”

Droga do Orodruiny okazała się stosunkowo prosta. Do przełęczy Hotont prowadził ich Rankorn — ranger i tak chciał wyszukać miejsce na postój w górnym biegu Wydrzego Potoku, a tam przejął ich Matun. Dla Matuna „spotkanie podgrupy Haladdina” było niemal krótkoterminowym urlopem z frontu: w domu, w Mordorze, trwała wojna, a tu, za Górami Cienia, panowały cisza i spokój. Faramir do tego czasu przedsięwziął wszelkie możliwe kroki w celu osiągnięcia pokoju z trollami z Gór Cienia, i w ubiegłym tygodniu jego dyplomatyczne wysiłki zostały uwieńczone pełnym sukcesem: do Eryn Arnen przybyła delegacja trzech trollijskich nestorów. Niektórym — nie będziemy wskazywali palcem — to zbliżenie bardzo się nie spodobało, tak więc na podjeździe do Osady na starszyzną czekała specjalnie przygotowana grupa dywersyjna. Jednakże służby barona Gragera pokazały swą prawdziwą wartość: nie tylko zamach został udaremniony, ale udowodniono, że nici tej prowokacji ciągną się w stronę „drugiego brzegu Anduiny”. Pozostali przy życiu dywersanci zostali wypuszczeni na wolność z poleceniem przekazania Jego Królewskiej Mości, że powinien podszlifować i urozmaicić swoje chwytaki. . . W każdym razie nestorów okazane im dowody przekonały całkowicie: przełamali się z księciem Ithilien tradycyjnym plackiem i odjechali, pozostawiając swoich starszych synów na służbie w książęcej ochronie osobistej — sojusz zawarty. Nawiasem mówiąc, ithilienscy chłopcy, do tego czasu od dawna już handlowali z trollami na całego i handel wymienny kwitł, nie czekając na żadne Wysokie Ustalenia.

Kontrolujące Kirith Ungol elfy patrzyły na to i wściekały się, ale niczego nie mogły zrobić — za krótkie łapki.

— A co tam u Iwara, Matunie? Jak mistrz Haddami? Ciągłe bawi was swoimi sztuczkami?

— Zginął Haddami — spokojnie odpowiedział troll. — Niech mu ziemia. . . Dobry był chłop. Nawet bym nie powiedział, że Umbarczyk. . .

W tym momencie przyjrzał się twarzy Haladdina i, skonfundowany, mruknął:

— Proszę o wybaczenie, sir! Jakoś nie pomyślał, ja. . . A gdzie ten wasz Gondorczyk?

— Też zginął.

— No tak...

W oddziale Iwara gościli dosłownie kilka godzin. Porucznik chciał dać im eskortę do Orodruiny — „Na równinach teraz niespokojnie, wastackie rozjazdy włóczą się tam i z powrotem” — ale kapral tylko się uśmiechał: „Słyszysz, Matynie? Oni chcą mnie przeprowadzić przez pustynię!” Miał rację: pomagać orokuenowi na pustyni, to jakby uczyć rybę pływać, a mały oddział w ich sytuacji był lepszy niż duży. Tak więc doszli we dwóch. Jak zaczęliśmy — tak i skończymy...

A właśnie... Czas... Haladdin rozwiązał węzeł na worku, rozsunał sztywną tkaninę z wplecionymi w nią srebrnymi niciami i wziął w ręce ciężką kryształową kulę, wyszukując w jej blado opalizującym wnętrzu służące do strojenia pomarańczowe iskierki.

\* \* \*

Tu, pod sklepieniem Amon Sul, niezmiernie odległy orodruński palantir odbija się w postaci ogromnej, pięcio-sześciostopowej bańki mydlanej. Widać było, jak nieznany posiadacz obraca kryształ w ręce — na powierzchni kuli co i rusz powstawały jasne amarantowe odbicia ogromnych dłoni, tak wyraźne, że można było odróżnić rysunek linii papilarnych.

— Co się dzieje? Gandalfie, wyjaśnij! — nie wytrzymał w końcu mag w błękitnym płaszczu.

— Nic. O to właśnie chodzi — nic się nie dzieje. — Słowa Gandalfa zabrzmiały spokojnie i całkowicie martwo. — Moje zaklęcie nie zadziało. Dlaczego, nie wiem.

— Chcesz powiedzieć, że to kres wszystkiego?

— Wygląda, że tak.

Nastała cisza; wydawało się, że wszyscy wsłuchują się, jak opadają ostatnie drobiny piasku w klepsydrze odmierzającej czas ich życia.

— No i jak? Doigraliście się? — ciszę przerwał ironiczny głos, który nie stracił, nawiasem mówiąc, przez te lata swojej czarującej intonacji. — „Historia mnie usprawiedliwi...”

— Saruman?!

Były przywódca Białej Rady, nie czekając na zaproszenie i pozwolenie, przemierzał już salę twardym zamaszystym krokiem, i wszyscy jakoś jednocześnie poczuli, że określenie „były” jest tu zupełnie nie na miejscu.

— „Przepowiednia Wakalabaty”, co, Radagaście? — zwrócił się do leśnego maga, uważnie wpatrując się w świetlne sznury, biegnące od palantira. Pozosta-

łych członków Rady zignorował. — Aha... Ten promień, jak rozumiem, prowadzi do Orodruiny?

— Oni chcą zniszczyć Zwierciadło... — wtrącił się Gandalf, który odzyskał nieco kontenans.

— Zamknij się — nie odwracając głowy, rzucił Saruman, i wskazał podbródkiem ponownie matowiejący „lorieński” promień. — Oto twoje Zwierciadło, naciesz oko, Demiurgu zasrany!

— Czy możemy ci w czymś pomóc, Sarumanie? — ugodowym tonem zapytał Radagast. — Cała nasza magia...

— Tak, możecie: znikajcie stąd i to jak najszybciej. A „całą swoją magię” wsadźcie sobie w tyłki: jeszcze nie rozumiecie, że człowiek na Orodruinie jest absolutnie odporny na magiczne oddziaływanie? Spróbuję racjonalnych argumentów, może zrozumie... No, czego tu stoicie?! — krzyknął na stłoczonych przy drzwiach członków Rady. — Powiedziałem: wynocha stąd, wszyscy. Zaraz tak tu huknie, że pogubicie gacie!

I, nie zwracając więcej uwagi na pospiesznie wymykających się z sali magów, pokręcił w dłoni palantir, strojąc go na wielostronną łączność, a potem cicho zawołał:

— Haladdinie! Doktorze Haladdin, słyszy mnie pan? Proszę się odezwać.

## 68

Minęło kilka długich chwil, póki z głębin palantira nie rozległ się pełen zdziwienia głos:

— Słyszę! Kto mnie woła?

— Mógłbym powiedzieć, że Nazgul, i nigdy by pan nie poznał się na oszustwie, ale nie będę tego robił. Jestem Saruman, przywódca Białej Rady.

— Były przywódca. . .

— Nie, obecny. — Saruman odwrócił się, rzucił okiem na upuszczoną przez umykającego w pośpiechu Gandalfa szatę: no i dobrze, jeszcze by się potknął na schodach. — Od trzech minut. . .

Przez kilka sekund palantir milczał.

— Skąd pan zna moje imię, Sarumanie?

— W Śródziemiu nie ma aż tak wielu ludzi absolutnie niepodatnych na magię. Właśnie takiego Nazgule powinni wybrać do wykonania „Przepowiedni Wakalabaty”.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Jest pewna mętna stara przepowiednia, mówiąca, że pewnego pięknego dnia „magia odejdzie ze Śródziemia wraz z palantirami”. Data tego wydarzenia zaszyfrowana jest w bardzo skomplikowany sposób — oczekiwano tego dnia, kombinując przytoczone w proroctwie cyfry, nie raz i nie dwa, ale ciągle nic się nie wydarzało. Dziś jest po prostu kolejny z takich dni, i Nazgule, jak rozumiem, postanowili wykorzystać „Wakabalatę”, by zniszczyć palantiry i Zwierciadło. „Świat jest Tekstem”. . . Teraz pan wrzuci swój palantir do Oroduiny, lorieński palantir spali Odwiecznym Ogniem Zwierciadło i magiczny świat Ardy zniknie na zawsze.

— Dlaczego zginie? — zapytał kryształ po chwili ciszy.

— A. . . rozumiem. Zapewne kontaktował się z panem Sharha-Rana?

— Dlaczego pan tak sądzi? — W głosie Haladdina słychać było konsternację.

— Dlatego, że to jego teoria budowy Ardy: dwa światy — „fizyczny” i „magiczny”, łączone za pośrednictwem Zwierciadła. Elfy, trafiwszy z tamtego świata do tego, nieuchronnie podważą swą magią podstawy jego istnienia. Dlatego na-



leży zniszczyć Zwierniadio i odizolować od siebie te światy — dla ich obopólnej korzyści. . . Co, trafiłem blisko Tekstu?

— Chce pan powiedzieć, że to kłamstwo? — chłodnym tonem zapytał Haladdin.

— W żadnym wypadku! To jest jedna z teorii struktury Świata — i nic więcej. Sharha-Rana, do którego żywię ogromny szacunek, trzymał się jej i miał do tego prawo, ale co innego działać zgodnie z nią. . .

— A co mówią pozostałe teorie? Proszę opowiadać, czcigodny Sarumanie, mamy jeszcze trochę czasu. Kiedy nadejdzie pora wrzucenia palantira do Orodruiny uprzedzę pana, nie ma obawy.

— Jest pan bardzo uprzejmy, Haladdinie, dziękuję, Tak więc, ogólnie przyjęty punkt widzenia głosi, że „fizyczny” i „magiczny” świat rzeczywiście są rozdzielne. Prawdą też jest, że Zwierniadio i palantiry są tworamii magicznego Świata, jednakże trafiły tu, do świata fizycznego, wcale nie przypadkowo. Te kryształy tworzą osnowę, istotę, sedno istnienia tamtego Świata — jak ta bajkowa igła. . . ta, co to jest w jajku, które jest w kacze, która jest w zajacu, który siedzi w skrzyni. Niszcząc Zwierniadio i palantiry po prostu zniszczy pan cały magiczny Świat. Ironia losu zawiera się w tym, że umieszczono je właśnie u nas, by były bezpieczniejsze — dokładnie jak tę bajkową skrzynię. . . O, pan, rozumiem, może powiedzieć: „To są problemy tamtego, magicznego Świata, mnie to nie dotyczy”. Tak więc, muszę pana zmartwić: wszak Światy te są symetryczne. . .

— Więc chce pan powiedzieć. . . — wolno powiedział Haladdin — że w tamtym, magicznym Świecie jest ukryte „dla większego bezpieczeństwa” coś gwarantującego istnienie naszego Świata — nasza „igła, która jest w jajku — i tak dalej”?

— Właśnie tak. Niszcząc ten obcy Świat, podpisze pan wyrok śmierci na swój. Wie pan, zdarza się tak, że rodzą się bliźniaki częściowo zrosnięte ciałami. Wiadomo, że jeśli jeden zabije drugiego, to za jakiś czas sam umrze z powodu zakażenia krwi. Kiedy zrzuci pan palantir w trzewia Orodruiny, to tamten świat zginie natychmiast, a tutejszy zacznie umierać, wolno i w męczarniach. Ile będzie trwała ta agonia — minutę, rok czy kilka wieków — nikt nie wie. Chce pan to sprawdzić?

— Tak będzie, jeśli to pan ma rację, a nie Sharha-Rana. . .

— Oczywiście. A pan — powtarzam — chce doświadczalnie sprawdzić: która z teorii jest słuszna. Ostre doświadczenie, jak przyjęto określać w kręgu pańskich znajomych.

Palantir milczał. Haladdin chyba nie wiedział co odpowiedzieć.

— Proszę posłuchać mnie, Haladdinie. . . — Teraz w głosie Sarumana rozbrzmiewało nawet jakby zainteresowanie. — Czyżby naprawdę rozpetał pan to wszystko po to, by załatwić elfy? Czy nie za wiele dla nich honoru?

— Wie pan, uważam, że lepiej w takich sprawach przesadzić.

— Więc pan naprawdę wierzy, że elfy jak nie dziś to jutro zagarną dla siebie całe Śródziemie?! Przecież to majaki, gołąbeczku! Bez względu na zdolności elfów — a i one są przesadzone w ludzkich opowieściach, zapewniam pana — to jest ich piętnaście, no, może dwadzieścia tysięcy na całe Śródziemie. Proszę pomyśleć: kilkanaście tysięcy — i więcej ich nie będzie, a ludzi — miliony, i miliony, i liczba ta stale rośnie. Proszę mi uwierzyć: ludzie są już wystarczająco silni, by nie bać się elfów! Macie po prostu jakiś kompleks niższości!

— Sharha-Rana — kontynuował Saruman po chwili przerwy — ma rację co do tego, że przypadek naszej Ardy jest unikatowy: tylko w niej istnieje bezpośredni kontakt między fizycznym i magicznym światem, i ich mieszkańcy — elfy oraz ludzie — mogą się ze sobą kontaktować. Proszę pomyśleć, jakie to otwiera możliwości! Minie trochę czasu, a zaczniecie z elfami żyć w zgodzie i pokoju, wzbogacając się wzajemnie osiągnięciami swych kultur. . .

— Będziemy żyć, jak to przewidziano w Błogosławionym Królestwie? — uśmiechnął się Haladdin.

— To zależy od was samych. Czyżby był pan tak pozbawiony podstawowego szacunku dla siebie samego, że stawia się w pozycji gliny w rękach jakichś nietutejszych mocy? Wstyd tego słuchać, słowo daję.

— Mówi pan, że nastanie taki czas, kiedy elfy przestaną patrzeć na ludzi jak na mierzwę pod swoimi stopami? Powinien pan mieć przydomek Słodkousty. . .

— Kiedyś, doktorze, ludzie spotykając się, zjadali każdego, kto nie był z ich jaskini. Ale teraz, chyba się pan z tym zgodzi, nauczyliście się innych zachowań. Dokładnie tak samo będzie z elfami, tylko na to trzeba czasu! Zbyt się różnicie, dlatego tak jesteście sobie potrzebni, proszę mi wierzyć. . .

\* \* \*

Palantir zamilkł; Haladdin siedział zgarbiony, jakby ktoś wyjął z niego jakiś trzpień.

— Kto to był, konsyliarzu? — Stojący o dziesięć kroków od niego, nieco w dół po zboczu, Cerleg wpatrywał się w kryształ z zabobonnym lękiem.

— Saruman. Władca Isengardu, przywódca Białej Rady Magów, i tak dalej, i tak dalej. . . Namawia, żeby nie wrzucać palantira w Odwieczny Ogień, bo wtedy cały świat zginie.

— Łże pewnie?

— Sądzę, że tak — odpowiedział Haladdin po chwili namysłu. W rzeczywistości brakowało mu tej pewności — raczej odwrotnie. Saruman mógł przecież powiedzieć coś takiego: „Nazgule przegrali, i dlatego odchodząc z tego świata,

postanowili zniszczyć go twoimi rękami” i uargumentować to niezbitcie. A skąd konsyliarz miał wiedzieć, czy Nazgule to „nasi”, miał na to tylko słowo Sharha-Rany. . . Skoro więc tego Saruman nie zrobił, to ta okoliczność wywołała w duszy Haladdina ufność we wszystko, co powiedział mag. „Chce pan doświadczalnie sprawdzić, która z teorii jest słuszna?” Tak, właśnie na to wygląda. . .

Osiągnął, co chciał, z niespodziewanym strachem uświadomił sobie Haladdin: „Zwątpiłem i tym samym bezpowrotnie straciłem prawo do działania. . . Zbyt głęboko we mnie siedzi przekonanie, że zwątpienie interpretuje się na korzyść oskarżonego. To, co zaplanowałem, wiedząc o możliwych konsekwencjach, a już teraz o nich wiem — dzięki ci, Sarumane! — może wykonać albo Jedyny, albo maniak, a ja nie jestem ani jednym, ani drugim. Nie potrafię również rozłożyć rąk: „Rozkaz to rozkaz!” To nie moja specjalność. . .” „A poza tym, wcale nie chce ci się własnoręcznie palić tej elfickiej piękności, prawda?” „Tak, nie chcę, delikatnie rzecz ujmując. Czy to mi się liczy na plus czy na minus?”

„Wybaczcie mi, bracia. . . Wybacz, Sharha-Rana i ty, baronie — Haladdin w myślach przyklęknął. — Ale to, czego dokonaliście pójdzie na marne. Wiem, że zdradzam was i pamięć o was, ale ten wybór, jakiego ode mnie zażądano, przerosł mnie. . . Zresztą, przerosłby każdego z ludzi. Poradziłby sobie z nim tylko Jedyny. Nie zostaje mi nic innego, jak na śmierć zablokować swój palantir i spalić go w Orodruinie — i niech dalej rzecz się dzieje bez mojego udziału. Nie nadaje się do kierowania losami Świata — jestem z innej gliny. . . A jeśli zechcecie to sprecyzować: „Nie z gliny, a z gówna” — cóż, przyjmę to jak należy”.

I, jakby chcąc podtrzymać tę jego decyzję, palantir niespodziewanie rozjaśnił się od środka i pojawiło się jego oczom wewnątrz jakiejś wieży ze strzelistymi oknami, coś, co przypominało Stolik na niskich, giętych nogach i śmiertelnie blade — i dlatego jeszcze piękniejsze — oblicze Eornis.

## 69

Czasem nie można się nadziwić — jakie drobiazgi potrafią zakłócić bieg historii i skierować ją w inny nurt. W danym przypadku o wszystkim zdecydowały chwilowe zakłócenia w układzie krwionośnym lewego mięśnia łydki Haladdina, czego powodem była niewygodna pozycja, w jakiej przebywał przez ostatnich kilka minut. Konsyliarz poczuł skurcz, a kiedy niezgrabnie poderwał się i pochylił, by rozmasować płonącą bólem łydkę, gładka kula palantira wymknęła mu się z rąk i wolno potoczyła po łagodnym zewnętrznym stoku wulkanu. Stojący nieco niżej Cerleg, słysząc zduszone przekleństwo dowódcy, odebrał to jak zalecenie działania i rzucił się, by przeciąć mu drogę. . .

— Nie doty-y-y-kaj!!! — przeciął ciszę rozpaczliwy krzyk.

Za późno.

Orokuen chwycił kulę i w tej samej chwili skamieniał w absurdalnej pozycji, a jego ciało powleczone zostało, niczym warstwą szronu, migotliwymi błękitno-fioletowymi iskrami. Haladdin rzucił się do towarzysza i, bez namysłu, jednym ruchem wytrącił mu z rąk diabelską zabawkę. Dopiero po kilku sekundach konsyliarz zrozumiał, że jemu samemu nie wyrządziła ona żadnej krzywdy.

Liliowe skry zgasty, pozostawiając po sobie dziwną woń, a orokuen wolno zwałił się bokiem na kamienne osypisko. Dał się przy tym słyszeć jakiś niespotykany głuchy stukot. Haladdin spróbował unieść kaprała i nie dał rady wobec dziwnego ciężaru jego ciała.

— Co się ze mną dzieje, doktorze? — Na zazwyczaj uśmiechniętym i spokojnym obliczu orokuena pojawiły się strach i niepewność. — Ręce i nogi. . . nie czuję. . . zupełnie. . . Co mi jest?

Haladdin chwycił go za nadgarstek i — zaskoczony — oderwał palce od ciała Cerlega: jego nadgarstek i cała ręka były zimne i twarde jak kamień. . . Boże miłosierny, przecież to właśnie jest kamień! Na drugiej ręce orokuena przy upadku ułamały się dwa palce, i teraz doktor wpatrywał się w świeże, iskrzące się kryształami miejsce złamania — śnieżnobiały porowaty wapień kośćca i ciemnoróżowy marmur mięśni z purpurowo-granatowymi żyłami w miejscu naczyń krwionośnych — oszołomiony niewiarogodną dokładnością kamiennej kopii. Szyja i ramiona orokuena jednakże pozostawały na razie ciepłe i żywe. Obmacawszy dokładnie

jego rękę, Haladdin zrozumiał, że granica między kamieniem i ciałem przechodzi w tej chwili nieco powyżej łokcia, wolno przesuując się po bicepsie do góry. Już miał powiedzieć coś rażącego na temat „tymczasowej utraty czucia z powodu uderzenia ładunkiem elektrycznym”, zasypać istotę rzeczy lawiną mądrych medycznych terminów, jednakże zwiadowca wypatrzył swoją okaleczoną dłoń i sam wszystko zrozumiał:

— Tylko nie porzucaj mnie w takim stanie, słyszysz? Dobij „ciosem łaski”. Najwyższy czas...

— Co tam się stało, Haladdinie? — odżył w palantirze zaniepokojony głos Sarumana.

— Co?! Mój przyjaciel przekształca się w kamień, oto co! To wasza robota, szubrawcy?!

— Czy on dotknął palantira? Po coś mu pozwolił?

— Żeby cię diabli! Odczaruj go natychmiast, słyszysz?

— Nie mogę tego uczynić. To nie moje zaklęcie. Sam pomyśl, po co mi to? A usunąć cudzego zaklęcia po prostu nie mogę, nawet ja. Pewnie moi poprzednicy postanowili takim sposobem powstrzymać ciebie...

— Nic mnie to nie obchodzi, czyje to zaklęcia! Odczaruj go jak potrafisz, albo dawaj do swojego palantira tego, który to uczynił!

— Nie ma już ich tu ze mną... Bardzo żałuję, ale nic nie mogę zrobić dla twojego przyjaciela, nawet za cenę własnego życia.

— Posłuchaj mnie, Sarumanie. — Haladdin wziął się w garść, rozumiejąc, że krzykiem niczego nie osiągnie. — Mój przyjaciel, jak mi się wydaje, stanie się kamieniem za jakieś pięć, sześć minut. Jeśli potrafisz zdjąć w tym czasie zaklęcie — uczynię jak chciałeś: zablokuję swój palantir na „nadawanie” i cisnę go do Orodruiny. Jak to uczynisz, to twój problem. Jeśli jednak tego nie dokonasz, postąpię tak, jak zamierzałem, chociaż, prawdę mówiąc, prawie mnie przekonałeś. No i jak?

— Bądź rozsądny, Haladdinie! Chcesz zniszczyć cały Świat — właściwie, dwa Światy — by uratować jednego jedynego człowieka? I nawet go nie uratujesz: przecież ten człowiek potem i tak zginie, wraz z całym Światem...

— Sram na te wszystkie wasze Światy, jasne?! Ostatni raz pytam: Będziesz czarował, czy nie?

— Mogę tylko powtórzyć to, co powiedział pewien bałwan z Białej Rady: „To, co zamierzasz zrobić — to gorzej niż przestępstwo. To błąd”.

— Tak?! No więc wrzucam kulę do krateru! Spadaj więc, jeśli zdążysz... A ile masz sekund do dyspozycji, oblicz sobie sam, według wzoru na swobodne

spadanie: ja zawsze byłem słaby w ustnych obliczeniach...

\* \* \*

Porucznik Tajnej Straży Rosomak w tym samym momencie został postawiony przed trudnym wyborem.

Dotarł już do tarasów Anduiny i miał spore szanse na dotarcie do zbawczego czółna, gdy depczące mu po piętach elfy zapędziły go do kamiennego kurumu — osypiska dużych kamieni, gdzie tak lubią urządzać swe legowiska prawdziwe rosomaki. W nadziei, że uda mu się przeciąć kurum po skosie, porucznik ruszył żwawo, skacząc z kamienia na kamień; przy takim sposobie poruszania najważniejsza rzecz, to nie stracić rozpędu i pod żadnym pozorem nie zatrzymywać się: skok-skok, skok-skok, skok-skok. Kiedy jest sucho, nie jest to takie skomplikowane, ale teraz, po wielodniowych deszczach, przywarte do głazów porosty, plamy czarnej i pomarańczowej farby na kamieniach nasiąkły wodą i rozmiękły, a każda taka plama kryła w sobie śmiertelne niebezpieczeństwo.

Rosomak nie pokonał nawet połowy zbocza, gdy zrozumiał, że mocno przecenił dzielący go od prześladowców dystans: dokoła niego zaczęły fruwać strzały. Strzelano do niego po stromej trajektorii, wyraźnie był już na granicy ich zasięgu, ale porucznik zbyt dobrze znał możliwości elfów — najlepszych łuczników Śródziemia — by nie rzucić spojrzenia przez ramię. Po kolejnym skoku zamortyzował skok lewą nogą na skośnej grani kamienia, jednocześnie jeszcze bardziej obracając się w lewo — i w tym momencie mokry porost, konkurujący co do poślizgu ze słynną skórką dyni, uciekł spod mordorskiego buta — „Och, czuło moje serce, że nie posłuży mi to obuwie na twardej podeszwie!” — i Rosomakiem rzuciło w prawo, w wąską, klinującą go szczelinę. Bezsilnie wykreślił łamiącymi się paznokciami bruzdy w porostowych naciekach, ale nie mogło go to wyhamować... Przemknęła zupełnie głupia myśl:

„Dlaczego nie jestem prawdziwym rosomakiem...” — a chwilę potem chrząst w prawej kostce, która trwale ugrzęzła w szczelinie-pułapce, eksplodował nieznośnym bólem w kręgosłupie porucznika i zgasił jego świadomość.

Dziwne, ale omdlenie trwało bardzo krótko. Rosomak zdołał zaprzeć się w szczelinie, znajdując takie położenie, przy którym cały ciężar spoczywał na lewej, zdrowej nodze. Teraz mógł przerzucić przez głowę niesiony na plecach worek. Paczka z papierami z Dol Guldur wyposażona była w zapalający ładunek z „ognistej galarety” (mądrała ten Grizzly — wszystko przewidział), tak więc

zostało mu tylko skrzesać iskrę za pomocą mordorskiej „ogniewki” — porcelanowego pojemnika z jasną frakcją nafty. Dopiero, gdy udało mu się popuścić troki worka i wymacać w kieszeni „ogniewkę”, postanowił w końcu rozejrzeć się i zarzucił głowę do tyłu, nie mogąc w żaden inny sposób się okręcić i popatrzeć do tyłu. Akurat zdążył zobaczyć walące się nań z bezbarwnego nieba postacie w szaro-zielonych pelerynach. Od ścigających elfów dzieliło go dosłownie kilka metrów, i porucznik nie miał już wątpliwości, że z dwu rzeczy, jakie musiał jeszcze w tym życiu wykonać — zapalić lont ładunku i rozgryźć zbawczą zielonkawą pigułę — pozostał mu czas na jedną, a na którą oficer „Feanora” musiał wybrać bez podpowiadania... Tak więc ostatnim odczuciem Rosomaka, które poprzedzało unoszące go w niebyt uderzenie, był naftowy płomyk, liżący nieco rozstrzępione nici wymoczonego w saetrze lontu.

Ocknął się na leśnej polanie, z której otwierał się wspaniały widok na dolinę Wielkiej Rzeki. Ręce spętane za plecami, mordorski mundur stał się opaloną szmatą, a cała lewa strona ciała jedną wielką oparzeliną. Chwała Aule — zadziałała maszynka. Nie od razu dojrzał po lewej swojej stronie — od strony tego oka, które było zaklejone zapieczoną posoką — siedzącego w kucki elfa. Ten z obrzydzeniem wycierał jakąś szmatką szyjkę swojej manierki. Wyglądało na to, że przed chwilą wlewał jeńcowi do ust elfickie wino.

— Ocknąłeś się? — melodyjnym głosem zapytał elf.

— Mordor i Oko! — odruchowo odpowiedział Rosomak (szkoda, że przyszło umierać w takim statusie, ale tak już wypadło).

— Przestań udawać, sojuszniku. — Pierworodny uśmiechał się, a w oczach miał taką nienawiść, że jego kocie źrenice przekształciły się w niteczki. — Przecież opowiesz nam wszystko o dziwnych zabawach Jego Królewskiej Mości Elessara Kamienia Elfów, prawda, że tak, zwierzaczku? Sojusznicy nie powinni mieć przed sobą tajemnic...

— Mordor... i... Oko... — Głos porucznika brzmiał nadal równo, chociaż tylko Manwe wiadomo, ile kosztowało go to wysiłku. Elf jakby nieświadomie opuścił dłoń na zgruchotaną kostkę jeńca, i...

— Sir Engold, proszę popatrzeć, co to?! Elf odwrócił się, zaskoczony wołaniem swoich towarzyszy i teraz ze zdziwieniem patrzył jak za Anduiną, tam, gdzie powinien się znajdować Karas Galadon, błyskawicznie rośnie do samego nieba coś przypominającego gigantyczny dmuchawiec — cienka, lśniąca niesamowitym blaskiem łodyga, zwieńczona przezroczystym purpurowym kwiatostanem. Eru Wszchemogący, jeśli to naprawdę stało się w Karas Galadonie, to jakież to ma rozmiary? Ach, jaki tam Galadon — tam i popiołu nie pozostało... W tym momencie ktoś przywrócił go do przytomności, krzycząc rozpaczliwie:

— Sir Engold, jeniec! Co z nim?!

Mimo, że odwrócił się błyskawicznie, wszystko już się stało. Jeniec był martwy i niepotrzebny był lekarz, do stwierdzenia zgonu: na oczach osłupiałych elfów

w ciągu kilku sekund trup zmienił się w szkielet, obciągnięty gdzieś resztkami zmumifikowanej skóry. Brązowo-żółty czerep z wypełnionymi piaskiem oczodołami ironicznie szczyrzył zęby spod poczerniałych warg, jakby kpiąc z Elgolda: „No, teraz pytaj o co tylko zechcesz. . . Jeśli chcesz, możesz mnie wykopać w „napoju prawdy”, a nuż pomoże”.

\* \* \*

A w pałacu Minas Tirith zdumiony Aragorn obserwował jak nieubłaganie zmienia się oblicze siedzącej naprzeciwko Arweny. Niby się nic nie zmieniło, ale czuł z niezachwianą pewnością, że nieodwołalnie odchodzi, ucieka, jak cudowny poranny sen z pamięci, coś ważnego, może coś najważniejszego. . . Jakieś czarowne niedopowiedzenie rysów, które teraz stały się zupełnie ludzkie. I kiedy po kilku chwilach to się skończyło, ogłosił wyrok, podkreślający ten okres jego życia: „Tak, niewątpliwie, ładna kobieta. . . Nawet bardzo ładna. I tyle”.

Nikt z jego poddanych tego rzecz jasna nie widział, a gdyby nawet i widział — na pewno nie przydałby temu znaczenia. Natomiast uczciwie zaznaczyli w kronikach inne wydarzenie tego południa, a mianowicie: gdy w Lorien uległo zniszczeniu Zwierciadło, eksplodowało również pięć innych, pozostających w Śródziemiu palantirów, a wtedy z fal zatoki Belfalas, do której wpadały wody Anduiny, uderzył w niebo straszliwy gejzer niemal półmilowej wysokości. Gejzer ten zrodził czterdziestostopową falę-tsunami, która zmyła doszczętnie kilka belfalaskich wiossek wraz z ich mieszkańcami. Jednakże nikomu chyba nie przyszło do głowy, że ci nieszczęśnicy również byli ofiarami Wojny o Pierścień.

Najdziwniejsze jednak było to, że Jego Królewska Mość Elessar Kamień Elfów, mimo całej swej spostrzegawczości i przenikliwości, nie mógł w żaden sposób połączyć ze sobą tych kilku wydarzeń, które przypadły na południe pierwszego sierpnia 3019 roku Trzeciej Ery i, w pewnym sensie, stały się finalnym punktem jej biegu. No, a po nim nikt nawet nie próbował tego ze sobą łączyć, gdyż nie mieli takich możliwości. . .

\* \* \*

— Zegnij rękę, szybko! — polecił Haladdin, zaciskając opaskę na lewym łokciu Cerlega. — Nie puszczaj tej szmaty, bo cały na zewnątrz wyciekiesz. . .



Nadgarstek kaprała „rozmrózł się”, gdy tylko wulkan pożarł palantir — tak więc krew płynęła teraz jak należy, gdy człowiek ma oderwane dwa palce. Inne sposoby, poza opaską zaciskową nie nadawały się: powstrzymujące krew środki z elfickiej apteczki, w tym legendarny korzeń mandragory, który może podobno „zaszpachlować” nawet tętnicę szyjną, jak się nagle okazało przestały działać. Kto by pomyślał, że to wszystko też była magia. . .

— Konsyliarzu. . . Wynika z tego, że zwyciężyliśmy?

— Tak, niech to licho! Jeśli można to nazwać zwycięstwem. . .

— Nie rozumiem, panie konsyliarzu. . . — Szare z utraty krwi wargi kaprała nie do końca były mu posłuszne. — Jak mam to rozumieć: „Jeśli można to nazwać zwycięstwem?”

„Nie waż się — ofuknął siebie Haladdin. — To była moja decyzja i niczyja więcej. Nie mam prawa nawet minimalnie wplątywać w to Cerlega. Nie powinien podejrzewać tego, czego był świadkiem i niezamierzonym powodem — dla jego własnego, w końcu, dobra. Lepiej niech to zostanie dla niego naszym osobistym *Dagor Dagoradem*. Zwycięskim *Dagor Dagoradem*. . .”

— Po prostu miałem na myśli. . . rozumiesz, w nasze zwycięstwo nie uwierzy ani jeden człowiek w Śródziemiu. Nie mamy co liczyć na „podziękowanie przed frontem”. I wspomnisz moje słowa — elfy i ludzie z tamtego brzegu Anduiny wynajdą jakiś sposób, żeby ukazać sprawę tak, by to oni wyszli z tej historii jako zwycięzcy.

— Tak — odezwał się zamyślony orokuen i na chwilę znieruchomiał, jakby wsłuchując się w głęboki pomruk Ognistej Góry.

— Tak pewnie będzie. Ale co to nas obchodzi?

# EPILOG

— ... *Co powie Historia?*  
— *Historia, sir, skłamię — jak zawsze.*  
B.Shaw

*Miej odwagę marzyć i kłamać.*  
F. Nietzsche

Nasza opowieść jest całkowicie oparta na szczegółowych, choć mających pewne luki, opowieściach Cerlega, które przechowywane są w jego klanie w postaci ustnego przekazu. Należy szczególnie podkreślić, że nie mamy w swoim posiadaniu żadnych potwierdzających go dokumentów. Haladdin, od którego należałoby oczekiwać rozwiniętych dowodów, nie zostawił na tę okoliczność ani jednego wersu. Pozostali zaś bezpośredni uczestnicy polowania na Zwierciadło Galadrieli — Tangorn i Kumai — milczą z dość zrozumiałego powodu. Tak więc, każdy kto chce może ze spokojnym sumieniem oznajmić, iż są to majaczenia szalonego orokuena, który u schyłku żywota postanowił zmienić finał Wojny o Pierścień. W końcu, po to wymyślono memuary, by weterani mogli ze wsteczną datą przekształcić swoje porażki w wiktorie.

Dla tych natomiast, którzy uznali tę opowieść, jeśli nawet nie za prawdziwą, ale przynajmniej zasługującą na uwagę wersję, zapewne ciekawie będą pewne wydarzenia, rozgrywające się poza jej ramami czasowymi. Cerleg opowiada, że odprowadzał Haladdina od Orodruiny do Ithilien; konsyliarz wydawał się być ciężko chory i przez całą drogę nie wypowiedział nawet dziesięciu słów jednym ciągiem. Na jednym z postojów kapral zasnął tak mocno, że obudził się dopiero pod wieczór następnego dnia, przy tym z potężnym bólem głowy i mdłościami. Zamiast swojego towarzysza znalazł obok siebie mithrilową kolczugę, w którą zawinięty był pożegnalny list. Haladdin informował go w nim, że Śródziemie jest teraz uratowane od elfickiej ekspansji, i on, jako dowodzący operacją, dziękuje kapralowi za wzorową służbę i nagradza go bezcenną kolczugą. Sam natomiast doktor, niestety, „zapłacił za zwycięstwo taką cenę, że więcej nie widzi dla siebie miejsca wśród ludzi”. Ostatnie słowa naprowadziły na zwiadowcę ponure myśli, które na szczęście nie potwierdziły się: sądząc po śladach, Haladdin po prostu dotarł do Traktu Ithilienckiego i ruszył nim gdzieś na południe.

Ciekawe, że kilka lat temu jakiś lekkomyślny doktorant z katedry historii śre-

dniowiecza Śródziemia Uniwersytetu w Umbarze, wyraźnie nie sceptycznie podchodząc do tej legendy, przedsięwziął specjalne poszukiwania w księgach buchalteryjnych wschodnich klasztorów, prowadzonych już od półtora tysiąclecia, wykazując się przy tym jakąś nienaturalną dociekliwością. I co powiecie? Wygrzebał, szelma, takie oto ciekawe zbiegi okoliczności: w styczniu 3020 roku, według ówczesnego kalendarza, do jaskiniowego klasztoru Gurwan Eren, znajdującego się w górach północnej Wendotenu, naprawdę zgłosił się mnich, na oko Umbarczyk, który przyjął śluby całkowitego milczenia i przekazał klasztorowi... pierścień z inoceranium. Z tego faktu doktorant wyprowadził „pospieszny, lekkomyślny i — cytuję protokół posiedzenia rady wydziału — całkowicie sprzeczny z nauką wniosek o identyczności wskazanego mnicha z legendarnym Haladdinem”. Rada, wiadomo, obsztorcowała „poszukiwacza widm” tak, że zarzekł się odstąpienia od zatwierzonego tematu pracy i od tej pory starannie czyści pędzelkami gliniane skorupy z khandyjskich śmietników VII dynastii.

Co do prawdziwego Haladdina, to imię to można odnaleźć w każdym uniwersyteckim podręczniku, jednak nie fizjologii, której ten poświęcił swoje życie, a w skryptach z historii nauki — jako przykład zbyt dalekich skoków do przodu. Chodzi o to, że jego wspaniałe badania z dziedziny funkcjonowania włókna nerwowego tak wyprzedziły swoje czasy, że wypadły z obszaru zainteresowań naukowych i były szczęśliwie zapomniane. Dopiero po trzech wiekach na jego prace przypadkowo natknęli się medycy szkoły ithilińskiej, poszukujący starych recept na odtrutki. Wtedy stało się jasne, że Haladdin co najmniej o sto lat wyprzedził słynnego Wespuno, i nie tylko eksperymentalnie udowodnił elektryczną naturę wzbudzenia neurytu, ale przepowiedział również istnienie neuromediatorów i nawet wykonał model ilustrujący ich funkcjonowanie. Niestety, tego typu „priorytety” interesują tylko historyków — dla społeczności naukowej nie ma to wszystko absolutnie żadnej wartości. W każdym razie, ostatnie znane prace Haladdina datowane są końcem 3016 roku Trzeciej Ery, a oficjalny punkt widzenia głosi, że zginął on podczas Wojny o Pierścień.

Wróćmy jednakże do Cerlega — na szczęście jego istnienie nie podlega wątpliwościom. Jak wiadomo, przed zimą 3020 roku okupacja Mordoru zakończyła się — niespodziewanie i niewytłumaczalnie, i zaczęło się tam powoli odradzać pokojowe życie. Ludność miejska ucierpiała wówczas straszliwie, właściwie cywilizacja mordorska od tamtego czasu nie zdołała się podnieść, ale koczowników ta agresja w przeważającej mierze ominęła bokiem. Kapral zawsze powiadał, że „prawdziwy chłop, któremu ręce wyrastają nie z tyłka, a skąd trzeba, zawsze będzie królowi bratem”, i całkowicie potwierdził to powiedzonko swoimi czynami. Wróciwszy do rodzinnych stron stał się założycielem potężnego klanu, który właśnie zachował — dzięki rozpowszechnionej wśród koczujących ludów ustnej tradycji — opowieść o jego przygodach.

Nie od rzeczy będzie powiedzieć, że dalsze losy innego kaprała, Rankorna,

niemal dokładnie powtarzają Cerlegowe — z tą rzeczą jasną różnicą, że włodarzył były ranger nie na płaskowyżu Houtijn-Hotgor, a po drugiej stronie Gór Cienia, w dolinie Wydrzego Potoku. Zbudowane przez niego niewielkie osiedle o dziwnej nazwie „Lianika” po pięciu latach powiększyło się do prawdziwej osady, a gdy jego mały synek podczas wędkowania znalazł na żwirowej mieliźnie pierwszy w Ithilien złoty samorodek, sąsiedzi tylko wzruszyli ramionami: wiadomo — pieniądze Igną do pieniędzy. . . Gdyby spotkali się z orokuenem na starość na pewno przenieśliby swoje dyskusje z Mroczonej Puszczy o zaletach ciemnego piwa i kumysu na płaszczyznę praktyczną. Ale nie doszło do tego. . .

Mithrilową kolczugę Cerleg postanowił oddać dziewczynie Haladdina, wraz z opowieścią o bohaterskim czynie swego zaginionego druha. Jednakże Kumai zginął, a sam zwiadowca nie wiedział o niej nic poza tym, że miała na imię Sonia, a to imię bardzo rozpowszechnione wśród trolli, oraz że uczestniczyła w Ruchu Oporu, tak więc jego poszukiwania okazały się bezskuteczne. Zrozpaczony orokuen — a obowiązkowość koczowników w takich sprawach jest prawdziwie bezgraniczna — uznał siebie i swój klan nie za właścicieli, a strażników tej relikwii. Skończyło się na tym, że prawnuk kaprała przekazał ją — wraz z przynależnym temu wydarzeniu bólem głowy — do Nurneńskiego Muzeum Historycznego, gdzie dziś każdy może wpatrywać się w nią, jak i w inne kurioza zagadkowej cywilizacji mordorskiej. Aha! — powie w tym miejscu apologeta legendy. Czy kolczuga istniejąca na jawie nie jest argumentem? Na to spokojnie mu będą ripostować, że kolczuga — nawet w ramach wersji Cerlega — niczego nie udowadnia, ponieważ Haladdin posiadał ją jeszcze zanim otrzymał pierścień Nazguli. I będą mieli całkowitą rację!

Przy okazji, co do mithrilu. W muzeach Ardy obecnie znajdują się aż cztery egzemplarze takich kolczug, ale technologia ich wykonania pozostała nieznana. Jeśli chcecie, by przyjaciel-metalurg cisnął w was czymś ciężkim, zadajcie mu niewinne pytanie o ten stop. Tysiące razy go analizowano: 86dalej „ogon”, w którym znajduje się dziewięć metali rzadkich — od wanadu do niobu. Jednym słowem, obliczyć można nawet do dziewiątego znaku po przecinku, wykonać rentgenostrukturalne badania oraz całą masę innych — proszę bardzo, a wytworzyć się, za cholere, nie daje! Są tacy, którzy szyderczo wspominają, że podczas wykonywania mithrilu starzy mistrzowie podobno wkładali w metal cząstkę swojej duszy, ale ponieważ — dziś to już wiadomo, duszy nie ma, a istnieje tylko „obiektywna rzeczywistość, dana nam w odczuciach” — to prawdziwego mithrilu nie zobaczycie, jak własnych uszu. Z definicji.

Ostatniego szturm na ten problem dokonali kilka lat temu bystrzy chłopcy z Arnorskiego Centrum Wysokich Technologii, którzy otrzymali na to specjalne fundusze od Angmarskiej Korporacji Aerokosmicznej. Ale i tak guzik z tego wyszło: pokazano klientowi dwumilimetrowej grubości płytę z jakiejś substancji — 86,12srebra, 11,96mithrii, a cała reszta, to nic więcej tylko legendy. I, jak można

było przypuszczać, zażądali pieniędzy na zbadanie swojego produktu. Przełożony raketowców, nie mrugnawszy okiem, wyjął spod stołu naciągniętą muzealną kuszę, wycelował w szefa projektu i zaproponował, by osłonił się płytą. Wytrzyma — otrzymasz żądane pieniądze, nie — i tak ci nie będą potrzebne. Projekt, wiadomo, poszedł w las, jak zając przed gończymi... Czy tak było naprawdę? Nie ręczę. Za ile kupiłem, za tyle sprzedaję. Jednakże osoby, dobrze znające szefa „Angmar Aerospace” twierdzą, że to żarcik dokładnie w jego guście — nie nadaremno wyprowadza swoje drzewo od Króla-Czarodzieja.

Z inoceramium, z którego jakoby odlewane były pierścienie Nazguli, wszystko jest znacznie prostsze, i przyczyna, dla jakiej nigdy nie trafia ono do rąk ludzi, jest oczywista. Zawartość tego metalu z grupy platynowców w korze Ardy jest niezmiernie mała — jego klark (klark — w geochemii: wskaźnik określający ilościowy udział poszczególnych pierwiastków chemicznych w przeciętnym składzie danego środowiska w przyrodzie, np. atmosfery, oceanów, skorupy ziemskiej, całej kuli ziemskiej lub w obiektach kosmicznych.) wynosi  $4 \times 10^{-8}$  (dla porównania: złoto ma  $5 \times 10^{-7}$ , a iryd —  $1 \times 10^{-7}$ ), ale przy tym, w odróżnieniu od innych platynowców występuje wyłącznie w postaci samorodków. Prawdopodobieństwo natrafienia na taką rzecz policzcie sobie sami, jeśli nie macie nic innego do roboty. Zresztą, nie tak dawno w kopalni Kigwali, w południowym Haradzie, rzeczywiście znaleziony został samorodek o fantastycznej wadze osiemdziesięciu siedmiu uncji. Artykuł w miejscowej gazecie, opowiadającej o tym wydarzeniu, zatytułowano właśnie tak: „Znalezisko wieku — sześć funtów inoceramium! Można wykonać pierścienie dla plutonu Nazguli”. Zdecydowanie jednak ów metal nie posiada żadnych szczególnych właściwości, poza tym, że ma gęstość wyższą niż osm.

Zresztą, co to my tak ciągle o żelastwie i żelastwie... Elwiss nigdy nie wyszła za mąż. Nadzwyczaj odizolowana od świata żyła w willi na ulicy Jaspisowej, poświęciwszy się wychowaniu chłopca, który urodził się w odpowiednim terminie po opisanych wydarzeniach. Chłopiec ten wyrósł na ni mniej ni więcej, tylko na komandora Amengo — tego samego, którego wyprawy uznano za oficjalny początek epoki Wielkich Odkryć Geograficznych. Komandor pozostawił po sobie odręczne szkice linii brzegowej nowego kontynentu, nazwanego potem jego imieniem, wspaniałe — z czysto literackiego punktu widzenia — zapiski o swych wyprawach, jak również niezwyklej długości szarfę ze złamanych przez siebie kobiecych serc — co, nawiasem mówiąc, nie dało mu szczęścia w życiu rodzinnym. Oprócz Wielkiego Kontynentu, przez długi czas zupełnie poważnie uważanego za Błogosławione Królestwa, w rysach twarzy aborygenów doszukując się cech legendarnych elfów, w wykazie odkryć Amengo znajduje się niewielki tropikalny archipelag, nazwany przezeń sprawiedliwie Rajskim. Nazwa ta została potem usunięta przez Święty Kościół (tamtejsze dziewczyny były po prostu żywymi wcieleńiami hurys — jak je opisują bluźnierczy hakimiańscy heretycy), jednakże dwie

główne wyspy, zadziwiająco podobne w swej konfiguracji do symbolu Jin i Jang, zachowały nazwy nadane im przez odkrywcę — Elwiss i Tangorn.

Na mój gust, słynny marynarz uwiecznił pamięć swych rodziców tak, że lepiej nie można. Jednakże historia miłości umbarskiej kurtyzany i gondorskiego arystokraty od wielu wieków nie daje spokoju literatom, którzy z nieznanego powodu czynią z jej bohaterów jakieś bezcielesne romantyczne cienie, albo przeciwnie, sprowadzają wszystko do prymitywnej erotyki. Nie stała się — niestety! — wyjątkiem również ostatnia amengiańska wersja filmowa „Szpieg i jawno-grzesznica”: w gondorskiej dystrybucji słusznie otrzymała kategorię „trzy krzyżyki”, a w purytańskim Angmarze w ogóle zakazano jej wyświetlania. Artystyczne wartości filmu są dość skromne, ale — jakby dla zadośćuczynienia — jest nieskończenie politycznie poprawny: Elwiss jest Murzynką (och, przepraszam! — Harado-Amengianką), a stosunki Tangorna z Gragerem okraszone są wyraźnymi gejowskimi fluidami. Krytycy chórem przepowiadali, że jury festiwalu w Srebrnych Przystaniach, asekurując się przed posądzeniem o „rasizm”, „heteroseksualny szowinizm” i inne koszmarnie „-izmy”, nagrodi film wszelkimi możliwymi nagrodami — i tak się stało. Zresztą, boska Gunun-Tua otrzymała swoją „Złotą Elanor” za najlepszą rolę kobiecą zupełnie sprawiedliwie.

Amaldina i Jakuziego powieszono na wewnętrznym dziedzińcu więzienia Ar-Khoran pewnej potwornie dusznej sierpniowej nocy 3019 roku. Jednocześnie wykonano wyrok na oficerze flagowym Maccarionim i siedmiu innych oficerach floty, przywódcach „Buntu admirała Carnero”. Właśnie tak nazwano post factum operację „Sirocco”, w toku której admirał wyprzedzającym atakiem zniszczył całą cumującą w porcie gondorską flotę, a następnie wysadził desant i spalił do cna pelargirskie stocznie. Znalazłszy się w sytuacji bez wyjścia, Aragorn musiał — ratując twarz — podpisać Traktat w Dol Amroth. Zgodnie z nim Umbar zmuszony został do uznania się za „nieodłączną część Odrodzonego Królestwa”, ale w zamian wytargował dla siebie „na wieki wieczne” status wolnego miasta — po prostu jego Senat od tej chwili oficjalnie nazywał się magistratem, a armia — garnizonem. Konsul do specjalnych poruczeń Alkabir, który prowadził te pertraktacje w imieniu Republiki, wywalczył także szczególny punkt, zabraniający na jej terytorium działalności Tajnej Straży Jego Królewskiej Mości. Raid admirała Carnero został — ku obopólnemu zadowoleniu gondorskiego króla i umbarskich senatorów — uznany za zwyczajny akt piractwa, a jego uczestnicy za dezerterów i zdrajców, którzy zapomnieli o żołnierskiej przysiędze i honorze oficerskim.

Oczywiście, w oczach ludu towarzysze Carnero — sam admirał uniknął sądu, ginąc w Pelargirskiej Bitwie — byli bohaterami którzy uratowali ojczyznę od jarzma niewolnictwa, jednakże, co by tu nie mówić, fakt złamania rozkazu był niepodważalny... Prokurator generalny Republiki Almaran rozwiązał ten moralno-etyczny problem zwyczajnie i prosto: „Powiadacie „Zwycięzców się nie sądzi”?! Guzik prawda! Prawo albo istnieje, i wtedy obowiązuje wszystkich, albo

nie ma go wcale!” a patos jego wspaniałego aktu oskarżenia (podaje się go — przynajmniej we fragmentach — w każdym współczesnym podręczniku prawniczym) wyczerpująco jest wyrażony w finałowym, prawdziwie historycznym zdaniu: „Niech runie świat, ale dokona się sprawiedliwość!” Zresztą, kto jak kto, ale straceni szefowie umbarskiej tajnej służby powinni wiedzieć, że w tego typu sprawach wdzięczność ojczyzny zawsze ma dość specyficzny posmak. . .

Sonia nigdy niczego się nie dowiedziała o misji Haladdina, co, jak wiemy, stało się dla niego przedmiotem zatroskania. Do końca swego życia była pewna, że i on, i Kumai po prostu nie wrócili z Pól Pelennoru. Jednakże czas jest litościwy, i kiedy rany te się zblizniły, spełniła swe życiowe przeznaczenie: została kochającą żoną i wspaniałą matką, szczęściem nadzwyczaj godnego człowieka, imię którego — w ramach niniejszej opowieści — zupełnie jest nieistotne.

Koronowane głowy, z mojego punktu widzenia, są znacznie mniej interesujące, ponieważ ich losy i tak są znane wszystkim i każdemu z osobna. Dla tych, którzy się lenią wyciągnąć rękę do półki z książkami, czy chociażby odświeżyć w pamięci podręcznik do historii dla klasy szóstej, przypomnijmy, że panowanie Aragorna było jednym ze wspanialszych w dziejach Śródziemia, i jest takim „słupem milowym”, którym oddziela się Średniowiecze — „Trzecią Erę”, od Czasów Nowożytnych. Nie starając się zaskarbić sobie miłości gondorskiej arystokracji, z czego i tak nic by nie wyszło, uzurpator ów postawił całkowicie słusznie na trzecią warstwę, której nie interesowały wszelakie fantomy typu „praw dynastycznych” a procenty odliczeń podatkowych i bezpieczeństwo szlaków handlowych. Ponieważ ze szlachtą i tak Jego Królewska Mość nie mógł znaleźć wspólnego języka, to ta okoliczność paradoksalnie rozwiązała mu ręce również w temacie reformy rolnej, radykalnie obcinającej prawa landlordów na korzyść wolnych rolników. Wszystko to posłużyło kanwą słynnego gondorskiego „cudu gospodarczego” i wynikającej zeń kolonialnej ekspansji. Utworzone zaś przez Aragorna, jako przeciwwaga do szlacheckiej opozycji, przedstawicielskie organa władzy w praktycznie niezmiennym kształcie dotarły do naszych dni, powodując, że Odrodzone Królestwo całkowicie zasłużenie nazywane jest „najstarszą demokracją Śródziemia”.

Wiadomo powszechnie, że król na wszelkie sposoby sprzyjał naukom, rzemiosłu i marynarce, przesuwając na najwyższe stanowiska państwowe utalentowanych ludzi, niespecjalnie przyglądając się ich pochodzeniu i cieszył się powszechną, szczerą miłością ludu. Ciemną plamą na reputacji Elessara Kamienia Elfów leży sam początek jego panowania, kiedy Tajna Straż (organizacja, co tu dużo mówić, straszliwa) zmuszona była żelazną ręką osłaniać tron przed zakusami feudalnych szalawitów. Dziś większość specjalistów zgadza się, że skala ówczesnego terroru została niezmiernie przesadzona przez arystokratycznych historiografów. . . Żona Aragorna, urodziwa Arwena, której legenda przypisuje elfickie pochodzenie, żadnej roli w sprawach państwowych nie odegrała, i tylko nadawała jego dworo-



wi pewien zagadkowy blask. Dzieci nie mieli, tak więc dynastia Kamieni Elfów urwała się na jej twórcy, i tron Odrodzonego Królestwa odziedziczyli książęta Ithilien — innymi słowy, wszystko wróciło do normy.

Niezmiernie trudno jest dokonać polityczno-ekonomicznej analizy rządów pierwszych książąt Ithilien, Faramira i Eowiny, albowiem ani polityków, ani ekonomistów, jak się wydaje, wcale tam wówczas nie było, a istniała tylko jedna wielka romantyczna ballada. Do stworzenia czarującego malowidła *Wróżka ithilieńskich lasów* (dziwne to dla nas co prawda: kiedyś w Ithilien — tym sercu przemysłowego Śródziemia — naprawdę rosły lasy...) przyłożyli się zapewne wszyscy ci poeci i malarze owych czasów — dla nich skromny pałac Faramira stał się czymś w rodzaju Świątyni Wiary po prostu nie wypadało nie odbyć tam pielgrzymki. Ale nawet jeśli weźmiemy poprawkę na nieuniknioną idealizację prototypu, należy przyznać: Eowina była naprawdę zadziwiająco oświeconym człowiekiem.

Dzięki temu artystycznemu bractwu dysponujemy dziś również kilkoma portretami Faramira. Najlepszy ze znanych mi dołączony został do opublikowanej niedawno przez jedno z annuminasskich wydawnictw „Wieża Amon Sul” monografii *Filozoficzny agnostycyzm i jego wcześnie przedstawiciele*. Jednakże w żadnym wypadku ani jeden z konterfektów nie ma nic wspólnego z tym mosiężnym profilem, który zdobi musztardowego koloru berety komandosów z lejbgwardii Spadochronowo-Desantowego Pułku Ithilien. A! Właśnie temu pułkowi przypisane są słynne „ichneumony” — specjalna formacja antyterrorystyczna żołnierzy, których mogli przez całe dni oglądać na ekranach telewizorów mieszkańcy Ardy, gdy ci po wspaniałej akcji uwolnili na lotnisku Minas Tirith pasażerów wendoteńskiego samolotu, zajętego przez fanatyków-hanannitów z Frontu Oswobodzenia Północnego Mingadu.

W czasie swojego ithilieńskiego panowania Faramir zrealizował jedną jedyłą polityczną akcję na zewnątrz księstwa, a mianowicie zezwolił na publikację raportu barona Gragera, w którym ten prosił go o oddelegowanie na Południe, za rzekę Harnen, w celu realizacji opracowanego przezeń kompleksu działań wywiadowczych i dywersyjnych. „Z wszelkich oznak, właśnie tam, w Bliskim Haradzie, będą się ważyć w najbliższych latach losy Śródziemia”. Dziwne, ale dalsze losy „Gragera Aranijskiego”, którego nie bez podstaw nazywa się „zbawcą Cywilizacji Zachodniej”, do dziś dnia są tylko zbiorem mało wiarogodnych legend i anegdot. Znany jest tylko końcowy wynik jego pracy — gigantyczne powstanie koczowników-aranijszczyków przeciwko haradzkiej władzy, które ostatecznie doprowadziło do upadku „na zasadzie domina” całego złowieszczonego Imperium Haradrimów, szczęśliwie dzieląc je na wiele wojujących ze sobą plemion. Nikt nie wie, w jaki sposób ten awanturnik-intelektualista doszedł do takiego, nie podlegającego dyskusji, autorytetu wśród okrutnych dzikusów harneńskich sawann. Świąteczna opowieść o wykupionym przez niego przypadkowo na khandyjskim

niewolniczym targu syna aranijskiego wodza wygląda zupełnie niewiarygodnie. Wersja o tym, że jego droga do szczytów władzy biegła przez łoża naczelnej kapłanki Swantantry jest dowcipna i romantyczna, ale u ludzi, mających jakiegokolwiek pojęcie o realiach Południa, może wywołać co najwyżej uśmiech... Nawet o śmierci barona nic sensownego nie wiadomo. Czy zginął w czasie polowania na lwy, czy został zupełnie przypadkowo zabity, łagodząc konflikt o letnie wodopoje między dwoma drobnymi aranijskimi klanami?

Natomiast los Eomera był tak zadziwiający, że niektórzy autorzy do dziś starają się udowodnić, że nie był on postacią historyczną, a legendarną. Wstąpiwszy po mordorskiej wyprawie na tron Rohańskiej Marchii, ze zdziwieniem i głębokim niezadowoleniem odnotował, że nie ma z kim — przynajmniej w osiągalnej dla jego spojrzenia części Śródziemia — walczyć. Przez pewien czas wojownik ten usiłował zabawiać się turniejami, polowaniem i miłosnymi wyprawami, ale nie osiągał sukcesów i wpadł w całkowitą melancholię. Prawda historyczna wymaga przyznania, że na ucztach miłości tego *chevalier sans peur et sans reproche* (rycerz bez trwogi i skazy) wyróżniał całkowity brak smaku przy fantastycznym apetycie — nie darmo złośliwi kpiarze proponowali, by król wypisał na swoim herbie dewizę: „Do wszystkiego zdolny”. I wtedy, w jego udręczonym brakiem działania duszy, wypłynęły wspomnienia o pewnej wspaniałej wschodniej wierze, która, jeśli się zastanowić, doprowadziła go do triumfu na Polach Pelennoru. Eomer najpierw chciał uczynić hakimiańską wiarę państwową religią Rohanu, ale potem do głowy przyszedł mu jeszcze ciekawszy plan.

W khandyjskim kalifacie trwała wówczas religijna wojna między hakimianami dwóch odłamów. Jakim właściwie sposobem Eomer wybrał jeden z nich, jako ten właściwy, do tej pory nie wiadomo. Osobiście uważam, że rzucił monetę, ponieważ w realnych dogmatycznych różnicach nie mogli się rozeznaczyć całe gremia doktorów teologii. Jakkolwiek było naprawdę, przechrzczył na tę wiarę całą swą lejbguardię, również pozostającą bez zajęcia i gotową walczyć z kimkolwiek i o cokolwiek (według opowieści z tych czasów, podobno jeden z Homerowych herosów, zapytany, jak się czuje na łonie hakimiańskiego kościoła, dobrodusznie odparł: „Chwała Tulkasowi, normalnie — buty, jak mi się wydaje, nie przeciekają”), po czym udał się na Południe. „Na gospodarstwie” w Edoras, król zostawił swojego kuzyna w trzeciej linii, co naturalnie wpędziło kraj w otchłań dynastycznych sporów, które trwały bez mała wiek i płynnie przeszły w Wojnę Dziewięciu Zamków, w której to bezpowrotnie zginęło całe rohańskie rycerstwo.

W Khandzie, ku pełnemu zdziwieniu towarzyszy, Eomer naprawdę wyrzekł się swojego poprzedniego życia, jako grzesznego, rozdał żebrakom wszystko co posiadał prócz miecza, i wstąpił do klasztoru hanannitów, „wojujących derwiszy”. Oddawszy na usługi partii religijnej swoje dowódcze talenta, w trzech bitwach złamał wszystkie siły przeciwnika i po jakichś sześciu miesiącach zwycięsko zakończył dwudziestosześcioletnią „świętą wojnę”. Zwolennicy jego religii zasłuże-

nie nazwali go „Mieczem Proroka”, a schizmatycy „Gniewem Pana”. Pod koniec ostatniej z trzech bitew, kiedy pogrom heretyków nie podlegał już dyskusji, poraził go kamień z wrogiej katapulty — piękna śmierć, naprawdę najlepsza, jaką może sobie wymarzyć wojownik. Hakimianie natychmiast dołączyli Eomera do grona męczenników za wiarę, tak więc teraz, należy sądzić, nie ma on żadnych problemów w stosunkach z hurysami.

Tu właściwie należałoby postawić kropkę. . . Ale w podsumowaniu chciałbym podkreślić: luki, w oryginalnej opowieści Cerlega wypełniałem według własnego rozumienia, i stary wojownik nie ponosi żadnej odpowiedzialności za te wymysły. Tym bardziej, że wiele osób, oczywiście, zacznie łapać narratora — bo kogóż by jeszcze? — na rozmijaniu się z ogólnie przyjętą wersją wydarzeń z końca Trzeciej Ery, które to wydarzenia, należy zauważyć, szerokiej publiczności Ardy znane są w najlepszym wypadku ze zbeletryzowanej wersji eposu Zachodnich krain — Władcy Pierścienia, a czasem wręcz z „historycznego” serialu telewizyjnego Miecz Isildura i z komputerowej strzelanki Korytarze Morii.

Krytykom owym można by nudnym głosem przypomnieć, że Władca Pierścieni jest historiografią zwycięzców, którzy wiadomo, w jaki sposób przedstawiają zwyciężonych. Przecież, jeśli miało tam miejsce ludobójstwo (a gdzie — przepraszam — jeśli nie było, podziały się po Wiktorii Zachodu wszystkie tamtejsze narody?) — to po trzykroć ważne jest, by przekonać wszystkich (a przede wszystkim — samego siebie), że nie byli to wcale ludzie, a tacy tam. . . orokueni i trolle. Albo można zaproponować im, by zastanowili się, czy często zdarzali się w historii ludzkości władcy, którzy tak sobie, za frajer, oddawali trony jakiemuś palantowi ze wzgóрка (pardon: Dunadanowi z Północy?). Korci mnie przy tym, by zadać jeszcze jedno pytanie: Czym tak naprawdę zapłacił Elessar Kamień Elfów swoim osławionym współbojownikom, pozyskanym na Ścieżce Umarłych? To znaczy wezwany do służby (och, w jak najszlachetniejszym celu, wiadomo!) siłom absolutnego zła — niby sprawa zwyczajna, nie on pierwszy i nie on ostatni. Ale gdzie to widziano, by owe siły, wykonawszy swoje zadanie, posłusznie wróciły w niebyt, niczego nie żądając w zamian? Hm, nie wiem. . . Nie słyszałem o czymś takim, przyznaję. Albo może. . . No tak, może — ale po co? Ja, w każdym razie, nie mam najmniejszej ochoty wszczynać tego rodzaju dyskusji.

Jednym słowem, bracia, żyjmy w przyjaźni. Co w danym przypadku oznacza: nie podoba ci się? Nie słuchaj, a w opowieści nie przeszkadzaj.